

Giorgio Faletti

JA ZABIJAM

Z włoskiego przełożyła
Anna Osmólska-Mętrak


Świat Książki



Tytuł oryginału
IO UCCIDO

Projekt graficzny serii
Anna Kłos

Zdjęcie na okładce
Flash Press Media

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Hanna Machlejd-Mościcka

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Bożenna Burzyńska Elżbieta Jaroszek

Copyright © 2002 Baldini & Castoldi
Copyright © for the Polish translation by Anna Osmólska-Mętrak, 2005

Świat Książki
Warszawa 2005
Bertelsmann Media Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Druk i oprawa
Drukarnia Wydawnictw Naukowych SA, Łódź

ISBN 83-7391-287-8
Nr 4526

Dla Davida i Margherity

*Drogą idzie
śmierć w koronie
ze zwiędłych liści pomarańczy.
Śpiewa i śpiewa pieśń
przy dźwiękach swej białej gitary
i śpiewa i śpiewa i śpiewa.*

Federico Garcia Lorca

Spis treści

Pierwszy karnawał.....	8
1.....	10
2.....	23
3.....	28
Drugi karnawał.....	38
4.....	43
5.....	46
6.....	52
7.....	58
Trzeci karnawał.....	64
8.....	67
9.....	72
10.....	80
11.....	84
12.....	92
13.....	97
14.....	103
15.....	111
16.....	116
Czwarty karnawał.....	123
17.....	129
18.....	132
19.....	138
20.....	143
21.....	148
Piąty karnawał.....	151
22.....	158

23.....	165
24.....	170
25.....	176
26.....	182
27.....	191
28.....	200
29.....	212
Szósty karnawał.....	221
30	225
31	238
Siódmy karnawał.....	245
32.....	250
33.....	258
34.....	267
35.....	272
36.....	281
37.....	291
38.....	303
39.....	310
Ósmy karnawał.....	317
40	321
41	327
42.....	339
43.....	348
44.....	356
45.....	363
Dziewiąty karnawał.....	370
46.....	372
Dziesiąty karnawał.....	382
47.....	385
48.....	390

49.....	397
50.....	403
51.....	410
52.....	418
53.....	430
54.....	441
55.....	451
56.....	459
57.....	465
Jedenasty karnawał.....	475
58.....	480
59.....	490
60.....	499
61.....	503
62.....	519
63.....	539
64.....	548
Ostatni karnawał.....	555
Podziękowania.....	558

Pierwszy karnawał

Mężczyzna jest kimś i nikim.

Od lat nosi swoją twarz przyklejoną do głowy i swój cień przyszyty do stóp, a jeszcze nie zrozumiał, co z tych dwóch rzeczy jest ważniejsze. Czasami czuje niepohamowaną chęć, żeby je odzepić i zawiesić na haku, a potem usiąść na ziemi jak kukielka, której litościwa ręka odcięła sznurki.

Czasem zmęczenie wymazuje wszystko i nie daje możliwości zrozumienia, że jedynym sposobem mądrego działania jest rzucenie się do niepohamowanego biegu na drodze szaleństwa. Wszystko dookoła to nieustanne następowanie po sobie twarzy, głosów i cieni, osób, które nie stawiają sobie żadnych pytań i akceptują życie bez odpowiedzi, z nudy albo z bólu wywołanego podróżą, zadowolając się wysyłaniem od czasu do czasu do czasu jakiejś banalnej pocztówki.

Tam, gdzie przebywa, jest muzyka, są poruszające się ciała, uśmiechające się usta, wymieniane słowa, a on jest wśród nich, jeszcze jeden ku ciekawości tych, którzy dzień po dniu będą widzieć, jak również ta fotografia blaknie.

Mężczyzna opiera się o kolumnę i myśli, że oni wszyscy są bezużyteczni.

Naprzeciw niego, po drugiej stronie sali, przy stoliku blisko dużego okna wychodzącego na ogród, siedzą obok siebie dwie osoby, mężczyzna i kobieta.

W przyćmionym świetle ona jest subtelna i słodka niczym melancholia, ma czarne włosy i zielone oczy, tak rozświetlone i wielkie, że mężczyzna widzi je ze swojego miejsca. Jest zapatrzony w jej urodę i mówi jej coś do ucha, żeby przekrzyczeć muzykę. Trzymają się za ręce, a ona śmieje się ze słów swojego towarzysza, przechylając głowę do tyłu albo chowając twarz we wgłębieniu jego ramienia.

Chwilę wcześniej odwróciła się, być może tknięta przenikliwością wzroku mężczyzny wspartego o kolumnę, próbując odnaleźć przyczynę swojego zakłopotania. Ich spojrzenia skrzyżowały się, ale jej oczy przebiegły obojętnie przez jego twarz, jak i przez resztę otaczającego ją świata. Znów popatrzyła na towarzyszącego jej

mężczyznę, który odwdzięcza się teraz takim samym spojrzeniem, obojętnym na wszystko, co nie dotyczy jej obecności.

Są młodzi, piękni, szczęśliwi.

Mężczyzna oparty o kolumnę myśli, że wkrótce umrą.

1

Jean-Loup Verdier nacisnął przycisk pilota i dopiero, kiedy drzwi były do połowy otwarte, zapalił silnik, żeby nie wdychać spalin w zamkniętej przestrzeni garażu. Światło reflektorów opuściło podnoszącą się powoli metalową ścianę, żeby przedziurawić czarny ekran rozciągającej się przed nim ciemności. Ustawił na „drive” dźwignią automatycznej skrzyni biegów i kiedy garaż był całkowicie otwarty, nacisnął pedał gazu i wolno wyprowadził swojego mercedesa SLK na zewnątrz. Zamknął garaż, trzymając pilota nad głową, i w oczekiwaniu na dźwięk zamykanych drzwi, patrzył na rozległą panoramę przed dziedzińcem jego domu.

Monte Carlo było łozem z cementu wcinającym się w morze. Miasto przed jego oczami wydawało się niemal bezkształtne, spowite lekką mgiełką pary odbijającej w mroku zapalone światła. Nieco poniżej widać było oświetlone korty Country Clubu, już po stronie francuskiej, gdzie prawdopodobnie trenowała właśnie jakaś gwiazda międzynarodowego tenisa, tuż obok strzelistej sylwetki Parc Saint-Roman, jednego z najwyższych wieżowców miasta. Jeszcze niżej, w stronę Cap d'Ail, można było dostrzec zarysy Fontvieille, dzielnicy wyrwanej wodzie metr po metrze, kawałek po kawałku.

Zapalił jednocześnie papierosa i włączył odbiornik samochodowy ustawiony na stację Radio Monte Carlo. Kiedy wyprowadzał auto na podjazd, znów przy użyciu pilota otworzył bramę. Skręcił w lewo i zaczął zjeżdżać powoli w stronę miasta, rozkoszując się ciepłym już powietrzem schyłku maja.

Z radia płynęły dźwięki *Pride*, przeboju U2, z charakterystycznym podkładem gitary rytmicznej. Uśmiechnął się, prowadząca audycję didżejka Stefania Vassallo darzyła prawdziwą namiętnością „The Edge”, gitarzystę irlandzkiego zespołu. Nie traciła żadnej okazji, żeby umieścić jakiś ich utwór w swoim programie. W radiu

całymi miesiącami żartowali sobie z jej rozmarzonej miny, z którą obnosiła się jak z makijażem, kiedy wreszcie udało jej się uzyskać wywiad ze swoimi idolami.

Kiedy zjeżdżał z Beausoleil wijącą się drogą prowadzącą do centrum, zaczął wybijać rytm lewą nogą na przemian z prawą dłonią uderzającą w kierownicę, towarzysząc Bono, który swoim szorstkim, melancholijnym głosem opowiadał historię mężczyzny przybyłego *in the name of love*.

W powietrzu czuć było zapowiedź lata, z tym szczególnym zapachem, który mają tylko miasta nadmorskie. Słonawym, pomieszanym z wonią pinii i rozmarynu, a tak naprawdę żadnym. Obietnice i zakłady. Te pierwsze niedotrzymane, te drugie przegrane.

Morze, pinie, rozmaryn i letnie kwiaty miały tam jeszcze pozostać długo, długo po nim i po jemu podobnych, którzy trudzili się w tym i wielu innych miejscach.

Jechał jednak swoim odkrytym samochodem bez żadnego problemu, z wiatrem we włosach, także on z sercem pełnym dobrych obietnic i życiem pełnym dobrych zakładów.

Gorsze rzeczy działy się na świecie.

Mimo dosyć jeszcze wczesnej pory był sam na drodze.

Ujął w palce niedopałek papierosa i rzucił go w górę, śledząc w bocznym lusterku jego rozjarzony lot. Zobaczył, jak spada na asfalt i rozpryskuje się na maleńkie iskierki. Wypuszczony z ust dym rozwiął wiatr.

Przy końcu zjazdu zwolnił na chwilę niezdecydowany, którą drogą dojechać w okolice portu. Objężdżając rondo, wybrał trasę prowadzącą przez centrum i skręcił w bulwar d'Italie.

Księstwo zaczynało wypełniać się turystami. Okres dopiero co zakończonego wyścigu o Gran Premio Formuły 1 był jakby sygnałem rozpoczynającym w Monte Carlo sezon letni. Od tej pory wszystkie dni, wieczory i noce na wybrzeżu będą naznaczone nieustannym ruchem aktorów i widzów. Z jednej strony limuzyny z szoferem i pasażerami o wyniosłych i znudzonych twarzach, z drugiej skromne samochody, a w nich ludzie spoceni i zachwyceni. Tacy sami jak ci, którzy stali teraz przed wystawami, z odbiciem światła w oczach. Był wśród nich zapewne ktoś, kto zastanawiał się, jak znaleźć czas, żeby przyjść i kupić wiszącą w witrynie marynarkę, gdy tymczasem ktoś inny zastanawiał się, skąd wziąć na nią pieniądze. Byli jak czerń i biel, dwie skrajności, a między nimi rozciągała się cała, zadziwiająca seria odcieni

szarości. Dla wielu jedynym celem życia było stwarzanie pozorów, dla innych coś zupełnie przeciwnego.

Jean-Loup pomyślał, że życiowe priorytety są w sumie dosyć proste i powtarzalne, i w niewielu miejscach na świecie, takich jak to, można je określić w bardzo konkretny i namacalny sposób. W grę wchodził przede wszystkim pościg za pieniędzmi. Niektórzy je mają, a wszyscy pozostali ich pożąдают. To proste. Dane stwierdzenie staje się komunałem w zależności od dozy prawdy, jaką w sobie kryje. Być może pieniądze nie dają szczęścia, ale w oczekiwaniu, aż ono nadejdzie, są znakomitym sposobem na spędzanie czasu.

Tak myśleli wszyscy.

Telefon w kieszonce koszuli zaczął dzwonić. Wyjął go i odpowiedział, nie sprawdzając nawet, kto dzwoni, bo i tak doskonale wiedział, o kogo chodzi. Głos Laurenta Bedona, reżysera i autora „Voices”, audycji, którą Jean-Loup prowadził co noc w Radio Monte Carlo, dotarł do jego ucha pomieszany z szumem wiatru.

- Czy zamierzasz zaszczycić nas dziś wieczorem swoją obecnością, czy też będziemy musieli poradzić sobie bez naszej gwiazdy?

- Cześć, Laurent. Jestem w drodze, zaraz będę.

- To dobrze. Wiesz, że jeśli didżeja nie ma w radiu przynajmniej na godzinę przed rozpoczęciem audycji, Robertowi zatrzymuje się akcja serca. Już teraz siedzi jak na rozgrzanych węglach i zaraz przypali sobie jaja.

- No nie, to też? Nie wystarczą mu papierosy?

- Zdaje się, że nie.

Tymczasem bulwar d'Italie przeszedł w bulwar des Moulins. Oświetlone witryny po obydwu stronach ulicy otwierały się morzem obietnic niczym uwodzicielskie oczy luksusowych prostytutek. I również w tym przypadku wystarczało trochę pieniędzy, aby stały się rzeczywistością...

Rozmowę zakłócił lekki pisk w telefonie spowodowany sprzężeniem z włączonym radiem samochodowym. Jean-Loup przełożył słuchawkę do drugiego ucha i brzęczenie ustało. Laurent zmienił ton, jakby chodziło o umówiony sygnał.

- Żarty na bok, pośpiesz się. Miałem kilka...

- Zaczekaj chwilę. Policja - przerwał mu Jean-Loup. Szybko opuścił rękę i przybrał minę niewiniątka. Dojechał do świateł na skrzyżowaniu z avenue de la Madone i zatrzymał się na lewym pasie w oczekiwaniu na zielone.

Policjant w mundurze stał na rogu i pilnował, żeby kierowcy stosowali się dokładnie do instrukcji jego kolegi. Jean-Loup miał nadzieję, że schował telefon wystarczająco szybko, aby policjant nic nie zauważył. W Monte Carlo bardzo rygorystycznie przestrzegano zakazu używania telefonu komórkowego podczas jazdy. A on nie miał w tej chwili ochoty tracić czasu na dyskusje z nieugiętym policjantem z Księstwa.

Kiedy zapaliło się zielone światło, Jean-Loup skręcił w lewo pod podejrzliwym spojrzeniem funkcjonariusza, który pokręcił głową i śledził jeszcze wzrokiem jego mercedesa, dopóki nie zniknął na krótkim zjeździe, mijając hotel Metropole. Kiedy tylko upewnił się, że jest poza zasięgiem wzroku policjanta, Jean-Loup podniósł rękę i na powrót przyłożył słuchawkę do ucha.

- Niebezpieczeństwo zażegnane. Wybacz, Laurent. Co mówiłeś?

- Mówiłem, że mam kilka trafionych pomysłów i chciałbym je z tobą przedyskutować, zanim wejdiesz na antenę. Więc się pośpiesz.

- Jak bardzo trafionych? Jak trzydzieści dwa czy dwadzieścia siedem?

- Wal się, dziadu - odparował Laurent z ironią, ale trochę urażony.

- Jak mawiał jeden taki, nie są mi potrzebne rady, tylko adresy.

- Lepiej przestań pieprzyć i pośpiesz się.

- Odebrano. Jestem już przy wjeździe do tunelu - skłamał Jean-Loup.

Z drugiej strony połączenie zostało przerwane. Jean-Loup uśmiechnął się. Laurent za każdym razem tak właśnie określał swoje pomysły: trafione. Oddając cesarzowi co cesarskie, musiał przyznać, że w istocie prawie zawsze takie były. Niestety, w taki sam sposób określał liczby, które według jego przecucia powinny wyjść w ruletce, co z kolei prawie nigdy się nie zdarzało.

Na skrzyżowaniu skręcił w lewo i kiedy zjeżdżał avenue des Spelugues, dostrzegł po prawej stronie odbicie światła placu z Hôtel de Paris i Café de Paris stojących naprzeciw siebie niczym strażnicy po dwóch bokach kasyna. Ruchome podesty i trybuny wzniesione w tym miejscu z okazji Gran Premio zostały zdemontowane w rekordowym tempie. Nic nie mogło zbyt długo przyćmiewać pogańskiej świętości tego miejsca, oddanego w całości kultowi gry, pieniądza i pozorów.

Zostawił po swojej prawej stronie, a potem za plecami, plac Casinò i z umiarkowaną prędkością pokonał zjazd, którym kilka dni wcześniej ferrari, williamsy i mclareny mknęły w zawrotnym tempie. Kiedy minął zakręt Portier, poczuł na twarzy

morską bryzę i dostrzegł światła tunelu. W środku owionęło go chłodniejsze powietrze i nienaturalne światło, które mieszało i ujednolicało kolory. Z tunelu wyjechał na oświetlony port, gdzie w owej chwili przycumowane były łodzie warte najprawdopodobniej setki milionów euro. W górze, po lewej stronie, wyrastał masyw skalny, a na nim pałac książęcy otulony rozproszonym światłem. Olbrzymi kamień zdawał się dyskretnie czuwać, aby sen księcia i jego rodziny nie został niczym zakłócony.

Chociaż był przyzwyczajony do tego widoku, który zawsze robił na nim wrażenie, Jean-Loup był w stanie zrozumieć, że wobec tego zapierającego dech w piersiach obrazu, każdemu mieszkańcowi Osaki, Austin czy Johannesburga mogła zdrętwieć ręka od robienia zdjęć.

Był już prawie na miejscu. Objechał port, gdzie prace usuwania trybun przebiegały dużo spokojniej, minął baseny, a zaraz potem Rascasse, skręcił w lewo i wjechał na podziemny trzypiętrowy parking, wybudowany dokładnie pod rozległym placem rozciągającym się przed siedzibą radia.

Zostawił samochód na pierwszym wolnym miejscu i wszedł schodami na górę. Odgłosy muzyki ze Stars'n Bars dotarły do niego przez otwarte drzwi lokalu. Był to obowiązkowy punkt nocnego życia w Monako, wideopuby, gdzie wypijało się piwo albo spożywało jakieś danie kuchni tex-mex w oczekiwaniu, aż noc dojrzeje i będzie można rozproszyć się po dyskotekach i lokalach wybrzeża. W podcieniach wielkiej budowli, w której miało swoją siedzibę Radio Monte Carlo, wychodzących na Quai Antoine Premier, mieściły się najróżniejsze placówki: restauracje, koncesjonowane punkty sprzedaży łodzi, galerie sztuki, studia Tele Monte Carlo.

Jean-Loup dotarł do oszklonych drzwi i nacisnął przycisk domofonu. Ustawił się przed obiektywem kamery tak, żeby obejmował tylko bardzo bliski plan jego prawego oka.

Głos Raquel, sekretarki, przybrał w głośniku możliwie groźny ton.

- Kto tam?

- Dobry wieczór, jestem pan Oko za Oko. Czy może mi pani otworzyć? Założyłem szkła kontaktowe i odbicie siatkówki nie działa.

Cofnął się tak, żeby dziewczyna go rozpoznała. Z domofonu wydobył się najpierw stłumiony śmiech, a potem przyzwalający głos.

- Proszę wejść, panie Oko za Oko...

- Dziękuję. Przyjechałem, żeby sprzedać pani encyklopedię, ale w tym momencie wystarczyłoby mi trochę kropli do oczu...

Chwilę potem rozległ się suchy szcęk otwieranego zamka. Kiedy wjechał na czwarte piętro, automatyczne drzwi windy rozsunęły się i znalazł się naprzeciw pyzatej twarzy Pierrota, stojącego na podeście ze stertą płyt w rękach.

Pierrot był kimś w rodzaju radiowej maskotki. Miał dwadzieścia dwa lata, ale jego mózg był mózgiem dziecka. Był wzrostu trochę niższego od średniej, miał okrągłą twarz i śmiesznie wyprostowane włosy, które na Jean-Loupie robiły zabawne wrażenie, jakby chłopiec wciąż uśmiechał się z buzią w miejsce ananasa.

Pierrot był najbardziej nieskazitelną istotą żyjącą na powierzchni ziemi. Miał dar, jakim obdarzeni są tylko pewni ludzie o prostolinijnym charakterze, wzbudzał sympatię od pierwszego wejrzenia, a sam odczuwał ją tylko do tych, którzy jego zdaniem mogli na nią zasługiwać. Instynkt zaś rzadko go zawodził.

Uwielbiał muzykę, a jego umysł, który mącił się przy najprostszym rozumowaniu, nagle stawał się analityczny i linearny, kiedy zaczynał o niej mówić. Miał komputerową wręcz pamięć, jeśli chodzi o przepastne archiwum radiowe i ogólnie o muzykę. Wystarczyło podpowiedzieć mu tytuł albo motyw jakiejś piosenki, a on wypadał jak strzała i po chwili wracał z płytą, na której się ona znajdowała. Z powodu podobieństwa do postaci filmowej, nadano mu w radiu przydomek „Rain Boy”.

- Cześć, Jean-Loup.

- Pierrot, co tu jeszcze robisz o tej porze?

- Moja mama pracuje dziś do późna. Państwo wydają kolację. Przyjdzie po mnie, „kiedy będzie trochę bardziej po”.

Jean-Loup uśmiechnął się w duchu, słysząc chłopca. Sposób wyrażania się Pierrota należał do osobliwego języka, całkowicie jego, do odrębnej mowy, w której prostota błędów i absolutna niewinność, z jaką były wypowiedane, stawały się czasami źródłem piorunujących odzywek. Jego matka, ta, która miała przyjść, „kiedy będzie trochę bardziej po”, zarabiała na życie jako sprzątaczką u włoskiej rodziny mieszkającej w Monte Carlo.

Poznał ich parę lat wcześniej, kiedy stali przed wejściem do radia. Jean-Loup prawie nie zwrócił uwagi na tę dziwną parę, dopóki kobieta nie zbliżyła się i nie zwróciła do niego nieśmiało z miną osoby, która nieustannie przeprasza cały świat, że w ogóle istnieje. Zorientował się, że czekają na niego.

- Przepraszam, pan jest Jean-Loup Verdier?

- Tak. Co mogę dla pani zrobić?

- Cóż, proszę wybaczyć, że przeszkadzamy, ale czy mógłby pan dać autograf mojemu synowi? Pierrot ciągle słucha radia, a pan jest jego ulubieńcem.

Jean-Loup popatrzył na jej zniszczone ubranie, na włosy, które zdawały się przedwcześnie posiwiałe. Kobieta musiała być młodsza, niż na to wyglądała. Uśmiechnął się.

- Oczywiście, proszę pani. To minimum, co mogę zrobić dla tak wiernego słuchacza.

Kiedy brał do ręki kartkę papieru i długopis, który podawała mu matka, zbliżył się Pierrot.

- Jesteś taki sam.

Jean-Loup spojrzał na niego zakłopotany.

- Taki sam jak co?

- Taki sam jak w radiu.

Jean-Loup odwrócił się zmieszany do kobiety. Ona spuściła oczy i zniżyła głos.

- Wie pan, mój syn jest... jakby to powiedzieć...

Zacięła się, jakby nie mogła znaleźć słowa, które znała przecież od bardzo dawna. Jean-Loup przyjrzał się uważnie chłopcu i dostrzegł na jego twarzy odmienność. Zrobiło mu się żal jego i kobiety.

Taki sam jak w radiu...

Jean-Loup w jakiś sposób uzmysłowił sobie, że w języku chłopca miało to znaczyć, iż jest on dokładnie taki sam, jak go sobie wyobrażał, słuchając jego głosu w radiu. W tym samym momencie Pierrot uśmiechnął się i miejsce, w którym stał, jakby pojaśniało i zrodziła się natychmiastowa, instynktowna sympatia, jaką tylko ten dziwny chłopak mógł wzbudzić.

- Dobrze, młody człowieku, teraz kiedy wiem, że mnie słuchasz, mogę powiedzieć, że to udany dzień. Więc minimum, co mogę dla ciebie zrobić, to dać ci wspaniałą autograf. Czy możesz to wziąć ode mnie na chwilę?

Wyciągnął w stronę chłopca plik kartek i teczek. Kiedy Jean-Loup pisał autograf, Pierrot zerknął na pierwszą kartkę, którą trzymał w rękach. Podniósł głowę i patrzył na niego z zadowoloną miną.

- Three Dog Night - powiedział swoim spokojnym głosikiem.

- Co takiego?

- Three Dog Night. Odpowiedź na pierwsze pytanie to Three Dog Night. A na drugie Alan Allsworth i Ollie Alsall -powtórzył Pierrot z własną, bardzo swoistą angielską wymową.

Jean-Loup zorientował się, że na pierwszej kartce były pytania do konkursu muzycznego z nagrodami, które ułożył kilka godzin wcześniej.

Pierwsze pytanie brzmiało: „Która grupa z lat siedemdziesiątych śpiewała piosenkę *Celebrate?*”, a drugie: „Jak nazywali się gitarzyści zespołu The Tempest?”.

Pierrot odpowiedział poprawnie na obydwa pytania. Jean-Loup popatrzył zdziwiony na matkę. Kobieta skuliła się w ramionach, jakby za to też chciała przeprosić.

- Pierrot pasjonuje się muzyką. Gdybym miała go słuchać, nie kupowałabym chleba tylko płyty. On jest... no cóż, jest, jaki jest, ale kiedy idzie o muzykę, pamięta wiele z tego, co czyta i co słyszy w radiu.

Jean-Loup spojrział na kartkę z pytaniami, którą chłopak trzymał jeszcze w ręku.

- Chcesz spróbować odpowiedzieć również na pozostałe, Pierrot?

Pierrot wyłuskał kolejnych piętnaście prawidłowych odpowiedzi praktycznie w czasie koniecznym do przeczytania pytań. A nie należały one do najłatwiejszych. Jean-Loup był osłupiały.

- Proszę pani, to jest dużo więcej niż pamiętać wiele. To znaczy być encyklopedią.

Odebrał kartki z rąk chłopca i odpowiedział uśmiechem na jego uśmiech. Wskazał dłonią budynek, z którego nadawało Radio Monte Carlo.

- Pierrot, czy chciałbyś przejść się po radiu i zobaczyć, skąd nadajemy muzykę?

Oprowadził go po studiach, pokazał mu miejsce, skąd pochodziły głosy i muzyka, których słuchał u siebie w domu, postawił mu coca-colę. Pierrot patrzył na wszystko zafascynowany, z takim samym błyskiem w oczach, z jakim matka czytała radość na jego twarzy. Ale kiedy wszedł do podziemnego archiwum, w obliczu tego morza płyt kompaktowych i winylowych, twarz Pierrota rozświetliła się jak szczęśliwa dusza u wrót raju.

Kiedy potem wszyscy w radiu poznali jego historię (ojciec odszedł z dnia na dzień, kiedy tylko wyszło na jaw upośledzenie syna, zostawiając jego i matkę na pastwę losu), a przede wszystkim, gdy przekonali się o wiedzy muzycznej chłopca, jakimś sposobem włączono go do zespołu Radia Monte Carlo. Matka nie mogła

uwierzyć, że jej Pierrot znalazł miejsce, gdzie mógł spędzać czas, kiedy ona była w pracy, a w dodatku dostawał nawet niewielkie pieniądze.

Ale przede wszystkim był szczęśliwy.

Czasami niektóre obietnice były dotrzymywane, a niektóre zakłady wygrywane, pomyślał Jean-Loup, wspominając pierwsze spotkanie z Pierrotem. Być może gdzieś na świecie bywało lepiej, ale to już też było coś.

Pierrot wszedł do windy, przytrzymując mocno jedną ręką płyty, żeby móc drugą nacisnąć guzik.

- Idę na dół do pokoju odłożyć te płyty, potem przyjdę do ciebie, to obejrzę twoją audycję.

„Pokój” to było jego określenie na archiwum, ale zdanie „obejrze audycję” nie było w tym przypadku jednym z jego wynalazków językowych. Oznaczało, że tego dnia będzie mógł stanąć za wielką szybą, żeby słuchać i zachwyconymi oczami oglądać Jean-Loup a, swojego najlepszego przyjaciela, swojego absolutnego idola. W porze, kiedy Jean-Loup wchodził na antenę, Pierrot był już zazwyczaj w domu i słuchał jego audycji przez radio.

- Dobrze, trzymam ci miejsce w pierwszym rzędzie. Drzwi zamknęły się na rozpromienionym uśmiechu Pierrota, dużo jaśniejszym niż aseptyczne światła windy.

Jean-Loup pokonał korytarz i wystukał alfanumeryczny kod otwierania drzwi. Dokładnie naprzeciwko wejścia stało długie biurko, przy którym Raquel pełniła jednocześnie funkcję recepcjonistki i sekretarki. Dziewczyna, szczupła blondynka o chudej, ale przyjemnej twarzy, która zazwyczaj miała minę bardzo odpowiednią do sytuacji, przywitała go z palcem wycelowanym w jego kierunku.

- Bardzo ryzykujesz. Zobaczysz, że któregoś dnia cię nie wpuszczę.

Jean-Loup podszedł do niej i odwrócił palec, jakby to był naładowany rewolwer.

- Nigdy ci nie mówiono, żebyś nie celowała tak palcem? A gdyby przypadkiem był naładowany i wystrzelił? Raczej powiedz, co tu jeszcze robisz o tej porze? Widziałem także Pierrota. Czyżby była jakaś impreza, o której nic nie wiem?

- Żadna impreza, tylko godziny nadliczbowe. Wszystko twoja wina, bo ciągle rośnie słuchalność i zmuszasz nas do stachanowskiego wysiłku.

Wskazała głową drzwi za swoimi plecami.

- Idź do szefa, są jakieś nowiny.

- Dobre? Złe? Takie sobie? Czy zdecydował się wreszcie poprosić mnie o rękę?

- Wiem, że chce z tobą o tym porozmawiać. Jest w gabinecie prezesa - odpowiedziała Raquel z tajemniczym uśmiechem.

Jean-Loup minął ją i przeszedł bezszelestnie kilka kroków po niebieskiej wykładzinie w małe, stylizowane, kremowe korony. Zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie. Zapukał i otworzył, nie czekając na zaproszenie. Sześć siedział przy biurku i oczywiście rozmawiał przez telefon. O tej porze biuro przypominało już jakieś mistyczne miejsce z powodu ilości dymu papierosowego, punkt duchowego spotkania papierosa, który właśnie trzymał między palcami, ze wszystkimi, które wypalił wcześniej.

Dyrektor Radia Monte Carlo był jedyną znaną Jean-Loup'owi osobą palącą trujące rosyjskie papierosy o długim kartonowym ustniku, który przed użyciem zaginało się niemal według rytuału wudu.

Robert dał mu znak, żeby usiadł.

Zajął więc miejsce w jednym z foteli z czarnej skóry naprzeciwko biurka. Kiedy Robert kończył połączenie i zamykał klawiaturę swojej motoroli, Jean-Loup rozpędział jedną ręką dym przed oczami.

- Czy chcesz zrobić z tego pokoju miejsce dla stęsknionych za mgłą? Londyn albo śmierć? Albo lepiej, Londyn i śmierć? Czy prezes wie, że pod jego nieobecność zatruwasz mu gabinet? Jakby co, dysponuję materiałem, żeby szantażować cię do końca twoich dni.

Radio Monte Carlo, nadające w Księstwie po włosku, zostało wchłonięte przez spółkę, która kierowała kartelem prywatnych nadawców z siedzibą we Włoszech, w Mediolanie. Dyrekcja w Monako pozostawała całkowicie w rękach Bikjalo, a prezes pojawiał się tylko w wypadku ważnych zebrań.

- Jesteś łajdakiem, Jean-Loup. Wstrętnym, odrażającym łajdakiem.

- Nie wiem, jak możesz palić to świństwo. Przekroczysz wkrótce niedostrzegalną granicę między paleniem a gazem paralizującym. Albo może już dawno ją przekroczyłeś i rozmawiamy teraz z twoim duchem, i nawet tego nie zauważyliśmy.

Robert pozostał niewzruszony, równie odporny na żarty Jean-Loup'a, jak na dym papierosów.

- Moje milczenie wyraża oczywistą wyższość wobec tych niemal zniewieściałych komentarzy. To nie z powodu nędznych docinków na temat moich papierosów tkwię

tutaj, czekając, aż twój cenny tyłek zasiądzie w moim fotelu. I zauważ, że mówię „cenny”, ponieważ wszyscy wiedzą, że to właśnie nim rozumiesz...

Taka wymiana uszczypliwości należała już od dawna do pewnego rytuału w ich wzajemnych stosunkach, ale mimo to Jean-Loup myślał, że z trudem można by je określić jako przyjacielskie. Uciekanie się do złośliwych żartów pokrywało w istocie trudności z głębszym dotarciem do Roberta Bikjalo.

Być może był on też inteligentny, ale na pewno był przebiegły. Człowiek inteligentny daje czasami światu więcej, niż sam dostaje, spryciarz próbuje wziąć jak najwięcej, a w zamian oddać niezbędne minimum. Jean-Loup znał ogólne reguły gry, jakimi rządził się świat, w jego środowisku w szczególności: był didżejem prowadzącym „Voices”, audycję bardzo popularną w Radio Monte Carlo. Ludzie tacy jak Bikjalo słuchali cię tylko w ścisłej zależności od tego, ile osób słuchało cię w domu.

- Chciałbym tylko powiedzieć, co myślę o tobie i o twojej audycji, zanim nieuchronnie wyrzucę cię na bruk...

Zagłębił się w fotelu i zgasił wreszcie papierosa w popielniczce pełnej nikotynowych trupów. Pozwolił, aby zapadła między nimi pokerowa cisza. Podjął tonem kogoś, kto mówi „sprawdzam!”, trzymając w ręku najmocniejszą kartę.

- Odebrałem dzisiaj telefon dotyczący „Voices”. Dzwoniła osoba bardzo zbliżona do kręgów dworskich. Nie pytaj kto, bo mogę nazwać tylko grzech, a nie grzesznika...

Ton dyrektora nagle się zmienił. Na jego ustach wykwitł szeroki uśmiech, odsłaniający wszystkie zęby, jakby zstępował po królewskich schodach.

- Księżę osobiście wyraził zadowolenie z powodzenia audycji.

Jean-Loup wstał z fotela z identycznym uśmiechem, przybił „piątkę” wyciągniętej do niego dłoni i z powrotem usiadł. Bikjalo kontynuował swój lot na skrzydłach entuzjazmu.

- Monte Carlo uchodziło zawsze za raj podatkowy, gdzie ludzie z niemal całego świata mogli uniknąć opłat. Ostatnio, po tych wszystkich aferach w Ameryce i przy powszechnym właściwie kryzysie ekonomicznym, nasza pozycja trochę osłabła...

Powiedział to „nasza” jako uprzejme ustępstwo wobec świata, ale miał minę człowieka, który niezbyt przejmuje się cudzymi problemami. Wyjął z paczki kolejnego papierosa, zagiął filtr palcami, włożył do ust i zapalił leżącą na biurku zapalniczką.

- Kilka lat temu o tej porze na placu Casino było dwa tysiące osób. Dzisiaj w niektóre wieczory panuje tam zastraszająca atmosfera *the day after*. Zaangażowanie,

jakie udało ci się wprowadzić do „Voices”, zwracając uwagę na kwestie społeczne, stworzyło nowy wymiar. Teraz wiele osób myśli o Monte Carlo jako o miejscu, gdzie można również rozwiązywać problemy, zwrócić się o pomoc. Również dla radia, nie będę tego ukrywał, był to niezły strzał. Na horyzoncie pojawiło się wielu nowych sponsorów, a to jest najlepszym termometrem powodzenia programu.

Jean-Loup zmarszczył instynktownie brew i uśmiechnął się. Robert był menadżerem i dla niego sukces oznaczał w ostatecznym rozrachunku ulgę i poczucie satysfakcji przy sporządzaniu bilansu. Heroiczny okres Radia Monte Carlo, czasy Jocelyn, Awanagany i Herberta Paganiego dawno się już skończyły. Teraz nastały czasy rozrachunku ekonomicznego.

- Muszę powiedzieć, że byliśmy dobrzy, naprawdę dobrzy. Ty przede wszystkim. Poza szczęśliwie wymyśloną formułą audycji i jej dalszym rozwojem, do sukcesu w zasadniczy sposób przyczyniła się twoja zdolność do prowadzenia jej równocześnie po francusku i po włosku. Ja wykonałem tylko swoją pracę...

Bikjalo zrobił niewyraźny gest, mający wyrażać skromność, która była mu jak najbardziej obca. Odnosił się w każdym razie do swojej bardzo wyostrzonej intuicji z menadżerskiego punktu widzenia. Wartość programu i dwujęzyczny talent prowadzącego skłoniły go do wypróbowania manewru, który doprowadził potem do końca ze zręcznością wytrawnego dyplomaty. Dzięki wysokim wskaźnikom popularności i wynikom ekonomicznym udało mu się stworzyć coś w rodzaju joint venture z Europe 2, francuską stacją nadającą z Paryża, o linii programowej bardzo zbliżonej do Radia Monte Carlo.

W rezultacie „Voices” docierało dzisiaj do większej części terytorium włoskiego i francuskiego.

Robert Bikjalo położył nogi na biurku i wypuścił w górę dym z papierosa. Jean-Loup pomyślał, że pozycja ta jest bardzo alegoryczna. Prawdopodobnie prezes nie oceniłby jej jednak w taki sam sposób.

Dyrektor kontynuował triumfalnym tonem.

- Na przełomie czerwca i lipca będą przyznawane Music Awards. Doszły mnie słuchy, że pomyślano o tobie jako prowadzącym. A potem jest Festiwal Kina i Telewizji. Idziesz pełną parą, Jean-Loup. Wiele osób w twojej sytuacji miało trudności w momencie przejścia z radia na wizję. Ty masz ujmujący wygląd i jeśli dobrze rozegrasz karty, obawiam się, że z twojej winy dojdzie wkrótce do niezłej próby sił między radiem a telewizją.

Jean-Loup uśmiechnął się i spojrział na zegarek. Podniósł się z krzesła.

- Ja natomiast myślę, że w tej chwili Laurenta zalewa krew. Jeszcze się nie widzieliśmy, a musimy ustawić całą dzisiejszą audycję.

- Powiedz temu niewydarzonemu reżyserowi i autorowi, że rezerwuję dla niego miejsce na tym samym bruku, na który ciebie poślę.

Jean-Loup skierował się do drzwi. Kiedy miał już wychodzić, Robert go zatrzymał.

- Jean-Loup?

Odwrócił się. Bikjalo siedział w fotelu i huśtał się z wyrazem twarzy kota, któremu wreszcie udało się zjeść kanarka.

- Co takiego?

- To chyba oczywiste, że jak te wszystkie zabiegi telewizyjne dojdą do skutku, ja jestem twoim menadżerem...

Jean-Loup spojrział na pewną siebie minę Roberta i postanowił, że nie sprzeda tanio skóry.

- Cierpiałem, znosząc wysoki procent dymu wydzielanego przez twoje papierosy. Żeby mieć procent z moich pieniędzy, będziesz musiał cierpieć przynajmniej tak samo.

Kiedy zamykał drzwi, Robert Bikjalo patrzył w sufit rozmarzonym wzrokiem. Jean-Loup odniósł wrażenie, że liczy już pieniądze, których jeszcze nie zarobił.

2

Jean-Loup przez wielkie okno reżyserki obserwował miasto i grę światła odbijających się w nieruchomej wodzie portu. Powyżej, w ciemności, wyczuwało się opiekuńczą obecność Mont Agel, na którego szczycie seria czerwonych światła zaznaczała nadajnik radiowy, pozwalający dotrzeć zasięgiem do Włoch.

Za plecami usłyszał głos Laurenta dochodzący z interfonu.

- Koniec przerwy, wracamy do pracy.

Didżej oderwał bez słowa wzrok od okna i wrócił na swoje miejsce. Założył słuchawki i usiadł przed mikrofonem. Przez szybę reżyserki Laurent otwartą dłonią zasygnalizował, że za pięć sekund kończy się blok reklamowy.

Laurent puścił krótki zwiastun muzyczny „Voices”, żeby zapowiedzieć powrót audycji. Program, przynajmniej do tej pory, przebiegał w atmosferze relaksu, z kilkoma bardzo zabawnymi momentami, bez żadnych bolesnych akcentów, które czasami przychodziło im znosić.

- Tutaj ponownie Jean-Loup Verdier. Ponownie „Voices” na antenie Radia Monte Carlo, z nadzieją, że w tę piękną majową noc nikt nie będzie potrzebował naszej pomocy, a tylko naszej muzyki. Właśnie dano mi znak, że mamy telefon.

W istocie, czerwone światło w górze na ścianie zapaliło się, Laurent wycelowanym w niego wskazującym palcem prawej ręki potwierdził, że ktoś jest na linii. Jean-Loup wsparł się łokciami o blat stołu i zwrócił się do stojącego przed nim mikrofonu.

- Halo?

Nastąpiło kilka trzasków, a potem cisza. Jean-Loup podniósł głowę i popatrzył na Laurenta, marszcząc brwi. Reżyser wzruszył ramionami na znak, że to nie ich wina.

- Tak, słucham?

Wreszcie w słuchawce rozległy się słowa, które radio przechwyciło i przekazało wszystkim słuchaczom. Zajęły miejsce w ich odbiornikach, w ich umysłach i w ich życiu. Od owej chwili i jeszcze przez dłuższy czas mrok będzie jeszcze ciemniejszy i potrzeba będzie wiele hałasu, by zagłuszyć całą tę ciszę.

- *Cześć, Jean-Loup.*

Było coś nienaturalnego w brzmieniu tego głosu. Zdawało się, jakby wychodził z tuby i był dziwnie płaski, bez wyrazu i barwy. Za słowami ciągnęła się smuga stłumionego echa, jakby dalekiego, odlatującego samolotu.

Jean-Loup znów spojrzał pytająco na Laurenta, który palcem wskazującym rysował małe kółka w powietrzu, żeby pokazać, iż zniekształcenia są winą złej łączności.

- Cześć. Kim jesteś?

Po drugiej stronie nastąpiła chwila wahania. A potem odpowiedź niemal wydyszana w swym nienaturalnym pogłosie.

- *To bez znaczenia. Jestem kimś i nikim.*

- Twój głos jest zniekształcony, źle słyszę. Skąd dzwonicz?

Przerwa. Lekka smuga samolotu lecącego nie wiadomo gdzie.

Rozmówca pominął uwagi Jean-Loup'a.

- *To też nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że nadszedł moment, byśmy ze sobą porozmawiali, choć to oznacza, że potem ani ty, ani ja nie będziemy już tacy sami.*

- W jakim sensie?

- *Ja będę wkrótce człowiekiem ściganym, a ty po stronie ujadających psów polujących na cienie. Szkoda, bo teraz, dokładnie w tym momencie, ty i ja jesteśmy jednakowi, jesteśmy tym samym.*

- W czym jesteśmy jednakowi?

- *Dla świata obydwaj jesteśmy głosem bez twarzy, którego słucha się z zamkniętymi oczami, wyobraźnią. Tam, na zewnątrz, jest pełno ludzi zaprzątniętych tylko zdobywaniem twarzy, którą można by z dumą obnosić, innej od wszystkich pozostałych, zupełnie nie przejmując się całą resztą. Nadeszła pora, żeby wyjść i zobaczyć, co się za tym kryje...*

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Znowu pauza, na tyle długa, że mogła wskazywać na przerwanie połączenia. Potem głos powrócił i komuś mogło się zdawać, że pobrzmiewa w nim cień uśmiechu.

- *Zrozumiesz, w swoim czasie.*

- Nie jestem w stanie śledzić toku twojego rozumowania. Tym razem króciutka pauza, jakby mężczyzna po drugiej stronie analizował słowa.

- *Nie przejmuj się tym. Czasami jest to trudne również dla mnie.*

- Dlaczego więc zadzwoniłeś, dlaczego rozmawiasz ze mną?

- *Ponieważ jestem sam.*

Jean-Loup pochylił głowę nad stołem i objął ją rękami.

- Mówisz jak człowiek zamknięty w więzieniu.

- *Wszyscy jesteśmy zamknięci w więzieniu. Moje ja sam je sobie zbudowałem, ale to wcale nie znaczy, że łatwiej z niego wyjść.*

- Przykro mi z twojego powodu. Czuję, że nie lubisz ludzi.

- *A ty ich lubisz?*

- Nie zawsze. Czasami próbuję ich zrozumieć, a kiedy mi się to nie udaje, próbuję przynajmniej ich nie oceniać.

- *Również w tym jesteśmy tacy sami. Różni nas tylko to, że ty, kiedy skończysz z nimi rozmawiać, masz prawo czuć się zmęczony. Możesz pójść do domu, wyciszyć swój umysł i wszystkie jego choroby. Ja nie. Ja w nocy nie mogę spać, ponieważ mój ból nigdy nie odpoczywa.*

- A więc, co robisz nocą, żeby leczyć swój ból?

Jean-Loup ponaglił lekko swojego rozmówcę.

Na odpowiedź trzeba było jednak poczekać i było tak, jakby przedmiot owinięty w kilka warstw papieru, powoli wychodził na światło.

- *Ja zabijam.*

- Co to zna...

Słowa Jean-Loup a przerwała muzyka, która rozległa się z głośników. Był to utwór śpiewny, melancholijny, o wciągającej melodii, a jednak po tych dwóch ostatnich słowach, zdawał się rozbrzmiewać w powietrzu niczym groźba. Trwało to w sumie około dziesięciu sekund, potem tak samo nagle, jak się pojawiła, muzyka ucichła.

W grobowej ciszy, jaka zapadła, wszyscy wyraźnie usłyszeli trzask odkładanej słuchawki. Jean-Loup podniósł nagle głowę i spojrzał na kolegów. W pokoju, mimo chłodnego powiewu klimatyzatora i mrozących krew w żyłach myśli, było tak, jakby wszyscy odwrócili się jednocześnie, żeby spojrzeć, na oślepiający blask płonącej Sodomy i Gomory.

Po tym epizodzie udało im się w jakiś sposób pociągnąć audycję do końcowego sygnału. Nie było więcej telefonów od słuchaczy. Albo raczej po tej dziwnej rozmowie telefon w centrali wręcz się urywał, ale żadne połączenie nie zostało wpuszczone na antenę.

Jean-Loup zdjął słuchawki i położył je na stole obok mikrofonu. Zauważył, że mimo klimatyzacji miał włosy spocone jak po biegu.

Ani ty, ani ja nie będziemy już tacy sami.

Przez resztę czasu puszczał już tylko muzykę, rozwodząc się nad dziwnym podobieństwem między Tomem Waitsem a Paolo Conte. Obydwaj byli nietypowi jako wykonawcy i bardzo ważni jako autorzy. Przetłumaczył teksty dwóch piosenek i podkreślił ich znaczenie. Na szczęście realizatorzy programu mieli przygotowane różne sztuczki na rozpaczliwe wieczory, a ten bez wątplenia do takich należał. Mieli w rezerwie kilka numerów telefonów, na których mogli się oprzeć, kiedy audycja nie mogła nabrać tempa. Zadzwonili do kilku zaprzyjaźnionych artystów z prośbą o zabranie głosu, a potem spędzili jeszcze kwadrans w towarzystwie poezji i humoru Francisa Cabrela. Drzwi łączące dwa pomieszczenia otworzyły się i Laurent zajrzał przez futrynę.

- Wszystko w porządku, Jean-Loup?

Jean-Loup popatrzył na niego niewidzącym wzrokiem.

- Tak, w porządku.

Wstał i razem wyszli ze studia, napotykając zakłopotane i w jakiś sposób umykające spojrzenia Barbary i Jacques'a, dźwiękowca. Dziewczyna miała na sobie niebieską bluzkę i Jean-Loup zauważył pod pachami dwie duże plamy potu.

- Mielśmy całą masę telefonów. Dwie osoby pytały, czy to kryminał i kiedy będzie następny odcinek, a potem przynajmniej tuzin osób wyraziło oburzenie, do jakich forteli zmuszeni jesteśmy się uciekać, żeby pozyskać więcej słuchaczy. Dzwonił też szef i przyfrunął tu jak jastrząb. Czekaj już na was w gabinecie prezesa. On też dał się nabrać i zapytał, czyśmy zwariowali. Jak się zdaje, zadzwonił do niego natychmiast jeden ze sponsorów i nie sądzę, że był to telefon z gratulacjami.

Jean-Loup wyobraził sobie pokój jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, zadymiony i przemowę nieco mniej entuzjastyczną od tej, którą Robert wygłosił przed audycją.

- Jak to się stało, że centrala przepuściła to połączenie?

- Niech mnie piorun strzeli, jeśli rozumiem, co się stało. Raquel mówi, że rozmowa nie przeszła przez nią. Z niezrozumiałego dla niej powodu trafiła od razu na

linię w studiu. Musiało nastąpić jakieś sprzężenie, czy ja wiem. Według mnie to nowa centrala elektroniczna zaczyna walczyć o własną samoświadomość. Zobaczysz, że prędzej czy później wszyscy będziemy musieli bić się z maszynami jak w *Terminatorze*.

Wyszli z reżyserki i skierowali się do gabinetu Bikjalo, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy. Dzielili ich cienka szczelina utworzona z tych dwóch słów.

Ja zabijam...

Minęli zakłopotani stanowiska komputerowe. Dręczące echo owych słów zdawało się jeszcze unosić w powietrzu.

- A ta końcowa muzyka? Mam wrażenie, że ją znam...

- Ja też. Jeśli się nie mylę, to ścieżka dźwiękowa. Wydaje mi się, że to *Kobieta i mężczyzna*, stary film Leloucha. Z sześćdziesiątego szóstego albo jeszcze starszy.

- I co to miałyby znaczyć?

- Mnie o to pytasz?

Jean-Loup zdawał się oszołomiony. Miał do czynienia z czymś absolutnie nowym, czego nie byli w stanie porównać z żadnym z wcześniejszych doświadczeń radiowych. Przede wszystkim na poziomie emocjonalnym.

- A ty, co o tym wszystkim myślisz?

- To jakaś głupota.

Laurent poparł te słowa niedbałym ruchem ręki, ale mimo to zdawało się, że powiedział to bardziej, żeby przekonać samego siebie niż swojego towarzysza.

- Tak sądzisz?

- Ależ oczywiście, pomijając centralę, uważam, że to tylko żart w najgorszym guście w wykonaniu jakiegoś idioty.

Zatrzymali się przed drzwiami gabinetu Bikjalo i Jean-Loup ujął klamkę. Wreszcie spojrzeli sobie w twarz. Laurent jeszcze wyraźniej podkreślił to, co myślał.

- Będzie można pogadać o tym wygłupie w Sporting Clubie i pośmiać się.

Jednak wyraz twarzy Laurenta świadczył, że nie jest do końca przekonany o tym, co mówi. Jean-Loup pchnął drzwi i kiedy wchodzili do gabinetu dyrektora zadał sobie pytanie, czy telefon ów był obietnicą, czy zakładem.

3

Jochen Welder uruchomił elektryczną dźwignię i przytrzymał przycisk, żeby opuścić kotwicę na głębokość odpowiednią do utrzymania łodzi „Forever” na kotwiczowisku. Kiedy upewnił się, że zakotwiczenie jest wystarczająco mocne, zgasił motor. Łódź, wspaniały dwudziestodwumetrowy dwumasztowiec, zaprojektowany przez jego przyjaciela Mike'a Farra i zbudowany specjalnie dla niego przez stocznię Beneteau, zaczęła powoli zataczać koło. Popychana lekką bryzą wiejącą w stronę lądu, podążała za nurtem, ustawiając się dziobem w kierunku otwartego morza. Arijane, która kontrolowała spuszczenie kotwicy, teraz odwróciła się i ruszyła w jego stronę, maszerując swobodnie po pokładzie, opierając się tylko czasami o balustradę, żeby opanować lekkie unoszenie fal. Jochen przyglądał się jej spod zmrużonych powiek, podziwiając po raz kolejny smukłą, atletyczną, odrobinę androigiczną sylwetkę. Chłonał jędrność ciała i wdzięk ruchów z uczuciem wzbierającego w żołądku ciepła. Przypływ pożądania dał o sobie znać lekkim bólem, a on pomyślał z wdzięcznością o przypadku rządzącym przeznaczeniem, które stworzyło kobietę, jakiej on sam, nawet gdyby wykonał ją własnymi rękami, nie potrafiłby tak bardzo zbliżyć do osobistego wyobrażenia doskonałości.

Nie miał jeszcze odwagi powiedzieć jej, że ją kocha.

Stała obok niego przy sterze, objęła go ramionami za szyję i pocałowała delikatnie w policzek. Jochen poczuł ciepło jej oddechu i naturalny zapach ciała i jeszcze raz pomyślał, że nie istnieje nic lepszego od przyjemnej woni skóry. Pachniała morzem i innymi rzeczami, które miał jeszcze odkryć, stopniowo, bez pośpiechu. Uśmiech Arijane rozbłysnął w kontrze zachodzącego słońca i Jochen bardziej go sobie wyobraził, niż zobaczył w połyskującym odbiciu jej oczu.

- Chyba pójdę wziąć prysznic. Potem, jeśli chcesz, ty też możesz to zrobić, a jeśli poza kąpielą zechcesz też zgolić ten okropny zarost, to może nawet przyjmę każdą propozycję, jaką mi złożysz na po kolacji...

Jochen odwzajemnił jej uśmiech i z porozumiewawczą miną przeciągnął dłonią po dwudniowym zarostcie.

- To dziwne, myślałem, że wam, kobietom, podobają się faceci z lekko zapuszczoną brodą...

Parodiując głos zwiastunów filmów przygodowych z lat pięćdziesiątych, powiedział:

- Tacy, którzy obejmują was jednym ramieniem, a drugim prowadzą łódź w siną dal.

- Bez trudu wyobrażam sobie podróż z tobą w siną dal, ale chyba to niewiele zmieni, jeśli popłynę tam bez podrapanych policzków.

Znikła za progiem niczym aktorka za kulisami po wypowiedzeniu efektownej kwestii.

- Arijane Parker, twoi przeciwnicy uważają cię za szachistkę, ale nikt poza mną nie wie, kim naprawdę jesteś...

Jej zaciekawiona twarz wychyliła się jeszcze na chwilę zza drzwi.

- To znaczy?

- Najpiękniejszym klaunem, jakiego kiedykolwiek poznałem.

- Oczywiście! Właśnie dlatego jestem taka dobra w szachach, że zupełnie nie biorę ich na serio.

Po czym znów znikła. Jochen zobaczył na pokładzie smugę zapalonego światła, a chwilę potem usłyszał szum prysznic. Uśmiech nie opuszczał jego twarzy.

Poznał Arijane kilka miesięcy wcześniej przy okazji Grand Prix Brazylii, kiedy zaproszono go na przyjęcie zorganizowane przez międzynarodową spółkę produkującą odzież sportową i będącą jednym ze sponsorów drużyny. Zazwyczaj starał się unikać tego typu towarzyskich spotkań, szczególnie na krótko przed zawodami, ale tym razem chodziło o cel dobroczynny na rzecz UNICEF-u, więc nie wypadało mu odmówić.

Mimo wszystko krążył trochę nieswój po salonach pełnych ludzi, niezwykle elegancki, w smokingu tak doskonale leżącym, że nikt by nie pomyślał, iż został wypożyczony specjalnie na tę okazję. Trzymał w dłoni kieliszek szampana, którego nie był w stanie pić, a na twarzy miał wyraz nudy, którego nie był w stanie zamaskować.

- Pan zawsze się tak świetnie bawi, czy dzisiaj szczególnie się wysiła?

Odwrócił się na dźwięk głosu i zobaczył przed sobą uśmiech i zielone oczy Arijane. Miała na sobie męski smoking i rozpiętą koszulę bez klasycznej muszki, a na nogach białe buty tenisowe. Ubranie i czarne, krótko ostrzyżone włosy upodabniały ją do eleganckiej wersji Piotrusia Pana. Wielokrotnie widział jej zdjęcie w gazetach i natychmiast rozpoznał Arijane Parker, dziwną dziewczynę z Bostonu, która wyszła z anonimowości, przypierając do muru największych mistrzów szachowych świata. Odezwała się do niego po niemiecku, więc Jochen odpowiedział w tym samym języku.

- Jako alternatywę zaproponowano mi rozstrzelanie, ale ponieważ mam obowiązki pod koniec tygodnia, byłem zmuszony zgodzić się na to...

Ruchem głowy wskazał salon pełen ludzi. Uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny, a jej rozbawienie dało Jochenowi poczucie, że właśnie zdał egzamin. Wyciągnęła do niego dłoń.

- Arijane Parker.

- Jochen Welder.

Ujął jej dłoń i poczuł wyraźnie, że ów gest ma szczególne znaczenie, że w ich wzajemnych spojrzeniach jest już coś więcej niż ta wymiana prostych słów. Wyszli na zewnątrz, na duży taras zawieszony nad cichą brazylijską nocą.

- Jak to się stało, że mówisz tak dobrze po niemiecku?

- Druga żona mojego ojca, która przypadkowo jest moją matką, pochodzi z Berlina. Na szczęście była z nim na tyle długo, żeby nauczyć mnie języka.

- Dlaczego właścicielka tak pięknej głowy postanawia trzymać ją godzinami pochyloną nad szachownicą?

Arijane zmarszczyła brew i odbiła piłeczkę, odpowiadając na pytanie pytaniem.

- Dlaczego właściciel tak interesującej głowy postanawia chować ją w tym czymś w rodzaju garnka, który zakładacie sobie wy, piloci?

Leon Uriz, przedstawiciel UNICEF-u, który był odpowiedzialny za imprezę, nadszedł w tym momencie, prosząc Jochena o przejście do dużej sali. Jochen niechętnie opuścił Arijane z postanowieniem, że jak najszybciej musi odpowiedzieć na zadane pytanie. Zanim przeszedł próg wielkich przeszklonych drzwi, odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Stała przy balustradzie i obserwowała go z ręką w kieszeni. Z uśmiechem i porozumiewawczym gestem uniosła w jego kierunku kieliszek szampana, który ciągle trzymała w dłoni.

Nazajutrz, po kolejce czwartkowych jazd próbnych poszedł zobaczyć ją na turnieju, w którym brała udział. Jego przybycie wywołało pewne poruszenie wśród publiczności i dziennikarzy. Było jasne, że obecność Jochena Weldera, dwukrotnego mistrza świata Formuły 1, na meczu Arijane Parker nie jest przypadkowa, a na pewno bardzo odległa od jego zainteresowania szachami, o którym nie było wcześniej nic wiadomo. Ona siedziała przy stoliku zawodników, odgrodzonym drewnianą barierą od stołu sędziowskiego i od publiczności. Odwróciła głowę w stronę, skąd docierał szmer, i na jego widok wyraz jej twarzy zupełnie się nie zmienił, jakby go nie rozpoznała. Na powrót wbiła wzrok w szachownicę, która oddzielała ją od przeciwnika. Jochen podziwiał jej koncentrację, pochyloną głowę obserwującą ustawienie gry, wiotką kobiecą postać, dziwną w tym środowisku, które zazwyczaj mówi męskim językiem. Od owej chwili Arijane zrobiła kilka niezrozumiałych błędów. On zupełnie nie znał się na szachach, ale wywnioskował to z komentarzy szczelnie wypełniających salę widzów. Nagle wstała i postawiła na szachownicy króla na znak poddania się. Nie patrząc na nikogo, z opuszczoną głową, podeszła do drewnianych drzwi w głębi sali. Jochen próbował ją dogonić, ale znikła bez śladu.

Próbne jazdy na czas, a potem wypełnione obowiązkami chwile przed zawodami, uniemożliwiły mu odszukanie jej. Ku swemu zaskoczeniu spotkał ją rano w boksach w dniu Grand Prix, zaraz po odprawie pilotów. Kontrolował właśnie zmiany wprowadzone w samochodzie, które zasugerował mechanikom po rozgrzewce, kiedy jej głos zaskoczył go jak podczas pierwszego spotkania.

- Cóż, muszę powiedzieć, że w kombinezonie nie jest ci tak do twarzy jak w smokingu, ale jest on na pewno weselszy.

Odwrócił się. Stała przed nim, z ogromnymi, błyszczącymi zielonymi oczami, z włosami schowanymi częściowo pod czapkę z logo jednego ze sponsorów. Miała na sobie lekki T-shirt, pod którym rysowały się niczym nieskrepowane piersi, oraz kolorowe bermudy, jak niemal wszyscy dookoła. Na szyi miała identyfikator oraz ciemne okulary na plastikowej tasiemce. Stał tak osłupiały, że Alberto Regosa, jego główny mechanik, rzucił mu żartobliwą uwagę.

- Ej, Jochen, jeśli nie zamkniesz ust, to myślę, że możesz mieć dzisiaj trudności z zapięciem kasku.

Jochen położył rękę na ramieniu Arijane i odpowiedział jednocześnie na jej słowa i na żart przyjaciela.

- Chodźmy stąd. Mógłbym ci nawet kogoś przedstawić, ale nie warto się z nim zżywać, bo i tak będzie musiał poszukać sobie jutro nowej pracy i nie będzie go tu już z nami.

Wyprowadził dziewczynę z boksu, a przy wyjściu środkowym palcem prawej ręki schowanej za plecami odpowiedział jeszcze na docinek mechanika. Jednocześnie przyglądał się bezczelnie kroczącym przed nim zgrabnym nogom w bermudach.

- Mówiąc szczerze, tobie też było dobrze w smokingu, ale wolę tak. Istnieje zawsze cień uzasadnionej podejrzliwości wobec nóg dziewczyny w spodniach.

Śmiali się razem, a potem Jochen zilustrował jej pokrótce chaos i funkcjonowanie świata wyścigów samochodowych, którego Arijane zupełnie nie знаła. Objął jej, kto jest kim i co czym, podnosząc czasami głos, żeby przekrzyczeć jakiś zapalany właśnie silnik. Kiedy nadszedł moment ustawiania się na miejscach startowych, zaprosił ją, żeby obserwowała zawody z boksów.

- Obawiam się, że teraz będę musiał pójść założyć na głowę garnek, jak to ty nazywasz. Do zobaczenia potem.

Pożegnał ją i oddał pod opiekę Grecie Ringer, zajmującej się *public relations* drużyny. Wsunął się do samochodu i kiedy mechanicy zapinali mu pasy, podniósł głowę i spojrzał na nią. Przez szparę w kasku ich oczy znowu do siebie przemówiły i był to język gorętszy od emocji towarzyszących zawodom. Podczas wyścigu wypadł prawie natychmiast, gdzieś na dziesiątym okrążeniu. Dobrze wystartował, ale potem, kiedy był na czwartej pozycji, tylne zawieszenie, słaby punkt ich samochodu, nagle opadło i przekreśliło go przodem do tyłu na wyjeździe z szybkiego wirażu po lewej stronie. Uderzył gwałtownie w osłony, wyrzuciło go na środek toru i przekoziółkował w swoim nieco już zniszczonym aucie Klover F 109. Zawiadomił przez radio swój team, że wszystko jest w porządku, i wrócił na piechotę. Kiedy tylko dotarł do boksów, poszukał Arijane wzrokiem, ale jej nie zobaczył. Dopiero, kiedy wyjaśnił kierownikowi drużyny i mechanikom przyczynę kraksy, wyruszył na dalsze poszukiwania. Znalazł ją w przyczepie, siedzącą obok Grety, która zaraz dyskretnie się oddaliła. Arijane wstała i otoczyła jego szyję ramionami.

- Mogę przez twoją obecność stracić półfinał bardzo ważnego turnieju, ale nie chcę tracić trochę życia za każdym razem, kiedy ty będziesz ryzykował twoje. Teraz jednak, jeśli chcesz, możesz mnie pocałować...

Od tamtego dnia stali się nierozłączni.

Jochen zapalił papierosa i siedział samotnie w półmroku, obserwując światła wybrzeża. Przycumował łódź nieco za Cap Martin, naprzeciwko Roquebrune, leciutko w prawo w stosunku do wielkiego, niebieskiego „V” na wzgórzu, symbolu Vista Palace Hotel, zbudowanego na szczycie skały. Po lewej stronie błyszczało Monte Carlo, piękne i sztuczne jak droga sztuczna szczeka, zatopione w światłach, na które nie zasługiwało, i w pieniądzech, które do niego nie należały. Od Grand Prix minęły trzy dni i po ludzkim potopie, jaki zalał miasto w ostatni weekend, wracało ono szybko do swojej plastikowej normalności. W miejscach jeszcze niedawno zdominowanych przez prędkość wyścigowych samochodów, teraz powracał leniwy i uporządkowany ruch na ulicach skąpanych w promieniach majowego słońca. W perspektywie zaś było już lato, które ani dla niego, ani dla nikogo innego nie będzie już takie jak kiedyś.

Jochen Welder w wieku trzydziestu czterech lat czuł się staro, a do tego jeszcze się bał.

Dobrze znał strach, było to stałe towarzystwo kierowcy Formuły 1. Już od lat każdej soboty poprzedzającej zawody kładł się z nim, niezależnie od tego, jaka kobieta w danym momencie dzieliła jego życie i łóżko. Nauczył się już nawet rozpoznawać jego zapach w swoich przesiąkniętych potem kombinezonach, rozwieszonych do wyschnięcia w boksach.

Przez tyle czasu łagodził i zwalczał swój strach, zapominając o nim za każdym razem, kiedy zakładał kask albo wsiadał do samochodu i zapinał pasy bezpieczeństwa w oczekiwaniu na potężny przypływ adrenaliny w żyłach. Teraz było inaczej, teraz bał się samego strachu. Tego, który instynkt zastępuje rozumowaniem, który każe ci zdjąć nogę z gazu trochę wcześniej niż to konieczne, i trochę wcześniej niż to konieczne każe ci szukać pedału hamulca. Tego, który nagle czyni cię niemym i przemawia wyłącznie poprzez chronometr, kiedy tłumaczy, jak krótka jest sekunda dla zwykłego śmiertelnika, a jak długa dla kierowcy wyścigowego.

Telefon komórkowy leżący w przegródce obok jego ręki zaczął dzwonić. Był przekonany, że go wyłączył, teraz zaś zwalczył pokusę, by to natychmiast uczynić. Z westchnieniem ujął telefon w dłoń i przyjął połączenie.

- Gdzie się do diabła podziewasz?

Głos Rolanda Shatza, jego menadżera, zadudnił w słuchawce jak głos prezentera telewizyjnego prowadzącego quiz z nagrodami, tyle tylko, że ten zazwyczaj nie wścieka się na swoich zawodników. Jochen spodziewał się co prawda takiej reakcji, ale nie był do końca na nią przygotowany.

- Tu i tam... - odparł wymijająco.

- Chuja tu i tam! Wiesz, co się tutaj dzieje?

Nie wiedział, ale mógł to sobie doskonale wyobrazić. Poza wszystkim, kierowca, który przegrywał wygrane już praktycznie zawody z powodu błędu na ostatnich zakrętach, był niezłym kąskiem dla prasy sportowej całego świata. Roland nie dał mu czasu na odpowiedź.

- Zespół próbował cię osłaniać na wszelkie sposoby przed dziennikarzami, ale Ferguson jest wkurwiony jak ścierwo. Przez całe Grand Prix ani razu nie udało ci się nikogo wyprzedzić, znalazłeś się na czele tylko dlatego, że inni wypadli albo się rozbili, a ty olewasz zawody w taki sposób! Najłagodniejszy tytuł w gazetach to: *Jochen Welder w Monte Carlo przegrywa zawody i traci twarz*.

Jochen próbował słabo protestować.

- Mówiłem wam, że coś nie gra w układzie... Menadżer nie pozwolił mu nawet dokończyć.

- Bzdury! Sprawozdania telemetryczne już są i śpiewają lepiej niż Pavarotti. Samochód był w doskonałym stanie, a Malot, dopóki mu silnik wytrzymał, szedł z tobą łeb w łeb, chociaż na starcie został z tyłu.

François Malot był drugim kierowcą drużyny, młodym, zielonym jeszcze, ale utalentowanym pilotem, którego Ferguson, menadżer drużyny Klover F1 Racing Team, już od dawna sobie wychowywał i dopieszczał. Nie miał jeszcze koniecznego doświadczenia, ale był świetnym kierowcą doświadczalnym, a wolą walki i odwagą mógł jeszcze obdzielić innych. Nie przypadkiem pracownicy Circusa mieli go na oku, odkąd zaczął jeździć w Formule 3, ale Ferguson wyprzedził wszystkich i podpisał z nim dwuletni kontrakt. Zresztą sam Shatz nieźle zabiegał, żeby zostać jego pełnomocnikiem. Takie były prawa sportu, a w szczególności Formuły 1, malutkiej planety, gdzie słońce wschodzi i zachodzi w bezlitosnym tempie.

Roland zmienił nagle ton i w jego głosie pojawił się wyraźny ślad przyjaźni, jaka go łączyła z Jochenem i wykraczała daleko poza zwykły układ zawodowy. Robił jednak przy tym wrażenie, jakby uosabiał jednocześnie dobrego policjanta i śledczego.

- Jochen, są problemy. W przyszłym tygodniu przewidziana jest sesja prywatnych prób na Williamsach i Jordanach. Jeśli dobrze zrozumiałem, nie zostały powołane. Wolą, żeby testy nowego zawieszenia robili Malot i Berendson. Wiesz, co to znaczy, prawda?

Oczywiście, że wiedział. Zbyt dobrze znał świat wyścigów, żeby nie wiedzieć. Kiedy pilota nie zawiadamia się na bieżąco o ostatnich nowinkach technicznych drużyny, istnieje duże prawdopodobieństwo, że kierownictwo nie chce dać mu szansy przekazania cennych informacji innemu zespołowi. A to oznacza brak przedłużenia kontraktu.

- Co chcesz, żebym powiedział, Roland?

- Nic, nie chcę, żebyś coś mówił. Chciałbym tylko, żebyś podczas jazdy tak jak dawniej używał i mózgu, i nogi.

Nastąpiła niemal niedostrzegalna pauza.

- Jesteś z tamtą, prawda?

Jochen uśmiechnął się mimochodem.

Roland nie lubił Arijane, która w ich rozmowach nie miała imienia, tylko była po prostu „tamtą”. Zresztą żaden menadżer nie czuje sympatii do kobiety, którą obarcza odpowiedzialnością za spadek formy swojego zawodnika. Jochen miał wcześniej dziesiątki kobiet, które Shatz oceniał dokładnie tak, jak na to zasługiwały, jako nieuchronny dodatek do kogoś, kto znajduje się w centrum zainteresowania, wiele pięknych, małych gwiazdek, świecących odbitym światłem mistrza-słońca. Zaniepokoił się naprawdę dopiero, kiedy w życiu Jochena pojawiła się Arijane, i przyjął postawę obronną. Być może nadszedł czas, żeby mu wytłumaczyć, że Arijane nie jest chorobą, a jeśli już, to tylko jej objawem. Jochen przemówił tonem kogoś, kto musi przekonać uparte dziecko, żeby umyło uszy również z tyłu.

- Roland, nie przyszło ci do głowy, że być może film dobiegł już końca? Mam trzydzieści cztery lata i wielu pilotów w moim wieku już się wycofało. Ci, którzy jeszcze startują, wydają się karykaturą samych siebie.

Celowo nie wspominał o tych, którzy już nie żyli. Były to nazwiska, twarze, oczy, śmiech ludzi, którzy nagle stali się ciałami uwięzionymi w roztrzaskanej karoserii samochodu wyścigowego, kolorowym kaskiem przekrzywionym w jedną stronę, ambulansem nigdy wystarczająco prędkim, helikopterem nigdy wystarczająco szybkim, lekarzem nigdy wystarczająco dobrym.

Roland zaprotestował na słowa przyjaciela.

- Ależ Jochen, co ty wygadujesz? Obydwaj dobrze wiemy, jaka jest Formuła 1, ale mam całą masę propozycji z Ameryki na wyścigi z cyklu Cart. Masz jeszcze sporo czasu, żeby się rozerwać i zarobić kupę pieniędzy, nic nie ryzykując.

Jochen nie miał odwagi, żeby ugasić menadżerski zapal Rolanda. Pieniądze na pewno nie były podnieta, która mogła zmienić stan jego ducha. Miał dość pieniędzy dla dwóch pokoleń. Zarobił je przez wszystkie te lata z narażeniem życia i nie dał się wciągnąć, jak wielu jego kolegów, w wir kupowania prywatnych samolotów czy helikopterów i domów rozrzuconych po całym świecie. Nie czuł się na siłach powiedzieć Shatzowi, że problem leży gdzie indziej, że, niestety, już go to nie bawi. Z jakiegoś powodu lina się zerwała i na jego szczęście nie stało się to, kiedy akurat stał na niej w pełnej równowadze.

- Dobra, możemy o tym porozmawiać. Shatz zrozumiał, że na razie nie ma co nalegać.

- Okej, spróbuj być w formie na Hiszpanię. Puchar Świata jeszcze się nie skończył i wystarczy kilka udanych startów, żeby wszystko dało się naprawić. Tymczasem baw się dobrze, przystojniaku!

Roland rozłączył się, a Jochen przyglądał się jeszcze aparatowi, jakby widział w nim zamyśloną twarz swojego menadżera.

- Brawo. Tylko czekasz, żebym się oddaliła, i natychmiast przyklejasz się do telefonu. Czy mam podejrzewać, że w twoim życiu jest inna kobieta?

Arijane wyszła na pokład i zbliżyła się do niego, wycierając włosy ręcznikiem.

- Nie, to był Roland.

- A!

W tej monosylabie zawierał się cały ich problem.

- Nie lubi mnie, prawda?

Jochen przyciągnął ją do siebie, otaczając ramionami szczupłą talię dziewczyny. Przyłożył policzek do jej brzucha i powiedział, nie patrząc na nią.

- Nie w tym problem. Roland ma zmartwienia jak wszyscy, ale to przyjaciel i absolutnie wszystko robi w dobrej wierze.

Arijane pogłaskała go po włosach.

- Powiedziałeś mu?

- Nie, woląłem nie rozmawiać o tym przez telefon. Myślę, że powiem jemu i Fergusonowi w Barcelonie w przyszłym tygodniu. W każdym razie oficjalny komunikat o zakończeniu kariery wydam z końcem sezonu. Nie chcę być nępany przez dziennikarzy jeszcze bardziej niż teraz.

Ten romans był bardzo smacznym kąskiem dla prasy całego świata. Ich twarze widniały miesiącami na pierwszych stronach kolorowych pism, a reporterzy używali sobie, pisząc i wymyślając na ich temat niestworzone rzeczy.

Jochen podniósł twarz i poszukał jej oczu. Jego głos przybrał ton pełnego emocji szeptu.

- Kocham cię, Arijane. Kochałem cię, zanim jeszcze cię poznałem.

Nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na niego w odbiciu światła przenikającego z dolnego pokładu. Jochen poczuł lekki dreszcz niepewności, ale już to powiedział i nie mógł ani nie chciał się wycofać.

Drugi karnawał

Głowa mężczyzny wynurza się z wody niedaleko dziobu „Beneteau”. Przez szybę maski do nurkowania rozpoznaje łańcuch kotwicy i poruszając wolno płetwami, dociera do niego. Chwyta go ręką i przygląda się łodzi: w jej kadłubie widzi światło pełni księżyca. Jego oddech w zaworze maski jest równy i spokojny.

Pięciolitrowa butla, którą ma na plecach, nie nadaje się do długiego nurkowania, ale jest lekka, poręczna i zapewnia wystarczającą dla jego potrzeb niezależność. Ma na sobie czarny kombinezon, bez napisów, bez kolorowych wstawek, na tyle gruby, że gwarantuje mu odpowiednią ochronę przed zimnem przez cały czas przebywania w wodzie. Nie może używać żadnej latarki, ale niemal zuchwałe światło księżyca całkowicie mu wystarcza. Bardzo uważając, żeby nie spowodować najmniejszego plusku, znów zanurza się pod powierzchnię wody, opływa kadłub łodzi, dryfując pod światło niżej, w kierunku ciemnego dna. Wynurza się przy rufie łodzi i chwyta się drabinki, która nie została wciągnięta.

To dobrze.

Oszczędzi mu to ewolucji przy wchodzeniu na pokład. Odwiązuje kawałek linki, którą owinął się wokół talii. Przyczepia karabińczyk do schodków i na drugim końcu zawiesza hermetycznie zamknięte pudełko, które ma ze sobą. Chce również zdjąć butlę, płetwy i pas, i zostawić je przyłączone do drabinki, metr pod powierzchnią wody.

Nie może sobie pozwolić na ograniczenie ruchów, choć zaskoczenie dwóch osób śpiących w łóżku ułatwi mu zadanie.

Właśnie ma zdejmować płetwy, kiedy słyszy kroki na pokładzie. Schodzi z drabinki i przenosi się w prawo pod osłonę nadburcia. Ze swojego miejsca w cieniu widzi dziewczynę wychodzącą na pokład, na którym przystaje jakby zauroczona grą połyskującego księżyca na spokojnym i gładkim morzu. Biały szlafrok, który ma na

sobie, jest przez krótką chwilę dodatkowym jasnym refleksem, ale potem, jednym płynnym ruchem dziewczyna zrzuca go na ziemię i stoi naga w świetle księżyca.

Mężczyzna widzi ją z profilu i podziwia jej mocne ciało, doskonałą linię drobnych i jędrnych piersi, śledzi wzrokiem zarys pośladków, które przechodzą w długie, szczupłe nogi.

Sprężystymi ruchami młoda kobieta zbliża się do drabinki i wyciąga stopę, żeby sprawdzić temperaturę wody.

Mężczyzna uśmiecha się i jest to drapieżny uśmiech rekina.

Nie może uwierzyć we własne szczęście.

Ma gorącą nadzieję, że dziewczyna nie przestraszy się kontaktu z zimną wodą i że podda się urokowi kąpieli morskiej w świetle księżyca. Niemal jakby pochwyciła jego myśl, dziewczyna odwraca się, zaczyna schodzić po drabince, po czym wślizguje się łagodnie między fale. Chłodna woda przyprawia ją o dreszcz i gęsią skórę, marszcząc też przyjemnie sutki.

Płynąc, oddala się od łodzi w kierunku pełnego morza, po przeciwnej stronie od miejsca, gdzie czai się postać w czarnym kombinezonie. Cichy ruch, z jakim mężczyzna zanurza się pod wodę, ma złowrogą płynność drapieżnika, rozpoczynającego swoją zabawę w polowanie na niczego nieświadomą ofiarę, okrutną grę, której stawką jest życie.

Pomagając sobie rękami, opróżnia całkowicie płuca przez zawór, żeby swobodniej się zanurzyć. Następnie ustawia się równolegle do dna i zaczyna się przesuwac w kierunku dziewczyny. Chwilę potem jest już pod nią. Podnosi głowę i widzi ją w górze, ciemną plamę na oświetlonej tafli wody, poruszającą nogami i rękami, żeby utrzymać się na powierzchni. Wypływa powoli, by nie zdradzić swojej obecności pęcherzykami powietrza. Kiedy dziewczyna znajduje się w zasięgu ręki, chwytą ją za kostki i ściąga z całej siły w dół.

Zaskoczona Ariane czuje silny uchwyt ściągający ją pod powierzchnię. Ruch, którym zostaje pociągnięta na dno, jest tak niespodziewany, że nie zostawia jej czasu na napełnienie płuc powietrzem. Nagle znajduje się metr pod wodą i niemal natychmiast czuje, że uścisk na kostkach rozluźnia się. Odpycha się instynktownie nogami, żeby wydostać się na górę, ale dwie ręce chwytają ją za barki i z całą siłą pchają jeszcze niżej, w stronę dna, daleko od powierzchni wody, która połyskuje nad jej głową niczym drwiąca obietnica powietrza i światła. Czuje, jak dwa drapieżne ramiona otaczają jej klatkę piersiową i zaciskają się jak pas na piersiach, czuje na

nagich plecach lepki dotyk kombinezonu pletwonurka i obce ciało napastnika, który otacza nogami jej biodra, próbując uniemożliwić jakikolwiek ruch.

Przerażenie paraliżuje jej umysł.

Jęcząc, zaczyna się dziko szamotać, ale pozbawione dopływu tlenu płuca w jednej chwili spalają wszystkie pozostałe rezerwy. W miarę jak rośnie potrzeba powietrza, Arijane coraz bardziej opada z sił, wciąż we władaniu śmiertelnego uścisku ciała kurczowo obejmującego jej ciało, ściągającego ją nieuchronnie w stronę bezkسیęzycowej nocy morskiego dna.

Czuje, że za chwilę umrze, że ktoś ją zabija, nie pozwalając jej poznać motywu. Z jej oczu wypływają słone łzy żalu, które mieszają się z milionami anonimowych kropeł w otaczającym ją obojętnym morzu. Czuje, jak ciemność tego uścisku rozlewa się i staje jej częścią, podobnie jak kropelka czarnego atramentu wpuszczona do miseczki z czystą wodą. Zimna i bezlitosna ręka zaczyna gorączkowo dotykać każdego skrawka jej ciała, wewnątrz i na zewnątrz, niemal jakby chciała ugasić najmniejszą nawet iskierkę życia napotkaną na swojej drodze, zanim dotrze do młodego serca kobiety i zatrzyma je na zawsze.

Mężczyzna czuje, jak ciało nagle się rozluźnia, w tym samym momencie, w którym opuszcza je życie. Odczekuje kilka chwil, a potem odwraca zwłoki dziewczyny w swoją stronę, chwyta je pod pachami i zaczyna poruszać płetwami, by wypłynąć w górę. W miarę jak zbliża się do oświetlonej powierzchni, twarz młodej kobiety przestaje być ciemną plamą i powoli zaczyna nabierać kształtu. Wyłaniają się delikatne rysy, smukły nos, na wpół otwarte usta, z których wydobywają się ostatnie, nieliczne, jakby drwiące ze śmierci pęcherzyki powietrza. Pojawiają się cudownie zielone oczy bez życia, zatrzymane w bezlitosnym błysku śmierci, kiedy zbliżają się do światła, którego nie mogą już zobaczyć i które już do nich nie należy.

Mężczyzna patrzy przez szybę maski na wyłaniającą się twarz kobiety, którą zabił, tak jak fotograf patrzy na wywołujące się właśnie zdjęcie, którego jest szczególnie ciekaw. Kiedy już upewnił się całkowicie co do urody tej twarzy, rekin znów się uśmiecha.

Głowa mężczyzny wynurza się wreszcie z wody. Wciąż podtrzymując zwłoki, podpływa do drabinki. Odwiązuje przyczepioną wcześniej do rurkowatej, metalowej konstrukcji linkę i owija wokół szyi kobiety w taki sposób, by ją podtrzymała, podczas gdy on zdejmuje butlę i zawór. Ciało ześlizguje się pod powierzchnię wody,

wywołując lekki wir, a włosy poruszają się miękko wraz z falami uderzającymi o kadłub, niczym macki meduzy w świetle księżyca.

Zdejmuje pletwy, maskę i pas, i kładzie je delikatnie na pokładzie, nie wywołując najmniejszego hałasu. Kiedy ma już swobodę ruchów, chwytą się lewą ręką za spiralę drabinki i odczepia linę podtrzymującą zwłoki, zastępując ją swoim prawym ramieniem. Pozornie bez wysiłku wchodzi po kilku drewnianych szczeblach, wciągając za sobą ciało swojej ofiary. Kładzie je w poprzek na pokładzie, prostopadle do długości łodzi. Przygląda mu się dłuższą chwilę, po czym schyla się i podnosi szlafrok, który dziewczyna miała na sobie przed nocną kąpielą.

Na znak jakiejś spóźnionej litości, przykrywa nim kobietę leżącą na pokładzie, jakby chciał osłonić to zimne ciało przed chłodem nocy, która dla niej już nigdy się nie skończy.

- Arijane?

Spod pokładu nagle odzywa się głos. Mężczyzna instynktownie odwraca głowę w tamtym kierunku. Być może towarzysz dziewczyny zbudził się, czując, że jest sam w kabinie. Może wyciągnął w łóżku nogę, żeby poszukać dotyku jej skóry, i znalazł pustkę w białawej poświacie, którą blask księżyca rozprasza w sypialni.

Nie słysząc odpowiedzi, na pewno za chwilę wyjdzie, żeby jej poszukać.

Oślonięty czarnym kombinezonem, który czyni z niego cień jeszcze ciemniejszy od tych rzuczanych przez księżyc, mężczyzna podnosi się i chowa za osłonę utworzoną przez maszt i bom.

Ze swojego punktu obserwacyjnego widzi najpierw wyłaniającą się głowę, a potem tułów mężczyzny wychodzącego na pokład w poszukiwaniu swojej partnerki. Jest zupełnie nagi. Rozgląda się dokoła, a kiedy stoi już na pokładzie, jego wzrok zatrzymuje się. Widzi ją. Leży na rufie, za sterownicą, obok drabinki. Głowę ma odwróconą w drugą stronę i wydaje się, że śpi, niestarannie przykryta białym szlafrokiem. Robi krok w jej stronę. Czuje, że ma pod stopami mokro, patrzy w dół i zauważa wilgotne ślady na drewnianych deskach. Może się wykapała, myśli z odruchem czułości wobec tego ciała, które wydaje się uśpione w blasku księżyca. Oczami wyobraźni widzi ją, jak płynie w ciszy, widzi jej mokre ciało odbijające światło jak połyskujące blaszki, kiedy wychodzi z wody i dokładnie się wyciera. Podchodzi do niej bezszelestnie, chcąc być może obudzić ją pocałunkiem, wciągnąć do kabiny i tam się kochać. Kuca przy jej boku i kładzie rękę na ramieniu wystającym spod szlafroka. Mężczyzna w czarnym kombinezonie wyraźnie słyszy jego słowa.

- Kochanie...

Kobieta nie daje najmniejszego znaku, że słyszy. Jej skóra jest lodowata.

- Kochanie, nie możesz tu leżeć na zimnie...

Znowu żadnej odpowiedzi. Jochen czuje dziwny niepokój, który jakby wwierca mu się w żołądek. Ujmuje delikatnie w dłonie jej głowę, odwraca twarz Arijane do siebie i odnajduje spojrzenie bez życia. Ruch powoduje, że z jej półotwartych ust wylewa się strużka wody. Pojmuje natychmiast, że dziewczyna nie żyje, i niemy krzyk rozrywa mu głowę. Jednym skokiem zrywa się na nogi i dokładnie w tym samym momencie, kiedy staje wyprostowany, czuje na szyi chwyt mokrej ręki. Gwałtowny ucisk zmusza go do zgięcia pleców, popychając go w tył.

Jochen jest mężczyzną o wzroście trochę wyższym od przeciętnej, a jego ciało to ciało sportowca, doskonale wyćwiczone podczas długich treningów w sali gimnastycznej i godzin biegania, pozwalających wytrzymać straszliwy wysiłek fizyczny podczas Grand Prix. Jednak napastnik jest od niego wyższy i równie mocno zbudowany. Na jego korzyść działają też zaskoczenie i przerażenie, jakie ogarnęło Jochena po odkryciu śmierci dziewczyny. Kierowca podnosi instynktownie ręce i chwytając za obciśnięte kombinezonem ramię, które trzyma go za gardło, uniemożliwiając oddychanie. Wszystkimi siłami próbuje zwolnić duszący uścisk. Kątem oka dostrzega błysk po swojej prawej stronie, a po ułamku sekundy nóż, który napastnik trzyma w dłoni, ostry jak brzytwa, przesywa z lekkim świstem powietrze, rysując szybki, okrężny ruch z góry na dół.

Ciałem ofiary wstrząsają drgawki. Jochen kurczy się w agonii, podczas gdy ostrze zagłębia się między żebra i dochodzi do serca. Czuje w ustach słodkawy smak krwi i umiera, mając jeszcze w oczach mroźny uśmiech księżycy.

Mężczyzna naciska jeszcze nóż, dopóki ciało nie staje się całkowicie bezwładnym ciężarem w jego ramionach. Dopiero wtedy puszcza rękojeść i podtrzymuje go, podpierając własnym ciałem. Z największą łatwością układa zwłoki na pokładzie. Przez chwilę przygląda się dwóm trupom u swych stóp, dysząc powoli, żeby uspokoić oddech. Po czym chwytając zwłoki mężczyzny za ramiona i zaczyna ciągnąć pod pokład.

Ma mało czasu i dużo do zrobienia przed wschodem słońca.

Jedyną rzeczą, jakiej mu brakuje w owej chwili, jest muzyka.

4

Roger wyszedł na pokład „Baglietto” i zaciągnął się rześkim powietrzem poranka. Była siódma trzydzieści i zanosilo się na wspaniały dzień. Po tygodniu Grand Prix właściciele jachtu wyjechali i zostawili łódź pod jego opieką, w oczekiwaniu na letni rejs, który trwał zazwyczaj dwa miesiące. Mogła więc stać w spokoju zacumowana w porcie w Monte Carlo jeszcze przynajmniej przez półtora miesiąca, bez męczącej obecności armatora i jego żony, nudziary z podciągniętą wszędzie skórą, tak obwieszoną klejnotami, że w słońcu trzeba było na nią patrzeć przez ciemne okulary.

Donatella, włoska kelnerka z Restaurant du Port, właśnie kończyła nakrywać stoliki na zewnątrz. Już wkrótce przyjdą na śniadanie pracownicy okolicznych biur i sklepów. Roger przyglądał się jej w milczeniu, dopóki nie spostrzegła jego obecności. Uśmiechnęła się i instynktownie wypięła biust.

- Piękne jest życie, co?

Roger kontynuował potyczkę słowną, jaka trwała między nimi już od jakiegoś czasu. Przybrał zasmuconą minę.

- Pewnie, ale mogłoby być dużo lepsze.

Donatella pokonała kilka metrów dzielących stoliki od rufy łodzi i zatrzymała się. Rozpięta bluzka odsłaniała intrygujący rowek między piersiami i Roger zapuścił tam spojrzenie, tak jak zarzuca się wędkę w morzu. Dziewczyna zauważyła to, ale nie okazała najmniejszego śladu irytacji.

- Może gdybyś zamiast oczu używał słów we właściwy sposób... Ej, ale co robi ten szaleniec?

Roger odwrócił głowę w kierunku, w którym patrzyła dziewczyna, i zobaczył dwumasztowiec „Beneteau” płynący pełną parą prosto na linię zacumowanych łodzi. Na pokładzie nie było nikogo.

- Co za kretyni!

Zostawił Donatellę i pobiegł na dziób „Baglietto”. Zaczął machać gorączkowo ramionami, krzycząc.

- Ej, wy tam, uważajcie...

Na łodzi nie było żadnej oznaki życia. Wciąż kierowała się w stronę mola, nie zmniejszając prędkości. Była już o kilka metrów i kolizja zdawała się nieuchronna.

- Ej, wy...

Roger wydał z siebie ostatni rozpaczliwy okrzyk, po czym chwycił się poręczy w oczekiwaniu na zderzenie. Z suchym trzaskiem dziób „Beneteau” uderzył „Baglietto” w lewy bok i zaklinował się między jego kadłubem a łodzią zacumowaną obok, lekko się przy tym przechylając. Na szczęście silnik nie był na tyle mocny, żeby spowodować większe szkody, a osłony złagodziły zderzenie, niemniej na lakierze jachtu pozostały szare rysy po otarciu. Roger był wściekły. Wrzasnął w kierunku łodzi, która go uderzyła.

- Czyście oszaleli, cholerni kretyni?

Z dwumasztowca nie było żadnej odpowiedzi. Z pokładu „Baglietto” Roger skoczył bezpośrednio na dziób „Beneteau”, podczas gdy tłumek gapiów gromadził się na molo. Kiedy dotarł do ruty, zobaczył coś, co go zaniepokoiło. Sterownica była zablokowana. Ktoś wepchnął tam bosak, przywiązując go linką. Czerwonawa smuga prowadziła z pokładu po schodkach na dół. Było w tym wszystkim coś dziwnego i złowrogiego, i Roger poczuł chłód w żołądku. Zszedł powoli po schodkach, idąc za czerwoną smugą, która kończyła się przy nogach stołu ciemniejszą kałużą. Roger poczuł, jak przechodzą go ciarki, kiedy zdał sobie sprawę, że to krew. Zbliżył się na lekko drżących nogach. Ktoś na blacie stołu tą samą cieczą napisał dwa słowa.

Ja zabijam...

Groźba tego napisu i trzech następujących po nim kropek była porażająca. Roger miał dwadzieścia osiem lat i nie był bohaterem, a jednak jakaś siła popchnęła go w stronę drzwi prowadzących prawdopodobnie do sypialni. Zatrzymał się na chwilę, z ustami suchymi z napięcia, przed przymkniętymi drzwiami, po czym pchnął je zdecydowanym ruchem.

Owionęła go fala słodkawego zapachu, który lekko go zemdlił. Nie miał nawet siły krzyknąć. Przez wszystkie następne lata jego życia to, co zobaczył, miało powracać w snach, zamieniając je w koszmary.

Policjant, który wchodził na łódź i ludzie stojący na molo zobaczyli, jak wybiega na pokład, wychyla się za burtę i wymiotuje do morza, a ciałem jego targają gwałtowne, spazmatyczne torsje.

5

Frank Ottobre obudził się i poczuł swoje ciało wyciągnięte w prześcieradłach nie swojego łóżka, w nie swoim domu, w nie swoim mieście.

Chwilę potem wspomnienie przeniknęło do jego głowy jak słońce między żaluzjami, a cierpienie pozostawało nietknięte, tak jak je zostawił poprzedniego wieczoru. Jeśli był jeszcze jakiś świat na zewnątrz i w tym świecie istniał jakiś sposób, żeby zapomnieć, jego umysł odrzucał jedno i drugie. Telefon bezprzewodowy leżący na nocnym stoliku po lewej stronie zaczął dzwonić. Przekręcił się w łóżku i wyciągnął rękę w stronę migającego aparatu.

- Halo?

- Cześć, Frank.

Zamknął oczy i natychmiast pojawiła się przed nim twarz, którą ten głos w słuchawce przywoływał. Spłaszczony nos, włosy koloru piasku, piwne oczy, a do tego zapach płynu po goleniu, ociężały krok, czasami ciemne okulary i szary garnitur, który był niemal mundurem.

- Cześć, Cooper.

- Wiem, że dla ciebie to wcześniej, ale jestem pewny, że już nie spałeś.

- No właśnie... Co się dzieje?

- Tutaj w tej chwili właściwie wszystko. Absolutne szaleństwo. Jesteśmy na służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby było nas dwa razy więcej, przydałoby się jeszcze drugie tyle ludzi do pomocy. Wszyscy próbują udawać, że nic się nie stało, ale mają pietra. I nie możemy nie przyznać im racji, biorąc pod uwagę, że my też się boimy. Nastąpiła krótka przerwa.

- Ale co u ciebie, jak się czujesz? No właśnie, jak ja się czuję?

Zadał sobie to pytanie, jakby dopiero w owej chwili przypomniał sobie, że w ogóle żyje.

- Raczej dobrze. Siedzę tu w Monte Carlo i zabawiam się wśród wyższych sfer. Jedyne niebezpieczeństwo tkwi w tym, że w otoczeniu tych wszystkich miliarderów ja też mogę się poczuć bogaty. Wyniosę się stąd, kiedy zapragnę kupić czterdziestometrową łódź i nie uznam tego za szaleństwo.

Wstał z łóżka z telefonem przy uchu i zupełnie nagi ruszył w stronę łazienki. W półmroku usiadł na sedesie.

- Jeśli uda ci się ją kupić, powiedz, jak to zrobić, to ja też spróbuję.

Cooper nie dał się nabrać na jego smutną ironię, ale postanowił trzymać się reguł gry. Frank wyobrażał go sobie siedzącego w biurze przy telefonie, z wymuszonym uśmiechem i żalem wymalowanym na twarzy. Cooper był taki jak zawsze. On natomiast człowiekiem idącym na dno - i obaj o tym wiedzieli.

Przez chwilę panowała cisza, potem Frankowi wyraźnie się wydało, że słyszy syk, z jakim uchodzi powietrze z balonu tej fikcji. Głos Coopera był teraz bardziej surowy, a jednocześnie zatroskany.

- Frank, czy nie myślisz...

Wiedział już, co ten chce powiedzieć, i natychmiast mu przerwał.

- Nie, Cooper. Jeszcze nie. Nie czuję się na siłach, żeby wrócić. Jest za wcześnie.

- Frank, Frank, Frank! Minął prawie rok. Ile twoim zdaniem trzeba, żeby...

W głowie Franka słowa przyjaciela zgubiły się w ogromnej przestrzeni dzielącej go od Ameryki, w próżni galaktyk. Słyszał tylko głos swoich myśli.

No właśnie, ile czasu, Cooper? Rok, sto lat, milion? Ile potrzeba człowiekowi, żeby zapomnieć, że złamał dwa życia?

- A poza tym Homer jasno powiedział, że możesz wrócić do służby, kiedy zechcesz, jeśli ta wiadomość na coś ci się przyda. Ty w każdym razie przydasz się na pewno. Tylko niebo wie, jak bardzo w tej chwili potrzebni są ludzie tacy jak ty. Czy nie myślisz, że być tu i czuć się częścią czegoś, gdy na końcu tego wszystkiego...

Głos Franka stał się nagle tak ostry, że mógł przeciąć wszelką próbę zbliżenia.

- Cooper, na końcu tego wszystkiego jest tylko jedno...

Milczenie Coopera było milczeniem kogoś, kto chce wykrzyknąć pytanie, a boi się je choćby wyszeptać. Po czym jego głos dotarł i cała przestrzeń między Europą a Ameryką była nieporównywalna z dystansem, jaki był między nimi.

- Co takiego, Frank, na miłość boską?

- Bóg nie ma tu nic do rzeczy. To dotyczy tylko mnie. Rozgrywa się między mną a mną. I wiesz, że jest to wojna bez jeńców.

Odsunął słuchawkę od ucha i patrzył w półmroku na swój palec, który kończył połączenie.

Podniósł wzrok na swoje nagie ciało odbite w wielkim lustrze łazienki. Spojrzał na bose stopy na zimnym marmurze posadzki, umięśnione nogi, a potem nagle w górę, na zgaszone oczy, i niżej, na tułów i przecinające go czerwonawe blizny.

Prawa ręka, niemal pod jakimś przymusem, powędrowała powoli w górę, żeby je pogłodzić. Pozwolił, żeby dotarła do niego codzienna dawka śmierci, którą nosił w sobie.

Kiedy się obudził, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była twarz Harriet. Potem powoli z mgły wynurzyła się też twarz Coopera. Kiedy udało mu się wyostrzyć również obraz pokoju, ujrzał Homera Woodsa siedzącego z kamienną twarzą na foteliku pod ścianą naprzeciw łóżka, z włosami zaczesanymi do tyłu, niebieskimi oczami, które patrzyły na niego bez wyrazu zza okularów w złotych oprawkach.

Odwrócił głowę w stronę swojej żony i zdał sobie sprawę, jakby we śnie, że jest w pokoju szpitalnym, zielone światło przenika przez zasłony w stylu weneckim, na stoliku stoją kwiaty, do jego ramienia podłączone są rurki, słychać monotonne „bip” aparatury, wszystko się kręci. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Harriet podeszła, zbliżając swoją twarz do jego. Położyła mu rękę na czole. Czuł dotyk dłoni, ale nie słyszał słów, ponieważ był jeszcze pogrążony w miejscu, z którego ledwie co się wynurzył.

Kiedy wreszcie doszedł do siebie i mógł mówić, Homer Woods stał już u boku Harriet. Coopera nie było.

Oświetlenie pokoju się zmieniło, ale było to wciąż albo znowu światło dzienne. Frank zastanawiał się, ile minęło od jego ostatniego przebudzenia i czy Homer był tam cały ten czas. Miał na sobie to samo ubranie i ten sam wyraz twarzy. Frank przypomniał sobie, że nigdy nie widział u niego innego ubrania i innego wyrazu twarzy. Być może miał w domu szafę pełną jednakowych ubrań i wyrazów twarzy. „Mister Husky”, nazywano go w biurze, ze względu na jego niebieskie, jakby szklane oczy, podobne do oczu psa ciągnącego sanie.

Harriet trzymała wciąż rękę w jego włosach, a łza żłobiła jej twarz. Wyraz jej oczu sprawiał wrażenie, jakby ta łza była tam od zawsze, jakby była jej nieodłączną częścią.

- Cześć, kochanie. Dobrze, że wróciłeś.

Podniosła się ze stojącego obok łóżka krzesła, żeby złożyć na jego wargach delikatny, słony pocałunek. Frank wciągnął zapach jej oddechu, tak jak marynarz wciąga w płuca powietrze niosące zapach wybrzeża, domu.

Homer postąpił dyskretnie krok do tyłu.

- Co się stało? Gdzie ja jestem? - zapytał Frank bezdźwięcznym, jakby nieswoim głosem. Dziwnie bolało go gardło i nic nie pamiętał. Ostatni obraz, jaki miał przed oczami, to były drzwi popchnięte nogą i jego wyciągnięte ramiona trzymające pistolet, kiedy wchodził do pokoju. A potem błyskawica i piorun, a także wrażenie, że jakaś olbrzymia ręka popycha go w górę, w stronę bezbolesnej ciemności.

- Jesteś w szpitalu. Przez tydzień byłeś w śpiączce. Bardzo nas przeraziłeś.

Łza była teraz przyklejona do twarzy jego żony, jakby się stała kawałkiem zmarszczonej skóry. Odbijało się w niej całe jej cierpienie.

Odsunęła się i rzuciła spojrzenie Homerowi, prosząc go milcząco o dalsze wyjaśnienia. On zbliżył się do łóżka i popatrzył zza okularów.

- Larkinowie rozpuścili pogłoskę, że nastąpi poważna wymiana towaru i pieniędzy między nimi a ich odbiorcami w tamtym magazynie. Dużo towaru i dużo pieniędzy. Zrobili wszystko bardzo przemyślnie dla zwabienia Harveya Lupe'a i jego ludzi i nakłonienia ich, żeby spróbowali wtargnąć i zabrać wszystko, towar i kasę. Całe pomieszczenie było wypchane ładunkami wybuchowymi. W ten sposób, za pomocą jednego sztucznego ognia, mieliby się uwolnić od całej konkurencji na rynku. Zamiast Lupe'a pojawiłeś się jednak ty i Cooper. On był jeszcze na zewnątrz, przy południowym boku magazynu, kiedy ty wszedłeś od strony biur. Uderzenie w Coopera zostało częściowo złagodzone przez konstrukcję wewnętrznych rusztowań i skończyło się na kilku guzach i zadrapaniach na twarzy od spadającego tynku. Ty trafiłeś w sam środek eksplozji, ale na szczęście dla ciebie Larkinowie są potężnymi dilerami, lecz marnymi pirotechnikami. Cudem uszedłeś z życiem. Nie mogę ci nawet robić wyrzutów, że nie zaczekałeś na ekipę. Gdybyście weszli tam wszyscy razem, byłaby rzeź.

Teraz wiedział już wszystko, ale nadal nic nie pamiętał. Myślał tylko, że od dwóch lat on i Cooper pracowali, żeby przechytryć Larkinów, a tymczasem to oni mimo woli ich przechytryli. A ściślej jego.

- Co mi jest? - zapytał Frank, bo jego ciało wysyłało mu jakieś bezładne sygnały. Miał jakieś niewyraźne uczucie przymusu i patrzył na swoją prawą nogę w gipsie, jakby nie natężała do niego.

Odpowiedział mu lekarz, który właśnie wszedł do pokoju i zdążył usłyszeć pytanie. Miał włosy przedwcześnie przyprószone siwizną, a przy tym chłopięcą twarz i sposób bycia. Uśmiechnął się do niego, przechylając głowę na bok.

- Witam, miły panie. Jestem doktor Foster, jeden z odpowiedzialnych za pana obecność na tym świecie. Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe. Jeśli pan chce, ja powiem, co panu jest. Kilka złamanych żeber, uszkodzona opłucna, noga pęknięta w dwóch miejscach, różnej wielkości dziury na całym ciele, poważne rany na klatce piersiowej, uraz czaszki. A także wszechobecne siniaki, w związku z czym może się pan spokojnie uważać za osobę innego koloru skóry. Dodatkowo jest, a raczej był, metalowy odłamek, który utkwił milimetr od serca. Nieźle się napociliśmy, żeby go stamtąd zabrać, zanim on zabierze pana.

Mówiąc to, sięgnął po kartę kliniczną wiszącą w nogach łóżka. Po czym podszedł do wezglowia i nacisnął jakiś guzik, a Frank poczuł zapach jego świeżo wypranego fartucha.

- A teraz, jeśli obecni mi wybaczą, myślę, że warto sprawdzić, co udało nam się zdziałać, żeby zaradzić nieszczęściu.

Harriet i Homer ruszyli w stronę drzwi, otwierając je dokładnie w chwili, kiedy stanęła przed nimi ciemnoskóra pielęgniarka pchająca wózek wypełniony materiałami opatrunkowymi. Biel fartucha podkreślała jeszcze bardziej kolor jej twarzy. Wychodząc, Harriet rzuciła dziwne spojrzenie na monitor, który pokazywał pracę serca męża, niemal jakby uważała, że jej obecność jest niezbędna dla jego funkcjonowania. Po czym odwróciła głowę i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy lekarz i pielęgniarka uwijali się przy jego ciele pełnym bandaży i sączków, Frank poprosił o lustro. Pielęgniarka nie skomentowała tej prośby, tylko z uśmiechem zdjęła ze ściany lustro wiszące obok drzwi i podsunęła mu przed twarz.

O dziwo, bez emocji zobaczył w nim blade oblicze i cierpiące oczy Franka Ottobre, agenta specjalnego FBI, jeszcze żywego.

Lustro nałożyło się na lustro, oczy na oczy.

Czas teraźniejszy nałożył się na wspomnienie i w wielkim lustrze łazienki Frank odnalazł swój czas i swoje oczy, zastanawiając się, czy rzeczywiście warto było, żeby ci wszyscy lekarze włożyli tyle wysiłku po to tylko, żeby przywrócić mu to życie.

Wrócił do sypialni i zapalił światło. W rzędzie wyłączników przy łóżku poszukał tego, który podnosił rolety. Przycisnął go i wkrótce światło słoneczne zaczęło się mieszać z elektrycznym.

Frank podszedł do balkonu, odsunął zasłony i pociągnął za rączkę przesuwanych drzwi. Wyszedł na taras.

U jego stóp leżało Monte Carlo, całe wybrukowane złotem i obojętnością. Przed nim, w promieniach wschodzącego słońca, aż po horyzont rozciągało się błękitne morze, które odbijało niebo, nie widząc go. Powrócił myślami do rozmowy z Cooperem. Po drugiej stronie morza był jego kraj w stanie wojny. Wojny, która dotyczyła jego i takich jak on. Wojna, która dotyczyła całego świata pragnącego żyć w promieniach słońca, bez cienia i strachu. I on powinien tam być, żeby bronić tego świata i tych ludzi.

Kiedyś by tak postąpił, kiedyś stałby na pierwszej linii ognia, jak Cooper, Homer Woods i wszyscy pozostali. Teraz ten czas minął. Oddał niemal życie za swój kraj i bliźni na jego ciele były tego świadectwem.

A Harriet...

Powiew chłodnej bryzy dotarł do niego i przyprawił go o dreszcz. Zdał sobie sprawę, że wciąż jest nagi. Kiedy wchodził z powrotem do środka, zastanawiał się, co świat może jeszcze robić z Frankiem Ottobre, agentem specjalnym FBI, kiedy on sam nie wiedział dobrze, co z sobą począć.

6

Wysiadając z samochodu, komisarz Nicolas Hulot z Sûreté Publique Księstwa Monako zobaczył żaglówką zaklinowaną między dwiema innymi łodziami i lekko przechyloną na bok.

Ruszył w stronę przystani. Inspektor Morelli wyszedł mu naprzeciw, przechodząc przez kładkę „Baglietto”, łodzi, która została potrącona przez dwumasztowiec. Kiedy znaleźli się twarzą w twarz, komisarz był zdziwiony, bo Morelli robił wrażenie wstrząśniętego. Morelli był znakomitym policjantem. Przeszedł szkolenie nawet w Mosadzie, izraelskich służbach specjalnych. Widział wszystko. A jednak był błąd i kiedy do niego mówił, z trudem znosił jego wzrok, niemal jakby to, co się stało, było jego winą.

- A więc, Morelli.

- Komisarzu, to rzeź. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem...

Wziął głęboki oddech, a Hulot miał przez moment wrażenie, że zaraz zacznie wymiotować.

- Claude, uspokój się i wytłumacz mi, co rozumiesz przez „rzeź”? Mnie powiedziano, że było morderstwo.

- Dwa, komisarzu. Są tam ciała mężczyzny i kobiety, a przynajmniej to, co z nich zostało.

Komisarz Hulot odwrócił się, żeby spojrzeć na tłum gapiów zgromadzonych za barierkami, które odgradzały teren. Miał straszne przeczucie. Księstwo Monako nie było miejscem, gdzie zdarzały się takie rzeczy. Policja należała do najskuteczniejszych na świecie, a wskaźnik przestępczości był tak niski, że istniał tylko tam i w marzeniach każdego ministra spraw wewnętrznych. Jeden policjant przypadał na sześćdziesięciu mieszkańców. Wszędzie umieszczone były kamery. Wszystko znajdowało się pod

kontrolą. Ludzie się bogacili albo popadali w ruinę, ale nigdy się nie zabijali. Nie było włamań, nie było morderstw, nie było świata przestępczego.

W Monte Carlo, z definicji, nigdy nic się nie działo.

- Czy ktoś coś widział?

Morelli wskazał ręką około trzydziestoletniego mężczyznę, który siedział na zewnątrz baru, między policjantem a asystentem lekarza sądowego. Lokal, który zazwyczaj o tej porze pękał w szwach, teraz był prawie pusty. Wszyscy, którzy mogli się na coś przydać, zostali zatrzymani, a innym klientom wstęp był zabroniony. Właściciel stał w progu obok kelnerki o bujnym biuście i nerwowo zaplatał ręce.

- To marynarz z „Baglietto”, łodzi, na którą nadział się dwumasztowiec. Nazywa się Roger Jakiśtam. Wszedł na pokład, żeby zrobić awanturę z powodu kolizji. Nie znalazł nikogo na pokładzie, więc zszedł na dół i to on ich znalazł. Jest w szoku i próbują coś z niego wyciągnąć. Delorme, który jest u nas nowy, wszedł na łódź po nim. Teraz siedzi w samochodzie i nie jest w dużo lepszym stanie.

Komisarz znów odwrócił głowę w drugą stronę, popatrzył na gapiów tłoczących się między barierkami a bulwarem Alberta Premier, gdzie grupa robotników kończyła demontaż boksów i trybun ustawionych na zawody. Zateśknął za chaosem towarzyszącym Grand Prix, za tłumem i za drobnymi niedogodnościami, jakie czasem były z tym związane.

- Chodźmy zobaczyć.

Weszli na chwiejącą się kładkę „Baglietto”, a stamtąd, dzięki innej kładce zawieszanej między pokładami dwóch łodzi, znaleźli się na „Beneteau”. Schodząc z góry, Hulot zauważył ster zablokowany bosakiem, a dalej smugę zakrzepłej już krwi, która ciągnęła się przez deski pokładu i ginęła gdzieś w ciemnościach pod nim. Mimo słońca, już nieźle przygrzewającego, poczuł, że czubki jego palców robią się nagle lodowate.

Co też do diabła stało się na tej łodzi?

Morelli wskazał na schodki prowadzące pod pokład.

- Jeśli pan pozwoli, komisarzu, zaczekam tutaj. Raz to aż nadto, jak na jeden poranek.

Schodząc po stopniach wyłożonych przeciwślizgowym drewnem, niemal zderzył się z doktorem Lassalle, lekarzem sądowym, który właśnie wychodził. Jego funkcja w Księstwie była synekurą, a jego doświadczenie zawodowe zdecydowanie ograniczone. Hulot nie miał dla niego żadnego szacunku, ani w sensie ludzkim, ani

zawodowym. Dostał posadę dzięki znajomościom i towarzyskim koneksjom żony. Cieszył się życiem i pensją, nie robiąc niemal nic z tych rzeczy, za które mu płacono. Hulot porównywał go zawsze do luksusowego lekarza rejonowego. Jego obecność w tym miejscu oznaczała, że był jedyną osobą uchwytą w owym momencie.

- Dzień dobry, doktorze Lassalle.

- Dzień dobry, komisarzu.

Lekarz zdawał się pokrzepiony jego obecnością. Było jasne, że znalazł się w sytuacji, której nie był w stanie sprostać.

- Gdzie są ciała?

- Tam, proszę zobaczyć.

Teraz, kiedy jego oczy przywykły do półmroku, dostrzegł smugę krwi, biegnącą po podłodze i znikającą za otwartymi drzwiami. Po jego prawej stronie stał rozstawiany stół, na którym ktoś wykonał krwią napis.

Ja zabijam...

Hulot poczuł, że ręce mu lodowacieją. Zmusił się do głębokiego oddychania, żeby się uspokoić. Dosięgnął go słodkawy zapach krwi i śmierci, któremu towarzyszy trwoga i muchy.

Poszedł za smugą krwi do kabiny po lewej stronie. Kiedy stanął w drzwiach i zobaczył, co jest w środku, w jednej chwili chłód rąk przeniknął całe jego ciało, które zamieniło się w lodowy blok.

Na łóżku leżały obok siebie nagie zwłoki kobiety i mężczyzny. Kobieta nie miała na sobie widocznych ran, natomiast na klatce piersiowej mężczyzny, na wysokości serca, rozlewała się duża czerwona plama, z której krew spłynęła na prześcieradło. Zresztą była wszędzie. Na ścianach, na poduszkach, na podłodze. Wydawało się niemożliwe, że w tych dwóch biednych ciałach bez życia mieściła się przedtem cała ta krew.

Komisarz zmusił się, żeby spojrzeć na twarze dwóch ofiar. Te twarze nie istniały. Zabójca zdjął skórę z głowy, razem z włosami, dokładnie tak, jak obdziera się futro ze zwierząt.

Wpatrywał się przerażony w otwarte, niewidzące oczy, utkwione w sufit, w mięśnie twarzy czerwone od zakrzepłej krwi, w zęby wyszczerzone w makabrycznym uśmiechu, który z powodu braku warg miał nigdy nie zniknąć.

Wydawało mu się, że jego życie powinno się zatrzymać tam na zawsze, że będzie przez całą wieczność stał w drzwiach kabiny i wpatrywał się w ten spektakl

potworności i śmierci. Przez chwilę błagał niebiosa, żeby osoba zdolna do tej masakry była przynajmniej na tyle miłosierna, aby zabić tych biedaków przed poddaniem ich tym męczarniom.

Z trudem się otrząsnął i wrócił do kuchni, gdzie czekał na niego Lassalle. Również Morelli zebrał się na odwagę i zszedł na dół. Stał przed lekarzem i śledził wyraz twarzy komisarza, żeby zobaczyć jego reakcję.

Hulot zwrócił się przede wszystkim do lekarza.

- Co mi pan powie, doktorze?

Lassalle skulił ramiona.

- Śmierć nastąpiła kilka godzin temu. Rigor mortis¹ dopiero się zaczęło. Plamy opadowe zdają się to potwierdzać. Mężczyzna został prawdopodobnie zabity ostrym narzędziem, jednym ciosem, który przeszył mu serce. Na ciele kobiety, oprócz... - Lekarz zrobił krótką pauzę, żeby przełknąć ślinę -... oprócz okaleczeń, nie ma żadnych śladów, przynajmniej z przodu. Nie ruszałem ciała, bo czekamy na tych z brygady technicznej. Autopsja na pewno wiele wyjaśni. Z książeczki żeglarskiej wynika, że łódź należy do spółki z Monte Carlo. Nie przeprowadziliśmy jeszcze dokładnego przeszukania ze względu na ślady.

- Czy wiadomo, kim byli ci dwoje?

Tym razem odpowiedział Morelli.

- Techniczna nieźle nas opieprzy. Nie wiadomo, ile śladów zatarli ci wszyscy ludzie, którzy się tu kręcili.

Hulot popatrzył na podłogę i na smugę krwi. Tu i ówdzie widniały odciski stóp, których wcześniej nie zauważył. Kiedy odwrócił wzrok w stronę stolika, zdziwił się, że robi to z absurdalną nadzieją, iż tego rozpaczliwego, szalonego napisu już tam nie ma.

Usłyszał dwa podniesione głosy dochodzące z pokładu. Wspiął się po kilku stopniach i znalazł się nagle w innym świecie, w świetle słońca, wśród żywych, otoczony świeżym powietrzem przesyconym solą, bez owego zapachu śmierci, który czuć było na dole.

Stojący na pokładzie funkcjonariusz próbował powstrzymać około czterdziestopięcioletniego mężczyznę, który głośno krzyczał po francusku z silnym niemieckim akcentem, usiłując za wszelką cenę przedostać się przez szlaban ustawiony przez policjanta.

- Proszę mnie przepuścić!

¹ Łac., zeszywnienie pośmiertne (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Nie można, jest zakaz. Nikt nie może przejść.

Mężczyzna siłą próbował się oswobodzić z uścisku policjanta, który przytrzymał mu ręce. Był czerwony na twarzy i zachowywał się histerycznie.

- Mówię panu, że muszę przejść. Muszę się dowiedzieć, co się sta...

Funkcjonariusz zobaczył komisarza i na jego twarzy odmalowało się uczucie ulgi.

- Panie komisarzu, proszę mi wybaczyć, ale nie udało się nam go zatrzymać.

Hulot zrobił znak, jakby chciał powiedzieć, że wszystko w porządku, i funkcjonariusz zwolnił uścisk. Mężczyzna poprawił ubranie rozdrażnionym ruchem i zwrócił się do komisarza z miną kogoś, kto wreszcie może rozmawiać z równym sobie. Zatrzymał się przed nim i zdjął okulary słoneczne, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Dzień dobry, komisarzu. Czy mogę się dowiedzieć, co się stało na tej łodzi?

- A czy ja mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

- Nazywam się Roland Shatz i zapewniam pana, że to nazwisko coś znaczy. Jestem przyjacielem właściciela tej łodzi. Domagam się odpowiedzi.

- Panie Rolandzie Shatz, ja nazywam się Hulot i prawdopodobnie moje nazwisko znaczy dużo mniej niż pańskie, ale jestem komisarzem policji. A to oznacza, że na tej łodzi tym, kto zadaje pytania i żąda odpowiedzi, jestem ja.

Hulot zobaczył wyraźnie, jak wściekłość napływa do oczu Shatza. Mężczyzna zbliżył się o krok i jego głos lekko się obniżył.

- Panie komisarzu - wycedził kilka centymetrów od jego twarzy. W jego słowach brzmiała nieskończona pogarda. - Ta łódź należy do Jochena Weldera, dwukrotnego mistrza świata Formuły 1, którego ja jestem menadżerem i osobistym przyjacielem. Jestem również osobistym przyjacielem jego wysokości księcia Alberta i dlatego pan teraz powie mi dokładnie, co stało się na tej łodzi!

Hulot nic nie odpowiedział, a po chwili jego ręka z prędkością błyskawicy chwyciła Shatza za węzeł krawata, zaciskając go, aż stracił oddech. Zobaczył, jak jego twarz staje się nagle purpurowa.

- Ach, ty chcesz wiedzieć... A więc dobrze, zaspokoimy twoją ciekawość, chodź zobaczyć, co się stało na tej łodzi, pieprzony skurwysynu!

Był wściekły. Szarpnął gwałtownie menadżera i zmusił go, żeby zszedł z nim pod pokład.

- Chodź, osobisty przyjacielu księcia Alberta, chodź zobaczyć na własne oczy, co stało się na tej łodzi!

Zatrzymał się przed drzwiami kabiny i wreszcie zwolnił uścisk. Wskazał ręką na dwa ciała leżące na łóżku.

- Patrz!

Roland Shatz odzyskał oddech i natychmiast znów go stracił. Kiedy uprzytomnił sobie znaczenie sceny, którą miał przed oczami, śmiertelnie zbladł. Białka jego oczu błysnęły na ułamek sekundy w półmroku i padł zemdłony na ziemię.

7

Schodząc pieszo w stronę portu, Frank zobaczył grupkę osób obserwujących samochody policyjne oraz ludzi w mundurach, którzy uwijali się między łodziami stojącymi w przystani. Usłyszał za swoimi plecami wzmagający się dźwięk syreny. Zwolnił lekko kroku. Cała ta demonstracja siły znaczyła coś więcej, niż można było zobaczyć. Na pewno nie chodziło tylko o zwykłą kolizję dwóch łodzi.

A poza tym byli tam dziennikarze. Frank miał zbyt duże doświadczenie, żeby ich w lot nie rozpoznać. Kręcili się, węsząc i szukając informacji tak gorączkowo, że wyglądało to na jakąś dużą sprawę. Dźwięk syreny, który dochodził wcześniej z oddali, jakby zwiastun czegoś groźnego, teraz stał się rzeczywistością.

Dwa rozpędzone samochody policyjne wypadły z alei Rascasse, przejechały wzdłuż mola i zahamowały przed barierkami. Jeden z funkcjonariuszy przesunął je szybko, żeby auta mogły przejechać. Zatrzymały się za zaparkowanym równolegle do mola ambulansem, który miał otwarte tylne drzwi.

Frankowi zdały się rozwartą gardzielą dzikiej bestii, gotowej pochłonąć swoje pożywienie.

Z samochodów wysypało się kilku mężczyzn, jedni w mundurach, inni po cywilnemu. Ruszyli w stronę rufy zacumowanego nieopodal jachtu. Frank zobaczył stojącego przed kładką komisarza Hulota. Nowo przybyli zatrzymali się, żeby z nim porozmawiać, a potem wszyscy weszli na pokład przechylonej łodzi, zaklinowanej między dwiema innymi.

Frank okrążył powoli zgromadzony tłum i stanął za murem po prawej stronie baru. Mógł stamtąd wygodnie obserwować całą scenę.

Spod pokładu dwumasztowca wyłonili się mężczyźni niosący z wysiłkiem po przechylonym deku dwa plastikowe worki, związane z przodu na duży suwak. Frank rozpoznał natychmiast pojemniki na zwłoki.

Z dziwną obojętnością patrzył, jak przenoszą ciała do ambulansu. Kiedyś miejsce zbrodni było jego naturalnym terenem. Teraz przyglądał się temu spektaklowi jak czemuś, co nigdy go nie dotyczyło, bez uczucia wyzwania, jakie towarzyszy każdemu policjantowi w obliczu zbrodni, ale też bez uczucia grozy, jakie gwałtowna śmierć wywołuje u zwykłych ludzi.

Kiedy drzwi ambulansu zamykały się, komisarz Hulot i towarzyszący mu policjanci zeszli gęsiego po kładce „Baglietto”.

Hulot ruszył prosto w kierunku grupy dziennikarzy, z trudem powstrzymywanych przez dwóch funkcjonariuszy. Byli tam reporterzy z gazet, stacji radiowych i telewizyjnych. Komisarz wpadł między nich jak wiatr między trzciny. Już z daleka wyobrażał sobie krzyżowy ogień pytań, widział mikrofony podsuwane gorączkowo pod usta policjanta, żeby wyciągnąć jakąś wiadomość, choćby strzęp informacji, który można by obudować wieloma budzącymi zainteresowanie słowami. Kiedy dziennikarze nie mogli dowiedzieć się prawdy, zadowalali się rozpalaniem ciekawości.

Kiedy Hulot stawiał czoło prasie, odwrócił głowę w kierunku, gdzie stał Frank, i natychmiast go dostrzegł. Porzucił grupę dziennikarzy z miną policjanta, który w nieskończoność powtarza *no comment*. Odszedł, ścigany rozpaczliwym gradem pytań, na które nie mógł albo nie umiał udzielić odpowiedzi. Zatrzymał się przed stojącą poniżej barierką i dał Frankowi znak, żeby się zbliżył. Ten niechętnie oderwał się od muru, przepchnął między ludźmi i stanął przed Hulotem, zatrzymując się po drugiej stronie metalowego ogrodzenia.

Popatrzyli na siebie. Komisarz prawdopodobnie niedawno się obudził, ale wyglądał na tak zmęczonego, jakby nie zmrużył oka przez ostatnie czterdzieści osiem godzin.

- Cześć, Frank. Chodź tutaj.

Dał znak stojącemu obok policjantowi i ten odsunął trochę barierkę, żeby Frank mógł przejść. Usiedli przed barem, pod parasolem. Hulot rozejrzał się wokół, jakby wciąż nie mógł zrozumieć, co się właściwie dzieje. Frank zdjął ciemne okulary i poczekał na jego spojrzenie.

- Co się tu wydarzyło?

- Dwa trupy, Frank. Zamordowani - powiedział, nie patrząc na niego.

Zrobił pauzę, po czym odwrócił się wreszcie i spojrzał mu w oczy.

- I to nie byle kto. Jochen Welder, kierowca Formuły 1, i jego dziewczyna Arijane Parker, bardzo znana szachistka.

Frank nic nie odrzekł. Czuł, że to jeszcze nie koniec.

- Nie mają twarzy. Morderca obdarł ich ze skóry jak zwierzęta. To był straszny widok. Nigdy w życiu nie widziałem tyle krwi.

Tymczasem jęśliwy odjazd karetki i wozu ekipy technicznej był sygnałem, że nie ma już nic do oglądania. Ciekawscy zaczęli się powoli rozchodzić, zmęczeni temperaturą i wzywani do innych zajęć. Dziennikarze też już zdobyli to, co było do zdobycia, i ruszyli do redakcji.

Hulot zrobił drugą pauzę. Popatrzył mu prosto w oczy i to milczenie było bardzo wymowne. Wreszcie zapytał.

- Chciałbyś rzucić okiem?

Frank miał ochotę odpowiedzieć, że nie. Wszystko w środku mówiło mu „nie”. Miał już nigdy więcej nie oglądać śladów krwi, przewracanych mebli, nigdy więcej nie dotykać szyi człowieka leżącego na ziemi, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje. Nie był już policjantem, nie był już nawet człowiekiem. Był niczym.

- Nie, Nicolas. To ponad moje siły.

- Nie proszę cię o to ze względu na ciebie, ale ze względu na mnie.

Frank Ottobre popatrzył na Nicolasa Hulota, jakby go widział po raz pierwszy w życiu, a przecież znał go od lat. W przeszłości współpracowali przy śledztwie prowadzonym wspólnie przez FBI i Sûreté Publique, a dotyczącym międzynarodowego prania brudnych pieniędzy z handlu narkotykami i z aktów terrorystycznych. Policja Monako, ze względu na swój charakter i skuteczność, pozostawała w stałym kontakcie z policjami całego świata, w tym z FBI. Frank został przysłany, żeby uczestniczyć na miejscu w dochodzeniu, z uwagi na znakomitą znajomość francuskiego i włoskiego. Z Hulotem czuł się bardzo dobrze i natychmiast zostali przyjaciółmi. Utrzymywali potem kontakt i pewnego razu przyjechał z Harriet do Europy jako goście jego i jego żony. Z kolei Hulotowie planowali podróż do Ameryki, kiedy wydarzyła się ta historia z Harriet...

Frank pomyślał, że nie jest jeszcze w stanie nazywać rzeczy po imieniu, tak jak gdyby zmrok miał automatycznie nie zapaść, jeśli nie nazwać by nocy nocą. To, co się wydarzyło, w jego głowie pozostawało wciąż „historią z Harriet”...

Kiedy Hulot się o tym dowiedział, dzwonił do niego niemal dzień w dzień przez wiele miesięcy. Przekonał go w końcu, żeby przestał się izolować i przyjechał do niego,

do Monte Carlo. Z dyskrecją prawdziwego przyjaciela znalazł mu mieszkanie u André Ferranda, znajomego menadżera, który na kilka miesięcy przeniósł się do Japonii.

Hulot patrzył na niego w tej chwili, jak człowiek tonący w morzu patrzy na ratownika. Frank zastanawiał się przez chwilę, który z nich miałby być tonącym, a który ratownikiem. Byli dwiema samotnymi osobami, zmagającymi się z okrutną fantazją śmierci.

Frank nałożył z powrotem okulary i podniósł się szybkim ruchem, jakby chciał uprzedzić impuls pchający go do ucieczki.

- Chodźmy.

Jak automat ruszył za przyjacielem na „Beneteau”, czując coraz silniejsze bicie serca. Komisarz pokazał mu stopnie prowadzące na pokład dwumasztowca i puścił go przodem. Zauważył, że przyjaciel dostrzegł zablokowany ster, ale nic nie powiedział. Kiedy znaleźli się pod pokładem, Frank rozejrzał się dokoła, poruszając oczami za osłoną ciemnych okularów.

- Mhmm... Wygląda na bardzo luksusową łódź. Wszystko skomputeryzowane. To łódź samotnego żeglarza.

- Fakt, właścicielowi na pewno nie brakowało pieniędzy. Jeśli pomyślisz, że zarobił je, ryzykując latami życia w samochodzie wyścigowym, a potem skończył w taki sposób...

Frank zobaczył ślady pozostawione przez mordercę i te znajome, które zostawiła ekipa techniczna, żeby znaleźć inne, bardziej podstępne i mniej oczywiste. Znaki zdejmowania odcisków palców, pomiary, dokładna rewizja. Choć wszystkie okienka zostały otwarte, w powietrzu wciąż unosił się zapach śmierci.

- Obydwoje znaleźieni zostali tam, w sypialni, jedno obok drugiego. Ślady stóp, które tu widzisz, to odciski gumowych butów, być może od kombinezonu. Ślady dłoni nie pozostawiły odcisków palców. Morderca był w rękawiczkach i ani razu ich nie zdjął.

Frank przeciął korytarz, dotarł do kabiny właściciela i stanął w progu. Na zewnątrz był bardzo spokojny, ale w środku czuł piekło. Często widywał podobne sceny, widział krew rozpryskaną aż po sufit, widział autentyczne masakry. Ale byli to ludzie, którzy walczyli z innymi ludźmi, w sposób bezlitosny, o ludzkie sprawy. O władzę, pieniądze, kobiety i co tam jeszcze. Byli to zbrodniarze walczący z innymi zbrodniarzami. W każdym razie ludzie z ludźmi.

Tu zaś pachniało walką kogoś z jego własnymi demonami, tymi, które zżerają mózg, jak rdza zżera żelazo. Nikt nie mógł tego zrozumieć lepiej niż Frank.

Poczuł, że brakuje mu tchu, i wycofał się stamtąd. Hulot zaczekał, aż się zbliży, i podjął przerwana relację.

- W porcie Fontvieille, gdzie byli zacumowani, powiedziano nam, że Jochen Welder i Arijane Parker wypłynęli w morze wczoraj rano. Nie wrócili, więc myślimy, że zakotwiczyli się gdzieś niedaleko, bo nie mieli dużo paliwa. Przebieg zbrodni nie jest całkowicie wyjaśniony, ale mamy hipotezę, która zdaje się przekonywająca. Na pokładzie znaleźliśmy szlafrok. Być może dziewczyna wyszła zaczerpnąć powietrza. Może kąpała się. Morderca musiał przypląć z lądu. W każdym razie zaskoczył ją, wciągnął pod wodę i utopił. Na jej ciele nie było ran. Potem na pokładzie dorwał jego i zasztyletował. Zaciągnął ich do sypialni i ze spokojem wykonał tę... tę pracę, niech go diabli porwą. Następnie przyprowadził łódź w okolice portu, zablokował ster tak, żeby nacelować ją na przystań, i zmył się na ląd.

Frank milczał. Mimo półmroku, nie zdjął okularów. Z opuszczoną głową zdawał się wpatrywać w krwawą smugę oddzielającą ich niby koleina.

- Co ty na to?

- Musiał to zrobić ktoś z naprawdę zimną krwią, jeśli wszystko przebiegło tak, jak mówisz.

Chciał już iść stamtąd, wrócić do domu, chciałby nie widzieć tego, co zobaczył, nie mówić tego, co właśnie mówił. Chciał wrócić na molo i kontynuować spokojnie, w promieniach słońca, swój spacer donikąd. Chciał oddychać zupełnie bezwiednie. A jednak mówił dalej.

- Jeśli dotarł tu z lądu, to znaczy, że to, co zrobił, nie było nagłym atakiem szaleństwa, ale przygotował wszystko starannie i z premedytacją. Wiedział, gdzie znajduje się tych dwoje, i z całym prawdopodobieństwem to właśnie ich chciał zaatakować.

Hulot przytaknął, jakby usłyszał coś, co potwierdzało jego przypuszczenia.

- To nie wszystko, Frank. Jako komentarz do swojego czynu, zostawił jeszcze to.

Przesunął się ruchem, który jeszcze bardziej uwydatnił to, co znajdowało się za jego plecami. Wyłonił się za nim drewniany stół, a na nim szalony napis, który zdawał się skreślony piórem szatana.

Ja zabijam...

Frank zdjął okulary, jakby światło pod pokładem nie było wystarczające, aby wydobyć znaczenie tych słów.

- Jeśli wydarzenia miały taki przebieg, ten napis znaczy jedno, Nicolas. Nie jest to tylko komentarz do tego, co zrobił. Lecz zapowiedź, że znów to zrobi.

Trzeci karnawał

Mężczyzna zamyka za sobą ciężkie, hermetyczne drzwi. Skrzydło przystaje idealnie do metalowego słupka, tworząc jedną całość ze ścianą. Koło zamykające, podobne do tych na wieżyczkach w łodziach podwodnych, obraca się lekko w jego rękach. Mężczyzna jest silny, ale widać, że mechanizm jest często oliwiony i utrzymywany w znakomitym stanie. Mężczyzna jest bardzo skrupulatny i dokładny w tym, co robi. W miejscu, w którym się znajduje, panuje idealny ład i porządek.

Jest sam, zamknięty w swojej tajnej kryjówce, która wyklucza innych ludzi, światło dzienne i prostą płynność rozumowania. W jego umyśle tłoczą się i znajdują właściwe miejsce skrywany pośpiech zwierzęcia powracającego do kryjówki oraz przytomna koncentracja drapieznika, który upatrzył ofiarę, krew i czerwien zachodzącego słońca, krzyki i szepty, pokój i wojna.

Pomieszczenie ma kształt dosyć obszernego prostokąta. Lewa ściana w całości zajęta jest półkami z aparaturą elektroniczną. Stoi tam kompletny sprzęt nagraniowy, złożony z dwóch ośmiośladowych magnetofonów Alesis podłączonych do komputera Macintosh. Urządzenie uzupełniają aparaty do modulowania dźwięku ustawione w układzie kaskadowym po prawej stronie ściany. Są tam kompresory, filtry Focus Rite i Pro Tools, kilka urządzeń do efektów muzycznych Roland i Korg. Jest też skaner, dzięki któremu docierają komunikaty radiowe na wszystkich częstotliwościach, również policyjnych.

Mężczyzna lubi słuchać głosów w powietrzu. Przelatują z jednej strony na drugą, należą do osób bez twarzy i ciała, są czystą fantazją i swobodą wyobraźni, głosem na taśmie i jego głosem w głowie.

Mężczyzna podnosi z ziemi hermetycznie zamykane pudełko, które odłożył, żeby przekręcić koło. Po prawej stronie, przy metalowej ścianie stoi drewniany stół na dwóch krzyżakach. Mężczyzna kładzie na nim pudełko. Siada na biurowym krześle na

kólkach, które pozwala mu jednym ruchem przemieścić się pod przeciwną ścianę, gdzie uruchamia się sprzęt nagraniowy. Zapala lampę na stole, której blask dołącza się do światła halogenów przymocowanych do sufitu.

Mężczyzna czuje serce coraz mocniej bijące z podniecenia, kiedy otwiera jeden po drugim zatrzaszki pudełka.

Noc nie poszła na marne. Mężczyzna uśmiecha się. Na zewnątrz, w dzień podobny tysiącom innych dni, są ludzie, którzy właśnie go szukają.

Szmaciane psy o szklanych oczach, nieruchome w połyskującej witrynie ich świata. Inne głosy w powietrzu, które ścigają się nadaremno, tak jak daremny jest sens ich biegu.

Tam, w błogosławionym półmroku, dom jest znowu domem, słusność odnajduje swoją istotę, krok swoje echo. Lustro, które się nie rozbiło, odbija na ziemi niepotrzebnie rzucony kamień. Jego uśmiech rozszerza się, a oczy świecą niczym gwiazdy zapowiadające spełnienie się dawnego proroctwa. W absolutnej ciszy tylko jego umysł jest w stanie pochwycić wzniosłą muzykę, która rozlega się w powietrzu, kiedy unosi wieko pudełka.

W zamkniętej przestrzeni jego tajnej kryjówki roznosi się zapach krwi i morza. Mężczyzna czuje, jak trwoga ściska mu żołądek. Triumfalne bicie serca staje się nagle odgłosem śmiertelnego dzwonu.

Zrywa się na nogi, wkłada ręce do pudełka i delikatnymi ruchami kolekcjonera wyjmuje to, co pozostało z twarzy Jochena Weldera, ociekające krwią i morską wodą. Hermetyczne zamknięcie pudełka nie wytrzymało i słona woda dostała się do pojemnika. Bada palcami szkody wyrządzone przez sól. Tam, gdzie weszła w kontakt z morską wodą, skóra jest spalona i poplamiona na białło. Włosy są poplątane i szorstkie.

Mężczyzna wrzuca swoje trofeum z powrotem do pudełka, jakby dopiero teraz poczuł do niego wstręt. Opada na krzesło i bierze głowę w brudne od krwi i soli ręce. Nie bacząc na to, przeczesuje nimi włosy, a tymczasem jego głowa pochyla się pod ciężarem porażki.

Wszystko na darmo. Mężczyzna słyszy, jak z daleka nadchodzi gniew, ma w uszach szum wysokiej trawy, dyszący oddech, uderzenie pioruna, który rozbija się na dachach pośród przerażonych szeptów.

Jego wściekłość eksploduje. Znowu zrywa się na nogi, chwyta pojemnik, podnosi nad głowę i ciska w metalową ścianę. Ściana rezonuje jak diapazon nastrojony na

śmiertelne dzwony, które mężczyzna słyszy w sobie. Pudełko odbija się i spada na środek pokoju. Okręca się i zatrzymuje na boku, z wiekiem urwanym do połowy od gwałtownego zderzenia ze ścianą. Biedne szczątki Jochena Weldera i Arijane Parker wypadają z pudełka na ziemię. Mężczyzna patrzy na nie z odrazą jak na kubel śmieci przewrócony niechcący na podłogę.

Atak gniewu trwa krótko. Oddech wraca powoli do normy. Serce uspokaja się. Ręce opadają wzdłuż boków, ocierając się o tkaninę spodni. Oczy znów stają się oczami kapłana słuchającego w ciszy głosów przepowiedni, które docierają tylko do niego.

Będzie następna noc. A potem jeszcze wiele innych nocy.

I tysiące ludzkich twarzy, na których można będzie zgasić uśmiech jak świeczkę w środku głupiej, pustej dyni.

Znów siada na krześle i odpycha się w stronę ściany zajętej aparaturą elektroniczną. Szuka na najniższej półce, ciągnącej się wzdłuż całego pokoju, wypełnionej po brzegi płytami i kompaktami. Wyjmuje jeden z nich i niemal gorączkowo wkłada go do odtwarzacza. Naciska start i z głośników rozlegają się dźwięki smyczków.

Jest to melancholijna muzyka, która przywołuje zimny, jesienny wiatr, wiejący tuż nad ziemią i podrywający uschnięte liście do miękkiego, wirującego tańca.

Mężczyzna opiera plecy o krzesło. Znów się uśmiecha. Porażka została już zapomniana, złagodzona słodyczą muzyki.

Będzie następna noc. I jeszcze wiele innych nocy.

W pewnej chwili poprzez muzykę przebija głos.

To ty, Vibo?

8

Merde!

Nicolas Hulot rzucił trzymaną w rękach gazetę na stos tych, które już zalegały biurko. Wszystkie, francuskie i włoskie, przynosiły na pierwszej stronie wiadomość o podwójnym morderstwie. Mimo próby utrzymania w tajemnicy pewnych informacji, wszystko przeniknęło do prasy. Już same okoliczności zbrodni mogły stać się łakomym kąskiem, który rozbudziłby żarłoczność reporterów, przypominającą piranię nad ćwiercią wołu. Do tego ofiarami były dwie słynne postaci, toteż tytuły stały się apoteozą kreatywności. Mistrz świata Formuły 1 i jego dziewczyna, która dziwnym trafem była światowej sławy szachistką.

Istna kopalnia złota, w której każdy dziennikarz grzebałby nawet gołymi rękami.

Komuś szczególnie zręcznemu udało się krok po kroku ustalić przebieg wydarzeń, prawdopodobnie dzięki relacji, być może słono opłaconej, marynarza, który odnalazł ciała. Przy okazji zaś napisu skreślonego przez mordercę na stole fantazja reporterów rozbuchała się w sposób szczególny.

Każdy z nich przedstawił swoją osobistą interpretację, pozostawiając zmyślnie miejsce dla wyobraźni czytelnika.

Ja zabijam...

Komisarz zamknął oczy, ale obraz przed nimi nie zmienił się. Nie był w stanie wyrzucić z głowy owych znaków narysowanych krwią na drewnie. Takie rzeczy nie zdarzały się w rzeczywistości. To były wymysły pisarzy, żeby dobrze sprzedać książkę, wątki filmowe, które jakiś wzięty scenarzysta pisał w swoim domu na plaży w Malibu, sącząc drinka. To były śledztwa dotyczące amerykańskich detektywów o twarzy Bruce'a Willisa albo Johna Travolty, o atletycznej budowie, zręcznie władających bronią, a nie komisarza bliższego już emerytury niż sławy.

Wstał od biurka i podszedł do okna krokiem człowieka zmęczonego długą podróżą.

Dzwonili do niego wszyscy po kolei, zgodnie ze skalą hierarchii. Wszystkim udzielał jednakowych odpowiedzi, jako że wszyscy zadawali takie same pytania. Spojrzał na zegarek. Już niedługo miało się odbyć zebranie koordynujące dochodzenie. Poza Lukiem Roncaille, dyrektorem Sûreté, miał na nim być Alain Durand, prokurator generalny, który postanowił wziąć śledztwo bezpośrednio w swoje ręce jako sędzie śledczy, a także, jak się zdaje, radca z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Brakowało tylko księcia, który zgodnie z systemem wewnętrznym był zwierzchnikiem policji, ale nie było to jeszcze ustalone...

W stosunku do każdego z nich zamierzał trzymać się dwóch zasad: mało informacji, dużo dyplomacji. Usłyszał stukanie do drzwi i odwrócił się.

- Proszę.

Drzwi otworzyły się i wszedł Frank, z wyrazem twarzy kogoś, kto znajduje się w jakimś miejscu, chociaż chciałby być zupełnie gdzie indziej.

Hulot zdziwił się na jego widok, a jednak poczuł instynktowną ulgę. Wiedział, że to gest wdzięczności wobec jego osoby, mały odruch solidarności w tym morzu kłopotów, w którym się mიაł. Oto on, Frank Ottobre, Frank z dawnych lat, będzie dokładnie typem policjanta, zdolnym przeprowadzić takie właśnie śledztwo, choć wiedział, że jego przyjaciel nie chciał już nigdy więcej być policjantem.

- Cześć, Frank.

- Cześć, Nicolas, jak leci?

Hulot miał wrażenie, że tamten zapytał go o to, żeby uniknąć takiego samego pytania z jego strony.

- Jak leci? Możesz sobie wyobrazić, jak leci. Spadł na mnie meteoryt, podczas gdy z trudem udźwignąłbym kamyczek. Jestem w niewyobrażalnych opałach. Mam ich wszystkich na karku. Zdają się psami, które wzięły mój tyłek za lisa.

Frank nic nie odpowiedział i usiadł w fotelu przed biurkiem.

- Czekamy na wyniki autopsji i na raport kryminologiczny, ale raczej nie ma w nim nic znaczącego. Eksperci przetrząsnęli łódź centymetr po centymetrze i nic nie wyszło na jaw. Zleciliśmy ekspertyzę grafologiczną napisu na stole i również w tym przypadku czekamy na wyniki. Wszyscy modlimy się ze złożonymi rękami, żeby nie było prawdą to, co zdaje się...

Szukał na twarzy Amerykanina choćby najmniejszego śladu zainteresowania jego relacją. Znał historię Franka i wiedział, że bagaż, który dźwiga, byłby ciężki dla każdego. Po stracie żony i z uwagi na okoliczności, jakie temu towarzyszyły, Frank zdawał się żyć z zamiarem systematycznej autodestrukcji, jakby czuł się odpowiedzialnym za wszystkie grzechy świata.

Widział osoby, które popadały w alkoholizm albo w coś jeszcze gorszego, inne, które wręcz odbierały sobie życie w rozpaczliwej próbie zabicia wyrzutów sumienia. Tymczasem Frank pozostawał przytomny, nienaruszony, niemal jakby chciał uniemożliwić sobie zapomnienie, jakby chciał dzień po dniu odbywać srogą karę, bez żadnych okoliczności łagodzących. Wyrok został wydany, a on był jednocześnie sędzią i skazanym.

Hulot usiadł i oparł łokcie na blacie stołu. Frank wciąż milczał, z nogami założonymi na fotel, z twarzą bez wyrazu. Nicolas kontynuował, jakby kosztowało go to straszliwy wysiłek.

- A my nie mamy nic. Zupełnie nic. Ten człowiek miał na sobie prawdopodobnie przez cały czas kombinezon pletwonurka, łącznie z butami, rękawiczkami i kapturem. A to znaczy żadnych odcisków palców i żadnego śladu organicznego, takiego jak włosy. Zostawił odbicie stóp i dłoni tak typowe, że mogłyby należeć do milionów osób.

Hulot zrobił pauzę. Oczy Franka zdawały się dwoma kawałkami węgla, ciemnymi jak kopalnia, z której zostały wydobyte.

- Rozpoczęliśmy dochodzenie w sprawie ofiar. Możesz sobie wyobrazić, ile ludzi dwie osoby, takie jak te, spotykały na swojej drodze, wciąż w podróży...

Nagle zachowanie komisarza zmieniło się, jakby pod wpływem niespodziewanego pomysłu.

- Dlaczego mi nie pomożesz, Frank? Mogę zadzwonić do twojego szefa, mogę poprosić, żeby poczyniono odpowiednie kroki, by włączyć cię do śledztwa jako osobę kompetentną i poinformowaną o faktach. W gruncie rzeczy, raz już tak było... Jesteś odpowiednim typem, żeby zająć się tym przypadkiem. Mówisz doskonale po włosku i francusku, znasz metody śledcze i mentalność policji europejskiej. Znasz tutejszych ludzi. Jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Głos ten owionął twarz Franka jak wiatr niosący burzę, ale chmury w jego oczach należały do innej nawałnicy.

- Nie, Nicolas. Ty i ja nie mamy już tych samych wspomnień. Nie jestem już tym, kim byłem. I już nigdy nie będę.

Komisarz podniósł się z fotela, obszedł biurko i oparł się o blat, stając naprzeciwko Franka. Pochylił się lekko w jego stronę, tak jakby chciał nadać swoim słowom większą moc.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to, co przytrafiło się Harriet, to nie twoja wina? A przynajmniej, niecałkowicie?

Frank odwrócił głowę w stronę okna. Jego szczęka skurczyła się, jakby chciał przytrzymać zębami odpowiedź, jakiej udzielał już zbyt często. Jego milczenie rozwścieczyło Hulota, który podniósł głos.

- Chryste, Frank! Przecież wiesz, co się stało. Widziałeś na własne oczy. Tam, na zewnątrz, jest morderca, który zabił już dwie osoby i może zamordować następne. Nie wiem dokładnie, co siedzi ci w głowie, ale czy nie myślisz, że przyczynienie się do zatrzymania tego maniaka mogłoby być dobrym sposobem, żeby się lepiej poczuć? Czy nie myślisz, że pomaganie innym może być formą pomocy sobie? Pomocy w powrocie do domu?

Frank podniósł wzrok na przyjaciela. Jego oczy należały do człowieka, który może pójść gdziekolwiek, czując, że nie przynależy nigdzie.

- Nie.

Ta monosylaba wypowiedziana spokojnym głosem wyrosła między nimi jak mur. Na chwilę zablokowała obydwu. W owym momencie byli jak pojedyncza klatka filmu, którego końca nie znali.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Claude Morelli.

- Komisarzu...

- Co jest, Morelli?

- Jest tu ktoś z Radia Monte Carlo...

- Powiedz, że nie rozmawiam teraz z dziennikarzami. Dyrektor zwoła później konferencję prasową.

- Ale komisarzu, to nie jest dziennikarz. To didżej, który prowadzi wieczorną audycję muzyczną. Przyszedł z dyrektorem radia. Czytali gazety i mówią, że być może mają informacje dotyczące dwóch morderstw w porcie.

Hulot zawahał się. Wszystko, co mogło się przydać, było autentyczną manną z nieba. Obawiał się natomiast pochodzenia mitomanów przekonanych, że wiedzą wszystko

o zabójstwach, albo wręcz gotowych wyznać, że to oni są mordercami. Jednak nie należało lekceważyć żadnego tropu.

Żadnego.

Wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- Wprowadź ich.

Morelli wyszedł i wyglądało to na umówiony znak. Frank podniósł się z fotela i skierował do drzwi. Jeszcze do nich nie dotarł, kiedy na powrót się otworzyły i wrócił Morelli w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden był młodym, około trzydziestoletnim chłopakiem o długich i czarnych włosach, drugi miał gdzieś czterdzieści pięć lat. Frank spojrział na nich przelotnie i przesunął się, żeby ich wpuścić. Skorzystał z okazji, żeby prześlizgnąć się przez otwarte drzwi.

Na progu zatrzymał go głos Nicolasa Hulot.

- Frank, jesteś naprawdę pewny, że nie chcesz zostać?

Frank Ottobre bez słowa wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

9

Wychodząc z komendy policji, Frank skręcił w lewo w rue Suffren Raymond i po kilkudziesięciu metrach znalazł się na bulwarze Alberta Premier, alei biegnącej wzdłuż portu. Dźwig budowlany poruszał się leniwie na tle błękitnego nieba. Ekipa robotników pracowała jeszcze przy demontażu boksów i ładowaniu ich na ciężarówki.

Wszystko odbywało się zgodnie z przepisami.

Przeszedł przez ulicę i zatrzymał się na promenadzie naprzeciw portu, żeby popatrzeć na zacumowane łodzie. W przystani nie pozostał ślad po tym, co się wydarzyło.

„Beneteau” został stamtąd usunięty i na pewno gdzieś odstawiony do dyspozycji policji prowadzącej dalsze dochodzenie. „Baglietto” i druga łódź, między którymi utknął, jeszcze tam były i unosiły się na wodzie, jakby nic się nie wydarzyło, ocierając się lekko o siebie osłonami, kiedy ruch fal zbliżał je do siebie. Bariérki zdemontowano. Nie było już nic do oglądania.

Bar portowy podjął swoją normalną działalność. Prawdopodobnie ostatnie wypadki powiększyły jeszcze klientelę o ciekawskich, którzy chcieli być tam, gdzie zdarzyło się to, co się zdarzyło. Być może młody marynarz, który odkrył trupy, był tam teraz i cieszył się swoją chwilą popularności, opowiadając o tym, co widział. Albo siedział w milczeniu przed kieliszkiem i próbował zapomnieć.

Frank usiadł na kamiennej ławce.

Jakiś chłopiec przejechał pędem na rolkach, a za nim mała dziewczynka na wrotkach, prosząc płaczącym głosem, żeby na nią zaczekał. Mężczyzna z czarnym labradorem stał cierpliwie, aż pies załatwi swoje potrzeby, po czym wyjął z kieszeni plastikową torebkę i paletkę i podniósł z ziemi produkt psiego występkę, żeby wyrzucić go karnie do kosza na odpadki.

Normalni ludzie. Osoby żyjące jak wiele innych, jak wszyscy, może mające więcej pieniędzy, więcej szczęścia albo złudzeń, że mogą je łatwiej zdobyć. Może to wszystko tylko pozór. Choćby ze złota, klatka pozostawała zawsze klatką, a każdy był kowalem swego losu. Każdy budował swoje życie albo je niszczył zgodnie z zasadami, które sam sobie narzucił. Albo, które odrzucał.

Dla nikogo nie było ratunku.

Jakaś łódź wypływała z portu i blondynka w niebieskim kostiumie machała z dziobu ręką, żegnając kogoś na brzegu. Z daleka przypominała Harriet.

Frank poczuł uderzenie nerwowego gorąca, podchodzące z żołądka na twarz. W jednej chwili morze nałożyło się na inne morze, promień na inny promień, pamięć na spojrzenie.

Po wyjściu ze szpitala on i Harriet wynajęli dom na wybrzeżu Georgii, w odludnym miejscu. Drewniany dom, pokryty czerwoną, kanadyjską dachówką, zbudowany wśród wydm około stu metrów od morza. Z przodu miał werandę z wielkimi, przesuwanymi, szklanymi drzwiami, które latem można było otwierać, tworząc coś w rodzaju patio.

Nocą słuchali szumu wiatru wśród rzadkiej roślinności oraz fal oceanu rozbijających się o brzeg. Leżeli w łóżku i czuł, jak żona przytula się do niego mocno przed zaśnięciem, jakby miała nieodpartą potrzebę upewnienia się o jego obecności, jakby nie była w stanie uwierzyć, że on tam naprawdę z nią jest, żywy.

Dnie spędzali na plaży, opalając się i pływając. Ten fragment wybrzeża był praktycznie pusty. Ci, którzy szukali morza i zatłoczonych plaż, jeździli gdzie indziej, do modnych kurortów, żeby patrzeć na trenujących kulturystów albo na dziewczyny z poprawionymi piersiami i pośladkami, które przechadzały się, kręcąc pupami, jakby to był casting do Słonecznego patrolu.

Tam, wyciągnięty na ręczniku, Frank mógł wystawić bez wstydu na słońce swoje wychudzone ciało, pokrywające je wszędzie zaczerwienione blizny, bolesny ślad po operacji serca, w czasie, której usunięto odłamek, który omal go nie zabił.

Czasami Harriet, leżąc obok niego, przeciągała palcami po wrażliwej skórze blizny i oczy zachodziły jej łzami. Nie mówili o tym, co się stało. Czasami zalegała między nimi cisza, kiedy obydwoje myśleli o tym samym, ale w inny sposób, kiedy przypominali sobie cierpienia ostatnich miesięcy i cenę, jaką zapłacili.

Wtedy nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy. Każde odwracało głowę w stronę swojego kawałka morza, dopóki jedno z dwojga, wciąż w milczeniu, nie znalazło siły, żeby się odwrócić i objąć drugie.

Czasami chodzili po zakupy do Honesty, wioski rybackiej, która była najbliższą zamieszkaną miejscowością. Przypominała bardziej Szkocję niż Amerykę. Była to spokojna osada, z dala od szlaków turystycznych, o podobnych do siebie drewnianych domach z podmurówką, stojących wzdłuż drogi biegnącej równoległe do plaży, przy której pas cementu położony na skały spełniał rolę falochronu w czasie zimowej niepogody.

Obiad jadali w przeszklonej restauracji, zbudowanej na palach nad nabrzeżem, z drewnianą podłogą skrzypiącą od kroków kelnerów. Pili białe wino tak zimne, że potniały kieliszki, i jedli świeżo złowione homary, brudząc sobie palce i opryskując się sosem, kiedy próbowali otworzyć szczypce. Często śmiali się jak dzieci i Harriet zdawała się beztroska, Frank zresztą też.

Nie poruszali żadnych trudnych tematów, aż do momentu, gdy odebrali tamten telefon.

Byli w domu i Frank kroił warzywa na sałatkę. Z piekarnika dobywał się apetyczny zapach ryby i pieczonych ziemniaków. Na zewnątrz wiatr unosił piasek na wydmach, a morze białe było od piany. Samotne żagle dwóch desek windsurfingowych śmigały szybko po falach, naprzeciw dużego samochodu terenowego zaparkowanego na plaży. Harriet była na werandzie i przez szum wiatru nie usłyszała dźwięku telefonu. Frank wychylił się zza progu kuchni z dużą czerwoną papryką w dłoni.

- Harriet, telefon. Odbierz, proszę, bo mam zajęte ręce. Jego żona wstała i podeszła do starego, zawieszzonego na ścianie aparatu, który nie przestawał dzwonić. Zdjęła słuchawkę, a on na nią patrzył.

- Słucham?

Ledwie usłyszała odpowiedź, wyraz jej twarzy zmienił się, jak to się zdarza, kiedy dostaje się złą wiadomość. Uśmiech zgasł i przez chwilę pozostawała w milczeniu. Potem odłożyła słuchawkę tak, żeby nie przerwać połączenia, i popatrzyła na Franka z intensywnością, która przez długi jeszcze czas miała zakłócać jego noc.

- To do ciebie: Homer.

Odwróciła się plecami i poszła z powrotem na werandę, nic więcej nie dodając. Teraz on podszedł do telefonu i ujął słuchawkę jeszcze ciepłą od uścisku dłoni jego żony.

- Tak?

- Frank, tu Homer Woods. Jak się masz?

- Dobrze.

- Naprawdę dobrze?

- Tak.

Jeżeli Homer spostrzegł jego telegraficzny sposób mówienia, nie dał tego po sobie poznać. Kontynuował, jakby ich ostatnia rozmowa skończyła się przed dziesięcioma minutami.

- Złapaliśmy ich.

- Kogo?

- Larkinów. Tym razem przyłapaliśmy ich na gorącym uczynku. Obyło się bez żadnych bomb. Była strzelanina i Jeff Larkin przyplacił to życiem. Była tam góra towaru i jeszcze większa góra pieniędzy. I papiery. Pojawiły się nowe, bardzo obiecujące tropy. Mamy dosyć materiału, żeby posadzić kupę ludzi.

- Dobrze.

Powtórzył drugi raz to samo słowo takim samym tonem, ale jego szef znów udał, że tego nie zauważa.

Frank wyobrażał sobie Homera Woodsa w gabinecie z ciemnego drewna, siedzącego z telefonem w dłoni; niebieskie oczy, okulary w złotych oprawkach, niezmiennie jak jego szary garnitur z kamizelką i koszulką z błękitnego płótna.

- Frank, to przede wszystkim dzięki tobie i Cooperowi dotarliśmy do Larkinów. Tutaj wszyscy o tym wiedzą i zależało mi na tym, żeby cię powiadomić. Kiedy myślisz wrócić?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Sądzę, że wkrótce.

- Dobrze, nie zamierzam naciskać. Ale pamiętaj o tym, co ci powiedziałem.

- Dobrze, Homer. Dziękuję ci.

Odłożył słuchawkę i wyszedł poszukać Harriet. Siedziała na werandzie i patrzyła na dwóch chłopców, którzy złożyli deski i teraz wkładali je na dach wozu terenowego.

Usiadł w milczeniu obok niej na drewnianej, dwuosobowej ławeczce. Przez jakiś czas patrzyli na plażę, dopóki samochód nie odjechał, tak jakby ta obecność

obcych, mimo że na odległość, była sama w sobie przeszkodą do jakiegokolwiek porozumienia.

To Harriet przerwała milczenie.

- Zapytał, kiedy zamierzasz wrócić, prawda?

- Tak.

Nigdy nie było między nimi kłamstw i Frank nie chciał zaczynać właśnie teraz.

- A ty tego chcesz?

Frank spojrział na nią, ale Harriet starannie unikała jego wzroku. Więc on też zaczął patrzeć na morze i spienione białe fale.

- Harriet, jestem policjantem. Nie wybrałem takiego życia z konieczności, ale ponieważ mi się podobało. Zawsze pragnąłem robić to, co robię, i nie wiem, czy przystosowałbym się do czegoś innego. Nie wiem nawet, czy byłbym zdolny. Jest takie włoskie przysłowie, które powtarzała mi zawsze moja babcia. Mówi ono, że kto rodzi się kwadratowy, nie umiera okrągły...

Podniósł się i położył rękę na ramieniu żony, która zeszywniała.

- Ja nie wiem, do którego z tych dwóch kształtów należą, Harriet, ale wiem, że nie chcę go zmienić.

Wszedł do domu, a kiedy potem wrócił na taras, jej tam nie było. Na piasku przed domem ślady prowadziły na wydmy. Zobaczył ją z daleka, idącą blisko linii brzegowej, maleńką postać z rozwianymi wiatrem włosami. Śledził ją wzrokiem, dopóki następne wydmy nie zasłoniły widoku. Pomyślał, że chce być sama i że w gruncie rzeczy można to zrozumieć. Wrócił do domu i usiadł przy stole przed jedzeniem, którego nie miał już ochoty tknąć.

Nagle nie czuł się już tak pewny tego, co jej niedawno powiedział. Być może istniało jakieś inne możliwe życie dla nich dwojga. Może to prawda, że kto rodzi się kwadratowy, nie stanie się okrągły, ale mógłby stępić krawędzie, zaokrąglić je tak, żeby nikogo to nie raniło.

Przede wszystkim osób, które kocha.

Postanowił przemyśleć to w nocy. Nazajutrz rano porozmawia z Harriet. Razem, był pewien, że znajdą rozwiązanie.

Jednak dla nich dwojga nie było już żadnego nazajutrz.

Czekał na powrót Harriet do późnego popołudnia. Kiedy słońce zaczęło zachodzić i wydłużało cienie wydm niczym ciemne palce na plaży, zobaczył dwie

postaci zbliżające się powoli wzdłuż brzegu. Zmrużył oczy, żeby osłonić je od odbicia zachodzącego słońca. Byli jeszcze zbyt daleko, żeby ich rozpoznać. Frank przez otwarte okno widział ślady, które zbliżające się osoby zostawiały za sobą na wydmach aż po horyzont. Ich ubrania powiewały na wietrze, a ich postaci drgały, jakby przefiltrowane przez parę, która w upalny dzień unosi się w oddali nad asfaltem. Kiedy byli wystarczająco blisko, Frank rozpoznał szeryfa z Honesty.

Poczuł narastający niepokój, złowrogie przeczucie. Znalazł się wreszcie naprzeciw owego mężczyzny, który przypominał bardziej księgowego niż policjanta, i jego obawy stały się straszliwą rzeczywistością. Trzymając kapelusz w rękę i unikając, jak to możliwe, wzroku Franka, szeryf poinformował go o tym, co się stało.

Kilka godzin wcześniej rybacy płynący na swojej łodzi wzdłuż nabrzeża, dwieście metrów od plaży, spostrzegli kobietę odpowiadającą wyglądowni Harriet. Stała na szczycie skały, która jakby w wyniku jakiegoś geologicznego wypadku przecinała długi ciąg przybrzeżnych wydm. Była sama i wpatrywała się w morze. Kiedy znaleźli się mniej więcej na jej wysokości, kobieta rzuciła się do wody. Ponieważ się nie wynurzała, natychmiast zmienili kurs łodzi, żeby pójść jej na ratunek. Jeden z nich wskoczył do morza w miejscu, w którym spadła, ale mimo wysiłków nie zdołali jej znaleźć. Bezzwłocznie zawiadomili posterunek policji.

Morze zwróciło ciało Harriet dopiero po dwóch dniach, kiedy nurty wyrzuciły je na mieliznę w zatoce, kilka kilometrów na południe od domu.

W czasie identyfikacji Frank czuł się jak morderca nad zwłokami swojej ofiary. Przyglądał się twarzy swojej żony leżącej na stole w prosektorium i skinieniem głowy potwierdził jednocześnie tożsamość Harriet i wydał wyrok na siebie. Dzięki zeznaniom rybaków nie było praktycznie dochodzenia, ale to nie uwolniło Franka od wyrzutów sumienia.

Tak bardzo był zajęty sobą, że nie zauważył głębokiej depresji, w jaką wpadła Harriet. Nikt jej nie dostrzegł, ale nie była to okoliczność łagodząca. On powinien był zrozumieć, co dzieje się w umyśle żony. On powinien był zrozumieć. Były wszystkie oznaki, ale jemu w szaleństwie rozczulania się nad samym sobą, udało się je zignorować. Rozmowa po telefonie Homera była dla niej ciosem ostatecznym.

Koniec końców okazało się, że nie jest ani okrągły, ani kwadratowy, tylko ślepy.

Wyniósł się z tamtych stron z ciałem swojej żony zamkniętym w trumnie, nie zaglądając nawet do domu, żeby spakować walizki.

Przez cały ten czas nie zdołał uрониć nawet jednej łzy.

- Mamo, popatrz, ten pan płacze.

Dziecięcy głos wyrwał go z odrętwienia, w które popadł.

Stojąca obok niego blondwłosa dziewczynka w niebieskiej sukience uciszona została szturchnięciem przez matkę, która spojrzała na niego i uśmiechnęła się zmieszana. Odeszła w pośpiechu, trzymając córkę za rękę.

Frank nie zauważył, że płacze. Nie wiedział nawet, jak długo tak siedzi.

Te łzy przybywały z daleka. Nie przynosiły ocalenia ani zapomnienia, jedynie ulgę. Były chwilą wytchnienia, kiedy mógł oddychać, czuć prawdziwą temperaturę słońca, widzieć prawdziwy kolor morza, słyszeć swoje serce bijące w piersi bez akompaniamentu śmiertelnych bębnów.

Odpokutowywał swoje szaleństwo.

Cały świat odpokutowywał jego szaleństwo.

Powtarzał to sobie godzinami po śmierci Harriet, siedząc na ławce w ogrodzie St. James Clinic, gdzie umieszczono go, kiedy znalazł się bliski obłądu. Zrozumiał to ostatecznie wiele miesięcy później, po tragedii World Trade Center, kiedy zobaczył w telewizji te dwie wieże, które runęły tak, jak mogą runąć tylko złudzenia. Ludzie w samolotach uderzali w drapacze chmur w imię Boga, gdy tymczasem ktoś rozparty wygodnie w swoim gabinecie wiedział już, jak wykorzystać to ich szaleństwo na giełdzie. Inni ludzie zarabiali na życie, fabrykując i sprzedając miny, i za te pieniądze kupowali swoim dzieciom bożonarodzeniowe prezenty, podczas gdy inne dzieci od ich min ginęły lub były okaleczone. Sumienie było dodatkiem, którego wartość związana była z wahaniami ceny baryłki ropy. Więc nie należało się dziwić, że pośród tego wszystkiego pojawiał się od czasu do czasu ktoś, kto sam wypisywał krwią swoje przeznaczenie.

Ja zabijam...

Wyrzuty sumienia spowodowane śmiercią Harriet miały być okrutnym towarzyszem podróży, który go nigdy nie opuści. Same w sobie miały być wystarczającą karą na resztę jego dni. Miał nigdy nie zapomnieć, nawet gdyby jego życie miało trwać wiecznie. I nigdy nie zdoła sobie wybaczyć, nawet gdyby jego życie miało trwać podwójną wieczność.

Nie mógł położyć kresu szaleństwu świata. Mógł to tylko uczynić z własnym szaleństwem i żywić nadzieję, że kto jeszcze będzie mógł to zrobić, pójdzie jego śladem. Żeby zetrzeć na zawsze ten i podobne napisy. Wciąż siedział na kamiennej ławce i płakał, nie zważając na ciekawe spojrzenia przechodniów, aż zabrakło mu łez.

Wtedy wstał i powoli ruszył w stronę komendy policji.

10

Ja zabijam...

Głos pozostał przez chwilę w zawieszeniu i zdawał się karmić przytłumionym szumem motoru, żeby potem nadal dźwięczeć we wnętrzu samochodu jak echo.

Komisarz Hulot nacisnął przycisk samochodowego radia i taśma zatrzymała się na głosie Jean-Loup Verdiera, który z wysiłkiem próbował kontynuować audycję. Po rozmowie z didżejem i Robertem Bikjalo, dyrektorem Radia Monte Carlo, mała, okrutna nadzieja wyłoniła się zza wielkiej góry, na którą detektywi próbowali się rozpaczliwie wdrapać.

Być może telefon, który odebrano podczas audycji „Voices”, był sprawką jakiegoś mitomana, jakimś niesłychanym przypadkiem, zbiegiem okoliczności, wynikającym z układu gwiazd zdarzającego się raz na tysiąc lat. Jednak te dwa słowa: *Ja zabijam...*, wypowiedziane jak groźba na końcu rozmowy, były identyczne jak te zapisane krwią niewinnych ofiar na drewnianym stole na jachcie.

Hulot zatrzymał samochód na czerwonym świetle. Kobieta popychająca wózek przeszła przez ulicę przed jego szybą. Po jego prawej stronie rowerzysta na żółtym rowerze i w niebieskim dresie oparł się o słup semafora, przytrzymując się, żeby nie zdejmować nóg z pedałów.

Wszędzie wokół było kolorowo i ciepło. Czuło się nadchodzące lato ze wszystkimi jego obietnicami, w ogródkach przed barami, na ulicach pełnych ludzi, na nadbrzeżnym bulwarze, gdzie mężczyźni, kobiety i dzieci nie prosili o nic innego, tylko o to, żeby obietnice te zostały dotrzymane.

Wszystko było normalne.

Jedynie w samochodzie stojącym na czerwonym świetle unosiła się jakaś obecność, która miała moc przesłaniania tego całego świata, sprowadzania jego barw do martwej tonacji bieli i czerni.

- Czy są jakieś nowiny od technicznej? - zapytał Frank.

Czerwień przeszła w zieleń. Hulot włączył bieg i ruszył. Rowerzysta oddalił się szybko. Rower pozwalał na rozwinięcie większej prędkości od kolumny samochodów, posuwających się powoli wzdłuż wybrzeża.

- Przyszedł raport patologa. Autopsji dokonano w rekordowym tempie. Widać, że ktoś ważny naciskał, żeby mieć te wyniki jak najszybciej. Wszystko się potwierdza. Dziewczyna umarła w wyniku zamartwicy spowodowanej utonięciem, jednak w jej płucach nie znaleziono słonej wody. To znaczy, że umarła bez możliwości wypłynięcia. Zazwyczaj płuca wypełniają się wodą, kiedy ktoś, kto tonie, kilka razy wynurza się, zanim się ostatecznie utopi. W tym przypadku morderca musiał zaskoczyć ją w wodzie, wciągnąć pod powierzchnię i utopić. Zwłoki skrupulatnie obejrzano. Żadnego znaku, żadnego śladu na ciele. Przebadano je na wszelkie możliwe sposoby, za pomocą urządzeń, jakie są do dyspozycji w laboratorium.

- A on?

Twarz Hulota spochmurniała.

- Jeśli o niego chodzi, sprawy wyglądają inaczej. Został zabity bardzo ostrą bronią sieczną, ciosem z góry na dół. Ostrze wbiło się między piąte a szóste żebro i przeszło serce. Śmierć nastąpiła niemal natychmiast. Morderca musiał zaatakować na zewnątrz, na pokładzie, wskazywały na to ślady krwi. Jochen Welder był bardzo mocno zbudowany. Niezbyt wysoki, ale w każdym razie dosyć wysoki jak na średnią wśród kierowców. I bardzo wysportowany. Jogging i sala gimnastyczna. W związku z tym, mimo efektu zaskoczenia, również napastnik musi być raczej atletycznej budowy, zręczny i silny.

- Czy zwłoki zostały zgwałcone?

Hulot potrząsnął głową.

- Nie. Lub raczej nie, on na pewno nie. Ona niewiele wcześniej miała stosunek. Były pozostałości spermy w jej pochwie, ale z wszelkim prawdopodobieństwem należały do Weldera. Sądzę, że badanie DNA potwierdzi to w dziewięćdziesięciu procentach.

- Cóż, to wykluczałoby motyw seksualny, przynajmniej w ogólnie przyjętym rozumieniu.

Frank powiedział to tonem kogoś, kto odkrywa, że z pożaru domu ocalała jedna serwetka.

- Jeśli chodzi o ślady i inne pozostałości organiczne, jak możesz sobie wyobrazić, na łodzi znaleziono ich w bród. To także prześlemy do analizy DNA, ale nie zdziwiłbym się, jeśli ten trop prowadziłby donikąd.

Minęli Beaulieu i luksusowe hotele usytuowane wzdłuż morza, z parkingami wypełnionymi lśniącymi, pachnącymi skórą samochodami, stojącymi spokojnie w cieniu pod drzewami. Wszędzie były klomby kwitnące tysiącem kolorów w świetle tego cudownego dnia. Wzrok Franka przyciągnęły czerwone kwiaty hibiskusa w ogrodzie jednej z willi.

Znów czerwień. Znów krew.

Wyciągnął rękę, żeby przesunąć otwór wentylacyjny, który nawiewał zimne powietrze prosto w twarz.

- A więc nic nie mamy.

- Nic a nic.

- Antropometryczne pomiary śladów?

- Również z nich nie wynika nic specjalnego. Powinno chodzić o osobnika o wzroście około metra osiemdziesięciu, plus minus pięć centymetrów, i o przybliżonej wadze siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Typologia fizyczna wspólna dla tysięcy osób.

- Słowem, atleta.

- Właśnie, atleta... Do tego bardzo zręczny. Frank miał całą serię nasuwających mu się pytań, ale nie chciał naciskać przyjaciela, który zdawał się zastanawiać i wyciągać własne wnioski, w miarę jak przedstawiał mu dane, jakie miał dotąd do dyspozycji. Czekał więc w milczeniu.

- To, co zrobił ze zwłokami, to nie byle jaka praca. Wykonał ją z dużą biegłością. Na pewno nie robił czegoś takiego po raz pierwszy. Być może chodzi o kogoś, kto ma coś wspólnego ze środowiskiem lekarskim...

Frank z przykrością ostudził nadzieje przyjaciela.

- Warto spróbować, nigdy nie wiadomo. Jednak byłoby to zbyt proste. Powiedziałbym, banalne. Niestety, w niektórych szczegółach anatomia człowieka nie różni się specjalnie od jakiegokolwiek zwierzęcia. Wystarczy, że nasz człowiek poćwiczył na kilku królikach, żeby w ten sam sposób postąpić z istotą ludzką.

- Króliki, co? Istoty ludzkie jak króliki...

- On jest sprytny, Nicolas. To oszalały wariat, ale sprytny i zimny jak lód. Potrzeba kogoś, kto ma freon w żyłach, żeby zrobić to, co on zrobił, posłać łódź, żeby

zaklinowała się między dwiema innymi i spokojnie odpłynąć. A do tego z precyzyjnym zamiarem, żeby rzucić nam wyzwanie, żeby nas przechytrzyć.

- Masz na myśli muzykę?

- Tak. Zakończył połączenie telefoniczne fragmentem ścieżki dźwiękowej z Kobiety i mężczyzny.

Hulot przypomniał sobie, że widział ten film Leloucha przed laty, na początku znajomości z Céline, swoją żoną. Dokładnie pamiętał piękną historię miłosną i to, że potraktowali ją jako dobrą wróżbę dla ich przyszłego związku.

Frank kontynuował, przypominając mu szczegóły, na który do tej pory nie zwrócił uwagi.

- W filmie bohater jest kierowcą rajdowym.

- Rzeczywiście. Jochen Welder też był kierowcą. A zatem...

- Dokładnie tak. W radiu, poza zapowiedzią swoich morderczych zamiarów, zostawił też wskazówkę, kogo chce zabić. Ale to według mnie nie koniec. Zabił i chce to znów zrobić. A my musimy mu w tym przeszkodzić. Jak, nie wiem, ale musimy to zrobić za wszelką cenę.

Samochód zatrzymał się na kolejnym czerwonym świetle, na krótkim zjeździe przy końcu bulwaru Carnota. Przed nimi była Nicea, nadmorskie miasto, wyblakłe i ludzkie, dalekie od polakierowanej czystości Monte Carlo i zamieszkujących je zamożnych emerytów.

Kierując auto w stronę placu Masseny, Hulot odwrócił się, żeby spojrzeć na siedzącego obok Franka. Miał wzrok utkwiony przed siebie, z zamyślonym wyrazem twarzy Ulissesa, czekającego na śpiew syren.

Nicolas Hulot zatrzymał swojego peugeota 206 przed bramą Centrum Szkolenia Policji w Auvare przy rue de Roquebillère.

Stojący przed dyżurką funkcjonariusz w mundurze ruszył ze znudzoną miną, żeby polecić mu, aby odjechał sprzed wjazdu zarezerwowanego dla personelu policji. Przez okno samochodu komisarz pokazał mu odznakę.

- Komisarz Hulot, Sûreté Publique z Monako. Jestem umówiony z komisarzem Frobenem.

- Przepraszam, komisarzu. Nie poznałem pana. Do usług.

- Czy może go pan zawiadomić o moim przyjeździe?

- Tak jest, komisarzu. Proszę tymczasem wjechać.

Hulot podjechał jeszcze kilka metrów i zaparkował samochód w cieniu, przy krawężniku. Frank wysiadł i rozejrzał się wokół. Koszary w Auvare był to kompleks dwupiętrowych budynków o murach w kolorze cementu i dachach pokrytych czerwonym gontem, z brązowymi framugami okien i drzwi. Seria prostokątnych budowli, ustawionych w szachownicę, bez żadnych zewnętrznych łączników. Na krótszej ścianie każdej z nich, tej od strony ulicy, prowadziły schody na wyższe piętro.

Komisarz zastanawiał się, jak to wszystko, co ich otaczało, jawiło się oczom Amerykanina. Nicea była innym miastem, z innego świata. A może wręcz z innej planety, której język rozumiał, ale której mentalność stanowiła tylko część jego kultury, nie przynależąc jednak do jego życia.

Małe domy, małe kawiarnie, mali ludzie.

Żadnego amerykańskiego marzenia, żadnego drapacza chmur, który można by zburzyć. Jeśli już były, to tylko małe marzenia, spłowiałe czasami od morskiego powietrza, jak ściany niektórych domów. Małe marzenia, które jednak, kiedy pierzchały, sprawiały równie wielki ból jak te duże.

Na ścianie, dokładnie naprzeciwko wejścia do Centrum, ktoś przykleił plakat antyglobalistyczny. Ludzie walczący, żeby uczynić cały świat jednakowym, przeciwko innym ludziom, walczącym o zachowanie własnej tożsamości. Europa, Ameryka, Chiny, Azja... Były to tylko kolorowe plamy na mapach geograficznych, tabele wymiany walut, nazwy w słownikach. Teraz był Internet, wiadomości docierające w rzeczywistym czasie. Oznaki świata, który się rozszerzał albo zwężał, zależnie od kąta obserwacji.

Jedyną rzeczą, zacierającą każdą odległość, było wszechobecne zło, mówiące wszędzie tym samym językiem i piszące swoje komunikaty zawsze tym samym atramentem.

Frank zatrzasnął drzwi samochodu i zwrócił się w stronę Nicolasa.

Hulot zobaczył trzydziestoosmioletniego mężczyznę o oczach starca, któremu życie odmówiło mądrości. Zobaczył śniade oblicze, osłonięte jeszcze ciemniejszym cieniem jego oczu i włosów oraz śladami zarostu na policzkach. Silnego mężczyznę o atletycznej budowie, który zabijał już innych ludzi, chroniony swoją odznaką i usprawiedliwieniem, że stoi po słusznej stronie. Być może na zło nie było lekarstwa, żadnego antidotum. Ale byli ludzie tacy jak Frank, posługacze zadżumionych, sami dotknięci chorobą i dlatego nietykalni.

Wojna nie miała końca.

Kiedy Hulot zamykał samochód, zobaczyli współpracującego przy śledztwie komisarza Froben z wydziału zabójstw, jak wychodzi przez drewniane drzwi budynku i idzie w ich kierunku.

Obdarzył Hulota szerokim uśmiechem, odsłaniającym duże i równe zęby, które rozjaśniały twarz o wyrazistych rysach. Był potężnej budowy, a jego złamany nos wskazywał na bokerską przeszłość. Małe blizny wokół brwi tylko potwierdziły Frankowi tę hipotezę.

Froben uściskał Hulotowi dłoń. Uśmiech zaznaczył się jeszcze wyraźniej, a szare oczy zmrużyły w szparki, przy czym blizny połączyły się z pajęczyną drobnych zmarszczek.

- Cześć, Nicolas. Jak sobie radzisz?

- To ty mi powiedz, jak mam sobie radzić. W tym morzu gówna, które wciąż grozi sztormem, potrzebna mi pomoc wszystkich przyjaciół.

Froben przeniósł spojrzenie na Franka. Hulot dokonał prezentacji.

- To jest Frank Ottobre, agent specjalny FBI. Bardzo specjalny. Został włączony do śledztwa przez swoje dowództwo.

Froben nic nie powiedział, ale jego oczy wyrażały uznanie dla kwalifikacji Franka. Wyciągnął dłoń o dużych i mocnych palcach, zachowując również dla niego swój szeroki uśmiech.

- Claude Froben, skromny komisarz z wydziału zabójstw.

Kiedy Froben ścisnął mu rękę, Frank miał wrażenie, że gdyby tylko zechciał, mógłby pogruchotać mu palce. Od razu poczuł do niego sympatię. Sprawiał wrażenie siły i delikatności równocześnie. Frank nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył go po pracy, jak buduje z dziećmi modele statków, manipulując z zadziwiającą zręcznością najbardziej kruchymi częściami.

Hulot natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Jakież nowiny dotyczące taśmy?

- Powierzyłem ją Clavertowi, najlepszemu z naszych techników. Nazwałbym go magiem. Właśnie badają swoimi tajemniczymi przyrządami. Chodźcie, zaprowadzę was.

Froben ruszył przed nimi i weszli przez drzwi, którymi dopiero co wyszedł. Poprowadził ich krótkim korytarzem, zatopionym w rozproszonym świetle wpadającym przez okno za ich plecami. Hulot i Frank szli za nim, wpatrując się w jego szpakowaty, osadzony na krótkiej i krępej szyi kark, dopóki Froben nie zatrzymał się przed schodami po lewej stronie. Odwrócił do nich głowę i wykonał gest dużą, kwadratową dłonią.

- Proszę.

Zeszli po dwóch przesłach schodów i znaleźli się w dużym pomieszczeniu, wypełnionym aparaturą elektroniczną, oświetlonym zimnymi jarzeniówkami, które uzupełniały słabe światło wpadające do piwnicy przez małe okienka na poziomie ulicy.

Przy dużym stole siedział chudy chłopak, z włosami zgolonymi na zero, żeby zamaskować początki łysiny. Miał na sobie biały rozpięty fartuch, a pod nim dżinsy i wypuszczoną na wierzch koszulę w kratkę. Na nosie miał wygięte okulary z żółtymi szklami.

Wszyscy trzej zatrzymali się za krzesłem na kółkach, na którym siedział, pochłonięty regulowaniem potencjometrów. Odwrócił się, żeby na nich spojrzeć.

Hulot zastanawiał się, jak udaje mu się nie oślepnąć, kiedy wychodzi na słońce w takich szklach.

Froben nie dokonał żadnej prezentacji i zdawało się, że chłopak jej nie oczekuje. Prawdopodobnie jego sposób myślenia był taki, że jeśli ci dwaj nieznajomi tu przyszli, to znaczy, że tak ma być.

- A więc, Clavert, co powiesz o taśmie? Technik wzruszył ramionami.

- Niewiele, komisarzu... Nie mam dobrych wiadomości. Zbadałem nagranie przy użyciu wszystkich urządzeń, jakie mam do dyspozycji. I nic. Głos jest zmieniony i nie może być w żaden sposób zidentyfikowany.

- To znaczy?

Clavert zrobił krok w tył, uświadamiając sobie, że nie wszyscy obecni mają jego przygotowanie techniczne.

- Każdy głos ludzki ma własną częstotliwość, która stanowi część osobistego bagażu i jest rozpoznawalna, tak jak siatkówka oka czy odciski palców. Jest to pewna ilość górnych, środkowych i dolnych dźwięków, które nie zmieniają się, nawet jeśli usiłujemy zniekształcić głos, mówiąc na przykład falsetem. Za pomocą specjalnych urządzeń można sporządzić diagram pokazujący te częstotliwości. Chodzi o dosyć proste przyrządy, stanowiące na przykład część normalnego wyposażenia studia nagrań. Służą do rozdzielania częstotliwości, tak aby jakiś fragment muzyczny nie był zbyt bogaty w jedne albo drugie.

Clavert podszedł do klawiatury macintosha i położył rękę na myszce. Kliknął kilka razy i na ekranie pojawiło się białe tło poprzecinane poziomymi, równoległymi liniami. Między tymi liniami poruszały się dwie inne, jedna zielona, druga fioletowa, większa i bardzo nieregularna.

Technik strzałką myszki pokazał zieloną linię.

- Proszę, ta linia to głos Jean-Loup Verdiera, didżeja Radia Monte Carlo. Przeanalizowałem go i zrobiłem diagram foniczny.

Kliknął jeszcze raz i na ekranie pojawił się wykres, który pokazywał żółtą linię, poruszającą się na ciemnym tle, zamkniętą między dwiema równoległymi liniami niebieskimi. Clavert wskazał palcem na ekran.

- Równoległe linie niebieskie to częstotliwości. Żółta linia wskazuje, na której z nich porusza się analizowany głos. Biorąc głos Verdiera z różnych miejsc nagrania i nakładając je na siebie, widać, że doskonale do siebie pasują.

Clavert wrócił do poprzedniego obrazu. Kliknął na linię fioletową.

- A to jest drugi głos.

Znów pojawił się wykres, ale tym razem żółta linia poruszała się w sposób rozczłonkowany i w dużo bardziej ograniczonych polach.

- W tym przypadku osoba przy telefonie przepuściła swój głos przez zaopatrzone w filtry urządzenie, które dzięki serii zniekształceń i sprężeń miesza częstotliwości emisji głosu, całkowicie je zakłócając. Wystarczy tylko zmienić trochę wartości jednego z filtrów, żeby za każdym razem mieć zupełnie inny wykres.

Hulot wtrącił się i zadał pytanie.

- Czy jest możliwe dotarcie do użytego urządzenia poprzez analizę nagrania? Na przykład, komu zostało sprzedane?

Technik zrobił powątpiewającą minę.

- Nie sądzę. Przystrojony do tego sprzęt jest dość łatwo dostępny w handlu. Istnieje wiele rodzajów o różnych możliwościach, w zależności od ceny i marki, ale do takich celów jak ten, wszystkie nadają się jednakowo. Poza tym, elektronika wciąż się rozwija, więc istnieje dość szeroki rynek sprzętu używanego. Trafia on zazwyczaj w ręce prywatnych nabywców i jest stosowany do domowych nagrań. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby było to do wytropienia.

Froben włączył się, nie popierając w pełni fatalistycznej opinii Claverta.

- Zobaczmy w każdym razie, co się da zrobić. Mamy w ręku tak mało elementów, że niczego nie można lekceważyć.

Hulot odwrócił się, żeby spojrzeć na Franka. Ten rozglądał się dokoła, pozornie pogrążony w innych myślach, jakby już sam wszystko wiedział. Komisarz był jednak pewny, że nie umyka mu nic z tego, co mówią, i rejestruje wszystkie dane.

Znów zwrócił się do Claverta.

- A co może nam pan powiedzieć na temat połączenia, które nie przeszło przez centralę?

- Cóż, w tym wypadku trudno mi sformułować precyzyjną hipotezę. Są dwie ewentualności. Wszystkie centrale telefoniczne zaopatrzone są zazwyczaj w numery przechodzące. Wystarczy je znać, żeby uniknąć kontaktu z telefonistką. Radio Monte Carlo, jeśli chodzi o tajność, to na pewno nie NASA, można więc sobie wyobrazić, że ktoś je zdobył. Druga hipoteza jest trochę bardziej skomplikowana, chociaż nie jest to zupełnie science fiction. Mnie wydaje się najbardziej prawdopodobna.

- To znaczy?

Clavert oparł się na krześle.

- Dowiedziałem się, że centrala Radia Monte Carlo podłączona jest do skomputeryzowanego programu, który pozwala wyświetlać na bieżąco numer dzwoniących osób. Cel tego jest oczywisty...

Spojrzał po obecnych, żeby się upewnić, że jasny jest również dla nich.

- No więc, kiedy zadzwonił telefon, na wyświetlaczu nie pojawił się żaden numer, stąd wniosek, że dzwoniąca osoba musiała podłączyć do telefonu urządzenie elektroniczne neutralizujące funkcję centrali.

- Czy jest to trudne do osiągnięcia?

- Podobny rezultat może być uzyskany dosyć łatwo przez eksperta w dziedzinie elektroniki i telefonii. Nie potrzeba tu geniusza telekomunikacyjnego. Idąc łąkami Internetu, każdy niezły haker jest w stanie to zrobić.

Hulot czuł się jak więzień na spacerniaku. Gdziekolwiek spojrzał, miał przed oczami mur.

- Da się ustalić, czy rozmowę prowadzono z telefonu stacjonarnego, czy komórkowego?

- Nie. Jednak wykluczyłbym komórkę. Jeśli korzystał z Webu, telefon komórkowy jest dużo wolniejszy i mniej precyzyjny w połączeniach. Ten, kto to wszystko zrobił, jest zbyt sprytny, żeby o tym nie wiedzieć.

- Czy istnieje możliwość dalszych analiz taśmy?

- Aparaturą, którą mam tutaj do dyspozycji, nie. Zamierzam wysłać kopię DAT do laboratorium naukowego w Lyonie, żeby zobaczyć, czy oni zdołają coś więcej z tego wydobyć.

Hulot położył rękę na ramieniu Claverta.

- Dobrze. Absolutny priorytet. Jeśli w Lyonie robiliby jakieś problemy, dostanie pan konieczne poparcie, żeby uzyskać maksymalną szybkość działania.

Clavert uznał, że temat został wyczerpany. Z kieszonki koszuli wyjął gumę do żucia, rozpakował i włożył do ust.

Na chwilę zapadła cisza. Na swój sposób każdy z nich myślał o tym, co zostało powiedziane.

- Chodźcie, zapraszam na kawę - przerwał milczenie Froben. Poprowadził ich znowu na górę po schodach, na piętrze skręcił w lewo i po kilku krokach znaleźli się przed ustawionym we wnęcie automatem z napojami. Froben wyciągnął kartę magnetyczną.

- Kawa dla wszystkich?

Dwaj pozostali przytaknęli. Komisarz włożył kartę, nacisnął guzik i maszyna zaczęła pracować z sykiem, napieniając plastikowy kubeczek.

- Co o tym myślisz, Frank? - zapytał Hulot Amerykanina, który wciąż milczał.

Frank zdecydował się wreszcie wypowiedzieć swoje myśli.

- Nie mamy wielu tropów. Którykolwiek kierunek się obierze, zdaje się, że prowadzi donikąd. Mówiłem ci, Nicolas, mamy do czynienia z człowiekiem niezwykle przebiegłym. Jest tu zbyt wiele zbiegów okoliczności, żeby myśleć, iż po prostu sprzyjało mu szczęście. Jak na razie, jedyną nitką, jaka prowadzi nas do tego łotra, jest ta rozmowa telefoniczna. Jeśli będziemy mieli dosyć szczęścia, a on będzie wystarczająco narcystyczny, jeszcze zadzwoni. Jeśli zaś będziemy mieli dużo szczęścia, zadzwoni do tej samej osoby. Jeśli będziemy mieli ogromne szczęście, popełni jakiś błąd. To jedyna nadzieja, żeby go znaleźć i zatrzymać, zanim znów zabije.

Skończył swoją kawę i wyrzucił kubeczek do pojemnika na śmieci.

- Sądzę, że czas pogadać na poważnie z Jean-Loup Verdierem i tymi z Radia Monte Carlo. Przykro mi to przyznać, ale chwilowo jesteśmy w ich rękach.

Ruszyli w stronę wyjścia.

- Wyobrażam sobie, że tam w Księżstwie panuje... jakby to powiedzieć... pewien niepokój - powiedział Froben do Hulota.

- Cóż, nazwać to „niepokojem”, to tak jakby powiedzieć o Mike'u Tysonie „nerwowy typ”. Jesteśmy na skraju załamania. Monte Carlo to pocztówka, przecież wiesz. U nas wizerunek jest wszystkim. Wydaliśmy furę pieniędzy, żeby zagwarantować przede wszystkim dwie rzeczy: elegancję i bezpieczeństwo. A tu wyłania się z ukrycia ten typ, który elegancko daje nam wszystkim kopa w tyłek. Jeśli ta sprawa nie zostanie szybko rozwiązana, usłyszysz wyraźnie skrzywienie wielu foteli...

Hulot zrobił pauzę. I westchnął.

- Łącznie z moim.

Pożegnali się przy drzwiach. Froben patrzył jeszcze za nimi, gdy się oddalali. Jego twarz boksera wyrażała solidarność, ale także ulgę, że nie jest na ich miejscu.

Hulot i Frank skierowali się na parking, na którym zostawili samochód. Kiedy siedzieli już w środku, Hulot, zapalając silnik, spojrzał na Franka w niewyraźnym świetle auta. Była już prawie pora kolacji i poczuł głód.

- Cafe de Turin?

Cafe de Turin była to bardzo skromna stylowa traktiernia na placu Garibaldiego z drewnianymi ławami i stołami. Można tam było zamówić znakomite muszle i butelkę zimnego muscadeta. Zaprowadził tam Franka i jego żonę, kiedy przyjechali do Europy, a oni dosłownie oszaleli na widok długiej lady wypełnionej owocami morza i obsługi w rękawiczkach, która otwierała muszle. Patrzyli błyszczącymi oczami na kelnerów przechodzących z wielkimi półmiskami pełnymi ostryg, morskich trufl i ogromnych czerwonych homarów podawanych z majonezem. Wracali tam wiele razy i mała restauracja stała się ich gastronomiczną świątynią. Hulot wahał się, czy wspomnieć o tym miejscu w obawie, że mogłoby to zakłócić spokój Franka. Jednak Amerykanin zdawał się odmieniony, a przynajmniej skłonny się zmienić. Jeśli chciał wyciągnąć głowę z piasku, ten sposób też był dobry. Frank pokiwał głową, niemal jakby chciał pochwalić jednocześnie wybór i dobre intencje Hulota. Cokolwiek działo się w jego głowie, nie widać było tego na twarzy.

- Niech będzie Cafe de Turin.

Hulot niedostrzegalnie się rozluźnił.

- Wiesz, zmęczyło mnie trochę poruszanie się i mówienie jak postać z filmu telewizyjnego. Zupełnie jakbym był karykaturą porucznika Colombo. Potrzebuję pół godziny normalności. Muszę na chwilę wyłączyć wtyczkę, bo inaczej zwariuję.

Zapadł zmierzch i zapaliły się światła miasta. Frank przyglądał się w milczeniu przechodzącym ludziom, którzy rozpraszaali się po ulicach i pokrzykiwali w barach, restauracjach, sklepach. Tysiące osób o anonimowych twarzach.

Obydwaj wiedzieli, że słowa Hulota są kłamstwem. Wśród tych spokojnych ludzi krył się morderca i oni dwaj, dopóki nie rozwiążą tej sprawy, nie będą w stanie myśleć o niczym innym.

12

Siedzący za szybą reżyserki Laurent Bedon na palcach podniesionej ręki odliczał sekundy pozostałe do rozpoczęcia audycji. Potem wyciągnął w stronę Jean-Loup Verdiera wskazujący palec.

Za jego plecami zapaliło się czerwone światło sygnalizujące wejście na antenę.

Didziej podsunął się lekko z fotelem do mikrofonu, umocowanego przed nim na ruchomym statywie.

- Cześć wszystkim tym, którzy nas teraz słuchają i którzy podczas całego wieczoru będą słuchać naszych głosów. Będzie dużo muzyki i będą ludzie, którzy opowiedzą o swoim życiu, nie zawsze biegnącym w rytm muzyki, jakiej chcielibyśmy słuchać...

Zamilkł i lekko się cofnął. Z głośników popłynęły nieco bezładne dźwięki *Born to Be Wild* grupy Steppenwolf.

Po kilku sekundach rozległ się ciepły i sugestywny głos Jean-Loup a, z towarzyszeniem przyciszonej muzyki w tle.

- Jesteśmy tu, jesteśmy gotowi, jeżeli możemy się na coś przydać. Dla tych, którzy włożyli w coś dużo serca, a w zamian go nie dostali, dla tych, którzy popełnili błąd i zbyt słono za to zapłacili, dla tych, którzy nie zaznają spokoju, jeżeli nie zdołają odkryć, gdzie jest to, czego ich pozbawiono, dla tych, którym grozi utonięcie w małej, prywatnej powodzi łez. Jesteśmy tu z wami i mimo wszystko, jak wy, jesteśmy żywi. Czekamy na wasze głosy. Oczekujcie naszej odpowiedzi. Na antenie Jean-Loup Verdier z Radia Monte Carlo. Zaczynamy „Voices”.

Dalszy ciąg *Born to Be Wild*. Dalszy ciąg biegu zniekształconych dźwięków gitar w dół skalistego stoku, w tumanach kurzu, po osuwającym się żwirze.

- Cholera, jest znakomity!

Frank Ottobre, siedzący obok Laurenta w reżyserce, nie mógł powstrzymać się od tego komentarza. Reżyser odwrócił się do niego z uśmiechem na ustach.

- Prawda?

- Nic dziwnego, że cieszy się takim powodzeniem. Ma głos i sposób mówienia, które docierają bezpośrednio do trzewi.

Siedząca po jego prawej stronie Barbara, dziewczyna puszczająca muzykę, wykonała gest w stronę Franka, dając mu znak, by się odwrócił. Okręcił się na fotelu i za oszklonymi, dźwiękoszczelnymi drzwiami zobaczył Hulota, który dawał mu znaki.

Wstał i wyszedł do niego.

Komisarz miał zmęczoną twarz, twarz człowieka mającego kłopoty ze snem. Frank popatrzył na ciemne wory pod jego oczami, na siwe włosy, którym przydałby się fryzjer. Człowiek ten w ostatnim czasie widział i słyszał rzeczy, bez których chętnie by się obył. Miał pięćdziesiąt pięć lat, a wyglądał na dziesięć więcej.

- Co tutaj słyhać, Frank?

- Nic. Audycja ma nieprawdopodobne powodzenie. On jest fenomenalny. Urodził się po to, żeby robić to, co robi. Nie wiem, ile mu płacą, ale na pewno zasłużenie. Jeśli chodzi o nasze sprawy, cisza absolutna.

- Masz ochotę na colę?

- Jestem Amerykaninem, ale rodzice mojego ojca byli Sycylijczykami, Nicolas. Ze względu na tradycję jestem dużo bardziej przywiązany do kawy niż do coca-coli.

- Zatem niech będzie kawa.

Ruszyli do automatu w głębi korytarza. Hulot zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu monet. Frank wyciągnął z uśmiechem kartę magnetyczną.

- Fakt, że jestem z FBI wywarł ogromne wrażenie na dyrektorze. Jesteśmy gośćmi radia, przynajmniej, jeśli chodzi o napoje.

Wsunął kartą do automatu i nacisnął guzik. Po chwili wyjął spod dozownika kubeczek napełniony czarnym płynem i podał go Hulotowi. Komisarz pociągnął łyk kawy. Była ohydna. A może to jego usta miały ohydny smak?

- A, zapomniałbym. Przyszła opinia biegłego grafologa.

- I co?

- Dlaczego zadajesz mi pytanie, jeśli znasz już odpowiedź? Frank potrząsnął głową.

- Nie znam dokładnej odpowiedzi, ale domyślam się mniej więcej, co od ciebie usłyszę.

- Właśnie, zapomniałem, że jesteś z FBI. Masz piorunującą intuicję i karty magnetyczne w prezencie. Napis nie został zrobiony ręcznie.

- Nie?

- Nie. Ten skurwysyn użył szablonu. Nakleił litery na karton i je wyciął. Zabrał ze sobą szablon i kiedy go potrzebował, położył na stole i rozlał na nim krew. Skąd wiedziałeś?

Frank znów potrząsnął głową.

- Przecież mówię, że nie wiedziałem. Ale byłoby to dziwne, gdyby ten człowiek, który wykazał maniacką staranność w niepozostawianiu śladów, popełnił tak kardynalny błąd.

Hulot poddał się i z grymasem niesmaku wrzucił niedopitą kawę do kubła. Spojrzał z westchnieniem na zegarek.

- Pozwól mi pójść sprawdzić, czy nie ma mnie w domu. Na parkingu stoją dwa samochody, każdy z dwoma funkcjonariuszami. Jeden samochód więcej nigdy nie zawadzi. Pozostali chłopcy są na swoich miejscach. W razie czego jestem w domu.

- Okej, jeśli coś się będzie działo, zadzwonię.

- Nie powinienem tego mówić, ale cieszę się, że jesteś tu dziś wieczorem. I że w ogóle tu jesteś. Cześć, Frank.

- Cześć, Nicolas. Pozdrów żonę.

- Dziękuję.

Frank popatrzył za oddalającym się, lekko zgarbionym przyjacielem.

Od trzech dni, po uzgodnieniu z dyrektorem, dozorowali Radio Monte Carlo w oczekiwaniu, że coś się wydarzy. Kiedy siedząc w jego gabinecie, przedstawiali mu swoje zamiary, Robert Bikjalo patrzył na nich spod przymkniętych powiek, jakby broniąc się przed trującym dymem papierosa, który trzymał w palcach. Rozwazał słowa komisarza Hulota, strzepując drobinę popiołu z koszuli polo od Ralpha Laurena. Podniósł na nich zmrużone oczy, które upodabniały go do łasicy.

- A więc myślicie, że ten człowiek może znów zadzwonić?

- Nie jesteśmy pewni. To tylko optymistyczne przypuszczenie. Ale jeśli to zrobi, potrzebna nam będzie wasza współpraca.

Hulot i Frank siedzieli naprzeciwko, w dwóch skórzanych fotelach. Frank zauważył, że wysokość foteli była wymierzona tak zmyślnie, żeby siedzący za biurkiem mógł patrzeć na swoich rozmówców z góry.

Bikjalo odwrócił się w stronę Jean-Loup Verdiera, rozpartego wygodnie na kanapie po lewej stronie biurka.

Didziej przeciągnął ręką po ciemnych, dosyć długich włosach. Patrzył na Franka zielonymi, pytającymi oczami. Po czym potarł nerwowo dłoń.

- Nie wiem, czy będę zdolny zrobić to, o co mnie prosicie. To znaczy, nie wiem, jak mam się zachowywać. Prowadzić audycję, rozmawiać przez telefon z normalnymi ludźmi to jedno, ale rozmawiać z... z...

Frank zrozumiał, że sprawia mu trudność wymówienie słowa „morderca”, więc przyszedł mu z pomocą.

- Wiem, że to niełatwe. Również nam nie jest łatwo próbować choćby zrozumieć, co może siedzieć temu człowiekowi w głowie. Ale będziemy tu cały czas, damy ci wszelkie możliwe wskazówki. Jesteśmy przygotowani na każdą okoliczność. Wezwaliśmy też eksperta.

Spojrzał na Nicolasa, który do tej pory siedział w milczeniu.

- Będzie przy tobie psychopatolog, doktor Cluny, konsultant policji, który pracuje również jako negocjator i utrzymuje kontakty z przestępcami w przypadku przetrzymywania zakładników.

- Zgoda. Jeśli powiecie mi, co mam robić, jestem gotowy.

Jean-Loup spojrzał na Bikjalo, jakby do niego należało ostatnie słowo.

Dyrektor wpatrywał się w zagięty, kartonowy filtr rosyjskiego papierosa. Zaczął bardzo ogólnie.

- To oczywiście wielka odpowiedzialność...

Frank wiedział już, do czego zmierza. Wstał z fotela, odwracając role. Teraz on patrzył na Bikjalo z góry.

- Proszę posłuchać. Nie wiem, czy sytuacja jest dla pana jasna. Żeby ją ostatecznie wyjaśnić, coś panu pokażę.

Frank schylił się i wyjął kilka fotografii formatu 20 x 30 centymetrów ze stojącej obok fotela teczki Hulota. Rzucił je na biurko.

- Tropimy człowieka zdolnego do czegoś takiego. Zdjęcia przedstawiały zwłoki Jochena Weldera i Arijane Parker oraz ich zmasakrowane twarze. Bikjalo spojrzał i natychmiast pobladł.

Frank z powrotem usiadł.

- Ten człowiek jest ciągle na wolności i według nas powtórzy to, co zrobił. Tylko dzięki wam możemy go zatrzymać. Nie chodzi tu o strategię zdobywania większej

publiczności. To polowanie na człowieka, a jego wynikiem może być życie albo śmierć ludzi. Frank spuścił wzrok z oszołomionych oczu Bikjalo, tak jak hipnotyczne spojrzenie węża opuszcza na chwilę spojrzenie ofiary, z którą chce igrać. Wziął z biurka paczkę papierosów i oglądał ją z udawanym zainteresowaniem.

- Nie mówiąc o tym, że ta sprawa, jeśli zostanie rozwiązana dzięki wam, może przynieść temu radiu i Jean-Loup'owi popularność, jakiej nie osiągnęlibyście do końca życia.

Bikjalo rozluźnił się. Pchnął zdjęcia w stronę Franka, dotykając ich czubkami palców, jakby parzyły. Rozparł się w fotelu z pokrzepioną miną. Rozmowa wracała w ramy, nad którymi mógł zapanować.

- Zgoda, jeśli można pomóc prawu, jeśli można na coś się przydać, Radio Monte Carlo na pewno się nie cofnie. Zresztą to rola „Voices”. Niesie pomoc ludziom w potrzebie. O jedno chciałbym tylko poprosić w zamian, jeśli to możliwe...

Zrobił pauzę. Milczenie Franka skłoniło go do kontynuacji.

- O wywiad na wyłączność, który przeprowadzi z panem Jean-Loup, kiedy będzie już po wszystkim.

Frank spojrzał na Hulota, który przytaknął niedostrzegalnym ruchem głowy.

- Umowa stoi. Znów wstał z fotela.

- Pojawią się tu nasi technicy z aparaturą do kontrolowania telefonów. Szczegóły wyjaśnię wam osobiście. Zaczynamy dziś wieczorem.

- Dobrze. Powiem naszym, żeby byli do dyspozycji i okazali maksimum współpracy.

Zebranie skończyło się. Wszyscy podnieśli się z miejsc. Frank znów napotkał lekko przestraszony wzrok Jean-Loup Verdiera. Ścisnął go za ramię dla dodania otuchy.

- Dziękuję, Jean-Loup. Robisz świetną rzecz. Jestem pewien, że znakomicie sobie poradzisz. Boisz się?

Didżej podniósł na niego dwoje jasnych oczu, zielonych jak morska woda.

- Tak, śmiertelnie.

13

Frank spojrział na zegar. Jean-Loup puszczał ostatni blok reklamowy przed zakończeniem audycji. Laurent dał znak Barbarze. Dziewczyna przejechała kursorami, żeby wejść na głos didżeja z nagraniem taśmą.

Mieli pięć minut przerwy.

Frank podniósł się i zgiął lekko plecy, żeby potem rozprostować kości.

- Zmęczony? - zapytał Laurent, zapalając papierosa.

Dym uniósł się i natychmiast został pochłonięty przez wywietrzniki.

- Niespecjalnie. Na swój sposób jestem przyzwyczajony do czekania.

- Szczęściarz z pana! Ja dosłownie umieram z niepokoju - powiedziała Barbara, wstając i roztrzepując dłonią rude włosy.

Inspektor Morelli, siedzący na miękkim krześle pod ścianą, podniósł wzrok znad gazety sportowej, którą właśnie czytał. Nagle zdawał się bardziej zainteresowany ciałem dziewczyny okrytym lekką letnią sukienką niż przebiegiem Mistrzostw Świata w piłce nożnej.

Laurent przekreślił się na fotelu i znalazł naprzeciw Franka.

- Może to nie moja sprawa, ale chciałbym pana o coś zapytać.

- Proszę więc pytać, a potem panu powiem, czy to pańska sprawa, czy nie.

- Co się czuje, wykonując taką pracę jak pan?

Frank patrzył na niego przez chwilę, jakby go nie widział.

Laurent myślał, że się zastanawia. Nie mógł wiedzieć, że w owej chwili Frank Ottobre widzi kobietę wyciągniętą na marmurowym stole kostnicy, kobietę, która na dobre i złe była jego żoną. Kobietę, której żaden głos nie był już w stanie obudzić.

- Co się czuje, wykonując taką pracę jak ja?

Frank powtórzył pytanie, jakby musiał usłyszeć je jeszcze raz, zanim odpowie.

- Po pewnym czasie próbuje się tylko zapomnieć. Laurent odwrócił się znowu w stronę stołu reżyserskiego, zakłopotany. Prawdopodobnie zadał głupie pytanie. Nie był w stanie wzbudzić w sobie sympatii do tego Amerykanina o atletycznej budowie i zimnych jak szron oczach, który poruszał się i mówił, jakby nie należał do otaczającego go świata. Jego postawa wykluczała jakąkolwiek formę kontaktu. Był człowiekiem, który nic nie dawał, właśnie dlatego, że o nic nie prosił. A jednak jest tu i czeka. I nie wydawało się, żeby również on wiedział, na co czeka.

- To jest przedostatnia reklama - powiedziała Barbara, siadając z powrotem przy mikserze. Jej głos przerwał tę chwilę zawieszenia. Morelli wrócił do swojej kroniki sportowej, ale kontynuował lekturę, zerkając często na włosy dziewczyny opadające na oparcie fotela.

Laurent dał znak Jacques'owi, operatorowi konsoli. Nałożenie. Rozległa się tęskna muzyka Vangelisa. W kabinie Jean-Loup a zapaliło się czerwone światło. Jego głos znów zabrzmiał w pokoju i w powietrzu.

- W Radiu Monte Carlo jest dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Noc dopiero się zaczęła. Jesteśmy tu z muzyką, której chcecie słuchać, i słowami, które chcecie słyszeć. Nikt was nie ocenia, wszyscy was słuchają. Tu „Voices”, czekamy na wasze telefony.

Znów kabina reżyserki wypełniła się muzyką, która sączyła się powoli i rytmicznie, przywołując morskie fale. Za szybą swojego stanowiska Jean-Loup poruszał się spokojnie po terenie, który doskonale znał. W reżyserce światelko linii telefonicznej zaczęło migotać. Frank poczuł dziwny dreszcz.

Laurent skinął w kierunku Jean-Loup a. Didżej przyjął wskazówkę, potakując głową.

- Ktoś dzwoni. Halo?

Chwila ciszy, potem nienaturalny hałas. Nagle muzyka w tle stała się jakby muzyką pogrzebową. Głos, który zabrzmiał w głośnikach, słyszeli już wszyscy, nagrany na taśmę i wryty w ich pamięć.

- Cześć, *Jean-Loup*.

Frank wyprostował się na krześle, jakby jego ciało przeszył prąd. Strzelił palcami w kierunku Morellego. Inspektor natychmiast otrząsnął się. Wstał i wyjął zza paska mikrofon krótkofalówki.

- Chłopcy, jesteśmy. Kontakt. Bądźcie w pogotowiu.

- Cześć, kto mówi? - zapytał Jean-Loup.

Głos w telefonie brzmiał, jakby był przepuszczony przez tubę, i wyczuwało się w nim uśmiech.

- *Wiesz, kim jestem, Jean-Loup. Jestem kimś i nikim.*

- *Już kiedyś dzwoniłeś.*

Morelli wybiegł z pokoju. Wrócił po chwili z doktorem Cluny, policyjnym psychopatologiem, czekającym na korytarzu. Lekarz wziął krzesło i usiadł obok Franka. Laurent włączył interfon, który pozwalał porozumiewać się bezpośrednio ze słuchawkami Jean-Loup a, nie wchodząc na antenę.

- *Niech mówi, jak długo się da - powiedział Cluny, rozluźniając krawat i rozpinając kołnierzyk koszuli.*

- *Tak, mój przyjacielu. Dzwoniłem i znów zadzwonię. Czy psy są tam z tobą?*

Elektroniczny głos niósł za sobą smugi piekielnego ognia i chłód marmuru. Atmosfera w pokoju zdawała się rozrzedzona, tak jakby klimatyzatory zamiast wdmuchiwać chłodne powietrze, wsysały je.

- *Jakie psy?*

Pauza. Potem znowu głos.

- *Te, które na mnie polują. Są tam z tobą?*

Jean-Loup podniósł głowę i popatrzył wkoło, jakby zagubiony. Cluny zbliżył się lekko do mikrofonu.

- *Proszę go jakoś zatrzymać. Proszę powiedzieć mu wszystko, co chce usłyszeć, i skłonić, by mówił jak najwięcej...*

Jean-Loup podjął rozmowę. Jego głos był ołowiany.

- *Dlaczego pytasz? Przecież wiedziałeś, że tu będą.*

- *Oni nic mnie nie obchodzą. Są niczym. Ty mnie obchodzisz.*

- *Dlaczego ja? Dlaczego dzwonisz do mnie?*

Znów pauza.

- *Już ci mówiłem, bo jesteś jak ja, głosem bez twarzy. Ale ty masz większe szczęście, bo możesz wstać rano i wyjść na światło dzienne.*

- *A ty nie możesz?*

- *Nie.*

W tej suchej monosylabie było absolutne zaprzeczenie, odmowa niedopuszczająca odpowiedzi, totalne odrzucenie.

- *Dlaczego? - zapytał Jean-Loup.*

Głos zmienił się. Teraz był niepewny, bardziej miękki, jakby przeszywany podmuchami wiatru.

- *Bo ktoś tak postanowił. A ja niewiele mogę zrobić...*

Cisza. Cluny odwrócił się do Franka i wyszeptał zaskoczony.

- *Płacze...*

Po długiej pauzie mężczyzna znów zaczął mówić.

- *Ja niewiele mogę zrobić. Ale jest tylko jeden sposób, żeby zaradzić złu: zwalczać go takim samym złem.*

- *Dlaczego czynić zło, jeśli dookoła pełno jest ludzi, którzy mogą ci pomóc?*

Kolejna pauza. Jakby chwila zastanowienia, a potem gniewne oskarżenie.

- *Prosiłem o pomoc, ale jedyna, jaką dostałem, to ta, która mnie zabiła. Powiedz to psom. Powiedz to wszystkim. Nie będzie litości, bo nie ma litości, nie będzie przebaczenia, bo nie ma przebaczenia, nie będzie spokoju, bo nie ma spokoju. Tylko kość dla twoich psów...*

- *Co chcesz przez to powiedzieć?*

Dłuższa przerwa. Mężczyzna przy telefonie odzyskał kontrolę nad emocjami. Jego głos znów stał się powiewem wiatru znikąd.

- *Kochasz muzykę, prawda, Jean-Loup?*

- *Oczywiście. A ty?*

- *Muzyka nie zdradza, muzyka jest celem podróży. Muzyka jest samą podróżą.*

Nagle, tak jak poprzednim razem, z telefonu popłynęły wolne i sugestywne dźwięki gitary elektrycznej. Niewiele nut, zawieszonych, jasnych, promiennych, zabawa gitarzysty rozmawiającego z własnym instrumentem.

Frank rozpoznał nuty *Samby Pa Ti*, obłaskawione przez palce i fantazję wykonawcy. Gitarowe solo w nasilającym się wstępie, doprowadzonym do spazmu, na które odpowiedział wybuch oklasków.

Nagle, tak jak rozbrzmiała, muzyka ucichła.

- *Oto kość, o którą prosiły psy. Teraz muszę już iść, Jean-Loup. Tej nocy mam coś do zrobienia.*

Didżej zadał pytanie drżącym głosem.

- *Co masz do zrobienia dziś w nocy?*

- *Wiesz, co robię nocą, mój przyjacielu. Wiesz doskonale.*

- *Nie, nie wiem. Proszę, powiedz mi.*

Cisza.

- *Nie moja ręka to napisała, ale wszyscy już wiedzą, co robię w nocy...*

Znowu pauza, która była dla wszystkich jakby oczekiwaniem przy warkocie werbli.

- *Ja zabijam...*

Głos zamilkł na linii, ale pozostał w ich uszach niczym kruk na kablach telefonicznych. Ostatnie słowa były jak błysk flesza. Na chwilę wszyscy stali się twarzami i ciałami na diapozytywie, jakby każdy z nich stracił nagle głębię, która pozwala powietrzu dotrzeć do płuc.

Frank otrząsnął się pierwszy.

- Morelli, zadzwoń do chłopaków i dowiedz się, czy udało im się coś zdziałać. Laurent, czy jesteśmy pewni, że wszystko się nagrało?

Reżyser oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Odpowiedziała za niego Barbara.

- Oczywiście. Czy teraz mogą zemdleć?

Frank popatrzył na nią. Jej twarz była białą plamą pod burzą rudych włosów. Ręce lekko jej drżały.

- Nie, Barbaro, jest mi pani jeszcze potrzebna. Proszę natychmiast przygotować kasetę z nagraniem rozmowy, chcę ją mieć za pięć minut.

- Jest gotowa. Przygotowałam w przerwie drugi magnetofon, który włączyłam w sekundę po rozpoczęciu rozmowy. Wystarczy przewinąć taśmę.

Morelli oderwał wzrok od Barbary i zaczerwienił się, jakby przyłapano go na gorącym uczynku.

- Idzie tu jeden z chłopaków. Nie wydaje się, żeby miał dobre wiadomości.

W tym samym momencie wszedł do studia młody człowiek o ciemnej karnacji, wyraźnie afrykańskiego pochodzenia. Frank poderwał się na nogi.

- I co?

Technik wzruszył ramionami. Na jego ciemnej twarzy malowało się ubolewanie.

- Nic. Nie udało się nam przechwycić połączenia. Ten drań musiał użyć bardzo skutecznego sposobu...

- Dzwonił z telefonu komórkowego czy stacjonarnego?

- Nie wiemy. Mamy możliwość kontroli satelitarnej, ale nie odkryliśmy sygnału wchodzącego połączenia ani z telefonu stacjonarnego, ani z komórki.

Frank odwrócił się do psychopatologa, który wciąż siedział na krześle, poruszając w zamyśleniu zębami i szczęką.

- Doktorze Cluny?

- Nie wiem, muszę przesłuchać taśmę. Jedyne, co mogę powiedzieć, to, że nigdy w życiu nie spotkałem się z podobnym przypadkiem.

Frank wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Hulota. Po krótkiej chwili komisarz odpowiedział. Na pewno nie spał.

- Nicolas, nasz przyjaciel odezwał się.

- Wiem, słuchałem audycji. Właśnie się ubieram. Zaraz będę.

- Dobra.

- Jesteście wciąż w radiu?

- Tak, czekamy na ciebie. Frank zamknął telefon.

- Morelli, jak tylko przyjedzie komisarz, odprawa generalna. Laurent, potrzebuję również waszej pomocy. Jeśli się nie mylę, widziałem salę zebrań w pobliżu biura dyrektora. Możemy z niej skorzystać?

- Oczywiście.

- Dobrze. Barbaro, czy w sali konferencyjnej istnieje możliwość przesłuchania taśmy?

- Tak, jest DAT i wszystko, co trzeba.

- Doskonale. Mamy mało czasu, musimy lecieć.

W zamieszaniu zupełnie zapomnieli o Jean-Loup'ie. Jego głos dotarł do nich przez interfon.

- Czy to już koniec?

Przez szybę zobaczyli, jak siedzi w fotelu, nieruchomy, zamarty jak motyl na aksamicie. Frank poszedł nacisnąć guzik, umożliwiający rozmowę z nim.

- Nie, Jean-Loup. To, niestety, dopiero początek. Ty w każdym razie spisałeś się znakomicie.

W ciszy, która nastąpiła, zobaczyli, jak Jean-Loup opiera powoli łokcie na stole i chowa głowę w ramionach.

Hulot przyjechał wkrótce potem, równocześnie z Bikjalo. Dyrektor wydawał się dosyć wstrząśnięty. Wszedł do pomieszczeń rozgłośni, trzymając się w pewnym oddaleniu od komisarza, jak gdyby ta przestrzeń miała automatycznie oznaczać zdystansowanie się od całej tej historii. Być może dopiero teraz zdał sobie sprawę, co tak naprawdę się dzieje. Po radiu kręcili się uzbrojeni ludzie, w powietrzu unosiło się nowe, nieznane napięcie. Był głos i ten głos przyniósł ze sobą tchnienie śmierci.

Frank czekał na nich oparty o ścianę z jasnego drewna, przed drzwiami do sali konferencyjnej. Obok niego stał Morelli. Obydwaj zdawali się synami tej samej ciszy. Weszli razem do pokoju, gdzie pozostali czekali już przy długim stole. Lekki szmer komentarzy ustał. Płócienne rolety były podciągnięte, okna otwarte. Z zewnątrz dochodziły stłumione odgłosy nocnego, spokojnego ruchu ulicznego Monte Carlo.

Hulot zajął miejsce po prawej stronie Franka, pozostawiając dla niego krzesło u szczytu stołu i milczące zlecenie poprowadzenia zebrania. Miał na sobie tę samą koszulę i nie wyglądał na bardziej wypoczętego niż przedtem.

- Teraz jesteśmy już wszyscy. Poza komisarzem i panem Bikjalo, którzy słuchali audycji w domu, wszyscy byliśmy dziś wieczorem tutaj. Słyszeliśmy, co się wydarzyło. Nie dysponujemy wieloma elementami. Niestety, nie udało się namierzyć, skąd wykonano telefon...

Frank zrobił pauzę.

Śniady technik i jego kolega, siedzący przy stole z przygnębioną miną, poruszyli się zakłopotani na krzesłach.

- Nie ma w tym niczyjej winy. Człowiek, który dzwonił, na pewno nie jest gapą i wie, co robić, żeby go nie zlokalizowano. Technika, której zazwyczaj używamy w tym celu, dzisiaj została wykorzystana przeciwko nam. Toteż z tej strony nie uzyskamy żadnej pomocy. Zanim wysuniemy jakiegokolwiek hipotezy, proponowałbym, żeby

jeszcze raz przesłuchać nagranie rozmowy, co być może dostarczy nam jakiejś wskazówki.

Doktor Cluny skinął głową, wyrażając w ten sposób opinię pozostałych.

Frank zwrócił się do stojącej w głębi sali Barbary, opartej o szafkę, na której zamontowany został sprzęt hi-fi.

- Barbaro, czy może pani puścić taśmę?

Dziewczyna nacisnęła przycisk i pokój znów wypełnił się upiorami. Jeszcze raz wysłuchali głosu Jean-Loup a ze świata żywych i głosu mężczyzny z jego miejsca pełnego cieni. Pośród grobowej ciszy nagranie doszło do ostatnich słów.

Ja zabijam...

Na koniec Robertowi Bikjalo wyrwał się instynktownie spontaniczny komentarz.

- Ten człowiek jest szalony!

Doktor Cluny przyjął to spostrzeżenie jako sygnał do zabrania głosu. Jego krótkowzroczne oczy ukryte były za okularami w złotej oprawce. Ostry i lekko orli nos wyglądał jak dziób mądrego puchacza. Psychopatolog zwrócił się do Bikjalo, ale mówił do wszystkich.

- W wąskim tego słowa znaczeniu na pewno chodzi o szaleńca. Pamiętajcie jednak, że ten osobnik zabił już dwoje ludzi w zatrważający sposób, który wymaga wybuchu wewnętrznej furii, ale również jasności umysłu, rzadko spotykanej przy dokonywaniu zbrodni. Telefonuje i nie można go namierzyć. Zabija i nie pozostawia żadnych znaczących śladów. To człowiek, którego nie należy lekceważyć. Wskazuje na to fakt, że on też nas nie lekceważy. Prowokuje nas, ale nie lekceważy.

Zdjął okulary, odsłaniając dwie czerwone plamy u nasady nosa. Prawdopodobnie Cluny nigdy nie nosił szkieł kontaktowych. Natychmiast założył okulary z powrotem, jakby bez nich czuł się nieswojo.

- Wiedział doskonale, że tu będziemy, wie, że polowanie się zaczęło, nie bez powodu wspomina o psach. Jest to człowiek inteligentny, o kulturze prawdopodobnie wyższej od przeciętnej. I wie, że my poruszamy się po omacku, ponieważ brakuje nam elementu stanowiącego główny klucz do rozwiązania zagadki jakiegokolwiek zbrodni...

Zrobił pauzę. Frank zauważył, że Cluny znakomicie potrafił przyciągać uwagę słuchaczy. Prawdopodobnie tak samo myślał Bikjalo, bo zaczął mu się przyglądać z zawodową niemal ciekawością. Psychopatolog kontynuował.

- Zupełnie nieznanym jest nam motyw. Nie wiemy, jaki bodziec popchnął tego człowieka do zabójstwa i do tego, co zrobił potem. Ten rytuał ma dla niego szczególne znaczenie, choć my go nie rozumiemy. Jego szaleństwo, samo w sobie, nie może nam dostarczyć żadnego tropu, ponieważ nie jest oczywiste. Ten człowiek żyje wśród nas jak normalna osoba, robi wszystko to, co inni: pije aperitif, kupuje gazetę, chodzi do restauracji, słucha muzyki. Przede wszystkim słucha muzyki. Właśnie dlatego dzwoni tutaj. W audycji oferującej często pomoc ludziom w kłopotach on szuka pomocy, której nie chce dostać, ale także muzyki, której lubi słuchać.

- Dlaczego mówi pan „pomocy, której nie chce dostać”? - zapytał Frank.

- Jego „nie” na propozycję pomocy było stanowcze. On już zdecydował, że nikt nie może mu pomóc, nieważne, jaki jest jego problem. Uraz, który za sobą ciągnie, musiał go uwarunkować w nieprawdopodobny sposób, do tego stopnia, że utajone szaleństwo, które tego typu osobnicy noszą w sobie od urodzenia, wreszcie eksplodowało z niezwykłą siłą. Nienawidzi świata i prawdopodobnie uważa, że ten świat jest jego dłużnikiem. Musiał być straszliwie poniżany, przynajmniej z jego punktu widzenia. Widocznie muzyka była jedną z niewielu szczęśliwych wysp jego życia. W istocie, jedyna wskazówka, jaką nam daje, mówi językiem muzyki. Ten fragment jest zaszyfowaną informacją. Dał nam kolejną instrukcję, którą należy dołączyć do tej, pozostawionej podczas pierwszej rozmowy. Jest to wyzwanie, ale jednocześnie podświadoma prośba. Praktycznie prosi nas, żebyśmy go powstrzymali, jeśli zdołamy, bo on sam nigdy się nie zatrzyma.

Pokój stał się nagle miejscem ponurym, pełnym pleśni i pajęczyn, nigdy niemuśniętym nawet światłem słońca. Królestwem myszy.

- Barbaro, czy możemy posłuchać jeszcze raz fragmentu nagrania z muzyką?

- Oczywiście.

Dziewczyna nacisnęła klawisz. Niemal natychmiast pokój wypełnił się dźwiękami owej gitary, jakby lekko zablakanej w tej nieco mniej niż zwykle precyzyjnej wersji *Samby Pa Ti*, bardziej improwizowanej i interpretowanej. Po pierwszych nutach rozlegają się brawa publiczności, jak to się zdarza podczas koncertów na żywo, kiedy wykonawca zaczyna swój sztandarowy utwór, a słuchacze natychmiast go rozpoznają.

Kiedy nagranie ucichło, Frank przebiegł wzrokiem po obecnych.

- Przypominam wam, że podczas pierwszej rozmowy fragment muzyczny zawierał w sobie wskazówkę pozwalającą zrozumieć, kim będą ofiary. Była to ścieżka

dźwiękowa filmu *Kobieta i mężczyzna*, który opowiada historię kierowcy rajdowego i jego towarzyski. Jak Jochen Welder i Ariane Parker. Czy ktoś ma blade pojęcie, co znaczy ten fragment?

Z drugiego końca stołu zabrzmiał cicho głos Jacques'a, dźwiękowca, jakby wypowiedanie się w tym kontekście sprawiało mu trudność.

- Cóż, powiedziałbym, że wszyscy znamy ten utwór...

- Nie przyjmuj niczego za oczywiste - skarcił go uprzejmie Hulot. - Załóż, że w tym pokoju nikt nie wie nic o muzyce, choćby wydawało ci się to głupie. Czasami pewne wskazówki przychodzą, skąd najmniej się ich spodziewasz.

Jacques lekko się zaczerwienił. Podniósł prawą rękę, jakby prosząc o wybaczenie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że utwór jest bardzo znany. Chodzi o *Sambę Pa Ti* Carlosa Santany. Na pewno jest to wykonanie na żywo, sądząc z reakcji widzów. I musi to być duża publiczność, może nawet na stadionie, żeby powstał taki aplauz, choć czasami nagrania *live* są potem wzmacniane w studiu przez dodanie braw nagranych osobno.

Laurent zapalił papierosa. Dym uniósł się w powietrzu, popłynął faliście do otwartego okna i zniknął w ciemnościach. W pokoju pozostał lekki zapach siarki z zapalniczki.

- To wszystko?

Jacques znów się zaczerwienił i milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Hulot wybawił chłopaka z zakłopotania. Popatrzył na niego z uśmiechem.

- Dobrze. Dziękuję, młody człowieku, to jest już znakomita wskazówka. Czy ktoś chce coś dodać? Czy ta melodia ma jakieś szczególne znaczenie? Czy od czasu, kiedy powstała, była z czymś kojarzona, z jakimś dziwnym wydarzeniem, jakąś konkretną osobą, czy jest z nią związana jakakolwiek anegdota?

Wielu obecnych popatrzyło po sobie, jakby wzajemnie próbowali pomóc swojej pamięci. Frank odpowiedział inną drogę.

- Czy ktoś z was przypomina sobie to wykonanie? Jeżeli chodzi, jak się zdaje, o nagranie na żywo, czy macie pojęcie, gdzie go dokonano? Albo na jakiej płycie się znajduje? Jean-Loup?

Didżej siedział w milczeniu obok Laurenta, zamyślony, jakby cała narada w pokoju go nie dotyczyła. Wydawał się wciąż jeszcze wstrząśnięty rozmową, którą odbył przez telefon z owym nieznanym głosem. Podniósł głowę i pokręcił przecząco.

- Czy istnieje możliwość, że to pirackie nagranie? - zapytał Morelli.

Barbara potrząsnęła głową.

- Nie powiedziałabym. Dźwięk wydaje się dosyć przestarzały, zarówno pod względem technicznym, jak i artystycznym. To jest stare nagranie analogowe, a nie cyfrowe. A poza tym, jest to płyta winylowa na trzydzieści trzy obroty. Słysząc to po szmerach w tle. Jednak jakość jest znakomita. Nie wygląda na nagranie wykonane przez amatora, na dodatek na niedoskonałym sprzęcie, biorąc pod uwagę ograniczenia techniczne tamtych czasów. Dlatego chodzi na pewno o longplay będący w sprzedaży, chyba, że jest to stara kopia próbna, nigdy nieoddana do produkcji.

- Laka? - zapytał Frank, patrząc na dziewczynę.

W tym momencie musiał podzielić zachwyt Morellego. Barbara miała pierwszorzędnny mózg i w pełni odpowiadające mu ciało. Jeśli inspektor zamierzał wejść na tę drogę, musiał się naprawdę znakomicie przygotować.

- Laka to płyta bakelitowa, próbna matryca, jaką robiło się kiedyś w dyskografii, zanim pojawiły się kompakty - wyjaśnił za nią Bikjalo. - Chodziło zazwyczaj o nieliczne kopie z niezbyt trwałego materiału, na których sprawdzano jakość nagrania. Niektóre laki stały się obiektem kultu i są bardzo poszukiwane przez kolekcjonerów. Ich cechą było jednak, że w miarę używania w postępie geometrycznym pogarszała się jakość dźwięku. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli z tym do czynienia.

Znowu zapadła cisza potwierdzająca, że wszystko, co dało się na ten temat powiedzieć, zostało powiedziane.

Hulot podniósł się z krzesła i był to znak, że zebranie można było uznać za zakończone.

- Nie muszę państwu przypominać, że w tym przypadku najdrobniejszy choćby szczegół może mieć znaczenie. Mamy mordercę, który na swój sposób bawi się z nami, do tego stopnia, że daje nam wskazówki dotyczące jego jedyne, jak się zdaje, celu: znowu zabić. Cokolwiek przyjdzie wam do głowy, o jakiegokolwiek porze dnia czy nocy, bez żadnych oporów dzwońcie do mnie, do Franka Ottobre lub inspektora Morellego. Zanim odejdziecie, weźcie numery naszych telefonów.

Wszyscy wstali. Po kolei opuścili pokój. Dwaj policyjni technicy wyszli pierwsi, jak gdyby chcieli uniknąć bezpośredniej konfrontacji z Hulotem. Pozostali zatrzymali się na chwilę, żeby odebrać od Morellego karteczki z numerami telefonów. Inspektor ociągał się szczególnie długo, dając ją Barbarze, której ta zwłoka zdawała się nie

przeszkadzać. W innej sytuacji Frank uznałby to zainteresowanie za uchybienie. W tym momencie wydało mu się odwetem, jakie życie brało nad mrokiem owej nocy.

Podszedł do doktora Cluny, który rozmawiał półgłosem z Hulotem.

Dwaj mężczyźni zrobili mu miejsce, żeby mógł włączyć się do rozmowy.

- Chciałem wam zwrócić uwagę, że w tym, co mówi, jest ważna wskazówka, która ma nam oszczędzić niepotrzebnego zamętu czy straty czasu...

- To znaczy? - zapytał Hulot.

- Dał nam dowód, że nie chodzi o żart i że to właśnie on jest tym, który zamordował tych dwoje biedaków na łodzi.

Frank pokiwał głową.

- *Nie moja ręka to napisała...*

Cluny popatrzył na niego z uznaniem.

- Właśnie. Tylko prawdziwy morderca mógł wiedzieć, że napis został wykonany w sposób mechaniczny, a nie ręcznie. Nie mówiłem o tym przy wszystkich, bo uznałem, że to jedna z niewielu rzeczy dotyczących śledztwa nie do wiadomości publicznej.

- Słusznie. Dziękuję, doktorze Cluny. Znakomita robota.

- Nie ma za co. Muszę zrobić pewne analizy. Język, stres obecny w głosie, analiza składni i temu podobne. Będę tak długo to badał, aż coś z tego wyniknie. Proszę mi przygotować kopię taśmy.

- Dostanie ją pan. Dobranoc.

Psychopatolog wyszedł z pokoju.

- I co teraz? - zapytał Bikjalo.

- Wy zrobiliście to, co mogliście zrobić - odparł Frank. - Teraz nasza kolej.

Jean-Loup zdawał się oszołomiony. Było to na pewno doświadczenie, bez którego mógł się śmiało obyć. Być może to, co się wydarzyło, nie było tak podniecające, jak to sobie wyobrażał.

Śmierć nigdy nie jest podniecająca, śmierć to krew i muchy, pomyślał Frank.

- Byłeś świetny, Jean-Loup. Nie potrafiłbym zrobić tego lepiej. Rutyna nie odgrywa tu żadnej roli. Kiedy ma się do czynienia z mordercą, zawsze jest to pierwszy raz. Teraz idź do domu i spróbuj przez jakiś czas o tym nie myśleć.

Ja zabijam...

Wszyscy wiedzieli, że tej nocy nie ma miejsca na sen. Nie wtedy, kiedy ktoś wychodzi z domu w poszukiwaniu pretekstu dla swojej krwiożerczości i pożywki dla

swojego szaleństwa. Kiedy szepty, które miał w głowie, stawały się wrzaskiem mogącym pomieszać się z krzykami nowej ofiary.

Jean-Loup pochylił ramiona jak pokonany.

- Dziękuję. Chyba pójdę do domu.

Pożegnał się i wyszedł, dźwigając brzemień wystarczająco ciężkie, żeby złamać dużo mocniejsze plecy. W gruncie rzeczy był tylko człowiekiem, nieledwie chłopcem, który puszczał muzykę w radiu.

Hulot ruszył w stronę drzwi.

- Dobra, my też idziemy. Chwilowo nie jesteśmy do niczego potrzebni.

- Pójdę z wami. Ja też wychodzę. Idę do domu, choć myślę, że tej nocy trudno będzie zasnąć... - powiedział Bikjalo, przepuszczając Franka przodem.

Kiedy dotarli do drzwi, usłyszeli, jak ktoś z zewnątrz wystukuje kod zamka. Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Laurent. Zdawał się bardzo podekscytowany.

- Całe szczęście. Miałem nadzieję, że was jeszcze zastanę. Przyszło mi coś do głowy. Wiem, kto może nam pomóc.

- W czym? - zapytał Hulot.

- Chodzi o muzykę. Wiem, kto nam pomoże ją rozpoznać.

- Kto?

- Pierrot!

Bikjalo wyjaśniał na twarzy.

- Ależ oczywiście, Rain Boy!

Hulot i Frank popatrzyli po sobie.

- Rain Boy?

- To chłopak, który przychodzi pomagać w radiu i zajmuje się archiwum - wyjaśnił dyrektor. - Ma dwadzieścia dwa lata, ale mózg dziecka. To pupil Jean-Loup'a, którego on sam ubóstwia. Rzuciłby się w ogień, gdyby ten go o to poprosił. Nazywamy go Rain Boy, ponieważ jest jak Dustin Hoffman w filmie *Rain Man*. Jest wyraźnie ograniczony, ale jeśli chodzi o muzykę, to prawdziwy komputer. To jego jedyny dar, ale jest w tym fenomenalny.

Frank spojrział na zegarek.

- Gdzie mieszka ten Pierrot?

- Nie wiem dokładnie. Nazywa się Corbette i mieszka z matką tuż za Mentoną, jak mi się zdaje. Ojciec był skurwysynem: zostawił ich, kiedy tylko się zorientował, że syn jest niedorozwinięty.

- Czy ktoś zna jego adres albo numer telefonu?

Laurent podszedł szybko do komputera na biurku Raquel.

- Wszystko ma sekretarka. Telefon domowy i numer komórki matki.

Tym razem komisarz Hulot spojrział na zegarek.

- Przykro mi z powodu pani Corbette i jej syna, ale tej nocy będą mieli nadprogramową pobudkę...

Matka Pierrota była szarą kobietą w szarym ubraniu.

Siedząc w sali zebrań, patrzyła niespokojnymi oczami na ludzi otaczających jej syna. Obudzili ją w środku nocy i nieźle się przeraziła, kiedy powiedzieli jej przez domofon, że to policja. Kazali jej obudzić Pierrota, potem kazali im się błyskawicznie ubrać i wsadzili ich do samochodu, który ruszył na pełnym gazie.

Za plecami zostawili skromne osiedle, na którym mieszkali. Kobieta z niepokojem pomyślała o sąsiadach. Całe szczęście, że o tej porze nikt nie widział, jak odjeżdżają policyjnym wozem niczym dwoje przestępców. Jej życie było już wystarczająco nędzne, pełne plotek i poszeptywań, gdy tylko się gdzieś pojawiła, żeby jeszcze dostarczać ludziom dodatkowych powodów do gadania.

Komisarz, starszy policjant o uczciwej twarzy, zapewnił ją, że nie musi się niczego obawiać, że potrzebują pomocy jej syna w bardzo ważnej sprawie. Teraz byli już na miejscu i zastanawiała się, na co może być potrzebna pomoc kogoś takiego jak Pierrot, jej syna, którego ona kochała, jakby był geniuszem, a którego inni akceptowali ledwie, jako głupca.

Patrzyła z niepokojem na Roberta Bikjalo, dyrektora Radia Monte Carlo, który pozwalał jej synowi tam przebywać, w bezpiecznym miejscu, i zajmować się tym, co kochał najbardziej na świecie, muzyką. Co miała z tym wspólnego policja? Modliła się w duchu, żeby Pierrot, w swojej naiwności, czegoś poważnego nie nabroił. Nie zniosłaby, gdyby pod jakimś pretekstem odebrano jej syna. Myśl, że miałyby zostać sama, a on gdzieś bez niej, przerażała ją. Poczula, jak zimne ze strachu palce chwytają ją za żołądek i mocno ściskają. Byleby tylko...

Bikjalo uśmiechnął się do niej uspokajająco, dając do zrozumienia, że nie ma się czego obawiać.

Znów zaczęła więc obserwować tego młodszego człowieka, z surową twarzą i pociągłą brodą, który mówił po francusku z lekko obcym akcentem, przycupnięty na ziemi, żeby mieć twarz siedzącego na krześle Pierrota na swojej wysokości. Jej syn przyglądał mu się z ciekawością, słuchając tego, co mówi.

- Wybacz, Pierrot, że zbudziłeś cię o tej porze, ale potrzebna nam twoja pomoc w ważnej sprawie. Coś, co tylko ty możesz zrobić...

Kobieta odprężyła się. Ten człowiek miał srogą twarz, ale jego głos był spokojny i uprzejmy. Pierrot słuchał go zupełnie nieprzestraszony. Wręcz przeciwnie, zdawało się, że ta nieprzewidziana nocna przygoda, podróż policyjnym wozem i pozostawanie w centrum uwagi napawają go wielką dumą.

Poczuła dojmującą czułość wobec swojego dziwnego syna, żyjącego we własnym, abstrakcyjnym świecie, zbudowanym z muzyki i czystych myśli. Gdzie nawet „brudne słowa”, jak je nazywał, miały niewinny sens dziecięcej zabawy.

Młody człowiek kontynuował swoim zrównoważonym głosem.

- Teraz puścimy ci muzykę, pewną melodię. Posłuchaj jej uważnie. Powiesz, czy ją znasz i czy będziesz umiał nam powiedzieć, skąd to jest albo na jakiej płycie się znajduje. Spróbujesz?

Pierrot milczał. Po czym niemal niedostrzegalnie przytaknął.

Mężczyzna podniósł się i włączył stojący za jego plecami magnetofon. W pokoju rozległy się dźwięki gitary. Kobieta obserwowała napiętą, skoncentrowaną twarz syna, wsłuchanego w dźwięki dochodzące z głośników. Trwało to kilka sekund, po czym muzyka ucichła. Mężczyzna przykucnął znowu na ziemi obok Pierrota.

- Chcesz jeszcze raz posłuchać?

Wciąż milcząc, chłopiec pokręcił przecząco głową.

- Poznajesz ją?

Pierrot zwrócił wzrok w stronę Bikjalo, jakby to on był dla niego jedynym punktem odniesienia.

- Jest - powiedział cicho. Dyrektor zbliżył się.

- Chcesz powiedzieć, że ją mamy?

Chłopiec znów pokiwał głową, jakby chciał nadać swoim słowom większą wagę.

- Tam jest, w pokoju...

- W jakim pokoju? - zapytał Hulot, podchodząc.

- Chodzi mu o archiwum. Jest na dole, w podziemiu. To miejsce, gdzie pracuje Pierrot. Są tam tysiące płyt i CD, i on je wszystkie zna, co do jednej.

- Czy zechcesz tam pójść i ją przynieść? - zapytał grzecznie Frank. Ten chłopiec oddawał im bezcenną przysługę i za nic nie chciał go spłoszyć.

Pierrot znów popatrzył na dyrektora, jakby prosił o zgodę.

- Idź, Pierrot, przynieś ją nam, proszę.

Pierrot wstał z krzesła i ruszył przez pokój swoim zabawnym, podskakującym krokiem. Zniknął za drzwiami, odprowadzany niespokojnym i zdziwionym wzrokiem matki.

Komisarz Hulot podszedł do kobiety.

- Jeszcze raz przepraszam panią za ten barbarzyński sposób, w jaki panią obudziliśmy i przywieźliśmy tutaj. Mam nadzieję, że się zbytnio nie przeraziliście. Nawet pani sobie nie wyobraża, jak bardzo pożyteczny może się okazać pani syn tej nocy. Jesteśmy naprawdę wdzięczni, że pozwoliła pani, aby nam pomógł.

Kobieta poczuła się dumna ze swego syna. Zakłopotana zakryła szyję tanią sukienką, którą zarzuciła w pośpiechu na koszulę nocną.

Krótko potem Pierrot wrócił tak samo cicho, jak zniknął. Trzymał pod pachą trochę zniszczoną okładkę longplaya. Podszedł do nich i położył ją na stole. Wyjął z okładki winylową płytę, z religijną niemal pieczołowitością, uważając, żeby nie dotknąć palcami rowków.

- To ta. Tutaj jest - powiedział Pierrot.

- Czy zechcesz nam ją puścić? - zapytał młody człowiek, tym samym uprzejmym głosem.

Chłopiec podszedł do sprzętu i zaczął go obsługiwać jak prawdziwy ekspert. Nacisnął kilka guzików, podniósł pokrywę adaptera i położył płytę na bolec. Nacisnął na „start”. Talerz zaczął się kręcić. Chłopiec ujął delikatnie główkę i oparł igłę na płycie.

Z głośników popłynęły te same dźwięki, które przysłał im wcześniej nieznajomy, jako drwiące wyzwanie do pokrzyżowania jego nocnych planów.

Nastąpił wybuch ogólnej radości. Wszyscy znaleźli swój sposób, aby podkreślić ten mały, osobisty triumf Pierrota, który rozglądał się dokoła z uśmiechem na niewinnej twarzy.

Matka patrzyła na niego z takim oddaniem w oczach, że sukces syna tylko częściowo mógł jej za to odpłacić. W tej jednej chwili świat zdał się przypomnieć sobie o jej dziecku i dawał mu tę małą satysfakcję, jakiej dotąd odmawiał.

Zaczęła płakać. Komisarz położył delikatnie dłoń na jej ramieniu.

- Dziękuję pani. Pani syn był wielki. Teraz już wszystko w porządku. Nasz samochód odwiezie was do domu. Czy pani jutro pracuje?

Kobieta podniosła załamioną twarz, uśmiechając się zakłopotana tą chwilą słabości.

- Tak, pracuję jako pomoc domowa u włoskiej rodziny, mieszkającej tu, w Monte Carlo.

Komisarz też się do niej uśmiechnął.

- Proszę zostawić nazwisko tej rodziny temu panu w brązowej marynarce, inspektorowi Morellemu. Postaramy się dla pani o parę dni płatnego urlopu, żeby zrekompensować niewygodę tej nocy. Będzie pani mogła pobyc trochę w domu...

Komisarz podszedł teraz do Pierrota.

- Jeśli chodzi o ciebie, młodzieńcze, czy chciałbyś spędzić dzień w policyjnym wozie, rozmawiać przez telefon z centralą i zostać honorowym policjantem?

Być może Pierrot nie wiedział, co to znaczy honorowy policjant, ale na myśl, że będzie wożony policyjnym autem, zaświeciły mu się oczy.

- Dacie mi też kajdanki? I będę mógł włączyć syrenę?

- Oczywiście, kiedy tylko zechcesz. I dostaniesz piękne, błyszczące kajdanki tylko dla ciebie, jeśli nam obiecasz, że zanim kogoś zaaresztujesz, poprosisz nas o zgodę.

Hulot dał znak funkcjonariuszowi, który miał odwieźć Pierrota i jego matkę do domu. Kiedy wychodzili, słyszał jak chłopak mówi do matki.

- Teraz, kiedy jestem „honorowanym policjantem”, zaaresztuję córkę pani Narbonne, która ciągle sobie ze mnie żartuje, zaprowadzę ją do więzienia i...

Nie dowiedzieli się już, jak skończy biedna córka pani Narbonne, ponieważ cała trójka znikła w głębi korytarza.

Frank oparł się o stół i patrzył w zamyśleniu na okładkę płyty, którą chłopak przyniósł z archiwum.

„Carlos Santana. *Lotus*. Nagranie na żywo dokonane w Japonii w 1975... „

Morelli wziął do ręki okładkę i obejrzał ją dokładnie ze wszystkich stron.

- Dlaczego ten człowiek kazał nam słuchać utworu z płyty nagranej w Japonii prawie trzydzieści lat temu? Co chce nam powiedzieć?

Hulot patrzył przez okno na oddalający się samochód wiozący Pierrota i jego matkę. Odwrócił się i podniósł lewą rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Czwarta trzydzieści.

- Nie wiem, ale musimy odkryć to jak najszybciej. Zrobił pauzę, która wyrażała ogólną obawę.

- Jeśli nie jest już za późno...

16

Allen Yoshida podpisał czek i wręczył go pracownikowi cateringu.

Z okazji przyjęcia w swoim domu sprowadził specjalnie z Paryża załogę swojej ulubionej restauracji *Le Pre Catelan* z Lasku Bulońskiego. Kosztowało go to fortunę, ale było warto. Czuł jeszcze w ustach wyrefinowany smak zupy z żab i pistacji, składającej się na menu tego wieczoru.

- Dziękuję, Pierre. Wszystko było znakomite, jak zwykle. Jak pan zauważy, dodałem do sumy czeku napiwek dla was.

- Dziękuję, panie Yoshida. Jest pan jak zawsze hojny. Proszę nie robić sobie kłopotu i nie odprowadzać mnie, znam drogę. Dobranoc.

- Dobranoc, mój przyjacielu.

Yoshida odwzajemnił lekki ukłon Pierre'a. Mężczyzna oddalił się po cichu i znikł za ciemnymi drzwiami. Yoshida poczekał, aż usłyszy hałas zapalającego silnika. Wziął ze stołu pilota i wycelował go w drewniany panel na ścianie po swojej lewej stronie. Panel rozsunął się bezszelestnie, odsłaniając rząd ekranów połączonych z taką samą liczbą kamer rozmieszczonych w zamkniętym obiegu w różnych punktach domu. Zobaczył samochód Pierre'a wyjeżdżający przez bramę na ulicę i ludzi z ochrony zamykających za nim wjazd.

Był sam.

Przeszedł przez duży salon pełen śladów po niedawno zakończonym party. Obsługa cateringu usunęła to, co do niej należało, i jak zwykle dyskretnie się ulotniła. Nazajutrz miała przyjść służba i dokończyć pracę. Allen Yoshida nie lubił obecności innych ludzi w domu. Pracujące u niego osoby przychodziły rano i odchodziły wieczorem. W wyjątkowych sytuacjach prosił którąś z nich, żeby została, albo zlecał organizację komuś z zewnątrz. Wolał być jedynym panem swoich noc, bez obawy, że

jakieś niedyskretne uszy lub oczy dowiedzą się przypadkiem o czymś, co chciałby zatrzymać wyłącznie dla siebie.

Wyszedł do ogrodu przez ogromne, przeszklone drzwi. Na zewnątrz zmysłna gra kolorowych światel tworzyła efekty cienia wśród roślin wysokopiennych, kwitnących krzewów i grządek, co było zasługą architekta zieleni, którego sprowadził z Finlandii. Rozwiązał muszkę przy eleganckim smokingu od Armaniego i rozpiął białą koszulę. Czubkami stóp, bez rozwiązywania sznurowadeł, zsunął lakierki. Schylił się i ściągnął również jedwabne skarpetki, zostawiając je za sobą. Uwielbiał stąpać bosko po wilgotnej trawie. Ruszył w stronę basenu o oświetlonej powierzchni, który w dzień zdawał się kończyć bezpośrednio w morzu, a który teraz wyglądał jak ogromny akwamaryn oprawiony w mrok nocy.

Położył się na drewnianym leżaku obok basenu i wyciągnął nogi. Rozejrzał się dokoła. W tę noc ubywającego księżyca na morzu widać było niewiele światel. Naprzeciw niego, za cyplem, świetlista poświata wskazywała Monte Carlo, skąd przybyła tego wieczoru większość gości.

Po jego lewej stronie stał dom.

Odwrócił wzrok, żeby na niego popatrzeć. Kochał ten dom i uważał jego posiadanie za przywilej. Podziwiał jego linię trochę retro, elegancję konstrukcji połączoną z rygiem funkcjonalności, owoc geniuszu architekta, który zaprojektował kiedyś ten dom dla „boskiej” Greta Garbo. Kiedy kupił to domostwo, które przez wiele lat stało opustoszałe, oddał je w ręce równie genialnego architekta, Franka Gehry, autora projektu Muzeum Guggenheim w Bilbao.

Zostawił mu wolną rękę, prosząc jedynie, by niezmienny pozostał duch domu. Efekt był fantastyczny, absolutna klasa połączona z najbardziej zaawansowaną technologią. Rezydencja, na której widok wszyscy stawali z otwartymi ustami, dokładnie tak samo jak on, kiedy wszedł do niej po raz pierwszy. Bez zmruczenia oka zapłacił za działkę sumę, w której zera zdawały się nie mieć końca.

Oparł się na leżaku, poruszając głową, żeby rozprostować kark. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął złoty flakonik. Wyjął zatyczkę i wysypał na grzbiet dłoni szczyptę białego proszku. Podniósł rękę do nosa i wciągnął kokainę bezpośrednio stamtąd, przesuwając potem palcami po nozdrzach, żeby usunąć resztki proszku.

Wszystko wokół niego było świadectwem sukcesu i potęgi. A jednak Allen Yoshida nie robił sobie złudzeń. Znakomicie jeszcze pamiętał swojego ojca ugiętego

pod ciężarem skrzyń pełnych świeżych ryb, które wyładowywał z przybywających z wybrzeża wagonów-chłodni, żeby potem załadować je na swoją furgonetkę i zaopatrywać japońskie restauracje w mieście. Pamiętał go, jak po pracy wchodził do domu poprzedzony zapachem ryb, którego, jak długo by się mył, nie był w stanie usunąć z rąk. Pamiętał ich zaniedbany dom w równie zaniedbanej dzielnicy Nowego Jorku, dom, który według słów jego rodziców, ciągle czekał na naprawienie dachu i kanalizacji. Wciąż miał w uszach bulgot starych rur za każdym razem, kiedy odkręcało się kran, i strużkę czerwonej od rdzy wody, która z niego wypływała. Trzeba było odczekać kilka minut, zanim stawała się przezroczysta i można się było umyć.

Wychował się właśnie tam, on, syn Japończyka i Amerykanki, na styku dwóch kultur, jako *gaijin* dla zamkniętej mentalności wspólnoty japońskiej i żółty dla białych Amerykanów. Dla wszystkich pozostałych, czarnych, Portorykańczyków, Włochów, był tylko jeszcze jednym chłopaczkiem półkrwi na ulicach miasta.

Poczuł wyraźne uderzenie kokainy wchodzącej do krwiobiegu. Przeciągnął ręką po gęstych i lśniących jak jedwab włosach.

Od dawna nie robił sobie złudzeń. Właściwie nigdy ich sobie nie robił. Wszyscy ci ludzie, którzy tu byli tego wieczoru, nie spojrzeliby nawet na niego, gdyby nie został tym, kim jest. Gdyby nie reprezentował sobą milionów dolarów. Prawdopodobnie nikogo nie interesowało, czy on rzeczywiście jest geniuszem, czy też nie. Ważne było tylko to, że ten jego geniusz przyniósł mu osobistą fortunę, która plasowała go wśród dziesięciu najbogatszych ludzi świata.

Cała reszta znaczyła niewiele i nikogo nie obchodziła. Kiedy raz osiągnęło się sukces, niczemu nie służyła wiedza, jak został osiągnięty. Dla wszystkich był on błyskotliwym twórcą *Sacrifiles*, systemu operacyjnego, który rywalizował z Microsoftem na światowym rynku informatyki. Miał osiemnaście lat, kiedy wylansowało go Zen Electronics, dzięki dotacjom banku, który uwierzył w projekt, po tym jak zademonstrował grupie osłupiałych inwestorów operacyjną prostotę swojego systemu.

Sukces ten powinien z nim dzielić Billy La Ruelle, jego serdeczny przyjaciel, jak on student informatyki, który pewnego dnia przyszedł do jego domu z genialnym pomysłem rewolucyjnego systemu operacyjnego, dającego się włączyć do środowiska DOS. Pracowali nad projektem w absolutnej tajemnicy, u niego i u Billy'ego, przez wiele miesięcy, również nocami, na ich dwóch komputerach połączonych w sieci. Niestety, Billy spadł z dachu, kiedy weszli tam, żeby ustawić antenę telewizora przed

decydującym meczem play-off między Chicago Bulls i Lakersami. Ześlizgnął się po spadzistej powierzchni jak sanki na lodzie i zawisł na rynnie. On patrzył na niego, stojąc nieruchomo i nic nie robiąc, podczas gdy Billy błagał go o pomoc. Jego ciało było zawieszona w próżni i słychać było złowieszcze skrzypienie blachy, która powoli ustępowała pod jego ciężarem. Widział kłykcie jego białych rąk, które z wysiłkiem próbowały utrzymać się na ostrej krawędzi rynny i jednocześnie na krawędzi życia.

Billy runął w dół z krzykiem, patrząc na niego rozpaczliwie wytrzeszczonymi oczami. Rozbił się z głuchym odgłosem na asfalcie przed garażem i leżał tam nieruchomo z szyją przekrzywioną pod nienaturalnym kątem. Oderwany kawałek rynny poleciał i jak na ironię zaklinował się w koszu przymocowanym do ściany domu, gdzie on i Billy grywali w koszykówkę w przerwach w pracy. Kiedy matka Billy'ego wybiegała z krzykiem z domu, on zszedł do pokoju przyjaciela, skopiował na kilka dyskietek wszystko, co było w komputerze, zanim wyczyścił twardy dysk w taki sposób, żeby nie zostawić żadnego śladu.

Wsunął dyskietki do tylnej kieszeni dzinsów, po czym zbiegł na podwórko do martwego ciała Billy'ego.

Matka siedziała na ziemi, trzymała głowę syna na kolanach i przemawiała do niego, głaszcząc mu włosy. Allen Yoshida przełknął swoje krokodyle łyzy. On też przyklęknął, czując, jak twarde dyskietki napinają mu kieszeń spodni. Jeden z sąsiadów wezwał karetkę. Pogotowie przyjechało błyskawicznie, poprzedzone wyciem syreny, dziwnie podobnym do lamentu matki Billy'ego, i zatrzymało się z piskiem opon i hamulców. Z ambulansu wysiedli mężczyźni, którzy bez pośpiechu zabrali ciało jego przyjaciela przykryte białym płótnem.

Stare dzieje. Nie ma do czego wracać. Teraz jego rodzice mieszkają na Florydzie, a ojcu udało się w końcu usunąć z rąk smród ryby. A jeśli nie, to dzięki dolarom syna, wszyscy gotowi byli nazywać go wonią. Opłacił kurację odwykową uzależnionej od alkoholu matki Billy'ego i kupił jej i jej mężowi dom w dzielnicy willowej, gdzie mieszkali bez problemów dzięki pieniądzom, które wysyłał im co miesiąc. Matka przyjaciela, kiedy raz się spotkali, ucałowała jego rękę. Mimo mycia, jeszcze przez długi czas pocałunek ten palił mu skórę.

Wstał z leżaka i ruszył do domu. Zdjął marynarkę i zarzucił na ramię. Poczul wilgoć nocy, która nasączała lekką tkaninę koszuli przylegającą teraz do ciała.

Zerwał białą gardenię z kwitnącego krzewu i podniósł do nozdrzy. Mimo nosa znieczulonego kokainą i tak był w stanie uchwycić delikatną woń.

Wrócił do salonu i wyciągnął pilota z kieszeni marynarki. Przycisnął guzik i antywłamaniowe szklane drzwi ruszyły bezszelestnie po doskonale naoliwionych szynach. W taki sam sposób zgasił światła, zostawiając tylko kilka łagodnie świecących lamp, osadzonych na ścianach.

Teraz w końcu był sam. Mógł wreszcie poświęcić trochę czasu sobie i swojej przyjemności. Swojej sekretnej przyjemności.

Modelki, bankierzy, gwiazdy rocka, aktorzy, przybywający tłumnie na jego przyjęcia, byli tylko kolorowymi odpryskami na białej ścianie, twarzami i słowami, które można było zapomnieć z taką samą swobodą, z jaką oni próbowali zwrócić na siebie uwagę. Allen Yoshida był przystojnym mężczyzną. Po amerykańskiej matce odziedziczył proporcje i długie kończyny jankesów, po ojcu zaś szczupłe ciało ludzi Wschodu. Jego twarz, przy wyrafinowanej harmonii rysów, była mieszanką dwóch ras i miała arogancki urok wszelkiej przypadkowości. Jego pieniądze i wygląd przyciągały ludzi. Jego samotność ciekawiła ich. A szczególnie kobiety, które obnażały piersi, rzucały spojrzenia i oferowały ciała pełne obietnic, jakże łatwych do sprawdzenia, w owym obsesyjnym poszukiwaniu kontaktów, jakim było życie. Twarze tak otwarte i łatwe do odczytania, że zanim się zaczęło, już czytało się napis „koniec”.

Dla Allena Yoshidy seks był przyjemnością głupców.

Z salonu przeszedł krótkim korytarzem, który prowadził do kuchni i do jadalni. Zatrzymał się przed obudowaną boazerią ścianą. Nacisnął guzik po prawej stronie i ściana odsunęła się i znikła w murze.

Stanął naprzeciw prowadzących w dół schodów.

Zszedł po nich, czując lekką niecierpliwość. Miał nową kasetę do obejrzenia, niepublikowane wideo, które dostarczono mu poprzedniego dnia. Nie znalazł jeszcze czasu, żeby wszystko odbyło się tak, jak lubił. Miał usiąść wygodnie w swojej salce projekcyjnej z plazmowym ekranem, smakując każde ujęcie z kieliszkiem zmrożonego szampana w ręku.

Kiedy pozwolił, żeby Billy La Ruelle spadł z dachu, Allen Yoshida nie tylko stał się jednym z najbogatszych ludzi świata. Odkrył też coś, co miało zmienić jego życie. Widok wytrzeszczonych oczu i przerażonej twarzy przyjaciela kołyszącego się w próżni, rozpacz w jego głosie, kiedy prosił o pomoc, sprawiły mu przyjemność.

Zdał sobie z tego sprawę później, w domu, kiedy rozebrał się, żeby wziąć prysznic, i odkrył, że majtki ma całe w spermie. W owym tragicznym momencie, w którym zginął jego przyjaciel, on miał orgazm.

Od tamtej pory, od owego odkrycia, bezzwłocznie wszedł na drogę swojej przyjemności, tak samo, jak bez żadnych wyrzutów sumienia wkroczył na drogę bogactwa.

Uśmiechnął się. Ów uśmiech był niczym świetlista pajęczyna na jego nieprzeniknionej twarzy. Było prawdą, że za pieniądze można kupić wszystko. Wspólnictwo, milczenie, zbrodnię, życie i śmierć. Za pieniądze ludzie gotowi byli zabijać, zadawać cierpienie i poddawać się mu. Wiedział o tym dobrze, za każdym razem, kiedy nowa kasetka uzupełniała jego kolekcję, a on płacił za nią wygórowaną cenę.

Były to filmy rejestrujące autentyczne tortury i zabójstwa, mężczyzn, kobiet, czasem dzieci, zgarnianych z ulicy, prowadzonych do mrocznych miejsc i tam, przed zabiciem, poddawanych najwymyślniejszym męczarniom pod obojętnym okiem kamery wideo.

Miał w swoich zbiorach prawdziwe cacka. Nastolatka owijana powoli drutem kolczastym, a potem żywcem spalona. Kolorowy mężczyzna dosłownie odarty ze skóry, aż stał się jedną, czerwoną plamą krwi. Ich krzyki były muzyką dla jego uszu, kiedy sączył zmrożone wino i czekał na zwieńczenie swojej rozkoszy.

I wszystko było prawdziwe.

Po zejściu ze schodów znalazł się w obszernym, oświetlonym pomieszczeniu. Po lewej stronie umieszczono dwa stoły bilardowe Hermelin, jeden tradycyjny, a drugi amerykański, specjalnie dla niego zbudowane i przywiezione z Włoch. Na ścianie wisiały kije i wszystko, co potrzebne do gry. Stały tam fotele i kanapy wokół mebla kryjącego w sobie barek, jeden z wielu rozproszonych po całym domu.

Poszedł dalej i zatrzymał się przed ścianą pokrytą drewnianym panelem. Po prawej stronie, na cokole o wysokości około półtora metra, stała marmurowa grupa z okresu helleńskiego, przedstawiająca piękną kobietę igrającą z Erosem, oświetlona halogenowym reflektorem zwisającym z sufitu.

Nie zastanawiał się nad delikatnością dzieła, nad napięciem między dwiema postaciami, które udało się artyście uchwycić i przekazać. Położył ręce na podstawie rzeźby i popchnął. Drewniana pokrywa okręciła się wokół własnej osi, odsłaniając wewnętrzne wyżłobienie w podstawie. W głębi umieszczona była tarcza z przyciskami.

Yoshida wystukał znany tylko jemu kod alfanumeryczny i ścianka przesunęła się miękko w bok, znikając częściowo w murze po lewej stronie.

Za tym przejściem było jego królestwo. Czekala na niego tajemna rozkosz, taka jaką powinna być, żeby stać się rozkoszą absolutną.

Miał właśnie przekroczyć próg, kiedy poczuł gwałtowne uderzenie w kark, błysk przeszywającego bólu, a zaraz potem chłód ciemności.

Czwarty karnawał

Kiedy Allen Yoshida powraca do przytomności, ma mgłę przed oczami i boli go głowa.

Próbuje poruszyć ramieniem, ale bez skutku. Mruży oczy, żeby odzyskać ostrość widzenia. W końcu otwiera je szeroko i widzi, że siedzi w fotelu, pośrodku pokoju. Jego ręce i nogi związane są żelaznym drutem. Usta ma zaklejone samoprzylepną taśmą.

Naprzeciw niego, na krześle, siedzi człowiek, który przygląda mu się w milczeniu. Zupełnie nie widać, jak wygląda.

Ma na sobie coś, co przypomina zwykły, roboczy fartuch z ciemnego płótna, o rozmiarze przynajmniej cztery, pięć razy za dużym. Twarz zasłonięta jest czarną kominiarką, a odkryta część na wysokości oczu dużymi, ciemnymi okularami z lustrzanymi szklami. Na głowie ma czarny kapelusz z opuszczonym rondem. Dłonie osłonięte są również czarnymi rękawiczkami.

Przerażony wzrok Yoshidy przebiega po jego całej postaci. Pod obszernym płaszczem spodnie, czarne jak cała reszta, mają ten sam charakter co fartuch. Są dużo większe niż na to wskazuje postura mężczyzny. Opadają na płócienne buty, tworząc fałdy, podobnie jak to wygląda u niektórych chłopców ubranych według mody hip-hopowej.

Yoshida dostrzega coś dziwnego. Na wysokości kolan i łokci są wypukłości, które napinają tkaninę ubrania, jak gdyby osoba siedząca naprzeciw niego miała dodatkowe protezy przymocowane do nóg i ramion.

Siedzą w milczeniu przez czas, który Yoshidzie zdaje się nie mieć końca. Mężczyzna nie decyduje się mówić, a on nie jest w stanie się odezwać.

Jak udało mu się wejść? Willa otoczona jest ochroną nie do przejścia, złożoną z uzbrojonych ludzi, psów i kamer. Jak zdołał pokonać tę barierę?

A przede wszystkim, czego od niego chce? Pieniądzy? Jeśli w tym leży problem, może mu ich dać, ile zechce. Może mu dać wszystko, czego zażąda. Nie ma nic, czego nie można kupić za pieniądze. Nic. Gdyby tylko był w stanie się odezwać...

Mężczyzna wciąż patrzy na niego w milczeniu, siedząc na krześle.

Yoshida wydaje z siebie nieartykułowany jęk, przytłumiony taśmą klejącą, która knebluje mu usta. W końcu, z tej czarnej plamy, jaką jest ciało mężczyzny, wydobywa się głos.

- Witam, panie Yoshida.

Głos jest ciepły i miłe brzmiący, ale mężczyźnie przywiązanemu do fotela wydaje się bardziej tnący od żelaznego drutu, który ściska mu nogi i ręce.

Wytrzeszcza oczy i znów wydobywa z siebie niewyraźny jęk.

- Proszę się nie wysilać, bo i tak pana nie rozumiem. A w każdym razie to, co mógłby mi pan powiedzieć, zupełnie mnie nie interesuje.

Mężczyzna wstaje z krzesła, poruszając się w jakiś nienaturalny sposób, z powodu ogromnego ubrania i dziwnych protez na kolanach i łokciach.

Przechodzi za jego plecy. Yoshida próbuje odwrócić głowę, żeby mieć go pod kontrolą. Znów słyszy głos, dochodzący z jakiegoś punktu z tyłu.

- Stworzył pan sobie tutaj piękne miejsce, dyskretne, gdzie może się pan cieszyć swoimi małymi, prywatnymi radościami. W życiu mało jest przyjemności, którymi można się z kimś dzielić. Rozumiem pana, panie Yoshida. Sądzę, że nikt lepiej ode mnie nie może pana zrozumieć...

Mówiąc te słowa, mężczyzna znów stanął przed Yoshidą. Szerokim gestem pokazuje otaczającą ich przestrzeń.

Prostokątne pomieszczenie, gdzie się znajdują, nie ma okien. Powietrze dociera tam dzięki systemowi wentylacji, którego otwory umieszczone są na ścianach nieco poniżej sufitu. W głębi, pod ścianą, stoi łóżko przykryte jedwabną pościelą, nad nim wisi obraz, jedyne ustępstwo wobec surowej prostoty pokoju. Obie dłuższe ściany są niemal w całości pokryte lustrami, żeby wyeliminować wszelkie uczucie klaustrofobii, stwarzając optyczną iluzję większej powierzchni.

Naprzeciw łóżka seria plazmowych monitorów podłączonych do odtwarzaczy VHS i DVD. Wyświetlając film, można znaleźć się w otoczeniu obrazów i czuć się jakby w środku akcji.

Poza tym w całym pokoju, we wszystkich kątach, porozstawiane są kamery wideo. One również podłączone są do systemu nagrywania i projekcji.

- To tutaj pan odpoczywa, panie Yoshida? To tutaj zapomina pan o świecie, kiedy chce pan, żeby świat zapomniał o panu?

Ciepły głos mężczyzny stopniowo zaczyna przekazywać chłód. Yoshida czuje, jak ogarnia jego nogi i ręce, które powoli tracą czucie z powodu braku krążenia. Żelazny drut wcina się w ciało, dokładnie tak, jak ten głos, który wwierca się do jego głowy.

Mężczyzna swoimi niezgrabnymi ruchami pochyla się nad płócienną torbę opartą o nogę krzesła, na którym wcześniej siedział. Wyjmuje z niej płytę, stary longplay w okładce osłoniętej nylonową kopertą.

- Lubi pan muzykę, panie Yoshida? Ta jest zupełnie niebiańska, proszę mi wierzyć. Coś dla prawdziwych koneserów, do których pan się zresztą zalicza...

Podchodzi do sprzętu hi-fi ustawionego przy ścianie po ich lewej stronie i przygląda mu się uważnie. Odwraca się i światło w pokoju staje się krótkim błyskiem odbitym w lustrze jego okularów.

- Gratulacje, niczego pan nie zaniedbał. Przygotowałem pewną alternatywę na wypadek, gdyby nie miał pan adaptera, ale widzę, że jest pan bardzo dobrze wyposażony.

Włącza gramofon i kładzie płytę na talerzu, wyjąwszy ją uprzednio ostrożnie z okładki. Kładzie igłę na winylu.

Dźwięki trąbki wydobywają się z głośników i unoszą w powietrzu. Jest to smutna melodia, tak przenikliwa, że przywołuje wspomnienia, melancholię, która odbiera dech, dotkliwe cierpienia, błagające tylko o to, żeby o nich zapomnieć. Jest to muzyka bez pamięci. Pamięć o niej pragnie, żeby przestać istnieć.

Mężczyzna wsłuchuje się w nią przez chwilę bez ruchu, z głową lekko przechyloną na bok. Yoshida wyobraża go sobie z przymkniętymi oczami za ciemnymi szklami. Jest to tylko moment, po czym mężczyzna otrząsa się z zadumy.

- Piękne, prawda? Wielki Robert Fulton. Być może największy ze wszystkich. I jak wszyscy wielcy, niezrozumiany...

Podchodzi z zainteresowaniem do tablicy obsługującej sprzęt wideo.

- Mam nadzieję, że coś z tego zrozumie. Nie chciałbym, żeby miał pan aparaturę zbyt skomplikowaną dla moich mizernych możliwości, panie Yoshida. Nie, na szczęście wszystko wydaje mi się wystarczająco jasne.

Naciska kilka guzików i monitory zapalają się z efektem śnieżenia, typowym przy braku programu. Majstruje coś jeszcze przez chwilę i w końcu kamery wideo

zaczynają działać. Na ekranach pojawia się postać Yoshidy, unieruchomionego na fotelu pośrodku pokoju, naprzeciwko pustego krzesła.

Mężczyzna zdaje się zadowolony z siebie.

- Znakomicie. Nadzwyczajna aparatura. Zresztą, nigdy nie spodziewałbym się po panu czegoś gorszego.

Mężczyzna podchodzi do swojego więźnia, przekręca krzesło i siada okrakiem naprzeciw niego. Kładzie zdeformowane ramiona na oparciu. Protezy na łokciach napinają płótno fartucha, który ma na sobie.

- Pewnie się pan zastanawia, czego od pana chcę, prawda? Yoshida wydaje z siebie kolejny, przeciągły jęk.

- Wiem, wiem. Jeśli pan myśli, że chcę pańskich pieniędzy, proszę się uspokoić. Nie interesują mnie pieniądze, ani pana, ani nikogo innego. Jestem tu w sprawie wymiany.

Yoshida wypuszcza nosem powietrze. Całe szczęście. Kimkolwiek jest ten mężczyzna, jakakolwiek jest jego cena, może istnieje sposób, żeby dojść do porozumienia. Jeśli nie chce pieniędzy, to na pewno chce czegoś, co za pieniądze można kupić. A wszystko można kupić za pieniądze, powtarza sobie. Wszystko.

Odpręża się w fotelu. Ucisk żelaznego drutu wydaje się nieco lżejszy, teraz kiedy pojawia się promyk nadziei, możliwość pertraktacji.

- Kiedy pan spał, rzuciłem okiem na pańskie kasety, panie Yoshida. Wydaje mi się, że pan i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Obydwaj, na swój sposób, zainteresowani jesteśmy śmiercią nieznanym nam osób. Pan dla przyjemności, ja, ponieważ muszę to robić...

Mężczyzna pochyla głowę, jakby patrzył na lśniące drewno oparcia. Yoshida ma wrażenie, że biegnie za jakąś myślą, która na chwilę odciągnęła go daleko stamtąd. W jego głosie pobrzmiewa poczucie nieuchronności, stanowiącej samą istotę śmierci.

- Tutaj kończą się podobieństwa między nami. Pan to robi przez podstawioną osobę, ja jestem zmuszony robić to sam. Pan patrzy na zabijanie, panie Yoshida...

Mężczyzna zbliża do niego zasłoniętą twarz.

- *Ja zabijam...*

W jednej chwili Yoshida rozumie, że jest zgubiony. Stają mu przed oczami pierwsze strony wszystkich gazet, przywołujące zabójstwo Jochena Weldera i Ariane Parker. Od kilku dni dzienniki telewizyjne pełne są mrozących krew w żyłach szczegółów tych dwóch zbrodni, łącznie z krwawym podpisem, pozostawionym przez

mordercę na jachcie. Były to te same słowa, które wypowiedział przed chwilą siedzący przed nim mężczyzna. Ogarnia go rozpacz. Nikt nie przyjdzie mu na ratunek, bo nikt nie wie o istnieniu jego kryjówki. Nawet gdyby strażnicy go szukali, nie znalazłszy go w domu, kontynuowaliby poszukiwania na zewnątrz.

Znów zaczyna jęczeć i spanikowany wiercić się na krześle.

- Pan ma coś, co mnie interesuje, panie Yoshida, co mnie bardzo interesuje. Oto dlaczego czuję się w obowiązku zaproponować panu wymianę.

Podnosi się z krzesła i idzie otworzyć szklane drzwi szafy, w której ustawione są kasety VHS. Bierze jedną jeszcze nieużywaną, zdejmuje z niej folię i wkłada do odtwarzacza wideo.

Naciska przycisk „rec” rozpoczynający nagrywanie.

- Coś dla mojej przyjemności przeciwko czemuś dla pańskiej przyjemności.

Płynnym ruchem wsuwa dłoń do kieszeni fartucha i wyciąga z niej sztylet o złowrogo połyskującym ostrzu. Podchodzi do Yoshidy, który miota się jak oszalały, nie zważając na wrzynający się w ciało żelazny drut. Tym samym płynnym ruchem wbija mu sztylet w udo. Histeryczny skowyt więźnia przechodzi w wycie, stłumione taśmą klejącą zasłaniającą usta.

- Oto, co się czuje, panie Yoshida.

To któreś z kolei „panie Yoshida”, wypowiedziane zduszonym głosem, brzmi niczym mowa pogrzebowa. Okrwawiony sztylet opada znowu, tym razem na drugie udo ofiary.

Ruch jest tak szybki, że Yoshida nie czuje prawie bólu, tylko chłód na nodze. Zaraz potem, letnią wilgoć krwi spływającej po łydce.

- To dziwne, prawda? Może pewne rzeczy się zmieniają, widziane z innej perspektywy. Ale zobaczy pan, że na końcu odczuje pan taką samą satysfakcję. Również tym razem dostanie pan swoją przyjemność.

Mężczyzna z zimną determinacją zadaje kolejne ciosy swojej ofierze, podczas gdy jego gesty są rejestrowane i przenoszone na ekrany za pośrednictwem kamer. Yoshida widzi, jak sztylet wbija się w jego ciało. Widzi krew zakwitającą czerwonymi plamami na jego białej koszuli. Widzi mężczyznę, który w pokoju i na ekranie podnosi i opuszcza ostrze swojego sztyletu, jeszcze i jeszcze raz. Widzi swoje oszalałe z przerażenia i bólu oczy wypełniające obojętną przestrzeń monitorów.

Muzyka w tle tymczasem się zmieniała. Trąbka przeszywa powietrze wysokimi dźwiękami, popartymi wyraźnie zaakcentowaną rytmiką, brzmieniem ludowych instrumentów perkusyjnych, przywołujących plemienne rytuały i ofiary z ludzi.

Mężczyzna i jego sztylet kontynuują swój zimny taniec wokół ciała Yoshidy, otwierając kolejne rany, z których krew wypływa na tkaninę ubrań i na marmurową posadzkę.

Muzyka i mężczyzna zatrzymują się jednocześnie, jak w próbowanym w nieskończoność balecie.

Yoshida jest jeszcze żywy i świadomy. Czuje krew i życie uchodzące z otwartych ran na całym jego ciele, które teraz jest jednym wielkim bólem. Kropla potu spływa z czoła i pali jego lewe oko. Mężczyzna ociera mu spoconą twarz zakrwawionym rękawem fartucha. Czerwony odprysk pozostaje na jego czole.

Krew i pot. Krew i pot, jak już tyle razy przedtem. A na wszystkim zupełnie niezdziwione oko kamer.

Mężczyzna dyszy pod wełnianą kominiarką. Idzie zatrzymać nagrywanie i cofa taśmę. Kiedy kasetka wraca do początku, naciska guzik „play”.

Na ekranach, przed półprzymkniętymi oczami Yoshidy i jego wykrwawiającym się powoli ciałem, wszystko zaczyna się od nowa. Pierwszy cios sztyletu, który jak rozżarzone żelazo przeciął mu udo. A potem drugi, niosący chłód. I następne...

Głos mężczyzny jest teraz głosem śmierci, miękkim i obojętnym.

- Oto, co panu oferuję. Moją rozkosz za pańską rozkosz. Proszę się spokojnie usadowić, panie Yoshida. Proszę się rozluźnić i patrzeć na swoją śmierć...

Yoshida słyszy głos, jakby docierał do niego przez grubą warstwę waty. Jego oczy są wpatrzone w ekran. Podczas gdy krew opuszcza powoli jego ciało, a chłód zaczyna stopniowo wnikać do każdej komórki, znów ogarnia go chora rozkosz.

Kiedy światło opuszcza jego oczy, trudno dociec, czy patrzą na piekło, czy na raj.

Margherita Vizzini skręciła na podjazd prowadzący na parking des Boulingrins, na placu Casinó. O tej porze dnia ruch był jeszcze mały. Mieszkańcy Monte Carlo, którzy prowadzili nocny tryb życia, zarówno bogacze, jak i desperaci, jeszcze spali. Było też jeszcze trochę za wcześnie na przyjezdnych turystów. Wszystkie osoby, które widać było na ulicach, podobnie jak ona podążały do pracy. Niektóre z nich siedziały w blasku słońca w Cafe de Paris i jadły śniadanie w otoczeniu kolorowych i uporządkowanych kwietników. Po chwili znalazła się w ciepłym i wilgotnym półmroku parkingu. Zatrzymała swojego fiata stilo obok parkomatu i wsunęła do niego kartę abonamentową. Bariierka podniosła się, a ona wjechała wolno do środka.

Margherita przyjeżdżała każdego ranka z Ventimiglii we Włoszech, gdzie mieszkała. Pracowała w ABC, Biurze Papierów Wartościowych Międzynarodowego Banku Monako, przy placu Casinó, dokładnie naprzeciwko butik Chanel.

Miała prawdziwe szczęście, znajdując tę posadę w Monte Carlo. A przede wszystkim dostając ją bez żadnych znajomości czy rekomendacji. Po uzyskaniu dyplomu z ekonomii i handlu z maksymalną liczbą punktów miała wiele propozycji pracy, jak to zawsze bywa w przypadku wyróżniających się studentów. Wśród innych zaskoczyła ją oferta ABC.

Poszła na rozmowę, nie mając żadnej nadziei, ale ku jej wielkiemu zdumieniu, została wybrana i zatrudniona. Z sytuacji tej wynikało wiele dodatkowych korzyści. Po pierwsze, początkowa pensja była wyraźnie wyższa od tej, na jaką mogłaby liczyć we Włoszech. A poza tym, pracując w Monte Carlo, zupełnie inaczej przedstawiały się sprawy podatkowe...

Margherita uśmiechnęła się. Była dziewczyną pełną wdzięku, jej sympatyczną i ładną twarz okalały krótkie, kasztanowe włosy. Kilka piegów na kształtnym nosie nadawało jej twarzy nieco zawadiacki wyraz żeńskiej wersji elfa.

Jakiś samochód wycofywał się ze swojego miejsca, więc musiała się zatrzymać. Skorzystała z tej chwili przerwy, żeby skontrolować swój wygląd we wstecznym lusterku. To, co zobaczyła, całkowicie ją zadowoliło.

Tego dnia do banku miał przyjść Michel Lecomte i zależało jej, żeby dobrze wyglądać.

Michel...

Na myśl o jego powłóczystym spojrzeniu poczuła przyjemne ciepło w środku. To, co Anglicy nazywają „żołądkiem pełnym motyli”. Od pewnego czasu toczyła się między nimi bardzo przyjemna gra, niezwykle wciągająca, bo bardzo delikatna. Teraz przyszedł moment, żeby przycisnąć trochę mocniej pedał gazu.

Droga była wolna. Wjechała na rampę i zaczęła zjeżdżać w głąb parkingu, który zajmował kilka pięter pod placem. Miała tam własne miejsce na przedostatnim piętrze, w części zarezerwowanej dla urzędników i personelu banku.

Prowadziła ostrożnie, ale też swobodnie. Zjechała przez kilka poziomów, słysząc momentami lekki pisk opon na śliskim podłożu, kiedy skręcała, żeby wjechać na kolejną rampę. Dotarła wreszcie na swoje piętro. Zarezerwowane dla niej miejsce było w głębi, zaraz za przepierzeniem.

Skręciła lekko w lewo, żeby ominąć dzielącą ścianę i zaskoczona zobaczyła, że jej miejsce zajmuje duża limuzyna, lśniący, czarny bentley z zaciemnionymi szybami.

Dziwne. Takie samochody rzadko widywało się na podziemnych parkingach. Było to auto dla kierowcy w ciemnym garniturze, stojącego obok tylnych drzwiczek, które otwierał, kiedy pasażerowie chcieli wsiąść albo wysiąść. Można też było porzucać je niechlujnie przed Hotel de Paris, pozostawiając zadanie właściwego zaparkowania pracownikom hotelu.

Prawdopodobnie był to wóz jakiegoś klienta banku. Model samochodu zdawał się wykluczać jakąkolwiek formę protestu, postanowiła więc ustawić się na wolnym miejscu obok.

Nieco rozkojarzona być może tymi myślami, popełniła niewielki błąd w ocenie odległości i wykonując manewr, uderzyła w lewy, tylny bok limuzyny. Usłyszała odgłos rozbijanych świateł swojego auta, podczas gdy ciężki bentley zareagował na zderzenie lekkim drganiem zawieszenia.

Margherita włączyła delikatnie wsteczny bieg, jakby ta ostrożność mogła zaradzić małej katastrofie, jaką spowodowała. Kiedy widok się odsłonił, spojrzała z

niepokojem na tył bentleya. Na karoserii była rysa, niezbyt duża, ale dobrze widoczna, ze znakiem szarego plastiku jej zderzaka.

Rozdrażniona uderzyła dłońmi w kierownicę.

Teraz będzie musiała zająć się wszystkimi kłopotliwymi formalnościami biurokratycznymi związanymi z wypadkiem, nie licząc ewentualnego zażenowania, kiedy będzie musiała przyznać się klientowi banku, jaką wyrządziła mu szkodę.

Wysiadła z samochodu i skonsternowana podeszła do limuzyny. Zatrzymała się na wysokości tylnego okna. Wydało jej się, że ktoś jest w środku, jakiś profil rozmazany przez filtr przydymionych szyb.

Zbliżyła głowę do szyby, osłaniając oczy rękami, jakby broniła się przed odbiciem światła. Nadal zdawało jej się, że na tylnym siedzeniu kogoś widzi.

Jednak wciąż uważała to za dziwne. Gdyby tak było, osoba siedząca w aucie na pewno wysiadłaby po zderzeniu.

Zmrużyła oczy. W tej samej chwili postać w środku przechyliła się i opadła na bok, opierając czoło o szybę.

Margherita zobaczyła ze zgrozą twarz mężczyzny całą we krwi, martwe, wytrzeszczone oczy, odsłonięte zęby w uśmiechniętej czaszce.

Odskoczyła do tyłu i niemal nieświadomie zaczęła krzyczeć.

Frank Ottobre i komisarz Hulot nie położyli się nawet na chwilę.

Noc spędzili przed niemą okładką płyty, przesłuchując wciąż od nowa taśmę, która nie powiedziała im wiele więcej. Budowali, po czym burzyli wszelkie możliwe hipotezy, prosząc o pomoc każdego, kto choć trochę znał się na muzyce. Inspektor Rochelle, fanatyk hi-fi, posiadacz wielkiej kolekcji płyt, też zaplątał się między zręczne palce Carlosa Santany i poruszane przez nie struny gitary.

Przetrząsnęli Internet wzdłuż i wszerz, szukając pod wszelkimi dostępnymi adresami jakiegokolwiek wskazówki, która mogłaby posłużyć do rozszyfrowania wiadomości wysłanej im przez mordercę.

I nic.

Stali przed zatrzaśniętymi drzwiami i nie mogli znaleźć klucza. Była to noc wypełniona kawą i niezależnie od ilości cukru, jaką do niej wsypywali, wciąż czuli gorycz w ustach. Czas uciekał, a wraz z nim nadzieje stawały się coraz bardziej płonne.

Za oknem, nad dachami, niebo przyoblekło się błękitem. Hulot wstał od biurka i poszedł wyjrzeć na zewnątrz. Na ulicy ruch stawał się powoli coraz intensywniejszy. Dla ludzi miał to być nowy dzień pracy po przespanej nocy. Dla nich kolejny dzień oczekiwania po koszmarze nocy bez snu.

Frank siedział na fotelu z nogą przerzuconą przez poręcz, ze wzrokiem wbitym w sufit. Od kilku minut nie otworzył ust. Hulot ścisnął palcami nasadę nosa, po czym odwrócił się z westchnieniem zmęczenia i bezradności.

- Claude, oddaj mi przysługę.

- Tak, panie komisarzu.

- Wiem, że nie jesteś kelnerem. Ale jesteś najmłodszy i w jakiś sposób musisz za to zapłacić. Możesz sprawdzić, czy jest jakaś możliwość zdobycia kawy choć trochę lepszej od tego świństwa z automatu?

Morelli uśmiechnął się.

- Nie mogłem się doczekać, kiedy mnie pan o to poprosi. Ja też mam ochotę na mocną kawę.

Kiedy inspektor wychodził z biura, Hulot przeciągnął dłonią po szpakowatych, lekko przerzedzonych włosach, które po nieprzespanej nocy odsłaniały różową skórę.

Kiedy odezwał się telefon, wiedzieli, że przegrali.

Podnosząc słuchawkę do ucha, Hulot czuł, jakby ten kawałek plastiku ważył sto kilo.

- Hulot - odezwał się lakonicznie.

Słyszając, co mówią do niego z drugiej strony, pobladł.

- Gdzie? Następną pauza.

- Dobrze, zaraz tam będziemy.

Nicolas odłożył słuchawkę i zasłonił twarz dłońmi.

Podczas rozmowy Frank podniósł się z siedzenia, jakby w jednej chwili opuściło go całe zmęczenie. Przyjął nagle postawę psa tropiącego zdobycz. Patrzył na Hulota z zaciśniętą szczęką. Lekko zaczerwienione oczy zmieniły się w dwie wąskie szparki.

- Mamy trupa, Frank, na podziemnym parkingu naprzeciwko kasyna. Bez twarzy, jak dwa poprzednie.

Hulot wstał od biurka i ruszył w stronę drzwi. Frank poszedł jego śladem. Omal nie zderzyli się z Morellim, który właśnie wchodził, niosąc na tacy trzy filiżanki.

- Komisarzu, ka...

- Morelli, odstaw tę kawę i wezwij samochód. Znaleźli następną ofiarę. Musimy pędzić.

Wychodząc z biura, Morelli zwrócił się do przechodzącego korytarzem policjanta.

- Dupasquier, samochód na dole. Natychmiast. Ściągnęli windę, która zdawała się zjeżdżać z dachu Himalajów.

Wyszli na zewnątrz, a na dziedzińcu czekał już na nich samochód z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiczkami, które zamykali w biegu.

- Plac Casinò. Włącz syrenę, Lacroix, i nie oszczędzaj kół - polecił Hulot kierowcy, młodemu chłopakowi o bystrym wyglądzie. Ten nie kazał się prosić i w tej samej sekundzie wyrwał z piskiem opon.

Podjazdem Sainte-Dévôte z rozdzierającym dźwiękiem syren dotarli na plac, mijając po drodze odwracających głowy ludzi. Przed wejściem na parking mały tłumek ciekawskich zdawał się repliką sytuacji sprzed kilku dni w porcie. Naprzeciwko kasyna rozciągała się kolorowa plama miejskich ogrodów, pełnych kwitnących klombów i palm. Po ich lewej stronie, na wielkiej rabacie w środku rotundy przed Hôtel de Paris, zdolny ogrodnik dostał zadanie ułożenia z kwiatów daty. Frank nie zdołał odpędzić od siebie myśli, że dla nowej ofiary ktoś zapisał już ten dzień krwią.

Samochód policyjny przebił się przez tłum przy pomocy funkcjonariuszy, pod gorączkowym spojrzeniem setek oczu, próbujących dostrzec, kto jest w środku. Wjechali na parking i z piskiem opon pomknęli na poziom, gdzie czekały już dwa inne samochody z zapalonymi migaczami. Kręcące się światła rzucały smugi na ściany i sufit.

Frank i komisarz wyskoczyli z auta jak oparzeni. Wskazując na pozostałe samochody, Hulot wydał polecenie jednemu z funkcjonariuszy.

- Niech zgaszą te światła, bo za parę minut wszyscy zwariujemy.

Podeszli do dużego, ciemnego bentleya, zaparkowanego przodem do ściany. Na tylnym siedzeniu, oparte o zakrwawioną szybę, znajdowały się zwłoki mężczyzny.

Na ten widok Hulot ścisnął pięści tak mocno, aż pobielają mu knykcie.

- Gówno! Gówno! Gówno! Gówno! Gówno! Gówno!... - zaczął powtarzać w nieskończoność, jakby ten atak wściekłości mógł w jakiś sposób zmienić to, co mieli przed oczami.

- To on, psiakrew!

Frank poczuł, jak zmęczenie po bezsennej nocy przechodzi w przygnębienie. Kiedy oni siedzieli w biurze, pogrążeni w ciszy, próbując rozpaczliwie rozszyfrować wskazówkę szaleńca, ten znów zaatakował.

Hulot odwrócił się do policjantów.

- Kto go znalazł?

Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy wystąpił naprzód.

- Ja, panie komisarzu. A raczej ja pierwszy tu się znalazłem. Miałem usunąć jeden z samochodów i usłyszałem krzyk dziewczyny...

- Jakiej dziewczyny?

- Tej, która jako pierwsza odkryła ciało. Siedzi w samochodzie. Jest w stanie szoku i płacze jak bóbr. Pracuje tu na górze, w ABC Banque. Parkując samochód, uderzyła w bentleya, wysiadła, żeby sprawdzić szkodę, i wtedy go zobaczyła...

- Nikt niczego nie dotykał? - zapytał Frank.

- Nie, nie pozwoliłem nikomu się zbliżyć. Czekaliśmy na was.

- Dobrze.

Frank poszedł do auta, którym przyjechali, wziął lateksowe rękawiczki i naciągnął je, wracając do limuzyny. Spróbował odblokować przednie drzwi od strony kierowicy. Zamek odskoczył. Samochód był otwarty.

Wsunął się do środka i zaczął oględziny zwłok. Mężczyzna miał na sobie białą koszulę, tak przesiąkniętą krwią, że z oryginalnego koloru pozostało bardzo niewiele. Spodnie były czarne, prawdopodobnie od wieczorowego garnituru. Tkanina poprzerwana była w wielu miejscach od licznych ciosów sztyletu. Obok trupa, na skórzanym oparciu, widniał skreślony krwią napis.

Ja zabijam...

Wychylając się za skórzany fotel, Frank chwycił ciało za ramiona, próbując podciągnąć je do góry i oprzeć na siedzeniu tak, żeby się już nie ześliznęło. W tej samej chwili usłyszał, jak coś z przytłumionym hałasem spada na podłogę auta.

Wysiadł tyłem z samochodu i poszedł otworzyć drugie drzwi, od strony trupa. Przycupnął na ziemi ze zgiętymi kolanami i rękami opartymi na udach. Stojący za jego plecami Hulot pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. Ręce schował za siebie, gdyż nie założył rękawiczek i nie chciał niczego niechcący dotknąć.

Ze swojej pozycji Frank zobaczył, co spadło na dywanik samochodu. Prawie całkowicie wsunięta pod przedni fotel, leżała kasetka VHS. Prawdopodobnie spoczywała wcześniej na brzuchu trupa i wskutek ruchu znalazła się na podłodze. Wyjął długopis z kieszonki marynarki i włożył go do jednego z otworów kasety. Podniósł ją i przez chwilę jej się przyglądał, po czym wyjął z kieszeni przezroczystą, plastikową torebkę, wsunął do niej kasetę i zamknął.

Wykonując tę czynność, zorientował się, że trup jest boso. Zobaczył głębokie znaki na jego napiętkach. Wyciągnął rękę i sprawdził giętkość palców. Podciągnął mu nogawki, żeby zobaczyć, czy takie same ślady widnieją też na kostkach.

- Ten biedak został unieruchomiony za pomocą czegoś bardzo wytrzymałego, myślę, że był skrepowany metalowym drutem. Wnioskując z krzepnięcia krwi i z ruchomości stawów, zgon nastąpił niedawno. I nie umarł tutaj.

- Kolor dłoni wskazywałby na to, że się wykrwawił od zadanych ran.

- Dokładnie tak, bo gdyby umarł tutaj, byłoby dużo więcej krwi na siedzeniach i podłodze samochodu, a nie tylko na ubraniach. A poza tym, miejsce to wydaje się mało odpowiednie do pracy, jaką musiał wykonać morderca. Nie, ten biedak został zabity gdzie indziej, a dopiero potem wciągnięty do samochodu.

- Ale po co cały ten kłopot?

Hulot cofnął się, żeby Frank mógł się podnieść.

- To znaczy, po co transportować zwłoki z jednego miejsca na drugie, samochodem, w nocy, ryzykując wpadkę? Według ciebie, dlaczego to zrobił?

Frank rozejrzał się wokół skonfundowany.

- Nie wiem. To jedna z rzeczy, które musimy odkryć.

Przyglądali się przez chwilę w milczeniu trupowi z wytrzeszczonymi oczami, opartemu na siedzeniu, w ciasnej przestrzeni swojej lśniącej luksusowej trumny.

- Sądząc po resztkach ubrania i po samochodzie, musiał to być ktoś niezłe ustawiony.

- Zobaczymy, na kogo zarejestrowana jest ta landara?

Okrążyli bentleya i otworzyli drzwi od strony pasażera.

Frank nacisnął przycisk skrytki na tablicy rozdzielczej. Schowek otworzył się bezszelestnie. Wyjął skórzany futerał na dokumenty. W środku znalazł kartę wozu.

- Samochód zarejestrowany jest na spółkę Zen Electronics.

- Boże święty. To Allen Yoshida...

W głosie komisarza brzmiało osłupienie.

- Właściciel Sacrifiles.

- Cholera, Nicolas. Oto znaczenie wskazówki.

- Co masz na myśli?

- Ten kawałek Santany, którego tyle razy słuchaliśmy, został nagrany na żywo w Japonii. A Yoshida jest pół Amerykaninem, pół Japończykiem. Pamiętasz inne utwory Santany? Jeden nazywa się *Soul Sacrifice*, rozumiesz? *Sacrifice!* Jeżeli się nie mylę, na płycie Lotus jest jeszcze jeden utwór zatytułowany Kyoto. Nie zdziwiłbym się, gdyby Yoshida miał także coś wspólnego z tym miastem.

Hulot wskazał na trupa w samochodzie.

- Mówisz, że to on? Że to Allen Yoshida?

- Założyłbym się o złoto z Fort Knox. I coś jeszcze przychodzi mi do głowy...

Hulot patrzył zmieszany na Amerykanina. W jego głowie rodziła się jakaś szalona myśl.

- Nicolas, jeśli Yoshida został zamordowany gdzie indziej, a potem przewieziony tutaj, żeby znaleziono go przy placu Casinó w Monte Carlo, był ku temu bardzo wyraźny powód.

- Jaki?

- Ten skurwysyn chce, żebyśmy zajmowali się tym właśnie my!

Hulot pomyślał, że jeśli to, co mówi Frank, jest prawdą, szaleństwo mordercy nie ma granic, podobnie jak jego zimna krew. Ogarnęło go gorzkie przeczucie dotyczące nadchodzących dni, tego, co ich czeka, mordercy, z którym mieli do czynienia, ofiar, które zostały już poniesione.

Hałas opon zapowiedział przyjazd ambulansu i lekarza sądowego. Niemal natychmiast pojawił się też na rampie furgon ekipy technicznej.

Hulot wyszedł im naprzeciw. Frank został sam przy otwartych drzwiach auta. Jego wzrok padł nagle na radio samochodowe. Z kieszeni magnetofonu coś wystawało. Frank oparł się na siedzeniu, wyciągnął rękę i wyjął kasetę.

Była to normalna kasetka audio, jaką można kupić w każdym sklepie, zwinięta od początku. Frank przyjrzał się jej przez chwilę i zaraz włożył z powrotem do magnetofonu. Odtwarzacz włączył się. Po czym wszyscy zgromadzeni wokół usłyszeli wyraźnie w nieruchomym powietrzu parkingu drwiące dźwięki *Samby Pa Ti*.

19

Kiedy wrócili do centrali, przed budynkiem kłębił się już tłum dziennikarzy.

- Niech ich diabli, przeklęte sępy.

- To było do przewidzenia, Nicolas. Na parkingu jeszcze nam się udało, ale na dłuższą metę nie da się uciec przed tymi ludźmi. Pomyśl, że przy wszystkich kłopotach, jakie mamy, ten i tak jest najmniejszy.

Hulot zwrócił się do kierowcy, tego samego, który zawiózł ich na parking.

- Cofnij. W tej chwili zupełnie nie mam ochoty z nimi rozmawiać.

Samochód odjechał i zatrzymał się przed bramą wjazdową. Reporterzy dojrzeli w środku komisarza i całą falą ruszyli za autem w tak zgrany sposób, jakby wcześniej odbyli próbę generalną.

Szlaban jeszcze się nie podniósł, kiedy samochód otoczony był już dziennikarzami, zadającymi jeden przez drugiego pytania. Hulot, chcąc nie chcąc, zmuszony był opuścić szybę po swojej stronie. Rozgwar głosów nasilił się. Jeden rudy i piegowaty typ wepchnął wręcz głowę do środka.

- Komisarzu, czy wiecie, czyje zwłoki znaleziono na parkingu?

Z tyłu, dobrze znana Hulotowi dziennikarka z „Nice Matin” przepchnęła się siłą, odsuwając gwałtownie kolegę.

- Czy myślicie, że to ten sam sprawca, który zabił Jochena Weldera i Arijanę Parker? Czy mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

- Co pan powie o nocnym telefonie do Radia Monte Carlo? - krzyknął ktoś inny, wychylając się zza ich pleców.

Hulot podniósł ręce, żeby zatrzymać grad pytań.

- Proszę państwa. Wszyscy jesteście zawodowcami i doskonale wiecie, że w tej chwili nic nie mogę wam powiedzieć. Dyrektor wyda później komunikat. To na razie wszystko. Wybaczcie. Jedź, Lacroix.

Posuwając się powoli, żeby nikogo nie potrącić, samochód przejechał przez bramę wjazdową.

Wysiedli z wozu. Hulot przeciągnął rękami po twarzy. Miał podkrążone oczy: nieprzespana noc i potworności, które potem zobaczył, zrobiły swoje.

Wyciągnął z kieszeni kurtki kasetę VHS znaną w aucie ofiary i podał Morellemu. Ludzie z ekipy technicznej oddali mu ją natychmiast, kiedy stwierdzili, że nie ma na niej odcisków palców.

- Claude, każ zrobić zapasową kopię i dostarcz ją nam natychmiast. Przynieście do mojego gabinetu monitor z odtwarzaczem. Potem zadzwoń do Nicei i porozmawiaj z Clavertem. Powiedz mu, że jak tylko zbada taśmę z tej nocy, niech zaraz da nam znać. Nie spodziewam się niczego specjalnego, ale nic nie wiadomo. Jesteśmy w moim biurze.

Weszli po kilku stopniach zewnętrznych schodów i zatrzymali się przed szklanymi drzwiami. Frank popchnął je i wszedł pierwszy. Od chwili, kiedy poprzedniego wieczoru widzieli się w radiu, on i Hulot praktycznie ani przez moment nie byli sami. Zatrzymali się przy windzie. Komisarz nacisnął guzik i drzwi rozsunęły się z szelestem.

- O czym myślisz?

Frank wzruszył ramionami.

- Problem nie w tym, co myślę, ale w tym, że nie wiem już, co myśleć. Ten człowiek to odrębna historia. We wszystkich sprawach, z jakimi miałem do czynienia, było zawsze coś pozostawionego przypadkowi, istniały poszlaki, które wskazywały przede wszystkim na to, w jaki sposób seryjny morderca „znosi” swoją sytuację. Ten natomiast panuje nad wszystkim z zadziwiającą trzeźwością.

- No właśnie. A tymczasem doszliśmy do trzech ofiar.

- Zastanawiam się głównie nad jednym, Nicolas.

- To znaczy?

- Poza tym, że nie wiemy, dlaczego zdejmuje skórę z głów swoich ofiar, w pierwszym przypadku chodziło o mężczyznę i kobietę. Teraz mamy tylko jedno zwłoki, mężczyzny. Co je łączy? Albo raczej, nie mówiąc chwilowo o kobiecie, co łączy Jochena Weldera, dwukrotnego mistrza świata Formuły 1, i Allena Yoshidę, światowego formatu przedsiębiorcę w branży informatycznej?

Hulot oparł się o metalową ścianę windy.

- Dwie najbardziej oczywiste rzeczy, jakie ich łączą, to sława i wiek, około trzydziestu pięciu lat. Można też dodać, że obydwaj byli raczej atrakcyjni.

- To mi pasuje. Co więc ma z tym wspólnego Ariane Parker? Dlaczego kobieta?

Winda zatrzymała się na piętrze. Drzwi się rozsunęły. Hulot wyciągnął rękę, żeby zablokować fotokomórkę.

- Mordercę prawdopodobnie interesował Jochen Welder, a ona weszła mu w drogę. Zmuszony więc był ją zabić.

- To też mi pasuje. Dlaczego więc potraktował ją w taki sam sposób?

Przeszli korytarzem i zatrzymali się przed biurem Hulota. Wszyscy, których mijali po drodze, patrzyli na nich, jak na dwóch weteranów.

- Nie wiem, Frank. Nie wiem, co powiedzieć. Mamy trzy trupy i żadnego przyzwoitego śladu. W dodatku nie udało się nam rozszyfrować na czas jedynej wskazówki, jaką mieliśmy, i w rezultacie mamy jeszcze jedną ofiarę na sumieniu. A wszystko było w sumie dosyć proste.

- Podobno wszystkie zagadki są łatwe, kiedy zna się już odpowiedź.

Weszli do biura. Słońce rzucało na podłogę świetliste kwadraty. Na zewnątrz było już prawie lato. W pokoju zdawało się, że trwa zima.

Hulot podszedł do biurka, wziął telefon i wybrał bezpośredni numer do Frobena, komisarza z Nicei. Frank znów usiadł w fotelu w takiej samej pozycji, jak kilka godzin wcześniej.

- Halo, Claude? Tu Nicolas, cześć. Słuchaj, mam problem. A ściślej, następny problem. Znaleźliśmy kolejnego trupa w samochodzie. Taki sam przebieg wydarzeń, co w przypadku dwóch poprzednich. Głowa odarta ze skóry. Z dokumentów wynika, że samochód zarejestrowany jest na Zen Electronics, spółkę Allena Yoshidy, wiesz, tego...

Komisarz przerwał, jakby rozmówca wszedł mu w słowo.

- Cooo? Zaczekaj, jest tu ze mną Frank. Włączę głośnik, żeby on też mógł słyszeć. Powtórz, co powiedziałeś.

Nacisnął guzik na aparacie telefonicznym i w pokoju rozległ się głos Frobena, lekko zniekształcony przez mikrofon aparatu.

- Mówię, że jestem w domu Yoshidy, w Beaulieu. Miliardowa sprawa. Megamiliardowa. Wszędzie ludzie z ochrony i kamery. Dostaliśmy wezwanie dziś rano koło siódmej. Służba nie mieszka tutaj, wszyscy przychodzą około szóstej trzydzieści. Dzisiaj zabrali się od razu do sprzątnięcia po przyjęciu, które gospodarz

wydał wczoraj wieczorem. Kiedy zeszli na niższe piętro, zastali otwarte drzwi do pokoju, o którego istnieniu nic wcześniej nie wiedzieli...

- Co znaczy „nie wiedzieli”?

- Nicolas, znaczy dokładnie to, co powiedziałem. Pokój, o którego istnieniu nie wiedzieli, ukryte pomieszczenie otwierane za pomocą kodu na tabliczce schowanej w podstawie posągu.

- Przepraszam, mów dalej.

- Weszli i znaleźli fotel cały we krwi. Krew była też na podłodze i na ścianach. Jezioro, jak powiedział dosłownie ochroniarz, który do nas zadzwonił, i muszę przyznać, że nie przesadził. Jesteśmy tu od pewnego czasu i techniczna ciągle pracuje. Zacząłem przesłuchania, ale nic z tego nie wynika.

- To on go zabił, Claude. Przyszedł, zabił Yoshidę, wykonał swoją główną robotę, załadował go do samochodu, a potem zostawił auto z trupem na parkingu kasyna.

- Szef ochrony, były policjant, który nazywa się Valmeere, powiedział mi, że koło czwartej w nocy widział wyjeżdżający samochód Yoshidy.

- I nie zauważyli, kto prowadził?

- Nie, mówi, że samochód ma przydymione szyby i nie widać, kto siedzi wewnątrz. Poza tym była noc.

- Nie zdziwiło go, że Yoshida wyjeżdża sam o tej porze?

- Zapytałem go o to samo. Valmeere odpowiedział, że Yoshida był dziwnym typem. Czasami tak robił. On sam uświadamiał mu, że nie jest bezpiecznie poruszać się samotnie, ale nie było sposobu go przekonać. A chcesz wiedzieć, jak bardzo dziwny był mister Yoshida?

- Mów.

- W pokoju znaleźliśmy całą kolekcję kaset ze snuff movies², przyprawiających o dreszcz grozy. Są tam rzeczy, których nawet sobie nie wyobrażasz. Jednym z moich chłopaków, który je przeglądał, zaczęły wstrząsać torsje. Chcesz, żebym ci coś powiedział?

Froben kontynuował, nie czekając na odpowiedź.

- Jeśli Yoshidzie podobały się tego rodzaju nagrania, skończył tak, jak na to zasługiwał!

² Film pornograficzny ukazujący sceny autentycznego morderstwa.

W głosie Frobena słyhać było wyraźne obrzydzenie. Taki był los każdego policjanta. Za każdym razem myślał, że osiągnął już dno, po czym zdarzało się coś, co obalało to przekonanie.

- Dobra, Claude. Przyślij mi jak najszybciej wyniki analiz, zdjęcia, odciski palców, jeśli są, i całą resztę. I zrób tak, żebyśmy mogli przeprowadzić potem wizję lokalną, jeśli zajdzie potrzeba. Dzięki.

- Nie ma za co. Nicolas...

- Tak?

- Poprzednim razem tylko o tym pomyślałem. Teraz powiem ci otwarcie: nie chciałbym być na twoim miejscu, uwierz mi.

- Wierzę, przyjacielu. Jeszcze jak ci wierzę...

Hulot ostrożnie odłożył słuchawkę, jakby była niezwykle krucha.

Rozparty w fotelu Frank patrzył przez okno niewidzącym wzrokiem na skrawek błękitnego nieba. Jego głos dotarł jakby z odległości tysiąca kilometrów i tysiąca lat.

- Wiesz, Nicolas, czasami, kiedy myślę o tym, co się dzieje na świecie, o sprawach takich jak ta, o World Trade Center, o wojnach i całej reszcie, przychodzą mi na myśl dinozaury.

Komisarz spojrział na niego w milczeniu. Nie mógł zrozumieć, dokąd zmierza.

- Od dawna wszyscy usiłują zrozumieć powód ich wymarcia. Zastanawiają się, dlaczego te zwierzęta, które panowały nad światem, nagle znikły. Być może pośród wszystkich hipotez najwłaściwszą jest ta najprostsza. Może zginęły, bo wszystkie oszalały. Dokładnie tak jak my. Oto czym jesteśmy, małymi dinozaurami. I prędzej czy później, nasze szaleństwo stanie się przyczyną naszej śmierci.

Morelli włożył kasetę do odtwarzacza i niemal natychmiast na monitorze pojawiły się kolorowe pasy na początku taśmy. Hulot poszedł zaciągnąć rolety, żeby wyeliminować odbicie okna na ekranie. Frank siedział jak zwykle w fotelu odwróconym w stronę monitora stojącego przy ścianie naprzeciwko biurka.

Obok niego zajął miejsce Luc Roncaille, dyrektor Sûreté Publique Księstwa Monako, który wpadł niespodziewanie do biura Hulota, kiedy Morelli i jeden z funkcjonariuszy ustawiali monitor i odtwarzacz na stoliku na kółkach.

Był to wysoki, opalony mężczyzna, o przyprószonych siwizną skroniach, nowsza wersja Stewarta Grangera. Frank patrzył na niego z instynktowną nieufnością. Ten człowiek bardziej wyglądał na polityka niż na fachowca. Znakomita prezencja i kariera złożona bardziej z publicznych wystąpień niż z zawodowej praktyki: znakomita reklama do pokazywania przy oficjalnych okazjach. Kiedy Hulot dokonywał prezentacji, on i Frank przyglądali się sobie przez chwilę, dokonując wzajemnej oceny. Patrząc w oczy Roncaille'a, Amerykanin doszedł do wniosku, że ten człowiek nie jest głupcem. Być może oportunistą, ale nie głupcem. Frank odniósł wyraźne wrażenie, że gdyby miał on kogoś wepchnąć do morza, żeby samemu tam nie wpaść, uczyniłby to bez wahania. A w każdym razie, nie znalazłby się w wodzie sam. Przybiegł do nich natychmiast, gdy dowiedział się o znalezieniu zwłok Yoshidy. Nie zwiastował na razie kłopotów, ale na pewno przyszedł, żeby uchronić tyłek przed swoimi zwierzchnikami. Księstwo Monako, choć leżało na małym skrawku ziemi, wcale nie było państwem marionetkowym. Rządziły nim żelazne reguły i pierwszorzędna organizacja państwowa, której mogło pozazdrościć wiele innych krajów.

Potwierdzał to fakt, że policja monakijska uważana była za jedną z najlepszych na świecie.

W końcu na monitorze pojawiły się obrazy. Najpierw zobaczyli mężczyznę przywiązanego do fotela, z ustami zaklejonymi taśmą samoprzylepną, z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, które spoglądały na coś po lewej stronie.

Wszyscy rozpoznali natychmiast wykrzywioną twarz Allena Yoshidy. Jego zdjęcia wielokrotnie widniały na okładkach czasopism połowy świata. Potem w kadrze pojawiła się postać w czerni. Komisarzowi Hulot odebrało dech. Patrzyli na mężczyznę i jego strój. Frank, widząc wypukłości na łokciach i kolanach, myślał przez chwilę, że to jakaś wada kasety albo nagrania. Po czym zdał sobie sprawę, że to część kamuflażu, i już nie miał wątpliwości, z kim mają do czynienia.

- Straszliwy skurwysyn! - wycedził przez zęby.

Wszyscy obecni odwrócili się instynktownie w jego stronę. Frank zrobił gest, jakby prosząc o przebaczenie, że zakłócił oglądanie. Znów skupili się na obrazach. Ze zgrozą w oczach patrzyli, jak postać w czerni zadaje kolejne ciosy unieruchomionemu na fotelu mężczyźnie, fachowo, tak żeby żadne z uderzeń nie było śmiertelne. Patrzyli na jego nienaturalne ze względu na ubranie ruchy, otwierające się rany, które już nigdy nie miały się zabiścić. Widzieli krew rozlewającą się w zwolnionym tempie na białej koszuli Yoshidy, niczym kwiaty, które, żeby rozkwitnąć, musiały żywić się jego życiem.

Widzieli uosobioną śmierć, która tańczyła wokół mężczyzny, rozkoszując się jego bólem i przerażeniem, w oczekiwaniu, aż zabierze go ze sobą na wieczność.

Po czasie, który zdawał się trwać całe wieki, postać w czerni znieruchomiała. Twarz Yoshidy była zlana potem. Mężczyzna wyciągnął rękę i otarł go rękawem płaszcza, który miał na sobie. Na czole więźnia pozostała czerwona smużka, jakby przecinek życia w tym rytuale śmierci.

Krew była wszędzie. Na marmurze posadzki, na ubraniu, na ścianach. Mężczyzna w czerni podszedł do aparatury ustawionej wzdłuż ściany po jego prawej stronie. Wyciągnął rękę w kierunku jednego z urządzeń. Nagle zatrzymał się i przechylił głowę na bok, jakby nasza go jakaś myśl. Po czym odwrócił się do kamer, które miał za plecami i złożył ukłon, wskazując miękkim ruchem prawej ręki człowieka umierającego na fotelu.

Ponownie się odwrócił, nacisnął guzik i na monitor spadł zimowy, piekielny śnieg.

Cisza, która panowała w pokoju, dla każdego z nich miała inne brzmienie.

Frank cofnął się nagle w czasie do domu nad brzegiem morza, do obrazów, które nigdy nie przestały przebiegać mu przed oczami jak niekończący się film wideo. Wspomnienie było znowu bólem, ból stał się nienawiścią i Frank rozdzielił ją równo między siebie i tego mordercę.

Hulot podciągnął rolety i światło słoneczne wróciło do pokoju niczym błogosławieństwo.

- Boże wszechmogący, co też do diabła dzieje się w tym miejscu?

Głos wydobył się z ust Roncaille'a niczym błaganie.

Frank podniósł się z fotela. Hulot dostrzegł błysk w jego spojrzeniu. Przez chwilę miał wrażenie, że gdyby postać w czerni zdjęła okulary z lustrzanymi szklami, również w jej oczach zobaczyłby taki sam błysk.

Woda do wody, ogień do ognia, szaleństwo do szaleństwa. I śmierć do śmierci.

Hulot wzdrygnął się, jakby klimatyzator przyniósł nagle powiew wiatru z bieguna północnego. Głos Franka dochodził być może z tego samego miejsca.

- Panowie, na tej kasecie jest Belzebub we własnej osobie. Ten człowiek jest może kompletnym szaleńcem, ale o nadludzkiej przytomności umysłu i przebiegłości.

Wskazał ręką na włączony jeszcze śnieżący monitor.

- Widzieliście, jak jest ubrany. Widzieliście łokcie i kolana. Nie wiem, czy poszedł do domu Yoshidy z zamiarem nagrania kasety. Prawdopodobnie nie, bo nie mógł wiedzieć o ukrytym pokoju i o szczególnej perwersji gospodarza. Być może była to improwizacja. Może zaskoczył go, kiedy ten otwierał swoje sanktuarium. Rozbawił go pomysł, że będziemy mogli zobaczyć, jak zabija tego biedaka. A może właściwszym terminem byłoby „podziwiać”. Na tym polega jego szaleństwo. Morelli, czy możesz cofnąć taśmę?

Inspektor nacisnął guzik pilota i kaseca zaczęła się ze szmerem przewijać. Po kilku sekundach Frank zatrzymał go gestem ręki.

- Wystarczy, dziękuję. Czy możesz zatrzymać obraz w miejscu, gdzie dobrze widać naszego człowieka?

Morelli przycisnął inny guzik i obraz na ekranie zatrzymał się na postaci w czerni trzymającej podniesiony sztylet. W powietrzu zawisła też kropla krwi, która właśnie spadała z ostrza. Szef policji zacisnął ze wstrętem oczy. Taki rodzaj widowiska nie stanowił zapewne części jego codziennej praktyki.

- Proszę bardzo.

Frank podszedł do ekranu i pokazał uniesione ramię mordercy na wysokości łokcia.

- Wiedział, że w domu będą kamery. W każdym razie był zorientowany, że kontrolujące kamery porozmieszczane są w całym Księstwie. Wiedział, że wprowadzenie samochodu na parking des Boulingrins niesie ze sobą ryzyko sfilmowania. Przede wszystkim zaś wiedział, że parametrem identyfikacji są pomiary antropometryczne, które mogą być wykonane poprzez analizę nagrania wideo. Są to wartości typowe dla danego osobnika: wielkość uszu, odległość nadgarstków od łokci, kostek od kolan. Można je ustalić za pomocą przyrządów, należących do wyposażenia technicznego policji na całym świecie. Dlatego założył na nogi i ręce te protezy. Przez to nie możemy nic określić. Nie mamy ani twarzy, ani ciała. Tylko wzrost, ale może on być właściwy milionom ludzi. Dlatego uważam, że ten człowiek jest przytomny i przebiegły, poza tym, że jest szalony.

- I właśnie tu musiał się trafić taki maniak?

Roncaille słyszał być może złowrogie skrzywienie dochodzące z jego fotela szefa policji. Spojrzał na Franka, usiłując odzyskać pozory chłodu.

- A więc co zamierzacie zrobić?

Frank popatrzył na Hulota. Komisarz zrozumiał, że wypowiada teraz słowa do wyłącznego użytku Roncaille'a.

- Prowadzimy śledztwo na różnych frontach. Jest niewiele śladów, ale coś jednak mamy. Czekamy na wyniki przeprowadzanych w Lyonie pogłębionych analiz zapisów rozmów telefonicznych. Psycholog, doktor Cluny, przygotowuje raport dotyczący osobnika, na podstawie tych samych nagrań. Są już wyniki przeszukania na łodzi, w samochodzie Yoshidy i w jego domu. Nie spodziewamy się po nich niczego specjalnego, ale zawsze mogłoby nam coś umknąć. Protokoły autopsji nie przyniosły wiele więcej od tego, co ustalono przy pierwszym badaniu. Jedynym prawdziwym powiązaniem, jakie mamy z mordercą, są telefony do Radia Monte Carlo, które wykonał przed dokonaniem zbrodni. Rozgłośnia pozostaje pod kontrolą przez całą dobę. Niestety, jak się przekonaliśmy, człowiek ten odznacza się przebiegłością i przygotowaniem równym tylko jego okrucieństwu. Chwilowo możemy mieć tylko nadzieję, że popełni jakiś błąd. Utworzyliśmy sekcję, kierowaną przez inspektora Morellego, która odbiera telefony i sprawdza wszystkie podejrzane sygnały...

Morelli poczuł się wyrwany do odpowiedzi.

- Nadeszło ich bardzo wiele i po tej nowej zbrodni myślę, że będzie ich jeszcze więcej. Czasami są to brednie typu kosmici albo anioły zemsty, ale staramy się niczego nie pominąć. Inna sprawa, że aby wszystko skontrolować, potrzeba czasu i ludzi, a często ich brakuje.

- Mhm. Zobaczą, co się da zrobić. Mogę zawsze poprosić o wsparcie policji francuskiej. Nie muszę wam mówić, że Księstwo chętnie obyłoby się bez tej całej afery. Cieszyliśmy się zawsze wizerunkiem bezpiecznej i szczęśliwej wyspy pośród tego burdelu, jaki panoszy się na całym świecie. Teraz, kiedy ten szaleniec postawił nas w obliczu tylu ofiar, musimy się z tego wydobyć, dając dowód skuteczności odpowiadającej owemu wizerunkowi. Krótko mówiąc, musimy go złapać. I to jak najszybciej. Zanim znowu kogoś zabije.

Roncaille wstał, wygładzając zmarszczki na lnianych spodniach.

- Dobrze, bierzcie się do pracy. Wyznam wam, że informacje, które właśnie od was uzyskałem, już wkrótce będę musiał przekazać prokuratorowi generalnemu. Jest to zadanie, którego chętnie bym uniknął. Hulot, proszę nas informować o każdej porze dnia i nocy. Powodzenia, panowie.

Ruszył w stronę drzwi i wyszedł z biura, zamykając je cicho za sobą. Sens jego słów, ale przede wszystkim ton głosu, pozostawiały niewiele wątpliwości co do owego „musimy go złapać”. Ściśle biorąc, znaczyło: „musicie go złapać”, a groźba nieprzyjemnych konsekwencji w przypadku niepowodzenia nie była nawet specjalnie zawołowana.

21

Frank, Hulot i Morelli zostali w pokoju, żeby smakować gorycz porażki. Mieli ślad i nie zrozumieli go. Mogli zatrzymać mordercę, a teraz mają tylko kolejnego trupa z głową odartą ze skóry na stole w kostnicy. Roncaille na razie przyszedł jedynie na przespiegi, zrobić rozpoznanie przed właściwą bitwą. Chciał ich ostrzec, że już za chwilę mogą rozpętać się siły, które spowodują, że spadnie wiele głów. I że w razie czego, jego głowa nie spadnie samotnie. Koniec, kropka.

Ktoś zapukał.

- Proszę.

W uchylonych drzwiach pojawiła się wyrazista twarz Claude'a Frobena.

- Komisarz Froben do raportu.

- Ach, cześć Claude, wejdz.

Froben wszedł i natychmiast poczuł panującą w pokoju atmosferę przegranej.

- Witam wszystkich. Minąłem się z Roncaille'em. Paskudna sprawa, co?

- Gorzej być nie może.

- Trzymaj, Nicolas, przyniosłem ci prezent. Wywołane w rekordowym tempie specjalnie dla ciebie. Jeśli chodzi o resztę, przykro mi, ale będziesz musiał jeszcze trochę poczekać.

Położył na biurku brązową kopertę. Frank wstał z fotela i poszedł ją otworzyć. W środku były czarno-białe zdjęcia. Przerzucił je i zobaczył zatrzymane w kadrze to, co widział już na wideo, pusty pokój stanowiący metafizyczny obraz zbrodni. Pokój, w którym postać w czerni zmasakrowała człowieka o jeszcze czarniejszej duszy. Teraz nie było już tam ani jednego, ani drugiego.

Przejrzał szybko zdjęcia i podał je Hulotowi. Komisarz odłożył je na biurko bez oglądania.

- Znaleźliście coś? - bez nadmiernej nadziei zapytał Frobena.

- Możesz sobie wyobrazić, z jaką starannością moi chłopcy przetrząsnęli to pomieszczenie i cały dom. Jest cała masa odcisków, ale jak dobrze wiesz, mieć wiele odcisków to czasami tak, jak nie mieć żadnego. Jeśli dasz mi odciski trupa, możemy dokonać ostatecznej konfrontacji. Na fotelu znaleźliśmy włosy i choć istnieje poważne prawdopodobieństwo, że są to włosy Yoshidy...

- To są włosy Yoshidy. Zabity to w stu procentach on -przerwał mu Hulot.

- Skąd jesteś tego taki pewien?

- Zanim będziemy kontynuować, powinienem ci coś pokazać.

- Co takiego?

Hulot oparł się w fotelu i odwrócił do Morellego.

- Siadaj i mocno się trzymaj. Morelli, puść proszę taśmę.

Inspektor nakierował pilota i ekran znów zapełnił się makabrycznym tańcem zabijającego mężczyzny wokół tego, który ma umrzeć. Jego sztylet zdawał się igłą, która wyszywała śmierć na ubraniach Yoshidy, na czerwonym od krwi, piekielnym kostiumie karnawałowym. Froben wytrzeszczał oczy. Kiedy film skończył się asymetrycznym, pełnym zadowolenia ukłonem mężczyzny w czerni, przez kilka chwil nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Boże święty, ależ to nie może się dziać na ziemi... Mam ochotę zrobić znak krzyża. Co może się kryć w głowie tego człowieka?

- Cały kunszt, jakim obłęd obdarza okrucieństwo: zimna krew, inteligencja i przebiegłość. I śladu litości.

W słowach Franka pobrzmiwał wyrok na samego siebie, który był jednocześnie wyrokiem na mordercę. Żaden z nich nie mógł się zatrzymać. Tamten będzie mordował, dopóki on nie przyprze go do muru. Żeby mu się to udało, on też będzie musiał porzucić swój umysł rozsądnego człowieka i przywdziać czarny kostium.

- Froben, co nam powiesz o kasetach znalezionych u Yoshidy?

Frank przeskoczył nagle z tematu na temat, nie zmieniając tonu głosu.

Przez chwilę komisarz zdawał się zadowolony, że rozmowa poszła w innym kierunku. W oczach tego Amerykanina pojawiał się błysk, który za każdym razem go niepokoił. A jego głos brzmiał chwilami, jakby mamrotał magiczne zaklęcia przywołujące duchy. Froben z grymasem na twarzy wskazał monitor.

- Są na nich rzeczy równie mroźące krew w żyłach. Wszczęliśmy śledztwo i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi. Są tam takie historie, które każą mi myśleć, że

zmarły pan Yoshida nie był za życia dużo lepszą kreaturą od tej, która go zamordowała. Kimś, kto całkowicie odbiera wiarę w istotę ludzką. Moim zdaniem ten sadystyczny łajdak zasłużył sobie na taki koniec.

Siedzący przy biurku Hulot sformułował wreszcie swoje myśli.

- Zastanawiam się nad jednym. Według was, dlaczego morderca czuł potrzebę pokazania nam tej kasety?

Frank postąpił dwa kroki w kierunku okna. Oparł się o marmurowy parapet. Wyrzwał przez szybę na ulicę, której w tej chwili i tak nie widział.

- Nie nagrał jej dla nas.

- Co to znaczy?

- Jest takie miejsce pod koniec nagrania, gdzie przed wyłączeniem aparatu zatrzymał się. W owej chwili pomyślał o nas. Wtedy odwrócił się i złożył ukłon. Nie, nie nagrał kasety dla nas...

- A więc dla kogo?

Froben odwrócił się, ale zobaczył tylko plecy i kark Amerykanina.

- Dla Yoshidy.

- Dla Yoshidy?

Frank wrócił powoli na środek pokoju.

- Oczywiście. Widzieliście, że uderzał go tak, żeby żadna z ran nie była śmiertelna. Yoshida umarł z wykrwawienia, powoli. Jak widzicie, zło miewa czasami swoją dziwną formę homeopatii. Ten, kto go zabił, pokazał mu na kasecie jego własną śmierć.

Piąty karnawał

Mężczyzna wrócił.

Dokładnie zamknął za sobą hermetyczne drzwi w swojej kryjówce o metalowych ścianach. Cichej i pustej, jak zawsze. Teraz znów jest odcięty od świata, dokładnie tak, jak świat zewnętrzny odcięty jest od niego.

Uśmiecha się, kładąc delikatnie na stojącym przy ścianie drewnianym stole plecak z ciemnego płótna. Tym razem jest pewien, że nie popełnił błędów. Siada i uroczystym, rytualnym gestem zapala lampę na stole. Odpina sprzączki plecaka i otwiera go takimi samymi podniosłymi ruchami. Wyjmuje czarne pudełko z impregnowanego kartonu. Stawia je na blacie i przygląda mu się przez chwilę, jakby to był prezent i chciał posmakować jeszcze przyjemności oczekiwania, zanim odkryje, co jest w środku.

Noc nie minęła na darmo. Czas dostosował się posłusznie do jego wymagań. Inny człowiek dostosował się do jego potrzeb i dostarczył mu to, czego sobie życzył. Muzyka jest teraz swobodna i w jego głowie rozbrzmiewają dźwięki triumfalnego marszu zwycięstwa.

Otwiera pudełko i wkłada tam ostrożnie rękę. Światło stojącej lampy oświetla twarz Allena Yoshidy, wyjmowaną delikatnie z kartonowego opakowania. Spada kilka kropli krwi, które dołączają do innych, pokrywających dno pudełka. Uśmiech mężczyzny rozszerza się. Tym razem był bardzo uważny. Jako podporę dla swojej zdobyczy wykorzystał lekką, plastikową głowę manekina, jakiej używają fryzjerzy, żeby doczepić sztuczne włosy.

Przygląda się uważnie śmiertelnej masce i jego uśmiech zyskuje nową rację bytu. Myśli, że nic się nie zmieniło. Z głupiego ludzkiego manekina maska przeszła na nieruchomy plastik innej kukły.

Przeciąga delikatnie dłońmi po napiętym naskórku, gładzi włosy, którym śmierć odebrała blask, sprawdza, czy nie ma uszkodzeń na skórze. Żadnego zadrapania, żadnego otarcia. Obwód oczodołów jest równy. Wargi, najtrudniejszy punkt, są pełne i mięsiste. Jedynie kilka plamek krwi przyćmiewa piękno tego oblicza.

Znakomita robota. Siada wygodniej na krześle i zaplata dłonie na karku. Wygina plecy, żeby rozciągnąć mięśnie szyi.

Jest zmęczony. Noc była płodna, ale niezwykle wyczerpująca. Napięcie z wolna go opuszcza i zaczyna domagać się swojej ceny.

Mężczyzna ziewa, ale jeszcze nie pora na odpoczynek. Musi najpierw dokończyć swe dzieło. Wstaje i idzie otworzyć szafkę. Wyjmuje pudełko chusteczek i buteleczkę płynu dezynfekującego, po czym na powrót siada przy stole. Zaczyna delikatnie obmywać maskę z plam krwi.

Teraz muzyka w jego głowie ma spokojne brzmienie motywów New Age, faluje w delikatnym kontrapunkcie śpiewnych chórów. Słyszc jakis ludowy instrument, moze fletnie Pana, który pieści jego umysl takim samym delikatnym ruchem, jakim on pieści maskę, która była twarzą człowieka.

Skończył. Na stole obok głowy manekina leży kilka poplamionych na różowo chusteczek. Mężczyzna podziwia z przymrużonymi oczami swoje arcydzieło.

Odkąd wszedł do pokoju, cały czas zachowywał się bardzo cicho, ale głos i tak dociera do niego pełen bojaźni.

To ty, Vibo?

Mężczyzna podnosi głowę i patrzy w stronę drzwi umieszczonych obok biurka, przy którym siedzi.

- Tak, to ja, Paso.

Dlaczego tak późno? Czulem się samotny w tych ciemnościach.

Mężczyzna ma nerwowy odruch, którego nie wyczuwa się jednak w jego głosie. Odwraca głowę w kierunku drzwi, uchylonych w półmroku po jego lewej stronie.

- Nie poszedłem się bawić, Paso. To, co zrobiłem, zrobiłem dla ciebie...

W jego głosie pobrzmiwa lekki wyrzut, który powoduje, że ton odpowiedzi staje się nagle bardziej uległy.

Wiem, Vito, wiem. Przykro mi. Wybacz. To tylko dlatego, że czas stoi w miejscu, kiedy ciebie nie ma.

Mężczyzna czuje w sobie przyływ tliwości. Jego lekkie zagniewanie mija. Staje się nagle lwem, który przypomina sobie szczenięce zabawy. Wilkiem, który broni i osłania najsłabszych ze swego stada.

- Już wszystko dobrze, Paso. Teraz będę spał tutaj, z tobą. A poza tym przyniosłem ci prezent.

Co takiego, Vibo?

Na twarz mężczyzny powraca uśmiech. Wkłada maskę z powrotem do pudełka i zamyka wieko. Gasi lampę. Tym razem wszystko uda się doskonale. Wciąż z uśmiechem, bierze pudełko i idzie w stronę drzwi, zza których dochodzi głos.

Zapala łokciem światło włącznikiem po lewej stronie.

- Coś, co ci się spodoba, zobaczysz...

Mężczyzna wchodzi do pokoju. Jest to prawie puste pomieszczenie o metalowych ścianach pomalowanych na kolor ołowiu. Po prawej stronie stoi spartańskie, żelazne łóżko, a obok niego równie prosty, drewniany stolik nocny. Na jego blacie ustawiony jest abażur i nic więcej. Koc naciągnięty jest równiutko, bez jednego zagięcia. Poduszka i kawałek prześcieradła wywiniętego na koc są idealnie czyste.

Równoległe do łóżka, w odległości około metra, stoi kryształowa skrzynia o długości dwóch metrów, ustawiona na ziemi na dwóch drewnianych podpórkach podobnych do tych, na jakich opiera się stół w pokoju obok. Dno skrzyni podłączone jest przez otwór z gumową rurką o hermetycznym uszczelnieniu, która kończy się w małym urządzeniu ustawionym na ziemi między nogami krzyżaka stojącego bliżej drzwi. Z urządzenia wychodzi przewód elektryczny włączony do gniazdka w ścianie.

W skrzyni leży zmumifikowane ciało. Są to zwłoki mężczyzny o wzroście mniej więcej metr osiemdziesiąt, całkowicie nagie. Wychudzone członki zdradzają budowę ciała bardzo podobną do ciała „mężczyzny”, choć teraz wysuszona skóra skurczyła się, odsłaniając żebra, wydobyła na wierzch stawy kolan i łokci, które wystają podobne do kończyn niektórych zwierząt.

Mężczyzna podchodzi i kładzie dłoń na szkle. Ciepło ciała rysuje lekką aureolę na doskonale czystej szybie.

Jego uśmiech znów jest szerszy. Podnosi pudełko i trzyma je nad zwłokami, na wysokości wysuszonej twarzy.

No, Vibo, powiedz mi, co to jest.

Mężczyzna patrzy na ciało z czułością. Przebiega wzrokiem po twarzy, z której ktoś z chirurgiczną biegłością zdjął całą skórę. Na uśmiech trupa mężczyzna odpowiada swoim tajemniczym uśmiechem, szuka oczami jego wygasłego spojrzenia, śledzi z niepokojem jego znieruchomiały wyraz twarzy, jakby dostrzegał zmianę w wysuszonych mięśniach barwy szarego wosku.

- Zobaczysz, zobaczysz. Chcesz posłuchać muzyki?

Tak. Nie. Nie, potem, teraz pokaż, co masz w środku. Pokaż, co mi przyniosłeś.

Mężczyzna robi krok do tyłu, jakby bawił się z dzieckiem, które trzeba pohamować, żeby uchronić je przed jego własną niecierpliwością.

- Nie, chwila jest zbyt podniosła, Paso. Potrzebna jest muzyka. Poczekaj, zaraz wracam.

Nie, Vibo, potem, teraz pokaż...

- Zajmie mi to sekundę, zaczekaj.

Mężczyzna stawia pudełko na składanym, drewnianym krześle, stojącym obok przezroczystego pojemnika.

Znika za drzwiami. Trup zostaje sam, nieruchomy w swojej małej wieczności, wpatrzony w sufit. Po chwili z pokoju obok dochodzą bolesne dźwięki *Instrumental Solo* Jimiego Hendriksa z Woodstock. Hymn amerykański, zniekształcony przez gitarę elektryczną, stracił swoje triumfalne brzmienie. Nie ma bohaterów i sztandarów. Jest tylko żal za kimś, kto poszedł na jakąś głupią wojnę, i płacz kogoś, kto z powodu tej samej głupiej wojny nie doczekał się jego powrotu.

Światło w sąsiednim pomieszczeniu gaśnie i mężczyzna pojawia się znów w ciemnej ramie drzwi.

- Podoba ci się, Paso?

Oczywiście, przecież wiesz, że zawsze mi się podobała. Ale teraz, proszę, pokaż mi, co przyniosłeś...

Mężczyzna podchodzi do leżącego na krześle pudełka. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Uroczystym ruchem zdejmuje wieko i odkłada na ziemię obok krzesła. Podnosi pudełko i stawia na skrzyni na wysokości klatki piersiowej ciała leżącego w środku.

- Zobaczysz, spodoba ci się. Jestem przekonany, że będzie świetnie pasować.

Afektowanymi gestami wyjmując z pudełka twarz Allena Yoshidy nałożoną na manekin jak plastikowa maska. Włosy poruszają się, jak gdyby jeszcze żyły, jakby muskane były wiatrem, który tam, pod ziemię, nie mógłby przecież nigdy dotrzeć.

- Proszę, Paso. Popatrz.

Och, Vibo, jest przepiękna. To dla mnie?

- Oczywiście, że dla ciebie. Zaraz ci ją założę.

Mężczyzna, z maską w lewej ręce, prawą naciska guzik umieszczony u szczytu skrzyni. Słysząc lekki świst powietrza wypełniającego przezroczystą trumnę. Teraz mężczyzna może podnieść pokrywę, która obraca się na zawiasach umocowanych po prawej stronie skrzyni.

Trzymając maskę w rękach, układa ją ostrożnie na twarzy trupa, poruszając nią delikatnie, żeby otwory oczodołów przylegały do szklistych oczu zmarłego, nos do nosa, usta do ust. Wsuwa z niezwykłym wyczuciem dłoń pod kark trupa, żeby unieść głowę do góry i dopasować maskę również do tylnej części, zbliżając do siebie brzegi w taki sposób, by nie tworzyły się zagięcia.

Głos jest niecierpliwy i jednocześnie niespokojny.

Jak wyglądam, Vibo? Pokażesz mi?

Mężczyzna robi krok do tyłu i patrzy niepewnie na efekt swojej pracy.

- Zaczekaj. Zaczekaj jeszcze chwilę. Czegoś tu brakuje... Mężczyzna podchodzi do stolika nocnego, wysuwa szufladę i wyjmując z niej grzebień i lusterko. Wraca do wezgłowia zmarłego z niepokojem malarza powracającego do niedokończonego obrazu, któremu brakuje tylko ostatniego pociągnięcia pędzlem, żeby stał się arcydziełem.

Za pomocą grzebienia ożywia włosy maski, już matowe, bez połysku, niemal jakby chciał dać im dotyk życia, którego już w nich nie ma. Mężczyzna jest w tej chwili ojcem i matką: bezgranicznym poświęceniem poza czasem. Jego gesty przepelnione są nieskończoną czułością i miłością, jak gdyby miał w sobie pokłady życia i ciepła wystarczające dla nich obu, jakby krew z jego żył i powietrze z jego płuc były równo podzielone między niego i ciało bez pamięci, wyciągnięte w kryształowej trumnie.

Podsuwa lusterko przed twarz zmarłego z wyrazem triumfu.

- Gotowe!

Chwila zdumionego milczenia. Jimi Hendrix intonuje na poszarpanych strunach swojej gitary *Machine Gun*, całe przebyte pole bitwy. Są tam rany wszystkich

wojen i poszukiwanie sensu wszystkich ofiar, które zginęły za bezwartościowe „wartości”.

Łza wzruszenia spada z twarzy mężczyzny na osłoniętą maską twarz trupa. Wydaje się łzą radości umarłego.

Vibo, teraz ja też jestem piękny. Mam twarz jak wszyscy inni.

- Tak, Paso, jesteś rzeczywiście przepiękny, piękniejszy niż inni.

Nie wiem, jak ci dziękować, Vibo. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Najpierw...

W głosie czuć wzruszenie, czuć też wdzięczność i żal. I to samo uczucie i oddanie, jakie widać w oczach mężczyzny.

Najpierw uwolniłeś mnie od mojego bólu, a teraz podarowałeś mi... podarowałeś mi to, nową twarz, przepiękną twarz. Jak będę mógł kiedykolwiek ci się odwdziaczyć?

- Nie powinieneś nawet o tym mówić, rozumiesz? Nigdy o tym nie mów. Zrobiłem to dla ciebie, dla nas, ponieważ inni mają u nas dług i muszą oddać wszystko, co nam ukradli. Uczynię wszystko, żeby wynagrodzić ci twoje krzywdy, obiecuję...

Niemal dla podkreślenia całej groźby zawartej w tej obietnicy muzyka zyskuje nagle porywającą energię *Purple Haze*, ręka Hendriksa szarpie metalowe struny w swoim hałaśliwym biegu ku wolności i zatraceniu.

Mężczyzna opuszcza wieko, które opiera się bezszelestnie na gumowym pasie. Podchodzi do ustawionego na ziemi kompresora i naciska guzik. Urządzenie zaczyna z szumem wysysać powietrze z wnętrza trumny. Efekt próżni powoduje, że maska jeszcze lepiej przylega do twarzy trupa, po jednej zaś stronie tworzy się lekka zmarszczka, która nadaje jej wyraz zadowolonego uśmiechu.

Mężczyzna idzie w kierunku łóżka, zdejmując po drodze czarny sweter. Rzuca go na stołek przymocowany do żelaznej ramy w nogach łóżka. Dalej się rozbiera, aż zostaje nagi. Wsuwa swoje atletyczne ciało między prześcieradła, kładzie głowę na poduszce i leży na plecach wpatrzony w sufit, w takiej samej pozycji jak ciało wyciągnięte w swojej lśniącej trumnie.

Światło gaśnie. Z drugiego pokoju dociera tylko stłumiona poświata czerwonych i zielonych LED-ów elektronicznej aparatury, świecących jak oczy kota na cmentarzu.

Muzyka też umilkła.

W grobowej ciszy żywy mężczyzna odpływa w sen bez marzeń, taki, jaki śnią umarli.

Frank i Hulot dotarli na główny plac Eze Village, zostawiając po lewej stronie butik Fragonarda, wytwórnię perfum. Frank przypomniał sobie ze ściśniętym sercem, że Harriet zrobiła tam zapas olejków podczas ich poprzedniej podróży do Europy. Znow stanęło mu przed oczami jej szczupłe i kształtne ciało pod przyjemną tkaniną przewiewnej letniej sukienki, kiedy wyciągała przed siebie wewnętrzną stronę nadgarstka, którą skrapiała wodą kolońską. Zobaczył, jak pociera to miejsce dłonią i czeka, aż płyn wyparuje, żeby poczuć niemal z zaskoczeniem połączony zapach skóry i perfum.

Jedne z tych perfum użyła tamtego dnia, kiedy...

- Jesteś tu, czy mam przyjść po ciebie tam, gdzie się teraz znajdujesz?

Głos Nicolasa zatarł nagle obrazy, które Frank miał przed oczami.

- Nie, jestem tutaj. Trochę tylko zmęczony, ale jestem.

W rzeczywistości bardziej zmęczony był Nicolas. Miał podkrążone i zaczerwienione oczy kogoś, kto spędził bezsenną noc i rozpaczliwie marzy o letnim prysznicu i chłodnym łóżku. Frank pojechał do Parc Saint-Roman i spał kilka godzin po południu, a on został w biurze, żeby wykonać wszystkie biurokratyczne czynności związane z policyjnym dochodzeniem. Zostawiając go w centrali, Frank pomyślał, że tego dnia, kiedy policjanci nie będą już zmuszani tracić połowy swojego czasu na wypełnianie papierków, ocalone zostaną jednocześnie lasy Amazonii przed zniszczeniem i wielu porządnych ludzi przed przestępstwem.

Teraz jechali na kolację do domu, w którym Nicolas mieszkał ze swoją żoną Céline. Zostawili za sobą parking, restauracje i sklepy z pamiątkami, skręcając w lewo, w ulicę prowadzącą pod górę. Tuż pod górującym nad Eze kościołem stał dom Hulotów, nieduża willa z jasnym tynkiem i ciemną dachówką. Był właściwie zawieszony nad doliną, więc Frank wielokrotnie zastanawiał się, jakich chwytów użył

projektujący go architekt, żeby dom pod wpływem siły grawitacji nie oderwał się i nie runął w dół.

Zaparkowali peugeota na zarezerwowanym miejscu i Frank stanął za Nicolasem, kiedy ten otwierał drzwi. Weszli do środka. Frank zatrzymał się w korytarzu, patrząc dokoła. Nicolas zamknął drzwi.

- Céline, jesteśmy.

Ciemna głowa pani Hulot wychyliła się z drzwi kuchni w głębi korytarza.

- Cześć, kochanie. Cześć, Frank, widzę, że wciąż jesteś tym przystojnym facetem, jakiego pamiętałam. Jak się masz?

- Jestem w strzępach. Jediną rzeczą, jaka może doprowadzić mnie do ładu, jest twoja kuchnia. Sądząc po zapachach, istnieją znakomite możliwości wyzdrowienia.

Uśmiech rozpromienił opaloną twarz pani Hulot. Wyszła z kuchni, wycierając ręce w ściereczkę.

- Prawie gotowe. Nicolas, zaproponuj Frankowi coś do picia. Jestem trochę spóźniona. Niestety, straciłam dziś masę czasu, żeby uporządkować pokój Stephane'a. Tyle razy mu mówiłam, by nie robił takiego bałaganu, ale nie ma sposobu. Kiedy wychodzi z domu, jego pokój to zawsze katastrofa.

Kobieta wróciła do kuchni, powiewając spódnicą. Frank i Nicolas popatrzyli po sobie. Przez oczy komisarza przemknął cień bólu, który miał nigdy nie minąć.

Stephane, dwudziestoletni syn Céline i Nicolasa, zmarł po długotrwałej śpiączce kilka lat wcześniej w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym. Od tamtej chwili umysł Céline odmawiał przyjęcia do wiadomości śmierci syna. Pozostała tą samą kobietą, ciepłą, inteligentną i błyskotliwą, nie tracąc nic ze swojej osobowości. Po prostu zachowywała się tak, jakby Stephane kręcił się codziennie po domu, a nie był tylko fotografią i imieniem na cmentarnej tablicy. Lekarze, którzy ją badali, po kilku wizytach wzruszyli ramionami, radząc Hulotowi, aby wspierał niegroźną manię żony, uznając ją w końcu za opatrnościową drogę ocalenia przed gorszymi urazami psychicznymi.

Frank znał problem Céline i przystosował się do sytuacji od swojego pierwszego pobytu w Europie. To samo uczyniła Harriet, kiedy spędzali wakacje na Lazurowym Wybrzeżu.

Po śmierci Harriet przyjaźń między nim a Nicolasem jeszcze się umocniła. Każdy znał cierpienie drugiego i tylko ze względu na ten związek Frank przyjął zaproszenie Nicolasa, żeby znów odwiedzić Monako.

Hulot zdjął marynarkę i powiesił ją na bukowym wieszaku, na ścianie po lewej stronie. Cały dom urządzony był nowoczesnymi meblami, bardzo starannie wyszukany, odwołującymi się do epoki, w której dom został zbudowany.

Wprowadził Franka do salonu, z którego przeszklone drzwi wiodły na szeroki taras z widokiem na wybrzeże.

Na zewnątrz stał starannie nakryty do kolacji stół, z bukietem żółtych i liliowych kwiatów pośrodku nieskazitelnie białego obrusa. Panowała tam domowa atmosfera, którą tworzyły rzeczy proste, ale dobrane starannie i z uczuciem, z myślą o spokojnym, pozbawionym ostentacji życiu. Czuło się nierozzerwalną więź między Nicolasem a jego żoną, cierpienie z powodu tego, czego już nie było, żal za tym wszystkim, co mogło się stać, a się nie stało.

Frank wyczuwał to wyraźnie w powietrzu. Był to stan ducha, który sam znał doskonale, ową świadomość utraty, którą życie niesie nieuchronnie z sobą w miejsca dotknięte twardą ręką cierpienia. A jednak, o dziwo, zamiast trwogi Frank odnajdował nieco spokoju w żywych oczach Céline, która miała odwagę przeżyć zmarłego syna, szukając schronienia w bezpiecznym porcie swojego niewinnego szaleństwa.

Frank jej zazdrościł i był przekonany, że mąż odczuwa to samo. Dla niej dni nie były numerami, które jakaś ręka wykreślała codziennie z kalendarza, dla niej czas nie był niekończącym się oczekiwaniem na kogoś, kto już nigdy się nie pojawi. Céline miała szczęśliwy uśmiech kogoś, kto czeka w pustym domu i wie, że kochane osoby wkrótce do niego wrócą.

- Czego się napijesz, Frank? - zapytał Hulot.

- Zapach w powietrzu zapowiada francuską kuchnię. Co powiesz o francuskim aperitifie? Zaryzykowałbym wręcz pastis.

- Znakomicie.

Nicolas poszedł do barku i zaczął krzątać się przy butelkach i szklankach. Frank wyszedł na taras i podziwiał panoramę. Widać było stamtąd długi fragment wybrzeża, zatoki, zakola i cyple, wznające się w morze niczym wyciągnięte palce wskazujące horyzont. Czerwień zachodu słońca była dla wszystkich obietnicą kolejnego pogodnego dnia, który im był odmówiony.

Być może historia ta ostatecznie go naznaczyła, ale Frankowi przyszedł do głowy tytuł albumu Neila Younga, *Rust Never Sleeps*.

Rdza nie śpi nigdy.

Przed jego oczami rozciągały się wszystkie kolory raj. Błękitna woda, zielone góry zanurzone w wodzie, czerwonożółty zachód słońca, tak zachwycający, że aż serce pękało.

Ale po ziemi tej deptali ludzie tak jak w setkach innych miejsc, ludzie walczący ze sobą o wszystko, a zgodni tylko w jednym: rozpaczliwym usiłowaniu niszczenia.

Jesteśmy rdzą, która nigdy nie śpi.

Usłyszał za plecami Nicolasa, który stanął przy nim z dwiema szklaneczkami wypełnionymi matowym, mlecznym płynem. Lód zadzwonił o szkło, kiedy przyjaciel podawał mu aperitif.

- Proszę, poczuj się Francuzem na jeden, dwa łyki, a potem znowu bądź Amerykaninem, bo chwilowo takim cię potrzebuję.

Frank podniósł szklanekę do warg, czując w ustach i nozdrzach ostry smak i zapach anyżku. Pili spokojnie, w milczeniu, stojąc obok siebie, samotni i naznaczeni w obliczu czegoś, co zdawało się nie mieć końca. Minął dzień od znalezienia zwłok Yoshidy i nic się nie wydarzyło. Dzień spędzony na próżno w pogoni za jakimś tropem, wskazówką. Gorączkowe działania, które zdawały się biegiem co tchu w piersiach po drodze, ginącej gdzieś za horyzontem. Przerwa. Oto czego pragnęli. Jedna krótka chwila wytchnienia. A jednak, nawet w tym momencie, kiedy byli tylko oni dwaj, czuli czyjąś obecność i nie byli w stanie jej odpędzić.

- Co robimy, Frank?

Amerykanin pociągnął jeszcze łyk, żeby zyskać na czasie.

- Nie wiem, Nicolas. Naprawdę nie wiem. Wszystko nam się wymyka. Jakież wiadomości z Lyonu?

- Zakończyliśmy analizę pierwszej taśmy, ale przyniosła zasadniczo takie same wyniki jak te, które dostaliśmy od Claverta w Nicei. Niczego więc się nie spodziewam po drugim nagraniu. Psycholog, doktor Cluny, powiedział, że jutro dostarczy mi raport. Wysłałem też kopię kasety wideo, którą znaleźliśmy w samochodzie, żeby zobaczyć, czy wyniknie coś z pomiarów, ale jeśli jest tak, jak powiedziałeś, również z tego niewiele wyciągniemy...

- Jakież nowiny od Frobena?

- Żadnych. W domu Yoshidy nic nie znaleziono. Wszystkie odciski w pokoju, gdzie został zamordowany, należą do niego. Ślady stóp na podłodze wskazują na ten sam rozmiar buta, co odciski znalezione na łodzi Jochena Weldera. Daje nam to

marne pocieszenie, iż wiemy, że morderca nosi numer czterdzieści trzy. Włosy na fotelu należą do zmarłego, krew do jego grupy, zero Rh minus.

- Twoi ludzie znaleźli coś w bentleyu?

- Tam również ta sama historia. Pełno śladów Yoshidy, a na kierownicy jeszcze odciski palców, które porównujemy z odciskami ochroniarzy, którzy czasami prowadzili samochód. Zleciłem grafologiczne badanie napisu na siedzeniu, ale nie wiem, czy zauważyłeś, że był bardzo podobny do pierwszego. Właściwie identyczny.

- Fakt.

- Jedyne, co mamy, to nadzieja, że powtórzą się telefony do Jean-Loup Verdiera i że ten maniak popełni wreszcie jakiś błąd, który pozwoli nam go przyskrzynić.

- Czy uważasz, że należy wziąć tego chłopaka pod ochronę?

- Dla uniknięcia nieporozumień już to zrobiłem. Zadzwoił do mnie i powiedział, że jego dom jest nieustannie otoczony przez dziennikarzy. Poprosiłem, żeby z nimi nie rozmawiał, i korzystając z okazji, postawiłem tam samochód z dwoma funkcjonariuszami. Kazałem im obserwować dom. Oficjalnie mają mu towarzyszyć w drodze do radia i z powrotem, żeby nie wpadł w szpony reporterów. Szczerze mówiąc, sam czuję się w ten sposób pewniej, choć wolałem mu nie mówić, by go nie przestraszyć. Co do reszty, możemy tylko kontynuować kontrolowanie radia, jak to robiliśmy do tej pory.

- Dobrze. Co na temat ofiar?

- Prowadzimy dochodzenie, z policją niemiecką i z twoimi kolegami z FBI. Grzebiemy w ich życiorysach, ale jak dotąd nic z tego nie wynikło. Trzy sławne osoby, dwoje Amerykanów i jeden Europejczyk, ludzie prowadzący aktywny tryb życia, ale niemający żadnych punktów wspólnych poza tym, co już powiedzieliśmy. Nie ma absolutnie nic, co ich łączy, z wyjątkiem tego, że wszyscy troje zostali bestialsko zamordowani przez tego samego sprawcę.

Frank skończył swojego drinka i postawił szklankę na żelaznej balustradzie tarasu. Zdawał się zmieszany.

- Co jest, Frank?

- Nicolas, czy nie zdarza ci się czasem, że chodzi ci coś po głowie, ale nie wiesz co? Jak wtedy, kiedy chcesz przypomnieć sobie - czy ja wiem - nazwisko aktora, którego doskonale znasz, ale które w danej chwili, mimo wysiłków, zupełnie ci umknęło.

- Oczywiście, zdarzało mi się to wiele razy w przeszłości. Poza tym, w moim wieku jest to na porządku dziennym.

- Jest coś, co widziałem albo słyszałem, Nicolas. Coś, co powinienem pamiętać, a nie przychodzi mi do głowy. I doprowadzą mnie to do szaleństwa, bo wiem, że chodzi o ważny szczegół...

- Mam nadzieję, że jak najszybciej sobie przypomnisz, cokolwiek to było.

Frank odwrócił się plecami do pięknego widoku, jakby ten rozpraszał jego myśli. Oparł się o balustradę i skrzyżował ręce na piersiach. Na jego twarzy rysowało się całe zmęczenie nieprzespanej nocy i gorączka nerwowego wigoru, dzięki której utrzymywał się na nogach.

- Zastanówmy się przez chwilę, Nicolas. Mamy mordercę, który jest miłośnikiem muzyki. Znawcę, który przed popełnieniem każdej zbrodni dzwoni do didżeja prowadzącego cieszącą się dużym powodzeniem audycję w Radio Monte Carlo, aby uprzedzić o swoich zamiarach. Pozostawia wskazówkę muzyczną, która nie zostaje zrozumiana jako taka, i zaraz potem zabija dwie osoby, mężczyznę i kobietę. Każe nam ich odnaleźć w tak przerażającym stanie, że ma to wręcz posmak drwiny. Podobnie jak skreślony krwią podpis pod zbrodniami: Ja zabijam... Nie zostawia żadnych śladów. Jest to człowiek zimny, przebiegły, przygotowany i bezlitosny. Cluny mówi o inteligencji powyżej średniej. Jest tak pewny siebie, że dzwoniąc po raz drugi, znowu dostarcza nam wskazówki, wciąż związanej z muzyką, której nie jesteśmy w stanie rozszyfrować. I znów zabija. W sposób jeszcze bardziej bezlitosny niż za pierwszym razem, dokonując czegoś w rodzaju aktu sprawiedliwości, co ma znowu bardzo wyraźny posmak kpiny. Kasetę w samochodzie, wideo z nagraniem zabójstwem, ukłon, taki sam napis, co za pierwszym razem. Żadne ze zwłok nie noszą śladów przemocy seksualnej, nie chodzi więc o nekrofila. Jednak wszystkim trzem ofiarom zdejmuje z twarzy i z głowy skórę. Dlaczego? Dlaczego tak się z nimi obchodzi?

- Nie wiem, Frank. Mam nadzieję, że w raporcie Cluny'ego znajdziemy jakiś trop w tym kierunku. Łamałem sobie głowę, ale nie jestem w stanie sformułować nawet przybliżonej hipotezy.

- Musimy to odkryć za wszelką cenę, Nicolas. Jeśli uda się nam poznać motyw, jestem niemal pewien, że dowiemy się jednocześnie, kim jest i gdzie go znaleźć.

Głos Céline nałożył się na te mroczne rozważania, które pograżyły się tymczasem dodatkowo w zapadających ciemnościach zmierzchu.

- Teraz dosyć rozmów o pracy.

Kobieta postawiła na środku stołu dymiącą wazę.

- Proszę, oto bouillabaisse. Jedno danie, ale w ilościach przemysłowych. Frank, jeśli nie dołożysz sobie przynajmniej dwa razy, uznam to za osobistą zniewagę. Nicolas, czy zechcesz zająć się winem?

Frank stwierdził, że jest bardzo głodny. Wobec zupy rybnej pani Hulot, niemal pozbawione smaku kanapki, które jedli w biurze, zdawały się odległym wspomnieniem. Usiadł przy stole i rozłożył serwetkę na kolanach.

- Mówią, że jedzenie stanowi prawdziwą kulturę narodu. Jeśli tak jest, powiedziałbym, że twoja *bouillabaisse* recytuje nieśmiertelne poezje.

Céline roześmiała się, rozświetlając blaskiem swojego uśmiechu piękną sniadą twarz kobiety z Południa. Drobne zmarszczki wokół oczu dodawały jej jeszcze uroku.

- Jesteś niecnym pochlebcą, Franku Ottobre. Ale to miło słyszeć takie słowa.

Hulot obserwował Franka zza stojących na stole kwiatów. Wiedział, co w nim tkwi, ale mimo wszystko, z sympatii dla Céline i dla niego, potrafił być delikatny i uprzejmy w sposób naturalny, jak mało kto na świecie. Nie wiedział, czego Frank szuka, ale życzył mu - cokolwiek to było - żeby to znalazł i zyskał choć trochę spokoju.

- Jesteś złotym chłopakiem, Frank - powiedziała Céline, podnosząc w jego kierunku kieliszek, jakby chciała wznieść toast. - A twoja żona jest szczęściarą. Przykro mi, że nie przyjechała z tobą tym razem. Ale odbijemy sobie następnym. Zabiorę ją ze sobą do sklepów, żeby zadać poważny cios twojej pensji.

Frank nie mrugnął okiem i zachował na ustach ten sam uśmiech. Tylko cień przebiegł nagle przez jego spojrzenie, ale rozproszył się szybko przy ciepłe tego stołu. Podniósł kieliszek i odpowiedział na toast Céline.

- Oczywiście. Wiem, że nie mówisz serio. Jesteś żoną policjanta i na pewno wiesz, że po trzeciej zakupionej parze butów istnieją podstawy prawne do wszczęcia sprawy o naciąganie.

Céline znów się roześmiała. Kolejno zapaliły się światła na nabrzeżu, wyznaczające nocną granicę między morzem a lądem. Siedzieli tam, jedząc znakomite danie i pijąc dobre wino, na zawieszonym w ciemności tarasie, gdzie bursztynowe światło oddzielało ich od mroku.

Frank i Nicolas byli niczym dwaj wartownicy na straży pogrążonego w wojnie świata, gdzie ludzie zabijali i umierali, a ta żyjąca w spokoju kobieta przeniosła ich na godzinę w inny, przyjemny świat, w którym nikt nigdy nie umierał.

23

Frank zatrzymał się na głównym placu Eze, przy postoju taksówek. Nie było tam jednak żadnego pojazdu. Rozejrzał się dokoła. Mimo że była już prawie północ, panował duży ruch. Zbliżało się lato i turyści zaczęli wypełniać wybrzeże w poszukiwaniu malowniczych zakątków, które mogliby potem zawieźć do domu starannie uwiecznione na kliszy fotograficznej.

Zobaczył dużą, ciemną limuzynę przecinającą powoli plac i kierującą się w jego stronę. Samochód zatrzymał się na jego wysokości. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i wysiadł z niego mężczyzna. Był wyższy przynajmniej o głowę od Franka, mocnej budowy, ale o zwinnych ruchach. Miał kwadratową twarz, jasno-kasztanowe włosy ostrzyżone na jeża, na sposób wojskowy. Mężczyzna okrążył przód samochodu i zatrzymał się przed Frankiem. Bez żadnej widocznej przyczyny Frank miał wrażenie, że pod dobrze skrojoną marynarką nosi pistolet. Nie wiedział, kim jest, ale od razu pomyślał, że to groźny typ.

Mężczyzna popatrzył na niego orzechowymi oczami bez wyrazu. Frank stwierdził, że jest mniej więcej w jego wieku, może kilka lat starszy.

- Dobry wieczór, mister Ottobre - odezwał się po angielsku.

Frank nie okazał żadnego zaskoczenia. Błysk uznania pojawił się na chwilę w oczach mężczyzny, które natychmiast stały się znów neutralne.

- Dobry wieczór. Widzę, że zna pan moje nazwisko.

- Ja nazywam się Ryan Mosse i jestem jak pan Amerykaninem.

Frankowi zdawało się, że rozpoznaje akcent teksański.

- Bardzo mi miło.

W zdaniu tym zawierało się ukryte pytanie. Mosse wskazał ręką na samochód.

- Gdyby był pan tak miły i zgodził się na przejażdżkę do Monte Carlo, w samochodzie jest ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać.

Nie czekając na odpowiedź, poszedł otworzyć tylne drzwi po swojej stronie. Frank zobaczył, że w aucie, po przeciwnej stronie, siedzi druga osoba. Widział nogi mężczyzny w ciemnych spodniach, ale nie był w stanie dostrzec twarzy.

Frank spojrzał Mosse'owi prosto w oczy. On również mógł być groźny i tamten powinien o tym wiedzieć.

- Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego miałbym przyjąć pańskie zaproszenie?

- Po pierwsze, uniknąłby pan kilkukilometrowego spaceru do domu, biorąc pod uwagę, że dosyć trudno o taksówkę o tej porze. Po drugie, osoba, która chciałaby z panem porozmawiać, jest generałem armii Stanów Zjednoczonych. Po trzecie, mógłby pan znaleźć pomoc w rozwiązaniu problemu, który, jak sędzę, leży panu w tej chwili bardzo na sercu...

Nie zdradzając najmniejszej emocji, Frank zrobił krok w stronę otwartych drzwi i wszedł do samochodu. Siedzący w środku mężczyzna był starszy, ale zdawał się ulepiony z tej samej gliny, co Mosse. Ze względu na wiek zdawał się tylko trochę bardziej ociężały, ale emanował taką samą siłą. Zupełnie siwe, ale wciąż gęste włosy, również przystrzyżone były w stylu wojskowym. W słabym świetle auta Frank odnalazł na sobie spojrzenie błękitnych oczu, dziwnie młodzieńczych, które odcinały się od opalonej, pełnej zmarszczek twarzy. Przypomniały mu się oczy jego szefa, Homera Woodsa. Pomyślał, że gdyby mężczyzna powiedział, że jest jego bratem, wcale by się nie zdziwił. Miał na sobie rozpiętą pod szyją jasną koszulę z podwiniętymi rękawami. Na przednim siedzeniu Frank zauważył marynarkę tego samego koloru co spodnie.

Na zewnątrz Mosse zatrzasnął za nim drzwiczki.

- Dobry wieczór, mister Ottobre. Czy mogę mówić panu Frank?

- Jak na razie, myślę, że mister Ottobre jest w porządku, Monsieur?... - Frank celowo powiedział to słowo po francusku.

Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech.

- Widzę, że informacje, które mi przekazano na pana temat, odpowiadają prawdzie. Możesz ruszać, Ryan.

Mosse tymczasem zajął swoje miejsce przy kierownicy. Samochód ruszył łagodnie i stary znów zwrócił się do Franka.

- Proszę wybaczyć obcesowy sposób, w jaki pana zaczepiliśmy. Nazywam się Nathan Parker i jestem generałem armii Stanów Zjednoczonych.

Frank uściśnił wyciągniętą do niego dłoń. Uchwyt mężczyzny, mimo wieku, był mocny. Frank wyobraził sobie, że musi codziennie ćwiczyć dla zachowania tej postawy i siły. Milczał, czekając na dalszy ciąg.

- Jestem ojcem Arijane Parker.

Oczy generała szukały w spojrzeniu Franka przebłysku zdziwienia, ale daremnie. Zdawał się z tego zadowolony. Rozsiadł się wygodniej i założył nogę na nogę w ciasnej przestrzeni samochodu.

- Zapewne zgaduje pan, co tutaj robię.

Oderwał na chwilę wzrok, jakby obserwował coś za oknem. Cokolwiek to było, być może widział to tylko on.

- Przyjechałem, żeby zamknąć ciało mojej córki w trumnie i zabrać je do Ameryki. Ciało kobiety, którą ktoś zarznął jak rzeźne zwierzę.

Nathan Parker odwrócił się w jego stronę. W umykającym świetle reflektorów mijanych samochodów Frank zdołał dostrzec błysk w jego oczach. Zastanawiał się, czy wyrażał on bardziej gniew, czy ból.

- Nie wiem, czy stracił pan kiedykolwiek bliską osobę, mister Ottobre...

Frank w jednej chwili znienawidził tego człowieka. Na pewno w informacjach, jakie dostarczono mu na jego temat, pojawiła się również sprawa jego żony. Zrozumiał, że nie traktuje tego jako chwili wspólnego cierpienia, ale po prostu jako towar wymienny. Parker kontynuował, jakby nie powiedział nic specjalnego.

- Nie przyjechałem tu, żeby opłakiwać moją córkę. Jestem żołnierzem, mister Ottobre. Żołnierz nie płacze. Żołnierz się mści.

Głos generała był spokojny, ale przenikała przezeń śmiertelna furia.

- Żaden skurwysyński maniak nie mógł zrobić tego, co zrobił, i myśleć, że ujdzie mu to na sucho.

- Są ludzie, którzy pracują i prowadzą śledztwo właśnie w tym celu - stwierdził spokojnie Frank.

Nathan Parker odwrócił się gwałtownie do niego.

- Frank, poza panem ci ludzie nie wiedzieliby, gdzie wetknąć czopek, nawet gdyby zrobić im rysunek. Poza tym, doskonale pan wie, jak się mają sprawy w Europie. Nie chcę, żeby ten morderca został zamknięty w zakładzie z rozpoznaniem choroby umysłowej, a potem wypuszczony na wolność po kilku latach, może jeszcze z przeprosinami.

Zrobił chwilę przerwy i znów spojrzął w okno. Samochód dojechał do końca ulicy prowadzącej w dół z Eze Village i skręcał teraz w lewo, w kierunku Monte Carlo.

- Oto moja propozycja. Zorganizujemy oddział sprawnych ludzi i przeprowadzimy śledztwo na własną rękę. Mogę mieć zapewnioną wszelką współpracę. FBI, Interpol, nawet CIA, jeśli zajdzie potrzeba. Mogę sprowadzić grupę ludzi przygotowanych i wyszkolonych lepiej od każdego policjanta. Bystrych chłopaków, którzy nie zadają pytań, słuchają się i basta. Pan może dowodzić tą grupą...

Wskazał głową na mężczyznę prowadzącego auto.

- Kapitan Mosse będzie z panem współpracował. Będziecie prowadzić śledztwo, dopóki go nie złapiecie. A wtedy oddacie go mnie.

Tymczasem samochód wjechał do miasta. Jadąc bulwarem Charlesa III, po lewej stronie minęli Jardin Exotique. Przejeżdżając rue Princesse Caroline, znaleźli się naprzeciw portu.

Stary żołnierz spojrzął przez szybę na miejsce, gdzie znaleziono zmasakrowane ciało jego córki. Przymrużył oczy, jakby miał trudności z patrzeniem tak daleko. Frank pomyślał, że nie miało to nic wspólnego ze wzrokiem, a był to instynktowny odruch podyktowany gwałtownym gniewem, który musiał gotować się w tym człowieku. Parker kontynuował, nie odwracając się do Franka. Być może nie mógł oderwać oczu od portu, gdzie oświetlone łodzie stały spokojnie w oczekiwaniu na kolejny dzień na morzu.

- To tam znaleźli Arijane. Była piękna jak słońce i miała pierwszorzędnny mózg. To była znakomita dziewczyna. Nie żyliśmy specjalnie w zgodzie, ale szanowaliśmy się, bo byliśmy tacy sami. I zabili mi ją jak zwierzę.

Głos żołnierza lekko zadrżał. Frank milczał, pozwalając, żeby ojciec Arijane Parker podążał swobodnie za swoimi myślami.

Samochód minął port i skierował się do tunelu. Nathan Parker oparł się o fotel. Żółte światła tunelu rzucały na ich twarze nienaturalne kolory.

Kiedy znaleźli się znów na powierzchni, pośród nocy, w okolicy Larvotto, samochód wjechał w rue du Portier i wtedy stary przerwał wreszcie milczenie.

- A więc, co mi pan powie, Frank? Jestem osobistym przyjacielem Johnsona Fitzpatricka, dyrektora FBI. A jeśli będzie to potrzebne, mogę dotrzeć jeszcze wyżej. Gwarantuję, że jeśli przyjmie pan moją propozycję, pańska kariera mogłaby nabrać znacznego przyspieszenia. Jeśli interesują pana pieniądze, nie ma problemu. Mogę

dać ich panu tyle, że nie będzie się pan musiał o nic martwić przez resztę życia. Proszę pomyśleć, że jest to działanie konieczne. Sprawiedliwość, a nie tylko zemsta.

Frank zachował milczenie przez cały wywód generała Parkera. On też zrobił sobie przerwę i wyglądał przez okno. Auto wjeżdżało w bulwar des Moulins. Stamtąd miało za chwilę skręcić w prawo, na krótki wjazd prowadzący do Parc Saint-Roman. Pośród innych rzeczy, które o nim wiedzieli, było też zapewne miejsce jego zamieszkania.

- Widzi pan, generale, nie zawsze wszystko jest takie proste, jak się zdaje. Pan zachowuje się tak, jakby wszyscy ludzie mieli swoją cenę. Mówiąc szczerze, ja też myślę jak pan. Jest cena za wszystko. Po prostu, panu nie udało się odgadnąć mojej.

Zimna wściekłość generała świeciła silniej niż światła przy wejściu do pałacu książęcego.

- Proszę się nie zachowywać przy mnie jak nieskalany i nieustraszony bohater, mister Ottobre...

Owo „mister Ottobre”, wycedzone przytłumionym głosem, zabrzmiało groźnie w ciasnej przestrzeni kabiny wozu.

- Wiem znakomicie, kim pan jest. Jesteśmy ulepiani z tej samej gliny, my dwaj.

Samochód zatrzymał się łagodnie przed szklanym wejściem do Parc Saint-Roman. Frank otworzył drzwiczki i wysiadł z auta. Odwrócił się i oparł o okno. Pochylił głowę w taki sposób, żeby siedzący w środku generał mógł go widzieć.

- Być może, generale Parker. Ale nie do końca. Biorąc pod uwagę, że jak się zdaje, wie pan o mnie wszystko, zapewne wie pan też o śmierci mojej żony. Tak, wiem doskonale, co to znaczy stracić bliską osobę. Wiem, co znaczy żyć z duchami. Może to prawda, że obydwaj jesteśmy z tej samej gliny. Jest jednak między nami pewna różnica. Ja, kiedy straciłem żonę, płakałem. Prawdopodobnie nie jestem żołnierzem.

Frank zamknął delikatnie drzwi auta i odsunął się o krok. Parker opuścił na chwilę oczy, szukając odpowiedzi, i kiedy je podniósł, Franka Ottobre już tam nie było.

24

Gdy tylko się obudził, nie wstając nawet z łóżka, Frank wybrał bezpośredni numer do biura Coopera w Waszyngtonie. Mimo różnicy czasu, miał nadzieję, że go zastanie. Odebrał po drugim dzwonku.

- Cooper Danton.

- Cześć, Cooper, tu Frank.

Nawet, jeśli był zaskoczony, Cooper nie dał tego po sobie poznać.

- Cześć, zakazana gębo. Jak się masz?

- Jak obesrany.

Cooper nic nie odpowiedział. Ton głosu Franka nie był taki jak zwykle. Zdawał się bardziej ożywiony w stosunku do ich poprzedniej rozmowy. Odczekał w milczeniu.

- Włączyli mnie do śledztwa w sprawie seryjnego mordercy, tutaj, w Monako. Kompletnie szaleństwo.

- Tak, czytałem coś na ten temat w gazetach. Mówiła też o tym CNN. Ale Homer nic nie powiedział, że ty też w tym jesteś. Mówisz, że paskudna sprawa?

- Gorzej, Cooper. Polujemy na cienie. Ten maniak zdaje się być z powietrza. Żadnego śladu. Żadnej wskazówki. A na dodatek robi sobie z nas jaja. Wychodzimy na kompletnych fiutów. I mamy już trzy trupy.

- Widzę, że dziwne rzeczy zdarzają się też w starej Europie, nie tylko w Ameryce.

- To fakt. Jak widać, nie mamy wyłączności... A co u was?

- Wciąż podążamy tropem Larkinów. Jeff nie żyje i nikt nie odczuje jego braku. Osmond siedzi i nie puszcza pary z ust. Ale mamy nowe, obiecujące ślady. Droga w kierunku południowo-wschodniej Azji, nowa trasa przetrzutu narkotyków. Zobaczymy, co się wydarzy.

- Cooper, chciałbym cię prosić o przysługę.

- Co tylko zechcesz.

- Potrzebuję informacji dotyczących niejakiego generała Parkera i kapitana Ryana Mosse'a z armii Stanów Zjednoczonych.

- Powiedziałeś Parker? Nathan Parker?

- Tak, właśnie o niego mi chodzi.

- Mhm, gruba sprawa, Frank. Ten człowiek jest żywą legendą. Bohater z Wietnamu, prawdziwy mózg strategiczny wojny w Zatoce i interwencji w Kosowie. Tego typu sprawy. Jest członkiem Sztabu Generalnego armii, bardzo zbliżony do Białego Domu. I zapewniam cię, że kiedy on mówi, wszyscy go słuchają, łącznie z prezydentem. Co ty masz wspólnego z Nathanem Parkerem?

- Jedną z ofiar była jego córka. Przyjechał tu z nożem w zębach, bo nie ufa miejscowej policji. Obawiam się, że organizuje oddział na swoją osobistą wojnę.

- Jak nazywa się ten drugi?

- Mosse, kapitan Ryan Mosse.

- Tego nie znam. W każdym razie dowiem się i zobaczę, co uda mi się znaleźć. Jak mogę ci dostarczyć dossier?

- Mam tutaj prywatny adres poczty elektronicznej. Natychmiast wyślę ci e-mail. Lepiej, żebyś nie przysyłał mi nic do centrali policji, to sprawa, którą wolę trzymać poza oficjalnym śledztwem. Już i tak mamy za dużo komplikacji. Tą kwestią wolę zająć się sam.

- Dobrze. Biorę się zaraz do pracy.

- Dzięki, Cooper.

- Daj spokój. Dla ciebie wszystko. Frank...

- Tak?

- Cieszę się z twojego powodu.

Frank doskonale wiedział, co ma na myśli jego przyjaciel. Nie chciał odbierać mu tego złudzenia.

- Wiem, Cooper. Cześć.

- Powodzenia, Frank.

Frank skończył połączenie i rzucił telefon bezprzewodowy na łóżko. Wstał i nagi poszedł do łazienki. Unikał swojego odbicia w lustrze. Otworzył kabinę prysznicową i puścił wodę. Wszedł do środka i przykucnął na podłodze, czując smagnięcia zimnej wody na głowie i ramionach. Wzdrygnął się i zaczął na ulgę, jaką przynosił coraz cieplejszy strumień. Wstał i zaczął się namydlać. Kiedy woda spłukiwała z niego

pianę, spróbował otworzyć szerzej umysł. Zapomnieć, że jest sobą, wczuć się w tego drugiego, bez ciała i bez twarzy, który gdzieś się czaił.

Myśl zaczęła się przebijać.

Jeśli było prawdą to, co podejrzewał, biedna Ariane Parker była naprawdę jedną z najbardziej pechowych dziewczyn na ziemi. Poczł, jak ogarnia go gorycz. Niepotrzebna śmierć, wywołana chorym umysłem mordercy.

Zakręcił kran. Stał jeszcze chwilę i patrzył na wodę, która znikła w odpływie, tworząc mały wir.

Ja zabijam...

Trzy kropki, trzy trupy. I to jeszcze nie koniec. Gdzieś w jego głowie tkwiło coś, co rozpaczliwie próbowało się wyzwolić, jakiś zamknięty w ciemnym pokoju szczegół, który walił z całej siły w zatrzaśnięte drzwi, żeby ktoś go usłyszał.

Wyszedł z kabiny i z wieszaka po prawej stronie zdjął szlafrok. Jeszcze raz podsumował swoje wnioski. Nie chodziło o pewność, ale o bardzo prawdopodobną hipotezę, która zawężyła obszar śledztwa dotyczącego ofiar. Nie wiedzieli jeszcze dlaczego, nie wiedzieli, jak i gdzie, ale przynajmniej mogli przypuszczać kto.

Tak było. Na pewno tak było.

Wyszedł z łazienki i przeszedł przez pogrążoną w półmroku sypialnię. Znalazł się w salonie z przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na taras, stamtąd skierował się do pokoju, który był gabinetem jego gospodarza i gdzie stał komputer. Usiadł przy biurku, zdjął ochronny pokrowiec i włączył urządzenie. Przyglądał się przez chwilę francuskiej klawiaturze, po czym połączył się z Internetem. Na szczęście Ferrand, właściciel mieszkania, nie miał nic do ukrycia, przynajmniej w tym komputerze, i zostawił hasło w pamięci. Wysłał e-mail do Coopera z adresem swojej poczty elektronicznej, na który mógł mu przysyłać potrzebne informacje. Wyłączył komputer i poszedł się ubrać, wciąż roztrząsając w duchu swoje myśli, analizując je z innej perspektywy, żeby zobaczyć, czy z drugiej strony nic nie wyniknie. Telefon zadzwonił dokładnie w momencie, kiedy przechodził obok stolika, na którym stał aparat. Wziął do ręki słuchawkę.

- Słucham?

- Frank, tu Nicolas.

- To ty. Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Chodzi mi coś po głowie, nic specjalnego, ale może to być jakiś punkt wyjścia.

- Co takiego?

- Sądzę, że zrozumiałem, kto jest celem naszego człowieka.

- To znaczy?

- Interesują go mężczyźni. Jochen Welder i Allen Yoshida. To oni byli jego właściwymi ofiarami.

- Więc co ma z tym wspólnego Arijane Parker?

- Ta biedaczka posłużyła tylko jako królik doświadczalny. Robił to po raz pierwszy. Ten maniak chciał mieć osobę, na której mógł poćwiczyć, zanim zajął się właściwą pracą, to znaczy głową Jochena Weldera.

Milczenie po drugiej stronie oznaczało, że Hulot się zastanawia. Po chwili znów zabrzmiał jego głos.

- Jeśli tak jest, wyłączając kobiety, krąg możliwych ofiar bardzo się zacieśnia...

- Tak, Nicolas, chodzi o mężczyzn około trzydziesto-, trzydziestopięcioletnich, sławnych i przystojnych. Nie jest to wiele, ale wydaje mi się, że to już jakiś krok naprzód. Przynajmniej nie ma tysięcy osób, które spełniają te warunki.

- Sądzę, że warto wziąć pod uwagę tę hipotezę.

- Również dlatego, że chwilowo nie mamy nic lepszego. Czy możesz mi powiedzieć, w jakiej sprawie dzwonicz?

- Frank, jesteśmy po szyję w gównie. Czytałeś gazety?

- Nie.

- Nie ma w całej Europie dziennika, który nie poświęciłby tej sprawie pierwszej strony. Zewsząd przyjeżdżają ekipy telewizyjne. Roncaille i Durand weszli oficjalnie na ścieżkę wojenną. Na Roncaille'a musiały być straszne naciski, począwszy od ministra spraw wewnętrznych aż po samego księcia.

- Wyobrażam sobie. Allen Yoshida to nie był byle kto.

- Właśnie. Z tamtej strony rozpętało się zresztą istne piekło. Roncaille powiedział mi, że interweniował konsul Stanów Zjednoczonych w Marsylii, jako rzecznik waszego rządu. Jeśli czegoś nie zdziałamy, obawiam się, że moja głowa jest poważnie zagrożona. A poza tym mamy problem...

- Jaki?

- Jean-Loup Verdier. Puściły mu nerwy. Pod jego domem jest morze dziennikarzy, którzy praktycznie rozbili tam biwak. To samo pod radiem. Bikjało się cieszy. Audycja ma publiczność równą Formule 1. Jean-Loup natomiast jest, jak sądzą, przestraszony i chciałby zawiesić program.

- Chryste, nie może tego zrobić. To jedyny punkt kontaktowy z mordercą, jaki mamy.

- Ja to wiem i ty to wiesz. Ale idź i mu to wytłumacz. Próbowałem postawić się na jego miejscu i nie mogę odmówić mu całkowicie racji.

- Nie możemy go stracić. Jeśli ten szaleniec nie znajdzie rozmówcy, może przestać dzwonić. Nie przestanie jednak zabijać, a my nie będziemy mieli żadnego punktu zaczepienia. A jeśli postanowi znaleźć kogoś innego, choćby w innym radiu albo kto wie gdzie, stracimy tylko czas. A to oznacza następne ofiary.

- Musimy z nim porozmawiać, Frank. I chciałbym, żebyś ty to zrobił.

- Dlaczego?

- Według mnie masz na niego większy wpływ, niż ja mógłbym mieć. To odczucie, ale słowo FBI robi większe wrażenie niż Sûreté Publique.

- Dobrze. Ubieram się i przyjeżdżam.

- Wysyłam po ciebie samochód. Zobaczymy się w domu Jean-Loup'a.

- Okej.

Mówiąc ostatnie słowa, Frank kierował się już do sypialni. Wybrał przypadkową koszulę i parę spodni, włożył skarpetki i buty i zarzucił lekką, płócienną marynarkę. Powkladał do kieszeni to, co poprzedniego wieczoru rzucił na komodę, i jednocześnie zastanawiał się, jak podejść Jean-Loup Verdiera, który robił w gacie ze strachu. Musieli znaleźć sposób, żeby przekonać tego chłopaka. Zauważył, że myśląc o Jean-Loup'ie określa go w duchu „ten chłopak”, a przecież na oko był on tylko kilka lat od niego młodszy.

Frank czuł się dużo starzej. Faktem jest, że policjanci starzeją się szybciej. Być może są tacy, co rodzą się już starzy i muszą to tylko odkryć, mając kontakt z innymi, którzy tkają normalnie nic czasu. Jeśli tak było, dla Jean-Loup'a ta nic prawdopodobnie nagle się przerwała.

Wyszedł na korytarz i wciągnął windę. W oczekiwaniu na kabinę zamknął na klucz mieszkanie. Drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie za jego plecami, rzucając snop ostrzejszego światła na lekki półmrok korytarza.

Wsiadł i nacisnął guzik parteru. Złapią go, tego był pewny. Prędzej czy później popełni błąd i schwytają go. Problem w tym, ile będzie jeszcze ofiar z potwornie zmasakrowanymi głowami, zanim im się to uda.

Winda zatrzymała się z lekkim podskokiem i drzwi otworzyły się na elegancki, marmurowy hol Parc Saint-Roman. Frank wysiadł i zobaczył przez oszklone drzwi po

lewej stronie czekający na niego wóz policyjny. Prawdopodobnie byli już w okolicy, bo przyjechali bardzo szybko. Portier dostrzegł go i dał mu znak z przeszkłonej dyżurki. Frank podszedł do niego.

- Dzień dobry, „monsieur Octobre” - powiedział portier, wymawiając jego nazwisko z francuska.

- Dzień dobry.

Mężczyzna podał mu białą kopertę bez znaczka, na której widniało tylko napisane piórem jego nazwisko.

- Zostawiono to dla pana wczoraj wieczorem, po pana powrocie.

- Dziękuję, Pascal.

- Nie ma za co. To mój obowiązek, m'sieur.

Frank otworzył kopertę. W środku była złożona na trzy kartki. Wyjął ją i przeczytał wiadomość napisaną nerwowym, ale wyraźnym charakterem pisma.

Tylko mali ludzie nie zmieniają zdania. Proszę nie kazać mi zmieniać opinii na temat pana prawdziwej miary. Potrzebują pańskiej pomocy, a pan mojej. Zostawiam panu mój adres na wybrzeżu i numery telefonów, pod którymi może mnie pan znaleźć.

Nathan Parker

Na dole strony widniał adres i dwa numery telefonu. Wsiadając do samochodu, Frank nie mógł powstrzymać się od myśli, że od owej chwili po okolicy krąży przynajmniej dwóch krwiożerczych szaleńców.

Wóz policyjny zostawił za sobą Monte Carlo i ruszył w górę szosą prowadzącą w kierunku Beausoleil i A8, autostrady łączącej Monako z Niceą, a z drugiej strony z Włochami. Siedzący na tylnym siedzeniu Frank otworzył okno i pozwolił, żeby powietrze wpadało swobodnie do środka. Jeszcze raz przeczytał kartkę od generała i wsunął ją do kieszeni marynarki. Znów zaczął wyglądać przez okno. To, co było na zewnątrz, przebiegało mu przed oczami jak niewyraźny ciąg kolorowych plam.

Parker stanowił niepotrzebną komplikację. Choć jego zamiary dotyczyły sfery ściśle prywatnej, człowiek ten reprezentował władzę, tę przez wielkie „W”. Jego deklaracje nie były częścią gadaniną. Przeciwnie. Naprawdę mógł mieć do dyspozycji wszystkie środki, o których wspominał.

A to oznaczało, że poza siłami policji mogli pojawić się ludzie dużo bardziej agresywni w sposobie prowadzenia śledztwa. Zmuszeni do anonimowości, to prawda, ale za to niespełnani ograniczeniami charakteru prawnego i może dlatego bardziej skuteczni.

Fakt, że poruszają się w tak ograniczonym i delikatnym obszarze jak Księstwo Monako, nie byłby wystarczającym środkiem odstrasającym, żeby powstrzymać żądze zemsty Nathana Parkera. Był na tyle stary i zdeterminowany, żeby nic sobie nie robić z konsekwencji, jakie mogło to mieć dla jego kariery. A jeśli sprawy się miały tak, jak powiedział Cooper, był on też na tyle potężny, że mógł osłaniać ludzi, którzy by za nim poszli. Poza tym, gdyby schwycił mordercę, prasa postarałaby się już o to, żeby zmontować opowieść, w której występowałby, jako zrozpaczony ojciec, ten, któremu udało się tam, gdzie wszyscy inni ponieśli porażkę. Stałby się nietykalnym bohaterem. Stany Zjednoczone odczuwały w owym momencie rozpaczliwą potrzebę bohaterów. Amerykańska opinia publiczna i rząd utworzyłyby wokół niego kordon

ochronny. Władze Księstwa trochę by się krzywiły, ale potem byłyby zmuszone przełknąć tę gorzką pigułkę. *Game over.*

Poza tym był Jean-Loup. Kolejny twardy orzech.

Musiał znaleźć sposób, żeby Jean-Loup cofnął decyzję, co, do której nie mógł mu odmówić racji. Czym innym jest popularność wynikająca z prowadzenia cieszącej się powodzeniem audycji radiowej, czym innym zaś zdobycie rozgłosu w aktualnościach jako główny punkt odniesienia dla mordercy. Istniały granice, poza którymi każdemu mógł puścić system nerwowy. Jean-Loup był cały czas jedynie postacią medialną. Miał mózg i potrafił z niego korzystać. Nie był - a przynajmniej nie robił takiego wrażenia - lakierowanym durniem, jak inni ludzie z show-biznesu, których znał. Ale czy można się dziwić, że się przestraszył.

Paskudna sprawa. A czas, jaki mieli do dyspozycji, kurczył się niemiłosiernie szybko, odmierzany minuta za minutą przez chronometr, który władze Księstwa trzymały w ręku i nieustannie kontrolowały.

Samochód zwolnił w pobliżu domu stojącego po prawej stronie ulicy, gdzieś w połowie wzniesienia. W górze rysował się rząd cyprysów, za którymi rozciągał się widok na całe Monte Carlo. Nie było wątpliwości, że właśnie w tym domu mieszka didżej. Na ulicy parkowało dużo samochodów, a także kilka furgonetek z logo stacji telewizyjnych. Mały tłumek korespondentów i reporterów utrzymywał dom w stanie oblężenia. Trochę dalej stał też wóz policyjny. Na ich widok wśród dziennikarzy zapanowało lekkie poruszenie. Policjant siedzący obok kierowcy wziął do ręki mikrofon radiowy.

- Tu Ducross. Dojeżdżamy.

Ustawiona tuż za zakrętem brama z żelaznych prętów zaczęła się otwierać. Kiedy samochód zwalniał, żeby wjechać, dziennikarze podbiegli zobaczyć, kto siedzi w środku. Dwaj policjanci z drugiego wozu wysiedli, aby uniemożliwić im przejście za bramę.

Zjechali rampą wyłożoną samoblokującymi, czerwonymi płytkami i znaleźli się na placyku przed bramą do garażu. Nicolas Hulot już tam był i czekał na dziedzicu. Pozdrowił go przez otwartą szybę.

- Cześć, Frank. Widziałeś, co tu się dzieje?

- Cześć, Nicolas. Widziałem, widziałem. Ale to normalne. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Frank wysiadł z samochodu i ocenił budowlę.

- Jean-Loup Verdier musi zarabiać niezłe pieniądze, żeby sobie pozwolić na taką willę.

Hulot uśmiechnął się.

- Jest pewna historia, która dotyczy tego domu. Nie czytałeś gazet?

- Nie, tę przyjemność chętnie pozostawiam tobie.

- Pisali o tym właściwie wszyscy. Jean-Loup odziedziczył ten dom w spadku.

- Gratulacje dla krewnych.

- Nie dostał go od krewnych. Wydaje się to bajką, ale zostawiła mu go stara, bogata wdowa, której uratował psa.

- Psa?

- No właśnie. Na placu Casinó, kilka lat temu. Pies rzeczonyj pani uciekł i właśnie przebiegał przez ulicę. Jean-Loup rzucił się, żeby go złapać, kiedy ten był już praktycznie pod kołami samochodu. Niewiele brakowało, a on też by tam został. Kobieta uściskała go i wycalowała, płacząc z wdzięczności, i tak się skończyło. Po kilku latach Jean-Loup został wezwany przez notariusza i dowiedział się, że jest właścicielem domu.

- No, no. Sądziłem, że pewne rzeczy zdarzają się tylko w filmach Walta Disneya. Na oko, powiedziałbym, że chodzi o prezent wart ze dwa miliony dolarów.

- Zważywszy na ceny domów w tej okolicy, nawet trzy.

- Tym lepiej dla niego. Okej. Idziemy spełnić nasz obowiązek?

Hulot wskazał głową punkt za swoimi plecami.

- Jest tam, chodź.

Przeszli przez podwórze i minęli rząd czerwonych bugenwilli tworzących żywopłot po prawej stronie domu. Za krzewami rozciągał się płaski teren, na którym zbudowano basen, niezbyt duży, ale na tyle, żeby nie pomylić go z wanną.

Jean-Loup i Bikjalo siedzieli przy stole pod pergolą obrośniętą amerykańską winoroślą. Na blacie stały resztki śniadania. Obecność dyrektora była wyraźnym sygnałem kryzysu, jaki przeżywał Jean-Loup. Taka troskliwość ze strony tego człowieka świadczyła o tym, iż obawia się o swoją kurę znoszącą złote jaja.

- Cześć, Jean-Loup. Dzień dobry, dyrektorze.

Bikjalo podniósł się z wyrazem ulgi na twarzy. Nadeszły posiłki. Natomiast Jean-Loup zdawał się raczej zakłopotany ich przybyciem i spoglądał na nich z wyraźnym wysiłkiem.

- Dzień dobry, panowie. Właśnie mówiłem Jean-Loup'owi...

Frank przerwał mu raczej gwałtownie. Nie zamierzał przechodzić od razu do rzeczy, żeby Jean-Loup nie poczuł się osaczony. Był to delikatny moment i chciał, żeby poczuł się swobodnie, zanim poruszą drażliwy temat.

- Czy dobrze widzę, to kawa?

Wskazał na stojący na stole dzbanek.

- Cóż, tak...

- Zarezerwowana jest tylko dla domowników, czy znajdzie się też trochę dla spragnionych przybyszów?

Kiedy Hulot i Frank siadali przy stole, Jean-Loup podniósł się, żeby przynieść dwie filiżanki ze stojącego za nim blatu kuchennego. Podczas gdy didżej wlewał kawę z termicznego dzbanka, Frank przyglądał mu się uważnie. Twarz zdradzała, że spędził całą noc, wierząc się bezsennie w łóżku. Był pod ciśnieniem i Frank doskonale to rozumiał. Jednak nie powinien, nie mógł odpuścić i Jean-Loup musiał to zrozumieć.

Hulot podniósł do ust filiżankę.

- Mhm, dobra. Powinniśmy mieć taką kawę w centrali.

Jean-Loup uśmiechnął się mimo woli. Jego wzrok krążył i unikał kontaktu z nimi, szczególnie z Frankiem. Bikjało znowu usiadł, tym razem na krześle najbardziej oddalonym od stołu. Chciał poprzez ten gest zachować jakby dystans i im pozostawić rozwiązanie problemu. W powietrzu wyraźnie czuć było napięcie.

Frank uznał, że nadszedł moment, aby chwycić byka za rogi.

- A więc, w czym problem, Jean-Loup?

W końcu didżej odważył się spojrzeć mu w oczy. Frank był zaskoczony, że nie dostrzegł w nich strachu, jak można się było spodziewać. Zauważył w nich natomiast zmęczenie i niepokój. Być może też obawę, że nie uda mu się udźwignąć zbyt trudnej dla niego roli. Ale nie strach. Jean-Loup spuścił wzrok i rozpoczął przemowę, którą prawdopodobnie przepowiadał już sobie w duchu wiele razy.

- Problem jest bardzo prosty. Nie daję rady.

Frank milczał i czekał, co Jean-Loup powie dalej. Nie chciał, by odniósł wrażenie, że poddawany jest przesłuchaniu.

- Nie byłem na to wszystko przygotowany. Za każdym razem, kiedy słyszę ten głos w telefonie, tracę dziesięć lat życia. A myśl, że po rozmowie ze mną ten człowiek idzie... idzie...

Kontynuował, jakby kosztowało go to nieprawdopodobny wysiłek. Chyba żaden mężczyzna nie lubi wykladać na stół swoich słabości i w tym Jean-Loup był jak każdy inny.

-... idzie robić to, co robi, o, właśnie to całkowicie mnie rozbija. I zastanawiam się: dlaczego ja? Dlaczego właśnie do mnie musi telefonować? Odkąd zaczęła się ta historia, nie mam życia. Siedzę zamknięty w domu jak jakiś przestępca, nie mogę podejść do okna, żeby nie słyszeć dziennikarzy krzyczących moje imię. Ledwie wystawią nos na zewnątrz, natychmiast otoczony jestem przez zadających pytania ludzi. Już nie dają rady.

Bikjało postanowił zabrać głos.

- Ależ, Jean-Loup, taka sytuacja zdarza się tylko raz w życiu. W tej chwili cieszysz się niewiarygodną popularnością. Jesteś jedną z najbardziej znanych postaci w Europie. Nie ma telewizji, która by cię nie chciała, nie ma gazety, która by o tobie nie pisała. Do radia nadeszły propozycje od producentów filmowych, żeby nakręcić film z całej tej his...

Piorunujący wzrok Hulota powstrzymał nagle potok słów dyrektora. Frank pomyślał, że facet ten jest najgorszego gatunku skurwysynem. Pazernym skurwysynem. Najchętniej by go skopał.

Jean-Loup podniósł się z krzesła i odparł kategorycznie.

- Chcę być doceniany, ponieważ rozmawiam z ludźmi, a nie dlatego, że rozmawiam z mordercą. A poza tym, dobrze znam dziennikarzy. Kiedy wyczerpią im się tematy, zaczną zastanawiać się nad tym samym co ja. Dlaczego on? Jeśli nie zdołają znaleźć odpowiedzi, coś wymyślą. I zniszczą mnie.

Frank dostatecznie dobrze znał media, żeby podzielać ten niepokój. Miał też wystarczający szacunek dla Jean-Loup'a, żeby nie serwować mu serii kłamstw.

- Jean-Loup, sprawy mają się dokładnie tak, jak mówisz. Uważam cię za osobę zbyt inteligentną, żeby myśleć, iż przekonam cię w inny sposób. Doskonale rozumiem, że nie czujesz się przygotowany do tego wszystkiego, a zresztą, kto by się czuł? Ja sam spędziłem połowę życia na tropieniu przestępców, a przecież sędzę, że na twoim miejscu miałbym takie same obawy i podobnie bym zareagował. Ale nie możesz odpuścić, nie teraz.

Frank uprzedził ewentualną obiekcję.

- Wiem, że my także ponosimy za to winę. Gdybyśmy byli sprawniejsi, prawdopodobnie byłoby już po wszystkim. Ale, niestety, tak nie jest. Ten człowiek

pozostaje wciąż na wolności, a dopóki jest wolny, będzie miał tylko jeden cel: nadal zabijać. I my musimy go powstrzymać.

- Ja nie wiem, czy będę w stanie usiąść znowu przed mikrofonem, jak gdyby nigdy nic, i czekać, aż usłyszę znowu ten głos.

Frank spuścił głowę. Kiedy ją znów podniósł, Hulot dostrzegł inne światło w jego spojrzeniu.

- W życiu są rzeczy, których sam szukasz, i takie, które szukają ciebie. Nie wybrałeś ich i wcale ich nie chcesz, ale przychodzą i potem nie jesteś już taki sam. W takiej sytuacji są dwa wyjścia: albo uciekasz, próbując zostawić je za sobą, albo przystajesz, żeby stawić im czoło. Jakiegokolwiek dokonasz wyboru, zmienia cię on, a ty masz tylko możliwość, żeby wybrać lepiej albo gorzej. Są trzy ofiary, zamordowane w straszliwy sposób. Będą następne, jeśli nam nie pomożesz. Jeśli postanowisz nam pomóc, być może rozbije cię to na kawałki, ale potem będziesz miał dużo czasu, żeby je posklejać. Jeśli uciekniesz, i tak będziesz roztrzaskany, ale wyrzuty sumienia spowodują, że pozostaniesz w kawałkach do końca życia. I te kawałki będą każdego dnia coraz mniejsze...

Jean-Loup usiadł powoli z powrotem na krześle. Nawet niebo i morze przed nimi zdawały się stworzone z ciszy.

- Dobrze. Zrobię to, o co prosicie.

- Będziesz kontynuował audycję?

- Tak.

Hulot rozluźnił się na krześle. Bikjalo nie był w stanie powstrzymać niewidocznego niemal gestu zadowolenia. Owa wypowiedziana półgłosem monosylaba zdała się Frankowi pierwszym cyknięciem nakręconego od nowa zegarka.

26

Frank odprowadził Hulota do samochodu. Jean-Loup i Bikjalo zostali przy stole obok basenu. Kiedy odchodzili, dyrektor Radia Monte Carlo, jeszcze przejęty zażegnanym niebezpieczeństwem, obejmował didżeja ramieniem, żeby poczuł jego obecność, szepcząc mu rady, jak sekundant liczonego boksera w czasie przegrywanego meczu. Musiał go przekonać, żeby wytrzymał jeszcze kilka starć, jeśli chce zgarnąć kasę.

Pierwsze wrażenie, jakie zrobił na Franku ten człowiek, potwierdziło się w gruncie rzeczy. W praktyce swojej pracy zyskał z czasem niemal zwierzęcą wrażliwość w ocenianiu ludzi. Jeszcze jej nie utracił. Jak się zdaje, nie wystarczyło postanowić po prostu, że nie jest się już psem, żeby przestać nim być.

Kto rodzi się kwadratowy, nie umiera okrągły...

Dotyczyło to zarówno jego, jak i Bikjalo, jak też wszystkich innych.

Hulot otworzył drzwi peugeota, ale pozostał na zewnątrz, podziwiając fantastyczną panoramę u ich stóp. Zdawało się, że nie ma najmniejszej ochoty kontynuować śledztwa. Odwrócił się w stronę Franka. Amerykanin dostrzegł w jego oczach potrzebę spokojnego odpoczynku, bez marzeń sennych. Bez postaci w czerni, bez głosów, które szeptałyby do ucha: *Ja zabijam...*, powodując przebudzenie zaludnione upiorami jeszcze gorszymi od tych ze snu.

- Byłeś wielki z tym chłopakiem... z nim i ze mną.

- Co to znaczy „z nim i ze mną”?

- Wiem, że w czasie tego śledztwa bardzo się na tobie oparłem. Nie myśl, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Poprosiłem cię o pomoc i jeszcze wymyśliłem sobie bajeczkę, że ma to pomóc tobie, gdy tymczasem było to potrzebne przede wszystkim mnie.

W bardzo krótkim czasie role między nimi jakby się odwróciły, za sprawą tych małych i dużych niespodzianek, które życie wciąż nam przynosi, jakby z nas drwiło.

- Nie jest tak, Nicolas. A przynajmniej niedokładnie tak. Być może ten szalenię, którego ścigamy, nas też zaraża swoim szaleństwem. Ale jeśli jest to właściwa droga, żeby go ująć, możemy tylko iść nią dalej, dopóki wszystko się nie skończy.

Hulot wsiadł do samochodu i włączył silnik.

- Jest jednak pewne ryzyko w tym, co powiedziałeś.

- Jakie?

- Że jeśli raz zaakceptuje się szaleństwo, można już się od niego nie uwolnić. Sam to od ciebie kiedyś usłyszałem, pamiętasz, Frank? Jesteśmy małymi dinozaurami, niczym innym tylko małymi dinozaurami...

Zatrzasnął drzwiczki, włączył bieg i samochód ruszył. Automatyczna brama otworzyła się, sterowana przez funkcjonariusza stojącego po drugiej stronie ulicy. Frank patrzył za podjeżdżającym po rampie autem, zobaczył zapalające się światła postojowe, kiedy wyjeżdżało na ulicę. Przez cały czas jego rozmowy z Nicolasem funkcjonariusze, którzy go tam przywieźli, stali z boku przy samochodzie i gawędzili. Frank zajął ponownie miejsce na tylnym siedzeniu. Chłopcy też wrócili i policjant siedzący po stronie pasażera popatrzył na niego w milczeniu pytającym wzrokiem.

- Wracamy do Parc Saint-Roman. Bez pośpiechu - powiedział Frank po chwili wahania. Czuł potrzebę, żeby побыć trochę w samotności i zebrać myśli. Wspomnienie o generale Parkerze i jego zamiarach nie zostało wymazane, tylko chwilowo odłożone na bok. Chciał dowiedzieć się trochę więcej o nim i o Ryanie Mossie, zanim postanowi, jaką linię działania przyjąć.

Miał nadzieję, że Cooper zebrał już potrzebne mu informacje, choć minęło niewiele czasu.

Samochód ruszył. Podjazd, brama, ulica. W lewo. Znow poruszenie wśród oczekujących dziennikarzy. Frank przyjrzał im się uważnie, gdy tak otrząsali się z letargu jak psy na widok innego psa. Był wśród nich też ten rudowłosy, który wsadził głowę do samochodu przed komisariatem. Kiedy Frank ich mijał, jakiś reporter stojący obok kabrioletu Mandy w zamyśleniu odpowiedział na jego spojrzenie.

Frank pomyślał, że już wkrótce rozpocznie się polowanie, również na niego, kiedy tylko prasa dowie się, kim jest i co robi. Było poza dyskusją, że dziennikarze dowiedzą się, jaką rolę odgrywa w całej sprawie. Do tej pory miał spokój, bo były

smaczniejsze kaski, ale prędzej czy później ktoś ruszy również w jego kierunku. Każdy z nich miał na pewno jakieś znajomości w policji, te, które w artykułach określane są jako „pewne źródło”.

Dziennikarze przedefilowali przed oknem samochodu i stali na czele tego świata, który przede wszystkim chciał poznać prawdę. A najlepszym nie był ten, któremu udało się ją poznać, ale ten, który zdołał sprzedać ją jako najbardziej wiarygodną.

Jadąc zgodnie z jego prośbą niezbyt szybko, samochód skierował się w przeciwnym kierunku ulicą, którą przemierzali, żeby dotrzeć do domu Jean-Loup'a. Kiedy jechali w dół, Frank zwrócił uwagę na kobietę i chłopca.

Wypadli niemal biegiem z ubitej drogi skręcającej w lewo kilkaset metrów za stanowiskiem dziennikarzy. Frank ich zauważył, ponieważ kobieta trzymała dziecko za rękę i miała przerażoną minę. Zatrzymała się na chodniku, rozglądając się dokoła jak ktoś, kto znajduje się w nieznanym miejscu i nie wie, dokąd iść. Kiedy samochód ich minął, Frank odniósł wyraźne wrażenie, że chodzi o ucieczkę. Kobieta była tuż po trzydziestce, miała na sobie wygodne sportowe spodnie w kratkę w różnych odcieniach niebieskiego i miękką granatową bluzkę z błyszczącego materiału, wyłożoną na wierzch spodni. Kolor ten podkreślał wspaniałe blond włosy, które opadały prawie na plecy. Tkanina bluzki i włosy zdawały się rywalizować w poszukiwaniu dziwnych refleksów majowego słońca. Była wysoka i sprężysta, a jej ruchy, mimo pośpiechu, były harmonijne.

Chłopiec mógł mieć około dziesięciu lat i wydawał się raczej wysoki jak na swój wiek. Ubrany był w bardzo szerokie džinsy i w kolorowy T-shirt. Patrzył niepewnie na trzymającą go za rękę kobietę dwójkiem lekko przestraszonych, błyszczących błękitnych oczu.

Frank odwrócił głowę i oparł czoło na szybie okna, żeby nie stracić ich z oczu. Zobaczył nadbiegającego kapitana Ryana Mosse'a z armii Stanów Zjednoczonych, który zagroził kobiecie i chłopcu drogę swoim ciałem. Chwycił ich za ramiona i zmusił, by poszli za nim drogą, którą wszyscy troje przybyli. Frank odwrócił się i położył rękę na ramieniu kierowcy.

- Proszę się zatrzymać.
- Słucham?
- Proszę się tu na chwilę zatrzymać.

Kierowca zahamował i samochód stanął po prawej stronie. Dwaj funkcjonariusze popatrzyli po sobie. Ten siedzący na miejscu pasażera wzruszył ramionami. Ci Amerykanie...

Frank wysiadł i przeszedł przez ulicę. Skręcił w dróżkę, która prowadziła do domu stojącego trochę na uboczu w stosunku do pozostałych. W głębi widać było bramę, ale wcześniej dostrzegł plecy trzech osób. Potężny mężczyzna popychał mocno kobietę i chłopca.

- Czy to jest częścią pańskiego dochodzenia, kapitanie Mosse?

Słyszac głos, mężczyzna przystanął, zmuszając kobietę i chłopca do gwałtownego zatrzymania się. Odwrócił głowę i widząc Franka, nie okazał żadnego zaskoczenia.

- Ach, to nasz agent specjalny FBI. Co się dzieje, harcerzyku, próbujesz zrobić codzienny dobry uczynek? Jeśli pójdziesz na plac Casinó i będziesz miał trochę cierpliwości, może spotkasz jakąś staruszkę i będziesz mógł przeprowadzić ją przez ulicę.

Frank ruszył w stronę trójki osób. Kobieta patrzyła na niego jednocześnie z nadzieją i ciekawością błękitnym spojrzeniem, takim samym jak spojrzenie chłopca. Uderzyło go piękno tych oczu i był zdziwiony, że ich uroda robi na nim wrażenie. Chłopiec wyswobodził się.

- To boli, Ryan.

- Idź do domu, Stuart. I nie ruszaj się stamtąd.

Stuart spojrział na kobietę, która pokiwała głową.

- Idź, Stuart.

Chłopiec zrobił dwa kroki do tyłu, wciąż na nich patrząc, po czym odwrócił się i pobiegnął w stronę pomalowanej na zielono bramy.

- Ty też, Heleno. Idź do domu i zostań tam.

Mosse ścisnął mocno ramię kobiety. Frank zobaczył, jak mięśnie napinają mu się pod koszulą. Zmusił kobietę, która wciąż patrzyła na Franka, żeby się do niego odwróciła.

- Popatrz na mnie. Zrozumiałas, co do ciebie powiedziałem, Heleno?

Kobieta wydała z siebie jęk bólu. Pokiwała lekko głową. Kiedy ją puścił, Helena rzuciła Frankowi ostatnie rozpaczliwe spojrzenie, po czym odwróciła się i ruszyła za chłopcem. Zielona brama otworzyła się i zamknęła, kiedy ją przekroczyli.

Jak brama więzienna, pomyślał instynktownie Frank.

Dwaj mężczyźni stali teraz jeden naprzeciw drugiego. Z tego, jak Mosse na niego patrzył, Frank bez problemu wnioskował, jaka jest szkoła jego myślenia, która w rzeczywistości musiała być szkołą Parkera. Kto nie był z nimi, był przeciwko nim. Kto nie szedł za nimi, nie kochał ich i musiał się liczyć z konsekwencjami tego faktu.

Krótki powiew wiatru poruszył zaniedbane żywopłoty po bokach drogi. Natychmiast ucichł i liście znów znieruchomiały, jakby dla podkreślenia panującego między nimi napięcia.

- Z kobietami i dziećmi radzisz sobie dobrze. Ale wydaje mi się, że to trochę za słabe referencje dla kogoś, kto przyjechał tu w dużo ambitniejszych celach... czy się mylę, kapitanie Mosse?

Frank uśmiechnął się. Jego uśmiech został odwzajemniony. I był to uśmiech drwiący.

- Wydaje mi się, że ty też dobrze radzisz sobie z kobietami, co Frank? Och, wybacz, zapomniałem, że Frank to zbyt poufałe dla ciebie... Jak chcesz, żeby cię nazywać? Ach tak, mister Ottobre...

Zdawał się zastanawiać nad tym, co właśnie powiedział. Odsunął się trochę na bok. W gruncie rzeczy chodziło o to, żeby lepiej ustawić się na nogach, jak ktoś, kto w każdej chwili spodziewa się ataku.

- Właśnie, mister Ottobre. Za to dla ciebie kobiety są, jak mi się zdaje, znakomitym pretekstem, żeby się ukryć. Nic się nie da zrobić z panem Ottobre, niczego nie można się po nim spodziewać. „Zamknięty” z powodu żałoby. Może twoja żo...

Frank ruszył mimo woli, tak szybko, że choć Mosse się tego spodziewał, nie zdążył zareagować. Pięść trafiła go w twarz i powaliła na ziemię. Leżał teraz, a strużka krwi spływała mu z kącika ust. Poza tym, zdawało się, że nie odczuł ciosu, który mu Frank wymierzył.

Uśmiechnął się ponownie i w jego oczach pojawił się błysk triumfu.

- Przykro mi tylko, że będziesz miał teraz bardzo mało czasu, żeby zrozumieć swój błąd.

Jednym ruchem bioder był już na nogach i jednocześnie wymierzył mu kopniaka, bardzo szybkie maegeri lewą nogą. Frank zmienił kierunek ciosu, odbijając go przedramieniem. Stracił lekko równowagę. Natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Mosse walczył znakomicie. Wymierzając kopniaka, liczył na taką właśnie reakcję Franka. Żołnierz przewrócił się na ziemię i prawą nogą podciął

przeciwnika. Kiedy upadał na żwir, zdołał przekreślić się na bok w taki sposób, że złagodził uderzenie ramieniem. Frank pomyślał, że kiedyś nie pozwoliłby się tak zaskoczyć. Kiedyś nie...

Mosse w mgnieniu oka był już za nim. Unieruchomił mu nogi, otaczając swoimi, i zablokował go, chwytając prawym ramieniem za szyję. W lewej dłoni, jakby za sprawą czarów, pojawił się wojskowy nóż, który teraz przystawiony był do szyi Franka. Obaj mężczyźni znieruchomieli w napięciu jak posąg, który runął na ziemię. Zdawali się wyrzeźbieni w marmurze. Kapitan miał błyszczące, podniecone walką oczy. Frank zrozumiał, że on to lubi, że walka jest racją jego bytu. Był jednym z tych ludzi, dla których wróg jest cenny jak skarb.

- No, mister Ottobre, i co teraz powiesz? A mówią, że jesteś dobry... Czy instynkt harcerzyka nie podpowiedział ci, żeby nie zadzierać z większymi? Co z twoim węchem, mister Ottobre?

Dłoń trzymająca nóż poruszyła się i Frank poczuł ostrze wbijające się w jedno z jego nozdrzy. Przestraszył się, że Mosse zechce je przeciąć. Przypomniał mu się Jack Nicholson z Chinatown. Zastanawiał się, czy Mosse widział ten film. Całkowita absurdalność tej myśli wywołała uśmiech na jego twarzy, co zirytowało jeszcze bardziej jego przeciwnika. Poczuł, jak ostrze napina chrząstkę lewego nozdrza.

- Wystarczy, Ryan.

Suchy rozkaz padł za ich plecami i napięcie ostrza natychmiast zelżało. Frank rozpoznał głos generała Parkera. Nie odwracając się po ostatnim, niedostrzegalnym uścisku szyi Franka, Mosse opuścił ramię. Ten uścisk miał znaczyć, że pojedynek między nimi nie skończył się, tylko został odłożony.

Żołnierz nie płacze. Żołnierz nie zapomina. Żołnierz się mści.

Kapitan wstał, otrzepując kurz z przewiewnych letnich spodni. Frank pozostał jeszcze chwilę na ziemi, przyglądając się dwóm górującym nad nim mężczyznom, tak bardzo podobnym do siebie fizycznie właśnie dlatego, że w istocie byli tym samym. Frankowi przypomniawszy się jego włoska babcia i jej ciągle powtarzane przysłowie.

Podobni do siebie, biorą się za łby.

Nie chodziło o to, że generał i kapitan poruszają się wspólnie, że mają ten sam cel i prawdopodobnie takie same metody jego osiągnięcia. To, co się tam wydarzyło, nie znaczyło nic, nieważne kto wygrał, a kto przegrał. Bufonada, nic więcej, ekskrementy, którymi Mosse wyznaczał swoje terytorium. Frank obawiał się tego, co dopiero miało się stać.

- Powinien pan używać innej komendy dla swojego dobermana, generale. Mówią, że „platz” działa skuteczniej.

Mosse stężał, ale Parker powstrzymał go gestem ręki.

Drugą rękę wyciągnął do Franka. Nawet na nią nie spojrzawszy, Frank podniósł się sam i też otrzepał ubranie. Stał teraz lekko zdyszany naprzeciw dwóch mężczyzn. Miał przed sobą niebieskie, zimne oczy Parkera i spojrzenie kapitana Mosse'a, które straciło cały blask i znów odbijało otchłań, w jakiej żył jego umysł.

Nad ich głowami przeleciała mewa. Pofrunęła nad morze, w błękitne niebo, wydając z siebie swój charakterystyczny okrzyk.

Parker zwrócił się do Mosse'a.

- Ryan, czy zechcesz pójść do domu i dopilnować, żeby Helena nie zrobiła jakiegoś kolejnego głupstwa? Dziękuję.

Mosse rzucił Frankowi ostatnie spojrzenie. Przez chwilę jego oczy rozbłysły.

Żołnierz nie zapomina.

Światło niemal natychmiast zgasło. Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Frank pomyślał, że szedłby w identyczny sposób, nawet gdyby droga wybrukowana była ludzkimi ciałami. Prawdopodobnie, jeśli Ryan Mosse znalazłby napis: „*Ja zabijam...*”, wykonany krwią, tą samą krwią napisałby pod spodem „*Ja też...*”.

Był człowiekiem bez litości, o tym Frank powinien pamiętać.

- Musi pan wybaczyć kapitanowi Mosse'owi, mister Ottobre.

W głosie generała nie było śladu ironii, ale Frank nie robił sobie złudzeń. Wiedział doskonale, że we właściwym momencie, w innych okolicznościach, wszystko odbyłoby się inaczej. Rozkaz Parkera nie dotarłby do Ryana i ten by się nie zatrzymał.

- On, jakby to powiedzieć... czasami nadmiernie przejmuje się losem naszej rodziny. Czasami trochę przesadza, przyznaję, ale jest to osoba zaufana i szczerze nam wszystkim oddana.

Frank nie miał co do tego wątpliwości. Jego jedyna wątpliwość dotyczyła granicy wybryków kapitana, wyznaczonej przez generała. Według niego, granica ta będzie zataczała coraz szersze kręgi.

- Kobieta, którą pan tu widział, to moja córka Helena. Starsza siostra Arijane. Chłopiec, który z nią był, to Stuart, mój wnuk. Jej syn. Ona...

Głos Parkera złagodniał. Pobrzmiewał w nim smutek.

- Cóż, mówiąc jasno, cierpi ona na poważną formę wyczerpania nerwowego. Bardzo poważną. Śmierć Arijane ją dobiła. Próbowaliśmy to przed nią ukryć, ale się nie udało.

Generał opuścił głowę. Frankowi mimo wszystko z trudem przychodziło widzieć go w roli starego, załamanego ojca. Nie uszło jego uwagi, że chwilę wcześniej określił chłopca przede wszystkim jako swojego wnuka, a dopiero potem jako syna Heleny. Prawdopodobnie poczucie hierarchii i dyscypliny stanowiło część nie tylko jego życia zawodowego, ale i prywatnego. Z odrobiną cynizmu Frank uznał obecność w Monte Carlo córki i wnuka jako piękną przykrywkę dla prawdziwych interesów Parkera.

- Arijane była inna, silniejsza. Była kobietą o stalowym charakterze. Była moją córką. Helena ma charakter po matce, jest krucha. Bardzo krucha. Czasami robi rzeczy, z których nie zdaje sobie sprawy, jak dzisiaj. Kiedyś nam uciekła i nim udało się ją odnaleźć w opłakanym zresztą stanie, błąkała się przez dwa dni po okolicy. Czuję, że tym razem stałoby się podobnie. Jest cały czas pod kontrolą, bo może być niebezpieczna dla siebie i dla innych.

- Przykro mi z powodu pańskiej córki, generale. Z powodu Heleny i przede wszystkim z powodu Arijane, choć w żadnym stopniu nie zmienia to mojej oceny pana i pańskich intencji. Być może na pana miejscu zachowywałbym się tak samo, nie wiem. Jestem włączony do tego śledztwa i uczynię wszystko, żeby schwytać mordercę, na to może pan liczyć. Ale uczynię też wszystko, aby powstrzymać pana od dalszych działań, jakiegokolwiek by były.

Parker nie zareagował gniewnie jak poprzedniego wieczoru. Może odmowa współpracy ze strony Franka została już odłożona do akt z napisem „Taktycznie nieistotne”.

- Przyjmuję to do wiadomości. Jest pan człowiekiem z charakterem, ale nie zdziwi się pan chyba, że ja również takim jestem. Więc radzę panu, żeby pan bardzo uważał i starał się nie wchodzić mi w drogę, mister Ottobre.

Tym razem ironia w wypowiedaniu jego nazwiska pojawiła się na chwilę w głosie Parkera i Frank to zauważył. Uśmiechnął się.

Talis Ryan, talis Parker.

- Wezmę pod uwagę pańską radę, generale, ale mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe, jeśli jednocześnie będę kontynuował moje śledztwo. W każdym razie dziękuję panu, mister Parker...

Ironia za ironię, jak krzyk mewy dobiegający z błękitnego nieba niczym kpina, jak morderca zawieszony między sprawiedliwością a zemstą.

Frank odwrócił się plecami i przeszedł powoli niewiele metrów dzielących go od głównej drogi. Czuł utkwiony w siebie wzrok generała. Po prawej stronie, spoza żywopłotu i zieleni ogrodów, przezierał dach domu Jean-Loup Verdiera. Kiedy przemierzał drogę dzielącą go od samochodu, Frank zastanawiał się, czy fakt, że Parker wynajął dom kilkaset metrów od domu didżeja, był szczęśliwym zbiegiem okoliczności, czy celowym wyborem.

Z balkonu swojego apartamentu w rezydencji Parc Saint--Roman Frank zobaczył, jak samochód, który go odwiózł do domu, skręca w prawo w głębi rue des Giroflées i wjeżdża w bulwar d'Italie. Prawdopodobnie chłopcy zatrzymali się na dole, żeby przed odjazdem otrzymać dyspozycję z centrali, ponieważ on w tym czasie zdążył wjechać na górę, wejść do mieszkania, otworzyć przeszklone drzwi i wyjść na taras. Próbował wyobrazić sobie ich komentarze na temat całej tej historii, a przede wszystkim na swój temat. Zdawał sobie sprawę z ogólnego stosunku do roli, jaką odgrywał w tej affaire, jak mawiano w tych stronach. Poza Nicolasem i Morellim pozostali traktowali go z odrobiną zrozumiałego szowinizmu. Nie chodziło oczywiście o utrudnianie, bo w gruncie rzeczy mieli wspólny cel, ale o szczyptę nieufności na pewno tak. Przyjaźń Hulota oraz posiadane kwalifikacje stanowiły wystarczającą przepustkę, żeby zapewnić mu współpracę, która nie oznaczała jednak automatycznie sympatii.

Dla kumpla z Ameryki drzwi były tylko uchylone.

I dobrze, nie jest tu na występach, tylko żeby złapać mordercę. Była to praca, którą można wykonywać bez konieczności ciągłego poklepywania po plecach.

Spojrzał na zegarek. Była druga trzydzieści po południu. Poczul, że jest głodny. Wrócił do mieszkania i poszedł do kuchni. Poprosił Amélie, sprzątaczkę, którą André Ferrand przekazał mu wraz z mieszkaniem, żeby zrobiła mu podstawowe zakupy.

Z tego, co znalazł w lodówce, przyrzędził sobie kanapkę. Otworzył butelkę heinekena i wrócił na taras. Usiadł na jednym z szezlongów, które właściciel mieszkania ustawił na tarasie. Postawił posiłek na szklanym blacie rattanowego stolika. Zdjął koszulę i wystawił klatkę piersiową do słońca. Zignorował tym razem pokrywające ją blizny. Teraz sytuacja się zmieniła. Miał co innego na głowie. Podniósł oczy na bezchmurne niebo. Mewy fruwały wysoko, obserwując ludzi i polując na ryby.

Były to jedyne białe punkty na tym, wręcz nieprzyzwoitym błękitnie. Dzień był przepiękny. Odkąd zaczęła się ta sprawa, zdawało się, że czas nie zamierzał przejmować się ludzką niedolą i kontynuował swój bieg w stronę lata. Nawet na krótką chwilę żadna mgiełka nie zasłoniła słońca. Jakby ktoś gdzieś postanowił pozostawić ludzkim istotom, i tylko im, kierowanie światłem i ciemnością, czyniąc ich jedynymi panami własnych zaćmień słońca.

Przebiegł wzrokiem wzdłuż wybrzeża.

Monte Carlo jawiło się w słońcu jako mały i elegancki ul, zamieszkały przez zbyt wiele pszczelich królowych. Wiele osób zachowywało się w ten sposób, choć nimi nie było. Pozory, tylko pozory. Ludzie, którzy z tyłu umieszczone mieli pale podtrzymujące elegancką kruchość, jak niektóre sztuczne budowle z filmowych scenografii. Za drzwiami tylko daleka linia horyzontu. I ten człowiek w długim, ciemnym płaszczu, który z drwiącym ukłonem otwierał kolejno te wszystkie drzwi i dłonią w czarnej rękawiczce wskazywał kryjącą się za nimi pustkę.

Skończył kanapkę i pociągnął prosto z butelki długi łyk piwa, który zostawił sobie na koniec.

Znów spojrzał na zegarek. Trzecia po południu. Zapewne o tej porze, jeśli nie krąży gdzieś po mieście w jakichś ważnych sprawach, zastanie Coopera w jego biurze, w tym wielkim, kamiennym budynku, który był siedzibą FBI przy Dziewiątej Ulicy w Waszyngtonie. Wziął słuchawkę telefonu bezprzewodowego i wybrał numer.

Odebrał po trzecim sygnale, jak zawsze zasadniczym tonem.

- Cooper Danton.

- Cześć, Coop, tu znowu Frank.

- Cześć, mój stary. Czy opalasz się w słońcu Lazurowego Wybrzeża?

- Zapominam o słońcu Lazurowego Wybrzeża. Nasz przyjaciel zmusza nas do nocnego życia, Cooper. Jestem biały jak mąka.

- Aha. Coś nowego w twoim śledztwie?

- Kompletna ciemność. Te kilka lampek, które mieliśmy, gasną jedna po drugiej. I jakby było mało tego łajdaka, pojawił się jeszcze ten generał Parker ze swoim fagasem i wszystko komplikuje. Wiem, że cię zamęczam, ale czy udało ci się dowiedzieć już czegoś na ich temat?

- Cóż, sporo rzeczy, jeśli nie przerażają cię grube sprawy. Właśnie wysyłałem ci e-mail z załącznikiem na adres, który mi podałeś. Uprzedziłeś mnie o kilka sekund.

- Wyślij mi go tak czy siak, ale tymczasem powiedz mi coś na gorąco.

- Okej. Powiem ci w skrócie. Generał Parker Nathan James, urodzony w Montpelier w stanie Vermont w 1937 roku. Rodzina nienależąca do najbogatszych, ale dobrze sytuowana. Mając siedemnaście lat, opuścił dom i sfałszował dokumenty, żeby dostać się do armii. Pierwszy na swoim roku w akademii wojskowej. Inteligentny oficer, robiący błyskawiczną karierę. W 1961 roku zaangażowany w działania na Kubie. Odznaczony w Wietnamie. Błyskotliwe operacje w Nikaragui i w Panamie. Gdziekolwiek trzeba było pokazać muskuły, używać siły, a przy tym mózgu, on tam był. Bardzo szybko znalazł się w Sztapie Generalnym armii. Ukryty mózg strategiczny operacji Pustynna Burza i wojny w Kosowie. Zmieniło się dwóch prezydentów, a on wciąż pozostaje na swoim miejscu. Co oznacza, że kiedy mówi, nie puszcza się tego mimo uszu. Również teraz, w sprawie afgańskiej, jego zdanie na pewno się liczy. Ma pieniądze, poparcie, władzę i wiarygodność. Może złać się w łóżko i powiedzieć, że się spocił. To twardziel. Wielki twardziel, Frank.

Cooper zrobił przerwę, żeby nabrać powietrza i dać Frankowi czas na przyswojenie danych.

- A co mi powiesz o tym drugim?

- O kim, o kapitanie Rynie Mossie?

Frank jakby poczuł na nowo ostrze noża Mosse'a wbijające się w jego nozdrze. Podrapał się po nosie, żeby zatrzeć tak sugestywne, że aż swędzące wspomnienie.

- Dokładnie. Udało ci się czegoś dowiedzieć?

- No pewnie. Kapitan Mosse Ryan Wilber, urodzony 2 marca 1963 roku w Austin, w stanie Teksas. Na jego temat wiadomo o wiele mniej. I jednocześnie więcej.

- Co to znaczy?

- Od pewnego czasu Mosse stał się cieniem Parkera. Gdzie jest jeden, tam i drugi. Mosse oddałby życie za generała.

- Czy jest jakiś szczególny powód, czy chodzi tylko o fascynację Parkerem?

- Wierność Mosse'a związana jest z wydarzeniami, za które Parker został odznaczony w Wietnamie. Między innymi przekroczył linie Wietkongu, niosąc na plecach rannego żołnierza i tym samym ratując mu życie.

- Teraz powiesz mi, jak się nazywał.

- Właśnie. Tym żołnierzem był Willy Mosse, ojciec Ryana.

- Doskonale.

- Od tamtej pory ci dwaj zaprzyjaźnili się. Albo raczej Mosse ojciec stał się kimś w rodzaju poddanego Nathana Parkera. A on, ze swojej strony, zajął się synem

sierżanta, pomógł mu dostać się do akademii wojskowej, rekomendował go, w kilku sytuacjach osłaniał.

- To znaczy?

- Mówiąc w skrócie, Frank, ten Mosse to rodzaj psychopaty z wyraźną skłonnością do nieuzasadnionej przemocy i do pakowania się w tarapaty. W akademii stłukł niemal na śmierć kolegę z roku, a następnie zasztyletował jednego z żołnierzy z powodu jakichś spraw z kobietami podczas bankietu na cześć armii w Arizonie. W czasie wojny w Zatoce, pewnemu sierżantowi wytoczono proces, bo groził Mosse'owi M-16, żeby go powstrzymać, kiedy ten dostał jednego ze swoich ataków szału wobec grupy bezbronnych jeńców.

- Ma niezłego fiołka we łbie...

- Cały bukiet fiołków, chciałeś powiedzieć. A kwiatki były unurzane w gównie. I za każdym razem afery tuszowano. Spróbuj zgadnąć za czyją sprawą?

- Generała Nathana Parkera, jak przypuszczam.

- Bingo. Właśnie dlatego mówię ci, żebyś uważał, Frank. Ci dwaj razem to szatan i jego widły. Mosse to siła zbrojna Parkera. I nie sądzę, by miał nadmierne opory, żeby z niej skorzystać.

- Ja też nie, Coop. Dziękuję za wszystko. Czekam na e-mail. Cześć.

- Jest już w twoim komputerze. Cześć, mój przyjacielu, uważaj na siebie.

Frank odłożył telefon i stał pośrodku pokoju z głową lekko przechyloną na bok. Informacje Coopera dodały tylko nazwiska, daty i fakty do tego, co myślał o dwóch mężczyznach. Źli ludzie, których trzeba mieć na oku nawet w świetle słońca. Straszni, jeśli znajdują się za plecami, w cieniu.

Zadzwoił domofon przy wejściu. Wyłączył radio i podszedł do drzwi.

- Tak?

Głos portiera był lekko zakłopotany. Mówił po angielsku.

- Mister Ottobre, ktoś do pana wchodzi. Nie udało mi się uprzedzić pana wcześniej, ale... pan rozumie, że...

- Nic nie szkodzi, Pascal. Wszystko w porządku, proszę być spokojny.

Zastanawiał się, kim mogła być wchodząca osoba, która wprowadziła portiera w takie zakłopotanie. W tym samym momencie ktoś zapukał. Ciekawe, dlaczego nie użył dzwonka?

Przesunął się w bok i otworzył drzwi.

Staął przed nim mężczyzna w średnim wieku, jego wzrostu, bezdyskusyjnie Amerykanin. Przypominał nieco Roberta Redforda, ale miał nieco ciemniejsze włosy. Był lekko opalony i elegancki bez ostentacji. Miał na sobie granatowy garnitur i rozpiętą koszulę, bez krawata. Na przegubie roleksa ze skórzanym paskiem. Nie miało to nic wspólnego z ciężkimi blokami złota, które panoszyły się w Monako. Mężczyzna obdarzył go naturalnym i życzliwym uśmiechem. To znaczy uśmiechem osoby, a nie postaci. Żadnych *public relations* za wszelką cenę. Frank poczuł do niego instynktowną sympatię.

- Frank Ottobre?

- Tak.

Mężczyzna wyciągnął prawą rękę.

- Miło mi pana poznać. Nazywam się Dwight Durham i jestem konsulem Stanów Zjednoczonych w Marsylii.

Frank stał przez chwilę zaskoczony, po czym uścisnął podaną mu rękę. No cóż, to rzeczywiście była niespodziewana wizyta. Prawdopodobnie twarz Franka wyrażała jego myśli, ponieważ w oczach dyplomaty pojawiło się rozbawienie.

- Jeśli uważa pan, że to nie wypada, zaraz sobie pójdę. Jeśli natomiast może pan przejść do porządku dziennego nad tą moją funkcją i zaprosi mnie do środka, z przyjemnością z panem porozmawiam.

Frank otrząsnął się. Tak, mężczyzna ten zdecydowanie budził jego sympatię. Wskazał na swoją obnażoną klatkę piersiową. O dziwo, nie wstydził się pokazywać swoich blizn obcemu. W każdym razie Durham nie dał po sobie poznać, że je widzi.

- Proszę wybaczyć, trochę mnie pan zaskoczył, ale już w porządku. Jak pan widzi, z powodów patriotycznych przyjmuję zawsze dyplomatów z mojego kraju ubrany jak John Rambo. Proszę do środka, panie Durham.

Konsul postąpił krok naprzód. Odwrócił się do stojącego za nim w korytarzu wysokiego, postawnego mężczyzny z pistoletem pod marynarką i skrótem wypisanym na twarzy. Mogło to być FBI, CIA, DEA czy co tam jeszcze, ale na pewno nie chodziło o Armię Zbawienia.

- Czy może pan tu na mnie zaczekać, Malcolm?

- Nie ma problemu, proszę pana.

- Dziękuję.

Durham zamknął drzwi. Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się pośrodku salonu, rozglądając się dokoła.

- Ładnie tu. Wspaniały widok.

- To prawda. Zapewne wie pan, że jestem gościem w tym domu, i wyobrażam sobie, że zna pan powody mojej obecności.

Tym oświadczeniem Frank chciał uniknąć niepotrzebnej straty czasu. Na pewno Durham miał już wszystkie informacje dotyczące sprawy. Frank widział rękę sekretarki, która kładła na biurku teczkę z jego nazwiskiem.

Frank Ottobre, człowiek kwadratowy, człowiek okrągły.

Jego życiorys przeszedł już przez tyle rąk, że Frank przestał zwracać na to uwagę. Chciał tylko uświadomić Durhamowi, że nie ma powodów do ceregieli i niepotrzebnych akrobacji słownych.

Konsul zrozumiał i zdawał się doceniać jego intencje. Trudno było, żeby Frank w tym momencie swego życia budził sympatię. Durham miał odwagę jej nie udawać, wiedząc, że wystarczy okazać mu uznanie i szacunek.

- Proszę się rozgościć, mister Durham.

- Dwight, proszę mi mówić Dwight.

- Niech więc będzie Dwight. A ty mów mi Frank. Masz ochotę na coś do picia? Ale za daleko się nie posuwaj, moja spiżarnia nie jest w tej chwili najlepiej zaopatrzona - powiedział, wychodząc na taras po koszulę, którą tam zostawił.

- Znajdzie się butelka perrier?

Żadnego alkoholu. Dobrze. Kiedy mijał go, idąc do kuchni, Durham usiadł na kanapie. Frank zauważył, że ma skarpetki w identycznym kolorze co spodnie. Mężczyzna ton-sur-ton. Staranny, ale bez przesady.

- Myślę, że tak. Zastawa Wild West? Durham uśmiechnął się.

- Naturalnie, zastawa Wild West będzie znakomita.

Wrócił z butelką wody i szklanką i podał mu bez dodatkowych ceregieli. Kiedy Dwight wlewał musującą wodę, Frank usiadł na drugiej kanapie, ustawionej prostopadle do tej, na której siedział jego gość.

- Zastanawiasz się zapewne, co tu robię, prawda, Frank?

- Nie, to ty się nad tym zastanawiasz. Myślę, że przyszedłeś specjalnie, żeby mi o tym powiedzieć.

Durham popatrzył na bąbelki w swojej szklance z wodą, jakby to był szampan.

- Mamy problem, Frank.

- Mamy?

- Tak, mamy. Ty i ja. Ja jestem orzeł, a ty reszka albo odwrotnie. Ale jesteśmy w tej chwili tą samą monetą. I znajdujemy się w tej samej kieszeni.

Pociągnął łyk wody. Postawił szklankę na stojącym przed nim stoliku.

- Przede wszystkim chciałbym uściślić, że moja wizyta jest oficjalna tylko na tyle, na ile ty ją za taką uznasz. Ja uważam ją za absolutnie nieoficjalną, po prostu cywilizowana pogawędka. Wyznam ci, że przychodząc tu, spodziewałem się innej osoby. Może nie Rambo, ale Elliot Ness był brany pod uwagę. Cieszę się, że byłem w błędzie.

Znów podniósł szklankę, jakby czuł się pewniej, trzymając ją w ręku.

- Czy chcesz, żebym ci zilustrował sytuację, Frank?

- Nie byłoby źle. Taka ogólna powtórka może się przydać.

- Cóż, mogę ci powiedzieć, że zabójstwo Allena Yoshidy przyspieszyło tylko coś, co śmierć Ariijane Parker już uruchomiła. Wiesz o obecności generała Parkera w Księstwie, prawda?

Frank pokiwał głową. Dwight kontynuował, odczuwając ulgę, ale jednocześnie niepokój, że Frank jest ze wszystkim na bieżąco.

- Dobrze się stało, że przypadkowym zbiegiem okoliczności znalazłeś się właśnie tu. Wybawiło mnie to z kłopotu domagania się obecności naszego przedstawiciela w śledztwie, bo jest już na miejscu. Stany Zjednoczone mają w tej chwili problem ze swoim wizerunkiem. Jako kraj, który postanowił podjąć przywództwo współczesnej cywilizacji, jako jedyna prawdziwa światowa superpotęga, 11 września oberwaliśmy niezłe cięgi, zostaliśmy trafieni tam, gdzie byliśmy najsilniejsi, gdzie czuliśmy się nietykalni, to znaczy w naszym własnym domu...

Patrzył przez okno, w którym częściowo odbijała się jego postać, bo pierwsze cienie wieczoru zamieniały szybę w lustro.

- I w takiej sytuacji pojawia się jeszcze ten pasztet... dwoje Amerykanów zamordowanych w bestialski sposób właśnie tutaj, w Księstwie Monako, w jednym z najbezpieczniejszych państw świata. Zabawne, prawda? Czy historia się nie powtarza? Z jedną tylko komplikacją, że tutaj pojawił się zrozpaczony ojciec, który postanowił działać na własną rękę, generał armii Stanów Zjednoczonych, który z osobistych pobudek zamierza uciec się do takich samych metod terrorystycznych, jakie my po drugiej stronie zwalczamy. Rozumiesz, że istnieją wszelkie dane dla stworzenia kolejnej wielkiej afery na skalę międzynarodową...

Frank popatrzył obojętnie na Durhama.

- A zatem?

- A zatem musisz złapać tego mordercę, Frank. Ty musisz go złapać. Przed Parkerem, przed tutejszą policją, jeśli ci się uda. Wbrew tutejszej policji, jeśli to będzie konieczne. W Waszyngtonie chcą, żeby dochodzenie to stało się sukcesem Ameryki. Chcesz czy nie, żeby nie wymieniać już nazwisk, musisz pójść dalej niż Elliot Ness, na powrót zdjąć koszulę i znów stać się Rambo.

Frank pomyślał, że w innych warunkach on i Durham mogliby zostać prawdziwymi przyjaciółmi.

Krótki, spędzony wspólnie czas utwierdził go tylko w instynktownej sympatii, jaką poczuł od pierwszej chwili do tego człowieka.

- Wiesz, że to zrobię, Dwight. Zrobię to, ale dla żadnego z powodów, o których przed chwilą wspomniałeś. Jesteśmy orłem i reszką, być może to prawda, ale tylko przypadkiem jesteśmy na tej samej monecie i w tej samej kieszeni. Złapię tego mordercę, a wy będziecie mogli nadać temu faktowi takie znaczenie, jakie zechcecie. Proszę tylko o jedno.

- O co takiego?

- Nie róbcie tak, by wasze pobudki koniecznie stały się moimi.

Dwight Durham, konsul Stanów Zjednoczonych, milczał. Może nie zrozumiał, a może zrozumiał znakomicie, ale mu to odpowiadało. Podniósł się z kanapy, poprawiając dłońmi zmarszczone spodnie. Rozmowa dobiegła końca.

- Dobrze, Frank. Myślę, że powiedzieliśmy sobie wszystko.

Frank również wstał. Uściśnęli sobie dłonie. Na zewnątrz słońce było coraz niżej. Niebo powoli stawało się coraz bardziej granatowe. Za kilka godzin zapadnie zmrok, noc wypełniona głosami i czającymi się w cieniu mordercami. I każdy będzie szukał po omacku, w ciemności, swojej kryjówki.

- Nie musisz mnie odprowadzać, znam drogę. Cześć, Frank, powodzenia.

Durham ruszył w stronę wyjścia i otworzył drzwi. Kiedy je zamykał, w przejściu mignęła stojąca w korytarzu postać Malcolma.

Frank został sam. Pomyślał, że ma prawo do jeszcze jednej butelki piwa. Poszedł po nią do kuchni i wrócił na kanapę, na której jeszcze przed chwilą siedział jego gość.

Jesteśmy tą samą monetą... Orzeł i reszka, Dwight?

Odrężył się i próbował zapomnieć o Durhamie i ich spotkaniu. Dyplomacja, wojny i prawne przeszkody. Pociągnął łyk piwa. Spróbował zrobić coś, czego już

dawno nie robił. Nazywał to „otwarcie”. Kiedy śledztwo znajdowało się w martwym punkcie, siadał sam i próbował uwolnić umysł, pozwolić, żeby każda jego myśl mogła swobodnie łączyć się z innymi, jak takie abstrakcyjne puzzle, które można złożyć w sposób niemal automatyczny. Bez wyznaczonego celu, pozwalając prowadzić się meandrami podświadomości. Rodzaj pomocniczej myśli w obrazkach, która czasami dawała znakomite rezultaty. Zamknął oczy.

Arijane Parker i Jochen Welder.

Łódź zaklinowana przy molo, maszty lekko pochylone w prawo.

Oni oboje leżący na łóżku, głowy odarte ze skóry, zęby odsłonięte w uśmiechu bez złości.

Głos w radiu.

Napis czerwony jak krew.

Ja zabijam...

Jean-Loup Verdier. Jego przerażone oczy.

Twarz Harriet. Nie, nie tutaj, nie teraz!

Znowu głos w radiu.

Muzyka. Okładka płyty Santany.

Allen Yoshida.

Jego głowa oparta o szybę w samochodzie.

Jasne siedzenie, znów czerwony napis.

Ręka, nóż, krew.

Kadry z filmu.

Człowiek w czerni i Allen Yoshida.

Zdjęcie pokoju, bez nich.

Film. Zdjęcie. Film. Zdjęcie. Fi...

Nagle Frank niemal mimowolnie poderwał się na równe nogi i stał teraz przed kanapą. Był to szczegół tak drobny, że jego umysł go zarejestrował, ale odsunął na bok jako drugorzędny. Musiał natychmiast jechać do centrali i sprawdzić, czy to, co zapamiętał, jest prawdą. Być może chodziło o zwykłe złudzenie, ale nie mógł nie uchwycić się tego cienia nadziei. W owej chwili chciałby mieć tysiąc kciuków, żeby je wszystkie jednocześnie zacisnąć.

Kiedy Frank dotarł do wejścia centrali policji przy rue Notari, było późne popołudnie. Trasę od Parc Saint-Roman pokonał pieszo, przemykając pomiędzy zapelniającymi ulice o zachodzie słońca przechodniami, niemal ich nie widząc. Był podekscytowany. Zawsze, kiedy polował na jakiegoś przestępcę, odczuwał ów gorączkowy niepokój, jakby słyszał wewnętrzny głos, który go ponaglał i zmuszał do biegu. Teraz, kiedy śledztwo utknęło w martwym punkcie i wszystkie ich pomysły do niczego nie prowadziły, zaświeciło się małe światełko. Było coś, co połyskiwało pod powierzchnią wody, i Frank nie mógł się doczekać, żeby zanurkować i sprawdzić czy to rzeczywiście światło, czy tylko złudzenie wywołane jego odbiciem.

Przy wejściu funkcjonariusz stojący na posterunku przepuścił go bez żadnych formalności. Frank zastanawiał się, czy kiedy o nim rozmawiali, używali jego nazwiska, czy też nazywali go po prostu „Amerykanin”.

Wszedł po schodach, minął korytarz i stanął przed biurem Nicolasa Hulot. Zastukał kilka razy i nacisnął klamkę. Pokój był pusty.

Stał przez chwilę niezdecydowany, aż wreszcie postanowił wejść do środka. Czuł gorączkową potrzebę natychmiastowego sprawdzenia, czy to, co pomyślał, było zgodne z prawdą. Nie będzie problemu z Nicolasem, jeśli zrobi to pod jego nieobecność.

Na drewnianym biurku leżało dossier z wszystkimi raportami i dokumentami dotyczącymi sprawy. Otworzył teczkę i zaczął szukać koperty ze zdjęciami domu Allena Yoshidy przyniesionymi przez Frobena po dokonaniu wizji lokalnej. Przyjrzał im się uważnie. Usiadł przy biurku, podniósł słuchawkę i wybrał numer komisarza z Nicei.

- Froben?

- Tak, kto mówi?

- Cześć, Claude, tu Frank.

- Cześć, Amerykaninie, co słychać?

- Czekam na następne pytanie.

- Czytałem gazety. Naprawdę jest aż tak źle?

- Właśnie. I pomyśleć, że kiedy jest źle, oddychamy z ulgą, ponieważ nie jest gorzej.

- Gratulacje. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Odpowiedzieć na parę pytań.

- Strzelaj.

- Nie wiesz przypadkiem, czy w domu Yoshidy ktoś coś ruszał, czy ja wiem, coś zostało przez nieuwagę przestawione, zanim przyszliście, żeby zdjąć odciski i zrobić zdjęcia?

- Nie sądzę. Służąca, która odkryła miejsce zbrodni, nawet tam nie weszła. Niewiele brakowało, a zemdlałaby na widok całej tej krwi. Natychmiast zawiadomiła ludzi z ochrony. Jak pewnie pamiętasz, Valmeere, szef straży, jest byłym policjantem i zna procedury. My oczywiście niczego nie dotykaliśmy. Zdjęcia, które wam przekazałem, przedstawiają dom dokładnie w takim stanie, w jakim go zastaliśmy.

- Dobrze, Claude. Wybacz, ale chciałem mieć stuprocentową pewność co do tego faktu.

- Masz jakiś ślad?

- Nie wiem. Mam nadzieję. Muszę sprawdzić pewien szczegół, ale nie chcę ludzić się przed czasem. Jeszcze coś...

Cisza w słuchawce znaczyła, że Froben czeka.

- Pamiętasz może, czy w płytotece Yoshidy były winylowe longplaye?

- Na to pytanie mogę odpowiedzieć z całkowitą pewnością, że nie. Mówię to, bo jeden z moich ludzi, który jest pasjonatem, zauważył, że sprzęt stereo zawiera również gramofon, ale na półkach są tylko płyty kompaktowe. Skomentował to nawet...

- Jesteś wielki, Froben. Spodziewałem się tego po tobie.

- Okej. Jeśli czegoś potrzebujecie, nie krępujcie się.

- Dziękuję, Claude. Jesteś przyjacielem.

Frank odłożył słuchawkę i zamyślił się na chwilę. Teraz należało sprawdzić, czy ten skurwysyn popełnił mały błąd, pierwszy od początku całej tej sprawy. Czy też to on się pomylił, biorąc świetliki za latarnie.

Otworzył szufladę biurka. Leżała w niej kopia kasety VHS, którą znaleźli w bentleyu Yoshidy. Wiedział, że Nicolas trzyma ją tam, razem z taśmami nagrań radiowych. Wyjął kasetę, wstał i podszedł do odtwarzacza wideo. Uruchomił sprzęt, włożył kasetę i przycisnął guzik „play” na pilocie.

Na monitorze pojawiły się kolorowe paski, a po nich rozpoczęła się sekwencja. Gdyby żył nawet sto lat i oglądał te obrazy raz dziennie, nigdy nie udałoby mu się uniknąć dreszczy. Znów zobaczył czarną postać poruszającą się ze sztyletem w dłoni. Poczul ucisk w gardle i żołądku. A także gniew, który nie minie, dopóki nie złapią mordercy.

Dobrze, już dochodzimy...

Czul pokusę, żeby przyspieszyć, ale bał się, żeby szczegół mu nie umknął. Wreszcie projekcja dotarła do punktu, na który czekał. Wydał krótki, wewnętrzny okrzyk radości.

Tak, tak, tak...

Zatrzymał obraz, naciskając przycisk pauzy. Rzecz była tak maleńka, że z trudem mógłby o niej z kimś rozmawiać, z obawy, iż mogłaby się okazać kolejnym rozczarowaniem. Ale teraz miał ją przed oczami i warto było sprawdzić, czy uda się coś z tego wyciągnąć. Oczywiście, był to tak mało znaczący szczegół, że może nie warto było brać go specjalnie pod uwagę, ale jednocześnie był to jedyny trop, jaki mieli w ręku.

Przyjrzał się uważnie scenie zatrzymanej na ekranie telewizora. Morderca stał nad Allenem Yoshidą z podniesionym sztyletem. Jego ofiara patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami, z rękami i nogami unieruchomionymi metalowym drutem, ustami zaklejonymi taśmą, z grymasem bólu i przerażenia na twarzy. Frank pomyślał, że ten człowiek będzie umierał na nowo, za każdym razem, kiedy ktoś będzie oglądał tę kasetę. A biorąc pod uwagę, jakim był człowiekiem, za każdym razem zasłuży na tę śmierć.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł Morelli. Zatrzymał się w progu, jakby go zatkało na jego widok.

Frank zauważył, że nie był zaskoczony, tylko zakłopotany. Poczul się na swój sposób winny konsternacji inspektora.

- Cześć, Claude, wybacz, że się tu zakradłem, ale nie było nikogo, a musiałem coś koniecznie i pilnie sprawdzić...

- Nie ma problemu. Jeśli szukałeś komisarza Hulota, jest na zebraniu w dużej sali, piętro niżej. Są też szefowie.

Frank poczuł lekki swąd spalenizny. Jeśli trwało właśnie zebranie podsumowujące dotychczasowe śledztwo i koordynujące dalsze działania, wydawało mu się dziwne, że nie został zawiadomiony. Zachowywał się zawsze w sposób wyważony, żeby nie stawiać w kłopotliwej sytuacji Nicolasa. Trzymał się krok za nim i przejmował inicjatywę tylko wtedy, gdy mu ją zostawiano. Zależało mu, by nikomu - jego zwierzchnikom, a przede wszystkim podwładnym, co w gruncie rzeczy było dużo ważniejsze - nie wydawało się, że chce zyskać nad komisarzem jakąś przewagę.

Jeśli chodzi o stan ducha Nicolasa, to zupełnie inna sprawa. Uderzyło go jego poranne wyznanie w domu Jean-Loup'a, ale doskonale go rozumiał, zarówno pod względem ludzkim, jak i zawodowym.

Oni dwaj rzeczywiście byli dwiema stronami tego samego medalu. Kto był orłem, a kto reszką, nie miało najmniejszego znaczenia. Między nimi nie było problemów.

Połączył to niemal ukradkowe spotkanie z wizytą, którą dopiero co złożył mu Dwight Durham. Prawdopodobnie władze Księstwa widziały tę sprawę w taki sam sposób, tylko z odwróconej perspektywy. Jego obecność po interwencji dyplomacji amerykańskiej nie należała już do sfery stosunków osobistych, niemal „dżentelmeńskiej umowy”, ale stała się obecnością oficjalną.

Frank wzruszył ramionami. Nie miał ochoty być zamieszany w plątaninę układów dyplomatycznych. Nic go to nie obchodziło. Jedyne, czego pragnął, to złapać mordercę, wepchnąć go do pudła i wyrzucić klucz. Czyja to będzie zasługa, niech postanowi ten, do kogo należy podejmowanie takich decyzji.

Morelli przerwał jego rozważania.

- Idę na dół. Pójdiesz ze mną?

- Myślisz, że powinienem?

- Wiem, że dzwonili do ciebie kilka razy, ale telefon był zajęty.

Było to prawdopodobne. Długo rozmawiał przez telefon z Cooperem, a kiedy przyszedł Durham, wyłączył komórkę, której używał zresztą bardzo mało. Niemal cały czas leżała w szufladzie w jego apartamencie.

Frank wstał od biurka, zebrał zdjęcia, które właśnie przejrzał, i podszedł wyjąć kasetę z odtwarzacza.

- Czy na dole można obejrzeć kasetę?

- Tak, jest tam wszystko, co potrzeba.

Wyszli z gabinetu, przeszli w milczeniu przez korytarz i znaleźli się na schodach. Twarz Franka była kamienną maską. Zeszli na niższe piętro i skręcili w korytarz. Kiedy dotarli do przedostatnich drzwi po prawej stronie, Morelli delikatnie zapukał.

- Proszę - odezwał się głos ze środka.

Inspektor popchnął drzwi i wszedł.

W dużej sali pomalowanej błyszczącą farbą w dwóch odcieniach szarości, przy długim prostokątnym stole siedziało kilka osób. Nicolas Hulot, doktor Cluny, dyrektor Sûreté Publique, Roncaille i jeszcze dwóch ludzi, których Frank nie znał.

Na jego widok na chwilę zapadło ogólne milczenie.

Swąd spalenizny, który Frank poczuł wcześniej, był teraz dużo wyraźniejszy. Była to klasyczna pauza wywołana zaskoczeniem kogoś przyłapanego na gorącym uczynku. Frank pomyślał, że byli u siebie i mieli pełne prawo zwoływać zebranie, kiedy chcieli, z nim czy bez niego. Jednak ich zachowanie potwierdzało tylko jego odczucia. Nicolas rozglądał się dokoła, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy, i miał minę raczej zakłopotaną, jak nieco wcześniej Morelli. Frank domyślał się, że jego zachowanie ma jeszcze inną przyczynę. Pod jego nieobecność musieli go ostro ochrzanić za negatywne wyniki dotychczasowego śledztwa.

Roncaille otrząsnął się pierwszy. Wstał i postąpił kilka kroków w jego stronę.

- Och, Frank, dobry wieczór, proszę siadać. Robiliśmy właśnie podsumowanie sytuacji w oczekiwaniu na pańskie przybycie. Sądzę, że nie zna pan pana Alaina Durand, prokuratora generalnego, który osobiście zajmuje się tym przypadkiem...

Wskazał niskiego typu o rzadkich, jasnych włosach i małych, głęboko osadzonych oczach ze szklami bez oprawek, który siedział u szczytu stołu. Miał na sobie elegancki szary garnitur, który jednak nie nadawał mu takiego tonu, jak sobie wyobrażał. Skinął lekko głową.

- I inspektora Gotteta z Computer Crime Unit...

Tym razem mężczyzna siedzący po lewej stronie Duranda skinął głową. Był to młody, ciemnowłosy, opalony chłopak, który w wolnych chwilach odwiedzał zapewne sale gimnastyczne, w lecie plaże, a w zimie solaria. Bardziej niż na policjanta, wyglądał na yuppie.

Roncaille zwrócił się do osób, które właśnie przedstawił.

- To jest Frank Ottobre, agent specjalny FBI, oddelegowany do policji Księstwa w związku ze śledztwem w sprawie mordercy zwanego „Nikt”.

Frank usiadł po prawej stronie doktora Cluny, niemal naprzeciw Nicolasa. Poszukał jego wzroku, ale bezskutecznie. Wciąż obserwował jakiś punkt pod blatem, jakby coś zgubił.

Roncaille wrócił na swoje miejsce.

- Dobrze, teraz kiedy jesteśmy w komplecie, możemy kontynuować. Frank, właśnie słuchaliśmy relacji doktora Cluny, który przeanalizował nagrania rozmów telefonicznych naszego osobnika.

Tym razem Frank pokiwał głową w milczeniu. Cluny podsunął krzesło bliżej stołu i otworzył teczkę z notatkami. Odchrząknął, jakby zaczynał wykład uniwersytecki.

- Po bardziej dogłębnej analizie w stosunku do tej, której mogłem dokonać w trakcie rozmów, doszedłem z grubsza do takich samych wniosków. Mamy do czynienia z osobnikiem niezmiernie skomplikowanym, z typologią, z jaką nigdy dotąd się nie spotkałem. Są pewne właściwości jego modus operandi, które w pełni kwalifikują go do kategorii seryjnego mordercy. Na przykład terytorialność, która każe mu działać wyłącznie w obrębie Księstwa. Fakt, że preferuje użycie białej broni, co pozwala mu na bezpośredni kontakt z ofiarą. Jeśli chcemy, praktyka zdejmowania skóry z ofiar może być postrzegana jednocześnie jako fetyszystyczny rytuał i *overkilling*³ w ścisłym tego słowa znaczeniu. Poprzez masakrowanie zwłok morderca okazuje swoją całkowitą wyższość nad osobą, którą postanowił zaatakować. Również okres spokoju między morderstwami stanowi część ogólnego obrazu. Tak więc, do pewnego momentu wszystko wydawałoby się normalne...

- Ale?... - powiedział Durand niskim głosem, który absolutnie nie przystawał do jego wyglądu.

Cluny zrobił pauzę dla uzyskania większego efektu. Zdjął okulary i ścisnął palcami nasadę nosa gestem, który Frank już u niego wcześniej widział. Zdawał się posiadać szczególną umiejętność przykuwania uwagi do tego, co mówi. Włożył na powrót okulary i pokiwał głową w kierunku Duranda.

- Właśnie, tutaj zaczynają się „ale”... Osobnik znakomicie włada językiem oraz ma zdolność abstrakcji zdecydowanie powyżej normy. Używa obrazowania czasami wręcz poetyckiego, aczkolwiek pełnego goryczy. Również określenie, jakiego używa w

³ Ang., zabójstwo dokonane z przesadą, ostentacją, na pokaz. 232

stosunku do samego siebie, „ktoś i nikt”, mieści się w tych rozważaniach. Poza błyskotliwą inteligencją, musi to być też człowiek o bardzo wysokiej kulturze. Studia wyższe, prawdopodobnie humanistyczne, być może na poziomie uniwersyteckim, w przeciwieństwie do przeciętnej postaci seryjnego mordercy, który w większości przypadków należy do warstwy średniej lub niższej, ma znikomą kulturę i wykształcenie. Są to przeważnie osoby o dość niskim ilorazie inteligencji. Szczególnie jedna rzecz wprawia mnie w zakłopotanie...

Znowu pauza. Frank patrzył, jak psychopata powtarza swoją pantomimę z okularami i ściskaniem nosa. Durand skorzystał z tego, żeby przetrzeć swoje szkła.

Brawa przy podniesionej kurtynie, Cluny. Znakomicie, jesteście tu wszyscy dla ciebie, ale kontynuuj, proszę. I zdecyduj się prędzej czy później na szkła kontaktowe.

- Fakt, że podczas rozmowy ujawnia się niemal przymus przestępstwa, zbrodni. Jeśli jako podłoże występują jakieś wcześniejsze przeżycia wspólne dla tego rodzaju zaburzeń osobowości, to znaczy opresyjna rodzina, dominujący rodzic albo rodzice, maltretowanie albo poniżanie, to wszystko wydaje się dosyć normalne. Ale jest też zachowanie, które zazwyczaj występuje w przypadku rozdwojenia osobowości, jakby jednocześnie były w nim obecne dwie osoby. I tu wracamy do „ktoś i nikt”, o czym była mowa wcześniej...

Frank pomyślał, że wszystkie te rozważania to pierdoły.

Piękne ćwiczenie stylu i nic więcej. W tym szczególnym przypadku, zarysowanie profilu mordercy mogło być przydatne, ale nie decydujące. To nie był tylko człowiek, który działał, ale też myślał, i to dużo, zanim przystępował do działania. Na dodatek był błyskotliwy. Żeby go złapać, musieli wynieść się ponad trzeźwość jego rozumowania.

Nie powiedział tego z obawy, że zwykła konstatacja może być wzięta za podziw.

Głos zabrał Durand i Frank musiał przyznać, że był dobrze przygotowany. Wiedział, jak prowadzić tego typu zebranie.

- Panowie, jesteście w zamkniętym gronie i nikt nas nie słyszy. To nie są zawody, kto jest lepszy. Proszę was, byście bez skrupowania wyłożyli na stół każdą wątpliwość, nawet taką, która wydaje się najbardziej banalna. Nigdy nie wiadomo, skąd może wyniknąć jakiś pomysł. Jeśli pozwolicie, ja zadam pierwsze pytanie. Co może nam pan powiedzieć o związkach mordercy z muzyką?

Cluny wzruszył ramionami.

- To jest jeszcze jeden dyskusyjny punkt. Znów „nikt i ktoś”. Z jednej strony jest to jego wyraźna pasja, bo jak się zdaje, świetnie się na niej zna i bardzo ją kocha. Muzyka musi być dla tego człowieka podstawowym schronieniem, rodzajem psychicznej kryjówki. Z drugiej strony, używanie tego narzędzia, żeby dostarczyć wskazówki, tropu dotyczącego jego następnej ofiary, wciąga nas w grę niszczenia muzyki, staje się bowiem bronią w pojedynku, na który nas wyzywa. Czuje, że ma nad nami przewagę, jakkolwiek to, co go popycha do działania, opiera się na poczuciu niższości i frustracji. Widzicie? Znowu „ktoś i nikt”...

Hulot podniósł rękę.

- Proszę mówić, komisarzu.

- Fakt, że zdejmuje ze swoich ofiar szczegół anatomiczny... jaki, według pana, poza motywacją psychologiczną, może to mieć cel praktyczny? Może powiem to jaśniej. Co on robi z głowami tych biedaków? Do czego są mu potrzebne?

W pokoju zapadła cisza. Każdy z nich zadawał sobie to pytanie wielokrotnie. Teraz zostało ono wypowiedziane na głos, a owa pauza znaczyła, że nikt nawet w najmniejszym stopniu nie domyśla się odpowiedzi.

- Cóż, w tej sprawie, jak każdy z nas, mogę tylko snuć hipotezy i wszystkie byłyby w tej chwili jednakowo prawomocne...

- Czy mógłby to być ktoś o odrażającej fizjonomii, kto z tego powodu mści się na ofiarach? - zapytał Morelli.

- Oczywiście, to możliwe. Ale proszę pamiętać, że odstręczający wygląd już sam w sobie rzuca się w oczy. Negatywna powierzchowność najbardziej działa na ludzką wyobraźnię, zgodnie z równaniem „brzydki równa się zły”. Gdyby krążył tu w okolicy jakiś syn Frankensteina, na pewno już byśmy o tym wiedzieli. Ktoś taki nie przechodzi niezauważony.

- Jest to jednak trop, którego nie należy z góry odrzucać - wtrącił Durand swoim niskim głosem.

- Oczywiście, że nie. Jak zresztą żadnego innego.

- Dziękuję, doktorze Cluny.

Roncaille zamknął tę część analizy i zwrócił się do inspektora Gotteta, który do owej chwili słuchał w milczeniu.

- Teraz pan, inspektorze.

Z błyszczącymi oczami, pobudzony świętym ogniem skuteczności, Gottet zaczął mówić o sprawach należących do jego kompetencji.

- Oceniliśmy wszystkie możliwe przyczyny nieudanego przechwycenia rozmów „Niespra”.

Gottet spojrział na Franka. Ten znów miał ochotę się uśmiechnąć i z trudem się powstrzymał. Gottet był naprawdę fanatykiem. Określenie „Niespra” było skróconą wersją terminu „Nieznany sprawca”, która używana była zwykle podczas dochodzeń w Ameryce, ale tutaj nie należała do tradycji.

- Weszliśmy właśnie w posiadanie nowego systemu monitorowania połączeń telefonii komórkowej DCS1000. Jeśli połączenie dociera tą drogą, nie ma problemu...

Frank słyszał o tym w Waszyngtonie, kiedy system wszedł w stadium eksperymentu. Nie wiedział, że już działa. Zresztą, z wieloma rzeczami nie był w tej chwili na bieżąco. Gottet podjął swoją relację.

- Jeśli chodzi o telefonię stacjonarną, możemy wejść bezpośrednio do komputera radiowego, tego, który kieruje centralą, i mieć pod kontrolą każde połączenie przychodzące, nieważne, czy sygnał pochodzi z centrali telekomunikacji, czy też tą albo inną drogą pochodzi z sieci...

Zawiesił głos, nie osiągając jednak magnetyzującego efektu doktora Cluny.

- Jak wicie, za pośrednictwem Internetu, dysponując odpowiednimi programami i pewną zręcznością, możliwe jest korzystanie z telefonów, unikając podsłuchu. Chyba, że po drugiej stronie jest ktoś równie albo bardziej sprawny. Dlatego postaraliśmy się o współpracę hakera, który przeszedł na drugą stronę. Teraz jest niezależnym konsultantem do obrony przed hakerami. Dorywczo współpracuje z policją, w zamian za to, że przymknęliśmy oko na niektóre jego dotychczasowe wybryki. Najnowocześniejsza, dostępna na rynku technologia jest wdrożona do tych poszukiwań. Tym razem nie powinien się nam wymknąć...

Wystąpienie Gotteta było wyraźnie krótsze od relacji doktora Cluny również dlatego, że w tej kwestii było dużo mniej do powiedzenia. Tajemnica nieprzechwycenia rozmowy była plamą na śnieżnobiałej koszuli wydziału. Wszyscy podwinęliby rękawy aż po pachy, byle tylko ją sprać.

Durand przebiegł spojrzeniem po twarzach obecnych.

- Czy możemy coś jeszcze powiedzieć?

Hulot zdawał się pokonać wcześniejsze zakłopotanie i znów wykazywał zimną krew.

- Kontynuujemy dochodzenie dotyczące prywatnego życia ofiar, choć wiele się po nim nie spodziewamy. Jednocześnie będziemy cały czas prowadzić nadzór nad

Radiem Monte Carlo. Jeśli osobnik znów zadzwoni i da nam kolejną wskazówkę, jesteśmy gotowi interweniować. Utworzyliśmy specjalny oddział policjantów w cywilu, w którego skład wchodzi kilka kobiet, do kontrolowania terenu. Jednocześnie pozostaje do naszej dyspozycji jednostka interwencyjna strzelców wyborowych oraz noktowizjery. Skontaktowaliśmy się z ekspertami muzycznymi, którzy zobowiązali się nam pomóc w rozszyfrowaniu kolejnej wiadomości, jeśli taka będzie. Kiedy ją rozszyfrujemy, zamierzamy wziąć pod ochronę osobę, którą uznamy za prawdopodobną ofiarę. Mamy nadzieję, że morderca popełni błąd, chociaż do tej pory okazał się, niestety, nieomylny.

Durand popatrzył na nich z końca stołu. Frankowi udało się wreszcie dostrzec, że ma orzechowe oczy. Zwrócił się do wszystkich swoim barytonem.

- Panowie, nie muszę wam przypominać, jak ważne jest, żebyśmy nie popełniali już błędów. To nie jest tylko policyjne śledztwo, sprawa staje się o wiele poważniejsza. Musimy jak najszybciej złapać tego typu, zanim media rozszarpią nas na strzępy.

I ci z Rady Rządowej, jeśli nie osobiście sam księżę, pomyślał Frank.

- Informujcie mnie natychmiast o wszystkim, niezależnie od pory. Panowie, do widzenia, liczę na was.

Durand wstał i wszyscy poszli jego śladem. Prokurator generalny ruszył do drzwi, a zaraz za nim Roncaille, który prawdopodobnie chciał skorzystać z jego obecności, żeby odbyć staż w *public relations*.

Morelli poczekał, aż ci dwaj się oddalą, po czym on również wyszedł, rzuciwszy uprzednio Hulotowi spojrzenie wyrażające pełną solidarność.

Doktor Cluny stał jeszcze przy stole i wkładał swoje notatki do teczki.

- Jeżeli potrzebna wam moja obecność w radiu, możecie na mnie liczyć.

- Byłoby nam to bardzo na rękę, doktorze - powiedział Hulot.

- A więc do zobaczenia później.

Również Cluny opuścił pokój i Frank został sam na sam z Nicolasem.

Komisarz wskazał gestem na stół, przy którym chwilę wcześniej siedzieli.

- Wiesz, że nie mam z tym nic wspólnego, prawda?

- Oczywiście, że wiem. Każdy ma swoje kłopoty.

Frank myślał o Parkerze. Czuł się winny, że nie rozmawiał jeszcze z Nicolasem o generale i Ryanie Mossie.

- Jeśli pójdziesz ze mną do biura, mam tam coś dla ciebie.

- Co takiego?

- Pistolet. Glock 20. Sądzę, że znasz tę broń dosyć dobrze. Pistolet. Frank myślał, że nie będzie mu już nigdy potrzebny.

- Nie sądzą, żeby mi się przydał.

- Ja też bym wolał, żeby tak było, ale w tej sytuacji uważam, że konieczne jest, abyśmy byli przygotowani na każdą okoliczność.

Frank przez chwilę milczał. Przeciągnął dłonią po policzku w miejscu, gdzie zarost tworzył już ciemniejszy cień. Hulot zauważył jego zmieszanie.

- Co jest, Frank?

- Nicolas, być może coś znalazłem...

- To znaczy?

Frank wziął ze stołu kopertę i kasetę, które położył tam, kiedy przyszedł.

- Przyniosłem tu te rzeczy, ale w ostatniej chwili postanowiłem nic nie mówić przy wszystkich, bo jest to szczególnie tak błahy, że trzeba go najpierw sprawdzić, zanim umieścimy go po stronie aktywów. Powiedziałem ci, że coś mi umyka, przypominasz sobie? Coś, co powinienem pamiętać, a czego nie mogłem zlokalizować. W końcu skojarzyłem sobie, o co chodzi. O niezgodność między filmem a zdjęciami z domu Allena Yoshidy, tymi, które dostarczył nam Froben.

- To znaczy?

Frank wyjął z koperty jedno ze zdjęć i podał Hulotowi.

- Popatrz na szafkę. Tę, na której stoi stereo, za fotelem. Co na niej jest?

- Nic.

- Właśnie. A teraz popatrz tutaj...

Frank wziął kasetę VHS i podszedł do telewizora marki Philips Combi, z wbudowanym odtwarzaczem wideo, stojącego na parapecie naprzeciwko stołu. Wsunął kasetę i zatrzymał na tym samym kadrze co poprzednio. Wskazał ręką punkt na ekranie za dwiema postaciami na pierwszym planie.

- Widzisz, tu, na tej samej szafce, oparta jest okładka płyty. To winylowy longplay. W domu Yoshidy nie było takich płyt, potwierdził mi to sam Froben. Nie było ani jednej. Na zdjęciach nie ma śladu tej okładki. To znaczy, że morderca nie oparł się swojej muzycznej manii i zabrał ze sobą z domu ścieżkę dźwiękową do swojej nowej zbrodni. Obraz jest trochę prześwietlony ze względu na jakość wykonanej w pośpiechu kopii, ale jestem przekonany, że pracując na oryginale, z użyciem odpowiedniego sprzętu, uda się zobaczyć, o jaką płytę chodzi. Fakt, że nie porzucił jej

na miejscu zbrodni, świadczy o tym, iż płyta ta ma szczególne znaczenie. Dla niego albo w sensie ogólnym. Nie zapominajmy, że ten potwór obdarzony jest raczej dosadnym, a przy tym mrocznym poczuciem humoru. Myślę, że z trudem powstrzymałby się od kolejnej drwiny, gdyby tylko było to możliwe. Powtarzam, może to nawet nie być krok naprzód, ale jest to pierwsza rzecz, którą wiemy o mordercy bez jego woli. Choć mały, jest to pierwszy błąd, jaki popełnia...

Nastąpiło długie milczenie. W końcu przerwał je Frank.

- Czy jest sposób, żeby zbadać VHS bez specjalnego rozgłosu? - zapytał Hulota.

- Tutaj, w Księstwie, na pewno nie. Pozwól mi pomyśleć... Jest Guillaume Mercier, syn naszych przyjaciół. Ma małą firmę produkcyjną. Realizuje wideoklipy i temu podobne rzeczy. Dopiero zaczyna, ale wiem, że jest bardzo dobry. Mogę spróbować z nim.

- Można mu zaufać?

- To świetny chłopak. Był najlepszym przyjacielem Stéphane'a. Jeśli go poproszę, będzie trzymał buzię na kłódkę. Nie piśnie słowa.

- Dobrze, Myślę, że warto sprawdzić nagranie, ale trzeba to zrobić bardzo dyskretnie.

- Ja też tak myślę. Zresztą, jak sam mówisz, to jedyna rzecz, jaką mamy...

Popatrzyli na siebie i było to wieloznaczne spojrzenie. Oni naprawdę byli dwiema stronami tej samej monety i tkwili w tej samej kieszeni. Życie nie obeszło się łagodnie z żadnym z nich. Każdy na swój sposób miał odwagę wrócić do gry. Do tej pory czuli się całkowicie we władaniu wydarzeń, które jeszcze raz wywracały ich życie do góry nogami. Teraz, dzięki szczegółowi odkrytemu niemal przypadkiem, w tym samym pokoju, niczym unoszony wiatrem latawiec, krążyła mała, kolorowa nadzieja.

Laurent Bedon wyłączył golarką elektryczną i spojrział w lustro. Mimo że spał do późna, godziny snu nie zatarły śladów po ekscesach ubiegłej nocy. Wrócił o świcie, zalany w trupa, i zwałił się na łóżko, właściwie już śpiąc. Teraz, mimo długiego prysznicu i ogolenia, miał wory pod oczami i bladą cerę kogoś, kto od dłuższego czasu nie wychodzi na słońce. Neonowe światło w łazience swoim bezlitosnym blaskiem tylko podkreślało jego niezdrowy wygląd.

Chryste, wyglądam jak trup.

Wziął flakon płynu po goleniu i obficie zwilżył twarz. Przesadził z ilością i palący, alkoholowy płyn podrażnił mu wargi. Uczesał szorstkie włosy i rozpylił dezodorant pod pachami. Poczul się gotowy, żeby stawić czoło kolejnej nocy.

W sypialni ubrania rozrzucone były w nieładzie, który nazywał technicznym. Kiedyś przychodziła sprzątaczką, przywracająca mieszkaniu prowizoryczny porządek, który on natychmiast burzył. Teraz finanse nie pozwalały mu na utrzymanie pomocy domowej. I tak dobrze, że nie wyrzucili go jeszcze z domu, biorąc pod uwagę, że cztery miesiące zalegał z czynszem.

Ostatnio szło mu naprawdę źle. Również poprzedniego wieczoru, w kasynie w Mentonie, zostawił niezłą sumkę, która zresztą nie należała do niego. Poprosił o nową zaliczkę, Bikjalo długo zrzędził, aż w końcu postanowił rozwiązać sakiewkę i podpisał niechętnie czek. Podsuwając mu go, nie omieszkał podkreślić, że może go uważać za ostatni.

Dzięki tej sumie mógłby załatać niektóre krytyczne fragmenty swojej oplakanej sytuacji materialnej. Przede wszystkim czynsz, banalny czynsz, opłata za dwa cuchnące pokoiki w tej nicejskiej kamienicy, gdzie nie było karaluchów, bo brzydziły się tego miejsca. Coś niewiarygodnego. Właściciel domu, który dostarczał mu pocztę jak w amerykańskich filmach klasy B. Albo w komediach z Flipem i Flapem.

Crédit Agricole odebrał mu samochód, bo po trzeciej, nie zapłacił już żadnej raty leasingu. Niech oni też spierdalają. I niech spierdala monsieur Plombier, ten skurwysyński dyrektor, który potraktował go jak żebraka, kiedy poszedł zaprotestować. A na dodatek zażądał od niego zwrotu karty kredytowej i książeczki czekowej.

Ale nie były to jego największe troski. Dobrze by było! Wisiał jeszcze kupę euro temu łajdakowi Maurice'owi. Był to dług z czasu, kiedy pieniądze nazywały się jeszcze frankami. Załatał go jakimś improwizowanym przelewem, ale cierpliwość tego gównojada nie będzie trwała wiecznie. Każdy wiedział, jak kończy ten, kto nie honoruje długów tego lichwiarza. Krążyły na ten temat dosyć nieprzyjemne pogłoski. Były to tylko plotki, ale w tym konkretnym przypadku Laurent miał podejrzenie, że można je uznać za głos samego Boga.

Usiadł na łóżku i przeciągnął rękami po włosach. Rozejrzał się dookoła. To, co widział, wprawiało go w obrzydzenie. Jeszcze nie mógł uwierzyć, że mieszka w tej mysiej dziurze.

Maurice w zamian za część długu zabrał jego przepiękne mieszkanie w dzielnicy Acropolis, ale procenty od pozostałej części rosły w takim tempie, że wkrótce, z braku czegoś lepszego, weźmie też sobie jego jaja, dla czystej przyjemności, żeby usłyszeć, jak śpiewa sopranem.

Ubrał się na chybcika, biorąc spodnie i koszulę nie z tych czystych, ale z tych mniej brudnych. Spod łóżka wyciągnął skarpetki z poprzedniego dnia. Nie miał zielonego pojęcia, jak się tam znalazły. Nie pamiętał nawet, że poprzedniej nocy rozebrał się. Lustro na drzwiach szafy w sypialni odbijało teraz jego postać w ubraniu, które nie prezentowało się wiele lepiej niż chwilę wcześniej w łazience.

Czterdzieści lat. I był w takim stanie. Jeśli się nie spręży, wkrótce skończy jako kloszard. Nie będzie miał nawet na żyłki do golenia. O ile wcześniej nie wkroczy do akcji Maurice i definitywnie nie rozwiąże problemu...

A przecież poprzedniego wieczoru czuł, że szczęście mu sprzyja. Pierrot podał mu liczby, a jego liczby były zazwyczaj szczęśliwe. Już kilka razy wychodził z kasyna z uśmiechem od ucha do ucha dzięki Rain Boyowi. Za każdym razem wygrana jakoś niezauważalnie i błyskawicznie topniała, jak wszystkie pieniądze zarobione bez wysiłku.

Wymienił czek Bikjalo u znajomego typa, który kręcił się w okolicach kasyna, w oczekiwaniu na takich jak on, ludzi z gorączkowym blaskiem w oczach, przywykłych

do śledzenia podskakującej kulki na kole ruletki. Musiał mu odkroić niezły kawałek prowizji, jak mawiał ten łajdak, ale dzięki temu mógł wejść do głównej sali pełen najlepszych intencji, nie wiedząc, że przyczynia się do wybrukowania kolejnego metra kwadratowego drogi piekielnej.

Katastrofa. Nawet jednego zwycięskiego trafienia, szóstki, nic.

Krupier z profesjonalną miną zgarniał mechanicznie jedna po drugiej wszystkie stawiane przez niego kupki żetonów. Obrót ruletki, rzut kulką i już zręczne ręce tego drania spychały kolorowe żetony w stronę tych z poprzedniego trafienia.

Krupierzy tak naprawdę nienawidzą przegrywających. A on miał wypisane na twarzy, że jest przegrywającym. Nie można się było po nim spodziewać nawet napiwku, który zazwyczaj towarzyszy wygranej.

Więcej by skorzystał, gdyby spalił te pieniądze w kominku. Tyle że teraz nie miał nawet kominka. Przy tym, który kiedyś miał, wygrzewał się w tej chwili Maurice, czy kto tam inny, do diabła z nim.

Wstał z łóżka i poszedł włączyć komputer, który umieścił w sypialni w sposób dosyć prowizoryczny na czymś w rodzaju biurka. Bardzo szybki PC, który sam złożył, z procesorem Pentium IV, 1600MHz, z gigabajtem RAM-u i dwoma twardymi dyskami, każdy po 30 gigabajtów. Przynajmniej to mu zostało. Bez komputera czułby się zgubiony. Były tam jego notatki, scenariusze audycji, rzeczy, które pisał, kiedy ogarniała go melancholia. To znaczy, w owym okresie, praktycznie cały czas. Surfowanie po sieci było wirtualną ucieczką od rzeczywistego więzienia, w którym żył.

Kiedy komputer był już włączony, zobaczył, że ma w skrzynce wiadomość. Otworzył ją. Zawierała bardzo lakoniczny komunikat od nieznanego nadawcy, napisany piękną czcionką Book.

Potrzebujesz pieniędzy? Przyjechał wujek z Ameryki...

Zastanawiał się, co za kretyn pozwalał sobie na taki żart. Na pewno któryś z przyjaciół, znający jego sytuację.

Tak, ale kto? Jean-Loup? Bikjalo? Ktoś z radia?

Poza tym, co miało znaczyć „wujek z Ameryki”? Przez chwilę pomyślał o Amerykaninie, agencie FBI, tym typie, który prowadził śledztwo w sprawie zabójstw. Miał spojrzenie, które przyprawiało o dreszcz bardziej jeszcze niż głos dzwoniącego do radia mordercy. Być może był to sposób, żeby wyrzucić na nim presję. Nie wyglądał mu on jednak na człowieka, który uciekał się do takich chwytów. Należał raczej do

tych, którzy przypierają cię do muru i trzymają, dopóki nie wyplujesz nawet skarpetek.

Przypomniał sobie całą tę historię. Głos w radiu był prawdziwą manną z nieba dla Jean-Loup'a. Stawał się bardziej popularny od Beatlesów. On źle to znosił, ale na koniec, kiedy już złapią mordercę, wyjdzie z tego triumfalnie. Chłopak będzie wznosił się ku górze, gdy tymczasem on zostanie na ziemi, z zadartą głową, patrząc, jak ten wlatuje. Czuł się jak kawał łajna. I pomyśleć, że to on sprowadził go do radia, kiedy poznali się przypadkiem przed Cafe de Paris na placu Casinó, kilka lat wcześniej. Był świadkiem epizodu, dzięki któremu ten złamas załapał się na swój piękny dom w Beausoleil.

Dowiedzieli się parę lat później, że uratowanie staruszce jej ujadającego psa było w rzeczywistości losem wygranym na loterii.

Takie już jego przeznaczenie. Przyglądać się szczęściu innych. Patrzeć, jak na kogoś pada promień światła, który gdyby tylko o metr zmienił swój bieg, mógłby trafić na niego. Po uratowaniu psa nawiązał rozmowę z tym ciemnowłosym i zielonookim chłopakiem, który rozglądał się dokoła trochę zakłopotany faktem, że znalazł się nagle w centrum uwagi. Laurenta zaskoczył sposób, w jaki Jean-Loup oddziaływał na otoczenie, był w nim spokój, ale jednocześnie współuczestnictwo. Wywoływał wrażenie, które trudno było nazwać, ale które było na tyle silne, żeby nie pozostawiać rozmówcy obojętnym. Szczególnie kogoś takiego jak on.

Bikjalo, który nie był głupcem, zrozumiał to natychmiast, kiedy Laurent przedstawił mu Jean-Loup a jako kandydata do prowadzenia „Voices”, audycji, o której myślał już od dawna. Zobaczył, jak w oczach tego starego cwaniaka pojawia się błysk zainteresowania. Jean-Loup miał niewątpliwą wyższość nad innymi kandydatami, ponieważ nie pracował dla żadnej innej stacji i jako ktoś nowy w radiowym świecie był tani. Absolutny debiutant. Można było upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Nowy, odnoszący sukces program i nowa postać za darmo albo prawie. Po dwóch tygodniach próbnych nagrań, w czasie, których Jean-Loup dzień po dniu potwierdzał przypuszczenia dotyczące jego osoby i talentu, „Voices” weszły wreszcie na antenę. Audycja wystartowała dobrze i jej popularność wciąż rosła. Chłopak podobał się ludziom. Podobał się jego sposób mówienia, jego fantazyjny, obrazowy przekaz, pełen śmiałych metafor, które trafiały do wszystkich.

Również do morderców, pomyślał gorzko Laurent.

Program, niemal bez niczyjej woli, zamienił się z przypadkowego epizodu spotkania dwóch chłopców zagubionych na morzu, w audycję o charakterze społecznym, jakim był teraz. Chłuba i oczko w głowie radia i całego Księstwa. A także miód dla tych bzyzcących much, jakimi byli sponsorzy.

Didziej zaś stał się gwiazdą programu, który on wymyślił, a w którym miał coraz mniej do gadania i z każdym dniem był coraz bardziej od niego odsuwany.

- Pierdolić wszystkich. To się zmieni, musi się zmienić - wymamrotał sam do siebie.

Włączył drukowanie swoich notatek dotyczących wieczornej audycji i hp 990Cxi zaczęła wyrzucać na blat kolejne kartki.

Jeszcze zmieniają zdanie na jego temat. Wszyscy, szczególnie Barbara.

Pomyślał o jej miedzianych włosach rozrzuconych na poduszce. O zapachu jej skóry. Miał z nią kiedyś romans. Bardzo poważny romans, w który zaangażował się zarówno fizycznie, jak i mentalnie, zanim wszystko się rozpadło. Ona nawet próbowała być przy nim, ale była to rozpaczliwa próba życia z kimś uzależnionym. Po pewnym okresie powrotów i rozstań ostatecznie się od niego odwróciła, kiedy zrozumiała, że nigdy nie uda jej się wygrać z czterema innymi kobietami w jego życiu, którymi były karty w kolorze pik, karo, kier i trefl.

Wstał z wykrzywionego krzesła i włożył wydrukowane właśnie kartki do teczki. Zdjął marynarkę z fotela, który służył za wieszak, i ruszył w stronę drzwi.

Wyszedł na korytarz, przedstawiający sobą obraz nędzy i rozpacz, dokładnie tak jak wnętrze jego mieszkania. Z westchnieniem zatrzasnął za sobą drzwi. Winda nie działała. Kolejna perełka w pracy administracji.

Zszedł po schodach w żółtawej smudze słabego oświetlenia, muskając ręką bezową tapetę klatki schodowej, która tak jak on znała lepsze czasy.

Dotarł do przedsionka i poszedł otworzyć przeszklone drzwi wejściowe o zardzewiałych, metalowych framugach, z farbą łuszczącą się na wyschniętym kicie. Bardzo różniły się od bram eleganckich kamienic w Monte Carlo czy pięknej willi Jean-Loupa. Na zewnątrz dzielnica zanurzona była w wieczornym półmroku, w owej ciemnogrnatowej poświacie, którą pozostawiać mogły tylko letnie zachody słońca, jako wspomnienie jego blasku. Nawet temu przygnębiającemu miejscu nadawało to jakiś ludzki wymiar. Dzielnica Ariane to nie była Promenade des Anglais ani Acropolis. Nie docierał tu zapach morza, a jeśli już, to przytłumiony był przenikliwym odorem wydobywającym się z pojemników na śmieci.

Musiał minąć przynajmniej trzy przecznice, żeby złapać autobus jadący do Księżstwa. Tym lepiej. Spacer dobrze mu zrobi na zdrowie i rozjaśni umysł, na złość panu Plombier i jego głównianemu bankowi.

Vadim wyłonił się z cienia zza rogu budynku. Był tak szybki, że Laurent go nie zauważył. Zanim zrozumiał, co się dzieje, poczuł, jakby unosił się nad ziemią, i po chwili był już przyparty do muru, a czyjaś ręka ścisnęła go za gardło. W nozdrzach poczuł oddech mężczyzny, zionącego czosnkiem i zgagą.

- No, Laurent, jak to jest, że kiedy jesteś w tarapatach nie pamiętasz o przyjaciółkach?

- Ale co ty gadasz, przecież wiesz, że ja...

Pchnięcie ręki ścisnącej mu gardło przerwało jego protesty i odebrało mu oddech.

- Nie wciskaj kitu, kutasie. Wczoraj w Mentonie przeputałeś niezłą kasę i nie pomyślałeś, że pieniądze, które stawiasz, należą do Maurice'a.

Vadim Rohmer był potępieńcem, wykonawcą wyroków Maurice'a, egzekutorem jego długów. Gruby i sflaczały Maurice na pewno nie byłby w stanie złapać kogoś i wykręcić mu ręki za plecy tak, żeby z bólu popłynęły mu łzy. Albo przyprzeć go do muru, aby poczuł, jak szorstki tynk trze po skórze głowy tak silnie, że potem długo nie można się pozbyć migreny.

On nie, ale Vadim tak, cholerny łajdak.

I ten typ, który poprzedniego wieczoru wymienił mu czek w barze przed kasynem, ta też łajdak. To na pewno on puścił farbę, niech go piekło pochłonie. Laurent miał nadzieję, że Vadim potraktował go równie nieuprzejmie jak teraz jego.

- Ja...

- Co ja, co ja, cholerny żebraku? Jest coś, czego nie zrozumiałeś. Jak szybko wyczerpuje się cierpliwość Maurice'a i w konsekwencji moja. Myślę, że trzeba odświeżyć ci trochę pamięć.

Cios w żołądek znów odciął mu oddech. Poczuł mdłości, które podeszły mu pod gardło i wypełniły suche usta kwaśnym posmakiem. Ugiął się na nogach. Vadim przytrzymał go bez wysiłku, chwytając za kołnierzyk koszuli.

Zobaczył, że teraz unosi się prawa pięść tego łobuza. Zrozumiał, że celem jest jego twarz, a cios będzie tak potężny, że mur za jego plecami odrzuci go w drugą stronę. Zamknął oczy i zeszywniał w oczekiwaniu na uderzenie.

Ale ono nie nastąpiło.

Otworzył oczy, czując, że uścisk na szyi rozluźnia się.

Wysoki i potężny mężczyzna, o krótko ostrzyżonych kasztanowych włosach zaszedł Vadima od tyłu, chwycił go palcami za włosy na wysokości barków i ciągnął gwałtownie w górę.

Z powodu zaskoczenia i bólu Vadim puścił szyję Laurenta.

- Co za chu...

Mężczyzna puścił włosy Vadima, który zrobił krok do tyłu, żeby spróbować sił z nowo przybyłym. Zmierzył go od stóp do głów. Koszula pięknie opinała ciało, a twarz nie zdradzała najmniejszej oznaki strachu. Wygląd tego typu był dużo mniej uspokajający niż bezbronna i słabowita postać Laurenta. Szczególnie oczy, które patrzyły teraz na niego, zupełnie pozbawione wyrazu, jak gdyby nie zatrzymał się tam w złowrogich zamiarach, tylko żeby po prostu o coś zapytać.

- Świetnie, widzę, że nadeszły posiłki - powiedział Vadim głosem nie tak pewnym, jak by chciał.

Cios, którym wcześniej miał ugodzić Laurenta, teraz był wymierzony w stojącego przed nim mężczyznę. Reakcja nastąpiła błyskawicznie. Zamiast się cofnąć, przeciwnik uniknął uderzenia prostym odsunięciem głowy, postąpił mały krok naprzód i wbił się ramieniem pod ramię Vadima. Objąwszy je rękami, napał na nie całym ciężarem ciała.

Laurent usłyszał wyraźnie dźwięk łamanej kości, trzask tak suchy, że dostał gęsiej skórki. Vadim wrzasnął i zgiął się wprzód, trzymając się za ranne ramię. Mężczyzna cofnął się i okręcił zwinnie wokół siebie, wykonując coś w rodzaju piruetu. Jego stopa trafiła w twarz przeciwnika, z którego ust chlusnęła krew. Vadim runął na ziemię bez żadnego jęku. Leżał nieruchomo.

Laurent zastanawiał się, czy żyje. Nie, jego nieznajomy wybawca zdawał się zbyt zręczny, żeby zabić przypadkowo. Był na pewno typem, który jeśli kogoś zabijał, robił to, ponieważ tak postanowił.

Dostał ataku kaszlu. Pochylił się, trzymając się za żołądek, a z ust ciekła mu strużka śliny pomieszanej z żółcią.

Mężczyzna, który przyszedł mu z pomocą, podniósł go, podtrzymując za łokieć.

- Jak się zdaje, przybyłem w samą porę, prawda, panie Bedon? - powiedział okropną francuszczyzną z silnym obcym akcentem.

Laurent popatrzył na niego zdziwiony, nie rozumiejąc. Był pewien, że nigdy wcześniej go nie widział. A jednak człowiek ten ocalił go przed chwilą przed kopniakami Vadima i znał jego nazwisko. Kim on był, do diabła?

- Mówi pan po angielsku?

Laurent pokiwał głową. Mężczyzna okazał lekką ulgę i zaczął mówić po angielsku, z akcentem wskazującym na jego amerykańskie pochodzenie.

- A, to dobrze. Jak się pan pewnie zorientował, nie znam za bardzo pańskiego języka. Zapewne zastanawia się pan, kim jestem i dlaczego pomogłem panu rozwiązać tę...

Wskazał rozciągnięte na ziemi ciało Vadima.

- Tę... powiedziałbym... kłopotliwą sytuację, jeśli to panu odpowiada.

Laurent znów przytaknął w milczeniu.

- Panie Bedon, nie czyta pan swoich e-maili, czy też nie ufa pan wujowi z Ameryki...

Zdziwienie Laurenta było tak wyraźne na jego twarzy, jak czarna skóra na twarzy Afrykańczyka. Wyjaśniła się sprawa tajemniczej wiadomości, która znalazła się w jego skrzynce. Wyjaśnił się zapewne też inne sprawy. Ten człowiek nie powalił przecież Vadima na ziemię i nie ocalił jego tyłka, żeby potem odejść, zostawiając na murze Z jak Zorro.

- Nazywam się Ryan Mosse i jestem Amerykaninem. Mam dla pana propozycję. Bardzo, ale to bardzo korzystną pod względem materialnym.

Laurent patrzył na niego przez chwilę bez słowa. Spodobał mu się sposób, w jaki podkreślił owo „pod względem materialnym”. Żołądek natychmiast przestał go boleć. Podniósł się, oddychając głęboko przez nos. Czuł, że jego twarz odzyskuje powoli kolory.

Mężczyzna tymczasem rozglądał się dokoła. Nawet jeśli czuł obrzydzenie wywołane nędzą dzielnicy, w której mieszkał Laurent, nie dał tego po sobie poznać. Przyjrzał się uważnie kamienicy.

- Dom jest, jaki jest, ale nie sądzę, że przyszedł pan go kupić.

- Nie, ale jeśli się dogadamy, może potem pan będzie mógł go kupić, pod warunkiem że jest pan zainteresowany.

Laurent poprawiał na sobie ubranie, a jednocześnie jego myśli galopowały trzysta kilometrów na godzinę.

Reasumując: nie miał zielonego pojęcia, kim jest i czego od niego chce ten... jak powiedział, że się nazywa? A tak, Ryan Mosse. Nie wiedział tego, ale za chwilę on mu to powie. I poda również sumę. Jak się zdaje, bardzo pokaźną.

Laurent popatrzył jeszcze na Vadima leżącego nieruchomo na ziemi. Ta świnia miała pęknięty nos i wargę, a wokół jego ust tworzyła się na chodniku mała kałuża krwi. W tym momencie jego życia kimkolwiek był ten, który obronił go przed kimś takim jak Vadim, a do tego mówił o pieniądzach, dużych pieniądzach, legitymował się znakomitą wizytówką.

Szósty karnawał

W swojej oddalonej od świata kryjówce mężczyzna słucha muzyki.

W powietrzu unoszą się nuty menueta z V symfonii Franciszka Schuberta. Zamknięty w swoim metalowym pudle, mężczyzna słucha w natchnieniu smyczków i wyobraża sobie falowanie ramion muzyków, skupienie dyrygentów podczas interpretowania symfonii. Teraz jego fantazja przeskakuje nad nimi, jakby wraz z ruchem kamery filmowej, która przemieszcza się w przestrzeni i czasie. Nagle nie jest już w swojej kryjówce, ale w wielkim salonie z pomalowanymi ścianami i sklepieniami, oświetlonym z góry setkami świec zawieszonych w ogromnych świecznikach. Kieruje wzrok w prawo, widzi przed sobą wyraźny obraz, tak rzeczywisty, że wydaje się prawdziwy. Jego dłoń ściska dłoń kobiety, która porusza się obok niego, z nim, w rytmie tańca złożonego z eleganckich kroków, pauz i ukłonów, tak wielokrotnie ćwiczonych, że stają się płynne jak wino oddychające w kieliszku. Kobieta nie jest w stanie oprzeć się przenikliwości jego wzroku, który obiecuje stworzenie świata i jego zniszczenie. Od czasu do czasu zwraca swoje oczy okolone długimi rzęsami w stronę widzów, niemal jakby szukała potwierdzenia dla swojego niedowierzania, że to ona została wybrana. W spojrzeniach wszystkich, którzy patrzą na ich taniec, kryje się podziw i zazdrość.

On wie, że ta noc będzie należała do niego.

W niepewnym świetle komnaty, w tańczącym blasku świecy, pośród koronek i ogromnego łoża z baldachimem zobaczy ją, jak wynurza się z warstw jedwabiu, które okrywają ją niczym listki pączek róży. Takie jest prawo króla.

Ale to wszystko teraz się nie liczy. Teraz tańczą i są przepiękni. A będą jeszcze piękniejsi, kiedy...

Jesteś tam, Vibo?

Głos dociera do niego, uprzejmy jak zwykle, niespokojny, jak tylko ten głos być potrafi. Jego marzenie, obraz, który powstał przed zamkniętymi oczami, znika, rozpada się jak w kinie, kiedy zrywa się taśma.

Jest to powrót, obecność drugiego człowieka, obowiązek, odpowiedzialność. Pozwolił sobie tylko na chwilę przerwy, która ulotniła się jak warstewka wiosennego śniegu. Nie ma miejsca na marzenia, nigdy nie było i nigdy nie będzie. Kiedyś mogli marzyć, kiedy mieszkali w dużym domu pośród wzgórz, kiedy udawało im się uchronić przed obsesją tamtego człowieka, który chciał, żeby byli już mężczyznami, podczas gdy oni pragnęli być tylko chłopcami. Kiedy chcieli biegać, a nie maszerować. Ale również tam był głos, który potrafił spowodować, że każdy czar, jaki udało się stworzyć w wyobraźni, pryskał.

- Tak, jestem tu, Paso.

Co robisz? Nie słyszałem cię.

- Rozmyślałem sobie tylko...

Mężczyzna pozwala, żeby muzyka dalej grała, żeby była ostatnimi akordami jego biednych miraży. Nigdy nie będzie tańca z przepiękną kobietą, dla niego, dla nich. Wstaje i idzie do drugiego pokoju, gdzie nieżywe ciało leży w swojej szklanej trumnie.

Włącza światło. Jego odbicie pojawia się w rogu przezroczystej skrzyni. Znika, kiedy zmienia się perspektywa. Potem pojawia się następne, ale cały czas to i tak jedno i to samo. Biedne, małe miráže. Dobrze już wie, co znajdzie. Kolejne, pęknięte złudzenie, kolejne roztrzaskane magiczne lustro u swych stóp.

Zbliża się do nagiego ciała leżącego w środku, przebiega wzrokiem po wyschniętych kończynach o barwie wysuszonego pergaminu i posuwa się dalej powoli ku górze, aż do głowy osłoniętej tym, co jeszcze niedawno było twarzą innego człowieka.

Ścisną mu się serce.

Nic nie jest na zawsze. Na masce pojawiały się już pierwsze oznaki zniszczenia. Włosy są sztywne i matowe. Skóra jest cała w plamach i zaczyna się marszczyć. Wkrótce, mimo jego starań, będzie taka sama jak twarz, którą okrywa. Patrzy na to ciało z nieskończoną tkliwością, delikatnymi oczami przepelnionymi uczuciem, którego nic nie może wymazać.

Pochmurnieje i ze złością zaciska szczęki na znak buntu.

To nieprawda, że przeznaczenie jest nieuchronne. Nieprawda, że można być tylko obserwatorami upływającego czasu i następujących po sobie wydarzeń. On może, a raczej musi zmienić tę odwieczną niesprawiedliwość, może zapobiec pomyłkom, które los rozdaje pełnymi garściami w tej plątaniu węży, jakim jest życie ludzi. Przypadkowo, nie patrząc, nie dbając o to, czy to, co się zdarza, łamie czyjeś życie albo spycha je na zawsze w ciemność.

Ciemność oznacza mrok. Mrok oznacza noc. A noc oznacza, że polowanie musi trwać.

Mężczyzna uśmiecha się. Biedne, głupie psy. Ujadające i szczerzące kły, żeby ukryć strach. Z oczami ślepyimi na światło, nastawionymi na szperanie w ciemności, w mroku pośród nocy, żeby odkryć, skąd nadejdzie zdobycz, która tymczasem przeistoczyła się w myśliwego.

On jest kimś i nikim. Jest królem.

Król nie zadaje pytań, ma tylko odpowiedzi. Król nie jest niczego ciekaw, jest wszystkiego pewny.

Ciekawość pozostawia innym, tym wszystkim, którzy się nad tym zastanawiają, którzy w jakiś sposób mają ją w oczach, w nerwowych gestach, w zmęczeniu, w niecierpliwości życia, które czasem jest tak gęste, że można nim oddychać. I choć życie ma złożony zapach, jest przecież tak łatwy do rozpoznania.

Zapach życia czuć latem w wypełnionych ludźmi tramwajach. Jest w wyziewach kuchennych i odorze kociego moczu, który w ciemnych zaułkach podchodzi pod gardło. Jest w ostrej woni rdzy i soli, które korodują metal, w zapachu środków dezynfekujących i w duszącym swądzie prochu strzelniczego.

I właśnie tam, w owym przeczuciu rozkładu, pojawiają się dwa odwieczne pytania, „kiedy?” i „gdzie?”.

Kiedy nastąpi to ostatnie tchnienie, wydane ze zwierzęcym pomrukiem, z usiłującymi je powstrzymać mocno zaciśniętymi zębami, bo po nim nie będzie następnego, już nigdy. Kiedy, o której godzinie dnia albo nocy, wyznaczonej na stojącym już zegarze, odmierzona zostanie ta ostatnia sekunda i żadna inna, a reszta czasu pozostawiona będzie trwającemu dalej światu, kolejnym obrotom wskazówek. Gdzie, w jakim łóżku, windzie, fotelu, na jakim siedzeniu samochodu, na jakiej plaży, w jakim hotelowym pokoju serce przeszyje ten ostatni, ostry ból, niekończące się, ciekawe, daremne oczekiwanie na kolejne uderzenie po przerwie, która staje się coraz dłuższa, wieczna. Czasami wszystko odbywa się tak szybko, że to ostatnie drgnienie

przynosi w końcu spokój, ale nie odpowiedź, ponieważ w tym oślepiającym rozbłysku nie ma czasu, by ją zrozumieć, a czasami nawet usłyszeć.

Mężczyzna wie, co ma robić. Już to robił i znów zrobi, dopóki będzie to konieczne.

Tam, na zewnątrz, jest tyle masek, noszonych przez ludzi, którzy nie zasługują ani na taki, ani na żaden inny wygląd.

Co jest Vibo? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy coś jest nie tak?

Mężczyzna uśmiecha się uspokajająco, jego oczy błyszczą, a głos brzmi opiekuńczo.

- Nie, Paso, absolutnie nic. Patrzę, jaki jesteś piękny. A wkrótce będziesz jeszcze piękniejszy.

Och nie, naprawdę? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że...

Mężczyzna przyobleka swoje zamiary w czułą tajemniczość.

- Stop. Nie można o tym mówić. To największy sekret, pamiętasz?

Ach, największy sekret? A więc można o tym mówić tylko przy pełni księżyca...

Mężczyzna uśmiecha się na wspomnienie ich dziecięcych zabaw. W tych nielicznych chwilach, kiedy nie było tamtego człowieka, który brukał ich fantazję jedyną zabawą, jaką pozwalał im się zajmować.

- Właśnie, Paso. A pełnia księżyca będzie niedługo. Bardzo niedługo...

Mężczyzna odwraca się i idzie w stronę drzwi. W drugim pokoju muzyka milknie. Teraz panuje cisza, która wydaje się naturalną kontynuacją owej muzyki.

Dokąd idziesz, Vibo?

- Wkrótce wrócę, Paso.

Odwraca się i spogląda z uśmiechem na ciało leżące w kryształowej trumnie.

Wszyscy zgromadzili się w siedzibie Radia Monte Carlo, jak co wieczór, w oczekiwaniu na rozwój wypadków. Panowało takie podniecenie, że liczba osób, które o tej porze kręciły się po budynku, potroiła się.

Teraz dołączył do nich jeszcze inspektor Gottet z dwoma współpracownikami, którzy zainstalowali stanowisko komputerowe ze sprzętem dużo mocniejszym i bardziej wyszukany niż to, jakim dysponowało radio, i podłączyli go sieci. Przy komputerach usadowił się młody, około dwudziestopięcioletni chłopak, o bystrym wyglądzie, z krótko obciętymi włosami, kasztanowymi z blond pasemkami i z kolczykiem w nosie. Zaczął manipulować całą serią dyskietek i CD-romów, poruszając palcami po klawiaturze tak szybko, że stojący za jego plecami Frank z trudem nadążał za jego ruchami.

Chłopak nazywał się Alain Toulouse, ale wśród hakerów znany był jako „Pico”. Kiedy przedstawiono mu Franka, uśmiechnął się chytrze, a w jego oczach pojawiły się złośliwe iskierki.

- FBI, co? - zagadnął. - Wszedłem raz. No, więcej niż raz. Na początku było łatwo, teraz oni też się bardzo wycwanili. Może coś wiesz, oni też wzięli na konsultantów hakerów?

Frank nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, a zresztą odpowiedź i tak już nie interesowała chłopaka. Odwrócił się i poszedł zająć swoje stanowisko.

Teraz klikał jak błyskawica, wyjaśniając przy tym, co robi.

- Przede wszystkim ustawię ścianą zaporową chroniącą system. Jeśli ktoś będzie próbował wejść, zorientuję się. Zazwyczaj próbuje się uniemożliwić dostęp zewnętrznym atakom i basta. W tym przypadku jest inaczej, chodzi o to, żeby odkryć atak, ale bez wiedzy napastnika. Wprowadziłem swój własny program, który pozwoli

nam przechwycić sygnał i prześledzić wstecz drogę, jaką przyszedł. Mógłby to być również „Koń trojański”...

- Co to znaczy „Koń trojański”? - zapytał Frank.

- Określa się w ten sposób zamaskowane połączenie, które dociera pod przykrywką innego, jak niektóre wirusy. Dlatego wprowadzam też ochronę od tamtej strony, bo nie chciałbym, żeby sygnał, który przechwytujemy i kiedy go przechwytujemy...

Zrobił pauzę, żeby rozwinąć cukierek i włożyć do ust. Frank zauważył, że Pico nie miał najmniejszej wątpliwości, że przechwyci sygnał. Chłopak musiał bardzo ufać swoim możliwościom. Zresztą, taka postawa była częścią filozofii piratów telematycznych. Zarozumiałość i ironia, które kazały dokonywać im czynów niezupełnie kryminalnych, ale po prostu nastawionych na to, żeby udowodnić swoim ofiarom zdolność obejścia każdego zabezpieczenia, niezależnie od tego, jaki mur zostanie wzniesiony, by trzymali się z daleka. W ich mniemaniu byli kimś w rodzaju współczesnych Robin Hoodów, z myszką i klawiaturą w miejsce łuku i strzał.

Pico podjął swoją relację, żując impulsywnie ciągnącego cukierka, który przyklejał mu się do zębów i podniebienia.

- Mówiłem, że nie chciałbym, żeby wprowadzili wirus, który uwalnia się w momencie przechwytywania sygnału. Gdyby tak się stało, stracilibyśmy sygnał, a także możliwość śledzenia go, razem z naszym komputerem oczywiście. Dobry wirus może dosłownie rozpuścić twardy dysk. Jeśli ten typ jest zdolny wykonać coś takiego, to znaczy, że jest cholernie dobry, i wirus, który może wystrzelić, nie będzie bukiecikiem kwiatków...

Bikjało, który do tej pory siedział bez słowa przy biurku ustawionym tyłem do komputera, wtrącił się i zadał pytanie:

- Czy myślisz, że jacyś twoi koledzy mogliby w czasie akcji robić sobie żarty?

Frank rzucił mu pogardliwe spojrzenie, którego dyrektor nie zauważył. Pico odkręcił się na krześle, żeby spojrzeć mu w twarz, nie wierząc, że można być aż takim ignorantem w dziedzinie świata telematycznego.

- Jesteśmy hakerami, nie przestępcami. Nikt nie zrobiłby czegoś podobnego. Jestem tutaj, bo ten, kto prowadzi taniec, nie ogranicza się do wchodzenia tam, gdzie nie powinien, i pozostawiania jako podpisu bużki z wyciągniętym językiem. On zabija, to jest morderca. Żaden haker, godny tej nazwy, nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego.

Frank położył mu rękę na ramieniu w geście zaufania, który wyrażał również przeprosiny za słowa Bikjalo.

- W porządku, kontynuuj. Wydaje mi się, że w tej dziedzinie nie ma nikogo, kto mógłby cię czegoś nauczyć.

Teraz zwrócił się do Bikjalo, który tymczasem wstał i stanął obok nich.

- Nie mamy już tu nic do roboty. Chodźmy zobaczyć, czy przyszedł Jean-Loup.

Najchętniej poprosiłby tego człowieka, żeby się stamtąd wyniósł i pozwolił im pracować, bez nieustannej obecności jego oddechu na ich karkach. Tych oddechów czuli już wystarczająco wiele, nie było potrzeby dodawać jeszcze jeden. Nie mógł go jednak o to poprosić z uwagi na zdrowe wymogi dyplomacji. Atmosfera współpracy w radiu była doskonała i pod żadnym pozorem nie chciał tego popsuć. I tak było za dużo różnego rodzaju napięć.

- Oczywiście.

Dyrektor rzucił ostatnie zmieszane spojrzenie na komputery i na Pica, który nie zwracał uwagi na obecnych i znowu przebiegał palcami po klawiaturze, podekscytowany tym nowym wyzwaniem. Opuścili stanowisko komputerowe i podeszli do biurka Raquel w tym samym momencie, kiedy w drzwiach pojawili się Jean-Loup i Laurent.

Frank przyjrzał się didżejowi. Jean-Loup zdawał się raczej pokrzepiony w stosunku do poranka, ale cień w jego oczach pozostał. Frank znał te cienie. Potrzeba będzie wiele światła i wiele słońca, kiedy ta sprawa już się skończy, żeby znikły.

- Cześć, chłopcy. Jesteście gotowi? Za obydwo odpowiedział Laurent.

- Tak, scenariusz jest gotowy. Najtrudniej jest myśleć, że audycja musi się toczyć, że oprócz tych telefonów są także telefony normalne. A tutaj jak leci?

Drzwi wejściowe znów się otworzyły i postać Hulota zatrzymała się na moment we framudze, jakby w kadrze prześwietlonej fotografii. Frank pomyślał, że od jego przyjazdu do Monte Carlo Nicolas zdawał się starszy o dziesięć lat.

- A, już jesteście. Dobry wieczór wszystkim. Frank, czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Jean-Loup, Laurent i Bikjalo odsunęli się trochę, żeby pozostawić Frankowi i komisarzowi swobodę rozmowy.

- Co jest?

Przeszli obaj bliżej przeciwległej ściany i stanęli obok dwóch szklanych gablot osłaniających tablice rozdzielcze połączeń telefonicznych i satelitarnych oraz urządzeń do komunikacji ISDN na wypadek awarii przekaźnika.

- Wszystko w porządku. Jednostka interwencyjna jest w pogotowiu. Dwunastu ludzi dyżuruje w komendzie policji. W jednej sekundzie mogą być wszędzie. Ulice pełne są funkcjonariuszy w cywilu. Wszyscy o niewinnym wyglądzie. Ludzie z psami na spacerze, pary z wózkami i temu podobni. Całe miasto jest pod kontrolą. W razie konieczności wszyscy błyskawicznie mogą się przemieścić z jednego miejsca w drugie. To w przypadku, jeśli ofiara jest tutaj, w Monte Carlo. Jeśli natomiast pan Nikt postanowił poszukać jej gdzie indziej, wszystkie siły policji na wybrzeżu są w pełnym pogotowiu. Teraz możemy tylko spróbować być szybsi od naszego przyjaciela. Reszta jest w rękach Boga.

Frank wskazał dwie osoby, które właśnie wchodziły w towarzystwie Morellego.

- I w rękach Pierrota, którego Bóg tak źle potraktował.

Pierrot i jego matka podeszli do nich bliżej i zatrzymali się. Kobieta ścisnęła rękę syna, jakby to było koło ratunkowe. Wydawało się, że bardziej niż dawać poczucie bezpieczeństwa, ona go szuka w niewinnej postaci syna, który przeżywał tę historię jako chwilę osobistego udziału w czymś, z czego normalnie był wyłączony.

Był on, tylko on, Pierrot, bystry chłopak. Tylko on „wiedział” muzykę, która była w „pokoju”. Podobało mu się to, co wydarzyło się poprzednim razem, kiedy ci wszyscy dorośli obserwowali go w napięciu, czekając, żeby powiedział, czy płyta jest, czy jej nie ma, i żeby potem po nią poszedł. Lubił być każdego wieczoru w radiu z Jean-Loup'em, obserwować go za szybą, czekać na człowieka rozmawiającego z diabłami, zamiast siedzieć w domu i słuchać w samotności głosu wydobywającego się z odbiornika.

Podobała mu się ta zabawa, chociaż rozumiał, że nie była to całkiem zabawa.

Czasami śnił o tym w nocy. Po raz pierwszy dziękował, że w ich małym mieszkaniu nie ma własnego pokoju, tylko śpi w dużym łóżku z matką. Budzili się obydwójce przestraszeni i nie mogli na powrót zasnąć, dopóki przez rolety nie zaczynało przeświecać różowe światło brzasku.

Pierrot puścił rękę matki i pobiegł do Jean-Loup'a, swojego idola, swojego najlepszego przyjaciela. Didżej potargał go po włosach.

- Czołem, przystojniaku, jak leci?

- Dobrze, Jean-Loup. Wiesz, że jutro przejadę się może wozem policyjnym?

- Super. Więc ty też jesteś teraz policjantem.

- Oczywiście, policjantem „honorowanym”...

Słyszając ten nowy, mimowolny kalambur Pierrota, Jean-Loup uśmiechnął się i przyciągnął go instynktownie do siebie. Przycisnął jego twarz do swojej piersi i jeszcze bardziej poczochnął mu włosy.

- Oto „honorowany” policjant walczący wręcz ze swoim zagorzałym wrogiem, strasznym „Doktorem Łaskotką”...

Zaczął łaskotać Pierrota, który zaśmiewał się do rozpuku. Oddalili się w kierunku reżyserki, a za nimi Laurent i Bikjalo.

Frank, Hulot i matka obserwowali tę scenę w milczeniu. Kobieta uśmiechała się z zachwytem, widząc przyjaźń łączącą Jean-Loup'a i swojego syna. Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła nos. Frank zauważył, że była świeżo wyprana i wyprasowana. Również ubranie kobiety było doskonale utrzymane, choć skromne.

- Proszę pani, nigdy nie odwzajemnimy się wystarczająco za cierpliwość, jaką nam pani okazuje.

- Ja? Cierpliwość? Wam? Ależ to ja powinnam podziękować za wszystko, co robicie dla mojego syna. Jest jakby innym człowiekiem. Gdyby nie ta straszna sprawa, byłabym taka zadowolona...

Hulot przemówił do niej głosem, który niósł ukojenie. A Frank doskonale wiedział, że spokój jest ostatnią rzeczą, jaką w tej chwili czuł.

- Niech się pani nie martwi. Bardzo szybko będzie po wszystkim i będzie to również zasługą Pierrota. Zwrócimy na tę sprawę szczególną uwagę. Pani syn zostanie małym bohaterem.

Kobieta oddaliła się korytarzem, z lekko pochylonymi ramionami, swoim powolnym, nieśmiałym krokiem. Frank i Hulot zostali sami.

W tym samym momencie sygnał „Voices” rozległ się w całym korytarzu i audycja się rozpoczęła. Jednak odcinek nie miał tego wieczoru jakoś nerwu i zarówno Jean-Loup, jak i inni wyraźnie to czuli. W powietrzu unosiło się niemal elektryczne napięcie, ale nie przenosiło się na program. Przychodziły telefony, ale były to normalne, rutynowe rozmowy, filtrowane poprzednio przez Raquel, którą wspomagali ludzie z policji. Wszystkich rozmówców proszono, by nie mówili nic o zbrodniach. Jeśli mimo to ktoś podczas audycji do nich nawiązywał, Jean-Loup zręcznie zmieniał temat na mniej drażliwy. Wszyscy wiedzieli, że każdego wieczoru miliony słuchaczy ustawia swoje odbiorniki na częstotliwość Radia Monte Carlo.

Audycja, poza Włochami i Francją, nadawana była teraz w wielu krajach Europy przez sieci, które zakupiły do niej prawa. Słuchano jej, tłumaczono na różne języki i komentowano. Wszyscy oczekiwali, że coś się wydarzy. Dla radia był to kolosalny interes. Triumf łacińskiego rozumu. *Mors tua, vita mea*.

Frank pomyślał, że fakty, jakich byli świadkami, stanowiły po części śmierć ich wszystkich. Nikt nie wychodzi z tego naprawdę zwycięsko.

Zdumiał go sens tych słów.

Nikt nie wychodzi z tego naprawdę zwycięsko.

Przypomniał sobie przebiegłość Ulissesa. Rzeczywiste znaczenie sposobu, w jaki morderca sam siebie określał, ironia, szyderczy sens wyzwania. Utwierdził się jeszcze silniej w przekonaniu, że mają do czynienia z człowiekiem nienormalnym i że muszą go jak najszybciej złapać. Przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Dotknął instynktownie ręką pistoletu, który trzymał w kaburze przy biodrze, pod marynarką. Śmierć tego człowieka, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym, dla kogoś innego oznaczała naprawdę życie.

Czerwone światło linii telefonicznej zapaliło się. Laurent wpuścił rozmowę na słuchawki Jean-Loup'a.

- Halo?

Nastąpiła pauza, po czym zniekształcony głos wydobył się z głośników.

- *Halo, Jean-Loup. Nazywam się ktoś i nikt...*

Wszyscy obecni skamienieli. Za szybą kabiny transmisyjnej Jean-Loup pobladł, cała krew odpłynęła z jego twarzy. Siedząca przy stole mikserskim Barbara odskoczyła gwałtownie od aparatury, jakby stała się ona śmiertelnym niebezpieczeństwem.

- Kim jesteś? - zapytał przerażony Jean-Loup.

- *To nieważne. Ważne, że tej nocy znów zaatakuję, niech się dzieje, co chce...*

Frank podniósł się, jakby odkrył, że jest na krześle elektrycznym.

Cluny, który siedział po jego lewej stronie, również wstał i ujął go za ramię.

- To nie on, Frank - szepnął mu.

- Co pan rozumie przez „to nie on”?

- Pomylił się. Ten powiedział: „Nazywam się ktoś i nikt”. Tamten mówi o sobie: „Ja jestem kimś i nikim”.

- Czy to różnica?

- W tym przypadku to duża różnica. Poza tym osoba przy telefonie jest ignorantem. To żart jakiegoś sukinsyna.

Niemal na potwierdzenie słów psychopatologa z głośników wydobył się śmiech, który w zamierzeniu miał być sataniczny, i połączenie zostało przerwane.

Morelli wpadł pędem do reżyserki.

- Mamy go!

Frank i Cluny podążyli za nim na korytarz. Hulot, który w owej chwili był w gabinecie dyrektora, teraz też nadbiegł, a krok za nim Bikjalo.

- Jest?

- Tak, komisarzu. Dzwoni z miejsca na peryferiach Mentony.

Frank ostudził ich entuzjazm. Swoj, niestety, zresztą też.

- Doktor Cluny mówi, że być może to nie on, że może chodzić o symulację.

Psychopatolog poczuł się wywołany do odpowiedzi. Użycie „być może” pozostawiało uchylone drzwi, które Cluny postanowił pospiesznie zamknąć.

- Głos może i jest zniekształcony w taki sam sposób, ale język nie należy do osoby, która dzwoniła poprzednio. Mówię wam, że to nie on.

- Przeklęty, kimkolwiek jest. Czy uprzedziłeś już komisariat w Mentonie? - zapytał komisarz Morellego.

- Natychmiast, jak tylko zlokalizowaliśmy telefon. Wystrzelili jak z procy.

- To oczywiście, przecież nie wypuszczą z rąk szansy, że to im uda się go złapać...

Komisarz unikał wzroku Cluny'ego, niemal jakby wyeliminowanie go z pola widzenia wykluczało ewentualność, którą psychopatolog założył.

Minął kwadrans, który wydawał się nieskończonością. Słyszeli w głębi korytarza wydobywającą się z głośników muzykę i głos Jean-Loup'a, kontynuującego mimo wszystko audycję. Przychodziły na pewno dziesiątki telefonów i centrala musiała być przeciążona. Radiomikrofon przyczepiony do paska Morellego zabrzęczał. Inspektor na ten dźwięk napiął się jak struna.

- Inspektor Morelli.

Po czym zamienił się w słuch. Rozczarowanie odmalowało się na jego twarzy niczym chmura, która stopniowo przesłania słońce. Zanim przekazał słuchawkę Hulotowi, ten już wiedział, że wszystko na nic.

- Komisarz Hulot.

- Cześć, Nicolas, tu Roberts z Mentony.

- Cześć, mów.

- Jestem na miejscu. Fałszywy alarm. To jakiś pieprzony skurwysyn, który się najarał jak komin i chciał zrobić wrażenie na swojej dziewczynie. Pomyśl, że ten

głupek zadzwonił z własnego domu. Kiedy go przyłapaliśmy, omal nie narobili pod siebie ze strachu, on i dziewczyna...

- Niechby umarli ze strachu, idioci. Możesz ich aresztować?

- Oczywiście. Poza utrudnianiem śledztwa ten sukinsyn ma w domu spory kawałek sera.

Roberts chciał przez to powiedzieć, że znaleźli haszysz.

- Dobrze. Weźcie ich i przypalcie im tyłki. Zróbcie tak, żeby dowiedziała się o tym prasa. Musimy dać przykład, bo w przeciwnym razie za chwilę będziemy mieli bez przerwy takie telefony. Dziękuję, Roberts.

- Nie ma za co. Przykro mi, Nicolas.

- Szczerze mówiąc, mnie też. Cześć.

Komisarz zakończył połączenie. Spojrzał na nich oczami, w których nagle zgasła nadzieja.

- Miał pan rację, doktorze. Fałszywy alarm.

Cluny zdawał się zakłopotany, jak gdyby przewidując, co się stanie, sam obarczył się winą.

- Cóż, ja...

- Znakomita robota, doktorze - wtrącił się Frank - naprawdę znakomita. Nikt nie jest winny temu, co się stało.

Wrócili powoli do reżyserki w głębi korytarza. Podszedł do nich Gottet.

- I co?

- I nic. Fałszywy trop.

- Wydawało mi się dziwne, że to takie proste. Ale w przypadku takim jak ten można przypuszczać...

- Wszystko w porządku, Gottet. To, co właśnie powiedziałem doktorowi Cluny, dotyczy również pana. Znakomita robota.

Weszli do dyżurki, gdzie wszyscy czekali na wiadomości. Widząc rozczarowanie na twarzach wchodzących, uzyskali odpowiedź, zanim jeszcze zadali pytanie. Barbara rozluźniła się na krześle i oparła o konsolę. Laurent przeciągnął w milczeniu ręką po włosach.

W tym momencie czerwone światło na ścianie zaczęło migotać. Ze zboląłym wyrazem twarzy didżej pociągnął łyk wody ze stojącej na stole szklanki i przysunął się do mikrofonu.

- Halo?

Początkowo panowała cisza. Owa cisza, którą wszyscy potrafili już rozpoznawać. Po czym stłumiony szum, nienaturalne echo.

- *Cześć, Jean-Loup, Odnoszę wrażenie, że mnie oczekujecie...*

Cluny pochylił się do Franka.

- Słyszał pan, jakiego używa słownictwa? To on.

Jean-Loup tym razem się nie zawahał. Jego dłonie ścisnęły stół tak mocno, że aż pobieleły mu knykcie, ale nic z tego napięcia nie przeniknęło do jego głosu.

- Tak, czekaliśmy na ciebie. Wiesz, że na ciebie czekamy.

- *A więc jestem. Psy muszą już być wyczerpane tym uganianiem się za cieniami. Ale polowanie musi trwać. Moje i ich.*

- Dlaczego mówisz „musi”, jaki to wszystko ma sens?

- *Księżyc należy do wszystkich i każdy z nas ma prawo do niego wyć.*

- Wycie do księżyca oznacza cierpienie. Ale można też śpiewać do księżyca. Czasami można być szczęśliwym w ciemnościach, jeśli zobaczy się światło. Na niebiosa, można być też szczęśliwym na tym świecie, uwierz mi.

- *Biedny Jean-Loup, ty też myślisz, że księżyc jest prawdziwy, gdy tymczasem jest tylko iluzją... Czy wiesz, co jest w ciemnościach tego nieba, mój przyjacielu?*

- Nie. Ale myślę, że zaraz mi powiesz.

Mężczyzna przy telefonie raczej nie odczytał gorzkiej ironii tego zdania, w każdym razie czuł się ponad to.

- *Ani Bóg, ani księżyc, Jean-Loup. Właściwym słowem jest „nic”. Nie ma tam absolutnie nic. A ja jestem tak przyzwyczajony w tym życiu, że już nie zwracam na to uwagi. Wszędzie dookoła, gdziekolwiek odwrócę wzrok, jest nicość.*

- Jesteś szalony - wyrwało się mimo woli z ust Jean-Loup'a.

- *Ja też wielokrotnie się nad tym zastanawiałem. Jest wielce prawdopodobne, że to prawda, choć przeczytałem gdzieś, że szaleńcy nie mają takich wątpliwości. Nie wiem, co to znaczy pragnąć nim być, co mnie czasami się zdarza.*

- Również szaleństwo może się skończyć, można wyzdrowieć. Co możemy zrobić, żeby ci pomóc?

Mężczyzna zignorował pytanie, jakby nie było żadnego wyjścia.

- *Spytaj raczej, co ja mogę zrobić, żeby pomóc wam. Proszę, oto nowa kość. Dla psów, które biegają za własnym ogonem, próbując rozpaczliwie go ugryźć. To*

jest loop. Piękny loop, który się kręci, kręci, kręci... Jak w muzyce. Gdzie jest loop, który się kręci, kręci, kręci...

Głos zagasł, jak przy efekcie wyciszania. Z głośników, jak poprzednim razem, nagle wydobyła się muzyka. Żadnych gitar tym razem, żadnej muzyki rockowej o posmaku revival, ale całkowicie aktualny kawałek muzyki dance. Triumf elektroniki i sampli. Muzyka ucichła tak samo nagle, jak zabrzmiała. Cisza, która nastąpiła, jeszcze podkreśliła wagę pytania zadanego przez Jean-Loup'a.

- Co to znaczy? Co chcesz przez to powiedzieć?

- *To ja zadałem pytanie, odpowiedź należy do was. Z tego składa się życie, mój przyjacielu. Z pytań i odpowiedzi. Z niczego innego, tylko z pytań i odpowiedzi. Każdy człowiek ciągnie za sobą swoje pytania, począwszy od tych, które ma zapisane już w chwili narodzin.*

- Jakie pytania?

- *Ja nie jestem przeznaczeniem, jestem kimś i nikim, ale łatwo mnie zrozumieć. Kiedy ktoś, widząc mnie, zdaje sobie sprawę, kim jestem, w ułamku sekundy znika mu z oczu to pytanie: kiedy i gdzie? Ja jestem odpowiedzią. Ja dla niego oznaczam teraz. Ja dla niego oznaczam tutaj.*

Nastąpiła pauza. Po czym głos wycedził nowy wyrok.

- *I dlatego ja zabijam...*

Metaliczny dźwięk przerwał połączenie, pozostawiając w powietrzu echo, które zdawało się przypominać odgłos wydawany przez opadającą gilotynę. Frank oczami wyobraźni zobaczył uciętą, spadającą głowę.

Nie, nie tym razem. Jezu Chryste!

Inspektor Gottet komunikował się już ze swoimi ludźmi, odwrócony plecami.

- Przechwyciliście go?

Odpowiedź, którą przekazał, była jak zaczarowana formuła. Odebrała im resztki powietrza, jakie mieli jeszcze w płucach.

- Nic. Nie ma sposobu. Żadnego sygnału, do którego można by się podłączyć. Pico mówi, że osoba, która steruje rozmowami, musi być autentycznym fenomenem. Nie zdołał nic zobaczyć. Jeśli dociera z sieci, sygnał jest zamaskowany w taki sposób, że nasza aparatura nie jest w stanie go wizualizować. Ten wór gówna znowu nas przechytrzył.

- Tym gorzej dla nas. Czy ktoś rozpoznał muzykę?

Kto milczy, potwierdza. Ale w tym szczególnym przypadku ogólna cisza oznaczała przeczenie.

- Cholera. Barbaro, kasetę z muzyką, jak najszybciej. Gdzie jest Pierrot?

Barbara odwróciła się, żeby przygotować kopię.

- W sali zebrań - powiedział Morelli.

Panował gorączkowy niepokój. Wszyscy wiedzieli, że muszą działać szybko, szybko, szybko. Być może w tym samym momencie człowiek, który dzwonił, właśnie rozpoczął polowanie. Ktoś inny żył w nieświadomości, że jego życie dobiega kresu. Wyszli, żeby poszukać Rain Boya, tego, który rozpoznawał muzykę przy pierwszym słuchaniu.

W sali zebrań Pierrot siedział z opuszczoną głową na krześle obok matki. Kiedy weszli, popatrzył na nich oczami pełnymi łez, po czym znów wbił wzrok w podłogę.

Frank, tak jak poprzednim razem, przykucnął obok krzesła. Pierrot uniósł lekko twarz, jakby wstydził się pokazać wilgotne oczy.

- Co jest, Pierrot? Coś nie tak? Chłopak pokiwał głową.

- Jesteś przestraszony? Nie musisz się bać, jesteśmy tutaj wszyscy z tobą.

Pierrot pociągnął nosem.

- Nie boję się, ja też jestem teraz policjantem...

- A więc, o co chodzi?

- Nie „wiem” muzyki - odpowiedział zmartwiony.

W jego głosie słychać było prawdziwe cierpienie. Rozejrzał się wokół, jakby stracił wielką okazję w swoim życiu. Łzy znowu popłynęły mu po policzkach.

Frank poczuł się zagubiony, ale zrobił wysiłek i uśmiechnął się do Pierrota.

- Bądź spokojny. I nie przejmuj się. Puścimy ci jeszcze raz muzykę i zobaczysz, że teraz ją rozpoznasz. To trudne, ale może ci się udać. Co ja mówię, na pewno ci się uda.

Barbara wpadła niemal biegiem do pokoju. W ręku trzymała kasetę DAT. Wsunęła ją do odtwarzacza.

- Wsłuchaj się uważnie, Pierrot.

Dźwięki elektronicznie przetworzonych perkusji rozległy się w pokoju. Uderzenia na cztery, charakterystyczne dla muzyki *dance*, przypominające bicie ludzkiego serca. Sto trzydzieści siedem uderzeń na minutę. Praca serca przyspieszona ze strachu, jakieś serce, które mogło się gdzieś zatrzymać w każdej chwili.

Pierrot słuchał w milczeniu, cały czas ze spuszczoną głową. Kiedy muzyka umilkła, podniósł twarz i nieśmiały uśmiech zaigrał na jego ustach.

- Jest - powiedział cicho.

- Rozpoznałeś ją? Jest w pokoju? Idź, więc, proszę, i ją przynieś.

Pierrot wstał z krzesła. Ruszył swoim podskakującym krokiem. Hulot dał znak Morellemu, żeby towarzyszył chłopcu.

Po oczekiwaniu, które zdawało się nie mieć końca, wreszcie wrócili i Pierrot ścisnął w dłoniach CD.

- Jest tutaj. To kompilacja...

Włożyli płytę do odtwarzacza i przebiegli szybko po utworach, dopóki nie znaleźli szukanego fragmentu.

Był to dokładnie ten sam fragment, który morderca puścił im przez telefon. Pierrot był fetowany jak bohater. Matka uściskała go, jakby właśnie wręczono mu Nagrodę Nobla. W jej oczach skrzyła się taka duma, że Nicolasowi Hulot serce ścisnęło się z bólu.

Frank przeczytał tytuł na okładce kompilacji.

- *Nuclear Sun* Rolanda Branta. Kto to jest Roland Brant?

Nikt go nie znał. Wszyscy jednocześnie podbiegli do komputera. Po szybkim wyszukiwaniu w Internecie, nazwisko pojawiło się w jednym z włoskich dokumentów. Roland Brant był to pseudonim włoskiego didżeja, niejakiego Rolanda Bragante. Odkryli, że *Nuclear Sun* to utwór, który kilka lat wstecz cieszył się pewnym powodzeniem w dyskotekach.

Tymczasem Laurent i Jean-Loup skończyli audycję i przyłączyli się do nich. Byli wstrząśnięci. Wydawało się, że obydwaj przeżyli burzę i że część tej burzy w nich pozostała.

Reżyser oświecił ich w kwestii muzyki *dance*, odrębnego środowiska w obrębie rynku fonograficznego.

- Zdarza się często, że didżeje przyjmują pseudonimy. Czasami jest to jakieś zmyślane słowo, ale najczęściej jest to imię angielskie. Jest takich trzech albo czterech również we Francji. Zazwyczaj są to muzycy, którzy wyspecjalizowali się w muzyce dyskotekowej.

- A co oznacza „to jest *loop*” „? - zapytał Hulot.

- Jest to określenie, jakiego używa się w przypadku muzyki samplowanej, kiedy korzysta się z komputera. Loop stanowi podstawę, istotę kawałka. Bierze się jakiś fragment rytmiczny i powtarza się go w kółko przez cały utwór.

- Właśnie, dokładnie tak, jak powiedział ten łajdak. Pies, który kręci się za swoim ogonem.

Frank przerwał te refleksje i sprowadził je do palącego problemu. Było jeszcze coś dużo bardziej istotnego, co musieli zrozumieć.

- Okej, mamy robotę. Skupcie się, nie przychodzi wam nic do głowy? Pomyślcie o kimś sławnym, około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat, kto może mieć coś wspólnego z elementami, które mamy do dyspozycji. Tutaj, w Monte Carlo.

Frank zdawał się opętany. Krążył między nimi, powtarzając te słowa. Jego głos zdawał się podążać za myślą, niczym ujadanie sfory psów goniących lisa.

- Mężczyzna młody, atrakcyjny, sławny. Ktoś, kto przebywa często tutaj, w okolicy. Mieszka tu albo tylko w tej chwili tu przebywa. CD, kompilacja, *Nuclear Sun*, dyskoteka, muzyka *dance*, włoski didżej o angielskim imieniu, pseudonim. Myślcie o gazetach, brukowych czasopismach, o znanych i bogatych...

Głos Franka był jak bat dżokeja, który pobudza swojego konia do opętaneckiego biegu. Umysł każdego z nich galopował w taki sam, identyczny sposób.

- No! Jean-Loup?

Didżej potrząsnął głową. Wyglądał na kompletnie załamane i było jasne, że z jego strony nie można się niczego spodziewać.

- Laurent?

- Przykro mi, nic nie przychodzi mi do głowy.

Barbara drgnęła i podniosła nagle głowę, poruszając miedzianymi włosami. Frank zobaczył, jak jej twarz się rozjaśnia. Podeszedł do niej.

- Proszę mówić, Barbaro.

- Nie wiem... może...

Frank opadł na nią jak jastrząb.

- Barbaro, nie ma żadnych „może”. Proszę podać nazwisko, jeśli przyszło pani do głowy, nieważne, właściwe czy nie.

Dziewczyna popatrzyła przez chwilę po obecnych, jakby prosząc o wybaczenie, jeśli mówi głupstwo.

- Cóż, ja myślę, że mógłby to być Roby Stricker.

René Coletti czuł straszliwą potrzebę, żeby się odlać.

Wciągnął głęboko powietrze nosem. Pełny pęcherz powodował ostre klucie w brzuchu. Zdawało mu się, że jest w jednym z filmów science fiction, gdzie rurki podłączone do astronauty zaczynają parować, pojawia się czerwone światło sygnalizujące zagrożenie, a metaliczny głos wciąż powtarza: „Uwaga, za trzy minuty ten statek ulegnie zniszczeniu, uwaga... „

Było normalne, że ta potrzeba fizjologiczna dopadnie go w najmniej właściwym momencie, zgodnie z abstrakcyjną logiką przypadkowości, która jeśli tylko może przyłożyć człowiekowi, niechybnie to uczyni.

Miał ochotę wysiąść z samochodu i wysikać się byle gdzie, w półmroku, nie zważając na nielicznych ludzi kręcących się po moło i po drugiej stronie ulicy. Spojrzał pożądliwie na mur po swojej prawej stronie.

Dla odwrócenia uwagi zapalił papierosa i przez otwarte okno wozu wypuścił ostry dym gitane'ów bez filtra. Ilość niedopałków w popielniczce potwierdzała, że jego oczekiwanie trwało od dłuższego czasu. Wyciągnął rękę, żeby wyłączyć samochodowy odbiornik nastawiony na Radio Monte Carlo, bo audycja, która go interesowała, już się skończyła.

Zaparkował swoją mazdę MX-5 w porcie, w pobliżu basenów, zwróconą przodem do budynku będącego siedzibą radia, które musiało być wypełnione teraz policjantami uganiającymi się jak w ukropie. Śledził audycję i wysłuchał uważnie telefonu mordercy, siedząc cały czas w samochodzie i czekając. W redakcji jego gazety, „France Soir”, wielu kolegów zrobiło to samo i teraz na pewno szaleli po sieci, czy gdzie tam jeszcze, polując na informacje. Trwała prawdziwa burza mózgów, żeby rozszyfrować nowy komunikat wysłany w eter przez „Nikogo”, jak ochrzcili mordercę dziennikarze. Określenie to weszło do powszechnego użycia i teraz wszyscy go tak

nazywali. Potęga mediów. Ciekawe, jak nazywali go między sobą policjanci, zanim przydomek ten został im narzucony przez wyobraźnię jakiegoś reportera.

Logika była domeną śledczych, a domeną dziennikarzy fantazja. Ale nie było powiedziane, że kto kierował się jedną, musiał być koniecznie pozbawiony drugiej.

W tym sensie, on stanowił ewidentny tego przykład. Albo przynajmniej tak sobie życzył.

Leżący na siedzeniu obok telefon komórkowy zaczął dzwonić. Dzwonek był fragmentem piosenki Ricky Martina, którą ściągnęła mu z Internetu jego siostrzenica, choć wcale o to nie prosił. Nienawidził tej muzyczki, ale nigdy nie nauczył się na tyle dobrze obsługiwać telefon, żeby ją zmienić.

Fantazja i logika tak, ale kompletny antytalent techniczny.

Wziął komórkę i uaktywnił połączenie.

Jego pęcherz musiał jeszcze chwilę wytrzymać.

- Halo?

- Coletti? Tu Barthélémy.

- Mów.

- Mamy trop. Niesamowity fart. Nasz mediolański korespondent Giorgio Cassani jest przyjacielem faceta, autora tego kawałka, który Nikt puścił w radiu. Dwie minuty temu zadzwonili do nas z Włoch. Dają nam jeszcze kilka minut przewagi, zanim zawiadomią policję.

Niezły strzał. Miejmy tylko nadzieję, że Nikt przyplaci to skórą. I, że ja nie zleję się w gacie.

- A więc?

- Ma to tytuł *Nuclear Sun*. Autor jest Włochem, didżejem. Nazywa się Rolando Bragante, alias Roland Brant. Zrozumiałeś?

- Oczywiście, że zrozumiałem, nie jestem idiotą. Przyślij mi w każdym razie esemesa z danymi. Nigdy nie wiadomo.

- Gdzie jesteś?

- Pod radiem. Wszystko pod kontrolą. Do tej pory nic się nie wydarzyło.

- Bądź czujny. Jeśli gliny się zorientują, kłapa.

- Wiem, jacy są.

- Dobrego - pożegnał go lakonicznie Barthélémy.

- Dla was też. Zawiadom mnie, jeśli będzie coś nowego.

Zakończył połączenie. Włoski didżej o angielskim pseudonimie. Kawalek dyskotekowej muzyki pod tytułem *Nuclear Sun*.

Co to do cholery miało znaczyć?

Znów poczuł ukłucie w brzuchu. Wyrzucił peta przez okno, otworzył drzwiczki i wysiadł. Okrążył samochód, zszedł po kilku schodkach i schował się w półmroku, osłonięty sylwetką auta. Skorzystał z załomu muru, obok zaciągniętych stor jednego ze sklepów. Rozpiął spodnie i załatwił się z westchnieniem ulgi. Wydawało mu się, że frunie. Popatrzył na żółtawą stróżkę moczu spływającą jak mały potok po lekko pochyłym terenie.

Wysikać się, tak jak w tym przypadku, było przyjemnością niemal seksualną, satysfakcją odnoszącą się do fizycznej i ludycznej części ludzkiej istoty. Jak w dzieciństwie, kiedy robili z bratem siusiu na śniegu, rysując...

Chwileczkę. Przed oczami mignął mu obraz. Śnieg. Co ma z tym wspólnego śnieg? Zobaczył zdjęcia w ilustrowanym magazynie. Męska postać w kombinezonie narciarskim, sfotografowana przy wyciągu z piękną dziewczyną u boku. Był śnieg, dużo śniegu. Naszło go tak silne przeczucie, że aż zabrakło mu tchu.

Kurwa. Roby Stricker, to był on. A jeśli to był on, sprawa była załatwiona.

Jego potrzeby fizjologiczne jeszcze nie ustały. Podekscytowanie wywołało nerwowość. Zatrzymał strumień moczu, ryzykując pobrudzenie rąk. Zajmował się sprawami, przy których ryzyko ubrudzenia rąk było czymś oczywistym. Ten przypadek nie należałby na pewno do najobrzydliwszych. Ale gdzie mógł znaleźć teraz Roby'ego Strickera?

Potrząsnął energicznie swoim seksualnym sprzętem i wsunął go do spodni. Wrócił biegiem do samochodu, nie zważając na to, że nie zapiął rozporka.

Po tym mieście krąży morderca, René, powiedział sobie w duchu. Kogo obchodzi, czy masz zapięte spodnie, czy nie?

Usiadł i wziął komórkę. Zadzwoił do redakcji do Barthélemy'ego.

- Tu jeszcze Coletti. Znajdź mi adres.

- Wal.

- Roby Stricker. Nazwisko pisze się S-t-r-i-c-k-e-r, przez c i k. Roby powinno pochodzić od Roberta. Mieszka tutaj, w Monte Carlo. Jeśli będzie to nasz szczęśliwy wieczór znajdziesz go w książce telefonicznej. Jeśli nie, zdobądź go w jakiś sposób, byle szybko.

Gazeta to oczywiście nie policja, ale i oni mieli swoje kanały.

- Poczekaj moment.

Minęło kilka chwil, które Colettiemu dłużyły się niemiłosiernie, jeszcze bardziej niż te, kiedy miał przepełniony pęcherz. W końcu Barthélémy wrócił do aparatu.

- Bingo, stary. Mieszka w kamienicy, która nazywa się Les Caravelles, przy bulwarze Alberta Premier.

Coletti wstrzymał oddech. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Znajdował się dokładnie sto metrów od tego miejsca.

- Znakomicie, wiem, gdzie to jest. Do usłyszenia.

- René, powtarzam, uważaj. Nie tylko na gliny.

- Złap się za jaja, bo przynosisz pecha. Zależy mi na mojej skórze. Ale jeśli ta historia skończy się po mojej myśli, będziemy mieli sensacyjny strzał.

Rozłączył się.

Przez chwilę zabrzmiał mu w uszach głos z radia. Ja zabijam...

Zadrzał mimo woli. Jednak podniecenie, adrenalina zrobiły swoje i kazały zapomnieć o ostrożności. Jako człowiek Coletti miał wiele ograniczeń, ale jako dziennikarz znał swój fach i żeby wykonywać go jak należy, gotów był ponieść wszelkie ryzyko. Potrafił rozpoznać grubą sprawę, informację, którą należy śledzić, otworzyć jak ostrygę i pokazać całemu światu, czy w środku jest perła, czy nie. A tym razem perła była, wielka jak strusie jajo.

Każdy miał swój narkotyk, ten był jego.

Popatrzył na oświetlone okna Radia Monte Carlo. Na placu przed wejściem zaparkowanych było kilka wozów policyjnych. Niebieski migacz na jednym z nich zapalił się i samochód ruszył. Coletti rozluźnił się. Był to na pewno samochód, który co wieczór eskortował do domu Jean-Loup Verdiera. Jechał za nimi już wiele razy i wiedział, co zrobią. Dojadą do domu didżeja, wślizgną się za bramę i dobranoc, zabawa skończona. Policjanci zostaną na straży, uniemożliwiając jakąkolwiek próbę kontaktu.

Zapłaciłby połowę fortuny Billa Gatesa, żeby przeprowadzić wywiad z tym człowiekiem, ale nie było sposobu, przynajmniej chwilowo. Przy każdym wejściu i wyjściu Verdier był jakby opancerzony. Czatował przy tym domu wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że to niemożliwe.

Ostatnio zbyt wiele rzeczy zdawało się niemożliwych.

Próbował na wszelkie sposoby, żeby to on został korespondentem wojennym w Afganistanie. Czuł tę historię. Wiedział, że umiałby ją opowiedzieć lepiej niż

ktokolwiek inny, jak to już zrobił wcześniej w byłej Jugosławii. Woleli od niego Rodina, może dlatego, że był młodszy, i uważali, że jest bardziej wygłodniały, bardziej skłonny do ryzyka. Może stały też za tym jakieś interwencje polityczne, jakaś rekomendacja, która nadeszła nie wiadomo skąd i o której nic nie wiedział. Pozostaje faktem, że dostał w dupę.

Coletti otworzył schowek i wyjął aparat cyfrowy, Nikon 990 Coolpix. Położył go na siedzeniu pasażera i obejrzał uważnie, tak jak żołnierz, który sprawdza broń przed bitwą. Baterie były naładowane i miał cztery karty po 128 mega. Mógłby sfotografować trzecią wojnę światową, gdyby zaszła potrzeba. Wysiadł z mazdy, nie zamykając samochodu. Schował aparat pod marynarką, żeby nie było go widać. Zostawił auto i Baseny z tyłu i ruszył w przeciwnym kierunku. Kilkadziesiąt metrów dalej znalazł się przed schodami prowadzącymi w górę, na promenadę. Kiedy dochodził do poziomu ulicy, jakiś cywilny samochód, ale z policyjnym migaczem na dachu, wyjechał z alei Rascasse i minął go z niezbyt dużą szybkością.

Miał możliwość zobaczyć, że w środku siedziały dwie osoby. Wyobraził sobie, kto to mógł być. Na pewno komisarz Hulot i inspektor Morelli. A może ten brunet o śniadej twarzy, którego widział tamtego ranka wychodzącego z domu Jean-Loup Verdiera. Kiedy obok niego przejeżdżał, ich spojrzenia się skrzyżowały i zrobiło to na nim dziwne wrażenie.

Był to człowiek, który miał w sobie diabła. On dobrze znał diabły i równie dobrze potrafił rozpoznać tych, którzy nosili je w sobie. Może warto by było dowiedzieć się o nim czegoś więcej...

Coletti już dawno odrzucił strategię śledzenia wozów policyjnych. Policjanci nie byli głupcami. Natychmiast by go wyczuli. Zatrzymaliby go i żegnaj, sensacja. W żadnym wypadku nie mógł popełniać błędów.

Była już tego wieczoru wpadka z pierwszym telefonem, fałszywym alarmem... najprawdopodobniej gliny musiały być nieźle wkurzone. Nie chciałby być na miejscu żartownisia, jeśli go przyskrzynili. Nie byłoby najlepszym pomysłem ładować się w analogiczną sytuację.

Jeśli kolejną ofiarą tego maniaka miał naprawdę być Roby Stricker, użyliby go jako przynęty, a mogłoby się to stać tylko w jego domu. W owej chwili powinien znaleźć właściwe miejsce, skąd mógłby obserwować, nie będąc widzianym. Jeśli jego przypuszczenia były słuszne i jeśli złapaliby mordercę, byłby jedynym naocznym świadkiem i jedynym reporterem posiadającym zdjęcia jego aresztowania.

Gdyby mu się powiodło, historia ta miałaby cenę równą cenie plutonu.

Na ulicy nie było praktycznie nikogo. W tym mieście na pewno wszyscy wysłuchali audycji w radiu i słyszeli kolejny telefon od maniaka. Wiedząc, że po okolicy krąży morderca, niewielu było takich, którzy mieliby odwagę z lekkim sercem wyjść na spacer.

Coletti ruszył w stronę oświetlonego wejścia do Les Caravelles. Kiedy dotarł przed oszklone drzwi budynku, westchnął z uczuciem ulgi. Zamek był zwykły, nie na kod numeryczny. Coletti zaczął grzebać w kieszeni, jak zwyczajny lokator, który szuka kluczy.

Wyjął wytrych, prezent od jednego z jego informatorów, bystrego faceta, któremu pomógł kiedyś wykaraskać się z tarapatów. Typ lubiący pieniądze, bez względu na ich pochodzenie, zarówno te, jakie dostawał od Colettiego za szpiegowanie, jak i te, które sam zdobywał, włamując się do niepilnowanych mieszkań.

Wsunął wytrych do zamka i drzwi otworzyły się. Coletti wszedł do holu tego luksusowego budynku. Rozejrzał się dokoła. Lustra, skórzane fotele, perskie dywany na marmurowej posadzce. O tej porze był niestrzeżony, ale w ciągu dnia na posterunku stał zapewne nieugięty portier.

Czuł przyspieszone bicie swego serca.

Nie był to strach.

Była to czysta adrenalina. Raj na ziemi. Jego praca.

Po prawej stronie, na krótszym boku prostokątnego salonu, było dwoje drewnianych drzwi. Na jednych z nich widniała mosiężna tabliczka z napisem „Concierge”. Drugie, w przeciwnym rogu, prawdopodobnie prowadziły na niższy poziom. Nie wiedział, na którym piętrze mieszka Roby Stricker, a budzić portiera o tej porze, żeby prosić o informację, nie wydawało mu się dobrym pomysłem.

Mógł jednak wjechać windą na samą górę i stamtąd schodzić na dół, dopóki nie trafi na właściwe piętro. Potem znajdzie najlepszy punkt obserwacyjny, nawet jeśli będzie musiał zawiesić się za oknem, co nieraz robił już zresztą w przeszłości.

Reeboki, które miał na nogach, nie robiły żadnego hałasu, kiedy dochodził do drzwi prowadzących na klatkę schodową.

Pchnął je w nadziei, że nie są zamknięte. Miał co prawda swój wytrych, ale liczyła się każda zaoszczędzona sekunda. Odetchnął z ulgą. Drzwi były tylko przymknięte. Za nimi panowała kompletna ciemność. Smużka światła wpadająca z

holu oświetlała lekko schody, które dalej ginęły w mroku. Rozrzucone w nierównych odstępach, niczym oczy kota połyskiwały małe, czerwone światełka wyłączników.

W żadnym wypadku nie mógł zapalić światła. Zszedł po dwóch pierwszych stopniach, a puszczone drzwi powoli się za nim zamykały. Podziękował w duchu za skuteczność osoby, która regularnie oliwiła zawiasy. Okręcił się wokół siebie i po omacku poszukał ręką ściany. Zaczął powoli schodzić po stopniach, uważając, żeby się nie potknąć. Jego serce biło tak mocno, że nie zdziwiłby się, gdyby słyhać je było w całej kamienicy. Wysuwając stopę, zorientował się, że dotarł do końca schodów. Wyciągnął rękę przed siebie i obmacując wciąż ścianę pokrytą szorstkim tynkiem, zaczął posuwać się powoli naprzód. Zauważył, że w podnieceniu zostawił w samochodzie razem z papierosami tanią zapalniczkę, która teraz bardzo by mu się przydała. Miał potwierdzenie, że pośpiech jest zawsze złym doradcą. Dalej szedł po omacku. Postąpił ledwie kilka kroków w tych absolutnych ciemnościach, kiedy żelazny uścisk chwycił go za gardło i jego ciało przyparte zostało z całej siły do ściany.

Siódmy karnawał

W dużym cichym apartamencie siedzi w ciemnościach w fotelu mężczyzna.

Poprosił, żeby zostawiono go samego, jego, który zawsze bał się samotności, pustych pokoi, półmroku. Inni poszli sobie, pytając go jeszcze na odchodnym, z nutą niepokoju w głosie, czy jest naprawdę pewny, że chce tam zostać bez nikogo, kto mógłby się nim zająć.

Odpowiedział pewnym głosem, że tak. Zna tak dobrze ten wielki dom, że może się w nim swobodnie poruszać bez żadnej obawy.

Ich głosy rozmyły się w hałasie oddalających się kroków, zamykanych drzwi, zjeżdżającej windy. Stopniowo dźwięki te zagubiły się w ciszy.

Tak więc, teraz jest sam i myśli.

W spokoju tej majowej nocy myśli o pełnym wigoru życia minionych lat. Myśli o swoim krótkim lecie, chyłącym się już ku jesieni przyszłości, której nie spędzi na czubkach palców, ale ze stopami silnie wspierającymi się o podłogę, korzystając z każdego solidnego oparcia, żeby nie upaść.

Przez otwarte okno wpada zapach morza. Wyciąga rękę i zapala lampę stojącą obok niego na stoliku. Niemal nic nie zmienia się w jego oczach, które stały się już teatrem cieni. Jeszcze raz naciska wyłącznik. Światło gaśnie jak świeca zdmuchnięta jego oddechem pozbawionym nadziei. Mężczyzna siedzący w fotelu myśli jeszcze o tym, co go czeka. Będzie musiał przyzwycząić się do zapachu rzeczy, do ich ciężaru, do ich głosu, kiedy wszystkie zatopią się w jednym, identycznym kolorze.

Siedzący w fotelu mężczyzna jest praktycznie ślepy.

Swego czasu było inaczej. Swego czasu żył światłem, jego brakiem i jego istotą. Był to czas, kiedy jego oczy określały jakiś punkt „tam” i jednym skokiem mógł wynieść do niego swoje ciało, podczas gdy muzyka zdawała się samym światłem, którego nawet oklaski nie mogły splamić.

Jego taniec był taki krótki.

Od narodzin jego wielkiej pasji poprzez pełne obaw odkrycie talentu, aż po zdumiony zachwyt całego świata, minęła ledwie chwila. Oczywiście, były tak cudowne momenty, że starczyłyby za całe życie, chwile, jakich nikt nigdy by nie przeżył nawet w ciągu stu lat.

Ale czas, oszukańczy czas, który traktuje ludzi jak zabawki, a lata jak minuty, przeleciał wokół niego i odebrał mu lekko jedną ręką to, czym drugą tak hojnie go obdarował.

Wielkie tłumy w ekstatycznym podziwieniu dla jego gracji, elegancji kroków, milczącej mowy każdego gestu, kiedy zdawało się, że cała postać stworzona została przez samą muzykę, tak bardzo była częścią harmonii, w której się poruszał - oto czym było jego życie.

W prawie wygasłych już oczach nosił wciąż wspomnienia. Świeciły tak mocno, że mogłyby nieomal zastąpić to światło, które tracił. Była to mediolańska La Scala, moskiewski Bolszoj, Théâtre Princesse Grace w Monte Carlo, nowojorska Metropolitan, londyński Royal Theatre. Nieskończona liczba kurtyn podnoszących się w ciszy i opadających wśród burzy oklasków po każdym jego sukcesie. Kurtyn, które miały już nigdy się nie podnieść.

Żegnaj, idolu tańca.

Mężczyzna przeciąga dłonią po błyszczących, gęstych włosach.

Jego ręce są teraz jego oczami.

Szorstkie obicie fotela, miękka tkanina spodni na umięśnionych nogach, jedwab koszuli na klatce piersiowej. Uczucie gładkości na policzku ogolonym przez kogoś innego, aż po wilgoć łyzy, która właśnie po nim spływa. Mężczyzna poprosił, by zostawiono go samego, on, który zawsze bał się samotności, pustych pokoi, półmroku. I wysłuchano go.

Ale nagle słyszy, że ta samotność prysła, że nie jest już sam w apartamencie.

Nie jest to hałas, odgłos kroków, ani nawet oddech. Jest to obecność, którą wyczuwa jakimś nieznanym mu dotąd zmysłem, czymś na kształt prymitywnego instynktu nietoperza. Jedna ręka odebrała, druga dała.

Teraz może słyszeć dużo więcej rzeczy.

Obecność staje się teraz lekkim, zwinnym, niemal bezszelestnym krokiem. Spokojnym i regularnym oddechem. Ktoś przemierza apartament i zbliża się. Ten

jakże cichy krok zatrzymał się za jego plecami. Panuje nad instynktowną chęcią, żeby się odwrócić i spojrzeć, bo i tak byłoby to daremne.

Czuje przyjemny zapach skóry pomieszany z wonią dobrej wody kolońskiej. Rozpoznaje zapach, ale nie osobę.

„Eau d'Hadrien” Annicka Goutala. Perfumy, które pachną cytrusami, słońcem, wiatrem. Podarował je kiedyś Borisowi w Paryżu, w sklepie w pobliżu placu Vendôme, dzień po triumfalnym występie w Operze. Kiedy jeszcze...

Znów słyhać kroki. Nowo przybyły mija jego fotel, który stoi tyłem do drzwi. Dostrzega cień jego ciała, kiedy staje naprzeciw.

Mężczyzna siedzący w fotelu nie jest zaskoczony. Nie boi się. Jest tylko ciekawy.

- Kim jesteś?

Następuje chwila ciszy, po czym stojący mężczyzna odpowiada siedzącemu głębokim, ładnie brzmiącym głosem.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak, dla mnie bardzo duże.

- Moje imię być może nic by ci nie powiedziało. Nie jest ważne, byś wiedział, kim jestem. Chcę mieć pewność, że wiesz, czym jestem i dlaczego tu jestem.

- To sobie wyobrażam. Słyszałem o tobie. Czekałem na ciebie, jak sądzą. Być może, w głębi ducha, miałem wręcz nadzieję, że przyjdiesz.

Siedzący mężczyzna przeciąga dłonią po włosach. Chciałby dotknąć nią również włosów tego drugiego, jego twarzy, ciała, bo ręce są teraz jego oczami.

Ten sam głęboki głos, tak bogaty w brzmienia, odpowiada mu z ciemności.

- Jestem tu teraz.

- Wyobrażam sobie, że nie ma nic, co mógłbym powiedzieć albo zrobić.

- Nie, nie ma.

- Więc to koniec. Sądzę, że w pewnym sensie tak będzie lepiej. Ja sam nigdy bym się nie odważył.

- Chcesz posłuchać muzyki?

- Tak, myślę, że tak. Nie, jestem pewien. Chcę.

Słyszy serię łagodnych dźwięków, szmer odtwarzacza CD, który otwiera się i zamyka, wyraźniejszy w ciemności i ciszy. Mężczyzna obsługuje stojącą w pokoju aparaturę stereo. Nie zapalił światła. Musi mieć wzrok kota, jeśli wystarcza mu słaby

poblask dochodzący z zewnątrz i zapalone dla orientacji czerwone światelka sprzętu muzycznego.

Po chwili w pokoju unoszą się faliście dźwięki kornetu. Mężczyzna nie zna tego utworu, ale brzmienie instrumentu w dziwny sposób, od pierwszych nut, przypomina mu melancholijną melodię skomponowaną przez Nino Rotę do La strady Felliniego. Tańczył do tej muzyki w mediolańskiej La Scali, w balecie opartym na tym filmie, z primabaleriną, której imienia nie pamięta, tylko nienaturalną grację jej ciała.

Mężczyzna siedzący w fotelu zwraca się do ciemności, z której dociera muzyka, tożsamej z ciemnością pokoju i jego oczu.

- Kto to jest?

- Nazywa się Robert Fulton. Wielki muzyk...

- Słyszę. Kim jest dla ciebie?

- Starym wspomnieniem. Od tej pory będzie również twoim. Następuje długa, nieruchoma cisza. Mężczyzna w fotelu ma przez chwilę wrażenie, że ten drugi odszedł. Ale kiedy się do niego odzywa, jego głos natychmiast odpowiada z ciemności obok niego.

- Czy mogę cię prosić o przysługę?

- Tak, jeśli będę mógł.

- Pozwolisz, żebym cię dotknął?

Lekki szelest materiału. Stojący mężczyzna pochylił się do przodu. Siedzący czuje ciepło jego oddechu, oddechu pachnącego mężczyzną. Mężczyzną, którego w innym czasie i przy innej okazji próbowałby być może poznać lepiej...

Wyciąga ręce, kładzie mu na twarzy, przebiega po niej opuszkami palców, aż dociera do włosów. Śledzi linię nosa, bada zarys kości policzkowych i czoło. Ręce są teraz jego oczami i widzą za niego.

Siedzący mężczyzna nie boi się. Był ciekawy, teraz jest tylko zdziwiony.

- A więc, to ty - szepcze.

- Tak - odpowiada drugi po prostu, podnosząc się.

- Dlaczego to robisz?

- Bo muszę.

Siedzący mężczyzna zadowala się tą odpowiedzią. On także w przeszłości robił to, co czuł, że musi robić. Ma jeszcze tylko jedno pytanie. W końcu jest tylko człowiekiem. Człowiekiem nieobawiającym się końca wszystkiego, tylko bólu.

- Czy będę cierpiał?

Siedzący mężczyzna nie może widzieć, jak stojący wyciąga z zawieszanej na ramieniu, płóciennej torby pistolet z tłumikiem. Nie widzi wycelowanej w siebie lufy. Nie widzi na wypolerowanym metalu groźnego odbłasku słabego, złamanego światła, wpadającego przez szybę.

- Nie, nie będziesz cierpiał.

Nie widzi pobieląłego kłycia, kiedy palec pociąga za spust. Odpowiedź stojącego mężczyzny miesza się ze stłumionym świstem kuli, która w ciemności przesywa mu serce.

- Nie mam najmniejszego zamiaru żyć w więzieniu, dopóki ta historia się nie skończy. A przede wszystkim, nie mam ochoty być przynętą!

Roby Stricker odstawił kieliszek glenmorangie, które właśnie pił, wstał z kanapy i poszedł wyrzucić przez okno swojego apartamentu. Malva Reinhart, młoda amerykańska aktorka, siedząca na kanapie ustawionej przy frontowej ścianie, wodziła swoimi fantastycznymi, fiołkowymi oczami - które były uzasadnieniem i siłą niejednego pierwszego planu - od niego do Franka. Była milcząca i przerażona. Zdawało się, jakby nagle wyszła z postaci, którą grała publicznie, zbudowanej ze spojrzeń trwających kilka sekund dłużej i dekoltów odsłaniających kilka centymetrów więcej. Straciła wygląd agresywnej okazałości, który obnosiła jak trofeum, kiedy Frank i Hulot znaleźli ich przy wyjściu z Jimmy'z, najbardziej ekskluzywnej dyskoteki w Monte Carlo.

Stali na wyasfaltowanym placu obok Sporting d'Eté, tuż za przeszklonymi drzwiami lokalu, lekko ukryci po lewej stronie w stosunku do niebieskiego światła szyldu. Rozmawiali z jakimś mężczyzną. Frank i Hulot wysiedli z samochodu i ruszyli w ich kierunku. Osoba, z którą on i Malva rozmawiali, oddaliła się w tym samym momencie, zostawiając ich samych w świetle reflektorów.

- Roby Stricker? - zapytał Nicolas.

Popatrzył na nich, nie rozumiejąc.

- Tak - odpowiedział nie całkiem pewnym głosem.

- Jestem komisarz Hulot z Sûreté Publique, a to Frank Ottobre z FBI. Chcielibyśmy z wami porozmawiać. Czy możecie pójść z nami?

Nie poczuł się chyba zbyt pewnie, słysząc ich rangę. Później Frank zrozumiał, dlaczego, kiedy udał, że nie widzi, jak chłopak pozbywa się w dość niezadarny sposób

torebki z kokainą. Stricker wskazał młodą kobietę u jego boku, która patrzyła na nich w osłupieniu. Mówili po francusku i nie rozumiała ani słowa.

- Obydwoje czy tylko ja?... To znaczy, chciałem powiedzieć, to jest Malva Reinhart i...

- Nie jesteś aresztowany, jeśli to cię interesuje - wtrącił Frank po włosku.

- Myślę, że powinieneś z nami pójść w twoim własnym interesie. Mamy podstawy sądzić, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Jej być może też.

Zaraz potem, w samochodzie, wprowadzili go w szczegóły sprawy. Stricker zbladł jak trup i Frank podejrzewał, że gdyby stał, na pewno ugięłyby się pod nim nogi. Frank przetłumaczył wszystko na angielski pannie Reinhart i z kolei ona straciła mowę i kolory na twarzy. Młoda, zmysłowa aktorka współczesna przeniesiona nagle w świat kina niemego i czarno-białego.

Dotarli do apartamentu Strickera w La Condamine, w centralnej części miasta. Zdumiała ich śmiałość tego szalonego mordercy. Jeśli jego celem był rzeczywiście Stricker, w tym wyborze kryło się złowrogie i szydercze wyzwanie. Człowiek ten zamierzał zaatakować kogoś, kto w prostej linii mieszkał około stu metrów od siedziby policji.

Frank został z nim i z dziewczyną, a tymczasem Nicolas, po sprawdzeniu mieszkania, poszedł wydać dyspozycje Morellemu i jego ludziom, którzy zajmowali stanowiska. Wokół budynku utworzono zasieki niemożliwe do przejścia.

Zanim odszedł, Hulot poprosił Franka do holu, dał mu krótkofalówkę i zapytał, czy ma z sobą pistolet. Frank bez słowa rozchylił marynarkę i pokazał mu przyczepionego do paska glocka. Dotykając zimnej broni, lekko zadrżał.

Frank stanął na środku pokoju i odpowiadał cierpliwie na protesty Strickera.

- Przede wszystkim staramy się zagwarantować ci nietykalność. Choć tego nie widać, wszędzie wokoło rozstawiona jest praktycznie cała policja Księstwa. Po drugie, nie zamierzamy używać cię jako przynęty, po prostu potrzebna jest nam twoja współpraca, bo może wtedy uda się nam złapać osobę, na którą polujemy. Gwarantuję ci, że niczym nie ryzykujesz. Mieszkasz w Monte Carlo i wiesz, co dzieje się od jakiegoś czasu w tych stronach, prawda?

Roby odwrócił do niego twarz, pozostając nadal przy oknie.

- Chyba nie myślisz, że się boję, co? Po prostu, nie odpowiada mi ta sytuacja. To wszystko wydaje mi się takie... takie przesadzone, ot co.

- Cieszę się, że się nie boisz, ale to nie znaczy, że masz lekceważyć osobę, z którą mamy do czynienia. Dlatego odejdź od okna.

Stricker próbował pozostać niewzruszony, ale wrócił z miną, która jemu musiała się zdawać chłodem doświadczonego awanturnika, i usiadł na kanapie. W rzeczywistości, widać było gołym okiem, że robi pod siebie.

Frank znał go od około godziny i gdyby poszedł za swoim instynktem, pozostawiłby go własnemu losowi. Stricker tak bardzo przystawał do stereotypu synka tatusia, że w innych okolicznościach Frank pomyślałby, iż padł ofiarą ukrytej kamery.

Roberto Stricker, „Roby” dla kronik towarzyskich, był Włochem, pochodził dokładnie z Bolzano i nosił niemieckie nazwisko, które ostatecznie mogło uchodzić również za angielskie. Niedawno skończył trzydziestkę i był typem, jaki określa się zazwyczaj mianem pięknego chłopaka. Wysoki, atletycznie zbudowany, o pięknych włosach, pięknej twarzy, piękny skurwysyn. Był synem miliardera, właściciela, obok wielu innych przedsiębiorstw, także sieci dyskotek we Włoszech, Francji i Hiszpanii o nazwie *No Nukes*, których logo przedstawiało uśmiechnięte słońce. Stąd odwołanie się Barbary do *Nuclear Sun*, utworu muzyki *dance*, który morderca puścił w eter podczas ostatniej audycji, autorstwa Rolanda Branta, co było angielskim pseudonimem włoskiego didżeja Rolanda Bragante. Roby Stricker mieszkał w Monte Carlo i robił to, co jego usposobienie i pieniądze ojca pozwalały mu robić, czyli absolutnie nic. Brukowce pełne były wiadomości o jego wyczynach miłosnych i jego wakacjach, które spędzał na przykład na nartach w Saint Moritz z jakąś top modelką albo grając w tenisa w Marbelli z Björnem Borgiem. Jeśli chodzi o pracę, ojciec prawdopodobnie finansował go, żeby trzymał się z daleka od interesów rodzinnych, uważając pieniądze, które syn go kosztował, za „mniejsze zło”.

Stricker wziął do ręki kieliszek, ale odstawił go, widząc, że lód całkowicie już się rozpuścił.

- Jak zamierzacie działać?

- W przypadkach takich jak ten nie da się wiele zrobić. Należy tylko podjąć właściwe środki i czekać.

- Ale dlaczego ten oszalały wariat ma coś do mnie? Myślicie, że to ktoś, kogo znam?

Jeśli postanowił cię zabić, nie zdziwiłbym się, gdyby cię znał. I to dobrze, pieprzony kutasie!

W hołdzie dla Strickera, Frank pomyślał to wszystko po włosku. Usiadł na fotelu.

- Tego nie potrafię ci powiedzieć. Szczerze mówiąc, poza tym, co ty także wiesz, nie mamy żadnej informacji na temat tego mordercy, poza kryteriami wyboru ofiar i tym, co robi z nimi po zabiciu...

Idąc za wcześniejszymi myślami, Frank znów mówił po włosku, lekko podkreślając bezwzględność słowa „morderca”, wyłącznie na użytek Roby'ego Strickera. Nie chciał jeszcze bardziej przerażać siedzącej na kanapie dziewczyny, która ze strachu ogryzała paznokcie niemal do krwi. Chociaż...

Podobieństwa się przyciągają...

Jeśli ci dwoje byli razem, musiał być jakiś powód. Jak w przypadku Nicolasa i Céline Hulot, czy Nathana Parkera i Ryana Mosse'a, albo Bikjalo i Jean-Loup Verdiera.

Miłość. Nienawiść. Interes.

W przypadku Roby'ego Strickera i Malvy Reinhart chodziło być może o banalne, fizyczne przyciąganie między pustymi pudełkami.

Krótkofalówka, którą Frank przyczepił do biodra, zahuczała. To dziwne. Ustalili, że jako normy ostrożności przestrzegać będą absolutnej ciszy na falach. Żadna przezorność nie zdawała się przesadna w obliczu osoby, z którą mieli do czynienia. Człowiek tak obeznany z telefonią i wszelkimi połączeniami, mógł bez trudu wejść na jakąkolwiek częstotliwość policyjnego radia. Wstał z fotela i poszedł do przedpokoju, zanim odczepił aparat od paska i podniósł do ust. Nie chciał, żeby tych dwoje słyszało jego rozmowę. Nacisnął guzik odpowiedzi.

- Frank Ottobre.

- Frank, tu Nicolas. Chyba go złapaliśmy.

Frank poczuł się, jakby tuż obok jego uszu wystrzelono z armaty.

- Gdzie?

- Tu, na dole, w kotłowni. Jeden z moich ludzi zaskoczył podejrzanego typu, który skradał się po schodach prowadzących na dolny poziom i zatrzymał go. Są tam jeszcze. Właśnie tam idę.

- Zaraz będę.

Wpadł do pokoju jak burza.

- Siedzicie tu i nie ruszajcie się. Nikomu poza mną nie otwierajcie.

Zostawił ich samych osłupiałych i przerażonych. Jednym ruchem otworzył i zatrzasnął drzwi wejściowe. Windy nie było na piętrze. Nie miał czasu czekać na” kabinę. Wybiegł na schody i zaczął zeskakiwać po dwa stopnie.

Dotarł do holu dokładnie w tym samym momencie, kiedy z ulicy przez przeszkłone drzwi wchodził Hulot z Morellim. Umundurowany funkcjonariusz stał przed drzwiami otwartymi na prowadzące na dół schody.

Wszyscy razem zeszli niżej, przy słabym świetle wbudowanych w ścianę lampek osłoniętych kratką. Frank pomyślał, że wszystkie domy w Monte Carlo mają tę samą cechę. Niesamowicie zadbane fasady i marne, pochowane detale. Na dole było gorąco i czuć było odór śmieci.

Funkcjonariusz poprowadził ich dalej. Tuż za załomem znaleźli innego funkcjonariusza stojącego nad siedzącym na ziemi mężczyzną, opartym o ścianę, z rękami na plecach. Policjant miał na czole okulary na podczerwień do patrzenia w nocy.

- Wszystko dobrze, Thierry?

- Cóż, komisarzu, ja...

- Och nie, Chryste!

Krzyk Franka przerwał słowa policjanta.

Siedzący na ziemi mężczyzna był rudowłosym dziennikarzem, tym, którego widział przed siedzibą policji, kiedy odkryto ciało Yoshidy. Tym samym, którego spotkał potem przed domem Jean-Loup Verdiera.

- To jest dziennikarz, cholera jasna! Reporter skorzystał z okazji, żeby się odezwać.

- Oczywiście, że jestem dziennikarzem. Nazywam się René Coletti, jestem z „France Soir”. Powtarzam to temu zakutemu łbu od dziesięciu minut. Gdyby pozwolił mi wyjąć legitymację z kieszeni, uniknęlibyśmy tego całego zamieszania.

Hulot był rozwścieczony. Przykucnął przed Colettim. Frank obawiał się, że chce go uderzyć. Gdyby tak się stało, zrozumiałby to i bronił go przed sądem ludzkim i Bożym.

- Gdybyś siedział na swoim miejscu, nic by ci się nie przytrafiło, cholerny sukinsynie. Jeśli chcesz wiedzieć, jesteś w tarapatach.

- Ach tak? A pod jakim zarzutem?

- Chwilowo, utrudniania śledztwa. Potem, w spokoju, znajdziemy coś jeszcze. Nie wystarczy, że zapieprzamy jak nieprzytomni, to musimy się jeszcze potykać o was, dziennikarzy, i zapieprzać podwójnie.

Hulot wstał. Dał znak dwóm funkcjonariuszom.

- Podnieście go i zabierzcie stąd.

Dwaj policjanci pomogli Colettiemu wstać. Mrucząc pod nosem groźby o dziennikarskich retorsjach, reporter podniósł się z trudem na nogi. Miał ślad otarcia na czole, w miejscu, którym prawdopodobnie uderzył o ścianę. Z aparatu fotograficznego wiszącego na szyi wypadł obiektyw. Frank ujął Hulota za ramię.

- Nicolas, wracam na górę.

- Idź, ja się zajmę tym idiotą.

Frank wrócił tą samą drogą. Czuł rozczarowanie, które gniotło mu żołądek jak kamień młyński. Rozumiał gniew Hulota. Cała ich praca, oczekiwanie w radiu, wysiłek rozszyfrowania informacji, rozstawienie ludzi, zasadzka, zostały udaremnione przez tego kretyna dziennikarza z jego aparatem fotograficznym. Przez niego zdemaskowali swoją obecność. Jeśli morderca rzeczywiście zamierzał zaatakować Roby'ego Strickera, teraz musiał zmienić plany. Dobrze, że uniknęli kolejnej ofiary, ale jednocześnie stracili wszelką możliwość schwytania go.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się na piątym piętrze, Frank wysiadł i zapukał do mieszkania Strickera.

- Kto tam?

- To ja, Frank.

Drzwi otworzyły się i Frank wszedł do środka. Roby Stricker musiałby długo popracować na plaży i w solarium, żeby zlikwidować bladeść na swojej twarzy. Malva Reinhart nie wyglądała lepiej. Siedziała na kanapie i jej oczy zdawały się jeszcze większe i jeszcze bardziej fiołkowe przy woskowej barwie twarzy.

- Co się stało?

- Nic. Nic, czym należałoby się przejmować.

- Aresztowaliście kogoś?

- Tak, ale to nie jest osoba, której szukaliśmy.

W tym momencie znów rozległ się dźwięk krótkofalówki. Frank wyjął ją zza paska. Po biegu, jaki wykonał na schodach, zdziwił się, że jeszcze tam jest.

- Tak.

Dotarł do niego głos Hulota. Głos, który nie wróżył nic dobrego.

- Frank, tu Nicolas. Mam dla ciebie złą wiadomość.

- Jak złą?

- Bardzo, bardzo złą. Nikt znów nas przechytrzył, Frank. Na całej linii. To nie Roby Stricker był celem.

Frank czuł, że nadchodzi dla nich wszystkich najgorszy moment.

- Znaleziono właśnie ciało Gregora Yatzimina, tancerza. W takim samym stanie jak pozostałe trzy.

- Cholera!

- Za minutę jestem przed bramą.

- Już idę.

Frank ścisnął krótkofalówkę i przez chwilę miał ochotę rzucić nią o ścianę. Gniew ciążył mu w żołądku jak granitowy blok. Stricker dogonił go w przedpokoju. Był mocno zdenerwowany, do tego stopnia, że nie zauważył, jak wstrząśnięty jest Frank.

- Co się dzieje?

- Muszę iść.

Chłopak popatrzył na niego przerażony.

- Znowu. A my?

- Wam już nic nie grozi. To nie ty byłeś celem.

- Co? Nie ja byłem celem?

Napięcie puściło i uczucie ulgi zmusiło Strickera, by oparł się o ścianę.

- Nie. Właśnie znalezione następną ofiarę.

Pewność zażegnanego niebezpieczeństwa pomogła Strickerowi przejść od emocji do oburzenia.

- Chcesz powiedzieć, że przyprawiliście nas o zawał serca tylko po to, żeby powiedzieć nam teraz, że to była pomyłka? Że kiedy popisywaliście się tutaj, tamten krążył sobie spokojnie i mordował kogoś innego? Niezłe gównu. Kiedy dowie się o tym mój ojciec, zrobi...

Frank wysłuchał początku tego wybuchu w milczeniu. Słowa Strickera miały, niestety, w sobie niezaprzeczną przesłankę prawdy. Tak, znów ich wykołowano. Jak kretynów. Jednak zrobił ich w konia ktoś, kto ryzykował, kto wychodził z domu i toczył swoją bitwę, choć była ona nikczemna. Nie mógł jednak znieść, że mówi to ten nieudacznik po tym, jak na wszelkie sposoby próbowali ocalić jego dyskusyjną

egzystencję. Lód, który Frank miał w sobie, zamienił się nagle w parę i eksplodował z całą siłą. Złapał faceta za jądra i ścisnął gwałtownie.

- Posłuchaj no, fiucie...

Stricker śmiertelnie pobladł i przywarł do ściany, z głową odwróconą w bok, jakby chciał uniknąć piorunującego wzroku Franka.

- Jeśli nie zamkniesz pyska, będziesz mógł obejrzeć swoje zęby, nie patrząc w lustro.

Jeszcze raz ścisnął z całej siły jaja Strickera, który skrzywił się z bólu. Frank kontynuował tym samym syczącym głosem.

- Gdyby to ode mnie zależało, chętnie zostawiłbym cię w rękach tego rzeźnika, pieprzony łajdaku. Jeśli przeznaczenie potraktowało cię łaskawie, nie prowokuj losu i nie szukaj kłopotów.

Zwolnił uchwyt. Twarz Strickera zaczęła powoli odzyskiwać normalny kolor. Frank zobaczył, że ma wilgotne oczy.

- Teraz idę. Jak słyszałeś, mam ważniejsze sprawy. Pozbądź się tej dziwki i czekaj tu na mnie. Musimy jeszcze pogadać sam na sam. Musisz mi wyjaśnić kilka szczegółów dotyczących twoich kontaktów tu, w Monte Carlo...

Frank odsunął się od Strickera, który zaczął się powoli osuwać wzdłuż ściany, aż usiadł na ziemi. Ujął głowę w ręce i zaczął płakać.

- A jeśli tymczasem chcesz zadzwonić do papcia, proszę bardzo.

Odwrócił się i otworzył drzwi, zostawiając szlochającego chłopaka na podłodze. Wyszedł na korytarz i kiedy czekał na windę, pożałował, że nie miał czasu poprosić Strickera o wyjaśnienie pewnego szczegółu. Czekał na okazję, żeby zostać z nim sam na sam, ale wtedy zadzwonił Nicolas.

Wróci potem, na spokojnie. Chciał dostać informacje na temat osoby, która rozmawiała z nim i Malva Reinhart przed klubem Jimmy'z i która oddaliła się, widząc, że nadchodzą. Frank chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiał Roby Stricker z kapitanem armii Stanów Zjednoczonych, Ryanem Mosse'em.

33

Podróż do domu Gregora Yatzimina była krótka i długa jednocześnie.

Frank, siedząc na fotelu pasażera, słuchał tego, co Nicolas Hulot mówił mu ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Jego twarz była milczącą maską gniewu.

- Myślę, że wiesz, kim jest Gregor Yatzimin...

Milczenie Franka oznaczało twierdzenie.

- Mieszka... mieszkał tu w Monte Carlo i kierował Kompanią Baletową. Ostatnio miał problemy ze wzrokiem.

Frank nagle podskoczył, jakby nie słyszał Hulota.

- W momencie, kiedy padło jego nazwisko, zrozumiałem, jacy byliśmy głupi. Powinniśmy byli przewidzieć, że ten skurwysyn posunie się dalej. Pierwsza wskazówka, Kobieta i mężczyzna, była względnie łatwa, właśnie dlatego, że była pierwsza. Ten łajdak musiał nam podsunąć klucz do lektury. Samba Pa Ti była wyraźnie trudniejsza. To oczywiste, że trzeci fragment miał być jeszcze bardziej skomplikowany. I nawet nam to zapowiedział.

Hulot nie był w stanie śledzić rozumowania Amerykanina.

- W jakim sensie nam to zapowiedział?

- *Loop*, Nicolas. *Loop*, który się kręci, kręci, kręci. Pies, który biega za własnym ogonem. Zrobił to celowo.

- Celowo, żeby, co?

- Dał nam wskazówkę, która mogła zostać źle zrozumiana, o podwójnej interpretacji. Postawił nas w sytuacji, w której biegaliśmy za naszym własnym tyłkiem. Wiedział, że dojdziemy do Roby'ego Strickera, poprzez angielskie nazwisko didżeja, poprzez dyskoteki *No Nukes*. Kiedy my zaangażowaliśmy wszystkie siły policji, żeby chronić tego typa, zostawiliśmy mu pełną swobodę w zaatakowaniu jego prawdziwej ofiary...

Hulot dokończył za niego.

- Gregor Yatzimin, rosyjski tancerz, który tracił wzrok w wyniku promieniowania po awarii elektrowni jądrowej w Czarnobylu w 1986 roku. „Dance” nie odnosiło się do muzyki dyskotekowej, ale do tańca. A „*Nuclear Sun*” to rdzeń reaktora w Czarnobylu.

- Właśnie. Ale z nas durnie. Powinniśmy byli wiedzieć, że nie może to być takie proste. I teraz mamy kolejną ofiarę na sumieniu.

Frank uderzył pięścią w obudowę tablicy rozdzielczej.

- Cholerny, pieprzony skurwysyn!

Hulot doskonale rozumiał stan ducha Franka. On czuł się tak samo. Też chętnie wrzeszczałby i walił pięściami w ścianę. Albo w twarz tego mordercy, bez końca, dopóki nie stałaby się krwawą maską, jak twarze jego ofiar. Zarówno on, jak i Frank byli policjantami z dużym doświadczeniem i na pewno nie byli głupi. A teraz mieli wrażenie, że ich przeciwnik trzyma ich cały czas pod kontrolą i porusza nimi zręcznie jak pionkami na szachownicy.

Niestety, każdy rzetelny policjant, podobnie jak lekarz, nie myśli nigdy o wszystkich istnieniach, które udało mu się ocalić. Pamięta tylko o tych, które stracił. Nie mają tu nic do rzeczy pochwały lub oskarżenia prasy, zwierzchników czy też społeczeństwa. To sprawa osobista, rozmowa, jaką każdy, przeglądając się rano w lustrze, podejmuje w tym samym miejscu, w którym przerwał ją poprzedniego wieczoru.

Samochód zatrzymał się przed elegancką kamienicą przy avenue Princesse Grace, zaraz za Jardin Japonais. Sceneria była taka jak zwykle. W ostatnim czasie widywali ją zbyt często i nie chcieli zobaczyć również tej nocy. Wozy ekipy technicznej i lekarza sądowego stały już przed domem. Drzwi wejściowych strzegło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Przybyło już też kilku dziennikarzy. Za chwilę nadciągną pozostali. Hulot i Frank wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę Morellego, który czekał na nich przy wejściu. Jego twarz była fragmentem brakującym do puzzli wścieklej, ogólnej frustracji.

- Jak jest, Morelli? - zapytał Hulot, kiedy wchodzili razem do budynku.

Morelli wskazał ręką windę.

- Jak zwykle. Głowa odarta ze skóry, napis: *Ja zabijam...*, narysowany krwią. Te same okoliczności, co poprzednio, mniej więcej...

- Co znaczy mniej więcej?

- Że tym razem ofiara nie została zaszytych. Morderca zabił ją strzałem z pistoletu, zanim...

- Strzałem z pistoletu? - przerwał mu Frank z niedowierzaniem. - Strzał z pistoletu w środku nocy powoduje niezły huk. Ktoś chyba coś słyszał.

- Nic. Nikt nic nie słyszał.

Winda zjechała na dół tak cicho, jak jest to możliwe tylko w luksusowych rezydencjach. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Wsiedli.

- Ostatnie piętro - powiedział Morelli do Hulota, który stał z palcem zawieszonym przed tablicą z przyciskami.

- Kto znalazł ciało?

- Sekretarz Yatzimina. Sekretarz i powiernik. Myślę, że był także jego kochankiem. Wyszedł z grupą przyjaciół ofiary, z tancerzami z Londynu. Yatzimin nie miał ochoty iść z nimi i nalegał, żeby poszli sami.

Wjechali na ostatnie piętro i drzwi windy rozsunęły się na dobrze naoliwionych szynach. Wejście do apartamentu Yatzimina było szeroko otwarte, wszystkie światła zapalone. Panował zamęt typowy dla scen zbrodni. Ekipa techniczna wykonywała swoją pracę, podczas gdy ludzie Hulota przeczesywali starannie cały dom.

- Tędy.

Morelli wskazał drogę. Przeszli przez luksusowo urządzone mieszkanie, dotarli do drzwi sypialni dokładnie w chwili, kiedy wychodził z niej lekarz sądowy. Hulot stwierdził z ulgą, że to nie Lassalle, tylko Coudin. Jego obecność oznaczała, że na górze byli niespokojni, bardzo niespokojni, jeśli zakłócili odpoczynek numerowi jeden. W okopach musiało się na pewno rozpętać piekło telefonów.

- Dzień dobry, komisarzu Hulot. Nicolas przypomniał sobie, która godzina.

- To prawda, ma pan rację, doktorze. Dzień dobry. Podejrzewam jednak, że nie będzie on dobry, przynajmniej dla mnie. Co mi pan powie?

- Nic sensacyjnego. Mam na myśli pierwsze oględziny. Natomiast jeśli chodzi o typologię zbrodni, to zupełnie co innego. Może tymczasem chce pan rzucić okiem...

Ruszyli za Frankiem, który wszedł już do pokoju. Wszystkim zmroził krew w żyłach widok, który mieli przed oczami. Już to widzieli w innych okolicznościach, ale do czegoś takiego trudno przywyknąć.

Gregor Yatzimin leżał na łóżku z rękami skrzyżowanymi na piersiach, w pozycji, w jakiej zazwyczaj układa się zmarłych. Gdyby nie straszliwie okaleczona głowa, można było pomyśleć, że jakiś przedsiębiorca pogrzebowy ułożył w ten sposób

zwłoki na łóżku w oczekiwaniu na pochówek. Na ścianie, jak zwykle szydery, napis skreślony szaleństwem i krwią.

Ja zabijam...

Wszyscy stanęli w milczeniu w obliczu śmierci. W obliczu tej śmierci. Kolejna zbrodnia bez motywu, bez wytłumaczenia, chyba że w chorym umyśle sprawcy, który się jej dopuścił. Gniew był teraz palącym ostrzem, tnącym nie mniej niż broń mordercy i obracającym się w bolesnych ranach.

Głos inspektora Morellego wyrwał ich ze swoistego transu, w jaki popadli, jakby ujarzmeni hipnotycznym urokiem czystego zła.

- Jest tu coś innego...

- Co masz na myśli?

- Cóż, to wrażenie, ale nie ma dzikości poprzednich morderstw. Nie widać wszędzie krwi, furii. Nawet pozycja, w jakiej leżą zwłoki. Wydaje się niemal, że jest jakby... jakby szacunek dla ofiary, ot co.

- Chcesz powiedzieć, że ta bestia zdolna jest odczuwać litość?

- Nie wiem. Prawdopodobnie pałałem głupstwo, ale takie miałem odczucie, kiedy tu wszedłem.

Frank położył rękę na ramieniu Morellego.

- Masz rację, sceneria jest inna niż przy poprzednich zbrodniach. Nie sądzę, żebyś powiedział głupstwo. A gdyby nawet tak było, byłoby to tylko małe dopełnienie tych wszystkich głupot, które powiedzieliśmy i zrobiliśmy tej nocy.

Rzucili ostatnie spojrzenie na ciało Gregora Yatzimina, zwiewnego tancerza, *cygnus olor*, jak ochrzciła go krytyka na całym świecie. Również w tej żałobnej pozycji, straszliwie zniekształcone, emanowało gracją, jakby jego talent był tak wielki, że pozostał nienaruszony nawet po śmierci.

Coudin wyszedł z pokoju, a trzech pozostali za nim.

- A więc? - zapytał Hulot, nie żywiąc jednak większych nadziei.

Lekarz sądowy wzruszył ramionami.

- Nic specjalnego. Poza okaleczeniem twarzy, które według mnie zostało dokonane przy użyciu odpowiedniego narzędzia tnącego, skalpela, jak przypuszczam, niewiele więcej można stwierdzić. Badanie ran na twarzy powinno się odbyć w bardziej stosownym miejscu, choć mogę powiedzieć na pierwszy rzut oka, że praca wykonana została z dużą biegłością.

- No właśnie, nasz przyjaciel ma już pewną praktykę.

- Śmierć nastąpiła w wyniku strzału z broni palnej, z bliskiej odległości. Również tutaj, mogę na razie tylko przypuszczać, że chodzi o duży kaliber, na przykład 9. Strzał w serce, śmierć niemal natychmiastowa. Z temperatury ciała wnioskuję, że nastąpiła około dwóch godzin temu.

- Dokładnie wtedy, kiedy traciliśmy czas z tym durniem Strickerem - wycedził Frank półgłosem.

Hulot popatrzył na niego, potwierdzając, że wszyscy są tego samego zdania.

- Gotowe - uciął krótko Coudin. - Jeśli o mnie chodzi, możecie zabrać ciało. Jak najszybciej dostarczę wam wyniki autopsji.

Hulot nie miał co do tego. żadnej wątpliwości. Prawdopodobnie wzięli w niezłe obroty również Coudina. A było to nic wobec tego, czego on mógł się spodziewać.

- Dobrze, doktorze. Dziękuję. Udanego dnia.

Lekarz popatrzył na komisarza, szukając śladów ironii. Odnalazł matowe spojrzenie człowieka przegranego.

- Panu również, komisarzu. Powodzenia.

Obydwaj dobrze wiedzieli, jak bardzo go potrzebuje. Coudin odszedł, a po chwili zjawili się dwaj pracownicy po ciało. Hulot dał im znak głową, wkroczyli do pokoju, rozwijając worek do transportu zwłok.

- Morelli, pogadajmy z tym sekretarzem.

- Ja tymczasem się rozejrzę - powiedział Frank pogrążony w myślach.

Hulot ruszył za Morellim w głąb korytarza, po prawej stronie sypialni. Mieszkanie było bardzo harmonijnie podzielone na część dzienną i nocną. Minęli pokoje obwieszane plakatami z występów nieszczęsnego pana domu. Sekretarz Gregora Yatzimina siedział w kuchni w towarzystwie jednego z funkcjonariuszy.

Po zaczerwienionych oczach łatwo było poznać, że płakał. Był nieledwie chłopcem o kruchej budowie, jasnej cerze i włosach koloru piasku. Na stole przed nim stało pudełko chusteczek i kieliszek z bursztynowym płynem. Hulot pomyślał, że to koniak.

Kiedy zobaczył, jak wchodzi, wstał.

- Jestem komisarz Hulot. Proszę siedzieć, panie?...

- Boris Devchenko. Jestem sekretarzem Gregora. Ja...

Mówił po francusku z silnym słowiańskim akcentem. Łzy znowu napłynęły mu do oczu, kiedy siadał z powrotem na krześle. Pochylił głowę i wyjął po omacku chusteczkę.

- Wybaczcie mi, ale to takie straszne...

Hulot wziął krzesło i usiadł naprzeciwko niego.

- Nie musi pan za nic przepraszać, panie Devchenko. Proszę się uspokoić, o ile to możliwe. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Devchenko podniósł gwałtownie zalaną łzami twarz.

- Ja tego nie zrobiłem, panie komisarzu. Wyszedłem z przyjaciółmi, mogą to potwierdzić. Ja kochałem Gregora, nie byłbym nigdy zdolny do czegoś... do czegoś takiego.

Hulot poczuł ogromną życzliwość dla tego chłopca. Morelli miał rację. Prawie na pewno ci dwaj byli kochankami. Nie miało to żadnego znaczenia dla jego dociekań. Miłość jest miłością, jakkolwiek by się objawiała. On sam miał okazję stwierdzić, że pary homoseksualne przeżywają swoje historie miłosne z delikatnością uczuć rzadko spotykaną u konwencjonalnych par.

Uśmiechnął się do niego.

- Bądź spokojny, Boris, nikt o nic pana nie oskarża. Potrzebuję tylko wyjaśnień, żeby zrozumieć, co stało się w tym domu tej nocy, to wszystko.

Boris Devchenko trochę się uspokoił na wieść, że nikt nie przedstawia mu oskarżeń.

- Wczoraj po południu przyjechali przyjaciele z Londynu. Miał być też Roger Darling, choreograf, ale w ostatniej chwili coś zatrzymało go w Anglii. Dorosłego Billy'ego Elliota miał początkowo grać Gregor, ale jego wzrok drastycznie się pogorszył...

Hulot przypomniał sobie, że widzieli ten film z Céline w letnim kinie.

- Pojechałem po nich na lotnisko w Nicei. Przyjechaliśmy tutaj i zjedliśmy kolację w domu. Ja ją przygotowałem. Potem zaproponowaliśmy Gregorowi wyjście, ale on nie czuł się na siłach. Bardzo się zmienił, odkąd stan jego oczu się pogorszył...

Spojrzał na komisarza, który skinął głową na znak, że zna historię Gregora Yatzimina. Promieniowanie w Czarnobylu spowodowało u niego nieodwracalne zwyrodnienie nerwu wzrokowego, które prowadziło do całkowitej ślepoty. Jego kariera została przerwana, kiedy stało się oczywiste, że nigdy już nie będzie się mógł poruszać po deskach scenicznych.

- Wyszliśmy, a on został sam. Może gdybym został w domu, on by wciąż żył.

- Proszę się zbytnio nie obwiniać. Nic nie mógłby pan zrobić w przypadku takim jak ten.

Hulot nie uznał za stosowne podkreślić, że gdyby został w domu, z dużym prawdopodobieństwem zamiast jednego trupa mieliby dwa.

- Czy nie zauważył pan czegoś nietypowego w ostatnich dniach? Jakiejś osoby spotkanej przypadkiem o raz za dużo, dziwnego telefonu, niecodziennego szczegółu, czegokolwiek...

Devchenko sam był zbyt zrozpaczony, żeby dostrzec nutę desperacji również w głosie Hulota.

- Nie, nic. Zresztą cały czas zajmowałem się Gregorem i pochłaniało mnie to całkowicie. Opieka nad prawie ślepyim człowiekiem jest bardzo absorbująca.

- Czy macie służbę?

- Nikogo na stałe. Jest kobieta, która przychodzi codziennie sprzątać, ale wychodzi po południu.

Hulot spojrzał na Morellego.

- Weźcie nazwisko tej osoby, choć jestem pewien, że nic z tego nie wyniknie. Panie Devchenko...

Ton głosu komisarza zmiękł, kiedy ponownie zwracał się do chłopaka.

- Prosilibyśmy, żeby wstąpił pan do komisariatu w celu podpisania zeznań i żeby był pan do naszej dyspozycji przy rozwiązywaniu tej sprawy. Gdyby mógł pan nie opuszczać miasta, byłibyśmy naprawdę zobowiązani.

- Oczywiście, komisarzu. Zrobię wszystko, byleby ten, kto zabił Gregora, za to zapłacił.

Ton, jakim wymówił te słowa, nie pozostawiał wątpliwości, że gdyby został w domu, Boris Devchenko zaryzykowałby życie dla ocalenia Gregora Yatzimina. I straciłby je.

Hulot wstał i zostawił Morellego przesłuchującego Devchenkę. Wrócił do salonu, gdzie brygada kryminalistyczna kończyła zabezpieczanie śladów. Wyszło mu naprzeciw dwóch funkcjonariuszy.

- Komisarzu...

- O co chodzi, chłopcy?

- Byliśmy u sąsiadów z niższego piętra. Nikt nic nie widział i nie słyszał.

- A jednak strzał padł.

- Para mieszkająca bezpośrednio pod tym apartamentem to dwoje starszych ludzi. Biorą środki nasenne. Mówią, że nie słyszą nawet ogni sztucznych, kiedy są Mistrzostwa Świata, co dopiero strzału. Naprzeciw nich mieszka samotna kobieta, też

dosyć wiekowa. W tej chwili nie ma jej w mieście, a mieszkanie zajmuje wnuczek z Paryża, chłopak dwudziestodwu-, może dwudziestotrzyletni. Całą noc włóczył się po dyskotekach. Wracał do domu właśnie w chwili, kiedy dzwoniliśmy do drzwi. Rzecz jasna, nic nie widział ani nie słyszał.

- A mieszkanie obok?

- Jest do wynajęcia. Obudziliśmy portiera i kazaliśmy dać sobie klucze. Jest prawdopodobne, że morderca wszedł tamtędy i przeskoczył przez balkon, który sąsiaduje z balkonem tego mieszkania. Nie ma jednak śladów włamania. Nie wchodziliśmy, żeby nie zatrzeć odcisków. Pójdzie tam ekipa techniczna, jak tylko skończy tutaj.

- Dobrze - powiedział Hulot.

Frank wrócił ze swojego obchodu. Hulot podejrzewał, że zrobił to, by zostać na chwilę sam i ostudzić trochę swój gniew. A przede wszystkim zastanowić się. Prawdopodobnie wyobrażał sobie, że nie znajdą w całym domu żadnego śladu mordercy. To, co właśnie zrobił, było analizą związaną z podświadomym instynktem, z tym, czym czasami miejsce zbrodni emanuje poza prostym i normalnym postrzeganiem zmysłowym.

W tej chwili z kuchni wyszedł również Morelli.

Patrzyli na niego w milczeniu, czekając na ciąg dalszy.

- Nigdzie nie ma śladu krwi, tylko nieliczne plamy na narzucie. Ani jednego śladu. I kto by powiedział, że taka praca, jak mieliśmy już okazję mimo woli zauważyć, pozostawia po sobie sporo krwi.

Frank wrócił do siebie. Wydawało się, że porażka tej nocy nie zrobiła na nim większego wrażenia, choć Nicolas wiedział doskonale, że to nieprawda. Nikt nie może szybko zapomnieć, że miał szansę ocalić ludzkie życie i nie zdołał tego uczynić.

- Nasz człowiek wysprzątał dokładnie dom, kiedy skończył to, co miał do zrobienia. Jestem pewien, że gdyby zbadać mieszkanie luminolem, ślady krwi na pewno by się pojawiły.

- Dlaczego, według ciebie? Dlaczego nie chciał zostawić śladów krwi?

- Nie mam zielonego pojęcia. Może sprawy mają się tak, jak powiedział Morelli.

- Zastanawiam się, czy taka bestia jak on mogła czuć coś na kształt litości wobec Gregora Yatzimina. Czy to mogło być powodem.

- To nic nie zmienia, Nicolas. Jest to możliwe, choć nie ma najmniejszego znaczenia. Mówią, że nawet Hitler bardzo kochał swego psa, a przecież...

Zamilkli, kierując się do wyjścia z mieszkania. Przez otwarte drzwi zobaczyli na szerokim korytarzu asystentów lekarza sądowego, którzy zapakowali ciało Yatzimina do ceratowego worka, a teraz wsiadali do windy, żeby nie nieść zwłok po schodach przez sześć pięter.

Na zewnątrz było już jasno. Wstawał nowy dzień, bliźniaczy brat wszystkich dni, które przeżyli, odkąd zaczęła się ta historia. Pod domem Gregora Yatzimina spotkają na pewno las dziennikarzy. Wejdą w gąszcz pytań wyrzucanych jak kule armatnie, którym oni przeciwstawią artylerię przeciwlotniczą swoich *no comment*. Zwierzchnicy Hulota wręcz eksplodują. Roncaille straci trochę swojej opalenizny, a przezroczysta skóra Duranda nabierze pięknej barwy jaszczurze) zieleni. Kiedy schodzili do wyjścia, Frank Ottobre myślał, że ktokolwiek ciśnie w nich kamieniem, będzie miał przekłętą rację.

34

Frank zaparkował peugeota Nicolasa Hulota przed domem Roby'ego Strickera na niedozwolonym miejscu. Wyjął ze schowka plakietkę „Samochód policyjny na służbie” i położył ją na tylnej szybie pod wycieraczką. Wsiadł z auta, kiedy funkcjonariusz zbliżał się już, żeby kazać mu go przestawić. Zobaczył znak, zanim jeszcze rozpoznał Franka. Podniósł prawą rękę, jakby dla potwierdzenia, że wszystko w porządku.

Frank pozdrowił go milczącym skinieniem głowy.

Przeszedł przez ulicę i ruszył w stronę Les Caravelles.

Zostawił komisarza i Morellego na pastwę dziennikarzy, którzy zlecieli się jak muchy do miodu na wieść o nowym morderstwie. Ustawione przed wejściem barierki z trudem hamowały napór tłumu. Na widok Hulota i inspektora za przeszkłonymi drzwiami wejściowymi dziennikarze zaczęli nacierać, powstrzymywani z wysiłkiem przez dwóch policjantów. Wyglądało to jak powtórka sceny z portu po odkryciu ciała Jochena Weldera i Arijjane Parker, kiedy ten koszmar się zaczął.

Frankowi przywiedli na myśl szarańczę. Przemieszczali się w masie i pożerali wszystko, co spotykali na swojej drodze. Ale przecież wykonywali tylko swoją pracę. Każdy mógł zasłonić się takim wytłumaczeniem. Również morderca, który ciągał ich za sobą jak głupie barany, wykonywał swoją pracę. Żeby był przeklęty na wieki!

Rzucił okiem przez szyby, po czym zatrzymał się pośrodku holu.

- Claude, czy jest tylne wyjście?

- Oczywiście, jest wejście dla dostawców.

- Jak się tam dostanę?

Morelli wskazał punkt za jego plecami.

- Za schodami jest winda dla obsługi. Naciśnij „S” i znajdziesz się na podwórzu, obok zjazdu do garażu. Skręć w prawo, wejdź po rampie i jesteś na ulicy.

Hulot patrzył na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Frank nie uznał za stosowne niczego mu wyjaśniać. Przynajmniej chwilowo.

- Mam kilka spraw do załatwienia, Nicolas, i nie chciałbym, żeby prasa z połowy Europy deptała mi po piętach. Czy możesz pożyczyć mi samochód?

- Oczywiście. Bierz go, mnie przez jakiś czas nie będzie potrzebny.

Podał mu kluczyki, o nic nie pytając. Komisarz był tak zmęczony, że brakowało mu sił nawet na to, by rozbudziła się w nim jakaś ciekawość. Wszyscy trzej mieli zarost i wygląd ocalałych z trzęsienia ziemi, który jeszcze bardziej żalosnym czyniła świadomość, że również ta ostatnia bitwa została przegrana.

Frank zostawił ich, żeby ruszyć trasą wskazaną przez Morellego. Przeszedł piwnicą, w której czuć było pleśnią i gazem, po czym wyszedł na ulicę. Dotarł do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie avenue Princesse Grace, dokładnie za plecami grupy dziennikarzy, którzy ogłuszali pytaniami biednego Nicolasa Hulot.

Na szczęście nikt go nie zauważył.

Teraz popchnął inne szklane drzwi i znalazł się w holu budynku. Portiera nie było w dyżurce. Spojrzał na zegarek. Punkt siódma. Z trudem powstrzymał ziewnięcie. Zmęczenie tą długą nieprzespaną nocą powoli dawało o sobie znać. Najpierw audycja, potem polowanie na Roby'ego Strickera, obstawienie jego domu, złudzenia, rozczarowanie, nowe morderstwo, okaleczone ciało Gregora Yatzimina.

Za szklanymi drzwiami niebo i morze zabarwiały błękitem również początek tego nowego dnia. Pięknie byłoby o wszystkim zapomnieć i runąć na łóżko w wygodnym mieszkaniu w Parc Saint-Roman, opuścić rolety, zamknąć oczy i nie pamiętać o krwi i napisie na ścianie. *Ja zabijam...*

Przypomniał sobie nowe graffiti w sypialni Yatzimina. Jeśli go nie powstrzymają, ten łajdak nigdy nie przestanie. W pewnym momencie nie wystarczy ścian, by pomieściły te napisy, i grobów na cmentarzu, by przyjęły wszystkich zmarłych.

Nie był to jednak jeszcze czas na sen, nawet gdyby mu się udało zasnąć. Musiał jeszcze wyjaśnić tę niedokończoną sprawę ze Strickerem. Chciał wiedzieć, w jaki sposób i dlaczego Ryan Mosse skontaktował się z nim, choć mógł to sobie wyobrazić. Musiał zrozumieć, jak bardzo śledztwo generała jest do przodu lub do tyłu w stosunku do ich dochodzenia i czego mogą się spodziewać z jego strony.

Rozejrzał się dokoła. W tejże chwili portier wyszedł z drzwi swojej stróżówki, zapinając guziki marynarki. Podszedł do Franka, przełykając pospiesznie kęs, który

właśnie przeżuwał, zaskoczony in flagranti na przestępstwie spożywania śniadania. Wszedł do dyżurki i popatrzył na niego zza szyby.

Miał około czterdziestki, wąsy i ciemne włosy, wygląd niezbyt bystry, ale z ową odrobiną wyniosłości kogoś, kto pracuje w miejscu zamieszkanym przez zamożne osoby.

- Czego pan sobie życzy?

- Ja do Roby'ego Strickera.

- Pan Stricker o tej porze śpi.

Frank wyciągnął odznakę z kieszeni marynarki. Zrobił to tak, żeby portier zobaczył pistolet przypięty do paska spodni.

- A to znaczy, że teraz go pan obudzi.

Portier natychmiast zmienił postawę. Ilość przelkniętej śliny zdawała się dużo większa od kęsa, który miał przed chwilą w ustach, ale pozbył się jej dużo szybciej. Podniósł słuchawkę domofonu i wystukał numer nerwowym ruchem. Pozwolił mu długo dzwonić, zanim stwierdził:

- Nie odpowiada.

Dziwne. Po tej serii dzwonekó nawet gdyby spał, Roby Stricker musiałby się obudzić. Frank nie uważał go za tak zdeterminowanego, żeby mógł uciec. Myślał, że na tyle go przestraszył, iż powinno go to powstrzymać od wszelkich ryzykownych ruchów. Gdyby jednak tak się stało, byłaby to pewna komplikacja, ale nie katastrofa. W razie potrzeby błyskawicznie odnaleźliby tego skurwiela. Nawet gdyby się ukrył za wszystkimi książkami palestry, których ojciec był w stanie mu kupić.

- Proszę spróbować jeszcze raz.

Portier wzruszył ramionami.

- Cały czas dzwonię, ale nikt nie odpowiada.

Franka uderzyło nagle straszne przecucie. Wyciągnął rękę do portiera.

- Proszę mi dać *passe-partout*.

- Ależ ja nie jestem upoważniony do...

- Proszę mi go dać. Jeśli to nie wystarczy, mogę go od pana zażądać w dużo mniej uprzejmy sposób - przerwał mu gwałtownie Frank. Ton jego głosu nie dopuszczał sprzeciwu. Podobnie jak jego spojrzenie. Portier znów przelknął ślinę.

- A potem proszę wyjść na ulicę i powiedzieć stojącemu tam funkcjonariuszowi, żeby natychmiast przyszedł do mieszkania Roby'ego Strickera.

Biedak otworzył szybko szufladę i wręczył mu klucz przyczepiony do breloczka bmw. Podniósł się powoli z krzesła.

- Niech pan idzie! - ponaglił go Frank.

Sam ruszył w stronę windy i ściągnął kabinę.

Dlaczego windy nigdy nie są tam, gdzie ich potrzebujesz? I dlaczego zawsze na ostatnim piętrze, kiedy się spieszysz? Niech będzie przeklęty Murphy i jego prawo...

Drzwi wreszcie się rozsunęły i Frank wsiadł do windy. Szybko nacisnął numer piętra, na którym mieszkał Stricker.

Przez wieczność, którą trwał ten wjazd, miał nadzieję, że się pomylił. Że to, co przemknęło mu przez głowę jak błyskawica podejrzenia, nie stanie się szyderczą rzeczywistością.

Kiedy dotarł na piąte piętro, winda otworzyła się z tym samym miękkim szelestem i Frank zobaczył, że drzwi mieszkania playboya są uchylone. Dopadł do nich jednym skokiem. Wyciągnął glocka, pchnął lufą drzwi, żeby nie dotknąć gałki klamki i wszedł.

Hol był jedynym uporządkowanym pomieszczeniem. Salon, w którym wcześniej przebywał ze Strickerem i dziewczyną, pozostawał w całkowitym nieładzie. Zasłona na oknie była częściowo zerwana z karnisza i wisiała opuszczona do połowy jak flaga poddającego się wojska. Na ziemi leżała szklanka, a butelka whisky rozbita była w drobiazgi na perłowoszarym dywanie.

Zawartość rozlała się na podłogę, zostawiając dużą, ciemną plamę. Ze ściany spadł obraz, odsłaniając mały sejf. Szkło odpadło, ale o dziwo nie potłukło się i leżało obok przekrzywionej ramy. Z kanapy spadła poduszka i leżała teraz obok oparcia. W pokoju nie było nikogo.

Frank minął salon i skręcił w prawo, w krótki korytarz prowadzący do sypialni. Po lewej stronie znalazł otwarte drzwi do pustej łazienki. Przynajmniej ona zdawała się nietknięta. Dotarł na próg sypialni i poczuł, że braknie mu tchu.

- Gówno, gówno, po tysiącokroć gówno - powiedział i miał ochotę kontynuować dzieło zniszczenia, którego ktoś dokonał w tym domu.

Frank postąpił krok naprzód, uważając, gdzie stawia stopy. Pośrodku pokoju, skulone na marmurowej posadzce, w kałuży krwi leżały zwłoki Roby'ego Strickera. Miał na sobie tę samą koszulę co poprzednio, tyle że teraz była cała nasiąknięta krwią i przyklejona do ciała. Na plecach widniały ślady wielu ciosów nożem. Na twarzy miał

wybroszyny i głębokie cięcie na lewym policzku. Krew spłynęła i zalała mu usta. Lewe ramię było złamane, wygięte w nienaturalny łuk.

Frank pochylił się i dotknął jego szyi. Żadnego uderzenia. Roby Stricker był martwy. Frank podniósł się, a łzy wściekłości mgliły mu wzrok.

Drugi trup. Tej samej nocy. Kolejne cholerne morderstwo kilka godzin po pierwszym. Przeklął w duchu świat, dzień, noc i swój los poławiacza upiorów. Przeklął Nicolasa, który wciągnął go do tej historii, siebie samego za to, że pozwolił mu to zrobić. Przeklął wszystko, co przychodziło mu do głowy.

Odczepił krótkofalówką od paska w nadziei, że jest w promieniu odbioru. Nacisnął przycisk połączenia.

- Frank Ottobre do Nicolasa Hulot.

Trzask, szum i w końcu głos komisarza.

- Tu Nicolas. O co chodzi, Frank?

- Teraz ja mam dla ciebie wstrząsającą wiadomość, Nic. Złą, bardzo złą nowinę.

- Co do kurwy jeszcze się stało?

- Roby Stricker nie żyje. Zamordowany w swoim mieszkaniu.

Hulot wypuścił taką wiązaną przekleństw, że aż pobladło słońce. Frank rozumiał doskonale, co czuje. Kiedy wyparował z niego pierwszy gniew, komisarz zapytał o to, co najbardziej leżało mu na sercu.

- Nikt?

- Nie wiem, zamordowany i koniec. Twarz jest na swoim miejscu i nie ma napisów na ścianach.

- Jak to wygląda?

- Powiem ci, co mogę wywnioskować na pierwszy rzut oka. Śmierć nie mogła być natychmiastowa. Został zaatakowany i zasztyletowany. Wszędzie są ślady walki i morze krwi na podłodze. Morderca uznał go za zmarłego i wyszedł, kiedy on jeszcze żył. Wyda ci się to dziwne, ale ten biedny łajdak Roby Stricker, umierając, zrobił dużo więcej, niż zdołał dokonać przez całe swoje życie...

- To znaczy?

- Zanim umarł, napisał na podłodze imię mordercy.

- Znamy go?

Frank zniżył trochę głos, jakby chciał, by Hulot łatwiej strawił to, co mu powie.

- Ja go znam. Gdybym był na twoim miejscu, zadzwoniłbym na Duranda i kazał wydać nakaz aresztowania Ryana Mosse'a, kapitana armii Stanów Zjednoczonych.

35

Drzwi się otworzyły i Morelli wszedł do małego pokoju bez okien i zbędnych sprzętów.

Podszedł do stołu pokrytego szarym laminatem, przy którym siedzieli Frank i Nicolas Hulot. Położył na blacie przed nimi pakiet czarno-białych zdjęć, wilgotnych jeszcze od druku. Frank wziął je do ręki, przerzucił, wybrał jedno i z powrotem położył na stole, przodem do siedzącego naprzeciw mężczyzny. Wychylając się do przodu, pchnął zdjęcie aż na drugi koniec stołu.

- O proszę. Zobaczmy, czy to coś panu mówi, kapitanie Mosse?

Ryan Mosse, który siedział w kajdankach na krześle, ledwie zerknął na fotografię, jakby ta sprawa go nie dotyczyła. Znów spojrzął na Franka swoimi pozbawionymi wyrazu, orzechowymi oczami.

- I co z tego?

Ton jego głosu przyprawił o dreszcze Morellego, który tymczasem oparł się o drzwi obok wielkiego, francuskiego lustra zajmującego całą ścianę. Po drugiej stronie lustra stali Roncaille i Durand, którzy przybyli pędem do centrali na wieść o dwóch nowych morderstwach i aresztowaniu.

Frank prowadził przesłuchanie po angielsku i obydwaj mówili raczej szybko. Morelli, choć czasem gubił jakieś słowo, znał język na tyle dobrze, żeby zrozumieć, iż mężczyzna, którego aresztowali, w miejsce nerwów ma stalowe liny.

Postawiony wobec oczywistości, okazywał spokój i chłód, którego mógłby mu pozazdrościć lodowiec. Zazwyczaj, nawet najbardziej zatwardziali przestępcy, w podobnej sytuacji spuszczały z tonu i zaczynały pochlipywać. Ten wzbudzał strach swoim widokiem, choć był zakuty w kajdanki. Pomyślał o tym biedaku Robym Strickerze, który zobaczył go przed sobą z nożem w ręku. Paskudna sprawa, naprawdę paskudna. Wsunęta jak klin w jeszcze gorszą sprawę.

Morelli nie mógł zapomnieć o biednym, okaleczonym ciele Gregora Yatzimina, ułożonym na łóżku przez spóźnioną litość swojego zabójcy.

Frank oparł się o krzesło.

- Cóż, wygląda na to, że ten człowiek leżący na ziemi jest trupem. Czy nie?

- I co z tego? - powtórzył Mosse.

- Nie wydaje się panu dziwne, że obok tych zwłok napisane jest pańskie imię?

- Trzeba mieć dużo fantazji, żeby z tego bazgrołu odczytać moje imię.

Frank oparł się łokciami o blat.

- A ja powiedziałbym, że trzeba twojego pieprzonego łba, żeby go nie zobaczyć.

Mosse uśmiechnął się. Był to uśmiech kata, który podnosi dźwignię otwierającą klapę.

- Cóż to, mister Ottobre, puszczają ci nerwy?

Frank odpowiedział uśmiechem wisielca, któremu tuż przed śmiercią urwał się sznur.

- Nie, kapitanie Mosse. To tobie puściły nerwy dziś w nocy. Widziałem cię przed klubem Jimmy'z, jak rozmawiałeś ze Strickerem, kiedy po niego przyjechaliśmy. Nie wiem, jak do niego dotarłeś, ale to też zamierzam odkryć. Kiedy nas zobaczyłeś, zmyłeś się, ale niewystarczająco szybko. Jeśli chcesz, spróbuję opowiedzieć ci, co się stało potem. Obserwowałeś dom Strickera. Kiedy my stamtąd odeszliśmy, odczekałeś jeszcze trochę. Zobaczyłeś, jak wychodzi dziewczyna Strickera. Wszedłeś na górę. Kłóciliście się. Ten biedak musiał się zdenerwować, ty też, zaczęliście walczyć i pchnąłeś go nożem. Myślałeś, że nie żyje, poszedłeś sobie, a on miał jeszcze czas, żeby napisać na podłodze twoje imię.

- To wszystko twoje przywidzenia i dobrze o tym wiesz, mister Ottobre. Nie wiem, co ci dali, żeby cię wyleczyć, ale dostałeś tego wyraźnie za dużo. Widać, że mnie nie znasz...

Mosse spojrzał na niego stalowym wzrokiem.

- Kiedy postanawiam użyć przeciw komuś noża, a potem odchodzę, jestem pewny, że nie żyje.

Frank wykonał gest ręką.

- Prawdopodobnie ty także zaczynasz czasami chybiać, Mosse.

- Okej. Myślę, że mam od tej chwili prawo nie odpowiadać na żadne pytania, chyba że w obecności adwokata. Obowiązuje to także w Europie, prawda?

- Oczywiście. Jeśli chcesz adwokata, masz do niego prawo.

- Dobrze. Więc teraz obydwaj spierdalajcie. Nie powiem słowa więcej.

Mosse spuścił kurtynę. Wbił oczy w swoje odbicie w lustrze i jego wzrok stał się nieobecny. Frank i Hulot spojrzeli po sobie. Nic więcej z niego nie wyciągną. Frank zebrał zdjęcia ze stołu, wstali z krzeseł i ruszyli do drzwi. Morelli otworzył je, żeby mogli przejść, i wyszedł za nimi.

Roncaille i Durand czekali jak na rozżarzonych węglach w pokoju obok. Roncaille zwrócił się do Morellego.

- Czy zechce nas pan na chwilę zostawić, inspektorze?

- Oczywiście. Pójdę po kawę.

Morelli wyszedł i zostali we czwórkę. Za szybą lustro widać było Mosse'a, siedzącego nieruchomo pośrodku pokoju w postawie żołnierza, który wpadł w ręce wroga.

Kapitan Ryan Mosse z armii Stanów Zjednoczonych, numer książeczki wojskowej...

Durand wskazał go ruchem głowy.

- Twarda sztuka - podsumował przesłuchanie.

- Dużo więcej. Twarda sztuka, która wie, że ma każde możliwe poparcie tego świata, może mieć nawet poparcie samej

Trójcy Świętej, ale te zdjęcia bez cienia wątpliwości go przygwoźdzą.

Prokurator generalny wziął fotografię z rąk Franka i zaczął się jej przyglądać, nie wiedząc który raz z rzędu.

Widać było na nim ciało Strickera leżące na marmurowej posadzce w jego sypialni, z prawym ramieniem wygiętym pod kątem prostym, a drugą ręką opartą o podłogę. Śmierć zatrzymała go z palcem wskazującym wyciągniętym jeszcze przy napisie, który obciążał Ryana Mosse'a.

RYAN

- Jest trochę niewyraźny.

- Stricker umierał i miał złamaną lewą rękę...

Pokazał palcem na zdjęciu rękę wykrzywioną w nienaturalny sposób. Frank pamiętał zręczność, jaką Mosse wykazywał się w walce wręcz. Odczuł to na własnej skórze. Doskonale wiedział, jak zadać przeciwnikowi tego typu obrażenia.

- W domu Strickera znaleźliśmy jego zdjęcia, kiedy gra w tenisa. Widać wyraźnie, że był mańkutem. A to napisał prawą ręką. To oczywiste, że nie może być zupełnie wyrażne.

Durand wciąż wpatrywał się z zakłopotaniem w fotografię.

Frank czekał. Popatrzył na śmiertelnie zmęczonego Hulota, opartego w milczeniu o ścianę. On też czekał na to, co nastąpi.

Durand podjął w końcu decyzję. Przestał krążyć wokół tematu, tylko stawiał mu czoło, jak gdyby skrupulatne obejrzenie fotografii pozwoliło mu znaleźć właściwy sposób, by to uczynić.

- Ta historia ma szansę stać się poważnym *casus belli*. Już wkrótce wprowadzona zostanie w ruch machina dyplomatyczna, która narobi hałasu, jak samochody podczas startu Grand Prix. Jeśli zamienimy zatrzymanie kapitana Mosse'a w areszt, musimy mieć niezbite dowody, żeby się nie skompromitować. Ta historia z Nikim wystarczająco nas już ośmieszyła.

Durand chciał w ten sposób podkreślić, że natychmiastowe aresztowanie prawdopodobnego zabójcy Roby'ego Strickera w żaden sposób nie zmieniło jego osobistej interpretacji zabójstwa Gregora Yatzimina. Była to kolejna zniewaga dla policji Księstwa, odgrywającego pierwszorzędną rolę w dochodzeniu. Obecność Franka stanowiła zwykłą współpracę między organami śledczymi. Główna odpowiedzialność spoczywała cały czas na służbach bezpieczeństwa z Monako. To z nich kpiły tytuły gazet i zjadliwe komentarze telewizyjne. Frank wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi o Mosse'a, decyzja należy oczywiście do was. Co do mnie, jeśli moje zdanie coś znaczy, to, co mamy w ręku, jest więcej niż wystarczające, żeby iść dalej tym tropem, który podjęliśmy. Mamy dowód, że Ryan Mosse znał Strickera. Sam widziałem, jak rozmawiali dziś w nocy przed klubem Jimmy'z. A na fotografii widnieje jego imię. Nie wiem, co więcej trzeba...

- A generał Parker?

Frank był obecny, kiedy pojechali tego ranka do Beausoleil po kapitana. Kiedy wjeżdżali na podwórze domu wynajętego przez rodzinę Parkerów, Frank zauważył od razu, że poza kilkoma drobnymi szczegółami, budowla jest praktycznie bliźniacza w stosunku do domu, w którym mieszkał Jean-Loup. Spostrzeżenie, poczynione w locie,

zastąpione zostało natychmiast innymi troskami. Wyobrażał sobie, że generał zrobi straszną scenę, ale zdał sobie sprawę, że nie doceniał tego człowieka. Parker był zbyt sprytny, żeby się tak zachować. Przyjął ich w kompletnym stroju, jakby oczekiwał tej wizyty. Od razu przystał na ich żądanie i wezwał Mosse'a. W obliczu policjantów, którzy prosili, by udał się z nimi na komendę, Mosse napiął się jak struna i spojrzał pytająco na starego.

Czekam na rozkazy, sir.

Frank podejrzewał, że gdyby Parker go o to poprosił, Mosse rzuciłby się jak szalony na ludzi, którzy przyszli go aresztować. Generał potrząsnął tylko w niezauważalny sposób głową i napięcie opuściło ciało Mosse'a. Wyciągnął ręce do przodu i w milczeniu przyjął hańbę kajdanek.

Parker znalazł sposób, żeby zostać z Frankiem sam na sam, kiedy Mosse'a prowadzono do samochodu.

- To, co robicie, to kurewstwo i pan o tym wie, Frank.

- Obawiam się, że kurewstwem jest akurat to, co zrobił dzisiejszej nocy pański człowiek. I to bardzo dużym.

- Mógłbym zaświadczyć, że kapitan Mosse nie opuszczał tego domu od wczorajszego wieczoru.

- Jeśli pan to uczyni i okaże się, że to nieprawda, nawet sam prezydent nie zdejmie z pana oskarżenia o współnictwo i pomoc w przestępstwie. Nikt w Ameryce nie podjąłby się pańskiej obrony. Chce pan rady?

- Posłuchajmy.

- Gdybym był na pańskim miejscu, siedziałbym cicho, generale. Kapitan Mosse jest w tarapatach i nawet pan nie może go z nich wyciągnąć. Sądzę, że podręcznik taktyki wojskowej przewiduje takie sytuacje. Czasami trzeba się wycofać i pozostawić kogoś własnemu losowi, żeby uniknąć większych strat.

- Nikt nie może mi udzielać lekcji taktyki wojskowej. A tym bardziej pan. Brałem osoby twardsze, niż pan będzie kiedykolwiek, i wkładałem je jak szpargały do maszyny niszczącej dokumenty. Pan będzie tylko jednym z nich, gwarantuję panu.

- Każdy dokonuje własnych wyborów i podejmuje swoje ryzyko, generale. Jest to regułą każdej wojny, jak mi się zdaje.

Odwrócił się plecami i odszedł. Wychodząc, napotkał wzrokiem oczy Heleny, stojącej w drzwiach salonu po prawej stronie holu. Frank nie mógł powstrzymać się od myśli, że jest piękna. Zdawało się, że nagła pobudka nie zrobiła na niej żadnego

wrażenia. Nic nie mogło odebrać świetlistości jej twarzy i spojrzeniu. Blond włosy wyglądały, jakby dopiero wyszła od fryzjera, a nie wstała z łóżka.

Kiedy ją mijał, ich spojrzenia spotkały się. Frank zauważył, że jej oczy nie są błękitne, w przeciwieństwie do tego, co myślał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Były szare. I krył się w nich cały smutek świata.

Jadąc w stronę centrum, Frank oparł się o siedzenie samochodu, wbijając wzrok w plastikowe pokrycie dachu. Próbował wyrzucić z głowy dwie twarze, które w tym momencie nakładały się na siebie.

Harriet i Helena, Helena i Harriet.

Takie same oczy. Taki sam smutek.

Frank próbował myśleć o czymś innym. Kiedy wchodzili do centrali, przy rue Notari, przypomniał sobie szyderczą ironią słów generała.

Nikt nie może mi udzielać lekcji taktyki wojskowej...

Generał nie zdawał sobie sprawy, ile mimowolnej prawdy jest w tym, co powiedział. W owej chwili krążył po mieście morderca nazywany „Nikt”, który mógł takich lekcji udzielać każdemu.

- Co według pana zrobi generał Parker? - powtórzył prokurator.

Frank zorientował się, że tak głęboko zatopił się w swoich myślach, iż nie usłyszał pytania Duranda.

- Proszę wybaczyć, prokuratorze... Myślę, że Parker uczyni dla Mosse'a wszystko, co w jego mocy, ale nie wychyli się z balkonu tak bardzo, żeby z niego spaść. Na pewno zostanie w to wciągnięty konsul, ale jest pewien niezaprzeczalny fakt. Aresztowania Mosse'a dokonał agent FBI, Amerykanin. Brudy pierzemy we własnym domu. Twarz jest zachowana. Proszę nie zapominać, że jesteśmy krajem, który stworzył konstytucyjne pojęcie *impeachmentu* i miał zawsze odwagę z niego korzystać...

Durand i Roncaille popatrzyli na siebie. Rozumowanie Franka było bez zarzutu. Zdawało się, że przynajmniej od tej strony nie będzie problemów.

Durand zaczął jednak lawirować.

- Oczywiście, pańska obecność tutaj stanowi gwarancję, że wszyscy mają dobre intencje. Niestety, czasami to za mało. W tej chwili my, to znaczy policja Księstwa, potrzebujemy przede wszystkim wyników. Przypadek Roby'ego Strickera jest, jak się zdaje, faktem niemającym nic wspólnego z mordercą, na którego polujemy...

Frank czuł za swoimi plecami obecność Nicolasa Hulota. Obydwaj wiedzieli, do czego zmierza Durand. Na niebie gromadziły się ciemne chmury. Na tle tych chmur rysował się uniesiony w powietrzu topór.

- Tymczasem tej nocy mieliśmy następną ofiarę, czwartą. Nie możemy czekać beczynn timer, kiedy dosłownie wylewają na nas wiadra pomoy. Powtarzam, pańska współpraca jest niezwykle pożądana, Frank...

Łaskawie tolerowana, Durand. Tylko łaskawie tolerowana. Dlaczego nie użyjesz właściwego słowa, choć dopiero wyjąłem ci z ognia gorący kartofel w postaci generała Parkera i jego siepacza?

Durand kontynuował swoim tropem, który prowadził go na podwórko Hulota, gdzie zamierzał wywalić wóz gnoju.

- Chyba zdajecie sobie sprawę, że władze nie mogą przyglądać się takiej serii zbrodni, nie podejmując odpowiednich kroków, nawet gdyby miały być one przykre.

Frank obserwował Nicolasa. Stał oparty o ścianę, nagle zupełnie osamotniony na polu bitwy. Miał wyraz twarzy skazanego na rozstrzelanie, który odmawia opaski na oczy. Durand był na tyle przyzwoity, że patrzył mu w twarz, kiedy wydawał na niego wyrok.

- Przykro mi, komisarzu, wiem, że jest pan pierwszorzędnym policjantem, ale na tym etapie nie mogę postąpić inaczej. Jest pan zawieszony w obowiązkach.

Hulot nie zareagował. Prawdopodobnie był zbyt zmęczony. Ograniczył się do skinienia głową. Po czym dodał:

- Rozumiem, panie Durand. Z mojej strony nie ma żadnych problemów.

- Może wziąć pan urlop. Myślę, że śledztwo bardzo już pana wyczerpało. Oczywiście, dla prasy...

Hulot przerwał mu.

- Nie ma problemu, już powiedziałem. Nie musi pan osładzać pigułki. Wszyscy jesteśmy dorośli i znamy reguły gry. Prokuratura może robić w tej sprawie, co uważa za stosowne.

Jeśli Durand był zaskoczony odpowiedzią Hulota, to nie dał tego po sobie poznać. Zwrócił się do Roncaille'a. Dyrektor słuchał do tej pory w milczeniu.

- Dobrze. Od dzisiaj śledztwo przechodzi w pańskie ręce, Roncaille. Proszę mnie informować o każdym najmniejszym postępie. O każdej porze dnia i nocy. Dobrego dnia, panowie.

Prokurator Alain Durand wyprowadził swoją niepotrzebną elegancję z pokoju, zostawiając za sobą milczenie, którego z ulgą nie musiał dzielić.

Roncaille przeciągnął ręką po włosach, żeby je poprawić, choć wcale tego nie potrzebowały.

- Przykro mi, Hulot. Chętnie bym się bez tego obył.

Frank pomyślał, że słowa szefa policji były mniej okolicznościowe, niż się mogło zdawać. Temu człowiekowi było naprawdę przykro, ale nie z powodu Hulota. Teraz on znalazł się w klatce z batem w dłoni i to on miał pokazać, że umie poskramiać lwy.

- Wyśpijcie się porządnie, myślę, że obydwaj bardzo tego potrzebujecie. Potem, jak tylko będzie to możliwe, chciałbym widzieć pana w moim biurze, Frank. Jest kilka szczegółów, które chciałbym omówić.

Z takim samym pozornym spokojem co Durand, Roncaille w identyczny sposób wymknął się z pokoju. Frank i Hulot zostali sami.

- Widziałeś? Nienawidzę samego siebie, kiedy słyszę własne słowa „a nie mówiłem”. Problem w tym, że nie mogę odmówić im pewnej racji.

- Nicolas, nie sądzę, żeby Roncaille czy Durand uzyskali na naszym miejscu lepsze rezultaty. Ruszyła się polityka, a nie logika. Ja jestem jednak cały czas w środku.

- Ty. Ale co ja mam z tym wspólnego?

- Wciąż jesteś komisarzem, Nicolas. Zostałeś odsunięty od obowiązków, a nie usunięty z policji. Weź urlop, który ci zaproponowali. Będziesz miał do dyspozycji coś, czego nie ma nikt zaangażowany w to śledztwo...

- To znaczy?

- Dwadzieścia cztery godziny na dobę, które będziesz mógł poświęcić tylko temu, bez obowiązku zdawania nikomu relacji, nie tracąc czasu na pisanie raportów.

- Ten, co wychodzi drzwiami, wraca oknem, co?

- Dokładnie. Jest jeszcze coś, co musimy sprawdzić, i ty wydajesz mi się w tym momencie właściwą osobą. Jeśli o mnie chodzi, nie sądzę, żebym zauważył już ten szczegół z płytą widoczną na kasecie...

- Frank, jesteś skurwysynem. Wielkim skurwysynem.

- Ale jestem twoim przyjacielem. I jestem ci to winien.

Hulot zmienił ton. Poruszał głową, żeby złagodzić napięcie szyi.

- Cóż, chyba pójdę spać. Teraz mogę to zrobić, nie sądzisz?

- Jeśli mam być szczery, fakt, że Roncaille czeka na mnie w swoim biurze, „Jak tylko będzie to możliwe”, ani mnie ziębi, ani grzeje. Leżę już w moim łóżku, nie widzisz?

A jednak, kiedy wychodzili z pokoju, obraz ten przywołał w pamięci obydwu to samo. Martwe ciało Gregora Yatzimina ze zniekształconą twarzą, wyciągnięte na białych prześcieradłach jego łóżka. Jego oczy utkwione w sufit pokoju, oczy, które były już ślepe jeszcze przed śmiercią.

Frank obudził się i spojrzał na prostokąt błękitu obramowany futryną okna. Kiedy wrócił do mieszkania w Parc Saint--Roman, był tak zmęczony, że nie miał nawet siły na prysznic. Zrzucił tylko ubranie i padł na łóżko, nie opuszczając nawet rolet.

Nie jestem w Monte Carlo, pomyślał. Jestem wciąż w tym samym domu nad brzegiem morza, próbując dojść do siebie. Harriet poszła na plażę, opala się wyciągnięta na ręczniku, a wiatr rozwiewa jej włosy, muska uśmiechniętą twarz. Teraz wstanę i pójdę do niej, i nie będzie żadnej postaci w czerni. Nikt nie stanie między nami.

- Nikt... - wymówił na głos.

Przypomniał sobie dwa trupy z minionej nocy. Podniósł się z łóżka z niechęcią Łazarza po wskrzeszeniu. Za szybami widać było pasmo morza, pomarszczone podmuchami wiatru. Podeszedł do okna i odsunął szybę: powiew letniego powietrza uniósł lekką zasłonę i przepędził z pokoju pozostałości nocnych koszmarów. Frank spojrzał na zegarek. Było tuż po dwunastej. Spał tylko kilka godzin, a zdawało mu się, że będzie spał całą wieczność.

Poszedł do łazienki, wziął prysznic, ogolił się i włożył czystą bieliznę. Przygotował sobie kawę, zastanawiając się nad rozwojem wypadków. Teraz, kiedy Nicolas wypadł z gry, sprawy znacznie się skomplikują. Nie sądził, żeby Roncaille potrafił poprowadzić całą sprawę, przynajmniej nie z punktu widzenia śledztwa. Był na pewno mistrzem *public relations* i kontaktów z prasą, ale praca na polu bitwy nie jest jego chlebem powszednim. Może było tak dawniej, ale teraz był bardziej politykiem niż policjantem. Miał jednak znakomitych współpracowników, którzy mogli działać w jego imieniu. Nie bez powodu policję Księstwa uważano za jedną z najlepszych na świecie *bla bla bla...*

Jego zaś obecność w Księstwie stała się istotnym wymogiem dyplomatycznym, który niósł ze sobą plusy i minusy, jak wszystko, co ludzkie. Frank był przekonany, że Roncaille będzie próbował wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści. Dobrze znał metody działania policji w Monte Carlo. W tym miejscu nikt nigdy nic nie mówił, ale wszystko było wiadomo.

Wszystko, poza nazwiskiem mordercy...

Postanowił się tym nie przejmować. Jak robił zresztą od samego początku.

Sprawa ta nie była połączonym śledztwem dwóch policji. Roncaille i Durand, choć reprezentowali władzę, nie mieli tu nic do rzeczy. A jeszcze mniej Ameryka i Księstwo. Była to osobista rozgrywka między nim, Nicolasem Hulot i mężczyzną w czerni, który kolekcjonował twarze swoich ofiar niczym maski obłąkańczego i krwawego karnawału. Wszyscy trzej nacisnęli przycisk pauzy i zatrzymali swoje życie w oczekiwaniu, jak skończy się ta walka z opuszczoną głową między trzema trupami w miejscu, w którym wszyscy uważali się za żywych.

Do tej pory sprawy toczyły się, tak jak się toczyły, ale teraz mogło się to zmienić.

Musiało się zmienić.

Usiadł przy komputerze. Włączył go i znalazł e-mail z załącznikami od Coopera. Były to zapewne informacje, jakie zebrał na temat Nathana Parkera i Ryana Mosse'a. Nie mogły się już specjalnie przydać, teraz kiedy Mosse siedział w więzieniu, a Parker był chwilowo niegroźny. Chwilowo, uściślił sam w myśli. Nie robił sobie złudzeń na temat generała. Parker należał do tych ludzi, których nie można uznać za zmarłych, dopóki nie zjedzą ich robale.

Oprócz załączników w poczcie była jeszcze krótka wiadomość od Coopera.

„Jak tylko zawiniesz do portu w swojej nowej łodzi i będziesz miał chwilę czasu, zadzwoń. O każdej porze. Muszę z tobą porozmawiać. Coop”.

Zastanawiał się, co mogło wydarzyć się tak pilnego. Spojrzał na zegarek. O tej godzinie powinien być w domu. Nie było ryzyka, że obudzi kogoś poza Cooperem, ponieważ mieszkał sam w czymś w rodzaju dawnego składu nad brzegiem Potomacu.

Po kilku sygnałach zaspany głos przyjaciela odezwał się w słuchawce.

- Tak? Kto mówi?

- Coop, tu Frank.

- Ach, to ty. Cześć, przystojniaku, jak leci?

- Właśnie rozbił się supertankowiec z ładunkiem gówna i plama rozlewa się po horyzont.

- Co się stało?

- Kolejne dwa trupy dziś w nocy.

- O kurwa!

- Jednego wykończył nasz osobnik z całym swoim rytuałem. I to jego czwarta ofiara. Mój przyjaciel komisarz został odsunięty z elegancją i manierami Nerona. Drugiego zaś trupa wpisał na listę nekrologów ten wspaniały typ, Ryan Mosse. Teraz jest w więzieniu, a generał porusza niebo i ziemię, żeby go stamtąd wyciągnąć.

Cooper był coraz bardziej rozbudzony.

- Chryste, Frank, co tam się dzieje? Następnym razem powiesz mi, że wybuchła wojna jądrowa.

- Niewykluczone, że tak się stanie. Ale co ty masz mi takiego pilnego do powiedzenia?

- Mamy tu pewne postępy. Mam na myśli sprawę Larkinów. To, co znaleźliśmy na ich temat, każe nam podejrzewać, że mają gdzieś dobrą przykrywkę, jakieś joint venture z czymś dużym, czego nie udało się nam jeszcze namierzyć. A z Nowego Jorku przyjechał Hudson McCormack.

- Kto to taki? I co ma wspólnego z Larkinami?

- Sami chcielibyśmy to wiedzieć. Oficjalnie przyjechał tu jako adwokat Osmonda Larkina. Zdziwiło nas to trochę, bo ten skurwysyn mógłby sobie pozwolić na coś lepszego, jak to zawsze robił w razie konieczności. Wynajmował ksiąząt palestry, którzy wystawiali rachunki z sześcioma zerami. Ten McCormack to przeciętny trzydziestopięcioletni adwokat z Nowego Jorku, bardziej znany z tego, że należał do załogi „Stars and Stripes” podczas regat Louis Vuitton Cup niż ze swoich sukcesów na polu prawniczym.

- Sprawdziliście go?

- No pewnie. We wszystkie strony. Nic a nic. Życie na poziomie dochodów, co do centa. Żadnych nałogów, żadnych kobiet, żadnej kokainy. Poza pracą interesuje go tylko żeglarstwo. A teraz wyskakuje niczym królik z kapelusza, żeby nam pokazać, jaki świat jest mały.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że nasz Hudson McCormack jest w tej chwili w drodze do Monte Carlo.

- Temu to dobrze, chociaż nie jest to najlepszy moment, żeby przyjeżdżać w te strony.

- Jedzie tam, jakby się zdawało, na jakieś dosyć ważne regaty. Ale...

- Ale?

- Frank, czy nie wydaje ci się to co najmniej dziwne, że skromny adwokat z Nowego Jorku, przez nikogo nieznanym, dostaje po raz pierwszy w życiu ważną sprawę i zostawiają, choćby nawet chwilowo, żeby pojechać do Europy i popływać na żaglówce? Ktokolwiek inny na jego miejscu rzuciłby się w to na oślep i wstawałby codziennie godzinę wcześniej, żeby móc pracować dwadzieścia pięć godzin na dobę.

- Jeśli tak do tego podchodzisz, nie mogę ci odmówić racji. Ale co ja mam z tym wspólnego?

- Jesteś na miejscu i znasz sprawę. W tej chwili ten człowiek jest jedynym łącznikiem między Osmondem Larkinem a resztą świata. Być może jest tylko jego adwokatem, ale mógłby być też kimś więcej. W grę wchodzi góry narkotyków i góry dolarów. Wszyscy wiemy, czym jest Monte Carlo i o jakie pieniądze tam chodzi. Jednak w przypadku terroryzmu i narkotyków możemy kazać otworzyć każdą kasę pancerną. Ty współpracujesz z tamtejszą policją. Nic cię nie kosztuje, żeby poprosić o objęcie McCormacka dyskretnym, ale skutecznym nadzorem.

- Zobaczę, co się da zrobić...

Nie powiedział Cooperowi, że tutaj praktycznie wszyscy, łącznie z nim, znajdowali się pod dyskretnym, ale skutecznym nadzorem.

- Wysłałem ci e-mailem jego zdjęcie w formacie *jpg*, żebyś mógł zobaczyć, jak wygląda. Są tam także wszystkie informacje, jakie zebraliśmy na temat pobytu McCormacka w Księżstwie.

- Okej. Wracaj do łóżka. Ludzie tak mało inteligentni jak ty potrzebują możliwie maksymalnego doładowania, jeśli chcą być całkowicie sprawni.

- Cześć, skurwielu. *Break a leg*.

Frank odłożył słuchawkę telefonu obok komputera. Kolejne kłopoty. Zachował załącznik z danymi dotyczącymi Hudsona McCormacka na dyskietce, nawet go nie otwierając. Przykleił na niej etykietkę, którą znalazł w szufladzie szafki, i podpisał ją „Cooper”. Żadnych zastrzeżonych nazwisk na widoku.

Krótką rozmowa z kolegą zawiodła go na chwilę do domu, choć w tym momencie jego życia „dom” był pojęciem bardzo niejasnym. Czuł się, jakby jego pozbawione emocji ciało astralne krążyło po zgliszczach jego egzystencji w odległości

tysięcy kilometrów, przezroczyste niczym zjawy, które widząc, same pozostają niewidzialnymi. Był w domu Coopera, a jednocześnie w ich wspólnym gabinecie, który przez długi czas dzielili w FBI, a także w swoim własnym, pustym od miesięcy domu i równocześnie na pogrążonych w ciemnościach ulicach Waszyngtonu.

Czemu to wszystko służy? Czy w całej tej nędznej historii biednych ludzkich istot jest ktoś, kto to zrozumiał? A jeśli tak, dlaczego nie wyjaśnił tego innym?

Być może najbardziej prawdopodobną odpowiedzią było, że nikt mu nie uwierzył...

Zamknął oczy i przypomniał sobie rozmowę, jaką przeprowadził z ojcem Kennethem, kapłanem, który był także psychologiem w klinice, gdzie umieszczono go po tym, jak historia z Harriet wepchnęła go w sam środek ziemi. Kiedy nie był poddawany terapii albo psychoanalizie, przesiadywał w parku tego luksusowego zakładu dla obłąkanych i wpatrywał się w próżnię, walcząc z pokusą, żeby pójść śladem żony. Któregoś dnia ojciec Kenneth zbliżył się, stąpając bezszelestnie po trawie, i usiadł obok niego na metalowej ławce z drewnianym siedzeniem i oparciem.

- Co słyszeć, Frank?

Popatrzył na niego uważnie, zanim odpowiedział. Przyglądał się podłużnej i bladej twarzy egzorcysty, przenikliwym oczom, świadomym sprzeczności między człowiekiem nauki i człowiekiem wiary. Był w stroju świeckim i mógł spokojnie uchodzić za krewnego któregoś z pacjentów.

- Nie jestem wariatem, jeśli to chciał ksiądz usłyszeć.

- Wiem, że nie jesteś wariatem, a ty wiesz doskonale, że nie to chciałem usłyszeć. Jeśli zapytałem, co słyszeć, chciałem naprawdę dowiedzieć się, co u ciebie.

Frank rozłożył ręce w geście, który zdawał się wskazywać cokolwiek albo cały świat.

- Kiedy będę mógł stąd odejść?

- Jesteś na to gotowy? - Ojciec Kenneth odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że nigdy nie będę gotowy.

Dlatego zapytałem księdza.

- Jesteś wierzący, Frank?

Odwrócił się i spojrzał na niego z gorzkim uśmiechem.

- Proszę, ojcze, oszczędzić mi banałów w rodzaju „spójrz na Boga, a Bóg spojrz na ciebie”. Ostatnio, kiedy nasze spojrzenia się spotkały, Bóg odwrócił oczy w inną stronę.

- Nie obrażaj mojej inteligencji, a przede wszystkim własnej. Upierasz się, żeby dać mi rolę do odegrania, może dlatego, że sam postanowiłeś coś odgrywać. Jest powód, dla którego zapytałem, czy wierzysz w Boga...

Frank podniósł wzrok i zaczął wpatrywać się w ogrodnika, który sadził drzewko klonu.

- Nie interesuje mnie to. Ja nie wierzę w Boga, ojczy. I nie jest to przewagą, cokolwiek może ksiądz pomyśleć.

Odwrócił się i spojrzał na księdza.

- To znaczy, że nie ma nikogo, kto mi wybaczy zło, które czynię.

I w istocie, zawsze sądziłem, że nie czynię zła, pomyślał, a tymczasem właśnie to robiłem. Stopniowo odbierałem życie osobie, którą kochałem, którą powinienem był chronić bardziej niż cokolwiek innego.

Kiedy wkładał buty, dzwonek telefonu przywołał go do teraźniejszości. Poszedł, żeby wziąć słuchawkę z miejsca, gdzie ją wcześniej zostawił.

- Halo.

- Cześć, Frank, tu Nicolas. Nie śpisz?

- Nie, i jestem gotowy do działania.

- To dobrze. Właśnie zadzwoniłem do Guillaume'a Merciera, chłopaka, o którym ci wspominałem. Czeka na nas. Chcesz pojechać?

- Oczywiście. Może pozwoli mi to z lepszym nastawieniem stawić czoło kolejnej nocy w Radio Monte Carlo. Czytałeś już gazety?

- Tak. Opisują wszystko. Możesz sobie wyobrazić, w jakim tonie...

- *Sic transit gloria mundi*. Nie przejmuj się, mamy co innego na głowie. Czekam.

- Za dwie minuty jestem u ciebie.

Frank poszedł po czystą koszulę. Kiedy rozpinał guzik przy kołnierzyku, odezwał się domofon. Przeszedł przez salon, żeby odebrać.

- Monsieur Ottobre? Ktoś do pana.

Frank pomyślał, że jeśli Nicolas mówił dwie minuty, trzeba to było rozumieć dosłownie.

- Tak, wiem, Pascal. Proszę powiedzieć, że jestem trochę spóźniony. Jeśli nie chce czekać na dole, niech wejdzie do mnie.

Kiedy wkładał koszulę, usłyszał windę zatrzymującą się na jego piętrze.

Poszedł otworzyć i zobaczył ją naprzeciw siebie.

W progu stała Helena Parker, patrząc na niego swoimi szarymi oczami, stworzonymi po to, by odbijały się w nich gwiazdy, a nie cierpienie. Stała w półmroku korytarza, a Frank przytrzymał brzegi koszuli rozpiętej na nagim torsie.

Wydawało mu się to powtórzeniem sceny z konsulem Dwightem Durhamem, z tym, że spojrzenie kobiety zatrzymało się dłużej na bliznach pokrywających jego klatkę piersiową, zanim przeniosło się na twarz. Pospiesznie zasłonił się koszulą.

- Dzień dobry, mister Ottobre.

- Dzień dobry. Przepraszam, że przyjąłem panią w tym stroju, ale myślałem, że to ktoś inny.

Krótki uśmiech Heleny przerwał tę chwilę zakłopotania.

- Nie ma problemu, zorientowałam się po odpowiedzi portiera. Mogę wejść?

- Oczywiście.

Frank przepuścił ją w drzwiach. Helena weszła, muskając go ramieniem i delikatnym zapachem, subtelnym jak wspomnienie. Przez chwilę zdawało się, że Helena wypełnia swoją obecnością cały pokój.

Jej spojrzenie padło na rewolwer, który Frank położył na szafce obok stereo. Frank schował go szybko do szuflady.

- Przykro mi, że to pierwsza rzecz, jaką pani tutaj zobaczyła.

- Nic nie szkodzi. Wychowałam się wśród broni. Frankowi mignął przed oczami obraz małej Heleny w domu Nathana Parkera, nieugiętego żołnierza, którego los odważył się zirytować rodzinami dwóch córek.

- Wyobrażam sobie.

Zaczął zapinać koszulę, zadowolony, że ma co zrobić z rękami. Obecność tej kobiety była źródłem pytań, na które Frank nie był przygotowany. Jego prawdziwą troską był Nathan Parker i Ryan Mosse, osoby obdarzone głosem, ciężarem, krokami pozostawiającymi ślady, nożem schowanym w pochwie, ramieniem mogącym zadać cios. Helena była do tej pory niemą obecnością i niczym więcej. Przejmującą myślą o udręczonym pięknie. Powód, dla którego tak się działo, nie był dla Franka ważny i nie chciał, żeby nabrał znaczenia.

Frank przerwał milczenie. Jego głos zabrzmiał bardziej twardo, niżby tego chciał.

- Myślę, że jest jakiś powód pani obecności tutaj.

Helena Parker miała oczy i włosy, twarz i zapach, więc Frank stanął do niej plecami, kiedy wkładał koszulę do spodni, jakby ten gest wystarczył, by odwrócić się tyłem od tego wszystkiego, czym była. Jej głos dosięgnął go, kiedy wkładał marynarkę.

- Oczywiście. Muszę z panem porozmawiać. Obawiam się, że potrzebuję pańskiej pomocy, jeśli ktoś w ogóle może mi pomóc.

Odwracając się do niej, Frank zyskał już wsparcie pary ciemnych okularów.

- Mojej pomocy? Mieszka pani w domu jednego z najpotężniejszych ludzi Ameryki i potrzebuje pani mojej pomocy?

Gorzki uśmiech pojawił się na wargach Heleny Parker.

- Ja mieszkam w domu mojego ojca. Jestem więźniem w domu mojego ojca.

- Dlatego tak się pani boi?

- Są powody, żeby bać się Nathana Parkera. Aż nadto. Nie boję się jednak o siebie... Chodzi o Stuarta.

- Stuart to pani syn.

Helena zawahała się przez chwilę.

- Właśnie, mój syn. To on jest moim problemem.

- A co ja mam z tym wspólnego?

Bez uprzedzenia kobieta zbliżyła się, podniosła rękę i zdjęła mu okulary. Popatrzyła na niego z intensywnością, która przeszła Franka, tak jak bardzo ostry nóż Ryana Mosse'a.

- Jest pan jedyną osobą, jaką znam, zdolną sprzeciwić się mojemu ojcu. Jeśli ktoś jest w stanie mi pomóc, to tylko pan...

Zanim Frank zdołał wyartykułować jakąkolwiek odpowiedź, znów zadzwonił telefon. Pochwyił słuchawkę z ulgą kogoś, kto znalazł wreszcie broń przeciwko nieprzyjacielowi.

- Tak.

- Tu Nicolas. Jestem na dole.

- Okej, zaraz schodzę. Helena podała mu okulary.

- Nie przyszłam chyba w najważniejszym momencie.

- Czekają teraz na mnie obowiązki. Myślę, że potrwa to do późna i nie wiem...

- Wie pan, gdzie mieszkam. Może pan mnie odwiedzić, kiedy zechce, nawet późną nocą.

- Myśli pani, że Nathan Parker byłby zadowolony z mojej wizyty w tych okolicznościach?

- Ojciec jest w Paryżu. Pojechał porozmawiać z ambasadorem i poszukać adwokata dla kapitana Mosse'a.

Krótką pauza.

- Zabrał ze sobą Stuarta jako... do towarzystwa. To dlatego przyszedłam sama.

Frank spodziewał się przez chwilę, że użyje słowa „zakładnik”. Być może takiego znaczenia należało doszukiwać się w terminie „towarzystwo”.

- Dobrze. Ale teraz muszę już iść. Nie chciałbym, z różnych powodów, żeby osoba, która czeka na mnie na dole, zobaczyła nas razem. Proszę odczekać kilka minut, zanim pani zejdzie, dobrze?

Helena przytaknęła. Ostatnim obrazem, jaki zobaczył przed zamknięciem drzwi, były jej wilgotne oczy i ledwie widoczny uśmiech, który może wywołać tylko niewielką nadzieję.

Zjeżdżając windą, Frank przejrzał się w lustrze, w nienaturalnym świetle jarzeniówek. Zobaczył w swych oczach odbicie twarzy żony. Nie było miejsca na inne oczy, na inne cierpienie. A przede wszystkim nie mógł nikomu pomóc, ponieważ nikt nie mógł pomóc jemu.

Wyszedł na światło słoneczne, wpadające przez szklane ściany, i przeszedł przez marmurowy hol Parc Saint-Roman. Na zewnątrz czekał samochód Hulota.

Kiedy otworzył drzwiczki, przez szybę okna zobaczył na tylnym siedzeniu plik gazet. Na wierzchu widniał tytuł wielkimi, drukowanymi literami: „Nazywam się Nikt”, z wyraźnym odniesieniem do drwin poprzedniego wieczoru. Pozostałe tytuły musiały być mniej więcej w tym samym tonie. Wydawało się, że Nicolas nie spał lepiej od niego.

- Cześć.

- Cześć, Nic. Wybacz, że kazałem ci czekać.

- W porządku. Czy z kimś rozmawiałeś?

- Absolutna cisza. Nie sądzę, żeby w twoim wydziale skakali z radości na myśl, że mnie zobaczą, choć oficjalnie Roncaille mnie oczekuje.

- Cóż, prędzej czy później, będziesz musiał się tam pokazać.

- To na pewno. Z wielu powodów. Ale tymczasem mamy do załatwienia pewną prywatną sprawę.

Hulot ruszył i minął krótką alejkę wjazdową, wjechał na placyk, gdzie można było zawrócić.

- Wstąpiłem do mojego biura. Między rzeczy, które zabrałem z biurka, wsunąłem także oryginał kasety. Zastąpiłem go kopią.

- Myślisz, że się zorientują? Hulot wzruszył ramionami.

- Mogę zawsze powiedzieć, że się pomyliłem. Nie wydaje mi się to poważnym przestępstwem. Byłoby dużo gorzej, gdyby odkryli, że mamy trop i nikogo o tym nie powiadomiliśmy.

Kiedy mijali znowu przeszklone drzwi wejściowe, Frank zobaczył w nich tylko odbicie nieba. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć przez tylną szybę. Zanim samochód zostawił za sobą alejkę dojazdową, żeby skrócić w lewo i wjechać w rue des Giroflées, dojrzał jeszcze przelotnie Helenę Parker, która wychodziła z Parc Saint-Roman.

Kiedy dojechali do domu Mercierów w Eze-sur-Mer, Guillaume Mercier czekał na nich w ogrodzie. Gdy tylko zobaczył przód peugeota zbliżający się do bramy, nakierował na nią pilota, który trzymał w dłoni, i brama zaczęła się powoli rozsuwać. Za jego plecami stał biały, jednopiętrowy dom o ciemnym dachu, z okiennicami z niebieskiego drewna, o wyglądzie nieco prowansalskim, niezbyt wyszukany, ale solidny i funkcjonalny.

Ogród był na tyle duży, że można go było uznać za mały park. Po prawej stronie, za domem, na samym końcu ogrodu rosła wielka, morska pinia, otoczona przez niższe, zielone krzewy. Za cieniem rzucanym przez drzewo, rząd kwitnących białych i żółtych kalin otaczał krzew cytryny o ciągle dojrzewających owocach. Wokół całej posiadłości biegł żywopłot z wawrzynu, który wyrastał ponad żelazny parkan wsparty na niskiej podmurówce, tak, że zasłaniał widok z zewnątrz.

Wszędzie były grządki i kwitnące krzewy przemyślnie wkomponowane w angielski trawnik, poprzecinany kamiennymi ścieżkami, identycznymi z brukiem podwórza, gdzie czekał na nich Guillaume.

Dom sprawiał wrażenie spokoju i solidności, ekonomicznej i rodzinnej, stanu dobrobytu bez żadnej konieczności ostentacji, co w wielu przypadkach stanowiło przymus na Lazurowym Wybrzeżu.

Kiedy tylko przekroczyli bramę, Hulot skręcił w prawo i zaparkował samochód pod drewnianą wiatą, gdzie stał już mały fiat i duży, wyścigowy model motocykla bmw.

Guillaume ruszył w ich stronę lekko niezdarnym krokiem. Był to atletycznie zbudowany chłopak, o twarzy nie pięknej, ale sympatycznej, i opaleniznie typowej dla kogoś, kto często uprawia sport na świeżym powietrzu. Muskularne ramiona, pokryte włosami spłowiałymi od słońca, osłonięte przez krótkie rękawy koszulki, były tego

najlepszym dowodem. Miał też na sobie zielone, wojskowe bermudy z kieszeniami na bokach i żółte, żeglarskie buty bez skarpetek.

- Cześć, Nicolas.

- Cześć, Guillaume.

Chłopak uściśnął dłoń komisarza.

Nicolas gestem głowy zwrócił uwagę na obecność swojego towarzysza.

- Ten milczący pan za moimi plecami nazywa się Frank Ottobre i jest agentem specjalnym FBI.

Guillaume wyciągnął rękę, składając wargi jakby do bezgłośniego gwizdnięcia.

- Ach, więc wy z FBI istniejecie również w realnym życiu, nie tylko w filmach. Miło mi cię poznać.

Ściskając rękę chłopca, Frank poczuł instynktowną ulgę. Popatrzył w ciemne i głębokie oczy, osadzone na twarzy, która wraz z opalenizną pokryła się lekkimi piegami. Instynkt podpowiadał mu, że Guillaume jest właściwą osobą dla ich potrzeb. Nie wiedział, jak dobry jest w swojej pracy, ale zrozumiał, że będzie trzymał język za zębami, jeśli go o to poproszą w odpowiedni sposób, wyjaśniając mu powagę sytuacji.

- Cóż, w Ameryce jesteśmy nieodłączną częścią filmów i krajobrazu. A teraz zaczynają nas też eksportować, jak może zaświadczyć moja obecność na Lazurowym Wybrzeżu.

Guillaume uśmiechnął się na tę odpowiedź, ale uśmiech z trudem maskował ciekawość rozbudzoną obecnością tych dwóch ludzi w jego domu. Był to uśmiech, który łagodził oczekiwanie, ale nie ciekawość co do sedna sprawy. Prawdopodobnie wyczuł, że coś bardzo poważnego kryje się za faktem, że Nicolas Hulot przyszedł jako policjant, a nie jako przyjaciel rodziny.

- Dziękuję, że zgodziłeś się nam pomóc.

Guillaume wzruszył ramionami, co było rodzajem milczącego „nie ma za co”, i poszedł przodem, wskazując im drogę.

- Nie mam zbyt wiele pracy w tej chwili. Zajmuję się przygotowaniem paru filmów dokumentalnych o nurkowaniu, to łatwe i niezbyt absorbujące. A poza tym, nie mógłbym niczego odmówić temu człowiekowi...

Kciukiem prawej ręki wskazał idącego za nim komisarza.

- Mówiłeś, że twoi rodzice wyjechali?

- Tak. Staruszkowie po przejściu ojca na emeryturę zupełnie zwariowali, odżyły w nich namiętności. Są chyba w dziesiątej podróży poślubnej. Ostatnio, gdy do mnie dzwoniли, byli w Rzymie. Powinni wrócić jutro.

Przeszli kamienną ścieżką przecinającą nieprawdopodobnie zielony trawnik i stanęli przed wejściem do przybudówki. Po ich prawej stronie drewniana altana osłonięta płóciennym, błękitnym dachem służyła jako jadalnia na świeżym powietrzu. Na metalowym stole stały resztki kolacji, najpewniej jeszcze z poprzedniego wieczoru.

- Kiedy nie ma kotów w domu, mysz harcuje, co?

Guillaume wzruszył ramionami.

- Wczoraj wieczorem wpadli do mnie przyjaciele, a sprzątaczką dzisiaj się nie pojawiła...

- Taa, przyjaciele... Jestem policjantem, myślisz, że nie widzę, że jest nakryte dla dwóch osób?

Chłopak rozłożył ręce w ugodowym geście.

- Stary, nie piję, nie gram, nie palę i nie poddaję się żadnym iluzjom. Zechcesz mi zostawić przynajmniej jedną rozrywkę?

Odsunął drewniane drzwi, przed którymi się zatrzymali, i zaprosił ich do środka. Wszedł za nimi i zasunął wejście. Znalazłszy się wewnątrz, Hulot zadrżał w lekkiej marynarce.

- Chłodno tu.

Guillaume wskazał ręką aparaturę stojącą przy ścianie, naprzeciw przeszklnych drzwi wychodzących na ogród, pod którą włączone były na pełną parę dwa klimatyzatory.

- Te urządzenia są trochę wrażliwe na ciepło, dlatego muszę nastawiać klimatyzację na maksa. Jeśli masz problem z reumatyzmem, mogę ci przynieść pled mojego ojca.

Nicolas złapał go znienacka za szyję i wygiął w przód. Uśmiechał się, trzymając jego głowę w żartobliwym uścisku.

- Trochę szacunku dla starszych albo to, co usłyszysz, nie będzie trzaskiem mojego artretyzmu, tylko twojego łamanego karku.

Guillaume podniósł ręce, poddając się.

- Dobrze, dobrze. Ustępuję...

Kiedy Hulot go puścił, chłopak opadł, dysząc, na skórzany fotel na kółkach, stojący przed aparaturą. Poprawił rozczochrane przez komisarza włosy i wskazał

gościom kanapę stojącą pod ścianą między dwoma oknami. Wycelował w Nicolasa oskarżycielski palec.

- Wiedz, że ustąpiłem tylko przez szacunek dla twoich siwych włosów.

Hulot usiadł wygodnie na miękkiej kanapie, udając lekką zadyszkę.

- To dobrze, bo powiem ci w zaufaniu, że chyba trafiłeś z tym reumatyzmem...

Guillaume zrobił półobrót na fotelu w stronę Franka i Hulota. Wyraz jego twarzy stał się nagle poważny.

Dobrze, pomyślał Frank, oto chłopak, który ma poczucie miary.

Utwierdził się w przekonaniu, że znaleźli właściwą osobę. Teraz nie pozostawało nic innego, jak żywić nadzieję, że Guillaume jest tak dobry, jak mówił Nicolas. I mieć jeszcze wiarę co do wielu innych rzeczy. Teraz, kiedy doszli do sedna, Frank poczuł, że serce zaczyna mu trochę szybciej bić. Popatrzył przez chwilę na odbicie słońca za oknem, igrające na powierzchni basenu. Spokój tego miejsca powodował, że wszystko zdawało się takie odległe, takie odległe...

Jego historia, historia Heleny, historia generała, który za żadną cenę nie chce przegrać żadnej wojny, historia komisarza pozbawionego już wszelkich ambicji, poza znalezieniem jakiejś racji, dla której przeżył własnego syna, historia nienasyconego mordercy, która musiała być przepełniona szaleństwem i okrucieństwem, jeśli doprowadziła go do tego, kim został.

I pomyśleć, że wszystko mogło być tak łatwe, gdyby tylko...

Otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości. Jego głos przebił się z trudem przez szum klimatyzatorów.

- Śledziłeś może przypadkiem historię Nikogo?

Guillaume zaczął się bujać na fotelu.

- Masz na myśli morderstwa w Księżstwie? A kto ich nie śledzi? Co wieczór siedzę przy odbiorniku ustawionym na Radio Monte Carlo albo na Europe 2. Myślę, że te radiostacje muszą mieć fantastyczne powodzenie...

Frank znów odwrócił się w stronę ogrodu. Dosyć silny powiew poruszał po prawej stronie żywopłotem z krzewów wawrzynu i uderzał o ogrodzenie. Zorientował się, że nie był to podmuch wiatru, tylko zewnętrzny wentylator urządzenia klimatyzacyjnego.

Odwrócił się i popatrzył śmiało w twarz Guillaume'a.

- Właśnie. Zginęło pięć osób. Cztery z nich zostały okaleczone w straszliwy sposób. A my w tej całej sprawie specjalnie się nie popisaliśmy, bo nie mamy bladego

pojęcia, kto może być mordercą i jak go zatrzymać. Poza kilkoma tropami, których sam nam umyślnie dostarczył, ten oszalały wariat nie zostawił za sobą żadnego śladu, chyba że ten drobny szczegół...

Umilkł, żeby przekazać pałeczkę Nicolasowi. Komisarz przesunął się na brzeg kanapy i podał Guillaume'owi kasetę VHS, którą wyjął z kieszeni marynarki.

- Jest to jedyny, prawdziwy ślad, jak mamy. Na tej kasecie jest coś, co chcielibyśmy, żebyś dla nas zbadał. Jest to niezwykle ważne, Guillaume. Ważne do tego stopnia, że od wyników tego badania może zależeć życie innych ludzi. Dlatego potrzebna nam twoja pomoc i dyskrecja. Absolutna dyskrecja, nie wiem, czy wyrażam się jasno...

Potakując, Guillaume wziął kasetę z rąk Hulota i trzymał ją w palcach, jakby mogła w każdej chwili wybuchnąć.

- Co jest na tej kasecie?

Frank popatrzył na niego uważnie. W głosie chłopaka nie było śladu ironii.

- Zobaczysz. Ale mam obowiązek uprzedzić cię, że nie będzie to przyjemny widok. Mówię ci to, żebyś był przygotowany.

Guillaume nic nie powiedział. Wstał i poszedł zasunąć zasłony, żeby chronić ekrany przed refleksami słońca. Pokój pogrążył się w bursztynowym półmroku. Chłopak usiadł z powrotem na fotelu i włączył plazmowy ekran i monitor komputera. Wsunął kasetę do odtwarzacza po lewej stronie i nacisnął przycisk. Na ekranie naprzeciw niego pojawiły się najpierw kolorowe pasy, a potem pierwsze obrazy.

Kiedy sceny zabójstwa Allena Yoshidy zaczynały przebiegać przed oczami Guillaume'a, Frank postanowił pozwolić mu obejrzeć nagranie w całości. Mógł przejść bezpośrednio do interesującego go punktu bez dodatkowych wyjaśnień, ale teraz, kiedy poznał chłopaka, chciał, żeby zrozumiał, z kim mają do czynienia i jak ważną rolę może odegrać w tej sprawie. Zastanawiał się, co może się dzieć w głowie Guillaume'a podczas tej projekcji, jeśli on sam odczuwał niezmiennie to samo przerażenie co za pierwszym razem, gdy zobaczył ten film. Musiał mimo woli przyznać, że na tej taśmie zarejestrowany został rodzaj diabolicznego dzieła sztuki, zrobionego, by zniszczyć, a nie tworzyć, które jednak zawierało w sobie ładunek emocji.

Po minucie projekcji Guillaume wyciągnął rękę i zatrzymał taśmę. Morderca i jego zakrwawiona ofiara zamarli w pozie, którą wyznaczył im przypadek i maszyna.

Odwrócił się i spojrzał na nich wytrzeszczonymi oczami.

- Ale... czy to film, czy to wszystko naprawdę? - zapytał słabym głosem.

- Niestety, to stuprocentowa prawda. Mówiłem ci, że nie będzie to ładny widok.

- Fakt, ale ta rzeźnia przerasta wszelką wyobraźnię. Jak coś takiego jest możliwe?

- Jest możliwe, jest możliwe. Niestety, to rzeczywistość, jak sam widzisz. I my próbujemy właśnie położyć kres tej rzeźni, jak ją nazwałeś.

Frank dostrzegł, że na koszulce chłopaka pod pachami pojawiły się dwie ciemne plamy, których wcześniej nie było. Temperatura w pokoju wykluczała, żeby te ślady potu wywołane zostały przez gorąco. Niemal na pewno była to reakcja nerwowa na to, co właśnie zobaczył.

Śmierć jest jednocześnie zimna i gorąca. Śmierć jest potem i krwią. Śmierć jest, niestety, jedyną prawdziwą metodą, którą wybrało przeznaczenie, żeby wciąż nam przypominać, że istnieje życie. Kontynuuj, chłopcze, nie możesz nas rozczarować.

Fotel Guillaume'a odwrócił się na powrót z lekkim skrzypieniem, jak gdyby chłopak usłyszał myśli Franka. Przywarł plecami do oparcia, jakby ta pozycja pomagała mu bronić się, dystansować od obrazów, które za chwilę dalej będzie oglądał. Jeszcze raz nacisnął przycisk pauzy i postaci na ekranie zamarły na kilka chwil w stopklatce znów zaczęły poruszać się, aż do szyderczego końcowego ukłonu i śnieżenia, które oznaczało zakończenie nagrania. Guillaume zatrzymał taśmę.

- Co chcecie, żebyśmy zrobili? - zapytał, nie odwracając się.

Z tonu jego głosu słychać było, że wolałby być gdzie indziej, nie oglądać owego tańca śmierci i ukłonu, którym morderca zdawał się prosić o aplauz publiczność potępieńców.

Frank zbliżył się i stanął za plecami siedzącego chłopaka.

- Cofnij taśmę, ale w taki sposób, żeby można było rozróżnić obrazy na filmie.

Guillaume włączył cofanie i obrazy zaczęły biec szybko do tyłu. Mimo przyspieszonej projekcji w odwrotnym kierunku, które zazwyczaj jest karykaturą ludzkich ruchów, czyniąc je komicznymi, w tym przypadku dramatyzm zdjęć pozostał niezmienny.

- O, zwolnij, tutaj... teraz zatrzymaj.

Ostrożnym ruchem palców Guillaume wstrzymał projekcję, kilka klatek za późno.

- Czy możesz teraz przejść powoli tylko trochę dalej?

Guillaume poruszył miękko gałką i film zaczął się przesuwać klatka za klatką, jak seria fotografii, które powoli nakładają się na siebie.

- Stop!

Frank ustawił się obok Guillaume'a i dotknął palcem wskazującym punktu na ekranie.

- Tutaj, na szafce, oparte jest coś, co wygląda na okładkę płyty. Nie można zobaczyć dokładnie, co na niej jest. Czy możesz ją wyizolować i powiększyć na tyle, żeby dało się przeczytać?

Guillaume przesunął się w prawo, aż do klawiatury komputera, wpatrując się wciąż w punkt wskazywany przez Franka.

- Mhm, mogę spróbować. Ta kaseeta to oryginał czy kopia?

- Oryginał.

- To lepiej. VHS nie jest specjalnie pomocny, chyba, że jest oryginałem. Przede wszystkim muszę przepisać obraz. Traci się trochę na jakości, ale potem będę mógł go lepiej obrobić.

Jego głos był stanowczy i spokojny. Teraz, kiedy zajął się swoją domeną, zdawał się przewyciężyć szok po tym, co właśnie zobaczył. Zaczął klikać myszką po ekranie komputera. Na monitorze pojawił się ten sam obraz, który był przed Frankiem. Guillaume przebiegał palcami po klawiaturze i obiekt stał się wyraźniejszy.

- Zrobione. Teraz zobaczymy, co się stanie, jeśli otworzymy tę część.

Strzałką myszki najechał na zarysowany kwadrat, w którym znajdował się obiekt wskazany przez Franka. Nacisnął jeden z klawiszy i ekran wypełnił się czymś w rodzaju elektronicznej mozaiki, zupełnie pozbawionej sensu.

- Nic nie widać.

Komentarz niemal mimochodem wyrwał się z ust Franka, który natychmiast tego pożałował. Guillaume odwrócił się od niego, marszcząc brwi.

- Spokojnie, niedowiarku. Dopiero zaczęliśmy pracować. Blisko dziesięć sekund przebiegał palcami po klawiaturze, aż na monitorze ukazała się, wystarczająco wyraźna, żeby można ją było rozpoznać, ciemna okładka płyty. Na jej środku sylwetka mężczyzny - cień ustawiony pod światło - wygięta była do tyłu w napięciu muzyka, który szuka niewykonanego dźwięku, ku własnemu i słuchaczy zadziwieniu. Była to chwila ostateczna, kiedy artysta zapomina o miejscu i o czasie, poluje tylko na muzykę, której jest jednocześnie ofiarą i katem. Na dole okładki widniał biały napis. „Robert Fulton, *Stolen Music*”.

Frank przeczytał na głos to, co zobaczył na ekranie, jak gdyby tylko on był w stanie to uczynić.

- Robert Fulton. *Stolen Music*. Skradziona muzyka. Co to znaczy?

- Ja nie mam bladego pojęcia. A ty, Guillaume, znasz tę płytę?

Głos Nicolasa zaskoczył ich. Kiedy Guillaume manipulował przy komputerze, on wstał z kanapy i stanął niezauważony za ich plecami.

Chłopak wciąż wpatrywał się w obraz na monitorze.

- Nigdy wcześniej jej nie widziałem. I nigdy nie słyszałem o tym Robercie Fultonie. Ale na oko, powiedziałbym, że chodzi o dosyć stary longplay jazzowy, a muszę wyznać, że nie znam się specjalnie na tym gatunku muzyki.

Nicolas wrócił na kanapę. Frank przeciągnął ręką po podbródku. Zrobił kilka kroków po pokoju z przymkniętymi oczami. Zaczął mówić, a właściwie głośno myślał.

- *Stolen Music*. Robert Fulton. Dlaczego Nikt chciał słuchać tej płyty, kiedy mordował? Dlaczego potem zabrał ją ze sobą? Co jest w niej takiego specjalnego?

W pokoju zapadło milczenie pytań nieznajdujących odpowiedzi. Cisza, którą karmi się umysł, pokonując niekończące się odległości w poszukiwaniu wskazówki, śladu, znaku, milczenie badawczych oczu szukających punktu, który zamiast się przybliżyć, coraz bardziej się oddala.

W głowie Franka tłuło się widmo *déjà vu*, ich twarze znieruchomiały nad niemałą okładką płyty z wyrazem dramatycznego pytania, kiedy ta bezpłodna cisza przerwana została dzwonkiem telefonu zawiadamiającego o kolejnym morderstwie...

Stuk klawiszy wprawionych w ruch przez palce Guillaume'a zakończył ten moment pauzy, zakłócany tylko niczego nieświadomym szumem klimatyzacji.

- Tu być może coś jest...

Frank gwałtownie odwrócił do niego głowę ze wzrokiem zahipnotyzowanego człowieka, który właśnie usłyszał strzał palców budzący go z transu.

- Co takiego?

- Chwileczkę, pozwólcie mi sprawdzić...

Cofnął taśmę do początku i zaczął ją ponownie przeglądać bardzo powoli, od czasu do czasu zatrzymując obraz i włączając funkcję zoomu, żeby wydobyć jakiś interesujący ich szczegół.

Mimo otaczającego chłodu Frank czuł pulsowanie w skroniach. Nie rozumiał, co próbuje zrobić Guillaume, ale cokolwiek to było, chciał, by zrobił to jak najszybciej, dużo szybciej niż w owej chwili.

Chłopak zastopował obraz w punkcie, w którym morderca pochyła się nad Allenem Yoshidą, w pozycji, jaka w innej sytuacji mogłaby zostać uznana za poufałą. Prawdopodobnie szeptał mu coś do ucha i Frank zmartwił się, że film nie ma dźwięku: Nikt był zbyt sprytny, żeby dostarczyć im próbkę swojego naturalnego głosu, choćby nawet przefiltrowanego przez wełnianą przędzę kominiarki.

Guillaume wrócił do komputera i przeniósł na monitor z ciekłych kryształów obraz, który zamroził na ekranie. Strzałką myszki zakresił fragment ekranu i wystukał coś na klawiaturze. Pojawiła się plama podobna do tej co poprzednio, która zdawała się złożona z wielu kolorowych kawałków, rozrzuconych w nieładzie przez fantazję pijanego artysty.

- To, co widzicie, to piksele. Jest to wiele małych kwadracików składających się na obraz, coś w rodzaju puzzli. Jeśli go bardzo powiększyć, jest zamazany i nic nie widać. Ale my...

Zaczął zapalczywie stukać w klawiaturę na przemian z kliknięciami myszki.

- My mamy program, który zachowuje ostrość nawet przy dużym powiększeniu. Nie na darmo to rozklekotane pudło kosztowało mnie fortunę. No, śliczne, nie zawieźdź mnie teraz...

Nacisnął jeden z klawiszy. Obraz trochę się rozjaśnił, ale wciąż pozostawał zamazany.

- No nie, kurwa! Zobaczmy, kto jest sprytniejszy, ty czy ja!

Guillaume podsunął się nagle z krzesłem do monitora, jakby mu groził. Przeciągnął dłonią przez włosy i znów położył palce na klawiaturze. Stukał szaleńczo przez blisko dziesięć sekund, po czym wstał i zaczął manipulować urządzeniami zawieszonymi na konsolach przed nim, naciskając guziki i kręcąc gałkami, co powodowało miganie czerwonych i zielonych światełek.

- O tutaj, jeśli dobrze widziałem.

Wrócił na fotel i znów przekręcił się w stronę ekranu, na którym zatrzymał obraz. Nacisnął dwa przyciski i pojawiły się obok siebie dwa obrazy, ten, z którego wyodrębnił okładkę płyty, i ten, który badał teraz. Dotknął palcem pierwszy z nich.

- Widzicie tutaj? Sprawdziłem i jest to jedyny obraz, na którym widać w całości okładkę płyty. Jednak niekompletnie, bo jak możecie zobaczyć, w górze po lewej stronie jest częściowo zasłonięta przez rękaw mężczyzny ze sztyletem. Nie zauważyliśmy tego na powiększeniu, ponieważ kolor ubrania jest tak samo ciemny jak okładka. Jednak na dwóch przeciwległych ścianach pokoju wiszą lustra i odbicie płyty

przenosi się z jednego do drugiego. Zdawało mi się, że jest niewielka różnica kolorystyczna w stosunku do tego, co wyciągnąłem bezpośrednio z filmu...

Guillaume znów przebiegł palcami po klawiaturze.

- Podejrzewam, że na obrazie odbitym w lustrze, tym, który widzimy w całości, tutaj w górze pośrodku, może być etykieta przyklejona do okładki...

Nacisnął klawisz tak ostrożnie jak ktoś, kto wysyła rakietę mającą zniszczyć świat. Powoli, na ich oczach, zamazana plama na monitorze nabrała kształtu. Na złocistym tle pojawił się ciemny napis, lekko wykrzywiony i prześwietlony, ale czytelny.

- Na przykład etykieta sklepu, w którym sprzedano płytę. Disque à Risque, Cours Mirabeau czy jakoś tak, Aix-en-Provence. Numeru domu nie da się odczytać, tak samo numeru telefonu. Przykro mi, ale musicie je znaleźć sami.

W głosie Guillaume'a pobrzmiwała nuta triumfu. Odwrócił się w stronę Hulota z gestem przypominającym akrobatę, który pozdrawia publiczność po wykonaniu potrójnego salto mortale.

Frank i Nicolas nie znajdowali słów.

- Guillaume, jesteś fenomenem!

Chłopak wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nie, nie przesadzajmy, jestem po prostu najlepszy na rynku.

Frank oparł się o fotel i pochylił lekko nad ekranem. Z niedowierzaniem przeczytał jeszcze raz napis na monitorze. Wreszcie coś mieli. Po długim błędzeniu po morzu pojawiła się w końcu daleko na horyzoncie ciemna linia, która mogła być łądem, ale także bezładnym nagromadzeniem chmur. Patrzyli na nią teraz przestraszonymi oczami jak ktoś, kto obawia się szyderstwa kolejnej iluzji.

Nicolas podniósł się z fotela.

- Czy możesz nam to wydrukować?

- Oczywiście, nie ma problemu. Ile kopii?

- Cztery powinny wystarczyć, na wszelki wypadek.

Guillaume wystukał coś na komputerze i drukarka zaczęła pracować z suchym trzaskiem. Kiedy kartki wysuwały się kolejno na pulpit, wstał z krzesła.

Frank stanął naprzeciw chłopaka i poszukał jego wzroku, myśląc, że czasem z niektórymi osobami można porozumieć się bez słów.

- Nie wyobrażasz sobie, jakie ma znaczenie to, co zrobiłeś dzisiaj dla nas i dla wielu innych ludzi. Czy jest coś, co my możemy zrobić dla ciebie?

Guillaume bez słowa stanął do niego plecami. Wyjął kasetę z odtwarzacza wideo, odwrócił się i wyciągnął ją do Franka, trzymając mocno w ręku i nie spuszczać wzroku.

- Tylko jedno. Złapcie tego człowiek.

- Możesz na to liczyć. Będzie to także twoja zasługa.

Kiedy Guillaume wyjmował zdjęcia z drukarki, głos Nicolasa po raz pierwszy od dłuższego czasu miał jaśniejszą barwę.

- Dobrze, myślę, że teraz musimy nad tym popracować. Dużo popracować. Nie odprowadzaj nas, jeśli masz coś do zrobienia. Wiem, jak się stąd wychodzi.

- Rzeczywiście, idźcie sobie. Na dzisiaj mam dosyć. Zamykam wszystko i idę przejechać się na motorze. Po tym wszystkim, co zobaczyłem, nie mam najmniejszej ochoty zostać tu sam...

- Cześć, Guillaume, jeszcze raz dziękujemy.

Na zewnątrz powitał ich rozmarzony zachód słońca nad ogrodem, który po surowości obejrzanych przed chwilą po raz kolejny obrazów zdawał się zaczarowany. Od morza wiała letnia bryza, dokoła rozpościerała się połyskująca zieleń trawnika, ciemniejsza od zieleni laurowego żywopłotu, z rozszanymi, kolorowymi plamami klombów.

Frank zauważył, że z powodu jakiejś osobliwej chromatycznej przypadkowości, żaden kwiat nie był czerwony, nie przywoływał koloru krwi. Wziął to za dobrą wróżbę i uśmiechnął się.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał Nicolas.

- Głupia myśl. Nie przejmuj się tym. Może błada iskierka optymizmu po tym, co uzyskaliśmy od Guillaume'a.

- Znakomity chłopak...

Frank milczał. Wiedział, że temat nie jest zamknięty.

- Przyjaźnił się z moim synem. Byli bardzo do siebie podobni. Za każdym razem, kiedy go widzę, nie mogę powstrzymać się od myśli, że gdyby Stephane żył, wyrósłby prawdopodobnie na takiego człowieka jak on. Jest to trochę pokretny sposób, żebym mógł być nadal dumny z syna.

Frank nie odwrócił wzroku, żeby nie zobaczyć w oczach Nicolasa połyskujących łez, które słyszał w jego głosie.

Pokonali w milczeniu krótki odcinek dzielący ich od samochodu. Kiedy siedzieli już w środku, Frank wziął wydrukowane zdjęcie, które komisarz położył obok

deski rozdzielczej, i zaczął je oglądać, żeby dać mu czas na ochłonięcie. Kiedy Hulot włączał silnik, odłożył je z powrotem i oparł się wygodniej na siedzeniu.

Zapinając pas, zorientował się, że jest podekscytowany.

- Nicolas, znasz Aix-en-Provence?

- Ani trochę.

- Będzie więc lepiej, jeśli kupisz sobie plan miasta, kiedy tam dojedziesz. Sądzę bowiem, mój przyjacielu, że będziesz musiał udać się w krótką podróż.

Samochód Hulota zatrzymał się na rogu rue Princesse Florestine z rue Suffren Raymond, kilkadziesiąt metrów od siedziby policji. Jak na ironię losu, tuż obok wisiał plakat reklamowy o treści „Peugeot 206 - Enfant terrible”.

Nicolas wskazał afisz podbródkiem. Na jego wargach igrał złośliwy uśmieszek.

- O proszę, właściwy samochód dla właściwego człowieka.

- Okej, *enfant terrible*. Od tej chwili wszystko w twoich rękach. Bierz się do roboty.

- Dam znać, jeśli coś znajdę.

Frank otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu. Przez opuszczoną szybę wycelował oskarżycielski palec w komisarza.

- Nie jeśli coś znajdziesz, tylko kiedy coś znajdziesz. Chyba, że naprawdę uwierzyłeś w tę historię z urlopem?

Hulot podniósł dwa palce do czoła na znak pożegnania. Frank patrzył jeszcze przez chwilę za oddalającym się samochodem.

Ślad, który pojawił się w filmie, wprowadził powiew optymizmu do śledztwa, ale był on jeszcze zbyt wąty, żeby stanowić coś konkretnego. Frank chwilowo był w stanie tylko zaciskać kciuki.

Ruszył piechotą rue Suffren Raymond i skierował się do centrali policji. W drodze powrotnej z Eze-sur-Mer odebrał telefon od Roncaille'a, który wzywał go do swojego biura w celu podjęcia „ważnych decyzji”. Frank z tonu jego głosu wyczuwał, jaka będzie atmosfera tego zebrania. Niepowodzenie poprzedniego wieczoru, nowa ofiara, a raczej nowe ofiary, co doprowadziło do odsunięcia Nicolasa, musiały odbić się też na sytuacji Roncaille'a i Duranda.

Wkroczył do centrali, mijając strażnika, który nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Był tu już domownikiem. Do kiedy, nie wiadomo, ale tymczasem tak właśnie było.

Kiedy dotarł pod drzwi gabinetu Roncaille'a, zapukał, a dochodzący z wewnątrz głos dyrektora zaprosił go do wejścia.

Frank otworzył drzwi i nie zdziwił się, widząc prokuratora generalnego Duranda. Zaskoczyła go natomiast obecność konsula amerykańskiego Dwighta Durhama. Nie dlatego, że była nieuzasadniona, ale Frank myślał, że kwestie o charakterze dyplomatycznym dyskutowane będą i rozpatrywane na innym szczeblu, dużo wyższym, niż wskazywałoby na to jego stanowisko śledczego, przydzielonego czasowo do dochodzenia. Obecność Durhama w tym pokoju była bardzo silnym sygnałem ze strony rządu Stanów Zjednoczonych, dotyczącym zarówno tego, co mógł uruchomić w sposób nieoficjalny Nathan Parker poprzez swoje osobiste znajomości, jak i zabójstw obywateli amerykańskich na terytorium Księstwa. Poza tym, jako ostatni element, istniał jeszcze mało budujący przypadek kapitana armii USA, oskarżonego o morderstwo i przebywającego obecnie w więzieniu w Monako.

Roncaille podniósł się, gdy Frank wszedł, jak to zresztą czynił zawsze i z każdym.

- Proszę usiąść, Frank. Cieszę się, że pana widzę. Wyobrażam sobie, że po ostatniej nocy miał pan trudności ze spaniem, jak my wszyscy.

Frank uściśnął wyciągnięte do niego ręce. Spojrzenie, jakim obrzucił go ukradkiem Durham, pełne było podtekstów, które bez trudu wychwytał. Usiadł w skórzanym fotelu. Gabinet był trochę większy od pokoju Hulota i poza fotelami stała w nim kanapa, ale jego urządzenie nie odbiegało specjalnie od średniej w całym biurze centrali. Jedyнным ukłonem wobec pełnionej przez niego funkcji dyrektora Sûreté były dwa obrazy wiszące na ścianach, na pewno autentyczne, których wartości Frank nie był jednak w stanie ocenić. Roncaille wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- Wyobrażam też sobie, że czytał pan gazety i to, co napisano po ostatnich wydarzeniach.

Frank wzruszył ramionami.

- Nie, wyznam, że nie czułem takiej potrzeby. Media rządzą się swoją logiką, która stoi zazwyczaj po stronie obywatela i wydawcy. Rzadko przydatne są prowadzącym śledztwo. Czytanie gazet nie należy do moich obowiązków. Jak też dostarczanie im za wszelką cenę tematów do pisania...

Durham podniósł rękę do ust, żeby ukryć uśmiech. Durand uznał prawdopodobnie, że słowa Franka odnoszą się bezpośrednio do odwołania Hulota, poczuł się więc w obowiązku dokonać uściślenia.

- Frank, wiem, co pan czuje w związku z komisarzem Hulot. Ja również niechętnie podjąłem kroki, które uważam za niezbyt popularne. Wiem, jak Hulot ceniony jest w środowisku policyjnym, jednak rozumie pan...

Frank przerwał mu z lekkim uśmiechem na ustach.

- Oczywiście, że rozumiem. Doskonale. I nie chciałbym, żeby stanowiło to problem.

Roncaille zorientował się, że rozmowa zaczyna przybierać niepokojący obrót i może nabrać niebezpiecznego przyspieszenia.

- Nie ma i nie powinno być żadnego problemu między nami, Frank. Oferta współpracy opiera się na całkowitej otwartości i zaufaniu. Pan Durham jest tutaj, żeby to potwierdzić.

Konsul oparł się w fotelu i potarł wskazującym palcem czubek nosa. Znajdował się w uprzywilejowanej pozycji, czego jednak nie wykorzystywał, choć dawał Frankowi odczuć, że trzyma jego stronę. Frankowi nie pozostawało nic innego, jak potwierdzić tylko sympatię i szacunek, którymi obdarzył go już podczas krótkiej wizyty w Parc Saint-Roman.

- Frank, nie ma co uchylać się od odpowiedzialności. Sytuacja jest maksymalnie zagniatana. Była już skomplikowana, zanim zdarzył się ten... nazwijmy go, przypadek z kapitanem Mosse'em, co jeszcze dodatkowo pomieszało karty. W każdym razie ten rozdział wydaje się zamknięty i zajmą się nim służby dyplomatyczne w odpowiednim terminie i w sposób, jaki uznają za stosowny. Jeśli zaś chodzi o pana Nikt, jak ochrzciła go prasa, to cóż...

Zwrócił się do Duranda, jakby to jemu zostawiał zadanie dokończenia przemowy. Prokurator popatrzył na Franka, a ten odniósł wrażenie, że wolałby on pokazać tyłek w telewizji w porze największej oglądalności, niż być zmuszonym do wypowiedzenia słów, które po chwili padły.

- Wspólnie podjęliśmy decyzję, żeby powierzyć panu dalsze prowadzenie śledztwa. W tej chwili nikt nie ma ku temu lepszych kwalifikacji. Jest pan agentem o wybitnym życiorysie, powiedziałbym wyjątkowym, śledzi pan dochodzenie od samego początku, zna pan jego bohaterów i zamieszane osoby, jak również cieszy się pan ich zaufaniem. Przydzielony zostanie do pana inspektor Morelli jako przedstawiciel

Sûreté i łącznik z władzami Księstwa, ale poza tym ma pan całkowicie wolną rękę. Będzie pan składał mnie i Roncaille'owi sprawozdania o postępach śledztwa, mając na uwadze, że nasz cel jest wspólny: musimy złapać tego mordercę, zanim pojawią się następne ofiary.

Durand skończył swoją przemowę i wciąż patrzył na Franka z miną kogoś, kto poszedł właśnie na niepojęte ustępstwo, pozwalając niegrzecznemu dziecku wziąć podwójną porcję deseru.

Frank przybrał stosowny do okoliczności wyraz twarzy, mniej więcej taki, jakiego spodziewali się po nim Roncaille i Durand, gdy tymczasem chętnie by ich wycalował, przekazał rzymskim centaurom, a potem cieszył się sześćdziesięcioma denarami zapłaty bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Dobrze. Myślę, że powinienem czuć się zaszczycony powierzonym mi zadaniem, i w istocie tak jest. Niestety, przebiegłość seryjnego mordercy, którego ścigamy, wydaje się wręcz diabelska. Do tej pory nie popełnił nawet najmniejszego błędu. A trzeba powiedzieć, że wykonał wiele ruchów w obszarze tak ograniczonym, a jednocześnie tak trudnym z punktu widzenia kontroli policyjnych...

Roncaille przyjął pochwałę miejscowych sił policji jako należyty gest. Oparł łokcie na biurku i wysunął się lekko w przód.

- Może pan korzystać z gabinetu komisarza Hulot. Inspektor Morelli, jak już powiedziałem, jest do pańskiej dyspozycji. Znajdzie pan całą dokumentację dotyczącą sprawy, raporty brygady kryminalistycznej na temat dwóch ostatnich zbrodni, łącznie z zabójstwem Roby'ego Strickera. Wyniki autopsji są w drodze i powinny znaleźć się na pańskim biurku jutro rano. Gdyby uznał to pan za przydatne, oddane zostanie do pańskiej dyspozycji auto z tablicą „Samochód policyjny na służbie”.

- Nie ukrywam, że bardzo by mi się przydał.

- Kiedy będzie pan wychodził, Morelli podstawí panu samochód przed wejście. Ostatnia rzecz... Jest pan uzbrojony?

- Tak, mam pistolet.

- Dobrze. Dostanie pan dodatkową odznakę, która da panu pełne prawo działania na terenie Księstwa. Powodzenia, Frank.

Frank zrozumiał, że zebranie, przynajmniej w tym, co dotyczyło jego osoby, dobiegło końca. Sprawy, o których mieli dalej dyskutować ci trzej, być może odnosiły się do niego, ale zupełnie go nie interesowały. Wstał, podał dłoń obecnym i wyszedł na

korytarz. Kiedy schodził do gabinetu Hulota, myślał o nowinach, jakie przyniosło popołudnie.

Pierwsza sprawa to odkrycie dokonane dzięki pracy Guillaume'a Merciera. Ów detal, który wyłonił się po analizie filmu, na tym etapie wnosił do śledztwa trop na wagę złota. W kraju ślepców jednooki królem. W świecie całkowitej niewiedzy nazwisko i adres mogą stanowić różnicę między czymś życiem lub śmiercią. W przeciwieństwie do Nicolasa podchodził do tego śladu bardziej z niepokojem niż z nadzieją. Czuł się tak, jakby sto rąk popychało go z tyłu do biegu, a jednocześnie sto pomieszanych głosów szeptało mu do ucha bezsensowne słowa. Słowa, które powinien zrozumieć, a nie rozumiał w czasie niepohamowanego biegu.

Teraz niewielką szansę, jaką mieli, mógł wykorzystać Nicolas Hulot, urlopowany komisarz mający większe możliwości działania w czasie wolnym niż w czasie oficjalnie poświęconym śledztwu.

Druga sprawa, o której pomyślał, dotyczyła Heleny Parker. Czego od niego chciała? Dlaczego tak bardzo przerażała ją ojciec? I jaki związek istniał między nią a kapitanem Mosse'em? Z tego, jak potraktował ją w dniu ich bójki, wyraźnie było widać, że związek ten zdecydowanie wykracza poza normalne stosunki między córką generała a jego podwładnym, który wydawał się niemal członkiem rodziny. A przede wszystkim, w jakim stopniu prawdziwa była podtrzymywana przez ojca wersja o psychicznym niezrównoważeniu kobiety?

Pytania te nasuwały się Frankowi, mimo że próbował odsunąć od siebie myśl o Helenie Parker jako niezwiązaną ze sprawą, jako przeszkodę odciągającą jego uwagę od Nikogo i od śledztwa, w które od tej pory był zaangażowany w pierwszej osobie.

Otworzył drzwi do gabinetu Nicolasa bez pukania. Teraz był jego i miał do tego prawo. Morelli siedział przy biurku i zerwał się na jego widok. Nastąpiła chwila zakłopotania. Frank uznał, że konieczne jest wyjaśnienie, aby dokładnie zrozumieć, po której stronie każdy z nich postanowił stanąć.

- Cześć, Claude.

- Dzień dobry, Frank.

- Słyszałeś nowinę?

- Tak, Roncaille wszystko mi powiedział. Cieszę się, że to ty będziesz prowadził śledztwo, chociaż...

- Chociaż?

Morelli zdawał się twardy jak Skała Gibraltarska, kiedy wypowiadał te słowa.

-... Chociaż uważam, że zrobili komisarzowi Hulot świństwo.

- Jeśli mam być szczery, ja także, Claude.

Jeśli był to egzamin, to obaj go zdali. Atmosfera w pokoju wyraźnie się rozluźniła. Gdy nadeszła chwila wyboru, Morelli dokonał takiego, jakiego Frank się po nim spodziewał. Zastanawiał się, czy może mu zaufać i wprowadzić go w nieoficjalne działania podjęte przez Nicolasa. Postanowił na razie nic nie robić i nie prowokować losu. Morelli był policjantem przygotowanym i zdolnym, pozostawał jednak na służbie Sûreté Publique Księstwa Monako. Ujawnienie mu zbyt wielu szczegółów oznaczałoby automatycznie poważne tarapaty również dla niego, gdyby wynikły jakieś komplikacje. A na to poczciwy Morelli nie zasługiwał.

Inspektor wskazał teczkę dokumentów na biurku.

- Przyszły ekspertyzy kryminalistyczne.

- Czytałeś?

- Rzuciłem okiem. Nie ma nic, czego byśmy już nie wiedzieli. Gregor Yatzimin został zabity dokładnie tak samo jak pozostali, bez żadnych śladów. Nikt kroczy prosto swoją drogą, ale nie osłabia to jego czujności.

Niezupełnie, Claude, nie do końca. W powietrzu unosi się kradziona muzyka...

- Nie mamy wiele do zrobienia. Możemy tylko nadal kontrolować radio. To oznacza najwyższą gotowość, oddział specjalny w stanie poprzedzającym alarm i całą resztę. Zgadzasz się?

- Oczywiście.

- Chciałbym prosić cię o przysługę.

- Mów. Frank.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostawię cię dziś samego w radiu. Nie sądzę, żeby coś miało się stać. Zabójstwo z poprzedniej nocy naładowało baterie naszego klienta i przynajmniej dopóki efekt się nie wyczerpie, będzie grzeczny. W przypadku seryjnych morderców przerwa między zabójstwami oznacza właśnie to. Ja będę słuchał audycji i będę w każdej chwili uchwytany pod komórką, ale potrzebuję wolnego wieczoru. Czujesz się na siłach?

- Nie ma problemu, Frank.

Frank zastanawiał się, jak postępują sprawy między Morellem a Barbarą. Zdawało mu się, że sympatia inspektora wobec dziewczyny trafiła na podatny grunt, ale wydarzenia zepchnęły prawdopodobnie sprawę na drugi plan. Morelli nie

wyglądał na kogoś, kto zaniedbuje pracę dla rozrywek o charakterze uczuciowym, nawet jeśli w grę wchodzi osoba tak atrakcyjna jak Barbara.

- Obiecali mi własny samochód. Mógłbyś sprawdzić, czy dotrzymali obietnicy?

- Dobrze.

Inspektor wyszedł z pokoju i Frank został sam. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął portfel. Wyciągnął z niego złożoną na pół karteczkę. Był to kawałek listu, który generał Parker zostawił mu w portierni po ich pierwszym spotkaniu na placu w Eze Village i na którym były jego numery telefonu.

Przez chwilę wpatrywał się w kartkę. Wreszcie wziął komórkę i wybrał numer domowy. Po kilku sygnałach w słuchawce zabrzmiał głos Heleny Parker.

- Halo?

- Witam. Tu Frank Ottobre.

Przed odpowiedzią nastąpiła krótka przerwa.

- Cieszę się, że pana słyszę. Frank pozostawił to bez komentarza.

- Czy jadła już pani kolację?

- Nie, jeszcze nie.

- Czy jest to praktyka, z której pani zrezygnowała, czy też myśli pani, że może ją włączyć dziś wieczorem do swojego programu?

- Myślę, że jest to hipoteza godna uwagi.

- Mógłbym więc być u pani za godzinę, jeśli jest to czas do zaakceptowania.

- Jak najbardziej. Czekam. Pamiętaj pan, gdzie jest dom, prawda?

- Oczywiście. Do zobaczenia.

Frank skończył połączenie. Wciąż wpatrywał się w komórkę, jakby istniała możliwość śledzenia na ekranie ruchów kobiety w jej domu. Zamykając w końcu obudowę motoroli, zastanawiał się, w jakie kolejne tarapaty się pcha.

39

Frank zatrzymał na poboczu krótkiej, ubitej drogi, prowadzącej do domu Heleny Parker i zgasił silnik renault mégane, wozu przekazanego mu przez policję. Auto nie było w żaden sposób oznakowane. Jediną różnicą w stosunku do seryjnego egzemplarza było radio, które umożliwiała mu kontakt z centralą. Morelli wyjaśnił mu, jak go używać, i wskazał częstotliwości zajęte przez policję.

Kiedy jechał w stronę Beausoleil i domu wynajętego przez generała, zadzwonił do Heleny, że wkrótce będzie.

Wcześniej towarzyszył Morellemu do radia i razem sprawdzili, czy wszystko w porządku. Przed wyjściem Frank wziął na bok Pierrota i zaprowadził go do małego pomieszczenia obok wejścia.

- Pierrot, czy potrafisz dochować tajemnicy?

Chłopiec popatrzył na niego wystraszony, z przymkniętymi oczami, jakby się zastanawiał, czy jest w stanie sprostać tej prośbie.

- Tajemnica, to znaczy, że nie mogę tego nikomu powiedzieć?

- Właśnie. A poza tym, teraz ty też jesteś policjantem, bierzesz udział w policyjnym śledztwie, a policjanci nie mogą nikomu zdradzać swoich sekretów. To jest *top secret*. Czy wiesz, co to znaczy?

Chłopiec energicznie pokręcił głową, aż zafalowały jego zabawne, proste włosy, którym przydałoby się już podcięcie.

- To znaczy, że jest to taki sekret, o którym możemy wiedzieć tylko my dwaj. Zgadzasz się, agencie Pierrot?

- Tak jest.

Podniósł rękę do czoła w wojskowym salucie, tak jak widział prawdopodobnie w jakimś filmie w telewizji. Frank wyjął zdjęcie płyty, które Guillaume wykadrował z kasety.

- Teraz pokażę ci okładkę płyty. Potrafisz powiedzieć, czy jest w pokoju?

Podsunał zdjęcie przed twarz Pierrota, który znów zmrużył oczy, jak to czynił zazwyczaj, kiedy próbował się skoncentrować. Kiedy podniósł głowę i popatrzył na Franka, nie było na jego twarzy satysfakcji. Potrząsnął głową.

- Nie ma.

Frank ukrył swoje rozczarowanie, żeby nie pokazać go Pierrotowi. Udawał, że jego zaprzeczenie jest i tak sukcesem.

- Bardzo dobrze, agencie Pierrot. Bardzo, bardzo dobrze. Możesz teraz odejść i pamiętaj, absolutna tajemnica!

Pierrot skrzyżował wskazujące palce na wargach na znak przysięgi milczenia, wyszedł z pokoju i oddalił się w kierunku kabin reżyserskich. Frank schował zdjęcie z powrotem do kieszeni i odszedł, zostawiając sytuację pod kontrolą Morellego. Kiedy wychodził, zobaczył, jak Barbara ubrana w szczególnie intrygującą czarną sukienkę podchodzi do inspektora.

Kiedy myślał o ludzkich skłonnościach Morellego, otworzyła się brama domu i wyszła z niej Helena Parker. Wylaniała się stopniowo z półcienia wytworzonego przez światła reflektorów.

Najpierw pojawiła się jej pełna wdzięku postać, krocząca pewnie po zwirowanej ścieżce, mimo nieco nierównego terenu. Potem jej twarz pod burzą jasnych włosów, a w końcu oczy, z których bił taki smutek, jakby ktoś go tam wyhodował, żeby potem obdzielić nim cały świat. Frank zastanawiał się, co się kryje za tą porwaną zasłoną. Jakie cierpienie, ile chwil niechcianej samotności albo nieproszonego towarzystwa, ile zwykłego przetrwania zamiast prawdziwego życia.

Prawdopodobnie wkrótce się o tym dowie, ale zastanawiał się, do jakiego stopnia chce wiedzieć. Zastanawiał się też, do jakiego stopnia jest na to przygotowany. Nagle uświadomił sobie, kim jest dla niego Helena Parker. Z trudem był w stanie przyznać się przed samym sobą, że się boi. Obawiał się, że historia z Harriet na zawsze uczyniła go tchórzem. Jeśli tak było, mógł krążyć po świecie z całym arsenałem broni, aresztować lub zabić tysiąc ludzi, mógł przepędzić całe życie w biegu, ale nieważne, jak szybko by biegł i tak nigdy by już siebie nie dogonił. Jeśli czegoś nie zrobi, jeśli coś się nie wydarzy, ten strach nigdy go nie opuści.

Wysiadł z samochodu i przeszedł na drugą stronę, żeby otworzyć drzwiczki. Helena Parker miała na sobie ciemny komplet, spodnie i marynarkę z kołnierzykiem w stylu koreańskim, nadającym całości nieco orientalny charakter, świetnie

podchwycony przez jakiegoś głośnego projektanta. Jej ubiór nie wskazywał jednak na zamożność, tylko na dobry gust. Frank zauważył, że praktycznie nie nosi biżuterii, a makijaż był, jak zresztą zawsze, kiedy ją widywał, tak delikatny, że niemal niewidoczny.

Podeszła do niego poprzedzona korzennym zapachem, który zdawał się pochodzić bezpośrednio z nocy.

- Dobry wieczór, Frank. Dziękuję, że wysiadł pan, żeby otworzyć mi drzwiczki, ale proszę nie czuć się w obowiązku czynić tego za każdym razem.

Helena usiadła w samochodzie i podniosła twarz na Franka, który stał cały czas przy otwartych drzwiach.

- Nie jest to zwykła grzeczność...

Frank ruchem głowy wskazał mégane.

- To jest francuskie auto. Jeśli nie dostosujesz się do pewnych zasad savoir vivre'u, silnik nie zapali.

Helena zdawała się docenić ten sposób potraktowania sprawy i dała temu wyraz krótkim śmiechem.

- Pan mnie zaskakuje, mister Ottobre, w czasach, kiedy dowcipni ludzie są egzemplarzami na wymarcu.

Jej uśmiech wydał się Frankowi cenniejszy niż klejnot noszony przez piękną kobietę. W obliczu tego uśmiechu poczuł się nagle sam, całkiem bezbronny.

Myślał o tym, kiedy obchodził samochód i siadał za kierownicą. Włączając silnik, zastanawiał się, ile będzie trwała ta szermierka między nimi, zanim dojdą do prawdziwego powodu ich spotkania. Zastanawiał się też, które z nich pierwsze będzie miało odwagę stawić mu czoło.

Spojrzał na profil Heleny, która była światłem i ciemnością w odbiciu reflektorów mijanych aut, nie wiedząc, że jest tym samym światłem i ciemnością w myślach siedzącego obok niej mężczyzny. Odwróciła się i odwzajemniła jego spojrzenie. W półmroku wszelki pozór radości znikł z jej oczu, które znów nabrały poprzedniego wyrazu.

Frank zrozumiał, że to ona zacznie.

- Znam pańską historię, Frank. Mój ojciec zmusił mnie, żebym ją poznała. Wszystko to, co wie on, ja też muszę wiedzieć, muszę także być wszystkim tym, czym on jest. Przykro mi, czuję się intruzem w pańskim życiu i nie jest to budujące uczucie.

Frankowi przyszło do głowy ludowe porzekadło, które przydzielało mężczyznom w stosunku do kobiet rolę myśliwych. W towarzystwie Heleny Parker wyczuwał, że te role zostały odwrócone. Kobieta ta była autentycznym myśliwym, nawet o tym nie wiedząc, może dlatego, że od zawsze była zdobyczą.

- Jediną rzeczą, jaką mogę dać panu w zamian, jest moja historia. Nie znajduję innego usprawiedliwienia dla faktu, że jestem tu z panem i prowokuję całą serię pytań, na które na pewno z trudem znajduje pan odpowiedź.

Frank słuchał głosu Heleny i prowadził powoli, włączony w strumień samochodów, które jechały z Roquebrune w stronę Mentony. Wokół nich toczyło się normalne życie, paliły się światła, ludzie spacerowali po ciepłym i oświetlonym nabrzeżu w poszukiwaniu błahej rozrywki, bez żadnej innej motywacji, poza równie błahą przyjemnością poszukiwania, jako celu samego w sobie.

Nie ma skarbów, nie ma wysp ani map, tylko iluzja, dopóki trwa. A czasami końcem iluzji jest głos, który szepcze dwa proste słowa: „Ja zabijam... „.

Niemal bezwiednie Frank wyciągnął ręką, żeby zgasić radio, jakby obawiał się, że za chwilę wydobędzie się z niego nienaturalny głos, który przywoła go do rzeczywistości. Cicha muzyka w tle zamilkła.

- Problem nie w tym, czy zna pani moją historię, ale w tym, że ją mam. Mam nadzieję, że pani historia będzie się różnić od mojej.

- Gdyby była tak bardzo różna, czy byłabym tu teraz?

Głos Heleny stał się nagle bardzo łagodny. Był to głos walczącej kobiety, która szuka pojednania.

- Jaka była pańska żona?

Franka zaskoczyła naturalność, z jaką zadała to pytanie. I łatwość, z jaką udzielił odpowiedzi.

- Nie potrafię powiedzieć, jaka była. Jak każdy z nas, była jednocześnie dwiema osobami. Mógłbym pani powiedzieć, jak ja ją widziałem, ale teraz to zupełnie niepotrzebne.

Frank umilkł i do jego milczenia dołączyło na chwilę milczenie Heleny.

- Jak miała na imię?

- Harriet.

Helena zdała się przyjąć to imię jak imię starej przyjaciółki.

- Harriet. Choć jej nie poznałam, wydaje mi się, że wiele o niej wiem. Pewnie zastanawia się pan, skąd u mnie takie mniemanie...

Krótką pauza, a po niej znów przepelniony goryczą głos Heleny.

- Nikt nie jest w stanie tak szybko wyczuć słabej kobiety jak inna słaba kobieta.

Helena popatrzyła przez chwilę przez okno. Jej słowa były podróżą, która w pewnym sensie dobiegała kresu.

- Mojej siostrze Arijane udało się być silniejszą ode mnie. Ona szybko się zorientowała i odeszła, uciekła przed szaleństwem mojego ojca. Lub też prawdopodobnie nie zależało mu aż tak bardzo, żeby zamknąć ją w tym samym więzieniu co mnie. Ja nie potrafiłam się wymknąć...

- Czy to z powodu pani syna?

Helena ukryła twarz w dłoniach. Jej głos dotarł stłumiony barierą palców, które zamykały jej oblicze w małej klatce cierpienia.

- On nie jest moim synem.

- Nie jest pani synem?

- Nie, to mój brat.

- Pani brat? Ale pani mi powiedziała...

Helena podniosła twarz. Nikt nie mógł nosić w sobie tego całego bólu, nie umierając, nie będąc już od dawna martwym.

- Powiedziałam panu, że Stuart jest moim synem, i to prawda. Ale jest także moim bratem...

Kiedy Frank, któremu odebrało mowę, zaczynał rozumieć, Helena wreszcie się rozluźniła i rozplakała. Płakała bardzo cicho, ale w ciasnej kabinie auta jej głos brzmiał jak krzyk uwolnienia powstrzymany przez wiele, zbyt wiele czasu.

- Przeklęty! Żebyś był przeklęty, Nathanie Parker! Żebyś się smażył w piekle nie przez jedną wieczność, ale przez tysiąc wieczności!

Frank zobaczył po drugiej stronie szosy miejsce do zatrzymania, tuż obok placu robót drogowych. Włączył kierunkowskaz i podjechał, żeby tam zaparkować. Wyłączył silnik, pozostawiając zapalone światła.

Odwrócił się do Heleny. Jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, kobieta opadła, żeby poszukać schronienia w jego ramionach, oprzeć zalaną łzami twarz na jego marynarce, poczuć jego dłoń na włosach, które tyle razy zasłaniały oblicze zawstydzone po nocach hańby.

Pozostali tak przez czas, który Frankowi zdawał się nieskończonością.

W jego głowie mieszało się tysiące obrazów, tysiące życiowych historii, zlewając rzeczywistość z wyobraźnią, teraźniejszość z przeszłością, prawdę z

prawdopodobieństwem, kolory z ciemnością, zapach kwiatów z ostrym od rozkładu odorem ziemi.

Zobaczył siebie w rodzinnym domu i jednocześnie rękę Nathana Parkera wyciągającą się w stronę córki, łzy Heleny i sztylet uniesiony nad mężczyzną przywiązany do krzesła, błysk noża wsuwanego w jego własne nozdrza i błękitne spojrzenie dziesięcioletniego chłopca, który żył nieświadomie wśród dzikich bestii.

W jego głowie nienawiść stała się oślepiającym światłem i stopniowo światło to przeobraziło się w niemy krzyk, tak mocny, że mógłby roztrzaskać wszystkie mury, za którymi mogła się ukrywać nikczemność, wszystkie zamknięte drzwi, w które daremnie uderzały ręce kogoś, kto rozpaczliwie błagał o wpuszczenie, żeby znaleźć pomoc w swojej niedoli.

Helena chciała tylko zapomnieć. I tego samego potrzebował Frank, dokładnie tam, w tym samochodzie zaparkowanym obok gruzów, w tym uścisku, w tym uczuciu, kiedy mur spotyka się z bluszczem, w tym wszystkim, co można było opisać jednym prostym słowem: nareszcie.

Kiedy w końcu znów na siebie spojrzeli, obydwoje z wyrazem niedowierzania zrozumieli, że stało się coś ważnego.

Pocałowali się, a ich wargi połączyły się w tym pierwszym pocałunku nie miłością, a strachem. Była to obawa, że to wszystko nieprawda, że rozpacz kazała wymówić słowa czułości, że samotność nadała słowom inny kształt, że nic nie jest takie, jak się zdawało.

Zanim uwierzyli, musieli to zrobić jeszcze raz i jeszcze raz. Zanim podejrzenie stało się nikłą nadzieją, żadne z dwojga bowiem nie mogło sobie jeszcze pozwolić na luksus pewności.

Potem patrzyli na siebie bez tchu. Pierwsza doszła do siebie Helena. Pogładziła go po twarzy.

- Powiedz coś głupiego, proszę. Coś głupiego, ale żywego.
- Obawiam się, że straciliśmy rezerwację w restauracji.

Helena znów go objęła i Frank usłyszał jej pełen ulgi śmiech, gubiący się w krótkich oddechach na jego szyi.

- Wstydzę się przed samą sobą, Franku Ottobre, ale nie mogę się oprzeć, żeby nie myśleć o tobie samych dobrych rzeczy. Zawróć, pojedziemy do mnie do domu. W lodówce jest jedzenie i wino. Dziś wieczorem nie mam najmniejszego zamiaru dzielić się tobą ze światem.

Frank włączył silnik i ruszył z powrotem drogą, którą niedawno przyjechał. Kiedy to się stało? Może godzinę, a może całe życie wcześniej. W owej chwili nie umiał odnaleźć miary czasu. Był pewien tylko jednego. Gdyby stanął przed nim wtedy Nathan Parker, na pewno by go zabił.

Ósmy karnawał

Ukryty w swojej kryjówce, mężczyzna leży wyciągnięty na łóżku.

Pogrążył się w błogim śnie, uspokojony niczym łódź, która z mielizny wypływa na pełne morze. Jego miarowy, ledwie wyczuwalny oddech unosi leciutko okrywające go prześcieradło na znak, że żyje, że biała tkanina na nim to przykrycie, a nie całun.

Obok niego, tak samo nieruchome, leżą w swojej szklanej trumnie wyschnięte zwłoki. Głowę mają osłoniętą niczym trofeum czymś, co było kiedyś jasnym obliczem Gregora Yatzimina. Tym razem zdjęta twarz okazała się prawdziwym arcydziełem. To, co okrywa zmumifikowaną czaszkę, wydaje się nie maską, a prawdziwą skórą.

Mężczyzna leżący na łóżku śpi.

Obrazy pojawiające się w jego śnie są niewyraźne, choć kształty, które jego umysł próbuje rozpoznać, nie zakłócają doskonałego bezruchu ciała.

Na początku była ciemność. Teraz jest ubita droga, a w głębi widać budowlę w miękkim świetle pełni księżyca. Jest ciepły, letni wieczór. Mężczyzna zbliża się krok za krokiem do zamazanej w półmroku sylwetki dużego domu, z którego niczym wezwanie dochodzi znajomy zapach lawendy. Mężczyzna czuje lekkie ukłucia zwiru na bosych stopach. Pragnie iść dalej, ale jednocześnie boi się.

Mężczyzna słyszy stłumiony dźwięk zdyszanego oddechu, nagły przypływ strachu, który łagodnieje, kiedy tylko dostrzega, że to jego własny oddech. Teraz jest spokojny, stoi na podwórzu przed domem, przedzielonym na pół okapem kamiennego komina, który wyrasta z linii dachu niczym uniesiony palec, wskazujący księżyc.

Dom pogrążony jest w ciszy, która brzmi jak zaproszenie.

Nagle obraz domu rozplywa się, a on znajduje się wewnątrz i wchodzi po schodach. Podnosi głowę w stronę spływającego z góry mdłego oświetlenia. Z podestu dociera światło, które rozprasza mrok schodów. W głębi zarysowuje się ludzka postać.

Mężczyzna czuje, że strach powraca niczym zbyt ciasny węzeł krawata i skraca mu oddech. Mimo wszystko kontynuuje swoją powolną wspinaczkę po schodach. Wchodząc, zastanawia się, kim może być osoba, którą spotka na górze, i w tym samym momencie uświadamia sobie, że boi się tego dowiedzieć.

Jeden stopień. Następny. Skrzywienie drewna pod bosymi stopami, które rozlega się w przerwie między jego na powrót ciężkimi oddechami. Ręka oparta o drewnianą poręcz powoli zabarwia się spływającym z góry światłem.

Kiedy ma wejść na ostatni podest schodów, postać odwraca się i znika za drzwiami, skąd pochodzi światło, zostawiając go samego na schodach.

Mężczyzna pokonuje ostatnie stopnie. Staje przed otwartymi drzwiami, z których pada żywe i drżące światło. Podchodzi powoli do progu, przekracza go, uderzony światłem, które jest nie tylko jasnością, ale także hałasem.

Pośrodku pokoju stoi mężczyzna. Jego ciało jest nagie, smukłe i atletyczne, ale jego twarz zdeformowana. Tak jakby owinął się wokół jego głowy polip i zatarł rysy twarzy. Zza tej potwornej płataniny narodził się, patrzy na niego dwoje błagalnych, jasnych oczu, jakby szukając litości. Ta nieszczęśliwa postać płacze.

Kim jesteś?

Jakiś głos w powietrzu zadaje to pytanie. Nie rozpoznaje w nim swojego głosu. Nie może on też należeć do stojącego przed nim, okaleczonego mężczyzny, bo nie ma on ust.

Kim jesteś? - powtarza głos i zdaje się, że dochodzi zewsząd, że wydobywa się bezpośrednio z otaczającego ich, oślepiającego światła.

Teraz mężczyzna wie, a nie chciałby wiedzieć, widzi, a nie chciałby widzieć.

Postać wyciąga do niego ramiona i udaje się jej przekazać prawdziwe przerażenie, choć jej oczy wciąż szukają litości stojącego naprzeciwko mężczyzny, jak być może nadaremnie szukały litości świata. I nagle światło staje się ogniem, wysokimi, ryczącymi płomieniami, które pochłaniają wszystko, co znajdują na swojej drodze, ogniem, który zdaje się pochodzić bezpośrednio z piekła, mającym oczyścić ziemię.

Budzi się bez żadnego ruchu, otwiera po prostu oczy, a mrok zastępuje blask płomieni.

Jego dłoń podnosi się w ciemnościach w stronę lampki stojącej na nocnej szafce. Zapala ją. Słabe światło rozjaśnia pusty pokój.

Natychmiast dociera do niego głos. Umarli, z uwagi na to, że zasnęli na wieczność, w rzeczywistości nigdy nie potrzebują snu.

Co ci jest, Vibo, nie możesz odpocząć?

- Nie, Paso, na dziś wystarczy mi snu. Są dni, kiedy mam dużo do zrobienia. Później będę miał czas na odpoczynek...

Nie kończy swojej myśli: *kiedy będzie po wszystkim...*

Mężczyzna nie ma co do tego żadnych złudzeń. Doskonale wie, że prędzej czy później nadejdzie koniec. Wszystkie ludzkie rzeczy mają swój kres, tak samo jak swój początek. Ale na razie wszystko jest jeszcze otwarte i nie może odmówić ciału leżącemu w trumnie nadziei na nową twarz, a sobie samemu satysfakcji z dotrzymane obietnicy.

W mgłach jego snu pojawiła się kiedyś rozbita klepsydra i piasek rozsypał się po pamięci. Tutaj, w realnym świecie, klepsydra ta wciąż krąży wokół swojej osi i nikt nigdy jej nie rozbije. Roztrzaskują się złudzenia, tak jak dzieje się zawsze, ale ta pancerna klepsydra będzie się obracać w nieskończoność, nawet, kiedy nie zostanie już nikt, kto liczyłby odmierzany przez nią czas.

Mężczyzna czuje, że nadeszła chwila. Wstaje z łóżka i zaczyna się ubierać.

Co robisz?

- Muszę wyjść.

Na długo?

- Nie wiem. Myślę, że na cały dzień. Może też nie wrócę jutro.

Nie pozwól, żebyś się niepokoił, Vibo. Przecież wiesz, że źle się czuję, kiedy ciebie nie ma.

Mężczyzna podchodzi do kryształowej skrzyni i uśmiecha się czule do leżącej tam zmory.

- Zostawię ci zapalone światło. Zrobiłem ci niespodziankę, kiedy spałeś.

Wyciąga rękę, żeby wziąć lustro i trzyma je nad leżącą w trumnie twarzą, tak żeby mogła zobaczyć swoje odbicie.

- Popatrz...

Och, ależ to fantastyczne. To ja? Vibo, jestem przepiękny! Jeszcze piękniejszy niż przedtem.

- Oczywiście, że jesteś piękny, Paso. I będziesz jeszcze piękniejszy.

Następuje chwila ciszy, ciszy nieruchomego wzruszenia, którego ciało nie umie i nie może wyrazić łzami.

- Teraz muszę iść, Paso. To bardzo ważne.

Mężczyzna odwraca się plecami do trumny i rusza w stronę drzwi. Kiedy mija próg, powtarza to zdanie, być może do samego siebie.

- Tak, to bardzo ważne.

I polowanie zaczyna się od nowa.

40

Nicolas Hulot zwolnił, zjechał na prawy pas i ruszył w stronę Aix-en-Provence, zgodnie ze wskazówką umieszczoną na białej tablicy. Zrównał się z TIR-em z hiszpańską rejestracją i napisem „Trasporti Fernández” na plandece, który posuwał się powoli w dół po krótkim zjeździe. Gdy tylko wyjechali na prostą, ciężarówka zaparkowała na placu po prawej stronie, komisarz ją wyprzedził i zatrzymał się dokładnie przed kabiną kierowcy. Wyjął z kieszeni na drzwiczkach plan miasta, w który się wcześniej zaopatrzył, i otworzył go, opierając się na kierownicy.

Sprawdził jeszcze raz na mapie miejsce, gdzie poprzedniego wieczoru znalazł Cours Mirabeau. Układ urbanistyczny miasta był w sumie dosyć prosty, a ulica, której szukał, znajdowała się w samym centrum.

Ponownie włączył silnik peugeota i ruszył naprzód. Kilkaset metrów dalej znalazł się na rondzie i zaczął jechać zgodnie ze strzałkami obiecującymi „Centre Ville”. Kiedy przejeżdżał obwodnicą, będącą serią podjazdów i zjazdów, a także ciągiem kamiennych „śpiących policjantów”, ustawionych na ziemi do wyłącznego użytku fanatyków szybkości, Hulot zauważył, że miasto jest bardzo czyste i witalne. Ulice pełne były ludzi, przede wszystkim młodych. Przypomniał sobie, że Aix-en-Provence jest siedzibą prestiżowego uniwersytetu założonego w XV wieku, a na dodatek jest także uzdrowiskiem. Jasne więc, że poza normalną turystyką objazdową, można się było tu spodziewać czegoś więcej.

Dwa razy pomylił drogę, mijając hotele i restauracje zalecające się różnym poziomem luksusu, aż wreszcie znalazł się na placu Generała de Gaulle'a, skąd wjeżdżało się w Cours Mirabeau.

Znalazł wolne miejsce na płatnym parkingu i stał tam przez chwilę, podziwiając wielką fontanną na środku placu. Na umieszczonej na niej tabliczce widniała oficjalna

nazwa „Fontaine de la Rotonde”. Jak zawsze mu się zdarzało od czasów dzieciństwa, szum wody wywoływał w nim potrzebę opróżnienia pęcherza.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów dzielących go od początku Cours Mirabeau, szukając wzrokiem szyldu jakiegoś baru i myśląc, że to niesamowite, jak bardzo pełny pęcherz uświadamia ci nagle, że masz straszną ochotę na kawę.

Przeciął aleję, która była właśnie w trakcie przebudowywania i brukowania. Jeden z robotników w żółtym kasku dyskutował z mężczyzną, wyglądającym na kierownika robót, na temat brakujących materiałów, tłumacząc się, że nic nie zależy od niego, tylko od inżyniera Dufoura. Pod platanem dwa uliczne koty badały się z wyprostowanymi ogonami, niezdecydowane, czy wszcząć bójkę, czy też wycofać się w spokoju, próbując ocalić własną godność. Hulot uznał, że ten ciemniejszy to on, a ten jaśniejszy i trochę większy to Roncaille. Wszedł do baru, pozostawiając zwierzęta ich podwórkowym sprzeczkom i zamówił u barmana kawę z ciepłym mlekiem, po czym udał się do toalety.

Kiedy wrócił, kawa stała już na ladzie. Gdy ją słodził, skinął na kelnera, młodego chłopaka, który gawędził z dwiema dziewczynami mniej więcej w jego wieku, siedzącymi przy stoliku z kieliszkami białego wina.

- Czy mógłby mi pan udzielić informacji?

Jeśli chłopak przerwał niechętnie rozmowę z dziewczętami, nie dał tego po sobie poznać.

- Oczywiście, jeśli mogę pomóc.

- Może wie pan, czy jest albo był tutaj, przy Cours Mirabeau, sklep z płytami o nazwie Disque à Risque?

Młodzieniec, typ o jasnych, króciutko ostrzyżonych włosach i szczupłej, bladej twarzy pokrytej pryszczami, zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wydaje mi się, żebym słyszał tę nazwę, ale mieszkam w Aix od niedawna. Studiuję na uniwersytecie - dodał pośpiesznie.

Najwyraźniej chłopakowi zależało na wyjaśnieniu, że nie zawsze będzie kelnerem, prędzej czy później czeka go zupełnie inna przyszłość.

- Ale jeśli pójdzie pan dalej aleją, znajdzie pan po tej samej stronie kiosk. Tattoo może wydać się panu trochę dziwny, ale jest tutaj od czterdziestu lat i jeśli ktoś może udzielić panu informacji, to tylko on.

Hulot podziękował skinieniem głowy i zaczął pić swoją kawę. Chłopak uznał, że jest wolny, i wrócił do przerwanej rozmowy. Komisarz zapłacił za kawę i zostawił

resztę na marmurowym blacie. Kiedy wyszedł, zobaczył, że kot-Hulot zniknął, zaś kot-Roncaille siedzi spokojnie pod platanem i rozgląda się dookoła.

Ruszył aleją ocienioną rzędami wielkich platanów i wybrukowaną kamiennymi płytami. Po obydwu stronach ciągnął się nieprzerwany rząd kawiarni, sklepów i księgarni.

Około stu metrów dalej znalazł kiosk Tattoo, wskazany mu przez chłopaka z baru, obok antykwariatu z książkami. Na ulicy dwaj mężczyźni mniej więcej w jego wieku grali w szachy przy stoliku, siedząc na składanych krzeselkach naprzeciwko otwartych drzwi sklepu.

Hulot zbliżył się do kiosku i zwrócił do mężczyzny stojącego w środku w otoczeniu gazet, książek i komiksów. Był to staruszek o zapadniętych oczach i poczochranych włosach, bliższy siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki, który zdawał się żywcem wyjęty z westernu Johna Forda, na przykład z Dylizansu.

- Dzień dobry. Pan jest Tattoo?

- Tak, to ja. Co mogę dla pana zrobić?

Nicolas zobaczył, że brakuje mu kilku zębów. Również głos pasował do osoby. Szkoda, że znalazł się w kiosku w centrum Aix-en-Provence, a nie w dylizansie Wells Fargo jadącym do Tombstone.

- Potrzebna mi informacja. Szukam sklepu z płytami o nazwie Disque à Risque.

- Spóźnił się pan więc o kilka lat. Tego sklepu już nie ma. Hulot z trudem powstrzymał odruch złości. Tattoo zapalił gauloise'a bez filtra i natychmiast zaczął kasłać. Sądząc po spazmatycznych wstrząsach, jego wojna z papierosami musiała trwać już od dawna. Łatwo można się było domyślić, kto wygra, ale chwilowo stary trzymał się mocno. Wykonał gest ręką w stronę korso.

- Mieścił się po drugiej stronie Mirabeau, trzysta metrów dalej, po prawej stronie. Teraz na jego miejscu jest bistro.

- Nie pamięta pan, jak nazywał się właściciel?

- Nie, ale nowy lokal otworzył jego syn. Jeśli pan z nim porozmawia, uzyska pan wszystkie potrzebne informacje w Café des Arts et des Artistes.

- Dziękuję, Tattoo. I proszę za dużo nie palić.

Kiedy się oddalał, pomyślał, że nigdy się nie dowie, czy nowy atak kaszlu był podziękowaniem za radę, czy też ochryplym zaproszeniem, żeby spadał. Całe szczęście, że ślad nie urwał się zupełnie. To, co mieli w rękę, było już tak ulotne, że zdawało się bardziej dymem z papierosa Tattoo niż prawdziwą wskazówką. Należało

unikać przynajmniej po drodze straty czasu. Dzięki Morellemu mógłby dotrzeć do właściciela sklepu poprzez poszukiwania w Izbie Handlowej, ale to zabraloby czas, a czas był jedyną rzeczą, której nie mieli w nadmiarze.

Pomyślał o Franku siedzącym na krześle w Radiu Monte Carlo w oczekiwaniu, czy telefon zadzwoni i czy głos zapowie ze swojej otchłani kolejną ofiarę.

Ja zabijam...

Niemal mimo woli przyspieszył kroku. Dotarł przed niebieskie markizy z białym napisem „Cafe des Arts et des Artistes”. Interes szedł raczej dobrze, sądząc po liczbie klientów. Na zewnątrz nie było wolnego stolika.

Wszedł do środka i przez chwilę przyzwyczajał oczy do zmiany światła. Ze względu na tłok za ladą panowała gorączka. Barman i dwie około dwudziestopięcioletnie dziewczyny krzątali się, przygotowując aperitify i przekąski.

Zamówił u jednej z dziewcząt kir royal. Przyjęła zamówienie skinieniem głowy, otwierając jednocześnie butelkę białego wina. Chwilę potem dziewczyna postawiła przed nim kieliszek napełniony różowawym płynem.

- Czy mógłbym rozmawiać z właścicielem? - zapytał, podnosząc kieliszek do ust.

- Oto on.

Dziewczyna wskazała ręką około trzydziestoletniego mężczyznę o przerzedzonych włosach, który wychodził właśnie zza przeszklonych drzwi w głębi lokalu, z napisem: „Tylko dla personelu”. Nicolas zastanawiał się, jak uzasadnić swoją obecność w tym miejscu i swoje pytania. Kiedy właściciel bistra znalazł się przed nim, postanowił przedstawić się oficjalnie.

- Przepraszam...

- Słucham pana. Pokazał odznakę.

- Jestem komisarz Hulot z Sûreté Publique Księstwa Monako. Chciałbym poprosić pana o przysługę, panie...

- Francis. Robert Francis.

- Otóż, panie Francis, jak się zdaje, w tym lokalu mieścił się kiedyś sklep z płytami Disque à Risque, którego właścicielem był pański ojciec.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła niespokojnie. W jego oczach czaiła się cała seria pytań.

- Tak, ale... sklep jest zamknięty od kilku lat.

Hulot uśmiechnął się uspokajająco. Zmienił ton głosu i postawę.

- Proszę być spokojnym, Robercie. Ani pana, ani pańskiego ojca nie czekają żadne kłopoty. Wyda się panu dziwne, ale po wielu latach, sklep ten mógłby się stać kluczem do prowadzonego przez nas śledztwa. Chciałbym spotkać się z pańskim ojcem i zadać mu kilka pytań, jeśli to możliwe.

Robert Francis rozluźnił się. Spojrzał na blondynkę za barem i pokazał jej kieliszek, który Nicolas trzymał w dłoni.

- Nalej mi też, Lucie.

Czekając na drinka, zwrócił się z powrotem do komisarza.

- Cóż, mój ojciec zamknął działalność kilka lat temu. Sklep z płytami nie przynosi specjalnych dochodów. Mój Boże, nigdy nie zarabiał dużych sum, ale ostatnio to była prawdziwa katastrofa. A poza tym, ten uparciuch mój ojciec, mimo że handlował starymi płytami, to więcej odkładał do swoich prywatnych zbiorów, niż wystawiał na sprzedaż. To czyni z niego znakomitego kolekcjonera, ale fatalnego człowieka interesów...

Hulot poczuł ulgę. Francis mówił o ojcu w czasie teraźniejszym. To znaczyło, że żyje. Jego wcześniejsze, „jeśli to możliwe” brało właśnie pod uwagę nieszczęśliwą ewentualność, że już go nie ma.

- Tak więc, pewnego dnia zrobiliśmy bilans i postanowiliśmy zamknąć sklep, a ja otworzyłem to...

Wskazał szerokim ruchem dłoni zatłoczony lokal.

- Nie można powiedzieć, żeby zmiana nie była korzystna.

- To zupełnie co innego. I gwarantuję panu, że ostrygi są świeżutkie, a nie „z epoki”, jak płyty mojego ojca.

Lucie pchnęła kieliszek w stronę swojego szefa. Francis ujął go i podniósł w stronę komisarza, który powtórzył jego gest.

- Za pańskie śledztwo.

- Za pański lokal i za rzadkie płyty.

Pociągnęli po łyku, po czym Francis odstawił zmrożony kieliszek na blat.

- Mój ojciec o tej porze jest na pewno w domu. Przyjechał pan z Monte Carlo autostradą?

- Tak.

- Dobrze. Musi więc pan teraz zawrócić i tuż przed rozjazdem na autostradę zobaczy pan Novotel. Zaraz za hotelem stoi dwupiętrowy domek z czerwonej cegły, z małym ogródkiem i różnymi krzewami. Tam mieszka mój ojciec. Nie można się

pomylić. Czy mogę jeszcze coś panu zaproponować? Hulot uniósł kieliszek z uśmiechem.

- To wystarczy.

Wyciągnął do Francisa rękę i uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję za uprzejmość, panie Francis. Nawet nie wyobraża pan sobie, jaki jestem panu wdzięczny.

Kiedy wychodził z bistra, zobaczył po prawej stronie kelnera, który otwierał ostrygi i inne owoce morza przy ladzie ze skorupiakami. Chętnie by spróbował, czy ich zachwalana przez Francisa świeżość odpowiada prawdzie, ale nie miał na to czasu.

Ruszył w powrotną drogę, którą wcześniej przyszedł. Z kiosku Tattoo wciąż dochodziły donośne odgłosy kaszlu, natomiast dwóch szachistów już tam nie było. Księgarnia była zamknięta. Najwyraźniej wszyscy udali się na przerwę obiadową.

Kierując się do samochodu, jeszcze raz minął bar, w którym zatrzymał się na kawę. Pod platanem kota-Roncaille'a zastąpił kot-Hulot. Siedział najspokojniej, uderzając powoli ciemnym i gęstym ogonem, obserwując spod przymkniętych powiek świat i jego mieszkańców.

Hulot pomyślał, że nie ma żadnego powodu, żeby nie przyjąć tej kociej rywalizacji za dobrą wróżbę.

Jean-Paul Francis odkręcił zawór małego, plastikowego spryskiwacza i nacisnął kilka razy tłok pompy, żeby uzyskać wewnątrz ciśnienie wystarczające do rozpylenia środka owadobójczego. Ujął przyrząd za rączkę i zbliżył się do krzewu czerwonych róż przy metalowej siatce osłoniętej zielonym plastikiem, która służyła za ogrodzenie. Przyjrzał się gałązkom różanego krzewu. Pełne były pasożytów tworzących coś w rodzaju białego meshku na łądydze.

- A więc wojna - powiedział podniosłym głosem.

Nacisnął dźwigienkę u dołu cewki i z dziobka przyrządu wydobył się rozpylony środek owadobójczy pomieszany z wodą. Spryskiwał od podstawy w górę pnia, rozdzielając mieszankę równomiernie po całym krzaku.

Jak przewidywał, środek był straszliwie cuchnący. Sam sobie pogratiłowił pomysł założenia maseczki ze sztywnej gazy, żeby nie wdychać produktu, który, jak zapowiadała etykieta, „może być trujący po połknięciu. Trzymać z dala od dzieci”.

Czytając ostrzeżenie, pomyślał, że jeśli jest trujący dla dzieci, to człowiek w jego wieku mógłby wstrzyknąć sobie dawkę do żyły bez najmniejszej szkody.

W trakcie rozpylania dostrzegł kątem oka małego, białego peugeota, który stanął tuż za drogą prowadzącą do ogródka. Nie zdarzało się często, żeby samochód zatrzymywał się właśnie tam, poza dniami, kiedy hotel był przepełniony i nie było już miejsc na parkingu. Z auta wysiadł mężczyzna około pięćdziesięcioletni o świeżo ostrzyżonych, szpakowatych włosach i nieco znużonym wyglądem, który rozglądał się dokoła przez chwilę, po czym ruszył zdecydowanym krokiem w stronę furty jego domu.

Odłożył spryskiwacz na ziemię i poszedł otworzyć bramę z metalowych prętów, nie dając mu czasu, żeby zadzwonił. Stojący przed nim mężczyzna uśmiechał się.

- Pan jest pan Francis?

- We własnej osobie.

Nowo przybyły pokazał odznakę w skórzanym etui. Jego zdjęcie na dokumencie osłonięte było przezroczystym plastikiem.

- Jestem komisarz Nicolas Hulot z Sûreté Księstwa Monako.

- Jeśli przyszedł mnie pan aresztować, proszę wiedzieć, że jestem już wystarczająco uwięziony, zajmując się tym ogrodem. Cela mogłaby być tylko lepszą alternatywą.

Komisarz roześmiał się mimo woli.

- To się nazywa nie obawiać się prawa. Czy to oznaka spokojnego sumienia, czy też życia spędzonego w świecie zbrodni?

- To wina złych kobiet, które wielokrotnie złamały mi serce. Może pan wejdzie, a ja tymczasem poużalam się nad moim losem. Sąsiedzi mogliby pomyśleć, że próbuje mi pan sprzedać miotły.

Nicolas wszedł do ogrodu, a Francis senior zamknął za nim furtkę. Miał na sobie spłowiałe dżinsy i niebieską koszulę z lekkiego płótna. Głowę osłaniał mu słomkowy kapelusz, a na szyi wisiała maseczka z gazy, którą zsunął z ust, żeby porozmawiać z Hulotem. Spod kapelusza wystawały gęste, siwe włosy. Błękitne oczy, których kolor podkreślała opalona skóra, zdawały się należeć do chłopca. W sumie była to sympatyczna i łagodna twarz.

Nicolas Hulot wyciągnął do niego rękę i poczuł serdeczny i żywy uścisk.

- Nie przyszedłem pana aresztować, jeśli może to pana uspokoić. I zajmę panu tylko kilka minut, żeby był pan jeszcze spokojniejszy.

Jean-Paul Francis wzruszył ramionami, kiedy zdejmował kapelusz i maseczką ochronną. Nicolas pomyślał, że mógłby być znakomitym dublerem Anthony'ego Hopkinsa.

- Zajmowałem się ogrodem nie z wyboru, ale z nudów. Czekałem tylko na pretekst, żeby przerwać. Proszę, wejdźmy do domu, będzie chłodniej.

Przeszli przez maleńki ogródek, gdzie wylany byle jak cement, mocno naruszony przez niepogodę i upływ czasu, łączył bramę z drzwiami domu. Nie była to luksusowa rezydencja, lata świetlne dzieliły ją od niektórych domów na Lazurowym Wybrzeżu, ale robił wrażenie zadbanego. Weszli po trzech stopniach i już byli w środku. W głębi korytarza schody prowadziły na wyższe piętra, a dwoje przeciwległych drzwi otwierało się symetrycznie na prawą i lewą stronę.

Nicolas przyzwyczajony był oceniać otoczenie w mgnieniu oka i stwierdził od razu, że jeśli ten dom nie należy do zamożnego człowieka, to na pewno jest to osoba o wysokiej kulturze, dobrym guście i rozległej wiedzy.

Wywnioskował to z ilości książek, różnych przedmiotów stojących na meblach, niewielu obrazów i plakatów, które nawet jeśli zastępowały oryginały, były w jakiś sposób związane ze światem sztuki.

Jednak największe wrażenie robiły płyty. Wypełniony był nimi każdy skrawek mieszkania. Nicolas rzucił okiem przez drzwi po prawej stronie. Zobaczył tam salon, w którym królował wielki sprzęt stereo, prawdopodobnie jedyne ustępstwo wobec świata konsumpcji. Poza tym reszta pokoju, podobnie jak w korytarzu, cała przestrzeń pod ścianami, przeznaczona została na półki pełne starych, winylowych longplayów i płyt kompaktowych.

- Wygląda na to, że lubi pan muzykę.

- Nie byłem nigdy w stanie wybrać moich pasji i dlatego musiałem się zgodzić, żeby to one mnie wybrały.

Francis pokazał mu drogę, wchodząc przez drzwi po lewej stronie. Znaleźli się w kuchni, w głębi której przez otwarte drzwi widać było pomieszczenie przeznaczone na spiżarnię. Po przeciwnej stronie był mały taras wychodzący bezpośrednio na zieleni ogrodu.

- Jak pan widzi, tutaj nie ma żadnej muzyki. Jesteśmy w kuchni, a nie należy mieszać dwóch różnych typów pożywienia. Napije się pan czegoś? Apéritif?

- Nie, dziękuję, pański syn już mnie nim poczęstował.

- Ach, więc był pan u Roberta.

- Tak, to on skierował mnie do pana.

Francis popatrzył na plamy potu pod swoimi pachami. Miał na ustach chytry uśmiech dziecka, które właśnie wymyśliło nową zabawę. Spojrzał na zegarek.

- Jadł już pan?

- Nie.

- To dobrze. Mam dla pana propozycję. Pani Sivoire, moja gospodyni...

Zrobił pauzę, która skończyła się zakłopotaną miną.

- Tak naprawdę to sprzątaczką, ale kiedy nazywam ją gospodynią, ona czuje się doceniona, a ja ważniejszy. Pani Sivoire, która jest rodowitą Włoszką i znakomitą kucharką, zostawiła mi *lasagne* z pesto gotowe do wstawienia do piekarnika.

Gwarantuję panu, że choć pod względem estetycznym pani Sivoire pozostawia wiele do życzenia, to jej *lasagne* są poza wszelkim podejrzeniem.

Nicolas znów nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Ten człowiek był siłą natury. Każdym gestem wzbudzał sympatię. Jego życie musiało być nieustanną radością, co zawdzięczał temu nadzwyczajnemu sposobowi bycia.

- Nie miałem zamiaru zatrzymać się na obiad, ale jeśli w grę wchodzi duma pani Sivoire...

- Fantastycznie. Kiedy *lasagne* będą w piekarniku, ja pójdę wziąć prysznic. Obawiam się, że jeśli podniosę ramię, spod mojej pachy może wystrzelić seria z karabinu maszynowego. Jak mógłbym potem wytłumaczyć obecność zwłok komisarza w mojej kuchni.

Jean-Paul Francis wyjął z lodówki szklane naczynie i wstawił je do piekarnika. Ustawił temperaturę i zegar. Z tego, jak posługiwał się sprzętem domowym, Nicolas wywnioskował, że jest to dom mężczyzny pasjonującego się kuchnią albo samotnego. Jedno nie wykluczało zresztą drugiego.

- Zrobione. Za dziesięć minut siadamy do stołu. Może za piętnaście.

Wyszedł z kuchni i zniknął na schodach, pogwizdując. Wkrótce potem Hulot usłyszał dochodzący z góry szum wody i zbliżony do barytonu głos Jean-Paul a Francisa intonujący *Lady is a Tramp*.

Kiedy wrócił, ubrany był w taki sam sposób, tyle, że w czyste spodnie i koszulę. Włosy miał jeszcze wilgotne, zaczesane do tyłu.

- Gotowe, poznaje mnie pan?

Nicolas popatrzył na niego zmieszany.

- Oczywiście.

- To dziwne, po prysznicu czuję się innym człowiekiem. Widać, że jest pan komisarzem...

Hulot znów musiał się roześmiać. Człowiek ten miał zdolność zarażania dobrym humorem. Gospodarz nakrył do stołu na małym tarasie wychodzącym na ogród. Podał mu butelkę białego wina i korkociąg.

- Kiedy będę wyjmował jedzenie z piekarnika, może zechce pan otworzyć?

Nicolas uporał się z korkiem w tej samej chwili, kiedy Jean-Paul Francis stawiał na korkowej podstawce pośrodku stołu dymiącą brytfannę wypełnioną *lasagne* z pesto.

- Proszę bardzo.

Gospodarz nałożył mu dużą porcję gorącego dania.

- Proszę zaczynać. W tym domu jedyną etykietą, jakiej przestrzega się skwapliwie, jest etykieta na butelkach wina -powiedział, nakładając sobie taką samą porcję.

- Hmm, fantastyczne - skomentował Hulot z pełnymi ustami.

- Co panu mówiłem? Jest to dowód na to, że cokolwiek pan ode mnie zechce usłyszeć, usłyszy pan prawdę.

Słowa te dały Nicolasowi Hulot okazję, żeby wyłuszczyć powód swojej obecności, a był to powód dużo bardziej palący niż jakakolwiek rzecz dopiero co wyjęta z pieca.

- Jakiś czas temu miał pan sklep z płytami, prawda? - powiedział, odcinając widelcem kawałek ciasta.

Z wyrazu twarzy mężczyzny zorientował się, że poruszył bolesną strunę.

- Tak. Zamknąłem go siedem lat temu. Wartościowa muzyka nigdy nie była w tych stronach dobrym interesem...

Hulot powstrzymał się od przytoczenia komentarza Francisa juniora na ten temat. Nie warto było obracać w ranie noża, który zadał już liczne ciosy. Postanowił być szczery z gospodarzem. Ten człowiek mu się podobał i był przekonany, że nie pomyli się, wprowadzając go przynajmniej częściowo w sprawę.

- Szukamy w Monte Carlo mordercy, panie Francis.

- W tym momencie dwaj bohaterowie filmu zaczynają mówić sobie po imieniu? Jestem Jean-Paul .

- A ja Nicolas.

- Mówiąc o mordercy z Monte Carlo, masz może na myśli tego typu, który dzwoni do radia? Tego, którego nazywają Nikt?

- Właśnie.

- Cóż, nie będę ukrywał, że ja także, jak miliony innych osób, śledziłem całą tę historię. Na dźwięk tego głosu gęsia skórka pojawia się nawet na skórze butów. Ile osób już zabił?

- Cztery. Wszystkie w ten sam sposób. Najgorsze, że nie mamy pojęcia, jak uniemożliwić mu dalsze morderstwa.

- Ten człowiek musi być szczywany jak stado lisów. Słucha okropnej muzyki, ale musi mieć pierwszorzędny mózg.

- Co do mózgu, zgadzam się z tobą. Natomiast, jeśli chodzi o muzykę, przyjechałem specjalnie, żeby wspólnie się nad tym zastanowić.

Nicolas wyjął z kieszeni wydruki, które dostał od Guillaume'a. Wybrał jeden z nich i podał Jean-Paulowi.

- Znasz tę płytę?

Mężczyzna wziął kartkę i przyjrzał się jej uważnie. Nicolas był pewien, że poblądł. Podniósł na niego swoje błękitne, chłopięce oczy, przepełnione zdumieniem.

- Skąd masz to zdjęcie?

- Długo by tłumaczyć. Ważne jest tylko to, że płyta należy, jak przypuszczamy, do mordercy i że została sprzedana tutaj, w Disque à Risque.

Podał Jean-Paulowi drugi wydruk, na którym widać było wyraźnie etykietę z nazwą sklepu. Tym razem twarz jego wyraźnie zbladła. Słowa zamarły mu w gardle.

- Ale?...

- Poznajesz tę płytę? Potrafisz powiedzieć, jakie może mieć znaczenie? Kim jest Robert Fulton?

Jean-Paul Francis odsunął talerz i wykonał gest obiema rękami.

- Kim jest Robert Fulton? Każdy miłośnik jazzu, którego wiedza wykracza poza Louisa Armstronga, go zna. A każdy meloman oddałby nogę za jedną z jego płyt.

- Dlaczego?

- Bo na świecie jest ich dokładnie dziesięć, o ile wiem.

Tym razem Nicolas zbladł. Francis nalał sobie kieliszek wina i oparł plecy na krzesło. *Lasagne* pani Sivoire przestały ich nagle interesować.

- Robert Fulton był jednym z największych trębaczy w historii jazzu. Niestety, jak się czasami zdarza, ten muzyczny geniusz był głupi jak but. Miał swoje pomysły. Nigdy nie chciał nagrywać płyt, ponieważ był przekonany, że muzyka nie może i nie powinna być więziona. Dla niego jedynym sposobem rozkoszowania się muzyką był koncert, live, jak się dzisiaj mówi. To znaczy, muzyka jest doświadczeniem za każdym razem innym i nikt nie ma prawa utrwałać jej w sposób statyczny, niezmienny.

- A więc, skąd ta płyta?

- Właśnie do tego zmierzam. Latem 1960 roku Fulton zrobił małe tournée po Ameryce, grając w klubach z kilkoma z najlepszych ówczesnych muzyków sesyjnych. Była to seria historycznych koncertów. W Be-bop Café w Nowym Jorku kilku przyjaciół, w uzgodnieniu z dyskoграфami, zorganizowało nagranie na żywo bez jego

wiedzy i wytłoczyło z tej taśmy pięćset płyt, mając nadzieję, że gdy będą gotowe, Fulton zmieni zdanie.

- Oto dlaczego płyta nazywa się *Stolen Music*.

- Dokładnie tak, skradziona muzyka. Tyle tylko, że przyjaciele nie przewidzieli reakcji Fultona, który wściekł się jak dzika bestia, zniszczył wszystkie płyty, kazał przekazać sobie matryce i te także zniszczył. Historia ta obiegła środowisko muzyczne i stała się rodzajem legendy, którą każdy opowiadający wzbogacał o własne szczegóły. Jediną pewną rzeczą jest fakt, że ze wszystkich tych płyt ocalało ledwie dziesięć i zostały one sprzedane po cenach złota kolekcjonerom rzadkich nagrań. I ja byłem jednym z dziesięciu.

- Chcesz powiedzieć, że masz jeszcze tę płytę?

- Powiedziałem „byłem”, nie „jestem”. Nadszedł pewien trudny moment...

Francis popatrzył na swoje opalone ręce z plamami pozostawionymi przez upływający czas. Na pewno nie wróciły mu w pamięci dobre wspomnienia.

- Moja żona zachorowała na raka i potem umarła. W sklepie w tamtym czasie szło źle. To znaczy, szczególnie źle. Potrzebowałem pieniędzy na leczenie, a ta płyta warta była majątek, więc...

Francis wydał z siebie westchnienie, które zdawało się wypuszczeniem powietrza po trwającym całe życie bezdechu.

- Kiedy ją sprzedawałem, z największym na świecie bólem serca, przykleiłem do niej etykietę sklepu, jakby to był sposób, żeby nie rozstać się z nią całkowicie. Płyta ta była jedną z niewielu rzeczy w moim życiu, które czułem, że naprawdę do mnie należą, poza moją żoną i synem. Trzy rzeczy to prawdziwe szczęście w życiu jednego człowieka.

Serce biło w piersi Nicolasa Hulot niczym jedyny tłok motoru o olbrzymiej mocy. Wypowiedział wyraźnie słowa. Zadał pytanie, a ton jego głosu wskazywał na człowieka, który obawia się odpowiedzi.

- Czy pamiętasz, komu ją sprzedałeś, Jean-Paul ?

- Minęło mniej więcej piętnaście lat, Nicolas. Pamiętam, że klient był dziwnym typem, mniej więcej w moim wieku. Przychodził do sklepu i kupował płyty, rzadkie okazy, kolekcjonerskie. Nie wydawało się, żeby miał problemy z pieniędzmi, dlatego przyznam ci się, że czasem korzystałem nawet na tych transakcjach. Kiedy dowiedział się, że mam *Stolen Music*, nachodził mnie miesiącami, żebym mu ją odstąpił. Ja

zawsze odmawiałem, ale w końcu uległem... Przymus czyni z człowieka złodzieja. Lub sprzedawcę. Czasami jedno i drugie.

- Czy przypominasz sobie nazwisko?

- Jestem człowiekiem, nie komputerem. Nie zapomniałbym tej płyty, nawet gdybym żył tysiąc lat. Ale co do reszty...

Przeciągnął dłonią po siwych włosach i podniósł głowę, patrząc na sufit. Nicolas oparł się na blacie stołu i wychylił w jego stronę.

- Nie muszę ci mówić, jakie to może być ważne, Jean-Paul . Może zależeć od tego życie ludzi.

Hulot zastanawiał się, ile razy będzie musiał użyć jeszcze tego wyrażenia, ile razy będzie musiał przypominać komuś o znaczeniu czegoś dla ratowania ludzkich istot, zanim ta cała historia wreszcie się skończy.

- Może...

- Może co?

- Chodź ze mną. Zobaczymy, czy jesteś szczęściarzem.

Wyszedł za Jean-Paul'em z kuchni, patrząc na jego wyprostowane mimo wieku plecy i kark pokryty gęstwiną siwych włosów, podczas gdy lekki przeciąg w domu niósł ze sobą zapach dezodorantu. Z korytarza skręcili w lewo i mężczyzna ruszył schodami prowadzącymi do piwnicy.

Zeszli gdzieś dziesięć stopni i znaleźli się w wielofunkcyjnym pomieszczeniu. Po jednej stronie obok umywalki stała pralka, damski rower oparty o ścianę, stół do majsterkowania z imadłem i przyrządami do obróbki drewna i metalu.

Po drugiej stronie ustawiony był rząd metalowych półek ze słoikami przetworów i butelkami wina. Jedna część przeznaczona została na segregatory i kartonowe pudła różnej wielkości i koloru.

- Jestem człowiekiem przywiązany do wspomnień. Kolekcjonerem. A prawie wszyscy kolekcjonerzy są sentymentalnymi głupcami, poza tymi, którzy kolekcjonują pieniądze.

Jean-Paul Francis zatrzymał się przed jednym z regałów i przyglądał mu się przez chwilę z zakłopotaną miną.

- Mhm, zobaczmy...

Dokonał wyboru i ściągnął z najwyższej półki dosyć duży niebieski karton. Na wieku przyklejona była złota etykieta starego sklepu z płytami o nazwie Disque à

Risque. Postawił pudło na stole obok małego imadła. Zapalił wiszącą nad stołem lampę.

- To wszystko, co zostało z mojej działalności handlowej i z kawałka mojego życia. Trochę mało, nie wydaje ci się?

Czasami to nawet za dużo, pomyślał Nicolas. Są ludzie, którzy na końcu drogi nie potrzebują nawet najmniejszego pudełka. Czasem nadmiarem są wręcz kieszenie.

Jean-Paul otworzył pudło i zaczął w nim grzebać, podnosząc kartki, które wyglądały na stare licencje handlowe albo małe broszury koncertów i targów płyt połączonych z wystawami.

W pewnej chwili wyciągnął niebieską karteczkę złożoną na pół, otworzył i popatrzył, co jest na niej napisane, po czym podał ją Nicolasowi.

- Trzymaj. Dziś jest twój dzień. Kartkę tę napisał własną ręką człowiek, który kupił *Stolen Music*. Zostawił mi numer telefonu, kiedy dowiedział się, że mam kopię. Teraz przypominam sobie, że przyszedł jeszcze ze dwa razy, i więcej go nie widziałem...

Nicolas przeczytał to, co było napisane na karteczce. Zdecydowanym i wyraźnym charakterem pisma zanotowane było nazwisko i numer telefonu.

„Legrand 04/4221545”.

Moment ten wydał się Hulotowi dziwny. Po tylu dniach biegania, po tylu zniekształconych głosach, zamaskowanych ciałach, nieznanymi śladach, bezdźwięcznych krokach, po tylu cieniach bez twarzy i tylu twarzach bez oblicza wreszcie miał w ręku coś ludzkiego, coś najbardziej banalnego na świecie: nazwisko i numer telefonu.

Popatrzył na Jean-Paul a Francisca i poczuł się jakby pusty. Nie potrafił znaleźć właściwych słów. Jego gospodarz, ten, który mógłby być wybawicielem jego i wielu niewinnych ofiar, uśmiechnął się.

- Z twojej twarzy wnioskuję, że jesteś zmieszany pozytywnie. Gdybyśmy byli w filmie, jak powiedziałem ci wcześniej, myślę, że w tym momencie powinna wejść wymowna muzyka.

- Nie tylko jestem zmieszany, Jean-Paul. O wiele więcej...

Wyciągnął telefon komórkowy. Jego nowy przyjaciel natychmiast go powstrzymał.

- Nie ma tutaj zasięgu, musimy wyjść. Chodź.

Weszli po schodach. Podczas gdy myśli Nicolasa Hulot pędziły sto na godzinę, Francis uzupełniał informacje, które wcześniej podał mu jako okruchy pamięci.

- Jeśli dobrze pamiętam, mieszkał gdzieś tu niedaleko, w okolicy Cassis. Był typem mocno zbudowanym, wysokim, ale nie za bardzo, robił jednak wrażenie niepospolitej krzepy fizycznej. Miał wygląd żołnierza, nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli. Myślę, że to jego oczy dawały taki efekt. Patrzyły, a jednocześnie nie pozwalały patrzeć na siebie. To najlepsze określenie, jakie mogę znaleźć. Pamiętam, że wydało mi się dziwne, iż tego rodzaju typ jest pasjonatem muzyki jazzowej...

- Cóż, jak na to, że nie jesteś komputerem, wydaje mi się, że nieźle sobie radzisz z pamięcią.

Wchodząc po schodach, Jean-Paul Francis odwrócił się do niego z uśmiechem.

- Tak mówisz? Z jakiegoś powodu zaczynam być z siebie dumny. Dziś to jeszcze bardziej odczuwam.

Weszli na parter, gdzie odnaleźli światło słoneczne. Na kuchennym stole ciasto było zimne, a wino ciepłe. Trójkąt światła dosięgnął podłogi tarasu i piął się jak bluszcz po nodze stołowej.

Hulot spojrzął na telefon komórkowy. Na wyświetlaczu zobaczył, że pole wróciło. Zastanawiał się, czy może zaryzykować. Wzruszył ramionami. Prawdopodobnie jego obawy co do podsłuchów były zwykłą paranoją. Nacisnął guzik jednego z zapisanych w pamięci numerów i poczekał, aż po drugiej stronie odezwie się głos.

- Cześć, Morelli, tu Hulot. Potrzebuję od ciebie dwóch rzeczy. Informacji i milczenia. Uda ci się?

- Oczywiście.

Bezdiskusyjną zaletą Morellego było to, że nie zadawał zbędnych pytań.

- Podam ci nazwisko i numer telefonu. Możliwe, że numer nie jest już w użyciu. Dokładniej, powinien to być numer w Prowansji. Czy dowiesz się, jakiemu adresowi odpowiada, szybciej niż natychmiast?

- Błyskawicznie.

Hulot podał inspektorowi dane i skończył połączenie. Poprosił Francis o potwierdzenie, które w rzeczywistości było tylko zwykłą refleksją.

- Okolice Cassis, powiedziałaś?

- Tak mi się zdaje. Cassis, Auriol, Roquefort, nie pamiętam dobrze, ale wydaje mi się, że był to właśnie ten obszar.

- Sądzę, że będę musiał się tam wybrać.

Hulot rozejrzał się po domu, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół. Po czym raz jeszcze spojrzał Francisowi w oczy.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, jeśli wymknę się jak złodziej. Jak możesz sobie wyobrazić, trochę się spieszę.

- Wiem, co czujesz. To znaczy nie, nie wiem, próbuję tylko sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że znajdziesz to, co masz znaleźć. Chodź, odprowadzę cię do furtki.

- Przykro mi, że zepsułem ci obiad.

- Niczego nie zepsułeś, Nicolas. Przeciwnie. Nie miałem ostatnio zbyt wiele towarzystwa. Kiedy osiągasz pewien wiek, przychodzą też pewne sprzeczności dialektyczne. Zastanawiasz się czasem, jak to jest, że jeśli czas mija tak szybko, są chwile, kiedy się zdaje, że stoi w miejscu...

Kiedy słuchał Jean-Paul a, minęli ogród i znaleźli się przed żelazną furtką. Nicolas popatrzył na swój samochód zaparkowany trochę dalej, w słońcu. Na pewno będzie w nim jak w piecu. Włożył dwa palce do kieszonki marynarki i wyjął wizytówkę.

- Proszę. Jeśli będziesz w okolicach Monte Carlo, wiedz, że dla ciebie zawsze znajdzie się w moim domu łóżko i talerz zupy.

Jean-Paul przyjął wizytówkę bez słów. Nicolas był pewien, że jej nie wyrzuci. Może nie zobaczą się nigdy więcej, ale na pewno jej nie wyrzuci.

Wyciągnął do niego rękę i znów poczuł energiczny uścisk.

- A, chciałem cię jeszcze o coś zapytać. To wyłącznie moja ciekawość, nie ma nic wspólnego z tą historią.

- Mów.

- Dlaczego Disque à Risque?

Tym razem Francis zaczął się śmiać.

- Ach, to... Kiedy otwierałem sklep, nie miałem zielonego pojęcia, jak mi się powiedzie. Ryzyko nie dotyczyło klientów, tylko mnie.

Hulot odszedł, uśmiechając się i potrząsając głową, podczas gdy Francis patrzył za nim zza otwartej furtki.

Kiedy doszedł do samochodu, wsunął ręce do kieszeni marynarki w poszukiwaniu kluczyków. Poczul pod palcami arkusik niebieskiego papieru, który dostał od Jean-Paul a, ten z nazwiskiem i numerem telefonu. Wyjął go i przyjrzał mu się przez chwilę w zadumie.

Pomyślał, że prawdopodobnie Disque à Risque, sklep z rzadkimi płytami, swój największy sukces osiągnął kilka lat po zamknięciu.

Kiedy przejeżdżał przez Carnoux-en-Provence, kierując się w stronę Cassis, zadzwonił Morelli. Urządzenie elektroniczne telefonu komórkowego zakłóciło odbiór radia nastawionego na Europe 2 i z głośników zaczęło wydobywać się lekkie tykanie. Po chwili zadźwięczał dzwonek telefonu. Hulot podniósł go z siedzenia pasażera i nacisnął przycisk odbioru.

- Tak.

- Komisarzu, tu Morelli. Znalazłem adres, o który pan prosił. Zajęło mi to trochę, bo miał pan rację, numer nie jest już używany. Chodzi o starą numerację. Musiałem cofnąć się trochę w czasie wraz z France Télécom.

Hulot przeżył lekki zawód.

- Mów, Morelli.

- Numer odpowiada gospodarstwu rolnemu, Domaine La Patience, Chemin de l'Hiver, Cassis. Jest jednak pewien szczegół...

- Co takiego?

- Telefon został odłączony z urzędu. Nigdy nie wpłynęła żadna rezygnacja. W pewnym momencie ustały płatności i po kilku ponagleniach bez odpowiedzi telekomunikacja odcięła linię. Osoba, z którą rozmawiałem, nie umiała powiedzieć mi nic więcej. Żeby zdobyć dodatkowe informacje, trzeba by przeprowadzić dokładniejsze poszukiwania, a nie wydawało mi się, że...

- Nie ma problemu, Claude, to wystarczy. Dziękują.

- Nie ma za co, komisarzu.

Po drugiej stronie nastąpił moment lekkiego zawahania. Hulot zrozumiał, że Morelli czeka na jakiś znak.

- Mów.

- Czy wszystko dobrze?

- Tak, Morelli, wszystko dobrze. Jutro będę ci mógł powiedzieć, czy jest jeszcze lepiej. Na razie pozdrawiam cię.

- Ja także komisarzu. Proszę na siebie uważać.

Hulot znów odłożył telefon na sąsiednie siedzenie. Nie musiał zapisywać danych, które podał mu przed chwilą Morelli. Wryły się już w jego pamięci i miały tam jeszcze pozostać na długo. Kiedy wyjeżdżał z Carnoux, małego prowansalskiego miasteczka, nowoczesnego, czystego i uporządkowanego, pozwolił, żeby inne wspomnienia przychodziły mu swobodnie do głowy.

Jechali dokładnie tą samą drogą do Cassis wiele lat temu z Céline i Stéphane'em, podczas wakacji pełnych śmiechu i żartów, kiedy otarł się o coś, co określił błogostanem, żeby nie używać bardziej zobowiązujących słów. W porównaniu z jego dzisiejszym życiem, tamto było autentycznym szczęściem, które późniejsze wydarzenia zatarły, tak wiele bowiem energii odebrał mu żal.

Jego syn miał wtedy siedem lat, może trochę mniej. Dotarli do Cassis i Stéphane'a natychmiast ogarnęło podniecenie, które odczuwają wszystkie dzieci, kiedy przyjeżdżają nad morze. Zaparkowali samochód na skraju wioski i zeszli nad wodę wąską alejką, smagani silną bryzą, która podwiewała im ubrania.

Kiedy dotarli do portu, przywitała ich mnogość masztów na żagłówkach. W głębi rysowała się latarnia morska z kopułą pomalowaną na zielono, a za betonowymi falochronami widać było pełne morze.

Zjedli lody, przepłynęli się łodzią, żeby zobaczyć calanques, wąskie, wrzynające się w ląd zatoczki, przypominające małe fiordy o jasnej i przejrzystej wodzie. Podczas rejsu on udawał, że cierpi na chorobę morską, a Céline i Stéphane śmiali się do rozpuku z jego grymasów, z jego wybałuszonych oczu i symulowanych nudności. Zupełnie zapomniał, że jest funkcjonariuszem policji, był wyłącznie mężem, ojcem i klaunem. *Dosyć tato, bo umrę ze śmiechu...*

Hulot pomyślał o reżyserii życia. Ten, kto pisał scenariusze, miał dziwne i czasami makabryczne poczucie humoru. Kiedy spacerował przed laty po ulicach miasteczka ze swoją żoną i synem, szczęśliwy i beztroski, być może dokładnie w tym samym momencie ktoś odbierał gdzieś telefon od będącego w finansowych tarapatach właściciela sklepu z płytami, który zgadzał się sprzedać swój egzemplarz bardzo rzadkiego nagrania. Być może w czasie spaceru minęli się. Może, wyjeżdżając z Cassis, jechali przez chwilę za jego samochodem, kiedy kierował się do Aix po odbiór płyty.

Dotarłszy na peryferie miasta, Hulot zaparkował razem z samochodem wspomnienia szczęśliwej przeszłości. Zostawił swojego 206 na ostatnim piętrze parkingu, który przywitał go niebieską tablicą z napisem „Parking de la Viguerie - 310 miejsc”. Wsiadł i rozejrzał się dookoła.

Cassis nie wydawało się bardzo zmienione w stosunku do jego wspomnień. Betonowe falochrony w porcie zostały wzmocnione, niektóre domy odnowiono, inne podupadały, ale była wystarczająca ilość wapna i farby, żeby turyści mogli zapomnieć o upływie czasu.

Taki był w gruncie rzeczy sens wakacji: zapomnieć...

Zastanawiał się, jak powinien się zachować. Najprościej byłoby poprosić o informacje miejscową policję, ale w tej chwili prowadził rodzaj prywatnego śledztwa i wolał uniknąć ściągania na siebie uwagi, jeśli nie było to konieczne. Zresztą typ, który krąży i zadaje pytania, nawet w nadmorskim mieście pełnym turystów, prędzej czy później przestaje być niewidoczny. Była to w sumie mała miejscina, gdzie wszyscy się znali, a on miał grzebać w samym środku grządki. Uliczka, którą schodził do portu, była tą samą, którą kiedyś przemierzył z rodziną. Stary mężczyzna z wiklinowym koszem pełnym morskich jeży wchodził powoli pod górę z naprzeciwka. Hulot przystanął i zatrzymał go. Wbrew jego oczekiwaniom, mężczyzna wcale nie był zdyszany.

- Przepraszam...

- Co jest? - zapytał szorstko mężczyzna.

- Potrzebna mi informacja.

Mężczyzna postawił na ziemi kosz z jeżami i popatrzył na nie, jakby się bał, że się zepsują. Podniósł niechętnie oczy osadzone pod gęstymi, jeszcze czarnymi brwiami.

- Słucham.

- Zna pan gospodarstwo, które nazywa się La Patience?

- Tak.

Hulot rozważał przez chwilę, czy szacunek, jakim darzy osoby starsze, jest naprawdę większy od ogromnej irytacji, jaką wywoływali w nim skurwiele, nieważne, młodzi czy starzy. Z westchnieniem postanowił odpuścić.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i wskazał mi je?

Stary zrobił gest ręką, pokazując jakiś nieokreślony punkt za domami.

- To jest za miastem.

- Tak sobie wyobrażałem...

Hulot musiał dokonać wysiłku, żeby nie chwycić tego człowieka za gardło. Począł cierpliwie, jednak wyraz jego twarzy musiał doradzić rozmówcy, żeby nie przeciągał zbytnio struny.

- Jest pan samochodem?

- Tak, mam samochód.

- Proszę więc wyjechać z miasteczka obwodnicą. Na światłach trzeba skrócić w prawo, na Roquefort. Kiedy dojedzie pan do runda, zobaczy pan, ciągle po prawej, strzałkę „Les Janots”. Przy tej ulicy, zaraz w lewo, jest ubita droga, która prowadzi przez kamienny wiadukt nad torami. Niech pan w nią wjedzie, a kiedy się rozwidli, niech się pan trzyma prawej strony. Droga kończy się przy La Patience.

- Dziękuję.

Starzec bez słowa podniósł kosz i dalej ruszył swoją drogą. Hulot czuł wreszcie podniecenie związane z tropem, którym podążał. Zawrócił szybkim krokiem pod górę i w rezultacie, kiedy dotarł do samochodu, to miał zadyszkę. Ruszył zgodnie ze wskazówkami, które o ile były udzielone przez informatora w sposób nader nieuprzejmy, o tyle były niezwykle precyzyjne, skrócił w ubitą drogę prowadzącą na skalny masyw górujący nad Cassis. Śródziemnomorska roślinność, przemieszana z modrzewiami i drzewami oliwnymi, niemal całkowicie zasłaniała coś w rodzaju wąwozu, przez który przebiegała linia kolejowa. Kiedy przejeżdżał przez kamienny most, żółty pies, daleko spokrewniony z labradorem, biegł przez chwilę za peugeotem, ujadając.

Kiedy dotarli do rozstajów, pies przestał go gonić i szczeleć, myśląc najwyraźniej, że wykonał swoją pracę, i podreptał w stronę gospodarstwa po lewej stronie.

Hulot kontynuował jazdę drogą, która wspaniała się coraz wyżej, porośnięta z boku wysokopiennym lasem, przesłaniającym momentami widok morza. Kolorowe plamy kwiatów znikły stopniowo, kiedy wyjeżdżał z miasta, zastąpione zielenią iglaków i krzewów, a także ostrą wonią leśnego poszycia pomieszana z zapachem morza.

Jechał tą drogą jeszcze kilka kilometrów, aż zaczął podejrzewać, że stary celowo dał mu złą wskazówkę dla zwykłej przyjemności zmylenia go. Może siedział teraz w domu z jakimś Jeanem, René lub Armandem i jedząc swoje jeże, śmiał się z tego durnego turysty, który kręci się jak bąk po górach.

Kiedy tak myślał, dojechał do skrętu, a zaraz za nim wyłoniła się La Patience.

Podziękował w duchu Jean-Paul Francisowi i jego magicznemu pudełku. Gdyby udało mu się położyć rękę na tej płycie Roberta Fultona, jego obowiązkiem byłoby mu ją zwrócić. Przemierzył z sercem bijącym w gardle drogę dzielącą go od budynku wyrastającego przed skałą góry tak, że zdawało się, iż się o nią opiera.

Przejechał pod ceglany łuk porośnięty pnączami i znalazł się na alejce prowadzącej przed duży, dwupiętrowy wiejski dom. Kiedy się do niego zbliżał, poczucie triumfu na widok gospodarstwa przechodziło stopniowo w rozczarowanie.

Chwasty porosły niemal całkowicie zwirowaną drogę, zostawiając tylko dwa równoległe pasy, po których, jak się zdawało, poruszały się koła samochodu. Posuwając się, słyszał ostre łodygi drapiące podwozie, wywołujące hałas, który brzmiał dziwnie złowrogo w tej ciszy.

Teraz, kiedy zmieniła się perspektywa, mógł zobaczyć, że tył domu jest całkowicie zrujnowany. Dach niemal kompletnie się zarwał, podtrzymując tylko część frontu. Poczerniałe belki wyrastały ku niebu niczym ciemne palce śpiewaków gospel, wyłaniając się z tego, co pozostało po starym szkielecie, z którego spadły dachówki. Mury były popękane i pokryte sadzą świadcząca o tym, że dom padł pastwą gwałtownego pożaru, który niemal całkowicie go strawił, oszczędzając tylko fasadę, wyglądającą później jak konstrukcja scenografii teatralnej.

A wszystko musiało się wydarzyć dawno temu, jeśli chwasty i powoje miały czas odzyskać to, co zawsze do nich należało. Wydawało się, że przyroda tka powoli i cierpliwie swoją delikatną nić, żeby osłonić ranę, zadaną jej przez ludzi.

Hulot zatrzymał samochód na podwórzu i wysiadł. Rozejrzał się dokoła. Widok z tamtego miejsca był wspaniały. Poniżej rozciągała się dolina obsadzona pojedynczymi domami i winnicami, poprzedzielanymi kępami dzikiej roślinności, i schodziła aż do Cassis. Białe, piękne miasteczko opierało się o wybrzeże jak kobieta o balustradę balkonu, patrząc na morze aż po horyzont. Wokół domu widać było zniszczone pozostałości ogrodu, zardzewiałe już żelazne konstrukcje, świadczące o tym, że dom był kiedyś pełen przepychu. W czasie kwitnienia ogród musiał być prawdziwą feerią barw. Wszędzie królowały zaniedbane krzewy lawendy.

Teraz zamknięte okiennice, ściany okopcone ogniem i perz, wsuwający swoje pędy w szpary niczym kieszonkowiec do torebki nieświadomej ofiary, dawały poczucie smutku i opuszczenia, któremu trudno było się oprzeć.

Nagle zobaczył samochód zbliżający się aleją wjazdową. Stanął pośrodku podwórza i czekał. Chwilę potem żółte renault kangoo zaparkowało obok jego peugeota. Z auta wysiadło dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach, jeden starszy, około sześćdziesiątki, drugi około trzydziestki, krępy typ o tępej twarzy i ciemnej, długiej brodzie. Młodszy nie zaszczyił go nawet spojrzeniem. Poszedł otworzyć bagażnik i zaczął wyjmować narzędzia ogrodnicze. Drugi wydał mu polecenie.

- Zaczynaj, Bertot, ja zaraz przyjdę.

Ustaliwszy hierarchię ważności na swój wyłączny użytek, ruszył w stronę Nicolasa. Z bliska również z jego twarzy o splaszczonym nosie nie była specjalna inteligencja. Wydawał się szczuplejszą i dojrzalszą wersją młodszego.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry panu.

Hulot próbował uprzedzić jakąkolwiek obiekcję pokornym zachowaniem. Uśmiechnął się z miną grzecznego chłopca.

- Mam nadzieję, że nie popełniłem żadnego wykroczenia, a jeśli tak, proszę o wybaczenie. Pomyliłem drogę dużo niżej. Jechałem dalej, szukając miejsca, gdzie mógłbym zawrócić, aż dotarłem tutaj. Zobaczyłem zrujnowany dom i ciekawość zwyciężyła. Tak więc podjechałem, żeby rzucić okiem. Zaraz się stąd zabieram.

- Nie ma problemu, w niczym pan nie przeszkadza. Nie zostało tu nic, co warto by ukraść poza ziemią i chwastami. Pan jest turystą, prawda?

- Tak.

- Tak też sobie wyobrażałem.

A to ci dopiero wyobraźnia, Piękny Gastonie. Dopiero co minęłaś samochód z rejestracją Monte Carlo. Zrozumiałby to nawet ktoś z białą laską i wilczurem.

Mężczyzna wzruszył ramionami na znak skromności.

- Czasami zdarza się, że ktoś dotrze aż tutaj. Przypadkowo, jak pan, albo z ciekawości, jak większość. Ludzie z Cassis niechętnie tu przyjeżdżają. Szczerze mówiąc, ja też nie skaczę z radości za każdym razem, kiedy mam tu przyjechać. Po tym, co się tu stało, zresztą... ale co pan chce, praca to praca, a w dzisiejszych czasach nie ma co zwracać zbytnio uwagi na drobiazgi. Na wszelki wypadek, jak pan widzi, przyjeżdżamy zawsze we dwóch. Minęło tyle lat, ale to miejsce ciągle przyprawia mnie o gęsią skórę...

- A co tu się stało?

- Nie zna pan historii La Patience?

Popatrzył na niego, jakby uważał za niemożliwe, że ktoś na tej planecie nie zna historii La Patience. Może gdyby zobaczył go odtruwającego na latającym talerzu, jedynym komentarzem byłoby: „Ach, właśnie to chciałem powiedzieć... „

Nicolas zachęcił go.

- Nie, nie sędzę, żebym kiedykolwiek o tym słyszał.

- Popelniono tu zbrodnię, a raczej serię zbrodni. Naprawdę nigdy pan nic nie słyszał?

Hulot poczuł lekko przyspieszony puls.

- Nie, nigdy.

Mężczyzna wyciągnął paczkę tytoniu i z dużą wprawą zaczął skręcać papierosa w bibułkę, którą wyjął z kieszeni kamizelki. Jak zawsze się zdarza u prostych ludzi, kiedy zdają sobie sprawę, że są depozytariuszami jakiejś ciekawej historii, zaczął opowiadać z pewną emfazą.

- Nie znam tej historii w najdrobniejszych szczegółach, ponieważ w tamtych czasach nie mieszkałem w Cassis. Podobno typ, który mieszkał w tym domu, zamordował gospodynię i swojego syna, po czym podpalił dom, a sam strzelił sobie w łeb z pistoletu.

- Do licha!

- Jasne, to nie przelewki. Ale w miasteczku mówią że był to facet nie całkiem normalny i że przez dwadzieścia lat widziano jego i jego syna może ze dwadzieścia razy. Po zakupy przyjeżdżała kobieta, ale się z nikim nie spoufalala. Dzień dobry, do widzenia, jak się masz, Filiberta! Nie uprawiał już nawet ziemi, a miał jej spory kawałek. Oddał ją pod zarząd agencji nieruchomości, która dzierżawiła ziemię okolicznym producentom wina. Myślę, że z czasem zupełnie odebrało mu rozum i tak to się skończyło...

- Trzy osoby, mówi pan?

- Tak. Mężczyznę i kobietę znaleziono zupełnie zwęglonych. Ciało chłopaka wydobyli natomiast nietknięte przez płomień, kiedy udało im się ugasić ogień. Całe szczęście, że dostrzegli pożar na czas, bo inaczej spłonęłaby połowa wzgórza.

Wskazał palcem młodszego mężczyznę, który z nim przyjechał.

- Powiedział mi ojciec Bertota, który w tamtych czasach był strażakiem, że kiedy przyjechali do domu i ugasil pożar, ciało chłopaka było w tak przerażającym stanie, że woleliby znaleźć je zwęglone, jak dwa pozostałe. I niech pan sobie wyobrazi,

że ciało ojca było tak ugotowane, że kula, którą rozwalił sobie mózg, roztopiła mu się w czaszce...

- Co znaczy „w przerażającym stanie”?

- Ojciec Bertota mówił, że chłopak był bez twarzy, nie wiem, czy pan rozumie: jakby ściągnięto mu ją z głowy. No i niech ktoś mi powie, że ten typ nie był szalony...

Hulot poczuł, że wnętrzności okręcają mu się wokół żołądka niczym pnącza po okopconych murach.

Jezu Chryste, chłopak nie miał twarzy, jakby mu ją zdrapano z głowy!

Niczym slajdy z piekła, seria pozbawionych skóry twarzy przebiegła mu przed oczami. Jochen Welder i Ariane Parker. Allen Yoshida. Gregor Yatzimin. Widział ich wpatrzone w nicość, pozbawione powiek oczy, wyrażające jakby nieskończone oskarżenie tego, kto ich zabił, i tych, którzy nie potrafili temu zapobiec.

Wydawało mu się, że słyszy zniekształcony głos, który szepcze mu do uszu, z mrozącym krew w żyłach efektem stereo, owe dwa przeklęte słowa.

Ja zabijam...

Mimo ciepłego powietrza owego letniego popołudnia poczuł dreszcze w bawełnianej marynarce bez podszewki. Strużka potu zaczęła mu spływać spod prawej pachy aż do paska.

- I co się stało potem? - zapytał zmienionym nagle głosem.

Mężczyzna nie zorientował się i wziął to za normalną reakcję jakiegoś żądnego wrażeń turysty na opowiadane przez niego krwawe fakty.

- Cóż, przebieg zdarzeń nie budził wątpliwości, więc po wykluczeniu kolejno innych możliwości, zamknięto sprawę jako podwójne morderstwo i samobójstwo. Oczywiście nie była to dobra reklama dla La Patience...

- Nie ma spadkobierców?

- Właśnie to chciałem powiedzieć. Żadnych spadkobierców, więc gospodarstwo przeszło na własność publiczną. Zostało wystawione na sprzedaż i ciągle czeka na kupca, ale kto chciałby je wziąć po tym, co się stało? Ja nie chciałbym go nawet w prezencie. Gmina oddała je pod zarząd tej samej agencji, która wciąż zajmuje się dzierżawą ziemi. Z tego, co zarobią, pokrywają koszty utrzymania i koszty własne. Ja przyjeżdżam tu raz na jakiś czas, żeby chwasty nie zarosły zupełnie tego, co zostało z domu.

- A gdzie pochowano ciała ofiar?

Hulot usiłował nadać swoim pytaniom posmak normalnej ciekawości zwykłego człowieka, ale z tym typem nie trzeba się było specjalnie certolić. Był już tak rozpalony, że prawdopodobnie zakończyłby swoją opowieść, nawet gdyby Hulot sobie poszedł i zostawił go samego.

- Och, sądzę, że na cmentarzu na wzgórzu, nad portem. Jeśli pan tamtędy przejeżdżał, musiał pan widzieć.

Hulot pamiętał niewyraźnie cmentarz w pobliżu parkingu, na którym się wcześniej zatrzymał.

- A jak nazywali się ludzie, którzy tu mieszkali?

- Ach, dobrze nie pamiętam, jakieś nazwisko na Le... Le coś tam, Legrand albo Le Normand, zdaje się.

Hulot popatrzył demonstracyjnie na zegarek.

- Do licha, zrobiło się późno. To niesamowite, jak czas szybko mija, kiedy słucha się ciekawych historii. Moi przyjaciele zastanawiają się na pewno, co się ze mną stało. Dziękuję za opowieść.

- Nie ma za co. Uszanowanie. Miłych wakacji.

Mężczyzna odwrócił się i poszedł dołączyć do Bertota. Wsiadając do samochodu, Hulot usłyszał jeszcze za swoimi plecami.

- Ej, proszę posłuchać. Jeśli chciałby pan zjeść wieczorem dobrą rybę, niech pan idzie z przyjaciółmi do portu, do Coquille d'Or. Jeśli gdzie indziej pana oszukają, niech pan nie przychodzi potem do mnie na skargę. Proszę zapamiętać, La Coquille d'Or. To mój szwagier. Pan mu powie, że przysłała pana Gaston, to was dobrze potraktuje.

Bingo, Gaston! Piękny Gaston. Patrzcie, trafiłem. Dzisiaj jest rzeczywiście mój szczęśliwy dzień, pomyślał Hulot, włączając motor.

Kiedy wracał podniecony w stronę Cassis, ze stanowczym zamiarem udania się na miejscowy cmentarz, Nicolas Hulot pomyślał, że będzie potrzebował jeszcze dużo szczęścia, żeby wyrównać pewne rachunki.

43

Nicolas Hulot wyjął bilet parkingowy z automatu i postawił samochód dokładnie tam, gdzie stał poprzednio.

Z tego miejsca, po lewej stronie, trochę wyżej w stosunku do parkingu de la Viguerie, widać było mały cmentarz odgradzony cyprysami.

Zostawił samochód, wyszedł z parkingu i ruszył w górę drogą, która wydawała się kontynuacją uliczki, którą chwilę wcześniej wjechał. Kiedy wspinał się w stronę cmentarza, zobaczył dokładnie pod nim cementowy plac, na którym narysowane były linie dwóch kortów tenisowych i boiska do koszykówki. Grupa chłopców uganiała się wokół piłki, rozgrywając mecz do jednego kosza.

Obecność boiska dokładnie poniżej cmentarza uznał za dziwną. Jednak w sensie pozytywnym. W gruncie rzeczy, nie chodziło o brak szacunku, ale o zwykłe, nieustanne sąsiedowanie życia ze śmiercią, bez urazów, bez fałszywego wstydu. Gdyby wierzył w bajki, powiedziałby, że ta bliskość była dla żywych sposobem, żeby dzielić się trochę życiem z tymi, których już nie było.

Dotarł do alejki cmentarza.

Zawieszona na latarni niebieska tablica uliczna informowała, że znajduje się przy allée du Souvenir Français. Na ścianie skalnej naprzeciwko biała tablica otoczona czerwonymi i niebieskimi obwódkami przypominała to samo.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów ubitą drogą, prowadzącą do bramy wejściowej umieszczonej po lewej stronie, pod łukiem. Obok furtki, w zniszczonej gablotce, jeszcze inna tabliczka zawiadamiała, że stróż jest zimą na miejscu między ósmą a siedemnastą.

Hulot przeszedł pod łukiem i wkroczył na cmentarz, słysząc skrzypienie żwiru pod butami.

Natychmiast zwrócił uwagę na panującą tam ciszę.

Nieważne, że w niewielkiej odległości grupa chłopców wrzeszczała podniecona grą, że miasteczko było pełne turystów i wakacyjnego gwaru, że docierał hałas przejeżdżających aut.

Wydawało się, że ogrodzenie zbudowane jest z jakiegoś wychwytyjącego dźwięki materiału, który nie odcinał hałasu, ale po prostu zmieniał jego naturę, jakby stanowił nieodłączną część ciszy, którą się tam oddychało.

Ruszył powoli alejką między grobami.

Podniecenie wywołane postęпами w dochodzeniu opadło już podczas krótkiej drogi z La Patience na cmentarz. Teraz nadeszła pora na spokój i racjonalną refleksję, na przypomnienie samemu sobie, że czyjeś życie zależy od niego i od jego kolejnych odkryć.

Cmentarz był bardzo mały, rozrysowane jak na szachownicy alejki biegły między grobami. Po prawej stronie, żeby lepiej wykorzystać teren, cementowe schody prowadziły na tarasy, na których można się było domyślić innych grobów, położonych na pnącym się wyżej, aż za ogrodzenie, wzgórzu.

Pośrodku wystrzeliwał w pogodne niebo olbrzymi cyprys.

Po prawej i po lewej stronie, oparte o przeciwległe, zaokrąglone mury cmentarza, stały dwie małe budowle z cegły, pokryte czerwonym gontem. Ta po prawej, sądząc po krzyżu na dachu, zdawała się kaplicą. Druga służyła prawdopodobnie jako schowek na narzędzia. Kiedy na nią patrzył, drewniane drzwi otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna.

Hulot ruszył w jego stronę, zastanawiając się, w jakim charakterze wystąpić tym razem. Jak często się zdarza aktorom i policjantom, mistrzom kłamstwa, postanowił zawierzyć intuicji chwili i improwizacji.

Staął naprzeciw mężczyzny, który tymczasem się zbliżył.

- Dzień dobry.

- Dobry wieczór.

Hulot popatrzył na słońce, które kierowało się w stronę triumfalnego zachodu, i zorientował się, że ani się spostrzegł, jak minął cały dzień.

- Istotnie, ma pan rację, dobry wieczór. Proszę posłuchać...

Przez chwilę stał zakłopotany, po czym zdecydował, że nadal będzie tylko ciekawskim turystą. Spróbował przyjąć niewinną minę.

- Pan jest dozorcą?

- Tak.

- Słyszałem w miasteczku straszną historię, która wydarzyła się tutaj jakiś czas temu...

- Mówi pan o tej sprawie w La Patience? - przerwał mu dozorca.

- Właśnie. Zastanawiałem się ot tak, z ciekawości, czy byłoby możliwe rzucić okiem na groby.

- Jest pan policjantem?

Nicolas poczuł, że traci dogodną pozycję. Popatrzył na stojącego naprzeciw mężczyznę, jakby nagle wyrósł mu guz na czole. Wyraz jego twarzy dał mu pewność, że trafił celnie, i uśmiechnął się półgębkiem.

- Proszę się nie przejmować, nie ma pan tego wypisanego na czole. Po prostu, byłem swego czasu młodym rozrabiaką i wiele razy miałem do czynienia z policją, dlatego potrafię was rozpoznać...

Hulot ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

- Chce pan zobaczyć groby Legrandów, prawda? Niech pan idzie za mną.

Nie zadawał pytań. Jeśli ten człowiek miał burzliwą przeszłość, która przyprowadziła go do tego małego miasteczka, gdzie żyją tacy, co chcą wiedzieć wszystko, i tacy, co nie chcą wiedzieć nic, było dosyć oczywiste, po czyjej stronie postanowił stanąć.

Hulot szedł za nim aż do schodów pod tarasami. Weszli po 396 kilku stopniach i gdy dotarli na pierwszy poziom, dozorca skręcił w lewo. Zatrzymał się przed rzędem leżących obok siebie grobów. Hulot przebiegł wzrokiem po opartych o ziemię nagrobkach, przechylonych lekko w stosunku do poziomu. Na każdej tablicy widział bardzo prosty napis, imię, nazwisko i data wyryte w kamieniu.

Laura de Dominicis 1943-1971

Daniel Legrand 1970-1992

Marcel Legrand 1992

Françoise Mautisse 1992

Na nagrobkach nie było fotografii. Zauważył jednak, że na wielu innych również ich nie było. Nie uznał więc tego za szczególnie dziwne, choć wolałby mieć twarze do zapamiętania, do których mógłby się odnieść.

Zdawało się, że stróż czyta mu w myślach.

- Na nagrobkach nie ma zdjęć, bo wszystkie spłonęły w pożarze.
- A dlaczego tylko na dwóch widnieje data urodzenia?
- To groby matki i syna. Z dwoma pozostałymi nie zdążyli chyba na czas. A potem...

Zrobił gest, który miał oznaczać, że potem nie było już nikogo, kto by dopilnował, żeby je uzupełnić.

- Jak to się stało? - zapytał komisarz, nie spuszczając oczu z marmurowych tablic.

- Paskudna historia, nie tylko z powodu samego faktu. Legrand był dziwnym typem, samotnikiem. Przyjechał do miasteczka po zakupieniu tego gospodarstwa, La Patience, z ciężarną żoną i kobietą, która musiała być kimś w rodzaju gospodyni do wszystkiego. Urządził się i od razu stało się jasne, jaka będzie jego postawa: absolutna rezerwa. Żona urodziła w domu, sama, prawdopodobnie w asyście jego i gospodyni.

Wskazał grób gestem ręki.

- Kobieta umarła kilka miesięcy po porodzie. Może gdyby poród odbył się w szpitalu, stałoby się inaczej. Przynajmniej tak powiedział lekarz, który stwierdził zgon. Ale ten człowiek taki był. Zdawało się, że nienawidzi ludzi. Syna praktycznie nigdy nie widywano, nie został ochrzczony, nie chodził do szkoły. Chyba miał prywatnych nauczycieli, może samego ojca, bo zdawał egzaminy na koniec każdego roku szkolnego i tyle.

- Czy pan go kiedykolwiek widział? Dozorca skinął głową.

- Czasami, bardzo rzadko, przychodził z ojcem położyć kwiaty na grobie matki. Zazwyczaj grobem opiekowała się służąca. Pewnego razu zdarzyło się coś...

- Co takiego?

- Drobiazg, ale szczególnie znaczący dla stosunków, jakie panowały między ojcem a synem. Ja siedziałem tam, w środku...

Wskazał ręką mały budynek, z którego wyszedł.

- Kiedy wyszedłem, zobaczyłem go, to znaczy ojca, jak klęczy przed grobem, odwrócony plecami. Chłopak stał obok schowka na narzędzia, oparty o siatkę i patrzył w dół, na chłopców grających w piłkę. Kiedy usłyszał, że wychodzę, odwrócił głowę w moją stronę. Był to normalny chłopak, raczej ładny, ale miał dziwne oczy, nie wiem, jak to powiedzieć... może lepsze słowo to „smutne”, tak powiedziałbym: smutne. Najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Musiał skorzystać z chwili nieuwagi ojca, żeby podejść aż tam, zwabiony głosami innych dzieci. Podeszedłem,

żeby z nim porozmawiać, ale ojciec wpadł między nas jak furia. Zawołał chłopca po imieniu... Mogę coś panu powiedzieć?

Dozorca zrobił pauzę, jakby chciał zetrzeć choćby najmniejszy pyłek kurzu z tego wspomnienia. Nie zwracał teraz uwagi na Nicolasa i na nowo przeżywał ową chwilę.

- Ton głosu, którym powiedział „Daniel”, brzmiał tak, jakby krzyczał „ognia!” do plutonu egzekucyjnego. Chłopiec odwrócił się do ojca i zaczął drzeć. Drżał jak liść. Legrand nic nie powiedział. Patrzył tylko na syna wytrzeszczonymi oczami szaleńca. Trząśnięcie z gniewu niemal tak samo, jak jego syn trząśnięcie z przerażenia. Nie wiem, co zazwyczaj działo się w owym domu, wiem tylko, że w tamtej chwili chłopiec zsiadł się w spodnie!

Dozorca spuścił na chwilę wzrok na ziemię.

- Dlatego może pan sobie wyobrazić, że po latach nie zdziwiła mnie do końca wiadomość, że Legrand urządził tę rzeź. Myślę, że wie pan, co mam na myśli...

- Z tego, co wiem, popełnił samobójstwo po zamordowaniu gospodyni i syna i po podłożeniu ognia pod dom.

- Dokładnie. Lub przynajmniej tak ustaliło śledztwo. Nie było powodów, żeby podejrzewać inaczej, a zachowanie tego człowieka całkowicie uzasadniało taką hipotezę. Ale tamte oczy...

Popatrzył przed siebie, potrząsając głową.

- Nigdy nie zapomnę tamtych oczu szaleńca.

- Czy jest jeszcze coś, co mógłby mi pan powiedzieć? Pamięta pan jeszcze jakiś szczegóły?

- Och, tak, od tamtej pory zdarzyły się jeszcze inne dziwne rzeczy. I to kilka.

- To znaczy?

- Na przykład, kradzież zwłok. Potem historia z kwiatami...

Hulot przez chwilę myślał, że źle zrozumiał.

- Jakich zwłok?

- Jego.

Mężczyzna wskazał palcem nagrobek Daniela Legranda.

- Rok po tym zdarzeniu, pewnej nocy grób został zbezczeszczony. Kiedy przyszedłem tu rano, brama była wyważona, kamień nagrobny odsunięty, a trumna otwarta. Po ciele chłopca nie było śladu. Policja myślała o maniacu nekrofilu, który...

- Jeśli się nie mylę, wspomnieli pan też o kwiatkach... - przerwał mu Nicolas.

- Tak, to też. Parę miesięcy po pogrzebie dostałem list pisany na maszynie. Doręczono mi go tutaj, ponieważ zaadresowany był do dozorca cmentarza w Cassis. W kopercie były pieniądze. Nie czek, proszę zwrócić uwagę, tylko banknoty włożone w papier listowy.

- Co było napisane?

- Pieniądze były zapłatą za opiekę nad grobem Daniela Legranda i jego matki. Ani słowa o ojcu i gospodynie. Autor listu prosił mnie, żebym czyścił tablice i żeby nigdy nie brakowało świeżych kwiatów. Pieniądze przychodziły również po wykradzeniu ciała.

- Do kiedy?

- Ostatnie dostałem w zeszłym miesiącu. Jeśli nic się nie zmieni, następne powinny dotrzeć wkrótce.

- Zachował pan list? Którąś z kopert?

Dozorca wzruszył ramionami. Potrząsnął lekko głową na znak przeczenia.

- Nie wydaje mi się. Co do listu, to minęło sporo lat. Musiałbym sprawdzić w domu, ale nie sądzę. Jeśli chodzi o koperty, nie wiem, ale jakąś powinienem jeszcze mieć. W każdym razie mogę dostarczyć panu tę, którą prawdopodobnie wkrótce dostanę.

- Byłbym wdzięczny, a także zobowiązany, gdyby nie wspominał pan nikomu o naszej rozmowie.

Dozorca zrobił gest, jakby to było oczywiste.

- Proszę się nie martwić.

Kiedy rozmawiali, ubrana na ciemno kobieta, z chustką na głowie, weszła po schodach, trzymając w ręku bukiet kwiatów. Podeszła dziwnym, chwiejnym krokiem do kamiennego grobu w tym samym rzędzie, gdzie leżała rodzina Legrand. Pochyliła się i pogładziła czułym gestem marmur nagrobka. Zwróciła się do grobu stłumionym głosem.

- Wybacz, że się dzisiaj spóźniłam, ale miałam problemy w domu. Teraz pójdę po wodę, a potem wszystko ci wytłumaczę.

Położyła bukiet na nagrobku, wyjęła z wazonu stare kwiaty. Po czym wzięła wazon i odeszła, żeby go napełnić. Dozorca poszedł za wzrokiem Nicolasa i uprzedził pytanie. Na jego twarzy rysowało się współczucie.

- Biedna kobieta, prawda? To był naprawdę nieszczęsny okres dla Cassis. Na krótko przed tym, co wydarzyło się w La Patience, ją także spotkała tragedia. Coś

całkiem banalnego, jeśli można w ten sposób określić śmierć człowieka. Wypadek podczas nurkowania. Jej syn schodził pod wodę, żeby wylawiać jeże, które potem sprzedawał turystom na straganie w porcie. Pewnego dnia nie wrócił. Znalaziono jego łódź zakotwiczoną tuż za jedną z calanques. W środku leżało jego ubranie. Kiedy morze zwróciło ciało, autopsja wykazała, że śmierć nastąpiła przez utonięcie, spowodowane prawdopodobnie zasłabnięciem podczas nurkowania. Po śmierci chłopca...

Stróż zrobił pauzę i pokręcił znacząco wskazującym palcem prawej ręki wokół skroni.

-... jej mózg odszedł z nim.

Hulot patrzył na postać kobiety, która wrzucała do kosza na śmieci kwiaty zdjęte z grobu.

Pomyślał o swojej żonie Céline. Z nią stało się to samo po śmierci Stéphane'a. Określenie dozorca było bardzo trafne.

Jej mózg odszedł z nim...

Zastanawiał się ze ściśniętym sercem, czy ktoś kiedykolwiek odniósł się również do niej, kręcąc w milczeniu palcem wokół skroni. Głos stróża przywołał go na powrót na cmentarz małego miasteczka Cassis, naprzeciw grobów nieszczęsnej rodziny.

- Jeśli już mnie pan nie potrzebuje...

- Och, ma pan rację, proszę mi wybaczyć, panie?...

- Norbert, Luc Norbert.

- Przepraszam, jeśli nadużyłem pańskiego czasu. Pewnie musi pan zamykać.

- Nie, latem cmentarz otwarty jest do późna. Potem przyjdę zamknąć bramę, kiedy zrobi się ciemno.

- A więc, jeśli pan pozwoli, chciałbym zatrzymać się tu jeszcze przez chwilę.

- Proszę bardzo. Jeśliby mnie pan jeszcze potrzebował, może mnie pan znaleźć tutaj albo zapytać kogoś w miasteczku. Wszyscy mnie znają i każdy wskaże panu mój dom. Dobranoc panu, panie?...

Hulot zrozumiał i uśmiechnął się. Uznał, że pan Norbert zasługuje na małą rekompensatę.

- Hulot. Komisarz Nicolas Hulot.

Mężczyzna przyjął potwierdzenie swojego przypuszczenia najzupełniej naturalnie. Zrobił tylko lekki gest głową, jakby nie mogło być inaczej.

- Właśnie, komisarz Hulot. Cóż, dobranoc, komisarzu.

- Dobranoc i wielkie dzięki.

Dozorca odwrócił się i odszedł. Nicolas śledził go wzrokiem, kiedy się oddalał. Ubrana na ciemno kobieta napełniła wazon wodą z kranu obok kaplicy. Na dachu niskiego budynku przycupnął gołąb. W górze mewa frunęła w kierunku morza. Żebracy z morza i z lądu, którzy dzielili równo między siebie pożywienie z odpadków pozostawionych przez ludzi, te biedne istoty nieumiejące latać.

Znów spojrzął na nagrobki. Wpatrywał się w nie, jakby mogły przemówić, a tymczasem lawina myśli przetaczała mu się przez głowę. Co wydarzyło się w tamtym domu? Kto wykradł okaleczone ciało Daniela Legranda? Co łączyło dramat sprzed dziesięciu lat z krwawym mordercą, który oszpecał swoje ofiary w identyczny sposób?

Ruszył w stronę wyjścia. Przechodząc cementowym chodnikiem, minął grób chłopca, zmarłego mniej więcej w tym samym czasie w trakcie nurkowania. Zatrzymał się na chwilę przed nagrobkiem. Popatrzył na zdjęcie. Ciemny chłopak o bystrym wyglądzie uśmiechał się z ceramicznej, czarno-białej tabliczki, zapewne wyretuszowanej na tę okazję. Opuścił wzrok, żeby przeczytać nazwisko zmarłego. Jego oczy spoczęły na napisie i Nicolasowi Hulot odebrało dech w piersiach. Miał wrażenie, że słyszy uderzenie pioruna, gdy tymczasem napis wydawał się powiększać, aż zajął całą powierzchnię nagrobka.

W jednej krótkiej, a równocześnie bardzo długiej chwili, zrozumiał wszystko.

I już wiedział, kim jest Nikt.

Usłyszał, niemal tego nie rejestrując, echo zbliżających się kroków. Pomyślał, że to ubrana na ciemno kobieta wraca na grób syna.

Zajęty swoimi myślami, wstrząśnięty odkryciem, z sercem, które grzmiało mu w uszach długimi uderzeniami bębna, nie zwracał uwagi na dużo lżejsze odgłosy kroków zbliżających się za jego plecami.

Nie zwracał uwagi, dopóki nie usłyszał głosu.

- Gratuluję, komisarzu, nie sądziłem, że dotrze pan aż tutaj.

Komisarz Hulot odwrócił się powoli. Kiedy zobaczył wycelowany w siebie pistolet, pomyślał, że na ten dzień jego szczęście chyba się skończyło.

Frank obudził się, kiedy na dworze było jeszcze ciemno. Otworzył oczy i po raz kolejny leżał w nie swoim łóżku, w nie swoim pokoju, w nie swoim domu. Tym razem jednak wszystko było inaczej. Powrót do rzeczywistości wcale nie oznaczał rozpoczęcia kolejnego dnia naznaczonego tymi samymi myślami co poprzedni. Odwrócił głowę w lewą stronę i w niebieskawym świetle abażuru zobaczył wyciągnięte obok niego uśpione ciało Heleny. Prześcieradło tylko częściowo osłaniało jej plecy i Frank podziwiał rysunek mięśni pod skórą, zgrabne ramiona, które przechodziły w wysmukłą linię rąk. Przekręcił się na bok i zbliżył się do niej jak bezdomny pies, który podchodzi ostrożnie do jedzenia przyniesionego przez kogoś obcego. Zaprażył, żeby doszedł do niego przede wszystkim naturalny zapach jej skóry.

Spędzali razem drugą noc.

Poprzedniego wieczoru wrócili do willi i wysiedli z samochodu Franka niemal przestraszeni, jakby przez opuszczenie ograniczonej przestrzeni kabiny coś mogło się zmienić, jakby to, co wytworzyło się wewnątrz, mogło się rozwiać w kontakcie z powietrzem.

Weszli do domu bezszelestnie, niemal ukradkiem. Wydawało się, że to, do czego się zbliżają, nie jest ich prawem, ale czymś, co sobie zawłaszczają siłą i oszustwem.

Frank przeklął to chore wrażenie i wszystko, co zmuszało ich do takiego odczucia.

Nie było jedzenia i nie było wina, które obiecywała Helena.

Od razu byli tylko oni i ich ubrania, nagle zbyt obszerne, które opadły na ziemię z naturalnością dotrzymanyh obietnic. Był inny głód i inne pragnienia zbyt długo tłumione, była pustka, która dopiero teraz, kiedy próbowali ją wypełnić, objawiała swój ogrom.

Frank na powrót położył głowę na poduszce i zamknął oczy. Obrazy zaczęły przebiegać swobodnie pod jego zaciśniętymi powiekami.

Drzwi.

Schody.

Łóżko.

Skóra Heleny, jedyna na świecie, która w dotyku z jego skórą przemawiała znanym mu językiem. Przepiękne oczy przesłonięte cieniem. Przestraszony nagle wzrok, kiedy Frank wziął ją w ramiona. Jej głos, oddech na wargach muskający jego usta. Proszę, nie rób mi krzywdy, błagała.

Frank poczuł, jak oczy wilgotnieją mu ze wzruszenia. Na próżno szukał pomocy w słowach. Helena szukała tego samego i też nie znalazła. Jedynym wyjaśnieniem był pośpiech i czułość, z jakimi rozpoznali potrzebę wzajemnej bliskości. Posiadł jej ciało z największą delikatnością, do jakiej był zdolny, pragnąc być jakimkolwiek istniejącym bogiem, będącym w stanie cofnąć się w czasie i zmienić bieg rzeczy. I odkrył, jednocząc się z nią, że ona może dać mu siłę, by stał się tym bogiem, a on może znaleźć siłę, by stać się dla niej tym samym.

Wymazaliby cierpienie, jeśli nie pamięć.

Pamięć...

Po Harriet nie miał żadnej kobiety. Było tak, jakby część jego istnienia została zawieszona i pozostawiła aktywnymi tylko podstawowe czynności życiowe, te, które pozwalały mu pić, jeść, oddychać, krążyć po świecie jak automat, tyle że z krwi i kości, a nie metalu i obwodów elektronicznych. Śmierć Harriet nauczyła go, że miłości nie można odtworzyć na rozkaz. Nikt nie mógł sobie narzucić, żeby więcej nie kochać. A przede wszystkim nikt nie mógł sobie narzucić, żeby znów kochać. Nie wystarczała wola, nawet najbardziej żelazna: potrzebne było błogosławieństwo przypadku, owej sumy elementów, której tysiące lat doświadczeń, bezpłodnych dyskusji i tysiące wierszy całkowicie jeszcze nie wyjaśniły. Potwierdziły tylko jego istnienie.

Helena stała się nagle prezentem od losu, była milczącym „och!” zdziwienia, podczas gdy jego już jałowa i wygasła planeta krążyła bezwładnie wokół słońca, które zdawało się świecić tylko dla innych. Wzruszające było odkryć, że pośród skał i ziemi spalonej suszą kiełkuje jedyne, cudem ocalałe źdźbło trawy. Nie był to jeszcze powrót do życia, ale mała, cichutko wydeptana obietnica, możliwość, którą należało podsycać delikatnym tchnieniem nadziei, nieprzynoszącej sama w sobie szczęścia, tylko drzenie obawy.

- Śpisz?

Głos Heleny zaskoczył go, kiedy szedł za wspomnieniami tak bliskimi, że zdawały się tkwić w jego pamięci niczym świeżo wywołane fotografie. Odwrócił się i zobaczył ją w świetle lampki nocnej, jak patrzy na niego z głową opartą na ręce, z łokciem na poduszce.

- Nie, nie śpię.

Przysunęli się do siebie i ciało Heleny znalazło się we wgłębieniu jego ramion z naturalnością, z jaką woda wpływa do koryta rzeki po długiej walce z przeszkodą, która zatrzymała jej nurt. Frank znów poczuł niczym cud zapach skóry Heleny. Ona oparła głowę na jego piersi i też wciągała jego woń.

- Ładnie pachniesz, Franku Ottobre. I jesteś piękny.

- Oczywiście, że jestem piękny. W kategorii zwykłych śmiertelników jestem George'em Clooneyem. Problem w tym, że nikt się nie zgłasza...

Wargi Heleny na jego ustach dawały mu pewność, że ona zamierza się zgłosić i będzie wymagała wyłączności. Znów się kochali, z leniwą i zmysłową rozkoszą uśpionych lekko ciał, przywołanych z odpoczynku przez pożądanie, które w owej chwili było bardziej psychiczne niż fizyczne.

Zapomnieli o reszcie świata, tak jak tylko miłość pozwala zapomnieć.

Potem, po powrocie, musieli zapłacić cenę swojej podróży. Leżeli w milczeniu, patrząc na jasny sufit i czując inną obecność, która zdawała unosić się w bursztynowym świetle pokoju. Obecności, której nie można było przepędzić, zamykając po prostu oczy.

Frank spędził dzień w centrali policji, śledząc rozwój śledztwa w sprawie Nikogo, stwierdzając z każdą mijającą godziną, jak będące w ich posiadaniu ślady wahają się między niczym a zerem absolutnym, siląc się jednak na to, by wyglądać na aktywnego i skoncentrowanego, podczas gdy jego umysł błądził gdzie indziej.

Jego myśli były z Nicolasem Hulot, który podążał tropem wypisanym na tak cienkim papierze, że przeświecał przez niego niepokój wymalowany na ich twarzach. Jego myśli były też z Heleną, zamkniętą przez nikczemny szantaż i równie nikczemnego strażnika w owym ponurym i niedostępnym więzieniu, jakim był jej dom z drzwiami i oknami szeroko otwartymi na świat.

Pod wieczór wrócił do Beausoleil i odnalazł ją w ogrodzie, z poczuciem zadośćuczynienia, jakie odczuwa podróżny, kiedy widzi kres swojej wędrówki po długim i wyczerpującym marszu przez pustynię.

W czasie kiedy Frank był z nią, Nathan Parker dzwonił parę razy z Paryża. Za pierwszym razem chciał się dyskretnie oddalić, ale Helena powstrzymała go, biorąc za ramię gestem tak władczy, że aż zaskakującym. Śledził więc jej rozmowę z ojcem, składającą się głównie z monosylab, podczas gdy jej oczy nie potrafiły ukryć strachu i Frank obawiał się, że może on nigdy nie minąć.

Kiedy wreszcie słuchawka przekazana została Stuartowi, twarz Heleny jakby wyjaśniała. Frank zdał sobie sprawę, że syn był dla niej przez te wszystkie lata kołem ratunkowym, schronieniem, tajemnym miejscem, gdzie mogła pisać listy, które pewnego dnia pokazałaby komuś, choć nie wiedziała, czy ten ktoś kiedykolwiek przybędzie. Frank zrozumiał jednocześnie, że droga do jej serca biegnie nieuchronnie przez serce jej syna. Nie było możliwe mieć ją bez niego. Frank zastanawiał się, czy będzie do tego zdolny, podczas gdy lekkie tchnienie niepokoju mieszało się z jej oddechem.

Dłoń Heleny uniosła się i powędrowała na bliznę przecinającą lewą stronę jego klatki piersiowej, na ten kawałek zaczerwienionej skóry odcinającej się od reszty lekko muśniętego opalenizną ciała. Helena poczuła dotykem, że jest to inna skóra, skóra, która urosła potem, niemal jakby była częścią pancerza. Jak wszystkie pancerze miał on właściwość odbijania ciężkich ciosów, ale nieuchronnie osłabiał też łagodny dotyk pieśczości.

- Boli? - zapytała, przebiegając delikatnie palcami wzdłuż brzegów blizny.

- Teraz już nie.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Frank pomyślał, że Helena nie jego dotyka, ale ich blizny.

Jesteśmy żywi, Heleno, potłuczeni i pogrzebani, ale żywi. A z zewnątrz dochodzą hałasy, ktoś kopie, by wydobyć nas ze zgliszczy. Pospieszcie się, proszę, pospieszcie się...

Helena uśmiechnęła się i małe słońce dołączyło do światła w pokoju. Odwróciła się nagle, wdrapała na niego, jakby chciała przypieczętować osobiste zwycięstwo. Ugryzła go delikatnie w nos.

- Pomyśl, gdybym ci go odgryzła, George Clooney wygrałby nos do zera.

Frank ujął jej twarz w dłonie. Helena próbowała się opierać bez większego przekonania, aż w końcu jej usta oderwały się od nosa Franka z lekkim cmoknięciem. Frank próbował spojrzeć na nią z całą czułością, jaką mogła przekazać istota ludzka.

- Obawiam się, że od tej pory, z nosem czy bez, będzie mi bardzo trudno myśleć o moim życiu bez ciebie...

Cień przebiegł przez twarz Heleny. Jej szare oczy miały teraz barwę ostrza Excalibura. Delikatnie ujęła go za przeguby rąk i uwolniła swoją twarz. Frank wyobrażał sobie, jakie myśli kryją się za tym spojrzeniem, i spróbował złagodzić napięcie.

- Hej, co jest? Nie myślałem, że mówię coś strasznego. Nie poprosiłem cię jeszcze przecież, żebyś za mnie wyszła...

Helena wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia. Ton jej głosu powiedział mu, że owa krótka chwila beztroski między nimi dobiegła końca.

- Ja jestem już mężatką, Frank. Lub raczej byłam.

- Co znaczy: byłam?

- Wiesz, jakie jest środowisko polityki, Frank. Takie samo jak show-biznes. Wszystko to fikcja, przedstawienie. W Waszyngtonie, tak samo jak w Hollywood, nieoficjalnie akceptuje się wszystko, byleby nie stało się własnością publiczną. Człowiek sukcesu nie może dopuścić do skandalu, żeby jego córka wydała na świat dziecko, nie mając u boku oficjalnego męża.

Frank milczał, czekając na dalszy ciąg. Czuł wilgotne ciepło oddechu Heleny, muskające jego skórę, kiedy mówiła. Głos dochodził znad jego ramienia, ale zdawało się, że dociera ze studni nieodbijającej echa.

- A już na pewno, jeśli człowiekiem tym jest generał Nathan Parker. Dlatego też oficjalnie jestem wdową po kapitanie Randallu Keeganie, który poległ podczas wojny w Zatoce, zostawiając w Ameryce kobietę oczekującą jego syna.

Uniosła się i przyjęła poprzednią pozycję, z twarzą naprzeciw jego twarzy. Na jej wargach pojawił się uśmiech, kiedy patrzyła w oczy Franka, jakby tylko stamtąd mogło pochodzić przebaczenie. Frank nigdy by nie pomyślał, że w uśmiechu może być tyle goryczy.

Helena w owym ułamku sekundy dała definicję samej sobie, jakby mówiła o innej osobie, o kobiecie, w stosunku, do której odczuwała litość pomieszaną z pogardą.

- Jestem wdową po człowieku, którego po raz pierwszy widziałam w dniu ślubu i którego nie widziałam nigdy więcej żywego, dopiero w trumnie osłoniętej flagą. Nie pytaj, jak mój ojciec przekonał tego człowieka, żeby się ze mną ożenił. Nie wiem, co obiecał mu w zamian, ale łatwo to sobie wyobrazić. Małżeństwo niemal per procura,

czas na tyle długi, żeby stworzyć namacalną zasłonę dymną, a potem oczyszczający powietrze rozwód. Tymczasem łatwa kariera i rozłożony pod nogami czerwony dywan... I wiesz, co jest zabawne?

Frank czekał w milczeniu. Wiedział, że nie będzie to na pewno nic zabawnego.

- Kapitan Randall Keegan zginął na wojnie w Zatoce, nie oddawszy ani jednego strzału. Poległ bohatersko podczas operacji rozładunku, potrącony przez hammera, któremu zepsuły się hamulce, kiedy zjeżdżał z platformy transportowca. Jedno z najkrótszych małżeństw w historii. A na dodatek z idiotą...

Frank nie miał czasu na odpowiedź. Przyswajał jeszcze nowy objaw perfidii Nathana Parkera, kiedy telefon na nocnym stoliku zaczął wibrować. Frank zdążył go odebrać, zanim zadzwieczał dzwonek. Spojrzał na godzinę. Tarcza zegara zwiastowała złe wiadomości.

- Hallo?

- Frank, tu Morelli.

Helena, wyciągnięta u jego boku, zobaczyła, jak ściąga mu się twarz.

- Mów, Claude. Są kłopoty?

- Tak, Frank, ale nie to, o czym myślisz. Komisarz Hulot miał wypadek samochodowy.

- Kiedy?

- Na razie dokładnie nie wiemy. Dopiero co zawiadomiła nas komenda francuskiej drogówki. Jego samochód został odnaleziony w okolicy Auriol, w Prowansji, na bocznej drodze, u podnóża skarpy, przez myśliwego, który wyszedł tresować psy.

- Jak on się czuje?

Krótkie milczenie Morellego po drugiej stronie było wymowne. Frank poczuł rozpacz zalewającą mu serce.

Nie, Nicolas, nie ty i nie teraz. Nie w taki gówniany sposób i nie w chwili, kiedy twoje życie zdawało się śmietnikiem. Nie tak, *enfant terrible*...

Nie żyje, Frank.

Frank zacisnął szczęki tak mocno, że usłyszał zgrzyt zębów. Jego knykcie pobieły na słuchawce. Przez chwilę Helena myślała, że telefon pokruszy mu się w rękę...

- Żona nie?...

- Nie, jeszcze jej nie zawiadomiłem. Pomyślałem, że może ty będziesz wolał to zrobić.

- Dziękuję, Claude. Znakomita robota.

- Wolałbym nie przyjmować tych komplementów.

- Wiem i dziękuję ci także w imieniu Céline Hulot.

Helena zobaczyła, jak idzie w stronę fotela, na którym bezładnie rozrzucone było jego ubranie. Zaczął wyciągać spodnie.

Usiadła na łóżku, osłaniając piersi prześcieradłem. Frank nie zauważył tego gestu instynktownego wstydu wobec nagości, której Helena nie odbierała jeszcze całkowicie, jako naturalnego faktu.

- Co się dzieje, Frank? Dokąd idziesz?

Frank popatrzył na nią i Helena odczytała ból i gorycz na jego twarzy. Usiadł na łóżku, żeby wciągnąć skarpetki. Jego głos dotarł do niej zza pokrytych bliznami pleców.

- Do najgorszego miejsca na świecie, Heleno. Idę obudzić w środku nocy kobietę i wyjaśnić powody, dla których jej mąż nie wróci już nigdy do domu.

45

Na pogrzebie Nicolasa Hulot padało.

Zdawało się, że pogoda postanowiła przerwać owo rozświetlone lato i przelać z nieba te same łzy, które roniono nad nim na ziemi. Prosty, bezkompromisowy deszcz, tak jak proste i bezkompromisowe było życie anonimowego komisarza policji, spędzone na wypełnianiu małej misji zwykłego człowieka.

Teraz, być może bezwiednie, odbierał jedyne wynagrodzenie, jakiego pragnął za życia: znaleźć się w tej samej ziemi, która przyjęła ciało jego syna, przy akompaniamencie słów stworzonych przez nadzieję jako pociecha dla tych, którzy zostali.

Céline stała nad wykopaną mogiłą obok księdza, z twarzą zastygłą w bólu, jedyna ocalona naprzeciw grobów męża i syna. U jej boku siostra z mężem, którzy przyjechali pospiesznie z Carcassonne na wieść o śmierci szwagra.

Pogrzeb miał być ceremonią prywatną, zgodnie z wolą Nicolasa. Mimo to nieduży tłumek ludzi przyszedł na cmentarz w Eze Village. Lekko na uboczu i trochę wyżej w stosunku do miejsca, gdzie wykopano dół, Frank obserwował ludzi otaczających młodego kapłana, który odprawiał nabożeństwo z odsłoniętą mimo deszczu głową.

Byli tam przyjaciele, znajomi, mieszkańcy Eze, wszystkie osoby, które miały sposobność poznać i docenić wartość człowieka, a teraz żegnały go po raz ostatni. Prawdopodobnie przyszli też zwykli ciekawscy.

Był Morelli, którego twarz wyrażała tak dojmujące cierpienie, że aż zaskoczyło to Franka. Byli Roncaille i Durand jako reprezentanci władz Księstwa oraz wszyscy przedstawiciele Sûreté niebędący w owej chwili na służbie. Frank dostrzegł Frobena, dokładnie po przeciwnej stronie, również z odsłoniętą głową. Niżej stał Bikjalo,

Laurent, Jean-Loup, Barbara i większość zespołu Radia Monte Carlo, a na uboczu nawet Pierrot i jego matka.

Żądza sensacji nielicznych obecnych dziennikarzy powstrzymana została przez służby porządkowe, które poza tym okazały się zbędne. Śmierć człowieka w wypadku drogowym była zbyt banalna, żeby zainteresować, nawet jeśli chodziło o komisarza zaangażowanego wcześniej w śledztwo dotyczące Nikogo, a następnie zawieszzonego w czynnościach.

Frank popatrzył na trumnę Nicolasa Hulot schodzącą powoli do mogiły wykopanej w ziemi niczym rana skrapiana wodą deszczową zmieszaną z wodą święconą, które jakby łączyły błogosławieństwo nieba i ludzi. Dwaj grabarze w zielonych pelerynach i z łopatami zaczęli przysypywać ją ziemią, która miała ten sam kolor co drewno trumny.

Frank stał tam, dopóki ostatnia szufla ziemi nie spadła na zasypyany już dół. Ziemia powoli wyrówna się i opłacony rzemieślnik położy na niej marmurowy nagrobek, identyczny jak ten obok, a napis na nim wskaże, że Stéphane Hulot i jego ojciec Nicolas w jakiś sposób się odnaleźli.

Kapłan udzielił ostatniego błogosławieństwa i wszyscy się przeżegnali.

Mimo wszystko Frank nie zdołał wypowiedzieć słowa „amen”.

Zaraz potem tłum zaczął się rozpraszać. Najbliżsi rodzinie podeszli jeszcze, żeby złożyć wyrazy współczucia wdowie. Kiedy odbierała uściski od państwa Mercier, Céline dostrzegła Franka. Pożegnała Guillaume'a i jego rodziców, przyjęła pospieszne kondolencje od Duranda i Roncaille'a, odwróciła się i szepnęła coś siostrze, która zostawiła ją samą i ruszyła z mężem w stronę bramy cmentarza. Frank obserwował kruchą Céline zbliżającą się spokojnym krokiem w jego kierunku, z zaczerwienionymi oczami, którym odmówiła osłony ciemnych okularów.

Bez słowa Céline skryła się w jego objęciach. Czuł na ramieniu jej bezgłośny płacz, kiedy wreszcie pozwoliła sobie na łzy, które nie mogły odbudować jej małego, zdruzgotanego świata.

Céline odsunęła się i popatrzyła na Franka. W jej oczach niczym rozżarzone słońce płonęła żywa gwiazda cierpienia.

- Dziękuję, Frank. Dziękuję, że jesteś. Dziękuję, że to ty mi powiedziałeś. Wiem, ile cię to kosztowało.

Frank nic nie odpowiedział. Po telefonie Morellego zostawił Helenę, pojechał do Eze, do domu Nicolasa. Stał przez pięć długich minut przed drzwiami Hulotów,

zanim zebrał się na odwagę, żeby zadzwonić. Kiedy Céline podeszła otworzyć, przytrzymując brzegi lekkiego szlafroka zarzuconego na koszulę nocną, domyśliła się wszystkiego, ledwie go zobaczyła. Była w końcu żoną policjanta. Scenę tę już wcześniej musiała sobie wyobrażać, przeżyła ją jako bolesną ewentualność, choć zawsze odpychała ją jak złowróżbną myśl. Teraz Frank tam stał, na progu domu, z cierpiącym wyrazem twarzy, w milczeniu, jako potwierdzenie, że również jej mąż, po synu, od tej pory będzie gdzie indziej.

- Coś się stało Nicolasowi, prawda?

Frank pokiwał głową.

- Nie?...

- Tak, Céline, nie żyje.

Céline zamknęła na chwilę oczy, a na jej twarz spłynęła śmiertelna bladość. Lekko się zachwiała i Frank przestraszył się, że zaraz zemdleje. Postąpił krok naprzód, żeby ją podtrzymać, ale ona natychmiast doszła do siebie. Frank zobaczył żyłą pulsującą na jej skroni, kiedy prosiła go o szczegóły, czego chętnie by uniknął.

- Jak to się stało?

- Wypadek drogowy. Nie wiem zbyt wiele. Wypadł samochodem z trasy i stoczył się po skarpie. Musiał zginąć na miejscu. Jeśli może to być pociechą, nie cierpiał.

Już w momencie ich wypowiedzania Frank był świadomy błahości swoich słów. Nie, nie było to pociechą, nie mogło być, choć Frank wiedział od Nicolasa o udreće, jaką on i Céline przeżywali z powodu agonii Stephane'a w śpiączce, funkcjonującego już tylko jak roślina, podłączonego do aparatury, która podtrzymywała go przy życiu, aż do chwili, kiedy ich litość stała się silniejsza od nadziei i postanowili dać pozwolenie na odłączenie maszyny.

- Wejdz, Frank. Powinam wykonać kilka telefonów, ale jeden mogę odłożyć na rano. I muszę poprosić cię o przysługę...

Kiedy odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, jej oczy kobiety wciąż zakochanej w swoim mężu wypełnione były łzami.

- Co tylko zechcesz, Céline.

- Nie zostawiaj mnie samej tej nocy, proszę.

Zadzwoniła do jedyne go krewnego Nicolasa, brata mieszkającego w Ameryce, który ze względu na różnicę czasu nie otrzymałby tej wiadomości w środku nocy.

Wyjaśniła pokrótce sytuację i odłożyła słuchawkę, szepcząc: „Nie, nie jestem sama”, co było zapewne odpowiedzią na troskę rozmówcy.

Odwróciła się do Franka.

- Chcesz kawy?

- Nie, Céline, dziękuję. Nic mi nie trzeba.

- Usiądźmy więc na kanapie, Franku Ottobre. Chcę, żebyś mnie objął i mocno trzymał, kiedy będę płakała...

I tak się stało. Siedzieli na kanapie, w pięknym pokoju, którego okna wychodziły na taras i próżnię nocy, i Frank słuchał jej płaczu, dopóki światło nie zabarwiło na niebiesko morza i nieba za szybami. Poczuł, jak jej wyczerpane ciało zapada w rodzaj półsnu, i trzymał ją tak, z całym uczuciem, jakie był winien jej i Nicolasowi, aż do chwili, gdy dużo później przekazał ją pod opiekę siostry i szwagra.

A teraz znów stali naprzeciw siebie i on nie mógł się powstrzymać, żeby na nią nie patrzeć, jakby jego oczy chciały przeniknąć do jej wnętrza. Céline zrozumiała pytanie ukryte w tym spojrzeniu. Uśmiechnęła się do niego czule na tę jego męską naiwność.

- Teraz to już niepotrzebne, Frank.

- Co jest niepotrzebne?

- Myślałam, że zrozumiałeś...

- Co było do zrozumienia, Céline?

- Moje małe szaleństwo, Frank. Doskonale wiedziałam, że Stephane nie żyje, zawsze to wiedziałam, tak jak teraz wiem, że Nicolasa też już nie ma.

Widząc jego konsternację, Céline Hulot znów uśmiechnęła się z czułością i położyła mu rękę na ramieniu.

- Biedny Frank, przykro mi, że ciebie też oszukałam. Przykro mi, że sprawiałam ci ból za każdym razem, gdy wspominałam Harriet.

Podniosła głowę i spojrzała na szare niebo. Para mew krążyła w górze, frunąc leniwie, popychana siłą wiatru. Były we dwie, były razem. Może o tym myślała Céline, śledząc przez chwilę tory ich lotu. Podmuch wiatru poruszył apaszkę, którą miała na szyi.

Jej oczy znów spoczęły na Franku.

- To wszystko była komedia, mój przyjacielu. Mała, głupia komedia tylko po to, żeby ten człowiek nie zadręczył się na śmierć. Kiedy wychodziliśmy z cmentarza po

pogrzebie Stephane'a, miałam pewność, że jeśli czegoś nie zrobię, Nicolas się nie pozbiera. Być może nawet ze sobą skończy.

Céline kontynuowała głosem kogoś, kto podąża za wspomnieniem.

- Tak więc, kiedy wracaliśmy autem do domu, nagle wpadłam na ten pomysł. Pomyślałam, że jeśli Nicolas zacznie się przejmować mną, jeśli pojawi się inny powód troski, przynajmniej częściowo odciągnie go to od ciągłego, pogłębiającego rozpacz, wspomniania Stephane'a. Nawet gdyby chodziło o minimalne odwrócenie uwagi, mogło pomóc w uniknięciu czegoś gorszego. Tak wszystko się zaczęło. I trwało. Oszukiwałam go i nie żałuję. Zrobiłabym to znowu, gdyby było trzeba, ale, jak widzisz, nie ma już przed kim udawać...

Teraz łzy znów spływały po policzkach Céline Hulot. Frank spojrzał w cudowną głębię jej oczu.

Na świecie były osoby, których jedyna wartość polegała na tym, że potrafiły sprzedać się jak jedwab, podczas gdy były stertą szmat. Inne, które dokonały rzeczy wielkich, rzeczy, które zmieniły świat. Frank pomyślał, że żadna z nich nie mogła się równać z wielkością tej kobiety.

Céline znów obdarzyła go tkliwym uśmiechem.

- Cześć, Frank. Mam nadzieję, że wkrótce znajdziesz to, czego szukasz. Tak bardzo bym chciała, żebyś był szczęśliwy, bo na to zasługujesz. Au revoir, piękny człowieku...

Wspięła się lekko na czubkach palców i musnęła mu wargi pocałunkiem. Jej ręka zostawiła bolesny ślad na ramieniu Franka, kiedy odwracała się do niego plecami i odchodziła zwirowaną alejką.

Frank patrzył za nią. Po kilku krokach zobaczył, że się zatrzymuje i wraca do niego.

- Frank, dla mnie to nic nie zmienia. Nic na świecie nie zwróci mi Nicolasa. Ale dla ciebie może być ważne. Morelli opowiedział mi o szczegółach wypadku. Czytałeś protokoły?

- Tak, Céline, bardzo uważnie.

- Claude mi powiedział, że Nicolas w chwili wypadku nie miał zapiętych pasów bezpieczeństwa. Właśnie to było przyczyną śmierci Stéphane'a. Gdyby miał zapięte pasy, nasz syn by żył. Od tamtej pory Nicolas nie wkładał nawet kluczyków do stacyjki, jeśli wcześniej się nie zapiął. Wydaje mi się dziwne, że tym razem tego nie zrobił...

- Nie znałem tego szczegółu dotyczącego wypadku twojego syna. Tak, teraz kiedy to mówisz, mnie też wydaje się to dziwne.

- Powtarzam, dla mnie nic to nie zmienia. Ale jeśli istnieje możliwość, że Nicolas został zabity, oznacza to, że był na właściwej drodze, że byliście na właściwej drodze.

Frank pokiwał milcząco głową. Kobieta odwróciła się i odeszła, tym razem na dobre. Kiedy patrzył za odchodzącą Céline, podeszli do niego Roncaille i Durand, przybrawszy stosownie do okoliczności miny. Oni również śledzili wzrokiem postać Céline, smukłą, czarną sylwetkę idącą w deszczu cmentarną aleją.

- Co za strata, prawda? Trudno w to uwierzyć...

Frank odwrócił się gwałtownie. Przez twarz szefa policji przebiegł cień.

- Ach, jeszcze nie możecie w to uwierzyć? Właśnie wy, którzy poświęciliście Nicolasa Hulot w imię racji stanu i zmusiliście go, żeby umarł jako człowiek przegrany, jeszcze nie możecie w to uwierzyć?

Frank zrobił pauzę, która przygniotła ich płytą dużo cięższą od otaczających nagrobków.

- Jeśli poczujecie wstyd, pod warunkiem że jesteście do tego zdolni, będziecie mieli ku temu wszelkie powody.

Durand podniósł raptownie głowę.

- Mister Ottobre, usprawiedliwiam pańskie wzburzenie wyłącznie bólem, który pan odczuwa, ale nie pozwolę...

Frank przerwał mu ostro. Jego głos był suchy, jak trzask łamiącej się pod stopą gałęzi.

- Panie Durand, mam pełną świadomość, jak bardzo moja obecność tutaj jest dla pana ciężka do strawienia. Ale chcę złapać mordercę z tysiąca powodów, również dlatego, że jestem to winien mojemu przyjacielowi, Nicolasowi Hulot. To, na co mi pan pozwala albo nie, jest mi całkowicie obojętne. Gdybyśmy znajdowali się w innym miejscu i w innych okolicznościach, gwarantuję panu, że wziąłbym całą pańską władzę i wepchnął do gardła razem z zębami.

Twarz Duranda zapłonęła. Roncaille wtrącił się, żeby załagodzić konflikt. Frank zdziwił się, słysząc, że zajmuje pozycję, choć jego motywy mogły być dyskusyjne.

- Frank, wszyscy jesteśmy na pewno trochę podenerwowani tym, co się stało. Myślę, że będzie lepiej, jeśli nie damy się ponieść emocjom. Mamy pracę do wykonania, która sama w sobie wydaje się wystarczająco trudna, bez dodatkowych

elementów mogących stanowić przeszkodę. Nasze osobiste niesnaski, jakiegokolwiek by były, muszą zejść w tej chwili na drugi plan.

Roncaille wziął za ramię Duranda, który stawiał tylko formalny opór, i pociągnął go za sobą. Odeszli osłonięci parasolami, zostawiając Franka samego.

Frank postąpił kilka kroków i stanął przed mogiłą skrywającą doczesne szczątki Nicolasa Hulot. Obserwował deszcz, który rozpoczął swoje dzieło wyrównywania rozgrzebanej ziemi, czując, że gniew wzbiera w nim jak wrząca lawa w kraterze wulkanu.

Krótki powiew wiatru poruszył gałęziami stojącego nieopodal drzewa. Podmuch powietrza w listowiu zdawał się przywiać do jego uszu głos, który słyszał już nazbyt często, odkąd wszystko się zaczęło.

Ja zabijam.

Tam, właśnie tam, pod kopcem świeżo wykopanej ziemi, leżał jego najlepszy przyjaciel. Był to człowiek, który widział go, jak dryfuje i miał siłę wyciągnąć do niego rękę, kiedy najbardziej tego potrzebował. Był to człowiek, który miał odwagę wyznać mu wszystkie swoje słabości, i właśnie dlatego stał się w jego oczach jeszcze większy. Jeśli on, Frank Ottobre, trzymał się jeszcze na nogach, żył, zawdzięczał to wyłącznie Nicolasowi Hulot.

Niemal bezwiednie zaczął rozmawiać z kimś, kto nie mógł mu odpowiedzieć.

- To był on, prawda, Nicolas? Nie byłeś wyznaczoną ofiarą, nie byłeś częścią jego planu, stanąłeś tylko przypadkowo na jego drodze. Dlatego zmuszony był zrobić to, co zrobił. Przed śmiercią odkryłeś, kto to, prawda? Co mam zrobić, żeby też się tego dowiedzieć, Nicolas? Co?

Frank Ottobre stał długo przed niemym grobem, w strugach deszczu, powtarzając obsesyjnie to pytanie. Nie było odpowiedzi, nawet słowa wyszeptanego językiem wiatru, dźwięku do rozpoznania w ruchu powietrza w koronie drzewa.

Dziewiąty karnawał

Na cmentarzu są tylko czarne parasole.

W ten bezsłoneczny dzień wydają się odwróconymi cieniami, jakby projekcją ziemi, żałobnymi myślami tańczącymi nad ludźmi, którzy teraz, po zakończonej ceremonii, oddalają się powoli, próbując z każdym krokiem ustanowić coraz większy dystans między nimi a śmiercią.

Zupełnie nie zmieniając wyrazu twarzy, mężczyzna zobaczył, jak trumna schodzi do grobu. Po raz pierwszy uczestniczy w pogrzebie osoby, którą zamordował. Przykro mu z powodu tego człowieka, przykro mu z powodu pełnej godności rezerwy żony, która patrzyła, jak znika w wilgotnej ziemi. Mogiła, która go przyjęła, obok grobu syna, przypomniła mu inny cmentarz, inny rząd grobów, inne łzy, inne cierpienie.

Z nieba pada deszcz, bez gniewu i bez wiatru.

Mężczyzna myśli, że historie powtarzają się w nieskończoność. Czasami wydają się dobiegać końca, a w istocie zmieniają się tylko bohaterowie. Przychodzą następni aktorzy, ale role pozostają te same. Człowiek, który zabija, człowiek, który umiera, człowiek, który nie wie, człowiek, który w końcu rozumie i gotów jest zapłacić życiem, byle to się wydarzyło.

Wszędzie dokoła cała chmara anonimowych statystów, ludzi bez znaczenia, głupców noszących kolorowe parasole, które nie służą jako osłona, a tylko jako podtrzymanie niepewnej równowagi na linie zawieszony tak wysoko, że nie widać stamtąd, iż ziemia pod nimi usiana jest grobami.

Mężczyzna zamyka parasol i pozwala, żeby deszcz padał mu bezpośrednio na głowę. Oddała się w stronę bramy cmentarnej, pozostawiając na ziemi ślady swoich stóp pomieszane z innymi. Jak każde wspomnienie, prędzej czy później zostaną zatarte.

Zazdrości spokoju i ciszy, jakie pozostaną w tym miejscu, kiedy wszyscy się rozejdą. Myśli o tych wszystkich zmarłych, leżących nieruchomo w swoich podziemnych trumnach, z zamkniętymi oczami, rękami skrzyżowanymi na piersiach, niemymi wargami.

Myśli o kojącej ciszy, o ciemności bez obrazów, o wieczności bez czasu przyszłego, o śnie bez snów i nagłych przebudzeń.

Mężczyzna czuje litość dla samego siebie i dla świata, która przychodzi do niego jak podmuch wiatru, i wreszcie kilka łez spływa również z jego oczu i miesza się z deszczem. Nie są to łzy wywołane śmiercią następnego człowieka. Są to słone łzy przelane z żalu za niegdysiejszym słońcem, które minęło jak mgnienie, za jedynymi szczęśliwymi chwilami, jakie pamięta, tak odległymi w pamięci, że wydaje się, jakby nigdy nie istniały.

Mężczyzna mija wejście na cmentarz, obawiając się, że lada moment usłyszy głos, wiele głosów przywołujących go, jakby za tym ogrodzeniem istniał świat żywych, do którego on nie ma prawa należeć.

Nagle, jakby pod wpływem niespodziewanej myśli, odwraca głowę i spogląda za siebie. W dole, w głębi cmentarza, ujęty w kadrze bramy jak na slajdzie, sam przed świeżo wykopanym grobem, stoi ubrany na ciemno mężczyzna.

Poznaje go. To jeden z tych, którzy na niego polują, jeden z psów o ziejących pyskach, rozpędzonych i ujadających. Wyobraża sobie, że teraz będzie jeszcze bardziej zdeterminowany i bezlitosny. Chciałby móc się cofnąć, stanąć obok i wszystko mu wytłumaczyć, powiedzieć mu, że nie ma w nim okrucieństwa, nie ma zemsty, jest tylko sprawiedliwość. Oraz poczucie absolutnej pewności, że wyłącznie śmierć jest powołana, by ją reprezentować.

Kiedy wsiada do samochodu, którym stamtąd odjedzie, przeciąga dłonią po wilgotnych od deszczu włosach.

Chciałby się wytłumaczyć, ale nie może. Jego zadanie się nie skończyło.

On jest kimś i nikim i jego zadanie nigdy się nie skończy.

A jednak, kiedy przez szybę zamkniętego okna patrzy na tych wszystkich ludzi oddalających się z miejsca cierpienia, kiedy patrzy na te twarze, które przyjęły głupi, okolicznościowy wyraz, zadaje sobie pytanie, podyktowane nie ciekawością, a zmęczeniem. Zastanawia się, kim będzie człowiek, który przyjdzie oznajmić mu, że wreszcie wszystko się skończyło.

Kiedy Frank wyszedł z cmentarza, na zewnątrz nie zauważył już nikogo.

Deszcz także ustał. W górze, w niebiosach, nie było żadnego miłosiernego boga. Tylko ruch białych i szarych chmur, między którymi wiatr wycinał nieśmiały skrawek błękitu.

Dotarł do samochodu przy akompaniamencie lekkiego chrzęstu swoich kroków na żwirze. Wsiadł do auta i włączył motor. Wycieraczki zaczęły pracować z miękkim szmerem, czyszcząc szybę z pozostałości deszczu. Jako hołd dla pamięci Nicolasa Hulot, zapiął pasy bezpieczeństwa. Na siedzeniu obok leżał egzemplarz „Nice Matin” z tytułem na pierwszej stronie: *Prośba rządu USA o ekstradycję kapitana Ryana Mosse'a*.

Wiadomość o śmierci Nicolasa Hulot była w środku, na trzeciej stronie. Odejście prostego komisarza policji nie zasługiwało na zaszczyt pierwszej strony.

Wziął gazetę i rzucił ją z odrazą na tylne siedzenie. Włączył bieg i zanim ruszył, spojrzał instynktownie we wsteczne lustro. Jego wzrok padł na gazetę, która oparła się o fotel.

Frankowi odebrało na chwilę oddech. Nagle poczuł się jak jeden z tych wariatów, którzy uprawiają skoki na *bunjee*. Leciał w próżni i widział, jak ziemia pod nim zbliża się w zawrotnym tempie, nie mając matematycznej pewności, że elastyczna lina ma właściwą długość. Z jego wnętrza wydobyła się niema modlitwa do kogokolwiek, kto zdołałby jej wysłuchać, żeby przeczucie, które właśnie miał, nie było jednym z wielu złudzeń wywoływanych tylko przez lustro.

Myślał przez chwilę, a potem nastąpił potop. Kaskada oczekujących potwierdzenia hipotez zalała go w taki sam sposób, w jaki woda wdziera się swoją siłą w otwór w tamie, aż staje się ogromnym, rwącym potokiem. Jednak w świetle tego, co właśnie pomyślał, wiele małych niekonsekwencji znalazło nagle wyjaśnienie, wiele

lekceważonych szczegółów zyskało formę doskonale przystającą do wyznaczonego dla nich miejsca.

Wziął komórkę i wybrał numer Morellego. Kiedy tylko Claude odebrał, Frank zasypał go słowami.

- Claude, tu Frank. Jesteś sam w samochodzie?

- Tak.

- To dobrze. Jadę do domu Roby'ego Strickera. Przyjedź tam, ale nikomu nie mów ani słowa. Muszę się upewnić co do pewnej rzeczy i chciałbym, żebyś przy tym był.

- Jest jakiś problem?

- Raczej nie. Tylko podejrzenie, tak nikłe, że prawie bez znaczenia. Ale jeśli dobrze widziałem, może to oznaczać koniec całej historii.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Do zobaczenia u Strickera - uciął Frank.

Żałował teraz, że siedzi za kierownicą prywatnego samochodu, a nie wozu policyjnego z wszelkimi udogodnieniami. Ubolewał, że nie poprosił o światło migowe, które mógłby umieścić na dachu w razie potrzeby.

Jednocześnie zaczął obwiniać samego siebie. Jak mógł być tak ślepy? Jak mógł pozwolić, żeby jego osobiste uprzedzenia przeważały nad trzeźwością oceny? Zobaczył to, co chciał zobaczyć, usłyszał, co chciał usłyszeć, przyjął do wiadomości to, co było mu wygodne.

I wszyscy zapłacili tego konsekwencje. A Nicolas w pierwszej kolejności.

Gdyby popracował mózgiem, może w tej chwili Hulot jeszcze by żył, a Nikt siedziałby za kratkami więzienia.

Kiedy dotarł do Les Caravelles, Morelli czekał już przed wejściem do budynku.

Zostawił samochód na ulicy, nie przejmując się zakazem postoju. Przeszedł obok Morellego niczym wiatr między żaglami. Bez słowa inspektor wszedł za nim do środka. Podeszli do kontuaru, zza którego patrzył na nich portier z wypisanym na twarzy, wyraźnym niepokojem. Frank oparł się o marmurowy blat.

- Klucze do mieszkania Roby'ego Strickera. Policja.

To uściślenie nie było konieczne. Portier doskonale pamiętał Franka. Przelknięta ślina była tego najwyraźniejszym dowodem. Morelli pokazał odznakę i ten otworzył szeroko uchylone już wcześniej drzwi. Kiedy wjeżdżali windą, Morelli znalazł wreszcie sposób, żeby wtrącić kilka słów.

- O co chodzi, Frank?

- Chodzi o to, że jestem kretynem, Claude. Wielkim kretynem. Gdybym nie był tak bardzo zaabsorbowany głównianymi sprawami, może bym pamiętał, że jestem policjantem, i uniknęlibyśmy kolejnych tragedii.

Morelli nadal nie rozumiał. Dotarli przed drzwi opieczętoowane jeszcze przez policję. Frank niemal z gniewem zerwał cienkie taśmy z żółtego plastiku. Otworzył drzwi i weszli do mieszkania.

W powietrzu wisiało poczucie nieuchronności, które pozostaje zawsze w miejscu, gdzie popełniono zbrodnię. Rozbity obraz na podłodze, plamy na wykładzinie, ślady pracy ekipy technicznej, metaliczny zapach zakrzepłej krwi przypominały daremną ucieczkę człowieka przed śmiercią, przed ostrzem noża, przed determinacją swojego oprawcy.

Frank bez wahania skierował się do sypialni. Morelli zobaczył, jak przekracza próg i zaraz potem zatrzymuje się i obserwuje pokój. Krew z marmurowej posadzki została zmyta. Pozostawały tylko plamy na ścianach, jako jedyne świadectwo zbrodni, która dokonała się w tym pokoju.

Frank stał nieruchomo przez kilka chwil, po czym zrobił coś, co Morelli uznał za niezrozumiałe. Dwoma krokami minął łóżko i położył się na podłodze, dokładnie w takiej pozycji, w jakiej znaleziono zwłoki Strickera, a którą na marmurowych kaflach narysowali technicy przed zabraniem ciała. Leżał tak bardzo długo, ledwie poruszając głową. Podniósł wzrok przed siebie, żeby skontrolować coś, co najwyraźniej mógł dostrzec tylko z tego miejsca.

- Właśnie, psiakrew. Właśnie...

- Co właśnie, Frank?

- Głupcy, wszyscy byliśmy głupcami, a ja największym. Patrzyliśmy na rzeczy z góry, kiedy czasami odpowiedzi trzeba szukać na dole.

Morelli wciąż nie rozumiał. Frank zerwał się gwałtownie.

- Chodź. Musimy jeszcze coś sprawdzić.

- Gdzie idziemy?

- Do siedziby Radia Monte Carlo. Jeśli widziałem dobrze, ostateczna odpowiedź jest tam.

Wyszli z mieszkania. Morelli patrzył na Franka, jakby nigdy wcześniej go nie widział. Amerykanin zdawał się działać pod wpływem takiego podniecenia, którego nic na świecie nie mogło uspokoić.

Przemierzyli niemal biegiem elegancki hol budynku, rzuciwszy klucze portierowi, który zdawał się odczuwać wyraźną ulgę, widząc, że odchodzą. Wyszli na zewnątrz i wsiedli do samochodu Franka. Umundurowany funkcjonariusz z książeczką mandatów w dłoni stał już przed autem.

- Zostaw, Leduc, służba. Policjant rozpoznał Morellego.

- Ach, to pan, inspektorze. W porządku.

Zasalutował, podnosząc rękę do kepi, a tymczasem wóz ruszał już z piskiem opon i włączał się do ruchu, nie zważając nadmiernie na pierwszeństwo. Z ograniczoną prędkością skręcili w ulicę zjeżdżającą w prawo, mijając kościół Sainte-Dévote. Kiedy jechali wzdłuż portu, Frank pomyślał, że wszystko tam się zaczęło, na łodzi z trupami, która utknęła na przystani jak okręt widmo.

Jeśli dobrze rozumował, historia ta zakończy się dokładnie tam, gdzie się rozpoczęła. Koniec polowania na cienie bez twarzy. Teraz nadszedł czas polowania na ludzi jako takich, którzy mieli twarz i imię.

Przemknęli cały odcinek do Radia Monte Carlo, mieszczącego się po drugiej stronie portu, z piskiem opon na asfalcie, który wysychał już od bladego, przebijającego się między chmurami słońca.

Zostawili samochód, gdzie popadło, obok łodzi przywiązanej do pomostu w oczekiwaniu na wodowanie. Morelli zdawał się zarażony gorączką, która ogarnęła Franka. Amerykanin mówił sam do siebie, poruszając w milczeniu wargami i mrucząc zdania, które tylko on potrafił zrozumieć. Inspektor mógł tylko czekać, aż bezsensowny bełkot nabierze jakiegoś znaczenia.

Nacisnęli dzwonek i kiedy sekretarka otworzyła im drzwi, błyskawicznie znaleźli się przed wielką windą towarową, która szczęśliwie stała na parterze.

Wjechali na górę, gdzie w progu otwartych drzwi czekał na nich Bikjalo.

- Co się dzieje, Frank? Skąd wy tutaj o tej po...

Frank odepchnął go gwałtownie na bok i ruszył dalej. Morelli wzruszył ramionami, niemal jakby prosząc o wybaczenie za zachowanie Amerykanina. Frank minął stanowisko sekretarki. Raquel siedziała przy biurku, a Pierrot stał po drugiej stronie i układał w stosiki kompakty przeznaczone do archiwum. Frank zatrzymał się przy ścianie naprzeciw wejścia, gdzie za szklanymi drzwiami znajdowały się kable połączeń telefonicznych oraz łączności satelitarnej i ISDN.

Odwrócił się do Bikjalo, który śledził go wzrokiem wraz z Morellem, nic nie rozumiejąc.

- Proszę otworzyć te drzwi.

- Ale...

- Proszę robić, co panu mówię!

Frank przemawiał głosem nieznoszącym sprzeciwu. Bijką otworzył drzwi i do pomieszczenia wpadł powiew świeżego powietrza. Frank stał przez chwilę zagubiony przed tą plątaniną kabli. Wsunął rękę i zaczął przebiegać opuszkami palców pod półkami podtrzymującymi łączniki linii telefonicznych.

- Co się dzieje, Frank? Czego szukasz?

- Zaraz ci powiem, Claude. Szaleliśmy bez skutku, żeby przechwycić połączenia tego łajdaka. Nigdy by się nam to nie udało, nawet gdybyśmy próbowali całe życie, a wiesz dlaczego?...

Zdawało się, że Frank coś znalazł. Jego dłonie zatrzymały się pod jedną z półek. Zaczął ciągnąć z siłą, jakby miał wyrwać coś, co umocowane było pod metalową półką. Wreszcie się udało. Kiedy się odsunął, trzymał w ręku coś w rodzaju płaskiego, metalowego pudełka wielkości mniej więcej dwóch paczek papierosów, z którego wychodził kabel zakończony telefoniczną wtyczką. Pudełko było w całości oklejone ciemną taśmą izolacyjną. Frank pokazał je dwóm pozostałym, którzy patrzyli na niego w osłupieniu.

- Oto dlaczego nie zdołaliśmy przechwycić żadnego połączenia z zewnątrz. Ten skurwysyn nadawał stąd!

Frank mówił, wykładając swoje myśli ze zniecierpliwieniem kogoś, kto stanął nagle wobec prawdy składającej się ze zbyt wielu słów i chciałby wypowiedzieć je wszystkie naraz.

- Oto, jak to się odbyło. To nie Ryan Mosse zabił Strickera. W moim uporze tak bardzo chciałem, żeby to on był winny, że nie wziąłem pod uwagę innej ewentualności. Tymczasem Nikt, po raz kolejny, wykazał się diaboliczną przebiegłością. Podsunął nam umyślnie wskazówkę, którą można było odczytać dwojako. Mogła się odnosić niezależnie zarówno do Roby'ego Strickera, jak i Gregora Yatzimina. Po czym usadowił się spokojnie przy oknie i czekał. Kiedy zaangażowaliśmy wszystkie siły do ochrony Strickera, on poszedł bez przeszkód zabić Yatzimina. Kiedy odnaleziono ciało tancerza, a my zaniechaliśmy ochrony Strickera, żeby pognać do domu ofiary, Nikt poszedł do Les Caravelles zabić również jego.

Frank zrobił pauzę.

- To było jego prawdziwym celem. Chciał zabić Strickera i Yatzimina tej samej nocy!

Bikjalo i Morelli skamienieli.

- Kiedy zabijał Strickera, między obydwojma wywiązała się walka wręcz. W czasie bójki, niechcący, zranił go w twarz. Nikt nie wziął jego twarzy, ponieważ była okaleczona i nie nadawała się już do jego celów. Opuścił mieszkanie przekonany, że Stricker nie żyje, tymczasem ten biedak jeszcze żył i miał czas napisać krwią wiadomość...

Frank mówił, jakby wszystkie kawałki mozaiki układały się w doskonałą całość przed jego oczami w czasie, kiedy przedstawiał przebieg wypadków.

- Roby Stricker uczestniczył w nocnym życiu Monte Carlo i wybrzeża. Znał wszystkich, którzy należeli do tego świata. A więc znał też swojego zabójcę, ale być może w owej chwili, co jest zrozumiałe, nie pamiętał jego nazwiska. Wiedział jednak, kim jest i co robi...

Frank zrobił jeszcze jedną pauzę, żeby stojący przed nim przyswoili, co mówi. Podjął wyjaśnienia mniej porywczo, niemal skandując słowa.

- Spróbujmy skoncentrować się na szczegółach. Stricker leży na ziemi, śmiertelnie ranny, ze złamaną lewą ręką. Z pozycji, w której się znajduje, sam to sprawdziłem, widzi swoje odbicie w lustrach łazienki przez otwarte drzwi. Píše to, co wie, widząc swój obraz odwrócony i używając prawej ręki, której nigdy w tym celu nie używa. Jest dosyć naturalne, że napisał słowo od tyłu i, niestety, umarł, zanim zdołał je dokończyć...

Ujął ich obu za ramiona i poprowadził przed lustro naprzeciw reżyserki. Wskazał palcem czerwony napis nad ich głowami, odbity odwrotnie na gładkiej powierzchni.

- Nie chciał napisać „RYAN”, tylko „ON AIR”, sygnał oznaczający w radiu wejście na antenę! Na początku napisu znaleźliśmy niewyraźny znak i sądziliśmy, że nie ma sensu, że to gryzmoł wywołany śmiertelną drgawką. Tymczasem miał on sens. Stricker umarł, zanim dokończył literę „O”.

- Chcesz powiedzieć, że?...

Głos Morellego dochodził z miejsca, gdzie trudno jest wierzyć własnym uszom i oczom. Bikjalo podniósł ręce do twarzy i blady jak trup schował ją w dłoniach. Przejierały tylko jego niedowierzające oczy. Nacisk palców spowodował, że otworzyły się bardziej niż zwykle, podkreślając wyraz zdumienia.

- Chcę powiedzieć, że żyliśmy obok diabła, nie czując nigdy swądu siarki!

Frank pokazał trzymane w rękach pudełko.

- Zobaczycie, że kiedy zbadamy to coś, odkryjemy, że to najzwyklejszy, przestarzały odbiornik tranzystorowy, którego nigdy byśmy nie zidentyfikowali, bo nadaje na częstotliwości, której w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Nikt z nas nie pomyślałby o tak archaicznym systemie. I zobaczycie, że w środku jest timer, albo jakieś inne diabelstwo, które włączało go w ustalonym momencie. Poza tym, sygnał telefoniczny nie był odbierany, bo to coś umieszczone było przed centralą, do której podłączyliśmy się, żeby przechwytywać rozmowy. Szczegóły podadzą nam technicy, choć teraz i tak nie są już potrzebne. Nikt nadawał wcześniej nagrane teksty i łączył się z jedyną osobą, która wiedziała, jak formułować pytania albo odpowiedzi, jako że już je znała...

Frank pogrzebał w kieszeni i wyjął zdjęcie płyty Roberta Fultona.

- A oto ostateczny dowód mojej lekkomyślności. W szale zadawania pytań czasami zaczynamy śledzić zawile hipotezy, zapominając o sprawach oczywistych. To znaczy, że mózg dziecka pozostaje zawsze mózgiem dziecka, nawet kiedy mieści się w ciele dorosłego chłopca. Pierrot!

Głowa Rain Boya wychyliła się jak marionetka zza drewnianej barierki, która oddzielała biurko sekretarki od stanowiska komputerowego.

- Podejdź tu na chwilę, proszę.

Chłopiec zbliżył się chwiejnym krokiem ze swoimi wybałuszonymi oczami. Słyszał wzburzone słowa Franka, niewiele z nich rozumiejąc, ale jego ton wystraszył go. Podszedł bojaźliwie do trzech mężczyzn, jakby się bał, że to on jest powodem całego tego podniecenia i że zostanie zbesztany.

Frank pokazał mu zdjęcie.

- Pamiętasz tę płytę?

Pierrot skinął głową, jak to czynił zazwyczaj, kiedy go nagle o coś zapytano.

- Pamiętasz, jak pytałem cię, czy ta płyta jest w pokoju, a ty powiedziałeś, że nie? Powiedziałem ci jeszcze, żebyś z nikim o tym nie rozmawiał, że ma to być nasza tajemnica. Teraz o coś cię zapytam i musisz powiedzieć mi prawdę...

Frank dał Pierrotowi czas, żeby przyswoił to, o co go pyta.

- Czy powiedziałeś komuś o tej płycie?

Pierrot spuścił nagle oczy na ziemię i milczał. Frank powtórzył pytanie.

- Czy komuś o niej powiedziałeś, Pierrot?

Głos Pierrota zdawał się dochodzić z miejsca pod ziemią, dokładnie spod stóp, w które teraz się wpatrywał.

- Tak.

Frank położył mu rękę na włosach.

- Komu o niej powiedziałaś?

Chłopiec podniósł twarz. Jego oczy były mokre od łez.

- Nikomu nie mówiłem, przysięgam.

Zrobił pauzę, błędząc wystraszonymi oczami po twarzach trzech mężczyzn, którzy patrzyli na niego w milczeniu.

- Tylko Jean-Loup...

Frank popatrzył na Bikjalo i Morellego. Na jego twarzy malował się pomieszany wyraz żalu i triumfu.

- Panowie, czy wam się to podoba, czy nie, Nikt to Jean-Loup Verdier!

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, która mogła się zdawać wiecznością.

Zza szyby reżyserki widać było Luisellę Berrino, didżejkę prowadzącą właśnie swój program, która siedziała przed mikrofonem jak przed oknem otwartym na świat. Natomiast na zewnątrz rozciągał się przed oczami port. Na niebie powracało słońce, rzucając swe promienie na ludzi, ociekające jeszcze deszczem drzewa, łodzie przy przystani i na całe miasto. Przestrzeń wypełniona była słowami, uśmiechami, muzyką, mężczyznami prowadzącymi samochody, prasującymi kobietami, urzędnikami siedzącymi przy biurkach, kochającymi się parami, uczącą się młodzieżą.

A tam, w tym pokoju, wydawało się, że brakuje powietrza, światło słoneczne było beznadziejnym wspomnieniem, uśmiech cennym dobrem utraconym na zawsze.

Pierwszy otrząsnął się Morelli. Chwycił komórkę i wybrał gorączkowo numer centrali.

- Halo, tu Morelli. Mamy kod 11, powtarzam, kod 11, miejsce: Beausoleil, dom Jean-Loup Verdiera. Zawiadom Roncaille'a i powiedz mu, że obiekt to Nikt. Zrozumiałeś? On będzie wiedział, co robić. I skontaktuj się natychmiast z samochodem służbowym stojącym pod domem...

Bikjalo skulił się na krześle przed jednym ze stanowisk komputerowych. Wyglądał, jakby przybyło mu sto lat. Prawdopodobnie myślał o wszystkich chwilach, kiedy przebywał sam na sam z Jean-Loup Verdierem, nie podejrzewając, że znajduje się w towarzystwie mordercy o nieludzkim okrucieństwie. Przechadzając się wte i

wewte po pokoju, jak lew w klatce, Frank miał nadzieję, że nie myśli on w tej chwili o końcu sukcesów „Voices”.

Wreszcie połączenie radiowe zostało nawiązane.

- Tu Morelli. Kim jesteś i kto jest tam z tobą?

Otrzymał odpowiedź i na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi. Prawdopodobnie chodziło o funkcjonariuszy, którzy sprostają według niego krytycznej sytuacji.

- Verdier jest w domu?

Począł na odpowiedź. Jego szczęki zacisnęły się.

- Sorel jest z nim w domu? Jesteś pewien? Znowu chwila oczekiwania na słowa z drugiej strony.

- To bez znaczenia. Posłuchaj dobrze, co ci powiem. Bez komentarzy. Nikt to Jean-Loup Verdier. Powtarzam: Nikt to Jean-Loup Verdier. Nie ma potrzeby, żebym ci przypominał, jak może być niebezpieczny. Wywołaj Sorela na zewnątrz pod byle jakim pretekstem. Zostawcie go samego, ale za wszelką cenę zatrzymajcie w domu. Ustawcie się tak, żeby mieć pod kontrolą wszystkie miejsca, ale nie zdradzając, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Jedziemy tam z posiłkami. Nie róbcie nic, dopóki nie przyjedziemy. Zrozumiano? Nic a nic.

Morelli wyłączył telefon. Frank czekał jak na rozżarzonych węglach.

- Idziemy.

Błyskawicznie dotarli do wyjścia. Widząc, że zbliżają się do drzwi, Raquel nacisnęła przycisk otwierający zamek. Kiedy mieli już wychodzić, usłyszeli podniecony głos Pierrota dobiegający zza przeszklonych drzwi biura obok wejścia. Nagła myśl przyszła Frankowi do głowy i poczuł, że umiera.

Nie, powiedział sam do siebie, nie teraz, głupi chłopcze, nie teraz. Nie mów mi, że twoja niemądra dobroć zgubiła nas...

Pchnął przeszklone drzwi i stanął jak skamieniały w progu. Obok stołu stał Pierrot z twarzą zalaną łzami i rozmawiał przez telefon, szlochając.

- Tutaj mówią, że to ty jesteś złym człowiekiem, Jean-Loup. Powiedz, że to nieprawda, proszę, powiedz, że to nieprawda.

Jednym skokiem Frank był obok niego i wyrwał mu słuchawkę z ręki. Podniósł ją do ucha.

- Halo, Jean-Loup, tu Frank, słyszysz mnie...

Po drugiej stronie zaległa na chwilę cisza, po czym Frank usłyszał wyraźne kliknięcie przerwane połączenia. Pierrot usiadł na krześle i dalej zalewał się łzami. Frank odwrócił się do Morellego.

- Claude, ilu ludzi jest przed domem Jean-Loup'a?

- Trzech, dwaj na zewnątrz i jeden w środku.

- Stopień wykształcenia?

- Doskonały.

- Dobrze. Zadzwoń do nich natychmiast i przedstaw sytuację. Powiedz, że obiekt został uprzedzony. Funkcjonariusz w środku znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Niech wejdą do domu z największą ostrożnością i w razie konieczności użyją broni. I żeby nie strzelali tylko po to, żeby zranić, jasne? My teraz możemy tylko pędzić i mieć nadzieję, że nie będzie za późno.

Frank i Morelli wyszli z pokoju, zostawiając za sobą osłupiałych w milczeniu Bikjalo i Raquel.

Biedny Pierrot wciąż siedział na krześle jak kukła i płakał z oczami wbitymi w podłogę, nad rozbitymi skorupami swojego idola.

Dziesiąty karnawał

Mężczyzna odkłada powoli słuchawkę, nie przejmując się głosem gniewnym i jednocześnie błagalnym, który z niej dociera. Uśmiecha się słodko.

Chwila, na którą czekał, wreszcie nadeszła. Na swój sposób odczuwa ulgę i wyzwolenie. Skończył się czas bezszelestnych kroków wzdłuż murów pod skrzętną osłoną cienia. Teraz nastąpi - nieważne, ile będzie trwać - komfort słonecznego światła, jego ciepła na odsłoniętej twarzy. Mężczyzna wcale nie jest zaniepokojony, po prostu jest czujny jak nigdy dotąd. A przecież od tej chwili będzie miał setki wrogów, wiele więcej od tych, którzy dotąd na niego polowali.

Jego uśmiech rozszerza się.

Wszystko będzie daremne, nigdy go nie złapią. Długie godziny ćwiczeń z przeszłości, narzuconych mu jako niezłomny obowiązek, wryły się w jego głowę niczym wypalony znak na plecach niewolnika.

Dobrze, proszę pana! Oczywiście, proszę pana! Znam sto sposobów zabicia człowieka, proszę pana. Najlepszym nieprzyjacielem jest ten, który się poddaje, proszę pana. Najlepszym nieprzyjacielem jest martwy nieprzyjaciel, proszę pana...

Nagle powraca w pamięci władczy głos człowieka, który zmuszał ich, by zwracali się do niego właśnie w ten sposób, „proszę pana”, jego rozkazy, jego kary, żelazna pięść, która kierowała każdą chwilą ich życia.

Jak w filmie odnajduje obrazy ich poniżenia, wyczerpania, krople deszczu na ich drżących z zimna ciałach, zamknięte drzwi, coraz mniejsza smuga światła na ich twarzach pogrążających się w ciemności, szcęk klucza w zamku, pragnienie, głód.

I strach, ich jedyny prawdziwy, stały towarzysz, pozbawiony pociechy niesionej przez łzy. Nigdy nie byli dziećmi, nigdy nie byli chłopcami, nigdy nie byli mężczyznami: zawsze i tylko żołnierzami.

Pamięta oczy i twarz tego twardego i nieugiętego człowieka, który dla nich reprezentował terror. A przecież, kiedy to wszystko się wydarzyło, owej błogosławionej nocy, było zadziwiająco łatwo go pokonać. Młode ciało okazało się doskonałą maszyną bojową, dzięki jego własnym naukom. Ciało drugiego mężczyzny było ociężałe od wieku i niedowierzania, nie mogło już rywalizować z siłą i dzikością młodego, którego on sam stwarzał i wzmacniał dzień po dniu.

Zaskoczył go, kiedy ten słuchał z przymkniętymi oczami swojej ulubionej płyty *Stolen Music* Roberta Fultona. Muzyki oznaczającej dla starego przyjemność, dla młodego bunt. Przytrzymał go chwytem za gardło, silnym jak imadło kowala. Usłyszał trzask jego kości i zdziwił się, odkrywając, że poza wszystkim to tylko człowiek.

Pamięta, jakby to było teraz, jego pytanie zadane głosem nieprzestraszonym, ale po prostu zdumionym, kiedy poczuł chłód lufy pistoletu przystawionej do jego skroni.

Co robisz, żołnierzu?

Pamięta własną odpowiedź, stanowczą, jasną i mimo wszystko zimną, w owym podniosłym momencie buntu, w chwili kiedy wszystkie krzywdy i niesprawiedliwości miały zostać wyrównane.

To, czego mnie pan nauczył. Ja zabijam, proszę pana!

Kiedy pociągnął za spust, żałował jedynie, że może go zabić tylko raz.

Uśmiech gaśnie na twarzy mężczyzny, który stracił imię pożyczone dawno temu, żeby znów stać się tylko i wyłącznie kimś i nikim. Teraz imiona nie są już potrzebne, są tylko ludzie i role, do których zostali powołani. Człowiek, który ucieka, i człowiek, który goni, człowiek silny i człowiek słaby, człowiek, który wie, i ten, który nie wie.

Człowiek, który zabija, i człowiek, który umiera...

Odwraca się, żeby popatrzeć na pokój, w którym się znajduje. Plecami do niego, na kanapie, siedzi mężczyzna w mundurze. Widzi jego kark nad oparciem, linię krótko ostrzyżonych włosów na pochylonej głowie, kiedy przygląda się stercie płyt kompaktowych ustawionych na niskim stoliku przed kanapą.

Z włączonego stereo płyną dźwięki gitary akustycznej Johna Hammonda. W powietrzu unosi się przejmujący blues, brzmienie przypominające krętą deltę Missisipi, senne rozleniwienie letnich popołudni, świat przeniknięty wilgocią i brzęczeniem komarów, tak odległy, że można się obawiać, czy nie jest zmyśleniem, czy może wcale nie istnieje.

Mężczyzna w mundurze wszedł do domu pod byle jakim pretekstem, znudzony zadaniem, które być może uznaje za zbędne, pozostawiając dwóch innych na ulicy, owładniętych taką samą nudą i takim samym przekonaniem. Zafascynowała go ilość płyt, jaką zobaczył na półkach, i zaczął rozmawiać o muzyce z domniemaną kompetencją, która nie znajdowała odbicia w jego słowach.

Teraz stojący mężczyzna wpatruje się jak zahipnotyzowany w bezbronną szyję mężczyzny siedzącego na kanapie.

Siedź dalej i słuchaj muzyki. Muzyka nie zdradza. Muzyka jest jednocześnie podróżą i celem podróży. Muzyka jest początkiem i końcem wszystkiego.

Mężczyzna otwiera powoli szufladę szafki, na której stoi telefon. W środku leży nóż, ostry jak brzytwa. Ostrze odbija światło wpadające przez okno, kiedy mężczyzna ujmuje jego rękojęć i zaczyna zbliżać się do siedzącego tyłem mężczyzny.

Jego pochylona głowa porusza się powoli w rytm muzyki. Przymknięte usta wydają jęk, który zgodnie z jego zamiarem, miałby być akompaniamentem dla głosu bluesmana.

Kiedy zasłania mu usta ręką, jęk staje się bardziej przenikliwy, przestaje być próbą śpiewu, żeby stać się niemym chórem zdziwienia i strachu.

Muzyka jest końcem wszystkiego...

Kiedy podrzyna mu gardło, wytryskuje z niego tak silny bryzg, że chlusta aż na stereo. Nieżywe ciało mężczyzny w mundurze osuwa się, jego głowa opada na bok.

Od strony wejścia do domu docierają jakieś hałasy. Są to kroki mężczyzn, które zbliżają się ostrożnie, ale jego czujne i wyćwiczone zmysły bardziej je nawet wyczuły, niż naprawdę usłyszały.

Kiedy wyciera ostrze noża o oparcie kanapy, mężczyzna znowu się uśmiecha.

Blues, melancholijny i obojętny, wciąż sączy się z głośników, pokrytych nienawiścią i krwią.

Frank i Morelli wyjechali z Rascasse, na pełnej prędkości wpadli na bulwar Alberta Premier i znaleźli się w szeregu samochodów, które nadjeżdżały z rue Suffren Raymond z włączonymi syrenami. Poza wozami policyjnymi, była tam też granatowa furgonetka z przydymionymi szybami, w której siedzieli funkcjonariusze jednostki interwencyjnej w mundurach bojowych.

Frank mimo woli zmuszony był podziwiać skuteczność Sûreté Publique z Monako. Minęło niewiele minut, odkąd Morelli wszczął alarm, a machina ruszyła z zadziwiającą szybkością.

Skręcili w prawo na początku wjazdu Sainte-Dévote i ruszyli wzdłuż portu, żeby wjechać do tunelu. Była to mniej więcej trasa Grand Prix w odwrotnym kierunku. Frank pomyślał, że nigdy żaden rajdowiec nie pokonałby jej z większą motywacją.

Wystrzelili z tunelu jak kule armatnie i zostawili za sobą plaże Larvotto, żeby minąć Country Club i jechać dalej ulicą w górę, w stronę Beausoleil.

Frank widział niewyraźnie odwracające się twarze ciekawskich, patrzących na ich przejazd. Tak duża liczba samochodów interwencyjnych jednocześnie nie była częstym widokiem na ulicach Monte Carlo. W całej historii miasta sytuacje, kiedy popełniono zbrodnię, która wymagałaby podobnej mobilizacji sił, można było policzyć na palcach jednej ręki, również ze względu na sam układ miasta. Monte Carlo składa się właściwie tylko z jednej ulicy wjazdowej i jednej wyjazdowej, bardzo łatwych do zamknięcia z obydwu stron. Nikt odrobinę tylko myślący nie wpędziłby się w tego rodzaju pułapkę.

Na dźwięk syren prywatne samochody zatrzymywały się posłusznie, żeby przepuścić wozy służbowe. Mimo prędkości, z jaką się przemieszczali, Frankowi zdawało się, że wloką się w ślimaczym tempie.

Chciałby umieć latać, chciałby...

Radio na tablicy rozdzielczej zatrzeszczało. Morelli wychylił się, żeby podnieść mikrofon.

- Morelli.

W samochodzie rozległ się głos Roncaille'a.

- Tu Roncaille. Gdzie jesteście?

- Za wami, dyrektorze. Jestem z Frankiem Octobre, jedziemy za wami.

Frank lekko się uśmiechnął, słysząc, że szef policji osobiście znajduje się w jednym z wyprzedzających ich samochodów. Za nic na świecie ten człowiek nie przegapiłby okazji, żeby być obecny przy aresztowaniu Nikogo. Zastanawiał się, czy Durand też jedzie w tym wozie. Prawdopodobnie nie. Roncaille nie był głupi. Gdyby tylko mógł, nie dzieliłby się z nikim zasługą w schwytaniu mordercy, o którym mówiło pół Europy.

- Pan też mnie słyszy, Frank?

- Tak, słyszy. Prowadzi, ale słyszy pana. To on odkrył tożsamość Nikogo.

Morelli poczuł się w obowiązku potwierdzić rzeczywiste zasługi Franka w związku z ich szaleńczym pędem do domu Jean-Loup Verdiera. Potem zrobił coś, o co Frank nigdy by go nie podejrzewał. Wciąż trzymając mikrofon przy ustach lewą ręką, pokazał środkowy palec prawej dłoni odbierającemu, w tym samym momencie, w którym głos Roncaille'a wydobywał się również z głośników.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Jadą też ludzie z Mentony. Musiałem ich uprzedzić, bo dom Jean-Loup'a jest we Francji i podlega ich jurysdykcji. Potrzebna nam ich obecność, żeby zatwierdzić aresztowanie. Nie chcę, żeby jakiś adwokacina mógł pod byle pretekstem rzucać nam kłody pod nogi w chwili procesu... Frank, słyszy mnie pan?

Frank wziął mikrofon od Morellego i jechał dalej, trzymając kierownicę jedną ręką.

- Słucham, Roncaille.

- Mam wielką nadzieję, że względu na nas wszystkich, że wie pan, co robi.

- Proszę być spokojnym, są wystarczające dowody, aby mieć pewność, że chodzi właśnie o niego.

- Po ostatnich wydarzeniach, jeszcze jeden fałszywy krok byłby z naszej strony niedopuszczalny.

Oczywiście, szczególnie teraz, kiedy pierwszym nazwiskiem na liście do odstrzału jest twoje...

Niepokój dyrektora zdawał się na tym nie kończyć. Przebijał się w jego głosie, lekko zniekształconym przez odbiornik radiowy.

- Jest jedna rzecz, Frank, której nie potrafię sobie wytłumaczyć.

- Tylko jedna?

- Jak ten człowiek zdołał popełnić te wszystkie zbrodnie, jeśli był praktycznie zabarykadowany w domu pod stałą kontrolą naszych funkcjonariuszy?

Frank też się nad tym zastanawiał i udzielił Roncaille'owi tej samej odpowiedzi co sobie.

- Jest to szczegół, którego nie potrafię wyjaśnić. Myślę, że będzie to musiał zrobić on sam, gdy wreszcie go złapiemy.

Kiedy toczyła się rozmowa, dojechali praktycznie do domu Jean-Loup'a. Frank uważał za bardzo zły znak, że nie nawiązali jeszcze żadnego kontaktu z funkcjonariuszami z wozu służbowego stojącego na miejscu. Jeśli wkroczyli do akcji, powinni donieść już o wynikach swoich działań.

Nie podzielił się swoim niepokojem z Morellem, który nie będąc głupcem, prawdopodobnie sam już do tego doszedł.

W rekordowym czasie zatrzymali się przed bramą wjazdową do domu Jean-Loup'a, jednocześnie z samochodem komisariatu w Mentonie. Frank zauważył, że na miejscu nie ma dziennikarzy, i w innych okolicznościach wzbudziłoby to jego rozbawienie. Koczowali bez rezultatu pod tym domem jeszcze do niedawna, żeby przerwać oblężenie właśnie w chwili, kiedy mieliby soczystą jak befsztyk historię, w którą mogliby wbić swoje zęby.

Na pewno teraz zaczną masowo napływać, ale zostaną zatrzymani przez wozy policyjne, które ustawiły się tak, żeby utworzyć blokady na ulicy w obu kierunkach. Niektórzy funkcjonariusze zajęli już pozycje niżej, na wysokości domu Heleny, tak żeby odciąć jakąkolwiek możliwość ucieczki po stromym zjeździe, prowadzącym w stronę wybrzeża i morza.

Granatowa furgonetka nie zdążyła się jeszcze całkowicie zatrzymać, a już otworzyły się tylne drzwi. Tuzin ludzi z jednostki interwencyjnej w granatowych kombinezonach, w kaskach i kuloodpornych kamizelkach, z karabinami M-16, wyskoczyło, gotowych do wejścia do domu.

Wóz funkcjonariuszy na służbie stał zaparkowany przed bramą, pusty, z zamkniętymi, ale niezablokowanymi drzwiami. Sam Roncaille podszedł, żeby spróbować je otworzyć. Frank miał złe przeczucie. Bardzo złe przeczucie.

- Spróbuj do nich zadzwonić - powiedział Morellemu. Inspektor skinął głową, a tymczasem podchodził do nich Roncaille. Frank zobaczył, że z samochodu, którym przyjechał szef policji, wysiada również doktor Cluny. Roncaille nie był poza wszystkim tak nieprzezorny, jak się zdawało. W przypadku wzięcia zakładników i negocjacji, jego obecność byłaby bardzo przydatna. Morelli zaczął bez skutku dzwonić do funkcjonariuszy, po chwili zaś stanął przed nim Roncaille.

- Co robimy?

- Funkcjonariusze nie odpowiadają i nie jest to dobry znak. Ja w tej sytuacji wprowadziłbym do akcji oddział.

Roncaille odwrócił się i skinął na dowódcę grupy szturmowej, który czekał na instrukcje, stojąc na środku ulicy. Mężczyzna wydał rozkaz i wszystko potoczyło się błyskawicznie. W jednej chwili jego ludzie rozproszyli się i znikli z pola widzenia.

Mężczyzna w cywilu, raczej młody, z początkami łysiny i niezgrabnym chodem koszykarza, wysiadł z wozu policji z Mentony i podszedł do nich. Frankowi zdawało się, że już go widział, zagubionego w tłumie na pogrzebie Nicolasa. Mężczyzna wyciągnął do nich rękę.

- Dobry wieczór. Komisarz Roberts z wydziału zabójstw w Mentonie.

Obydwaj uściśnieli wyciągniętą dłoń, a Frank zastanawiał się, gdzie słyszał już to nazwisko. Po chwili przypomniał sobie. Był to policjant, z którym Nicolas rozmawiał w wieczór zabójstwa Roby'ego Strickera i Gregora Yatzimina. To on pojechał sprawdzić telefon, który okazał się potem fałszywym alarmem.

- Co się dzieje? Wszystko w porządku? - zapytał Roberts, odwracając się, żeby spojrzeć na dach domu, wynurzający się spomiędzy cyprysów.

Frank pomyślał o zalanej łzami twarzy Pierrota, o jego mózgu naiwnego dziecka, który najpierw im pomógł, a potem w jednej chwili zniszczył wszystko, co zbudowali z trudem i za cenę ludzkich istnień. Chciałby krzyknąć i skłamać, ale zmusił swój głos do prawdy i spokoju.

- Obawiam się, że nie. Niestety, podejrzany został zaalarmowany i zaskoczenie przepadło. W środku są trzej funkcjonariusze, którzy nie odpowiadają przez radio i o których nic nie wiemy.

- Hmm, brzydka sprawa. Ale trzech na jednego, zdaje się... Słowa Roberta zostały przerwane trzaskiem przenośnego radia, które Morelli trzymał w ręku. Inspektor odpowiedział pospiesznie, podchodząc do grupy.

- Tak.

- Tu Gavin. Jesteśmy w środku. Przetrzęsaliśmy całe mieszkanie. Teraz jest bezpiecznie, ale była tu rzeź. Trzech funkcjonariuszy nie żyje, a poza zwłokami w domu nie ma nikogo.

Sala, w której odbywała się konferencja prasowa była wypełniona po brzegi. Przewidując taki masowy napływ przedstawicieli mediów, zorganizowano ją w audytorium, w sali Centrum Kongresowego, a nie w siedzibie policji przy rue Notari, gdzie nie było odpowiednich warunków, żeby pomieścić wszystkich tych ludzi.

Przy długim stole, przykrytym zielonym sukniem, siedzieli Durand, Roncaille, doktor Cluny i Frank, z mikrofonami na statywach przed sobą. Reprezentowane były wszystkie strony zaangażowane w śledztwo. Naprzeciw nich, w rzędach plastikowych krzeseł ustawionych równo w sali, siedzieli przedstawiciele mediów: prasy, radia i telewizji.

Franka śmieszyło to widowisko, ale prestiż Księstwa Monako oraz Stanów Zjednoczonych, które on reprezentował jako agent FBI, czyniły je koniecznością.

Mało ważne, że Nikt, czyli Jean-Loup Verdier, był jeszcze ptaszkiem na wolności. Mało ważne, że po wejściu do jego domu nie było go tam, natomiast znaleziono Sorela z poderżniętym gardłem niczym ofiarne jagnię. Dwaj pozostali, Gambetta i Megène, zabici zostali strzałem z pistoletu, który okazał się tą samą bronią, od której zginął Gregor Yatzimin.

Ubi major, minor cessât.

Pewne kłopotliwe szczegóły nie mogły zostać ujawnione, ukryte za przezornym parawanem tajemnicy śledztwa. Należało natomiast podkreślać sukces odkrycia mordercy, błyskotliwą operację połączonych sił policji Monako i FBI, diaboliczną przebiegłość przestępcy, która okazała się bezradna wobec możliwości i nieugiętej determinacji śledczych, którzy go w końcu zdemaskowali, itd., itd...

Zamaskowana za tymi „itd. „ była ucieczka mordercy, wynikła z nieprzewidywalnych wydarzeń, oraz jego aktualna kryjówka. W każdym razie, złapanie odpowiedzialnego za te straszliwe zbrodnie było kwestią godzin. Wszystkie

police europejskie były w stanie pogotowia i w każdej chwili spodziewano się wiadomości o aresztowaniu.

Frank podziwiał zręczność, z jaką Roncaille i Durand potrafili wyplątać się z tej piekielnej wrzawy pytań, wystawiając się przed światła reflektorów, kiedy była taka możliwość, i szukając sprytnie innego światła, kiedy ktoś spychał ich w cień.

Żaden z nich nie poświęcił nawet jednego słowa komisarzowi Nicolasowi Hulot. Frank obejrzał jeszcze raz zdjęcia z wypadku, rozbity samochód, ciało przyjaciela leżące na kierownicy, jego biedną twarz *enfant terrible* pokrytą krwią. Wsunął rękę do kieszeni marynarki i ścisnął kartkę, którą miał w środku. Przeszukując kawałek po kawałku dom Jean-Loup Verdiera, szukając jakiegoś śladu dotyczącego jego ucieczki, znalazł banalny kwitek mandatu za przekroczenie szybkości, wystawiony przez patrol drogówki. Rejestracja należała do samochodu wypożyczonego w Avisie. Data pokrywała się z dniem śmierci Nicolasa, a miejscowość, gdzie popełniono wykroczenie, leżała w pobliżu miejsca wypadku.

Frank odtworzył ruchy Jean-Loup'a dzięki temu prostemu dowodowi i słowom tego, który mimo woli okazał się nieumyślnym, ale skutecznym współnikiem: Pierrota.

Tajemnica, do której go zobowiązał jako honorowego policjanta, obejmowała najwyraźniej wszystkich poza jego wielkim przyjacielem, Jean-Loup'em. Właśnie jemu i tylko jemu, jak na ironię, zwierzył się, że Frank pytał go o płytę niejakiego Roberta Fultona. W ten sposób Jean-Loup zrozumiał, że popełnił błąd, i ruszył w ślad za Nicolasem podróżującym w poszukiwaniu tego, co ta płyta mogła wyjaśnić.

Frank powtórzył krok po kroku trasę, którą odbył komisarz, i dowiedział się wszystkiego, czego można się było dowiedzieć, to znaczy, że Hulot na długo przed nimi zdołał odkryć tożsamość mordercy. I dlatego zginął.

Głos Roncaille'a wyrwał go z tych rozmyślań.

-... dlatego oddałbym głos człowiekowi, któremu udało się dać nazwisko i twarz seryjnemu mordercy znanemu jako Nikt. Agentowi specjalnemu FBI, Frankowi Ottobre.

Nie było braw, tylko bezładny las podniesionych rąk. Roncaille wskazał rudowłosego dziennikarza siedzącego w pierwszym rzędzie. Frank rozpoznał go i przygotował się na strzały jego pytań. Ten wstał i przedstawił się.

- René Coletti, „France Soir”. Panie Ottobre, czy udało się wam ustalić powody, dla których Jean-Paul Verdier dokonywał okaleczeń na twarzach swoich ofiar?

Frank powstrzymał się od uśmiechu, zastanawiając się nad narcyzmem tej dialektycznej ewolucji.

Jeśli takie są reguły gry, ja też umiem w to grać.

Frank oparł się na krześle.

- To jest pytanie, na które w dużo bardziej kompetentny sposób będzie mógł odpowiedzieć doktor Cluny. Mogę was jednak uprzedzić, że do tej pory nie jesteśmy w stanie podać wyczerpującej motywacji przebiegu zbrodni. Jak już powiedział dyrektor Roncaille, wiele szczegółów dochodzenia jest jeszcze w fazie ustalania i stanowią część tajemnicy śledztwa. Jednak niektóre z tych elementów są już stanem faktycznym, z którym możemy was zapoznać.

Frank zrobił pauzę dla wzmożenia efektu. Pomyślał, że doktor Cluny będzie z niego dumny.

- Takie pewniki wynikają z pracy wykonanej poprzednio przez komisarza Nicolasa Hulot, na której oparłem się, ustalając tożsamość Nikogo. Komisarz, dzięki błędowi popełnionemu przez mordercę w trakcie zabójstwa Allena Yoshidy, zdołał dotrzeć do niewyjaśnionego zdarzenia, jakie miało miejsce wiele lat temu w Cassis, w Prowansji, do krwawego epizodu, w którego wyniku zginęła cała rodzina. Sprawa zamknięta została dosyć pośpiesznie z kwalifikacją podwójnego morderstwa i samobójstwa, hipotezy, która teraz zostanie jeszcze raz szczegółowo rozpatrzona. Mogę wam powiedzieć, że jedna z ofiar miała twarz okaleczoną dokładnie w taki sam sposób jak ofiary Nikogo.

Przez salę przebiegł szmer. Podniosły się kolejne ręce. Młoda, inteligentnie wyglądająca dziennikarka wstała, uprzedzając pozostałych.

- Laura Schubert. „Le Figaro”.

Frank oddał jej głos skinieniem głowy.

- Ale czy komisarz Hulot nie został odsunięty od sprawy?

Kątem oka Frank zobaczył, że Durand i Roncaille sztywnieją. Skierował do dziewczyny uśmiech kogoś, kto za chwilę poda inną wersję wydarzeń, tę prawdziwą.

Macie w dupę, skurwysyny!

- To nie jest zupełnie ściśle, proszę pani. Była to pod pewnymi względami swobodna interpretacja prasy dotycząca oświadczeń, które nigdy nie napomknęły o takiej ewentualności. Komisarz Hulot odłączył się po prostu od dalszego śledztwa tutaj, w Monte Carlo, żeby podążać dyskretnie tropem, na który sam wpadł. Jak łatwo sobie wyobrazić, szczegół ten nie został ujawniony z wielu powodów. I niestety, muszę

was z bólem zawiadomić, że jego sprawność w śledztwie stała się przyczyną jego śmierci, która nie nastąpiła w wyniku wypadku drogowego. Chodziło o kolejne morderstwo popełnione przez Nikogo, który widząc, że został zdemaskowany, odsłonił się w celu samoobrony. Powtarzam wam, że zasłużonym w identyfikacji odpowiedzialnego za te wszystkie zbrodnie jest komisarz Nicolas Hulot, który przyplacił to własnym życiem.

Przez salę przeszedł lekki pomruk. Historia ta nie całkiem trzymała się kupy, ale przyniosła znakomity efekt. Była to sprawa do opisanie i dziennikarze na pewno ją podchwycą. Frankowi to wystarczało. Durand i Roncaille byli oszołomieni, ale natychmiast przybrali wyraz „dobrej miny do złej gry”. Morelli, stojący z założonymi rękami pod boczną ścianą sali, pokazał mu spod łokcia pięść z kciukiem podniesionym do góry.

Dziennikarz mówiący po francusku z silnym akcentem włoskim podniósł się i zadał kolejne pytanie.

- Marco Franti. „Corriere della Sera”, Mediolan. Czy może nam pan powiedzieć coś więcej na temat sprawy komisarza Hulot i jego odkryć w Cassis?

- Powtarzam panu, że dochodzenie w tym kierunku jeszcze trwa i jest dalekie od zakończenia. Jestem w stanie przytoczyć tylko hipotezy, które mogłyby zostać obalone przez fakty. Jedną rzecz mogę uprzedzić z dużym domniemaniem prawdy. Staramy się nadać Nikomu jego prawdziwe nazwisko, jako że uważamy, iż Jean-Loup Verdier również nie jest tym autentycznym. Poszukiwania przeprowadzone na cmentarzu w Cassis, idąc śladami komisarza Hulot, ujawniły, że Jean-Loup Verdier to nazwisko chłopca, który utonął w morzu podczas nurkowania, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy miał miejsce krwawy epizod, o którym mówiłem wam wcześniej. Byłby to co najmniej podejrzany przypadek zbieżności imienia i nazwiska, biorąc pod uwagę, że grób chłopca znajduje się niewiele metrów od grobów ofiar.

Inny dziennikarz podniósł rękę i zadał swoje pytanie, nawet się nie podnosząc. Jakimś cudem udało mu się przekrzyczeć ogólną wrzawę.

- A co może nam pan powiedzieć na temat kapitana Ryana Mosse'a?

W czasie, kiedy do Franka docierało pytanie, nagle zapadła absolutna cisza. Był to palący aspekt całej tej sprawy. Frank spojrział uważnie na dziennikarza, który go poruszył, po czym przebiegł wzrokiem po wszystkich obecnych.

- W sprawie kapitana Ryana Mosse'a, który został już zwolniony, to ja popełniłem karygodny błąd. Nie szukam wykrętów ani okoliczności łagodzących w

postaci poszlak, które wydawały się tak wyraźne i liczne, żeby oskarżyć go bez cienia wątpliwości o zabójstwo Roby'ego Strickera. Niestety, może się czasami zdarzyć, że w trakcie skomplikowanego śledztwa, jakie właśnie trwa, wplątane w nie zostają również osoby niewinne. To jednak nie może i nie powinno być usprawiedliwieniem. Przyznaję, że był to błąd, za który tylko ja odpowiadam i gotów jestem ponieść konsekwencje, zwalniając kogokolwiek innego z wszelkich możliwych zarzutów. Teraz, jeśli zechcecie mi wybaczyć... Frank wstał.

- Niestety, wraz z siłami policji jestem wciąż zaangażowany w pościg za bardzo groźnym mordercą. Myślę, że pan Durand, dyrektor Roncaille i doktor Cluny chętnie odpowiedzą na wasze pozostałe pytania.

Frank odszedł od stołu, zbliżył się do ściany, przy której stał Morelli, i znikł za bocznymi drzwiami. Znalazł się na szerokim, półokrągłym korytarzu, otaczającym salę, w której odbywała się konferencja. Kilka chwil potem dogonił go inspektor.

- Byłeś wielki, Frank. Zapłacę każdą cenę za zdjęcia twarzy Roncaille'a i Duranda, kiedy powiedzialesz te rzeczy na temat komisarza Hulot. Pokażę je moim siostrzeńcom jako dowód na istnienie Boga. A teraz...

Hałas kroków przerwał słowa Morellego. Spojrzenie inspektora zatrzymało się na kimś za plecami Franka.

- A więc, znów się spotykamy, mister Ottobre...

Frank rozpoznał ten ton i ten głos. Odwrócił się i natknął na beznamienne oczy kapitana Ryan'a Mosse'a i na tego nikkzemnika, generała Nathana Parkera. Morelli natychmiast stanął obok niego. Frank poczuł jego obecność i był mu za to wdzięczny.

- Jakiś problem, Frank?

- Nie, Claude, żadnego problemu. Myślę, że możesz odejść, prawda, generale?

Głos Parkera był zimniejszy od lodów Antarktydy.

- Oczywiście, żadnego problemu. Jeśli zechce nam pan wybaczyć, inspektorze...

Morelli oddalił się nie całkiem przekonany. Frank słyszał dźwięk jego kroków na posadzce korytarza. Nathan Parker i Mosse milczeli, dopóki nie skręcił za róg i kroki ostatecznie nie ucichły.

Pierwszy odezwał się Parker.

- A więc udało się panu, co, Frank? Odkrył pan swojego mordercę. Jest pan bardzo rzutkim człowiekiem.

- To samo można powiedzieć o panu, generale, choć nie ze wszystkich swoich posunięć może być pan dumny. Jeśli to pana zainteresuje, Helena wszystko mi powiedziała. Stary żołnierz nie mrugnął okiem.

- Mnie również powiedziała wszystko. Długo opowiadała mi o pana bardzo męskiej umiejętności wykorzystywania kobiety nie w pełni władz umysłowych. Sądzę, że popełnił pan serię poważnych błędów, kiedy zabawiał się pan w nieustraszonego rycerza bez skazy. Jeśli dobrze pamiętam, uprzedzałem pana, żeby nie stawał mi pan na drodze, ale pan nie chciał słuchać.

- Jest pan istotą godną najwyższej pogardy, generale Parker, i ja pana zniszczę.

Ryan Mosse zrobił krok naprzód. Generał powstrzymał go gestem ręki. Uśmiechnął się z perfidią węża.

- Jest pan nieudacznikiem i jak każdy nieudacznik ma pan także złudzenia, mister Ottobre. Pan nie jest człowiekiem, tylko po prostu jego marnymi resztkami. Mogę pana powalić jednym podskokiem i nie będę potem musiał nawet otrzepać spodni. Niech pan posłucha, co powiem...

Zbliżył się tak, że Frank czuł ciepło jego oddechu i drobiny śliny, które pryskały mu z ust, kiedy cedził mu w twarz całą swoją nienawiść.

- Ma się pan trzymać z daleka od mojej córki, Frank. Mogę doprowadzić pana do takiego stanu, że sam będzie pan błagał, żeby go zabić. Jeśli nie zależy panu na osobistej nietykalności, proszę pamiętać, że trzymam w garści również Helenę. Kiedy zechcę, mogę ją zamknąć w klinice psychiatrycznej i wyrzucić klucz.

Zaczął krążyć wokół niego, kontynuując przemowę.

- Oczywiście możecie się połączyć i razem spróbować wystąpić przeciwko mnie. Możecie spróbować wypluć waszą truciznę. Proszę się jednak zastanowić. Po jednej stronie jestem ja, generał armii amerykańskiej, bohater wojenny, doradca wojskowy prezydenta Stanów Zjednoczonych. Po drugiej jesteście wy, kobieta o udowodnionej psychicznej kruchości oraz mężczyzna, który wiele miesięcy spędził w zakładzie dla obłąkanych po tym, jak praktycznie doprowadził do samobójstwa swoją żonę. Niech mi pan powie, Frank, kto wam uwierzy? A poza tym, to wszystko, co możecie wymyślić na mój temat, odbiłoby się na Stuarcie, a to, jak sądzą, jest ostatnia rzecz, jakiej Helena by chciała. Moja córka już to zrozumiała i obiecała, że nigdy więcej nie będzie próbowała się z panem zobaczyć. Tego samego oczekuję od pana, mister Ottobre, zrozumiał pan? Nigdy więcej!

Stary żołnierz cofnął się o krok z błyskiem triumfu w oczach.

- Jakkolwiek zakończy się ta historia, już po panu, mister Ottobre.

General odwrócił się do niego plecami i odszedł. Do Franka zbliżył się Mosse. Na jego twarzy malowała się sadystyczna przyjemność znęcania się nad pokonanym.

- On ma rację, panie agencie FBI. Jesteś skończony.

- To już ma jakiś sens, a ty się nawet nigdy nie zacząłeś.

Frank postąpił krok do tyłu, spodziewając się reakcji. Kiedy Mosse zrobił ruch, trafił na wymierzoną w siebie lufę glocka.

- No, kapitanie, daj mi pretekst. Tylko jeden. Stary jest kryty, ale ty nie jesteś ani tak przydatny, ani groźny, jak ci się zdaje.

- Prędzej czy później trafisz w moje ręce, Franku Ottobre.

Frank podniósł pojednawczo ramiona.

- Wszyscy jesteśmy w rękach bogów, Mosse, ale gwarantuję ci, że ty nie należysz do tej kategorii. A teraz zabieraj się stąd i idź za swoim panem.

Stał w korytarzu, dopóki ci dwaj się nie oddalili. Włożył z powrotem pistolet do kabury przy pasku i oparł się plecami o ścianę. Powoli osunął się, aż usiadł na zimnej marmurowej posadzce. Zorientował się, że drży.

Gdzieś nadal ukrywał się groźny morderca, wciąż mogący zaatakować. Człowiek ten zabił już kilka osób z niesłychanym okrucieństwem, w tym Nicolasa Hulot, jego najlepszego przyjaciela. Kilka dni wcześniej oddałby wszystkie lata życia, które mu jeszcze zostały, tylko po to, żeby móc napisać jego nazwisko na kawałku papieru.

Teraz wszystkie jego myśli były przy Helenie Parker i zupełnie nie wiedział, co robić.

Laurent Bedon wyszedł z Cafe de Paris, gładząc palcami plik banknotów po pięćset euro, który wypychał mu wewnętrzną kieszeń marynarki. Jeszcze raz pomyślał o niewiarygodnym szczęściu, jakie miał tego wieczoru. Był absolutnym bohaterem marzeń każdego gracza w ruletkę. Czerwone 23, powtórzone trzy razy z rzędu przy najwyższym przebiciu, oszałała publiczność i wzburzona twarz krupiera w obliczu tak wyjątkowego wydarzenia.

Poszedł do kasy i zaczął wyciągać z kieszeni kolorowe żetony, jakby to była marynarka Ety Bety. Kasjer pozostał niewzruszony wobec wysokości wygranej, ale zmuszony był posłać po dodatkową gotówkę, bo to, co miał w szufladzie, nie wystarczało na jej wypłacenie.

Kiedy odbierał plastikową torbę, którą zostawił w szatni, Laurent pomyślał, że szczęście, kiedy postanawia zwrócić się w twoją stronę, może być wręcz krępujące w swoim pośpiechu wymierzania policzków nędzy. Wstąpił do Cafe de Paris, ot tak, żeby spędzić tam pół godziny i w te pół godziny odzyskał to, co przegrał przez ostatnie cztery lata.

Spojrzał na zegarek. Wszystko o czasie.

Stał przez chwilę na chodniku, patrząc na rozciągający się przed nim plac.

Po lewej stronie Kasyno Miejskie połyskiwało wszystkimi swoimi światłami, uwypuklając pretensjonalne, barokowe przeładowanie architektury. Obok wejścia, po lewej stronie, na pochylonym postumencie stało bmw 750, przemyślnie oświetlone całą serią reklam. Była to nagroda w zawodach „chemin-de-fer”, które miały się wkrótce odbyć.

Stojący naprzeciwko Hotel de Paris zdawał się naturalnym uzupełnieniem kasyna, tak jakby jedno bez drugiego nie mogło istnieć. Laurent wyobraził sobie ludzi w środku. Kamerdynerów, bagażowych, recepcjonistów, klientów pełnych pychy i pieniędzy.

Jeśli chodziło o jego życie, sprawy zaczynały przybierać wreszcie właściwy obrót. Poczynając od gry. Od kiedy zaczęła się jego „współpraca” z tym Amerykaninem, wiatr zdawał się całkowicie zmienić kierunek. Miał świadomość, że ten typ, Ryan Mosse, jest niezwykle groźny. Zrozumiał to po łatwości, z jaką pozbył się Vadima. Ale był też niezwykle hojny i dopóki tak się działo, to drugie spychało to pierwsze na dalszy plan. Bo w gruncie rzeczy, o co właściwie go poprosił? Wyłącznie o to, żeby przekazywał mu dyskretnie wszystkie nowości na temat śledztwa w sprawie Nikogo, wszystkie informacje, w których posiadanie wejdzie, przebywając z siłami policji obstawiającymi radio w oczekiwaniu na telefony mordercy. Synekura, która wypełniła jego kieszeń pieniędzmi wystarczającymi, by zatkać niejedną dziurę w przeciekającej łodzi jego finansów.

Przeżył głębokie rozczarowanie na wieść o aresztowaniu Ryana Mosse'a pod zarzutem zabójstwa Roby'ego Strickera. Nie dlatego, żeby go jeden czy drugi specjalnie obchodził. Amerykanin był wyraźnie psychopatą i on, szczerze mówiąc, uważał, że najwłaściwsze miejsce dla tego szaleńca jest właśnie tam, gdzie go wpakowali, dobrze strzeżona cela w solidnym więzieniu, jak to w Twierdzy. Jeśli chodzi o Strickera, tego niby-playboya, to był to kutas, którego jedyna życiowa zasługa polegała na tym, że wyszedł z tej, a nie z innej cipki. Nikt, może nawet jego własny ojciec, nie odczuje jego braku.

Requiescat jak mu się kurwa zdaje. Amen.

Myśl ta była pośpiesznym epitafium Laurenta Bedona dla Roby'ego Strickera.

Jedynym powodem żalu na wieść o aresztowaniu Mosse'a było zniknięcie z kurnika kury znoszącej złote jaja. Żywe zaniepokojenie utratą sponsora, jak go nazywał w duchu, zepchnęło na drugi plan obawę związaną z ewentualnym zarzutem współnictwa. Ten typ nie wyglądał na takiego, co łatwo puszcza farbę. Gliny będą musiały się napocić, żeby coś z niego wydusić. Mosse był twardzielem, tym bardziej, że krył go ten drugi, generał Parker, ojciec zamordowanej dziewczyny. On to naprawdę musiał być grubą rybą. I to on musiał być właścicielem tej torby, którą trzymał w ręku Mosse, i dbać o to, żeby ją napełniać, kiedy biedny Laurent ją opróżniał.

W każdym razie, przyjął wiadomość o jego uwolnieniu z westchnieniem ulgi i nową nadzieją. Nadzieja zamieniła się w autentyczne uczucie triumfu, kiedy dostał drugi e-mail, który podobnie jak pierwszy nosił podpis wuja z Ameryki wyznaczającego mu spotkanie.

Nie zastanawiał się, czego od niego chce, teraz, kiedy tożsamość mordercy została odkryta. Jedyne interesowało go to, żeby przyływ gotówki do jego kieszeni nie został przerwany.

Miał jeszcze przed oczami podejrzliwą minę Maurice'a, kiedy wreszcie spłacił swój dług. Patrzył na pieniądze, które Laurent rzucił mu na stół w biurze na tyłach Burlesque, obskurnego, nicejskiego night-clubu pełnego tanich dziwek, jakby banknoty były fałszywe.

Jeśli się nawet zastanawiał, skąd pochodzi kasa, to słowem o tym nie napomknął.

Laurent wyszedł z szyderczym uśmiechem na twarzy, mijając Vadima, który miał jeszcze na nosie plastry jako wspomnienie spotkania z Ryanem Mosse'em. Podejrzanie, że osłania go ktoś jeszcze groźniejszy niż oni, kazało im porzucić pogardliwą postawę, jaką zazwyczaj wobec niego przyjmowali.

Pan Bedon zapłacił. Pan Bedon jest wolny. Pan Bedon posyła was wszystkich do diabła. Pan Bedon opuszcza to gówniane miejsce.

Laurent poprawił torbę zawieszoną na ramieniu i ruszył dalej. Przeciął ukośnie plac, kierując się do ogrodów naprzeciw kasyna.

Po ulicach kręciła się masa ludzi. Pomijając sezon i zwykłych turystów, historia seryjnego mordercy, który krążył po Monte Carlo, przyciągnęła na miejsce także tłumy ciekawskich. Ruch był jak w najlepszych czasach, choć z powodu dziwnej dialektycznej sprzeczności obecność całego tego życia wywołana była obecnością śmierci.

Wszędzie dookoła nie mówiono o niczym innym. W gazetach, w radiu, w telewizji, w salonach domów, przez których otwarte okna padało na ulice światło.

Nagle stanęła mu przed oczami twarz Jean-Loup'a. Mimo całego swojego cynizmu, nie mógł powstrzymać dreszczu emocji. Myśl, że przez tyle czasu żyło się tuż obok człowieka zdolnego do takich rzeczy, mogła przyprawić o ciarki ludzi nawet dużo odważniejszych od niego.

Ile osób zabił? Osiem, jeśli się nie mylił. Nie, dziewięć, jeśli liczyć też tego biedaka komisarza Hulot. Cholera. Prawdziwa rzeź, dokonana przez pięknego chłopaka o zielonych oczach, głębokim głosem i powściągliwym wyglądem, sprawiającego bardziej wrażenie kogoś, za kim uganiać się będzie chmara napalonych kobiet, a nie policja całej Europy.

Przypomniął sobie, że to on zapoczątkował karierę Jean-Loup'a. Przyprowadził go do radia tylko po to, żeby potem być stopniowo odsuwany na bok, w miarę jak objawiały się talenty didżeja.

Teraz, również w tej sferze, sprawy przybierały inny obrót.

Wpływy Bikjalo, który zdawał się zdruzgotany tym doświadczeniem, zostały wyraźnie ograniczone przez kierownictwo radia. Palił teraz jednego rosyjskiego papierosa za drugim i przemawiał językiem, który zdawał się mową jego tytoniu. Prezes zapytał Laurenta, czy czuje się na siłach prowadzić „Voices”. Wydawało się, że wydarzenia nie odciągnęły uwagi słuchaczy od audycji, przeciwnie, istniała możliwość poprawienia wyników, dzięki dziwnej, chorobliwej alchemii panującej wokół krwawych historii.

Dobra, gnoje, czemu teraz nie wezwiecie swojego Jean-Loup'a?

On, ze swojej strony, sprzedał za bająską sumę wywiad na wyłączność jednemu z tygodników, a wydawca pisma przelał już na jego konto pokaźną zaliczkę na książkę, nad którą już pracował, zatytułowaną *Moje życie z Nikim*. Do tego doszła jeszcze nieoczekiwana wygrana w Cafe de Paris. A wieczór nie dobiegł jeszcze końca...

Fakt, że Jean-Loup pozostaje wciąż na wolności, zupełnie go nie niepokoił.

Ten chłopak nie był już problemem. Jak mówiła policja, jego schwytanie było kwestią godzin. Gdzie mógł się ukryć człowiek, którego zdjęcie było we wszystkich gazetach i w ręku każdego funkcjonariusza policji stąd aż po Helsinki?

Gwiazda Jean-Loup Verdiera zgasła na zawsze.

Teraz wstawało słońce Laurenta Bedona.

Odkrył nawet, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że guzik go też obchodzi Barbara. Niech sobie zatrzyma swojego policjanta, swojego psa obronnego. Laurent zrozumiał, że upór wobec dziewczyny wynikał wyłącznie z jego złej passy. Prawdopodobnie postrzegał ją jako symbol swojej porażki, jako najbardziej znaczącą przedstawicielkę odrzucenia, którego życie nie skąpiło mu w owym momencie.

Teraz to on siedział na małym tronie i mógł mówić tak albo nie. Jedyne, czego mógł pragnąć, gdyby jeszcze czegoś od niej chciał, to zobaczyć, jak przychodzi z podwiniętym ogonem i przyznaje, że popełniła ogromny błąd, rzucając go. Chciałby usłyszeć jej pokorny głos błagający o wybaczenie i przyjęcie jej z powrotem.

Wszystko to, aby zyskać wzniosłą możliwość rzucenia jej w twarz prawdy. Już jej nie potrzebuje. Nigdy więcej nie będzie mu potrzebna.

Usiadł na ławce w bardziej zacienionej części parku. Zapalił papierosa i oparł się, patrząc na ten świat, który kręcił się wokół niego, a on wreszcie nie czuł się jego bezprawną częścią.

Krótko potem postać mężczyzny wyszła z cienia za jego plecami i usiadła obok niego. Odwrócił się, żeby na niego spojrzeć. Jego oczy, te oczy, które zdawały się bez życia jak oczy wypchanego zwierzęcia, nie wzbudzały w nim strachu. Dla niego człowiek ten oznaczał wyłącznie przyływ następnych pieniędzy.

- Dobry wieczór, Laurent - powiedział mężczyzna po angielsku.

Laurent skinął lekko głową i odpowiedział w tym samym języku.

- Dobry wieczór panu. Bardzo się cieszę, że znów pana widzę na mieście, kapitanie Mosse.

Mosse zupełnie zignorował sens tego powitania. Bardzo szybko przeszedł do rzeczy.

- Ma pan to, o co prosiłem?

Laurent położył na ławce plastikową torbę, którą do tej pory nosił przewieszoną przez ramię.

- Proszę. Oczywiście to nie wszystko. Wybrałem trochę przypadkowego materiału. Gdyby mi pan powiedział, do czego to potrzebne, mógłbym...

Ryan Mosse przerwał mu gestem ręki. Nie zwrócił uwagi na pytanie ukryte w zdaniu Laurenta i postawił przed nim tanią walizeczkę.

- Tu w środku jest to, co uzgodniliśmy.

Laurent chwycił walizeczkę i położył sobie na kolana. Otworzył zamki i podniósł wieko. W półmroku zobaczył ułożone na spodzie stosiki banknotów w ilości wystarczającej, żeby go całkowicie pokryć. Laurent pomyślał, że dają lepsze światło od jakiegokolwiek elektrycznej iluminacji.

- W porządku.

- Nie przeliczył pan? - zapytał Mosse lekko ironicznym tonem.

- Pan nie ma możliwości skontrolowania na miejscu materiału, który panu przyniosłem. Byłoby w bardzo złym stylu, gdybym nie odpowiedział na pańskie zaufanie takim samym zaufaniem.

Kapitan Mosse podniósł się. Wymiana została dokonana. Przyjemność wzajemnego towarzystwa na pewno nie była wystarczającym powodem, żeby przedłużać to spotkanie, ani dla niego, ani dla Laurenta.

- Do widzenia, panie Bedon.

Laurent pozostał na ławce i wykonał gest ręką.

- Do widzenia, kapitanie Mosse. Robienie z panem interesów to zawsze przyjemność.

Siedząc, przyglądał się atletycznej postaci Amerykanina, który odchodził swoim zdecydowanym krokiem, a cywilne ubranie nie było w stanie odebrać mu bojowego charakteru. Pozostał na ławce, dopóki ten nie zniknął mu z oczu. Był w doskonałym humorze. Wieczór okazał się nad wyraz owocny. Najpierw wygrana w kasynie, do której doszła zawartość walizeczki... Jak się to mówi, pieniądz robi pieniądz.

I tak będzie dalej, był tego pewny.

Dajmy czas czasowi, powiedział sobie. Czas czasowi.

Według ludowej logiki, nawet zegar, który stoi, dwa razy dziennie ma rację. Fakty zaś pokazywały, że jego zegar wcale nie stał i zaczął pokazywać lepsze czasy.

Wstał z ławki i wziął walizeczkę, dużo lżejszą od torby, którą przekazał Mosse'owi, w jego odczuciu jednak dużo cięższą. Zastanowił się przez chwilę. Na ten wieczór dosyć Café de Paris. Nie można wymagać zbyt wiele od fortuny jednego dnia. Na plac Casinò podrzucił go wcześniej dźwiękowiec Jacques. Teraz mógł wziąć taksówkę albo pójść pieszo do portu, wypić kilka kieliszków w Stars'n Bars, wziąć swój nowiutki samochód z parkingu pod budynkiem radia i wrócić do Nicei. Nie był to porche, jakby sobie życzył, ale była to tylko kwestia czasu. Chwilowo wóz ten absolutnie wystarczał, żeby nie musiał jeździć do pracy środkami lokomocji publicznej ze swojego lokum w pobliżu placu Pellegrini, w rejonie Acropolis. Było to małe, ale eleganckie mieszkanie, które właśnie wynajął. Jak na ironię, znajdowało się w pobliżu jego dawnego domu, który odebrał mu Maurice, niech go cholera!

Spojrzał na zegarek. Było jeszcze wcześniej, a noc długa.

Laurent Bedon ruszył powoli w stronę Hotel de Paris, lekkim krokiem człowieka przepelnionego optymizmem, myśląc, że przez resztę wieczoru da się ponieść inspiracji chwili.

Remy Bretecher włożył kask na głowę i podniósł stopą boczną podpórkę motocykla. Mimo zjazdu bez trudu panował nad swoim pegazem. Podniecenie, jakie odczuwał, pozwoliłoby mu opanować pojazd jedną nogą. Zaparkował skuter na placu Casinó, na parkingu zarezerwowanym dla motocykli, przed hotelem Metropole, po prawej stronie. Spod podniesionego daszka kasku miał cały czas na oku swojego człowieka, który szedł przez ogrody, a teraz dotarł na wysokość fontanny. Remy'emu nie było obce tego rodzaju szpiegowanie. Zazwyczaj akcje przeprowadzał gdzie indziej, na przykład w kasynach Mentony lub Nicei, albo w innych małych domach gry rozrzuconych po całym wybrzeżu. Czasami docierał nawet do Cannes. Monte Carlo, dla pewnego rodzaju działalności uważane było za *off-limits*. Zbyt niebezpieczne, zbyt zamknięte, za bardzo kontrolowane przez skuteczną policję.

Remy doskonale wiedział, że w salonach gry między stałymi klientami włączona była nadmierna liczba cywilnych funkcjonariuszy.

Owego wieczoru przybył tam jako zwykły turysta. Przyjechał, żeby trochę powęszyć, zobaczyć, jaka atmosfera panuje w Księstwie w związku z całą tą sprawą seryjnego mordercy. Wszedł do Cafe de Paris niemal przypadkiem i właściwie tylko siła przyzwyczajenia spowodowała, że zauważył tego typu z twarzą syfilityka i miną totalnej kanalii, który trzy razy pod rząd zgarnął ful na kole, wypinając się na narodową loterię.

Śledził go niepostrzeżenie i zobaczył, jak wkłada wygraną do wewnętrznej kieszeni marynarki. To natychmiast zamieniło wakacyjny wieczór w dzień roboczy. W rzeczywistości Remy pracował jako mechanik na peryferiach Nicei, w warsztacie specjalizującym się w naprawie motocykli i dostosowywaniu ich do indywidualnych potrzeb. Był w tym tak dobry, że jego pracodawca, pan Catrambone, przymknął oko na jego przeszłość. W istocie to, czemu poświęcał się w owej chwili, a co mógł określić jako dodatkową pracę młodego człowieka, przysporzyło mu, kiedy był małym dzieckiem,

parę pobytów w poprawczaku. Chodziło o młodzieńcze doświadczenia wynikające z zasadniczego braku doświadczenia, ot, taka gra słów. Do tej pory, szczęśliwie, nie zaliczył jeszcze żadnego pobytu w ojczystych zakładach karnych. Czasy nowożytne uznawały zresztą kradzież kieszonkową za grzech pospolity, a Remy był na tyle sprytny, by nie używać broni w trakcie swoich „zawodowych kontaktów”, jak je nazywał. W sumie, gra warta była świeczki i wszystkie fakty tego dowodziły. Wystarczyło mieć trochę oleju w głowie, a druga pensja nikomu nie wadziła.

Czasami, kiedy czuł, że to właściwy wieczór, krążył po kasynach, namierzając samotnych graczy, którzy przychodzili wygrywać duże sumy. Śledził ich do wyjścia, a potem jechał za nimi motorem. Jeśli odjeżdżali samochodem, sprawa trochę się komplikowała. Musiał śledzić ich aż do domu, a jeżeli mieli wewnętrzny garaż, musiał obejść się smakiem. Patrzył, jak samochód zniknął za bramą, zjeżdżał do garażu, a zapalające się światła postojowe wskazywały, że wieczór zakończył się pudłem. Jeśli natomiast parkowali na ulicy, sprawa była załatwiona. Podchodził do nich, kiedy stali przy drzwiach wejściowych do budynku i szukali kluczy. Wszystko odbywało się w mgnieniu oka. Stawał przed nimi w kasku na głowie, z jedną ręką w kieszeni kurtki i przymuszał, żeby wyciągnęli pieniądze. Ręka w kieszeni mogła być zwykłym blefem, ale mogła też naprawdę oznaczać obecność pistoletu. Sumy, które wchodziły w grę, nie były zazwyczaj na tyle wysokie, żeby ktoś z ich powodu ryzykował życie. To działało na korzyść przekazania pieniędzy nowemu właścicielowi. Następnie szybka ucieczka motorem i po wszystkim. Pozostawała tylko niespodzianka związana ze sprawdzeniem później, w bezpiecznym miejscu, jakie ekonomiczne znaczenie miała ta transakcja przypominająca bankomat.

Kiedy natomiast „klient” oddalał się pieszo, wystarczyło zaczekać na właściwy moment - mało ruchliwa ulica, żadnych glin na widoku i możliwie nikle oświetlenie - a potem ten sam przebieg wypadków. A często wręcz dużo szybszy.

Ponieważ zajmował się ludźmi uczęszczającymi do kasyn, Remy nieraz zastanawiał się, czy on też nie wpadł w swego rodzaju nałóg gry, w uzależnienie od zielonego stolika, z wszelkimi przyległościami. Doszedł w końcu do wniosku, że może uznać się za kogoś w rodzaju uzdrowiciela owych nałogowców, żywy dowód na to, iż co od diabła wyszło, do diabła powraca.

Był to rodzaj samo rozgrzeszenia.

Fakt, że powinien uważać się za pospolitego przestępcę, nigdy nie przyszedł mu nawet do głowy.

Uruchomił silnik skutera i pojazd zaczął pracować cicho, ze stłumionym pochrapywaniem. Miał nadzieję, że jego człowiek nie kieruje się na postój taksówek obok Hotel de Paris. To mogłoby co prawda trochę uprościć sprawy, ponieważ człowiek w taksówce oznaczał wyeliminowanie garażu pod domem. Ale z drugiej strony, istniało też ryzyko, że wieczór nie dobiegł jeszcze końca. Zazwyczaj gracze, którzy się obłowili, przepuszczali swoje wygrane w jednym z wielu klubów nocnych. Nicea była nimi naszpikowana, a w większości przypadków chodziło o zalegalizowane domy publiczne. Stawiali drinki na lewo i prawo, aż w końcu za zrobienie łoda proponowali dziewczynie do towarzystwa sumę, za którą trzyosobowa rodzina żyłaby przez tydzień. Przykro by mu było, gdyby owoc takiej fortuny skończył w gardle jakiejś dziwki.

Podniósł stopą pedał zmiany biegów, włączył jedynkę i ruszył, aż przeciął drogę swojemu człowiekowi, kiedy ten przechodził przez plac na wysokości środkowego klombu. Zatrzymał się i oparł motor na podpórce. Zsiadł, jakby miał coś sprawdzić w kufierku przyczepionym do tylnego zderzaka.

Zobaczył z ulgą, że mężczyzna mija jedyną czekającą na postoju taksówkę. Jeśli kierował się w dół, w stronę Sainte-Dévote, byłoby to niewiarygodne szczęście. Rejon ten był zazwyczaj mało uczęszczany przez pieszych, szczególnie o tej porze, i mogła mu się udać szybka i czysta robótka, tym bardziej, że mógłby wjechać natychmiast w ulicę prowadzącą do Nicei i zniknąć na jednej z trzech corniche.

Remy był szczególnie podekscytowany tą nieprzewidzianą fuchą. Wychodząc z Café de Paris, szedł za swoją ofiarą przez ogrody. Mężczyzna podążał w kierunku, który doprowadziłby go do miejsca oddalonego zaledwie o kilka metrów od zaparkowanego motocykla Remy'ego. Mógł wręcz obrobić go tam, w półmroku. Nie byłoby źle wykonać robotę natychmiast, na miejscu, mając możliwość wskoczyć na dwa kółka w ciągu kilku sekund i szukać wiatru w polu.

Zobaczył, że mężczyzna usiadł na ławce, ale on poszedł niezauważony dalej, bo jakaś inna osoba przysiadła się do niego. Nastąpiły między nimi jakieś dziwne ruchy. Ten, którego śledził jako pierwszego, z twarzą umarlaka, podał drugiemu torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, i otrzymał w zamian podręczną walizeczkę.

Sprawa była mocno śmierdząca. Albo pachnąca, zależnie od punktu widzenia. Istniała ewentualność, i to całkiem spora, że walizeczka zawiera coś cennego. To pozytywne przecucie, dodane do pieniędzy zainkasowanych w Café de Paris, mogło

wynieść ów wieczór na absolutny top wpływów na jego prywatnej liście rekordów Guinnessa.

Po zakończonej wymianie, kiedy dwaj mężczyźni się rozeszli, wszystko przepadło. Z prawej strony nadeszła grupa osób kierujących się do kasyna. Remy zastanawiał się, czy mimo to działać. Nie sądził, by jego ofiara zawołała o pomoc, gdyż zazwyczaj nikt nie miesza się w pewne sprawy. Kiedy dochodzi do grabieży, ludzie nagle szatańsko zajęci są własnymi sprawami. Nie bez powodu na kursach samoobrony uczą, że kiedy pada się ofiarą rabunku, nie należy nigdy krzyczeć „złodziej”, bo to magiczne słowo powoduje, że nagle widzimy tylko plecy oddalających się pospiesznie ludzi. W takich przypadkach dużo lepiej krzyczeć „pożar”, jeżeli chcemy zobaczyć twarze ludzi nadbiegających z pomocą.

Remy doskonale wiedział, że bohaterowie nie rodzą się na kamieniu. Jednak zawsze może pojawić się wyjątek potwierdzający regułę i dlatego nie chciał ryzykować aż do tego stopnia.

Włączył motor i przeciął avenue des Beaux Arts, żeby skręcić w lewo w avenue Princesse Alice i spróbować ustanowić kontakt wzrokowy ze śledzonym mężczyzną, który tymczasem wszedł w avenue de Monte Carlo, ulicę z widokiem na morze, zbiegającą się przy avenue d'Ostende z ulicą, którą on jechał.

Gdyby nie był zajęty prowadzeniem motocykla, Remy zatarłby rękę. Ten odcinek ulicy był praktycznie opustoszały. Idealne warunki dla zwierząt takich jak on, polujących na codzienną strawę.

Remy posuwał się powoli, na drugim biegu, z podniesionym daszkiem kasku, z rozpiętym do połowy suwakiem kurtki, jak zwykły turysta na motocyklu, który chce bez pośpiechu rozkoszować się ciepłym powietrzem letniego wieczoru.

Jego człowiek też szedł powoli, pałac papierosa. Bardzo dobrze. Na początku avenue d'Ostende przeszedł wręcz przez ulicę na stronę, po której poruszał się Remy. A na dodatek niósł walizczkę w lewej ręce, co było wyraźnie korzystne dla zamiarów Remy'ego, który nie wierzył własnym oczom. Gdyby on sam dyktował warunki, nie mógłby uzyskać nic lepszego. Pomyślał, że jego przyszły klient na ten wieczór zdecydowanie wykorzystał już swoją dawkę szczęścia poprzez wygraną w Café de Paris.

Biorąc pod uwagę sytuację, pomyślał, że przeprowadzając tę akcję, powinien być nieco mniej delikatny niż zazwyczaj. Zresztą, jeśli nie pójdziesz na stację, nie złapiesz pociągu, jak mawiał zawsze jego szef, brodaty pan Catrambone.

Zrobił głęboki wdech i stwierdził, że czas działać. Dotknął krawężnika przednim kołem i podciągając do góry kierownicę, pokonał przeszkodę.

Znalazł się z motocyklem za swoją ofiarą, która dokładnie w tym samym momencie wyrzucała niedopałek papierosa. Trzeba się było pospieszyć, zanim postanowi zmienić rękę, w której trzyma walizeczkę. Remy gwałtownie przyspieszył i dojechał do mężczyzny, który słysząc hałas silnika, instynktownie odwrócił głowę. Pięć Remy'ego wylądowała po lewej stronie jego twarzy, między nosem a ustami.

Biedak, może bardziej z powodu zaskoczenia niż ciosu, upadł na ziemię, ściskając jednak mocno walizeczkę w rękę. Remy zatrzymał motor, zarzucając lekko tylnym kołem.

Ustawił pojazd na bocznej podpórce i zeskoczył zwinnie jak kot. Będąc przezornym, przerobił mechanizm w taki sposób, żeby silnik nie gasł automatycznie przy opuszczaniu dźwigni.

Zbliżył się do leżącego mężczyzny, trzymając lewą rękę w kieszeni i wypychając do przodu skórę kurtki.

- Nie ruszaj się albo jesteś martwy.

Remy ukląkł, wsunął mu rękę do marynarki i wyciągnął plik banknotów, które znalazł w wewnętrznej kieszeni. Nie był przy tym zbyt delikatny i poczuł, jak cienki materiał podszewki rozdziera się pod jego palcami. Nie patrząc nawet, włożył pieniądze do kurtki. Wstał i wyciągnął rękę w stronę leżącego mężczyzny.

- Puszczaj walizkę.

Typek ten już sam z siebie miał chorowitą buźkę i posturę słabeusza. A teraz, z nosem zboczonym krwią, jeszcze bardziej wyglądał na takiego, który za chwilę wyzionie ducha. Czy można było sobie wyobrazić, że stać go będzie na jakąkolwiek reakcję? Do tej chwili wszystko przebiegało tak błyskawicznie, że nie miał nawet czasu zdać sobie sprawy z sytuacji. Kiedy sobie wreszcie uświadomił, że ten typ na motorze i w skórzanej kurtce obrabia go, skoczył nagle na równe nogi i wymierzył walizeczką cios w kark Remy'ego.

Chłopak pomyślał, że na pewno nie jest to facet z jajami, jego reakcja podyktowana była instynktem, a nie rzeczywistą zdolnością obrony. Była to zwykła panika i tyle. Gdyby zamiast walić go w twarde kask, co tylko lekko odepchnęło mu głowę na bok, równie gwałtownie wepchnął mu walizeczkę między nogi, na pewno zmiażdżyłby mu jądra.

Remy był potężnym chłopakiem, dużo potężniejszym od swojej ofiary. Trafił męczyzną pięścią dokładnie w ten sam punkt co poprzednio. Poczł trzask łamanego zęba. Gdyby nie rękawice, na pewno zraniłby sobie dłoń.

W owej chwili na szczęście nikt nie przechodził pieszo tym odcinkiem ulicy, ale drugą stroną, pod górę, przejechał samochód. Jeden z pasażerów odwrócił się, żeby spojrzeć. Jeśli zorientował się, co się dzieje, i dojechał do placu Casinó, gdzie zawsze kręcił się jakiś policjant, sprawy mogły potoczyć się niewesoło. Musiał się spieszyć.

Mimo drugiego ciosu męczyzna nie rozluźnił jeszcze uścisku na walizeczce. Dwa ciosy mocno go jednak ogłuszyły. Teraz krew z nosa lała mu się już strumieniem, plamiąc na czerwono marynarkę i koszulę. W oczach miał łzy, wywołane zarówno przez uderzenie w nos, jak i przez gniew.

Remy chwycił rączkę walizki, pociągnął z całej siły i zdołał wyrwać mu ją z dłoni. Odwrócił się i ruszył do motocykla. Jego ofiara znalazła jeszcze siłę, być może w desperacji, żeby zarzucić mu ręce na szyję i ucześcić się jego pleców.

Remy próbował zrzucić go z siebie, ale bez skutku.

Wymierzył mu łokciem cios w żołądek. Poczł, jak ramię zagłębia się gwałtownie w miękkie ciało, a tymczasem męczyzna uwieszony na jego ramionach głośno oddychał. Remy'emu przypominało to syk powietrza wypuszczanego z balonu.

Poczł, jak ciężar męczyzny opuszcza jego plecy. Odwrócił się i zobaczył, jak zgięty wpół trzyma się rękami za brzuch. Dla uniknięcia dalszych niespodzianek popchnął go kopniakiem, po prostu odsunął od siebie.

Męczyzna poślizgnął się, spadł z krawężnika i runął na asfalt dokładnie w momencie, kiedy ulicą, raczej z ograniczoną prędkością, zjeżdżała duża, ciemna limuzyna.

Potrąciła Laurenta Bedona, którym w wyniku uderzenia cisnęło na drugą stronę ulicy, ze złamaną miednicą i nogą. Jego głowa uderzyła gwałtownie o kamienny krawężnik. Zginął na miejscu.

Nie mógł już usłyszeć warkotu odjeżdżającego pędem motocykla, histerycznego krzyku kobiety, pisku hamulców innego samochodu, który blokował koła, żeby nie potrącić nieruchomego ciała leżącego na ulicy w kałuży krwi rozlewającej się powoli na asfalcie pod jego głową.

Przypadek, drwiący z żywych, jak i z martwych, przyniósł nagły podmuch wiatru. Unoszony tym powiewem, na twarz Laurenta opadł arkusz gazety, niemal jakby chciał ukryć litościwie przed obecnymi grozę tej śmierci. Jak na ironię, właśnie

w ów wieczór, kiedy zaczynał czuć się kimś, na jego martwą twarz nałożyło się oblicze Jean-Loup Verdiera, wydrukowane w naturalnej wielkości na pierwszej stronie „Nice Matin”.

Poniżej widniał podkreślony na czerwono czarny tytuł.

Prawdziwa twarz Nikogo.

Frank popatrzył zrezygnowany na stos korespondencji na biurku w gabinecie należącym kiedyś do Nicolasa Hulot. Nie był w stanie przebywać w tym pokoju, nie odczuwając w jakiś sposób obecności przyjaciela, nie odnosząc wrażenia, że jeśli się odwróci, zobaczy go za swoimi plecami, stojącego przy oknie.

Przebiegł palcami arkusze papieru, tak jak się to robi z talią kart. Po czym przejrzał je pospiesznie jeden po drugim, ale nie znalazł tam nic znaczącego.

Istota była taka, że wciąż tkwili w gównie.

Po pierwszym ożywieniu wywołanym odkryciem tożsamości Nikogo, nic się nie zmieniło. Czterdzieści osiem godzin po odkryciu, kim jest, mimo wszelkich wysiłków nie zdołali jeszcze odkryć, gdzie jest.

Jego śladami puszczono takie siły, jak nigdy dotąd. Zaalarmowane zostały wszystkie policje państw ościennych, z właściwymi sekcjami noszącymi różne skróty odpowiadające VICAP, oddziałowi specjalnemu FBI, który zajmuje się szczególnie groźnymi przestępcami. Nie było w Europie policjanta, któremu nie towarzyszyłaby seria zdjęć Jean-Loup'a, oddających jego prawdziwy wygląd, a także opracowanych komputerowo wszelkich możliwych zmian, jakim mógł poddać swój wygląd fizyczny. Drogi, porty, lotniska publiczne i prywatne obstawione były blokadami. Kontrolowano wszystkie samochody, sprawdzano wszystkich pasażerów samolotów, przeszukiwano wszystkie jednostki pływające.

Europa południowa była praktycznie przesiewana kawałek po kawałku. Wszystkie znane środki, przeznaczone do polowania na człowieka, zostały wdrożone do poszukiwań. Dla zbrodniarza, który w sensacyjny sposób poruszył opinią publiczną, konieczna była równie sensacyjna demonstracja siły. I przy tej okazji objawiły się rzeczywiste wpływy Księstwa Monako. Ktoś mógł uważać je nawet za państewko marionetkowe, ale był to osąd tyle pochopny, co mylny.

A przecież wciąż mieli przed sobą kompletną pustkę.

Jean-Loup Verdier, czy jak tam się nazywał, zdawał się wyparować. Paradoksalnie, było to dowodem odciążającym policję z Monte Carlo. Jeśli człowiek ten zdolny był trzymać w szachu wszystkich, jeśli nikomu nie udało się jeszcze założyć mu pary kajdanek na ręce, to znaczy, że mieli do czynienia z osobnikiem o inteligencji dużo wyższej od średniej. Częściowe niepowodzenia aż do tamtej chwili były w jakiś sposób uzasadnione. Filozofię głoszącą, że „wspólne nieszczęście jest mniej dotkliwie”, można było w pewnym stopniu zastosować również do tej połączonej obławy. Frank pomyślał, że ich desperacja może wkrótce doprowadzić nawet do jakiegoś medium, byle uzyskać jakikolwiek rezultat.

Dom, w którym mieszkał Jean-Loup w Beausoleil, został praktycznie wyrócony do góry nogami i skrupulatnie przeszukany, nie dostarczając najmniejszego nawet tropu.

Zdołali uzyskać nieco wiadomości na temat jego przeszłości, idąc śladem dochodzenia Hulota, dzięki informacjom, jakich dostarczył mu wówczas Morelli, dotyczącym numeru telefonu, o który poprosił go komisarz. Dozorca cmentarza w Cassis potwierdził, że rozmawiał z Nicolasem o tym, co wydarzyło się w La Patience. Zrozumieli, że z całym prawdopodobieństwem, to właśnie tam, na cmentarzu, został ujęty i porwany przez swojego zabójcę.

Poprzez policję francuską prowadzili dochodzenie dotyczące Marcela Legranda, aż znaleźli się pod ścianą. Legrand pracował swego czasu w tajnych służbach i na teczce z jego nazwiskiem widniał stempel top secret. Frank odkrył mimo woli, że top secret służb francuskich jest dużo mniej elastyczny od tego w wydaniu Pierrota.

Zdołali dowiedzieć się tylko tyle, że w pewnym momencie Legrand porzucił aktywną służbę i schronił się w Prowansji, żeby żyć w całkowitej izolacji. Teraz toczyła się skomplikowana gra, pełna dyplomacji i tajemnic państwowych, mająca na celu ominięcie pewnych przeszkód i obalenie pewnych murów. Ale jeśli Legrand był dla kogoś niewygodny jak kościotrup w szafie, będzie go bardzo trudno przekonać, by tę szafę otworzył.

Zresztą, nie można było niczego pominąć, niezależnie, czy należało do przeszłości, czy do terażniejszości. Nikt był niebezpieczny, a jego wolność stanowiła śmiertelne zagrożenie dla każdego, kto by się z nim zetknął.

Najpierw obłąd doprowadził go do zabójstw, zgodnie z regułami, które zdawały się niezwykle ściśle. Teraz walczył o przeżycie i każdy był dla niego wrogiem. Łatwość,

z jaką pozbył się trzech funkcjonariuszy w swoim domu, wiele mówiła o jego rzeczywistych możliwościach. To nie był tylko niewinny radiowy didżej, przystojny chłopak, przyzwyczajony do puszczenia muzyki i odpowiadania na telefony słuchaczy. W razie potrzeby potrafił przeobrazić się w pierwszorzędneho wojownika. Mogły o tym zaświadczyć zwłoki trzech znakomicie wyszkolonych policjantów.

W całym tym zamieszaniu Frank próbował odsunąć od siebie myśl o Helenie, jednak bez powodzenia. Odczuwał jej brak w tak dotkliwy sposób, że stawało się to niemal fizycznym bólem, a świadomość, że jest uwięziona przez tego pozbawionego skrupułów osobnika, jakim był jej ojciec, nie łagodziło rzecz jasna tego doznania. Poczucie bezsilności pozbawiało go powoli wszelkich blokujących hamulców. Jediną rzeczą, jaka powstrzymywała go, żeby nie pognać do jej domu i nie chwycić generała Parkera za gardło, było przekonanie, że postępując w ten sposób, pogorszy tylko sytuację.

Oto ja. Oto kim teraz jestem. Człowiekiem siedzącym przy biurku, który nie wie, gdzie zacząć polowanie na swoje upiory.

Otworzył szufladę biurka i wsunął tam stertę papierów, choć miał ochotę podrzeć je i wrzucić do kosza na śmieci. Na drewnianym blacie dostrzegł dyskietkę, którą tam położył, kiedy po raz pierwszy dostał do dyspozycji to biuro. Na etykiecie jego charakterem pisma napisane było „Cooper”. W chaosie ostatnich dni kompletnie zapomniał o telefonie Coopera i o jego prośbie, żeby sprawdzić tego typu, tego adwokata Hudsona McCormacka.

Nie był to najwłaściwszy moment, żeby prosić o coś takiego, ale musiał spróbować. Był to winien Cooperowi i ich wspólnym wysiłkom, żeby przymknąć Jeffa i Osmonda Larkinów.

Nacisnął guzik interfonu i zadzwonił po Morellego.

- Claude, czy mógłbyś do mnie wpaść?

- Właśnie się wybierałem. Zaraz będę.

Po kilku chwilach inspektor był w gabinecie.

- Zanim zaczniesz, jest coś, co muszę ci powiedzieć. Laurent Bedon nie żyje.

Frank podskoczył na krześle.

- Kiedy to się stało?

- Dziś w nocy.

Morelli wyciągnął przed siebie ręce, żeby uniknąć serii dających się przewidzieć pytań.

- Nie, nie ma to nic wspólnego z naszą sprawą. Ten biedak zginął w czasie próby rabunku. Wczoraj wieczorem wygrał sporą sumkę w Cafe de Paris i jakiś złodziejczek próbował go obrobić na tyłach placu Casinó. Ten próbował stawiać opór, upadł na jezdnię i został potrącony przez samochód. Złodziej uciekł na motorze. Jeśli numer rejestracyjny, który zapisał świadek, jest właściwy, zgarniemy go za kilka godzin.

- Tak, ale to jeszcze jeden trup spośród osób zamieszanych w tę sprawę. Chryste, zdaje się, jakby w powietrzu wisiała jakaś klątwa...

Morelli szybko zmienił temat.

- Pomijając ten mało przyjemny fakt, co chciałeś mi powiedzieć?

Frank przypomniał sobie powód, dla którego go wezwał.

- Claude, chciałem cię prosić o przysługę.

- Mów.

- To jeszcze inna sprawa, która nie ma nic wspólnego z naszą historią. Czy masz wolnego człowieka, który mógłby podeptać po piętach pewnemu podejrzanemu typowi?

- Wiesz, jaka jest teraz sytuacja. W tej chwili używamy nawet wieszaków...

Frank rzucił na blat biurka dyskietkę.

- Tu w środku jest zdjęcie i nazwisko kogoś, kto może być zamieszany w dochodzenie, które prowadziłem z moim partnerem w Ameryce. Chodzi o adwokata, który oficjalnie przebywa w Monako na regatach.

- Myślę, że chodzi o Grand Mistral. Duża sprawa. Port w Fontvieille jest pełen żaglówek.

- Nie wiem, zupełnie się na tym nie znam. Facet jest adwokatem poważnego handlarza narkotyków, którego kiedyś złapaliśmy. Hipoteza jest taka, że jest on kimś więcej niż tylko jego adwokatem i że nie przebywa w Księstwie wyłącznie z powodu regat. Czy to jasne?

Morelli podszedł do biurka i wziął dyskietkę.

- Dobra, zobaczę, co się da zrobić, ale to zły moment, Frank. Nie sądzę, żebym musiał ci o tym przypominać.

- Fakt. To naprawdę paskudny moment... Kompletna cisza?

- Kompletna cisza. Wszystko milczy. Po krótkim przeblysku światła, znów ścigamy cienie. Policja połowy Europy ugania się za własnym ogonem, a jak mawiał komisarz Hulot...

Frank dokończył za niego zdanie.

-... pod ogonem znajdujesz tylko dziurę w dupie.

- Dokładnie.

Frank przechylił do tyłu oparcie fotela.

- A jednak, jeśli mam się podzielić z tobą moim wrażeniem... i dobrze uważaj, mówię ci tylko o zwykłym odczuciu...

Zrobił pauzę. Wyprostował fotel i oparł łokcie na biurku. Morelli usiadł na krześle po drugiej stronie w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Przekonał się, że odczuć Amerykanina nie należy lekceważyć.

- Według mnie on wciąż jest tutaj. Wszystkie poszukiwania w jakimkolwiek miejscu na świecie są gównem warte. Na pewno nie ruszył się z terytorium Księstwa Monako!

Morelli miał już odpowiedzieć, ale w tym samym momencie zadzwieczał telefon. Frank spojrzał na aparat, jakby zawieszony był na nim znak zapytania. Po trzecim dzwonku podniósł słuchawkę. Uderzył go podniecony głos telefonisty.

- Mister Ottobre, on jest przy telefonie! I wyraźnie chce mówić z panem.

Frank poczuł się nagle, jakby ktoś wepchnął mu rurę kompresora do żołądka. Istniała tylko jedna osoba, która w owym momencie mogła zostać określona po prostu: on.

- Połącz go. I nagraj rozmowę.

Frank nacisnął guzik głośnika, żeby również Morelli mógł słyszeć. Wskazał inspektorowi aparat stanowczym gestem palca prawej ręki.

- Halo?

Nastąpiła chwila milczenia, po czym w biurze zabrzmiał znany głos.

- *Halo, tu Jean-Loup Verdier.*

Morelli zerwał się z krzesła, jakby nagle zaczęło parzyć. Frank wykonał w jego kierunku gest, obracając w powietrzu palcem wskazującym. Morelli odpowiedział mu, pokazując dłoń zaciśniętą w pięść z uniesionym w górę kciukiem, i wybiegł z pokoju.

- Tak, tu Frank Ottobre. Gdzie jesteś?

Krótką pauzą, potem znowu głęboki głos didżeja.

- *Żadnych niepotrzebnych pogaduszek. Niepotrzebny mi ktoś, kto będzie próbował ze mną rozmawiać. Potrzebuję kogoś, kto mnie wysłucha. Jeśli mi przerwiesz, odłożę słuchawkę...*

Frank milczał. Wszystko, byle tylko zatrzymać go przy aparacie, żeby ludzie na dole mieli czas namierzyć połączenie.

- *Nic się nie zmieniło. Jestem kimś i nikim i nic nie jest w stanie mnie zatrzymać. Wszystko jest jak przedtem. Księżyc i psy. Psy i księżyc. Nie będzie tylko muzyki. Ja wciąż jestem tutaj i ty doskonale wiesz, co robię. Ja zabijam...*

Połączenie urwało się. Dokładnie w tej samej chwili Morelli wpadł jak furia.

- Mamy go, Frank. Dzwoni z komórki. Na dole czeka już na nas samochód z urządzeniem do namierzania satelitarnego.

Frank wstał i ruszył korytarzem za Morellim. Zbiegli po schodach po cztery stopnie. Wypadli z holu jak wystrzelone naboje, niemal powalając na ziemię dwóch funkcjonariuszy, którzy wchodzili po schodach w odwrotnym kierunku.

Drzwiczki nie zostały jeszcze dokładnie zamknięte, a samochód już ruszył z piskiem opon. Frank zobaczył, że prowadzi ten sam kierowca, co owego ranka, kiedy znaleziono ciało Allena Yoshidy. Był znakomitym szoferem i Frank ucieszył się, że to on siedzi za kierownicą.

Obok kierowcy siedział funkcjonariusz w cywilu i obserwował monitor, na którym wyświetlony był plan miasta. Pośrodku szerokiej ulicy nad brzegiem morza widać było czerwony punkt.

Morelli i Frank wychylili się do przodu, próbując zobaczyć, co się da, wzajemnie sobie nie przeszkadzając. Funkcjonariusz wskazał palcem czerwony punkt, który teraz zaczął się przesuwać.

- To komórka, właśnie z niej wyszło połączenie. Zidentyfikowaliśmy je dzięki współrzędnym satelitarnym. Znajduje się w Nicei, mniej więcej na placu Ile de Beauté. Mamy szczęście, bo z tej strony miasta wjeżdżamy. Najpierw punkt był nieruchomy, teraz się przemieszcza, ale z prędkości wynika, że osoba dzwoniąca idzie pieszo.

Frank zwrócił się do Morellego.

- Dzwon do Frobena, wyjaśnij mu sytuację. Powiedz, że jedziemy i żeby oni też się ruszyli. Utrzymuj z nim łączność, tak żebyś mógł informować go o ruchach obiektu.

Kierowca dosłownie frunął.

- Jak się nazywasz? - zapytał Frank.

Funkcjonariusz odpowiedział spokojnym głosem, jakby jechał na spacer, a nie jak wystrzelony z armaty.

- Xavier Lacroix.

- Dobrze, Xavier, obiecuję ci, że jeśli ta sprawa znajdzie pozytywne zakończenie, uczynię wszystko, żeby zapewnić ci przyszłość w świecie rajdów samochodowych.

Xavier nic nie odpowiedział, ale być może w efekcie uznania dla swoich zasług, jeszcze mocniej docisnął gaz. Kiedy Morelli rozmawiał w podnieceniu z Frobenem, Frank znów zaczął obserwować czerwony punkt na ekranie. W tej chwili migotał.

- Co to znaczy?

Funkcjonariusz odpowiedział, nie odwracając się.

- Dzwoni.

- Czy można usłyszeć, co mówi?

- Przez ten aparat nie. To zwykły wykrywacz sygnału.

- Nieważne. Wystarczy wiedzieć, gdzie znajduje się ten skurwysyn.

Przejechali dolną corniche z szybkością, której pozazdrościłby im każdy fiński mistrz rajdów. Pilot - Frank uważał go za absolutnie godnego tego określenia - prowadził tę strzałę pośród ruchu miejskiego z przytomnością zdradzającą autentyczny talent.

- Froben pyta, gdzie jest...

- Na rue Cassini... Teraz zatrzymał się. Znowu dzwoni. Przy wjeździe na plac utworzył się nieduży korek. Lacroix wyminął go, jadąc przez chwilę bez zmrużenia oka pod prąd, i pędził teraz rue Cassini, jakby zakwalifikował się do Grand Prix. Funkcjonariusz przed monitorem dawał wskazówki, które Morelli przekazywał wozom policji nicejskiej.

- Skręć tu, w lewo. Teraz w górę ulicą Emanuela Philiberta.

- Emanuela Philiberta - powtórzył Morelli.

- Teraz w prawo. Rue Gauthier.

- Rue Gauthier - głos Morellego zabrzmiał jak echo.

Skręcili w prawo praktycznie na dwóch kołach. Kiedy dotarli w głąb krótkiej ulicy pełnej zaparkowanych po bokach samochodów, kilka wozów policyjnych ustawionych promieniście blokowało już skrzyżowanie z rue Segurane. Umundurowani policjanci tworzyli krąg kilka metrów od samochodów. Jeden z nich wracał w stronę auta, wkładając pistolet do kabury. Ich wóz zatrzymał się w pobliżu pozostałych. Wysiedli i w mgnieniu oka dołączyli do kolegów. Dostrzegł ich Froben.

Spojrzał na Franka i rozłożył ręce z wyrazem kogoś, kto wdepnął właśnie w wielkie gówno.

Pośrodku, otoczony policjantami, stał dwunastoletni może chłopak w czerwonej koszulce, w spodniach za kolana, które świetnie wyglądałyby na Spike'u Lee i w butach Nike na nogach. W dłoni trzymał komórkę.

Popatrzył po kolei na policjantów, zupełnie niewystraszone. Uśmiechnął się, odsłaniając złamany siekacz, i wyrzucił z siebie entuzjastyczny komentarz.

- Mocne, kurwa!

Była prawie druga w nocy, kiedy Hudson McCormack podjechał do przystani portu w Fontvieille i zatrzymał się przed zacumowaną między dwiema żaglówkami dużą łodzią kabinową o osłonach obitych niebieską tkaniną. Zsiadł ze skutera i oparł go na nóżce, po czym zdjął kask. Wypożyczył właśnie ten środek lokomocji zamiast samochodu, ponieważ uważał, że nadaje się zdecydowanie bardziej do ruchu ulicznego w Monte Carlo. Latem miasto było chaotyczne samo w sobie i mimo mnogości parkingów poruszanie się autem było prawdziwą udręką.

Na dodatek, z okazji regat, port w Fontvieille był nieopisaną płataniną ludzi i pojazdów z obsługi, kręcących się między ekipami, dziennikarzami, sponsorami i ich przedstawicielami. Należało do tego dodać obecność nieuniknionych kibiców i ciekawskich.

Każda zmiana miejsca okazywała się gymkhaną o nieokreślonym czasie, tak więc skuterem najłatwiej było prześlizgnąć się przez ogólny bałagan. Poza tym kask i okulary były wystarczającą maską, żeby uniknąć rozpoznania i zatrzymywania na każdym kroku przez kogoś pragnącego poznać nowiny dotyczące ich łodzi.

Patrząc na ogromną łódź kabinową, Hudson McCormack pomyślał o wiecznym podziale na żaglówki i motorówki, który od zawsze wzbudzał zażarte, barowe dyskusje między miłośnikami jednej i drugiej dyscypliny. On uważał ten podział za jałowy i z gruntu niewłaściwy. Wszystkie były łodziami motorowymi. Tylko, po prostu, żaglówka nie miała tradycyjnego napędu, nie była grą mechanizmów korbowych, cylindrów, tłoków i paliwa, umieszczonych gdzieś pod podwoziem. Jej motorem był wiatr. Jak wszystkie motory, trzeba go było zrozumieć, analizować, regulować jego pulsowanie, wiedzieć, jak wykorzystać go najlepiej w naturalnym ustawieniu.

Ile razy, śledząc zawody automobilowe, którymi się pasjonował, widział silnik pilota wybuchający nagle z białym kłębem dymu, a potem jednoosobowy samochód zjeżdżający smutno na bok toru, podczas gdy wszystkie pozostałe go mijały, kierowcę

wysiadającego z kabiny i pochylającego się, żeby zajrzeć do środka i sprawdzić, który szczegół go zdradził.

W ich przypadku było tak samo. Również kadłub łodzi regatowej poddany był kaprysom motoru, wiatru, który krążył, zmieniał kierunek, wzmagał się albo słabł według własnego uznania. I tak, nagle, bez żadnego uprzedzenia, można się było znaleźć z oklapniętymi żaglami, gdy tymczasem kilkadziesiąt metrów dalej łódź przeciwnika płynęła na pełnej szybkości, z kolorowym spinakerem tak wydętym, że zdawało się, iż w każdej chwili może pęknąć.

Czasami zdarzało się, że żagiel rozrywał się z hałasem przypominającym rozpinanie olbrzymiego zamka błyskawicznego. Wtedy następował zaprogramowany chaos, podniecenie związane z wymianą uszkodzonego żagla, polecenia kapitana, instrukcje taktyczne, gorączkowa krzątanina członków załogi, którzy poruszali się na rozhuśtanej, kołyszącej się scenie.

Hudson McCormack nie miał jakiegoś osobistego uzasadnienia dla tego wszystkiego, wiedział tylko, że to kocha. Właściwie nie wiedział, dlaczego czuł się dobrze, będąc na morzu, ale kompletnie go to nie obchodziło.

Szczęścia się nie analizuje, tylko przeżywa. Wiedział, że na łodzi jest szczęśliwy, i to mu wystarczało.

Naszło go nagle podniecenie związane ze zbliżającymi się regatami. Grand Mistral było rodzajem antycypacji Louis Vuitton Cup, zawodów, które miały się odbyć pod koniec roku. Przy tej okazji odsłaniano i tasowano karty. Załogi i łodzie, spotykając się ze sobą, miały sposobność przetestować na polu walki jakość żaglówek i nowinek przygotowanych przez projektantów, żeby stanowić coraz większą konkurencję. Dokonywano porównań i podsumowań. Było jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby wprowadzić konieczne poprawki przed regatami, które wszyscy uważali za najważniejsze, najbardziej prestiżowe.

Na Grand Mistral mieli być wszyscy. Uznane załogi i debiutanci, *absolute beginners*, jak „Mascalzone Latino”, nowa łódź włoska. Jediną znaczącą nieobecnością była sponsorowana przez Pradę żaglówek „Luna Rossa”, która postanowiła kontynuować treningi w Punta Ala.

Oni umieścili swoją łódź „Try for the Sun”, z całym ekwipunkiem, w hangarze na morzu, przygotowanym do holowania i wodowania, który wynajęli w okolicach Cap Fleuri, kilka kilometrów od Fontvieille. Na miejscu ulokowano posługaczy i pracowników fizycznych, w warunkach trochę spartańskich, ale funkcjonalnych. Mieli

oni pilnować łodzi dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie dopuścić, żeby niedyskretne oczy dostrzegły szczegóły, które miały zostać utrzymane w tajemnicy. W żeglarstwie, podobnie jak w automobilizmie, rewolucyjny pomysł mógł stanowić o różnicy między triumfem a porażką. Pomysły miały jednak tę istotną wadę, że łatwo je było skopiować, i dlatego każdy próbował trzymać jak najbardziej w ukryciu szczegóły łodzi, które były autentyczną Formułą 1 żeglarstwa.

Oczywiście, miały tę przewagę, że duża część ich aerodynamiki, by ją tak nazwać, była zanurzona. Jednak w świecie ludzi zdarzały się ludzkie rzeczy.

Istniały respiratory, istniały podwodne aparaty fotograficzne i żyli na świecie osobnicy bez skrupułów. Jakiś mniej doświadczony „łodziarz” - Hudson McCormack pogratulował sam sobie wymyślenia tego terminu - mógł wziąć pewne obawy za przesadną ostrożność.

Tymczasem były to rzeczy zdarzające się w środowisku, w którym w grę wchodziły dosyć poważne interesy ekonomiczne, poza oczywiście chwałą zwycięstwa. Nie bez powodu każda łódź techniczna miała na swoim pokładzie respirator ARO, taki, który działa na tlen, a nie na powietrze, wynaleziony podczas drugiej wojny światowej i używany przez podwodnych napastników. Skonstruowany został przy pomocy obiegu dwutlenku węgla, według systemu, który pozwalał zbliżyć się do nieprzyjacielskich statków, nie demaskując swojej obecności wypływającymi na powierzchnię pęcherzykami powietrza.

Na morzach czarna flaga z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami od dawna przestała powiewać na najwyższym maszcie, ale piractwo trwało. Korsarze wciąż żyli i nadal łupili na siedmiu morzach.

Nie było już królów i królowych rozdających karawele, tylko sponsorzy rozdzielający miliony dolarów. Inni ludzie, inne łodzie, ale motywacje pozostawały wciąż te same. Po prostu pośliniony palec sprawdzający kierunek wiatru zastąpiono wyrafinowanym systemem prognozowania pogody.

Załoga „Try for the Sun”, do której należał, ulokowana została na dużym jachcie w barwach sponsora, zacumowanym w porcie Fontvieille. Wybrali takie rozwiązanie z powodów reprezentacyjnych. Finansująca tę przygodę marka międzynarodowej spółki tytoniowej zamierzała wyciągnąć maksymalny zysk z reklamy. Hudson uważał, że przy takim zaangażowaniu środków miała do tego pełne prawo.

Fotografie poszczególnych członków załogi pojawiły się już we wszystkich najważniejszych pismach branżowych. Nie było periodyku zajmującego się żeglarstwem albo jachtingiem, który nie zamieściłby serwisu na temat ich łodzi i ekipy. Z każdym z zawodników przeprowadzono osobny wywiad opisujący ich poprzednie doświadczenia.

Z okazji przyjazdu załogi do Monte Carlo w najważniejszych dziennikach wykupiono całe strony reklamowe, które musiały kosztować krocie. Hudson zauważył z pewną przyjemnością, że zdjęcia reprodukowane na marnym papierze gazetowym nie wyglądały jak pospolite fotografie z łapanek na handlarzy narkotyków. Szczególnie on prezentował się zdecydowanie korzystnie. Z wydrukowanej strony spoglądała na niego twarz o szczerym, naturalnym uśmiechu, a nie jedna z tych pustych min jak ze zdjęcia ślubnego.

Zresztą, on rzeczywiście miał taką twarz i taki uśmiech, jeden z tych, które nie pozostawiają obojętną płęć piękną.

Wieczorna gala, z której właśnie wracał, była tego oczywistym dowodem.

Oficjalną prezentację łodzi i załogi zorganizowano w Sporting Club d'Eté. Wszyscy członkowie ekipy wystąpili w swoich kolorowych uniformach, dużo bardziej eleganckich, zdaniem Hudsona, od smokingów i wieczorowych sukni osób uczestniczących w przyjęciu. W pewnym momencie prowadzący galę poprosił o chwilę uwagi: zmyślna gra świateł, efektowny tusz w wykonaniu perkusisty z orkiestry i zawodnicy wbiegli z dwóch stron sali. Ustawili się rzędem przed publicznością, a na telebimie za ich plecami pojawiły się obrazy treningów na „Try for the Sun”, w tle zaś rozbrzmiewało *We Are the Champions Queen*, zaaranżowane na tę okazję z maksymalnym wykorzystaniem smyczków, przywołujących szum wiatru w żaglach.

Zostali kolejno przedstawieni i każdy z nich odebrał swoją osobistą porcję oklasków, robiąc krok do przodu, kiedy wywołano jego nazwisko. Mężczyźni wyszkoleni, silni, zręczni i sprytni: elita tego, co można było spotkać w tym sporcie. Przynajmniej tak zostali określani i przez chwilę miło było w to wierzyć.

Po kolacji wszyscy przenieśli się do dyskoteki w klubie Jimmy'z. Byli sportowcami i zazwyczaj tak się zachowywali. Ich mentalność i postawę można było w skrócie opisać starym, dobrym powiedzeniem: „Wcześniej w łóżku, wcześniej na nogach”.

Nazajutrz nie mieli jednak wypływać na morze i kierownictwo ekipy pomyślało, że nieco umiarkowanej zabawy może tylko poprawić morale drużyny.

Hudson założył łańcuch na skuter. Duży łańcuch, osłonięty czerwonym, przezroczystym plastikiem pod kolor karoserii. Zapewniono go, że Monte Carlo nie jest miejscem, gdzie należy obawiać się kradzieży, ale przyzwyczajenie było silniejsze. Od zawsze mieszkał w Nowym Jorku, gdzie byli ludzie zdolni ściągnąć ci slipy bez dotykania spodni. Pewien rodzaj przezorności nie należał do jego nawyków, ale był już częścią jego DNA.

Stał samotnie na moło przed wielkim jachtem oświetlonym jedynie lampami sygnalizacyjnymi, na którym nie było żadnego ruchu. Zapalił papierosa i uśmiechnął się. Ciekawe, co powiedzieliby szefowie międzynarodowej spółki, która wykladała pieniądze na łódź, gdyby zobaczyli, że pali papierosy konkurencyjnej marki. Odszedł kilka kroków, zostawiając jacht za plecami, żeby w świętym spokoju dokończyć papierosa. Osoba, na którą czekał, o ile znał kobiety, nie pojawi się wcześniej niż za pół godziny, w najlepszym razie za dwadzieścia minut.

Przez cały wieczór rozmawiał z Sereeną, dziewczyną z Nowej Zelandii poznaną przypadkowo na przyjęciu. Nie zrozumiał dobrze powodu jej obecności w Monte Carlo, poza tym, że wiązało się to z regatami. Nie należała do zespołu żadnej z łodzi, który poza właściwą załogą i rezerwowymi obejmował zazwyczaj całą serię postaci pożytecznych i potrzebnych: techników, projektantów, rzeczników prasowych, trenerów i masażystów.

Niektórzy zabrali ze sobą nawet psychologa. Chodziło o łódź niespecjalnie konkurencyjną, więc powszechna złośliwość uznała, że jego zadaniem było nie tyle nabuzować chłopaków przed zawodami, co pocieszyć ich potem...

Prawdopodobnie Sereena była jedną z wielu bogatych dziewcząt, które jeździły po świecie dzięki rodzinnym pieniądзом, udając, że interesują się tym czy tamtym. W danym wypadku żeglarstwem.

Wiesz, wiatr we włosach i odgłos dziobu, który pruje fale, i to poczucie wolności, które...

Słowem, takie tam nawijki.

Hudson nie był zazwyczaj nadmiernie wrażliwy na damskie wdzięki. O Boże, nie to, że nie podobały mu się kobiety. Był pod tym względem najzupełniej normalny, a piękna dziewczyna stanowiła zawsze dobry sposób na spędzenie czasu, szczególnie jeśli miała dar iskrzenia, który odróżnia człowieka od zwierzęcia. Miał przygody w Nowym Jorku, satysfakcjonujące, acz niezobowiązujące związki, zgodnie z milczącą umową o wzajemnej pomocy. Nic, co by mu przeszkadzało wyjechać z dnia na dzień

na regaty, bez konieczności nadmiernych wyjaśnień, bez łez i chusteczek powiewających na molo, trzymany przez dziewczynę, która cię żegna ze zbolalym wyrazem twarzy, oznaczającym „dlaczego mi to robisz?”. Oczywiście, kobiety mu się podobały, ale nie uważał się za opętańca, polującego nieustannie na kolejne zdobycze.

Ten wieczór był jednak szczególny. Słowem, światła, ludzie, brawa, trochę zupełnie zrozumiałego narcyzmu...

Był tam, zajęty jedną z rzeczy, które kochał najbardziej na świecie, w jednym z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Można się było w to zaangażować. Nie ukrywał, że Monte Carlo wywierało na nim, Amerykaninie z krwi i kości, nieodparty urok. Było to piękne i wyjątkowe miejsce, a poza tym te wszystkie historie z książętami i księżniczkami...

Na dodatek oczy Sereeny nie zdawały się całkowicie pozbawione owego iskrzenia, które lubił, a jednocześnie, pod lekką wieczorową suknią, para mistrzowskich cycuszków robiła rączką „ciao ciao”. A właściwie brodawkami.

Były powody, żeby uśmiechać się do życia.

Pogawędzili trochę na różne tematy. Przede wszystkim o żeglarstwie, *of course*.

Takie pogaduszki z przystani, kto jest kim i co robi. Potem rozmowa przeszła na inny temat, o którym Hudson wiedział coś mgliście, na historię tego mordercy, który kręcił się po Księżstwie, masakrując ludzi. Dziewczyna była tym niesłychanie podekscytowana. Sprawa ta zepchnęła wręcz na drugi plan regaty. Ten zbrodniarz zabił jakieś dziewięć czy dziesięć osób, dobrze nie wiadomo. Pozostawał wciąż na wolności, stąd natrętna obecność policji na ulicach miasta.

Hudson pomyślał instynktownie o swoim łańcuchu do skutera. To ci dopiero miasto, gdzie nie trzeba obawiać się przestępców...

W miarę pogłębiania znajomości pojawił się w spojrzeniu Sereeny krzepiący, bardzo biblijny wyraz, który mówił: „Pukajcie, a zostanie wam otworzone”. I Hudson, między kolejnymi kieliszkami szampana, zapukał, trzymając niejako hipotetycznie Biblię w drugiej ręce. Po kilku minutach zastanawiali się już, co oni właściwie tam robią, pośród wszystkich tych ludzi, którzy kompletnie ich nie obchodzą.

Oto dlaczego spacerował teraz w tę i we w tę po molo portu w Fontvieille o tak późnej porze. Opuścili dyskotekę niemal zaraz po odkryciu, że ich przeznaczenie nie jest związane z tym miejscem. Postanowili, że on pojedzie do portu zostawić skuter, a ona przyjedzie po niego samochodem. Sereena wyjawiała, że jest posiadaczką kabrioletu, i zaproponowała nocną przejażdżkę wzdłuż wybrzeża.

Słowem, rodzaj lądowej regaty, wolni i szczęśliwi z wiatrem we włosach. Znając mężczyzn, a także kobiety, pomyślał sobie, że ich tour skończy się, zanim jeszcze zdąży się zacząć, w jej pokoju hotelowym. Nie to, żeby miało mu być z tego powodu przykro, przeciwnie...

Wrzucił niedopałek do morza i zawrócił w stronę jachtu. Wszedł na pokład w absolutnej ciszy, słysząc, jak kładka z drewna tekowego i aluminium skrzypi mu pod nogami. Na łodzi nie było nikogo. O tej porze marynarze spali jak susły. Zszedł do swojej kabiny, ulokowanej bezpośrednio obok kajuty Jacka Sundstroma, skippera. Dwie kajuty obok Johna wybrane zostały losowo. On i John Sikorsky, taktyk, przegrali. Jack był uroczym chłopakiem, ale miał jedną straszliwą wadę. Chrapał tak głośno, że zdawało się, jakby to były zawody gokartów. Każdy, kto spał z nim w jednej kajucie albo obok, jeśli miał płytki sen, musiał sięgać po zatyczki do uszu.

Z sąsiedniej kabiny nie dochodził żaden hałas, co oznaczało, że Sundstrom jest jeszcze na przyjęciu albo śpi. Hudson zdjął marynarkę od oficjalnego uniformu. Miał zamiar się przebrać i włożyć coś mniej rzucającego się w oczy. Czym innym był bankiet, a czym innym wyjście na spacer w kolorach egzotycznej ryby z akwarium.

Włożył granatowe płócienne spodnie i białą koszulę podkreślającą opaleniznę. Zdecydował, że buty mogą zostać. Było to obuwie żeglarskie, niesamowicie wygodne i przewiewne. Nie uważał, że musi uwypuklać specjalnie swoją amerykańskość parą butów kowbojskich.

Spryskał się perfumami. Patrząc w lustro, powiedział sobie, że odrobina zdrowej, uczciwej męskiej próżności może tylko dodać tej nocy trochę pieprzu.

Zszedł z łodzi, próbując robić jak najmniej hałasu. Marynarze, ci prawdziwi, ci, którzy ciężko pracują i patrzą na załogi żaglówek biorących udział w regatach jak na rozpieszczone i leniwe cioty, byli zazwyczaj wyjątkowo drażliwi wobec tych, którzy zakłócali ich zasłużony odpoczynek.

Znów znalazł się sam na moło.

Sereena, co zrozumiała, postanowiła wpaść do hotelu i też się przebrać, zanim po niego przyjedzie. Wieczorowa suknia i buty na wysokim obcasie nie wydawały się właściwym strojem na dalszy ciąg wieczoru, jakkolwiek miał się on zakończyć. Prawdopodobnie całkiem naturalna odrobina kobiecej próżności miała inne parametry i dziewczyna potrzebowała więcej czasu, żeby ją zaspokoić.

Spojrzał na zegarek i wzruszył ramionami. Uznał, że nie ma żadnego powodu, żeby kontrolować godzinę. Nazajutrz będzie miał cały dzień do dyspozycji, a to zakładało pewną skłonność do leniuchowania.

Do pewnego stopnia...

Hudson McCormack zapalił kolejnego papierosa. Jego obecność w Monte Carlo przewidywała również obowiązki niezwiązane ściśle z regatami. Klasyczne dwie pieczenie przy jednym ogniu. Miał porozmawiać z dyrektorami banków i spotkać się z paroma innymi osobami, które miały swoją rację bytu w Europie. Byli to ludzie bardzo, ale to bardzo ważni dla jego przyszłości. Przeciągnął dłonią po gładkiej jeszcze brodzie, starannie ogolonej z okazji ważnego wydarzenia. Hudson McCormack dobrze wiedział, co robi, i był całkowicie świadomy ponoszonego ryzyka. Ktokolwiek widziałby w nim po prostu przystojnego amerykańskiego chłopaka, zdrowego, atletycznego pasjonata sportu, popełniałby karygodny błąd. Za jego ujmującym wyglądem krył się błyskotliwy i niezwykle praktyczny umysł.

To przede wszystkim: niezwykle praktyczny.

Doskonale wiedział, że nie jest stworzony, by zostać księciem palestry. Nie dlatego, że nie był uzdolniony: po prostu nie chciało mu się czekać. Nie miał ochoty zamęczać się, próbując wyciągać z ojczystych więzień przestępców, którzy mieli wszelkie dane, żeby tam przebywać. Od dawna podejrzewał, że skończył kierunek studiów niezgodnych z jego naturą, dlatego nie miał najmniejszego zamiaru zaharowywać się przez całe życie, mając do czynienia ze społecznymi mętami, nieważne jakiego szczebla.

Nie chciał doczekać sześćdziesięciu pięciu lat i znaleźć się na polu golfowym ze starymi, bogatymi przykami, uważając, żeby sztuczna szczeka nie wypadła mu na trawę przy uderzaniu piłeczki. On chciał rzeczy, które go interesowały teraz, w wieku trzydziestu trzech lat, kiedy ciało i umysł były w stanie wesprzeć go w zaspokajaniu pragnień.

Hudson McCormack miał jeszcze inny kierunkowskaz w swojej życiowej filozofii. Nie był pazerny. Nie interesowały go wille, helikoptery, przesadne sumy pieniędzy, władza. Przeciwnie, wszystkie te rzeczy oznaczały dla niego bardziej rodzaj więzienia niż synonim sukcesu. Menadżerowie o kosmicznym zasięgu, sypiający dwie godziny na dobę, spędzający całe dnie na kupowaniu lub sprzedawaniu akcji czy czego tam przez telefon, wzbudzali w nim głębokie uczucie litości. Niemal wszyscy lądowali potem w sali reanimacyjnej z zawałem serca, nie wiedząc, jak tam trafili, i

zastanawiając się, jak to możliwe, że mimo całej władzy i pieniędzy, nie byli w stanie kupić sobie jeszcze trochę czasu.

Młody adwokat Hudson McCormack nie znajdował żadnej satysfakcji w możliwości dysponowania losem innych ludzi: wystarczyło mu, że jest jedynym panem swojego.

A żaglówka stanowiła w pełni jego ideał życia. W jego przypadku naprawdę chodziło o ten wiatr we włosach i odgłos dziobu prującego fale, a także o swobodę wyboru kursu, jakiegokolwiek, zależnie od kaprysu chwili...

Znów wyrzucił niedopałek do morza. W ciszy zdołał usłyszeć lekki syk, z jakim zgasł w wodzie.

Żeby robić to, co zamierzał robić, potrzebował pieniędzy. Dużo pieniędzy. Nie jakąś ogromną ilość, ale poważną sumę. I istniał jedyny sposób, żeby szybko je zdobyć. Obejść prawo. Używał tego właśnie terminu. Mały sofizmat. Nie złamać prawa, ale je obejść. Kroczyć po linii, przy brzegu, w taki sposób, żeby móc się odwrócić, kiedy ktoś zawoła, pokazując twarz grzecznego chłopca i odpowiedzieć z niewinną miną: „Kto, ja?”. Ryzyko istniało, nie mógł tego ukryć, ale ocenił je we wszystkich możliwych niuansach. Zbadał sytuację wzdłuż i wszerz, z góry na dół i po przekątnej: ryzyko było w sumie do przyjęcia. Fakt, że w grę wchodziła historia z narkotykami, a z tym nie ma żartów. Jednak ten konkretny przypadek był szczególny, bardzo szczególny, jak zawsze się zdarzało, kiedy szło o całe góry dolarów.

Wszyscy doskonale wiedzieli, gdzie produkuje się narkotyki, gdzie się je oczyszcza i do czego służą. Całe państwa opierały swoją gospodarkę na różnych proszkach, które w miejscu pochodzenia kosztowały niewiele więcej od talku kosmetycznego, a w miejscu docelowym sprzedawane były z narzutem pięciu albo sześciu tysięcy procent.

Różne trasy przetrzutu były przedmiotem straszliwej wojny podziemnej, nie mniej okrutnej i zorganizowanej jak autentyczne bitwy. Również tam byli żołnierze, oficerowie, generałowie i stratedzy, którzy działali w cieniu, ale byli równie sprawni i zdeterminowani. Skrzynkami kontaktowymi dla tych wszystkich armii byli ludzie, którzy z prania brudnych pieniędzy związanych z tym handlem, uczynili swoją zawodową specjalizację. Świat biznesu nie był do tego stopnia rygorystyczny, żeby odwrócić się plecami do kogoś, kto pojawiał się, trzymając w ręku trzy albo cztery miliardy dolarów, jeśli nie więcej.

Latały samoloty z oznaczeniami regularnych armii, opłacane narkotykami. Tym samym systemem niektóre marynarki wojenne kupowały paliwo dla swoich niszczycieli. Każdy nabój wystrzelony z kałasznikowa przez mniej lub bardziej regularnych żołnierzy w niektórych częściach świata odpowiadał strzałowi w żyłę jakiegoś narkomana w innej części świata. *Tego samego świata.*

Hudson McCormack nie był aż takim hipokrytą, żeby udawać niewiniątko. Wiedział, że robiąc to, co robi, staje pełnoprawnie w szeregu sukinsynów niszczących tę planetę. Było to stwierdzenie proste, acz konieczne, a on nie miał najmniejszego zamiaru uchylać się przed własnym, bezlitosnym osądem. Była to tylko kwestia bodźców, odważników na wadze. To, czego chwilowo pragnął, znajdowało się na jednej szali i miało wartość wyższą od jakiegokolwiek argumentu, który mógł położyć na drugiej.

Rozważył drobiazgowo sytuację podczas długich wieczorów spędzonych w swoim mieszkaniu, analizując fakty z chłodem, z jakim analizuje się bilans regularnej spółki. Myślał, że wszystko przewidział, że wszystko wziął pod uwagę. Sądził, że w znaczący sposób ocenił i wprowadził na listę pewną liczbę okoliczności nieprzewidywanych. Jakich, nie wiadomo. Nie bez powodu nazywają się nieprzewidywane.

W najlepszym wypadku będzie miał do dyspozycji wystarczającą ilość pieniędzy, żeby wypuścić w morze dwie rzeczy: swoje sumienie i łódź, o jakiej marzył. Po czym będzie krążył po świecie, jak tylko zapragnie, wolny jak wiatr. Porównanie, które wcale nie wydawało mu się banalne, pasowało tu jak ulał. W najgorszym zaś razie, i kiedy o tym myślał, łapał się za jaja, konsekwencje będą w sumie do zaakceptowania. I na pewno nie tak katastrofalne, żeby całkowicie zniszczyć jego życie.

Zostawił sobie więcej niż jeden wykręt, co utrzymywało ryzyko w dopuszczalnych granicach, jeśli tego rodzaju ryzyko w ogóle mogło być dopuszczalne. Jak wszyscy, on też zorientował się, że ryzyko ma cenę. Jednak Hudson McCormack nie był tak zepsuty i tak pazerny, żeby stać się nieustraszonym i podnieść tę cenę do poziomu, jakiego nie byłby w stanie udźwignąć.

Pociągał za sznurki w grze, która wkrótce dostarczy na konto, które otworzył na Kajmanach, wyrównanie należności już w połowie potwierdzonej. Pomyślał o tym, który przelał tę sumę, o swoim kliencie Osmondzie Larkinie, przebywającym w tym momencie w więzieniu w Ameryce.

Człowiek ten głęboko go brzydził. Każde zawodowe spotkanie wzmagało to obrzydzenie. Jego twarz o świńskich, okrutnych oczkach, zachowanie kogoś, kto uważa, że świat jest mu coś winien, arogancki ton kogoś, kto myśli, że zawsze jest sprytniejszy od innych, przyprawiały go o mdłości. Jak wszystkie osoby, które uważają się za przebiegłe, Osmond Larkin był jednocześnie również głupcem. Jak wszyscy spryciarze, nie mógł się powstrzymać od popisywania się swoim sprytem i z tego właśnie powodu trafił do więzienia. Hudson chciałby rzucić mu to w twarz, wstać i wyjść z sali rozmów. Gdyby kierował się instynktem, złamałby wręcz tajemnicę zawodową i sam powiedział śledczym to, co chcieli wiedzieć.

Ale tego nie można było zrobić.

Poza osobistym ryzykiem, na jakie by się naraził i na jakie naraziłby osoby, które pomogły mu wejść w ten obieg, oznaczałoby to też wziąć pilota i wyłączyć telewizor, na którym był obraz wspaniałej żagłówki prującej fale z pięknym chłopakiem przy sterze...

Nie, nic z tego, mimo niechęci do Larkina. Coś musiał jednak znieść, jeśli chciał dostać to, czego pragnął.

Nie wszystko, powtórzył sobie, ale dużo i natychmiast.

Wrócił w stronę jachtu sponsora. Liczne łodzie zacumowane jedna obok drugiej okrywał półmrok. Większe były częściowo oświetlone, pozostałe zatopione w ciemności i w odbiciu innych światel.

Rozejrzał się dokoła. Molo opustoszało. Bary były zamknięte, plastikowe krzesła ustawione jedno na drugim, parasole okręcone wokół swoich podstaw. Uznał ten fakt za dziwny. Mimo późnej pory trwało lato, a letnie noce były zawsze pełne improwizujących na scenie aktorów. Przede wszystkim noce na Lazurowym Wybrzeżu. Przypomniła mu się historia seryjnego mordercy, którą opowiedziała mu Sereena. Czy to było powodem jego samotnej obecności na przystani? Może nikt nie miał przyjemności kręcić się tu, ryzykując mało pożądane spotkanie. Pomyślał, że kiedy ludzie się boją, zazwyczaj szukają towarzystwa innych, łudząc się, że wzajemnie się chronią.

W tym Hudson okazywał się wzorcowym mieszkańcem Nowego Jorku. W jego mieście, gdyby zagłębiać się w tego rodzaju rozważania, nigdy nie wychodziłoby się z domu...

Usłyszał dźwięk silnika zbliżającego się samochodu i uśmiechnął się. Sereena w końcu dotarła. Wyobraził sobie brodawki dziewczyny łaskotane jego palcami. Poczul

przyjemne ciepło w żołądku i satysfakcjonującą odpowiedź pod suwakiem spodni. Miał zamiar pod byle pretekstem poprosić ją, żeby pozwoliła mu prowadzić samochód. W trakcie oczekiwania skonstruował sobie w głowie bardzo intrygujący obraz. On, który z wiatrem we włosach pokonuje pogrążoną w ciemnościach górną corniche, prowadząc wolno kabriolet pośród aromatu pinii, podczas gdy sympatyczna nowozelandzka dziewczyna trzyma głowę pochyloną nad jego łonem, a jego ptaka w ustach.

Zwrócił się w stronę świateł miasta, po drugiej stronie mola, żeby wyjść jej naprzeciw. Nie usłyszał kroków mężczyzny, który nadchodził szybko za jego plecami, z tej prostej przyczyny, że zdawał się on synem samej ciszy.

Ramię, które chwyciło go za szyję, było jednak z żelaza, a ręka, która zasłoniła mu usta, zdawała się zrobiona z tego samego metalu. Cios noża zadany z góry na dół był precyzyjny i zabójczy, jak wiele razy wcześniej.

Trafił go prosto w serce.

Jego atletyczne ciało podwoiło swoją wagę i nagle opadło w ramiona zabójcy, który utrzymał je bez trudu.

Hudson McCormack umarł z obrazem Twierdzy Monako w oczach, niezaspokoiwszy swojej ostatniej, małej próżności. Nigdy się nie dowiedział, jak jego biała koszula, poza opalenizną, podkreśliła także czerwień jego krwi.

Stojąca na balkonie Helena odpowiedziała na uśmiech i pożegnalny gest dłoni syna, który wychodził przez furtkę bramy razem z Nathanem Parkerem i Ryanem Mosse'em. Brama zamknęła się z suchym trzaskiem i dom został pusty. Po wielu dniach po raz pierwszy zostawili ją samą i ten fakt bardzo ją zdziwił. Ojciec postępował według znanego jej planu, który był jednak dosyć niewyraźny w swoich zarysach i przejawach. Przyłapała Nathana i jego siepacza na rozmowie, którą na jej widok natychmiast przerwali. Odkąd związek Heleny z Frankiem był jawny, jej obecność stała się nagle podejrzana lub wręcz niebezpieczna. Nawet przez chwilę generał nie wziął pod uwagę ewentualności, żeby zostawić ją samą ze Stuartem. Dlatego została w domu wyłącznie w towarzystwie swojej udręki.

Przed wyjściem ojciec wydał Ryanowi Mosse'owi polecenie. Ten odłączył wszystkie aparaty telefoniczne i zamknął na klucz w pomieszczeniu na parterze. Helena nie miała komórki. Nathan Parker przemówił do niej krótko, tonem, którego używał w stosunku do córki i całego świata, kiedy nie dopuszczał sprzeciwu.

- Wychodzimy. Ty zostajesz tu, sama. Czy coś jeszcze mam powiedzieć?

Zinterpretował jej milczenie jako odpowiedź twierdzącą.

- Dobrze. Na wszelki wypadek przypominam ci: życie tego człowieka, tego Franka, zależy od ciebie. Jeśli twój syn nie jest na tyle ważny, żebyś zaczęła rozsądnie myśleć, to sądzę, że ta uwaga powinna odwieść cię od jakichkolwiek pochopnych działań.

Kiedy ojciec mówił, Helena przez otwarte drzwi mogła widzieć Stuarta i Mosse'a, którzy czekali na niego przed bramą.

- Wkrótce stąd wyjedziemy, kiedy tylko skończą to, co mam tutaj do zrobienia. Musimy zawieźć do domu ciało twojej siostry, która jak się zdaje, mało cię obchodzi. W Ameryce, zobaczysz, że wszystko się zmieni, minie ci to głupie oczarowanie tym zerem...

Kiedy wrócił z Paryża, a ona znalazła odwagę, żeby rzucić mu w twarz prawdę o swoim związku z Frankiem Ottobre, Nathan Parker oszalał. Nie chodziło na pewno o zazdrość w stosunku do niej, o tradycyjną zazdrość, zrozumiałą w przypadku ojca i córki. Nie chodziło nawet o haniebny pociąg mężczyzny wobec swojej kochanki, ponieważ, jak powiedziała Frankowi, od lat nie zmuszał jej już do stosunków.

Okres ten, dzięki Bogu, zdawał się należeć do przeszłości. Wystarczyło, że przez chwilę pomyślała o rękach tego człowieka na swoim ciele, żeby poczuć obrzydzenie, które jeszcze teraz, po tylu latach, budziło w niej nieodpartą potrzebę zmycia tego brudu. Jego zainteresowanie minęło zaraz po narodzinach dziecka. A nawet jeszcze wcześniej, kiedy wyznała mu wśród łez, że jest w ciąży.

Pamiętała oczy ojca, kiedy powiedziała mu o swoim stanie i zakomunikowała, że zamierza przerwać ciążę.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Nathan Parker z niedowierzaniem, jakby to jej intencje, a nie sama ciąża były czymś odrażającym.

- Nie chcę tego dziecka. Nie możesz mnie zmusić, żebym je miała.

- Nie będziesz mi mówić, co mogę robić, a czego nie. To ja mówię to tobie. I ty nic nie zrobisz. Zrozumiano? N-i-c! - powiedział jej dobitnie prosto w twarz.

Po czym wydał swój wyrok.

- Będziesz miała to dziecko.

Helena chciała rozpruć sobie brzuch i własnymi, krwawiącymi rękami wyciągnąć to, co nosiła w środku. Być może ojciec, przeklęty ojciec jej syna, słyszał te myśli. Może wyczytał je z jej twarzy. Faktem jest, że od tamtej pory nie została sama nawet na chwilę.

Żeby uzasadnić w oczach świata ciążę i narodziny Stuarta, wymyślono absurdalną historię z małżeństwem. Nathan Parker był potężnym człowiekiem, bardzo potężnym. Kiedy w grę wchodziło bezpieczeństwo narodowe, praktycznie wszystko mu było wolno.

Wiele razy zastanawiała się, jak to możliwe, że żadna z osób obcujących z jej ojcem nigdy nie pojęła prawdziwego wymiaru jego obłądu. A przecież byli to ważni ludzie, deputowani, senatorowie, wysokiej rangi wojskowi, nawet prezydenci Stanów Zjednoczonych. Czy to możliwe, że żaden z nich, słuchając słów generała Nathana Parkera, bohatera wojennego, nie podejrzewał, że te słowa wychodzą z ust i mózgu szaleńca? Być może istniało wyjaśnienie, i to bardzo proste: banalne do ut des.

Jeśli nawet w Pentagonie czy w Białym Domu wiedziano o niezbyt budujących przejawach osobowości generała, dopóki konsekwencje pozostawały w domowych murach, mogły być tolerowane w zamian za usługi, jakie oddawał narodowi.

Po narodzinach Stuarta, wreszcie chłopca, jej ojciec zdawał się przytłoczyć ich oboje zaborczością, wykraczającą daleko poza jego maniackalne zachowanie, jego wynaturzony sposób kochania. Matka i syn nie byli istotami ludzkimi, ale czymś w rodzaju osobistej własności. Uważał ich za rzecz całkowicie i wyłącznie jego własnością. Zniszczyłby każdego, kto zagroziłby tej sytuacji, którą w swoim trzeźwym i totalnym obłędzie, uznawał za w pełni prawomocną.

Dlatego nienawidził Franka. Stał na jego drodze, przeciwstawiając mu osobowość równie silną. Mimo przeżyć, jakie Frank miał za sobą, Parker rozumiał, że jego siła nie jest chora, ale zdrowa. Nie pochodziła z piekła, tylko ze świata ludzi. Jako taki ośmielił się mu sprzeciwić. Odmówił pomocy, kiedy Parker do niego przyszedł, po czym zaatakował, kiedy powinien trzymać się z daleka.

A przede wszystkim, nie bał się go.

Dowód niewinności Mosse'a i jego uwolnienie, zmuszenie agenta FBI Franka Ottobre do publicznego przyznania się do błędu, Nathan Parker przyjął jako osobisty sukces. Teraz brakowało tylko schwytania zabójcy Arijane, żeby przypieczętować jego absolutny triumf. I Helena nie miała wątpliwości, że mu się to powiedzie. W każdym razie będzie próbował.

Helena pomyślała o Arijane. Życie przyrodniej siostry nie było dużo lepsze od jej losu. Ona i Arijane nie były córkami tej samej kobiety. Matka Heleny, której praktycznie nie znała, umarła na białaczkę, kiedy córka miała trzy lata. W owym czasie choroba była nieuleczalna i mimo środków ekonomicznych, jakimi dysponował mąż, w krótkim czasie odeszła. Zachowały się po niej zdjęcia i kilka filmów nakręconych amatorską kamerą, pokazujących nieco mechaniczne ruchy jasnowłosej, szczupłej kobiety o łagodnej twarzy, która uśmiechała się, trzymając na rękach małą córeczkę i stojąc u boku męża-władcy w mundurze.

Jeszcze teraz Nathan Parker mówił o jej śmierci jako o zniewadze ze strony losu. Helena miała wrażenie, że gdyby ojciec miał wyrazić krótko swoje uczucia związane ze śmiercią żony, użyłby jednego słowa: „niedopuszczalne”.

Helena wyrosła sama, w towarzystwie całego zastępu guwernantek, które następowały po sobie w coraz krótszych odstępach, w miarę jak dorastała. Była dzieckiem i nie miała powodu podejrzewać, że kobiety te, kiedy tylko poczuły

atmosferę tego domu, odkryły, kim naprawdę jest generał Parker i czego można się po nim spodziewać, mimo bardzo dobrego wynagrodzenia odchodziły dobrowolnie, zamykając za sobą drzwi z uczuciem ulgi.

Potem, bez żadnego uprzedzenia, Nathan Parker wrócił z długiego pobytu w Europie, gdzie był dowódcą czegoś związanego z NATO, przywożąc jako pamiątkę nową żonę, Hanneke, ciemnowłosą Niemkę o posągowym ciele i oczach zielonych i lodowato zimnych. Ojciec potraktował całą sprawę w swój zwykły, pospieszny sposób. Przedstawił córce kobietę o gładkiej, jasnej skórze, całkiem obcą, jako jej nową matkę. I tym pozostała na zawsze. Nie matką, ale obcą.

Wkrótce potem urodziła się Arijane.

Zaprzątnięty błyskotliwą karierą, generał zostawił sprawy domowe w rękach Hanneke, która pełniła swoje obowiązki z takim samym lodowatym chłodem, jaki zdawał się płynąć w jej żyłach. Kontakty między nimi miały charakter formalności, czasami wręcz uciążliwej. Helenie nie wolno było widzieć w siostrze dziecka. Arijane była inną małą, obcą osobą, z którą dzieliła ten sam dom, a nie towarzyszką, która mogłaby pomóc jej dorosnąć i której ona pomogłaby w tym samym. Do tego celu angażowane były guwernantki, nianie, wychowawczynie i prywatni nauczyciele.

Potem, kiedy Helena stała się wspaniałą nastolatką, miał miejsce epizod z tamtym chłopakiem, Andresem. Był on synem Bryana Jeffereau, ogrodnika, który zajmował się utrzymaniem parku wokół wielkiego domu Parkerów. Latem, w przerwie szkolnej, pracował z robotnikami, żeby „nabrać doświadczenia”, jak mawiał z dumą jego ojciec, kiedy mówił o tym Nathanowi Parkerowi. Generał zgadzał się z nim i kilkakrotnie nazwał Andresa „dzielnym chłopakiem”.

Andres był nieśmiałym chłopcem, spoglądającym na Helenę ukradkiem spod daszka czapki baseballowej, którą nosił, żeby osłonić się przed słońcem, kiedy wciągał na przyczepę obcięte gałęzie do wywózki.

Helena zauważyła jego niezręczne zaloty, złożone głównie ze spojrzeń i zakłopotanych uśmiechów. Przyjmowała je, nie okazując niczego w zamian, ale w środku czuła, że płonie. Andres nie był klasycznym przystojnym chłopakiem. Był typem, jakich wielu, ani ładnym, ani brzydkim, zachowującym się w sposób, który nagle, w jej obecności, stawał się niezdarne i nieskładne. Dla Heleny miał jednak pewien urok: był jedynym chłopakiem, z którym miała możliwość obcować. Po raz pierwszy się zadurzyła. Andres uśmiechał się do niej spleciony, ona odwzajemniała uśmiech, również się czerwieniąc. To wszystko. Pewnego dnia chłopak zebrał się na

odwagę i zostawił jej bilecik ukryty w krzewie magnolii, przyczepiony na gałęzi drutem osłoniętym zielonym plastikiem. Ona go stamtąd zabrała i wsunęła do kieszeni bryczesów. Później, kiedy leżała w łóżku, wyciągnęła karteczkę i przeczytała ją z sercem bijącym sto na godzinę.

Teraz, po tylu latach, nie pamiętała dokładnie słów, jakimi Andres Jeffereau wyznawał jej miłość, tylko rozczulenie, jakie wywołał w niej jego niepewny charakter pisma. Były to niewinne zdania siedemnastoletniego chłopca, młodzieńczo zakochanego w dziewczynie, którą postrzegał jako „księżniczkę z dużego domu” i tak ją traktował.

Hanneke, jej macocha, która sama nie żyła zgodnie z naukami, jakich udzielała, weszła nagle do pokoju bez pukania. Helena schowała bilecik pod kołdrę gestem zbyt szybkim, żeby nie wydał się pospieszny.

Macocha podeszła do łóżka i wyciągnęła do niej rękę.

- Co tam masz?

- Ale ja...

Kobieta tylko na nią popatrzyła, otwierając szerzej oczy. Policzki Heleny zaogniły się.

- Heleno Parker, wydaje mi się, że właśnie wydałam ci polecenie.

Helena wyciągnęła karteczkę i podała macosze. Hanneke przeczytała ją, nie zdradzając żadnych emocji, po czym złożyła i wsunęła do kieszonki bliźniaka, który miała na sobie.

- Cóż, sądzę, że powinno to pozostać naszą małą tajemnicą, jeśli nie chcemy sprawiać bólu twojemu ojcu...

Był to jej jedyny komentarz. Helena poczuła tak wielką ulgę, że nie przyszło jej do głowy, iż kobieta kłamie. Nazajutrz zobaczyła Andresa.

Spotkali się w stajni, gdzie Helena chodziła codziennie zajmować się swoim koniem, Mister Merlinem. Chłopak był tam przypadkiem albo postarał się, żeby się tam znaleźć, wiedząc, że prędzej czy później ona też się pojawi w stajni. Czerwony jak burak, podszedł do niej. Helena nie zauważyła wcześniej, że ma twarz usianą piegami. Andres przemówił do niej głosem tak wzruszonym, że ona, z powodu, którego nie potrafiła sobie wyjaśnić, nazwała go w duchu „pełnym wokalnych piegów”.

- Przeczytałaś liścik? Rozmawiali po raz pierwszy.

- Tak, przeczytałam.

- I co o nim myślisz?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Jest... jest piękny.

Bez uprzedzenia, chwytając odwagę w obie ręce, Andres pochylił się i pocałował ją w policzek.

Helena odwróciła głowę w bok i poczuła, że umiera. W drzwiach stajni, w świetle, stał jej ojciec, który widział wszystko, co się zdarzyło. Wszystko i tylko tyle.

Jej rówieśnik pocałował ją w policzek.

Rzucił się jak szalony na tego biedaka i uderzył go tak mocno w twarz, że rozkrwawił mu usta i nos. Po czym podniósł go z ziemi i cisnął nim jak gałązką o drzwi boksu Mister Merlina, który cofnął się z lekkim rżeniem przestachu. Krew kapłała z nosa Andresa na koszulę, tymczasem generał chwycił go za kołnierzyk i znów postawił na nogi.

- Chodź ze mną, mały łajdaku.

Zaciągnął Andresa przed front domu i rzucił go jak pusty worek pod nogi Bryana Jeffereau, który stał z otwartymi ustami, z sekatorem w ręku.

- Masz, Bryan, zabieraj swojego synalka i żebyście więcej się tu nie pokazywali, bo inaczej wniosę oskarżenie o próbę gwałtu!

Wściekłość Nathana Parkera nie dopuszczała sprzeciwu, a Jeffereau zbyt dobrze go znał, żeby się na to powazyć. Zabrał w milczeniu syna, swoich ludzi i narzędzia - i odszedł.

Helena nigdy więcej nie widziała Andresa Jeffereau.

Wkrótce potem swoje względy zaczął jej okazywać Nathan Parker.

Helena przeszła przez sypialnię, która wychodziła na mały balkon. Łóżko przecięte było na pół smugą światła. Przyjęła jako dobrą wróżbę, że część pozostająca w słońcu była tą, gdzie spał Frank, jedyna osoba na świecie, której odważyła się wyznać swój wstyd.

Wyszła z pokoju i zeszła piętro niżej.

Radosna myśl o niewielu szczęśliwych chwilach spędzonych z Frankiem nie wystarczała dla zatarcia wspomnień, tak odległych w czasie, ale wciąż na tyle silnych, żeby ranić ją, jak gdyby wszystko zdarzyło się wczoraj.

Nie ma wielu dziewcząt, które mogłyby rozpowiadać, że straciły dziewictwo z własnym ojcem, powiedziała sobie. Mam nadzieję, że nie ma ich wiele, mam nadzieję, na litość wszechświata, że jestem jedyna, choć na pewno tak nie jest...

Świat pełen był Nathanów Parkerów, o tym była przekonana. Tak samo jak była pewna, że świat pełen jest kobiet takich jak ona, biednych, przerażonych dziewcząt, wylewających łzy poniżenia i obrzydzenia w łózkach zbuczonych krwią i tym samym nasieniem, które je spłodziło.

Jej nienawiść była bezgraniczna. Wobec ojca i wobec siebie samej, że nie zdołała się zbuntować, kiedy był na to czas. Teraz jej usprawiedliwieniem był Stuart, dziecko, które kochała tak bardzo, jak nienawidziła jego ojca. Dziecko, za którego utratę zapłaciłaby kiedyś każdą sumę, a którego teraz nie chciałaby stracić za żadne skarby. Teraz był on, ale kto był wtedy? Jakkolwiek by się starała, nie potrafiła znaleźć żadnego alibi dla własnej słabości w obliczu przemocy ojca.

Czasami zastanawiała się, czy w niej samej, przyrośniętej do jej mózgu jak rak, nie ma identycznej, chorej miłości, jaka była w Nathanie Parkerze. Może poddawała się jego torturze, bo była jego córką i w jej żyłach płynęła ta sama krew, zarażona perwersją tego człowieka. Wiele razy się nad tym zastanawiała.

Paradoksalnie, jedna jedyna rzecz ocaliła ją przed szaleństwem. Świadomość, że nigdy to, co zmuszona była znosić, nie sprawiło jej przyjemności.

Hanneke coś musiała podejrzewać, ale Helena nigdy nie dowie się tego na pewno. Prawdopodobnie to, co wydarzyło się później, wywołane zostało tylko przez ogień, który ukrywała pod swoją lodowatą i formalną powłoką, ogień, którego nikt, być może nawet ona sama, nigdy nie zauważył.

W banalny i prozaiczny sposób, zostawiając list, o którym Helena dowiedziała się wiele lat później, uciekła z nauczycielem jazdy konnej odwiedzającym ich dom. Bez skrupułów porzuciła męża i córki. Oczywiście, jak wisienkę z tortu, zabrała ze sobą znaczną sumę pieniędzy.

W sprawie tej generał Nathan Parker zważał na jedną tylko rzecz: dyskrecję, z jaką wszystko się odbyło. Hanneke była prawdopodobnie dziwką, tyle że z klasą, ale nie była głupia. Gdyby publicznie poniżyła męża, konsekwencje mogły być katastrofalne. Człowiek ten prześladowałby ją przez cały czas i do końca świata, dopóki nie zdołałby się zemścić.

List, którego Helena nigdy nie przeczytała, prawdopodobnie służył właśnie temu: jeśli kobieta wiedziała o historii męża i pasierbicy albo coś podejrzewała, zaproponowała wymianę. Jej wolność i milczenie za taką samą wolność i milczenie. Umowa została cicho przypieczętowana. Z czasem, za pośrednictwem adwokatów, nastąpił rozsądny rozwód, który uporządkował sprawy.

Nikt, jak mówiono, nie zrobił sobie krzywdy.

Na pewno nie Nathan Parker, którego obojętność wobec żony stała się w ostatnim czasie całkowita, tak samo jak jego władza nad Heleną. Na pewno też nie Hanneke, która cieszyła się teraz pieniędzmi i kochankami, podróżując po całym świecie.

Zostawały dwie dziewczyny jako zakładniczki losu, żeby płacić za błędy, których nie popełniły. Arijane, wkrótce po uzyskaniu pełnoletności, odeszła z domu i po licznych tułaczkach trafiła do Bostonu. Konflikty z ojcem zaostrzały się w postępie geometrycznym, w miarę jak dojrzewała. Z jednej strony Helena potwornie się bała, że siostrę może spotkać to samo co ją. Czasami podglądała twarz ojca, kiedy rozmawiał z Arijane, żeby zobaczyć, czy w jego oczach zapala się takie samo światło, które ona nauczyła się rozpoznawać i które ją przerażało. Z drugiej strony modliła się, żeby tak się stało, żeby nie słyszeć więcej kroków ojca zbliżających się do jej pokoju w środku nocy, żeby nie czuć jego ręki unoszącej prześcieradła i ciężaru jego ciała w łóżku, żeby nie czuć...

Zamknęła oczy i zadrżała. Teraz kiedy poznała Franka i zrozumiała, co naprawdę mogą sobie przekazać dwie osoby poprzez stosunek fizyczny, w pełni pojęła wstręt i obrzydzenie do tego, co przeżyła przez wszystkie tamte lata.

Frank był drugim mężczyzną, z którym była w łóżku, pierwszym, z którym się kochała.

Na parterze dom skąpany był w słońcu. W żadnym miejscu na świecie nie było takiego światła. Gdzieś, tam w mieście, Frank żył w tym samym świetle i być może odczuwał taką samą pustkę. Czowała się tak, jakby jakaś maszyna wysysała z niej powietrze, a skóra przywierała bezlitośnie do kości, w nienaturalnej próbie implozji. A wszystko to działo się, kiedy walczyła w niej siła dokładnie odwrotna, niepoohamowane pragnienie wyładowania wszystkiego tego, co nosiła w sobie.

Helena przeszła przez korytarz prowadzący na przeszkloną werandę. Minęła drzwi pokoju, w którym zamknięte były telefony. Zatrzymała się kawałek dalej. Dokładnie w drzwiach, gdzie stała w tej chwili, ona i Frank wymienili długie spojrzenie w noc aresztowania Ryana. Właśnie wtedy zrozumiała. Ciekawe, czy z nim było podobnie? W jego oczach nie było śladu emocji, ale Helena, dzięki tej intuicji, którą miewają tylko kobiety, była pewna, że dokładnie w tamtym momencie między nimi wszystko się zaczęło.

Pragnęła bardziej niż czegokolwiek, żeby on tu teraz był i żeby mogła go o to zapytać.

Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. Przyniósł jej go Frank tamtego wieczoru, kiedy musiał ją zostawić, żeby pojechać do Céline i zawiadomić ją o śmierci swojego przyjaciela. Zastanawiała się nad grozą swojej sytuacji, która kazała jej strzec jak cennego sekretu czegoś, co cały świat uważał już za przedmiot powszechnego użytku.

Spróbowała wybrać numer Franka, który on zapisał w pamięci telefonu. Automatyczny głos powiedział jej, że abonent jest w tej chwili niedostępny i poradził, żeby spróbowała później.

Nie, proszę cię, Frank, nie wymykaj mi się właśnie teraz. Nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało. Umieram na myśl, że nie mogę cię zobaczyć, więc żebym mogła przynajmniej z tobą porozmawiać...

Nacisnęła inny przycisk, odpowiadający numerowi centrali policji. Odezwał się głos telefonisty.

- Sûreté Publique, bonjours.

- Mówi pan po angielsku? - zapytała Helena z pewną obawą.

- Oczywiście, madame. Co mogę dla pani zrobić?

Odpowiedzi udzielił po angielsku, ale słowo „madame” wypowiedział z francuska. Noblesse oblige. Helena westchnęła z ulgą. Przynajmniej uniknęła akrobacji w języku, który nie był jej mocną stroną. Hanneke nauczyła, a raczej narzuciła jej i Arijane niemiecki. Druga żona ojca nie znosiła francuskiego, który uważała za język homoseksualistów.

- Chciałabym rozmawiać z agentem Frankiem Ottobre...

- Chwileczkę, madame. Kto dzwoni?

- Helena Parker.

- Proszę zaczekać.

Po kilku chwilach w słuchawce rozległ się głos Franka.

- Heleno, gdzie jesteś?

Helena poczuła, że płonie, i tylko dlatego była zadowolona, że nie ma go przy niej. Wydawało jej się, że cofnęła się w czasie, kiedy poczuła na policzku nieśmiało i niewprawne wargi Andresa Jeffereau. Zrozumiała, że Frank Ottobre ma magiczną moc przywracania jej niewinności. I to odkrycie było ostatecznym potwierdzeniem, jak bardzo go kocha.

- Jestem w domu. Ojciec wyszedł z Ryanem i Stuartem i jestem sama. Mosse zamknął w jednym pokoju wszystkie telefony. Dzwonię z tego, który mi zostawiłeś.

- To łajdak. Całe szczęście, że masz moją komórkę... Helena nie miała pojęcia, czy centrala telefoniczna policji słucha rozmów Franka. Mówił jej o swoim podejrzeniu, że kontrolowana jest jego komórka i telefon domowy w Parc Saint--Roman. Być może to było przyczyną szorstkiej nuty w jego głosie.

Helena nie chciała powiedzieć nic, co mogłoby mu zaszkodzić albo wprowadzić w zakłopotanie, ale czuła, że wybucha.

- Jest coś, co ci muszę powiedzieć.

Teraz, pomyślała w duchu, powiedz to teraz albo nie powiesz tego nigdy!

- Kocham cię, Frank.

Helena pomyślała, że wypowiada te słowa po raz pierwszy w życiu. I że po raz pierwszy czuje strach, którego się nie boi.

Po drugiej stronie nastąpiła pauza. Trwała kilka chwil, ale Helenie zdawało się, że w czasie, który upłynął, zanim usłyszała odpowiedź, człowiek mógłby posadzić i zebrać daktyle. Po czym w słuchawce zabrzmiał wreszcie głos Franka.

- Ja też cię kocham, Heleno.

Po prostu, tak, jak miało być. Z owym spokojem, jaki zawsze niosą ze sobą arcydzieła. Teraz Helena Parker nie miała już wątpliwości.

- Niech cię Bóg błogosławi, Franku Ottobre.

Nie było czasu na więcej. W pokoju, w którym był Frank, Helena usłyszała trzask drzwi przefiltrowany przez telefon.

- Przepraszam cię na chwilę - odezwał się nagle chłodno.

Usłyszała w oddali jakiś inny głos mówiący słowa, których nie rozumiała. Potem wrzask Franka, hałas czegoś uderzającego w drewniany blat i znowu głos Franka wykrzykującego przekleństwa: „Nie, Chryste, znowu on, ten cholerny skurwysyn”... Po chwili jego głos w telefonie.

- Wybacz, Heleno. Bóg jeden wie, jak bardzo nie chciałbym przerywać tej rozmowy, ale muszę lecieć...

- Co się stało? Możesz mi powiedzieć?

- Oczywiście, jutro i tak przeczytasz we wszystkich gazetach. Nikt znowu zabił!

Frank rozłączył się. Helena patrzyła skonsternowana na wyświetlacz telefonu, usiłując zrozumieć, jak teraz ona powinna zakończyć połączenie. Była tak szczęśliwa, że nawet nie zdała sobie sprawy, że jej pierwsze, prawdziwe wyznanie miłości przerwane zostało wiadomością o zabójstwie.

Frank i Morelli zbiegli po schodach, jakby od szybkości tego zejścia zależały losy świata. Kiedy dosłownie przelatowali nad stopniami, Frank zastanawiał się, ile jeszcze razy będą tak pędzili, zanim skończy się ten cały koszmar. Rozmawiał przez telefon z Heleną, przez kilka chwil znalazł się na małej, spokojnej wyspie pośród wzburzonego morza, kiedy Claude przerwał jego sen na jawie.

Nikt znowu zaatakował. I to w najgorszy sposób, dołączając do wyrządzonej szkody drwinę.

Chryste Panie, kiedy wreszcie skończy się ta rzeź? Kim jest ten człowiek? Czym jest, jeśli udaje mu się to wszystko, co robi?

Wyszli przeszklonymi drzwiami komendy i zaraz po prawej stronie Frank zobaczył grupę policjantów otaczających samochód. Ulica została już odgradzona, żeby zatrzymać pojazdy i pieszych zarówno od strony rue Suffren Raymond, jak i od strony przeciwnej, w połowie rue Notari.

Frank i Morelli zbiegli po wewnętrznym przęśle schodów i podeszli do policjantów, którzy odsunęli się, żeby ich przepuścić. Naprzeciw wejścia do centrali, po prawej stronie, na ostatnim stanowisku zarezerwowanym dla samochodów policyjnych, stał mercedes SLK Jean-Loup Verdiera z otwartym bagażnikiem.

W środku leżały zwłoki mężczyzny. Wyglądało to jak kopia zabójstwa Allena Yoshidy, tyle, że nieudana, jakby dokonana wcześniej próba generalna. Ciało mężczyzny leżało skulone na prawym boku. Miał na sobie granatowe spodnie i białą koszulę poplamioną krwią. Na piersi, na wysokości serca, koszula była przecięta, a wokół na tkaninę rozlała się krew. Ale jak zazwyczaj, najbardziej okaleczoną częścią była twarz. Trup zdawał się wpatrywać w wykładzinę na ścianie bagażnika, która znajdowała się kilka centymetrów przed wytrzeszczonymi oczami, z ich straszliwym grymasem, odartą ze skóry twarzą, krwią zakrzepłą na łysej czaszce, na której

pozostawiony kosmyk włosów wskazywał, że tym razem praca wykonana została raczej w pośpiechu.

Frank rozejrzał się dokoła. Żaden z funkcjonariuszy nie miał odruchów wymiotnych.

Można przywyknąć do wszystkiego, do najgorszego, jak i do najlepszego, pomyślał.

Ale tu nie chodziło o przyzwyczajenie, tylko o przekleństwo, i musiał być jakiś sposób, żeby je przerwać. Musiał go znaleźć za wszelką cenę, jeśli nie chciał trafić znowu na żelazną ławkę w ogrodzie kliniki psychiatrycznej i wpatrywać się niewidzącym wzrokiem w ogrodnika sadzącego drzewo.

Przypomniał sobie rozmowę z ojcem Kennethem. Gdyby był tu w tej chwili, mógłby mu powiedzieć, że nie potrafi jeszcze uwierzyć w Boga, ale zaczyna wierzyć w diabła...

- Jak to się stało? - zapytał wszystkich, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Zbliżył się jeden z funkcjonariuszy. Frank nie wiedział, jak się nazywa. Pamiętał, że był jednym z przydzielonych do nadzoru domu Jean-Loup'a. Na szczęście dla niego nie był na służbie w dniu, kiedy odkryto, kim jest Nikt.

- Dziś rano zauważyłem samochód zaparkowany na niedozwolonym miejscu. Zazwyczaj jesteśmy raczej rygorystyczni i natychmiast je usuwamy, ale ostatnio, w tym całym zamieszaniu...

Funkcjonariusz zrobił gest opisujący sytuację, którą Frank doskonale znał. Dobrze pamiętał o uciążliwych zmianach, do których zmuszani byli funkcjonariusze, o nieustannym ruchu samochodów, seryjnych wyjazdach i przyjazdach, żeby sprawdzić wszystkie przychodzące zgłoszenia. Było to nieuchronną konsekwencją sytuacji, w jakiej żyli. Wszyscy mitomani na ziemi zdawali się wyżywać w takich przypadkach. Nikt został już namierzony w dziesiątkach różnych miejsc, które musieli kolejno skontrolować, ale bez rezultatu.

Tak, doskonale znał sytuację. Dał policjantowi znak, żeby kontynuował.

- Kiedy znowu wyszedłem, po krótkim czasie, zobaczyłem, że samochód stoi wciąż na tym samym miejscu. Pomyślałem, że należy do jakiegoś mieszkańca, który ma tu swoje biuro. Czasami się zdarza, że próbują zostawiać tam auta. Podszedłem sprawdzić. Miałem już dzwonić do wydziału, żeby zlecić usunięcie, kiedy wydało mi się, że rozpoznaję rejestrację. Ja byłem w Beausoleil, w domu...

- Tak, wiem - przerwał Frank - mów dalej.

- Cóż, kiedy byłem blisko, zobaczyłem z tyłu karoserii, obok zamka, czerwoną plamę, która mogła być krwią. Zadzwoiłem do Morellego i wylamaliśmy zamek. I w środku było to...

Funkcjonariusz wskazał ciało ręką.

Właśnie, „było to”. A „to”, jak je nazywasz, z trudem można określić jako istotę ludzką, prawda?

Policjant otworzył szeroko bagażnik, żeby dobrze można było zobaczyć wnętrze, popychając maskę trzymanym w ręce długopisem, aby nie zostawić śladów.

- I było również to...

Frank wiedział już, co tam zobaczy. Na blasze był napis wykonany krwią, ten sam szyderczy napis komentujący nowy wyczyn.

Ja zabijam.

Frank przygryzł sobie wnętrze policzka, aż ból stał się nie do zniesienia. Poczul w ustach słodkawy smak krwi. Oto, co zapowiedział mu Jean-Loup w czasie króciutkiej rozmowy telefonicznej poprzedniego dnia. Nie będzie więcej wskazówek, ale trupy tak. Teraz ta biedna istota ludzka w bagażniku samochodu była potwierdzeniem, że wojna trwa i że również ta kolejna bitwa została przegrana. Ten samochód, zaparkowany właśnie tam, przed centralą, ze swoim makabrycznym ładunkiem, był kolejną drwiną z nich wszystkich. Frank pomyślał o głosie Jean-Loup'a, w końcu swobodnym, nie zniekształconym, i o dochodzącym w tle hałasie ruchu ulicznego. Zadzwoił z komórki na kartę kupionej na tę okazję w pierwszym z brzegu sklepie z używanym sprzętem elektronicznym. Po czym zostawił ją na ławce. Chłopiec, którego zatrzymali, przechodził tamtędy, znalazł telefon i zabrał. Zaczął dzwonić i właśnie podczas rozmowy ze starszym bratem, którego zawiadamiał o znalezisku, został złapany. Nie widział osoby, która porzuciła komórkę, a na aparacie poza jego odciskami nie było żadnych innych.

Frank znów spojrzał na ciało w bagażniku. Mimo wysiłków nie był w stanie wyobrazić sobie tym razem reakcji mediów. Dla każdego byłoby trudnym wyzwaniem znaleźć słowa, żeby w syntetyczny sposób określić tę nową zbrodnię.

Reakcje Duranda i Roncaille'a miał, szczerze mówiąc, w nosie. Tak samo jak ich los. Pragnął tylko, żeby nie odsunięto go od tego śledztwa, dopóki nie zdoła schwytać Nikogo.

- Czy wiadomo, kim jest ten nieszczęśnik?

Morelli, który stał po drugiej stronie auta, obszedł je i stanął obok Franka.

- Nie. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Zupełnie nic.

- Obawiam się, że wkrótce to odkrywamy. Po skórze widać, że był młody. Jeśli ten skurwysyn postępował zgodnie ze swoim stałym schematem, będzie to na pewno ktoś znany, około trzydziesto-, trzydziestopięcioletni, przystojny. Pechowiec, którego jedyna wina polegała na tym, że znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. I z niewłaściwym człowiekiem, niech go wszyscy diabli. Wkrótce pojawi się zapewne jakiś VIP, żeby zawiadomić o jego zniknięciu, i wtedy dowiemy się, kto to taki. Spróbujemy dojść do tego wcześniej.

Zbliżył się do nich jeden z policjantów.

- Inspektorze...

- O co chodzi, Bertrand?

- Pewna myśl, może głupia, ale...

- Mów.

- Buty, inspektorze.

- Co mają do rzeczy buty?

Policjant wzruszył ramionami.

- Cóż, to są buty żeglarskie. Wiem, bo ja też takich używam.

- Myśla, że jest takich butów od groma i nie sądzę...

Frank, który zaczynał rozumieć, do czego zmierza funkcjonariusz, przerwał Corellemu.

- Pozwól mu skończyć, Claude. Mów dalej, Bertrand.

- Te buty, poza znakiem wytwórcy, mają też znak marki papierosów. Mogłaby to być nazwa sponsora. A biorąc pod uwagę, że w tych dniach...

Frank natychmiast przypomniał sobie o regatach. Położył ręce na ramionach policjanta.

-... biorąc pod uwagę, że w tych dniach odbywa się Grand Mistral, czy jak tam się nazywa, mógłby to być ktoś związany z tym środowiskiem. Brawo, chłopcze, świetna robota.

Frank wypowiedział ten komentarz na tyle głośno, żeby usłyszeli go pozostali funkcjonariusze. Bertrand wrócił do nich, jakby był marynarzem Krzysztofa Kolumba, który wykrzyknął: „Łąd! Łąd!”.

Frank wziął Morellego na bok.

- Claude, rozumowanie Bertranda wydaje mi się logiczne. Zresztą to jedyny trop, jaki mamy. Zaczniemy poszukiwania w tym kierunku. W sumie wszystko, co mieliśmy do stracenia, i tak już straciliśmy.

Granatowa furgonetka ekipy technicznej wyjechała zza rogu rue Suffren Raymond. Jeden z funkcjonariuszy poszedł przesunąć barierki, żeby zrobić przejazd.

Frank wskazał furgonetkę głową.

- Nie sądzę, żebym musiał ci to mówić, ale przypomnij tym z technicznej, że natychmiast są nam potrzebne odciski palców ofiary. Biorąc pod uwagę jego stan, to jedyny sposób, żeby go zidentyfikować. Można przypuszczać, że jego dentysta nie jest w tej chwili łatwo uchwytany...

Twarz Morellego naznaczona była wątpliwościami i wyczerpaniem. Po tej całej serii zbrodni nie było łatwo inkasować kolejne ciosy bez zachwiania. Frank zostawił go z technikami, którzy wysiadali z furgonetki. Ruszył w stronę drzwi centrali, żeby wrócić do swojego biura. Przypomniawszy sobie twarz Heleny. Znow usłyszał jej głos w telefonie, wystraszony, a jednak jakże pewny siebie, kiedy mówiła, że go kocha. Oto kolejna porażka.

Niewiele kilometrów stąd miał kobietę, która mogła stać się jego wybawieniem i dla której on mógł być taką samą nadzieją. Miał świat w zasięgu ręki, a dwaj ludzie blokowali mu drogę.

Z jednej strony Nikt, którego zabójcze szaleństwo popychało do mordowania niewinnych osób tak długo, aż ktoś go nie powstrzyma. Z drugiej strony generał Parker, którego aberracja popychała do niszczenia wszystkiego dobrego, co spotykał na swojej drodze, dopóki ktoś go nie zniszczy.

I Frank w obu przypadkach chciał być tym kimś.

To były wszystkie jego długi. Koniec końców być policjantem znaczyło tylko tyle. Prawdziwe motywy ukryte były w sejfach, które każdy otwierał tylko wtedy, gdy chciał.

Durand, Roncaille, szef rządu, księżę, a nawet sam prezydent Stanów Zjednoczonych mogli sobie myśleć, co chcieli. Frank czuł się zwykłym wyrobnikiem, bardzo dalekim od gabinetów, w których podejmowano decyzje. On był tym, który miał przed sobą mury do obalenia i do odbudowania pośród cementowego pyłu i zapachu wapna. On był tym, który oglądał okaleczone, odarte ze skóry ciała pośród ostrego odoru prochu i krwi. Nie chciał zapisywać nieśmiertelnych stronic, pragnął

tylko napisać raport, w którym wyjaśni, jak i dlaczego wsadził za kratki odpowiedzialnego za tyle zbrodni.

Potem zajmie się Parkerem. Nikt w swoim obłędzie nauczył go jednego: być bezlitosnym w osiągnięciu swoich celów. I dokładnie taki będzie w stosunku do generała. Jego okrucieństwo zadziwi samego Parkera, który był przecież w tych sprawach mistrzem.

Kiedy wszedł do biura, usiadł przy biurku i spróbował wybrać numer komórki, którą dał Helenie. Była wyłączona. Prawdopodobnie Helena nie była sama i nie chciała ryzykować, żeby telefon zaczął nagle dzwonić, zdradzając, że go ma. Wyobraził ją sobie w domu, ze Stuartem jako jedynym pocieszeniem, obok jej żandarmów, Nathana Parkera i Ryana Mosse'a.

Siedział tak przez kwadrans z rękami splecionymi na karku, rozmyślając ze wzrokiem wbitym w sufit. Gdziekolwiek próbował skierować swoje myśli, napotykał zatrzaśnięte drzwi.

A przecież czuł, że rozwiązanie jest blisko, w zasięgu ręki. Co do ich zaangażowania nie było wątpliwości, podobnie jeśli chodzi o kwalifikacje. Każdy z ludzi uczestniczących w dochodzeniu, bez jednego wyjątku, miał za sobą świadczący o tym życiorys. Brakowało tylko łutu szczęścia, które mimo wszystko stanowiło ważny element powodzenia. A najzabawniejsze, że ta chroniczna wrogość losu objawiała się właśnie tam, w Księstwie Monako, miejscu pełnym dużych i małych kasyn, gdzie na każdym automacie do gry widniał napis: „Winning is easy”, wygrać jest łatwo. Frank chciałby stanąć przed takim automatem i móc wrzucić do niego sumę konieczną do tego, żeby koła kręciły się tak długo, aż na wszystkich trzech liniach pojawi się, zamiast trzech sztabek złota, wskazówka miejsca, w którym ukrywa się Jean-Loup Verdier.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie. Wszedł Morelli tak podekscytowany, że zapomniał zapukać.

- Frank, mały łut szczęścia.

Lupus in fabula, i miejmy nadzieję, że to naprawdę wilk, a nie pluszowy piesek...

- Mów.

- Przyszły dwie osoby ze zgłoszeniem. A właściwie nie ze zgłoszeniem, przyszły, żeby wyrazić zaniepokojenie...

- To znaczy?

- Zniknął członek załogi „Try for the Sun”, łodzi uczestniczącej w Grand Mistral.

Frank zdjął natychmiast ręce z karku i czekał na dalszy ciąg. Morelli kontynuował, wiedząc, że poruszył interesujący temat.

- Wczoraj wieczorem miał spotkać się z dziewczyną na molo w Fontvieille. Kiedy po niego przyjechała, nie było go tam. Poczekała chwilę i odjechała. Rzeczona dziewczyna jest jednak zadziorna, więc dzisiaj rano przyszła na łódź sponsora, na której śpi załoga, żeby rzucić mu w twarz, co o nim myśli, że kobiety takiej jak ona nie traktuje się w ten sposób, itd., itd.... Mając przed sobą tę oszalałą furję, jeden z marynarzy poszedł po niego do kabiny, ale była pusta. Łóżko było zasłane, co oznaczało, że tam nie spał.

- Czy nie mógł sam go posłać i wyjść wcześniej rano?

- To możliwe, ale nieprawdopodobne. Marynarze z jachtu budzą się bardzo wcześniej i ktoś na pewno by go widział. Na dodatek, na koi leżało ubranie, które miał na sobie poprzedniego wieczoru, oficjalny strój „Try for the Sun”, znak, że wchodził wcześniej na łódź, żeby się przebrać...

- Nie ma powodu do alarmu, ale trzeba uważać na wszystko. Porównajcie odciski palców ofiary z tymi z kajuty. To najpewniejszy sposób.

- Wydałem już dyspozycje. Uprzedziłem funkcjonariusza z tamtego rejonu, żeby odizolował kabinę. Człowiek z technicznej jedzie już na miejsce.

- A ty co o tym sądzisz?

- Zaginiona osoba mieści się w parametrach Nikogo. Trzydzieści trzy lata, przystojny chłopak, w miarę znany w świecie żeglarskim... Chodzi o Amerykanina, nazywa się Hudson McCormack.

Słyszając to nazwisko, Frank podskoczył tak gwałtownie, że Morelli przestraszył się, że spadnie z krzesła.

- Jak powiedziałeś?

- Hudson McCormack. Adwokat z Nowego Jorku.

Frank zerwał się na nogi.

- Wiem, Claude, świetnie go znam. To znaczy, zupełnie go nie znam, ale to osoba, o której ci mówiłem, ta, którą chciałem mieć na oku.

Morelli włożył rękę do tylnej kieszeni spodni i wyjął dyskietkę, którą Frank dał mu poprzedniego dnia.

- Patrz, mam tutaj dyskietkę. Wczoraj nie dałem rady się tym zająć. Miałem zamiar zrobić to dzisiaj...

Myśli Franka i Morellego spotkały się w tym samym miejscu. Obydwaj dobrze wiedzieli, co znaczyło odłożenie tej sprawy. Gdyby wzięli McCormacka pod obserwację poprzedniego dnia, być może w tej chwili nadal by żył i być może Jean-Loup Verdier znalazłby się już za kratami.

Frank pomyślał, że w tej historii nawarstwia się wciąż zbyt wiele „jeśli” i „być może”. Każde z tych słów było jak kamień, który mógł zbudować wyrzuty sumienia przytłaczające jak góra.

- Okej, Claude, sprawdź wszystko i daj mi znać.

Morelli rzucił niepotrzebną już dyskietkę na biurko i wyszedł z pokoju. Frank został sam. Wziął telefon i zadzwonił do Stanów, do domu Coopera, nie zważając na różnicę czasu. Odpowiedział mu głos przyjaciela, dziwnie przytomny mimo pory.

- Tak.

- Coop, tu Frank. Obudziłem?

- Obudziłeś? Jeszcze się nie kładłem. Dopiero wróciłem do domu, marynarka dynda jeszcze na wieszaku. Co się dzieje?

- Prawdziwe piekło. Kompletny obłęd. Człowiek, którego szukamy, nasz *serial killer*, dziś w nocy wykończył Hudsona McCormacka i odarł go ze skóry jak antylopę.

Zaległa chwila ciszy. Prawdopodobnie Cooper nie wierzył własnym uszom.

- Jezu Chryste, Frank, świat chyba oszalał. Tutaj też panuje kompletny chaos. Wciąż nadchodzą alarmy o możliwych zamachach terrorystycznych i musimy bez przerwy czuwać, nawet sobie nie wyobrażasz. A wczoraj po południu spadła nam na głowę kolejna cegła. Osmond Larkin został zabity w więzieniu, na spacerunku. Między więźniami wywiązała się bójka i on oberwał śmiertelnie.

- Niezły numer.

- Właśnie, niezły numer. I po całej naszej robocie. Zostaliśmy z niczym.

- Każdy ma swoje problemy, Coop. Tu nie mamy się lepiej. Dzisiaj rano znaleźliśmy się z kolejnym trupem.

- Ile ich jest do tej pory?

- Trzymaj się mocno. Dziesięć.

Cooper nie był na bieżąco z ostatnimi wydarzeniami. Aż gwizdnął, kiedy jego rachunek ofiar został uaktualniony.

- Kurwa. Czy on chce pobić rekord Guinnessa?

- Na to wygląda. Ten skurwysyn ma na sumieniu dziesięć zabójstw i problem polega na tym, że czuję je na swoim sumieniu.

- Trzymaj się mocno, Frank. Ja też to sobie tutaj powtarzam.

- Nie mogę zrobić nic innego w tym momencie.

Odłożył słuchawkę. Biedny Cooper, każdy miał swoje kłopoty. Frank siedział przez chwilę zagubiony. W oczekiwaniu na oficjalne potwierdzenie tożsamości Hudsona McCormacka, w obawie, że w każdej chwili otworzą się drzwi i wejdzie rozwścieczony Roncaille, nie wiedział, co robić. Prawdopodobnie w tym momencie powściągliwy Roncaille poddawany był myciu głowy, które następnie zastosuje niechybnie wobec swoich podwładnych.

Frank wziął z blatu dyskietkę, włączył komputer i wsunął ją do środka. Otworzył jeden z dwóch plików, oznaczonych formatem *jpg*.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie. Zostało zrobione w lokalu publicznym, najwyraźniej bez wiedzy McCormacka. Był to dosyć zatłoczony bar, jeden z wielu barów w Nowym Jorku, długich i wąskich, pełnych luster, żeby wydawały się większe, gdzie w porze obiadowej spotykasz pracowników biur jedzących jakieś zimne danie, a wieczorem, zmieniając oblicze, stają się miejscem dla samotnych osób poszukujących towarzystwa. Mecenas Hudson McCormack siedział przy stoliku i rozmawiał z osobą odwróconą plecami, ubraną w trencz z podniesionym kołnierzem.

Następnie otworzył drugi plik. Był to powiększony detal tej samej fotografii, trochę bardziej rozmyty w stosunku do oryginału.

Frank przyglądał się twarzy przystojnego amerykańskiego chłopaka, z krótko ostrzyżonymi włosami zgodnie z nowojorską modą, ubranego w granatowy garnitur, który zdawał się doskonały dla bywalca sądów.

Było to według wszelkiego prawdopodobieństwa oblicze trupa bez twarzy, którego niedawno znaleźli. Ciekawe, czy ten biedny chłopak mógłby przypuścić, wyjeżdżając do Monte Carlo z perspektywą regat na otwartym morzu, że zakończy swój żywot w ciasnym bagażniku samochodu. I że ostatnia szturmówka, jaką założy, będzie plastikowym workiem, do którego pakuje się trupy...

Frank dalej przyglądał się zdjęciu. Nagle do jego głowy przebiła się szalona myśl, niczym końcówka wiertarki przez zbyt cienki mur.

Czyżby to było możliwe...

Otworzył wirtualny notes, który znalazł w komputerze Nicolasa. Jego przyjaciel nie był wielbicielem elektroniki, ale z tym jeszcze sobie radził. Miał nadzieję znaleźć

potrzebny mu numer telefonu. Wpisał poszukiwane nazwisko i natychmiast na ekranie pojawił się odpowiedni numer, łącznie z pełnym imieniem i adresem.

Zanim zadzwonił, połączył się interfonem z Morellim.

- Claude, czy nagraliście wczorajszy telefon Jean-Loup'a?

- Oczywiście.

- Potrzebna mi natychmiast kopia.

- Już zrobiona. Zaraz ci dostarczę.

- Dzięki.

Znakomicie, Morelli. Jak zawsze lakoniczny, ale skuteczny. Wykręcając numer telefonu, Frank zastanawiał się, jak rozwija się jego historia z Barbarą, teraz kiedy nie bywali już w radiu. Z nią Claude nie był już taki lakoniczny, ale równie skuteczny. Jego myśli przerwał głos w słuchawce.

- Halo?

Miał szczęście. Osoba, która odebrała, była właśnie tą, z którą chciał rozmawiać.

- Cześć, Guillaume, tu Frank Ottobre.

Chłopak nie był zupełnie zaskoczony tym telefonem. Odpowiedział, jakby widzieli się ostatnio przed dziesięcioma minutami.

- Cześć, agencje FBI. Czym mogę służyć?

- Dobrze mi się prowadziło ostatnio z tobą interesy. Sądzę, że chętnie jeszcze raz skorzystam z twoich usług...

- Przyjmuję propozycję, przychodź, kiedy chcesz.

- Czas na przejazd i jestem.

Frank rozłączył się i jeszcze przez chwilę przyglądał się zdjęciu na komputerze, zanim zamknął plik i wyjął dyskietkę. Gdyby był z nim ktoś w pokoju, mógłby mu powiedzieć, że jego wyraz twarzy, kiedy przyglądał się fotografii, był taki sam jak mina hazardzisty, który przygląda się kulce wirującej na kole ruletki.

Frank zatrzymał mégane przed pomalowaną na zielono bramą, w głębi ulicy prowadzącej do domu Heleny. Wsiadł z samochodu zdziwiony, że brama jest do połowy otwarta. Myśl, że za kilka sekund będzie miał przed sobą twarz kobiety, którą kocha, przyprawiła go o szybsze bicie serca. Zobaczy jednak też generała Nathana Parkera i na tę myśl zacisnął pięści z gniewu. Przed wejściem narzucił sobie spokój. Gniew w niektórych sytuacjach był fatalnym doradcą. A ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w owej chwili, były złe rady.

On natomiast był w stanie dawać w zamian znakomite. Poranne spotkanie z Guillaume'em przyniosło niezwykle klarowny obraz. Kiedy był u niego poprzedniego wieczoru, poprosił go o sprawdzenie kilku rzeczy. Znalazł go w przybudówce, gdzie pracował, pogrążonej w kompletnym chaosie. Jego aparatura wykonywała właśnie pracę, której nie mógł natychmiast przerwać. Przeznaczył wieczór i noc na to, o co poprosił go Frank. Zmuszony był wykonywać cyrkowe akrobacje, ale zdołał wylądować na nogach. I podnieść na nogi chwiejącą się postać Franka Ottobre, agenta specjalnego FBI.

Kiedy Guillaume położył mu przed oczy wyniki swoich badań, Frankowi trudno było uwierzyć, że jego mętne hipotezy okazały się słuszne. Wydawały się tylko wziętymi z powietrza przypuszczeniami, domysłami bez ładu i składu. On sam nazwał się wariatem, tymczasem...

Poczuł potrzebę, żeby uścisnąć tego chłopaka. Ale pomyślał sobie, że powinien przestać traktować go, biorąc pod uwagę wyłącznie jego wiek metrykalny. Guillaume był mężczyzną. Mężczyzną z jajami. Zrozumiał to ostatecznie, kiedy wyszedł już z jego domu. Guillaume odprowadził go w milczeniu do bramy. Przeszli przez ogród obok siebie bez słowa, każdy pogrążony we własnych myślach. Frank otworzył już drzwiczki i miał wsiadać do samochodu, kiedy powstrzymał go wyraz jego twarzy.

- Co jest, Guillaume?

- Nie wiem, Frank. To dziwne uczucie. Tak jakby spadła mi z oczu zasłona.

Frank wiedział, do czego odnosi się Guillaume, ale mimo to zapytał.

- Co masz na myśli?

- Cóż, to wszystko. To tak, jakby odkryć nagle, że istnieje jakiś inny świat, świat, w którym pewne rzeczy nie przytrafiają się tylko innym, ale także nam. Ludzie nie są zabijani tylko w dziennikach telewizyjnych, ale także na chodnikach, kiedy przechodzą obok ciebie...

Frank śledził w milczeniu to wyznanie. Wiedział, do czego Guillaume zmierza.

- Zapytam cię o coś, Frank. Musisz mi odpowiedzieć szczerze. Nie chcę znać szczegółów, tylko żebyś wyjaśnił mi osobistą wątpliwość. Czy to, co zrobiłem dla ciebie, poprzednio i dzisiaj, pomoże ci złapać zabójcę Nicolasa?

Guillaume miał wilgotne oczy. Obnosił się z nonszalanckim zachowaniem, ale był osobą prawdziwą. Kochał Nicolasa Hulot, tak samo jak na pewno kochał jego syna Stephane'a.

Frank spojrział na niego z uśmiechem.

- Prędzej czy później, kiedy to się skończy, pogadamy o tym. Nie wiem kiedy, mój przyjacielu, ale wyjaśnię ci wówczas szczegółowo, jak bardzo byłeś ważny dla tej sprawy, a w szczególności dla mnie.

Guillaume przytaknął i odszedł na bok. Uruchomił otwieranie bramy i kiedy auto wyjeżdżało, pozdrowił go niepewnym gestem ręki.

Jesteś wielki, Guillaume.

Z tą myślą w głowie Frank minął bramę i wszedł do ogrodu domu Heleny. Zdziwiło go to, co zobaczył. Wszystkie okna na piętrze i wszystkie przeszklone drzwi wychodzące na ogród były szeroko otwarte. W środku, na parterze, kobieta w płóciennym, niebieskim fartuchu, wkładała wtyczkę do gniazdka. Znikła z jego pola widzenia, a chwilę później do jego uszu dotarł szum odkurzacza. Na wyższym piętrze, w sypialni Heleny, inna kobieta w takim samym fartuchu, wyszła na balkon, trzymając w ręku kilim. Powiesiła go na żelaznej poręczy i zaczęła trzepać wiklinową trzepaczką.

Frank zbliżył się do domu. Nie był zadowolony z tego, co widzi. Głównymi drzwiami z ciemnego orzechowca wyszedł mężczyzna. Był to starszy pan, ubrany w jasny garnitur, z pewną pretensją do elegancji. Na głowie miał panamę, która doskonale współgrała ze stylem domu. Dostrzegł Franka i podszedł do niego. Mimo

dosyć młodzieńczego wyglądu, kiedy przyjrzał się bliżej jego dłoniom, Frank uznał, że bliższy jest siedemdziesiątce niż sześćdziesiątce.

- Dzień dobry. Czego pan sobie życzy?

- Dzień dobry. Nazywam się Frank Ottobre i jestem przyjacielem Parkerów, tych, którzy tu mieszkają.

Mężczyzna nagle się uśmiechnął, pokazując rząd białych zębów, które musiały kosztować krocie.

- Ach, pan też jest Amerykaninem. Miło pana poznać.

Wyciągnął mocną dłoń, jednak o skórze pokrytej już plamami. Frank pomyślał, że poza wiekiem, coś musiało być też nie tak z jego wątrobą.

- Nazywam się Tavernier, André Tavernier. Jestem właścicielem tego drobiażdżku...

Z porozumiewawczym uśmiechem, wskazał gestem dom.

- Przykro mi, młody człowieku, ale pańscy przyjaciele wyjechali.

- Wyjechali?

Zdawał się szczerze zmartwiony, potwierdzając tę złą wiadomość.

- Właśnie, wyjechali. Zawarłem tę umowę wynajmu poprzez agencję, podczas gdy zazwyczaj robię to osobiście. Przyszedłem dzisiaj rano ze sprzętaczkami, żeby poznać moich lokatorów i zastałem ich na podwórzu ze spakowanymi walizkami, czekających na taksówkę. Generał, wie pan, o kim mówię, wspomniał, że jakaś nieprzewidziana sprawa zmusza ich do natychmiastowego wyjazdu. Wielka szkoda, bo zapłacili już czynsz za następny miesiąc. Ja, dla porządku, zaproponowałem, że zwrócę za niewykorzystany okres, ale generał nie chciał nawet o tym słyszeć. Wspaniały człowiek ten...

To ja chciałbym ci powiedzieć, kto jest wspaniałym człowiekiem, ty fircyku w naftalinie.

Frank miał ochotę wyrzucić rachuby pana Taverniera. Jeśli miał taką zdolność oceniania ludzi, byłoby lepiej, gdyby w swoich przyszłych interesach kazał sobie płacić zawsze wcześniej i w gotówce. Były jednak inne rzeczy, które w tej chwili bardziej go interesowały niż uświadamianie staruszka w kwestii prawdziwego oblicza człowieka, któremu wynajął swój dom.

- Nie wie pan, dokąd pojechali?

Pan Tavernier dostał ataku kaszlu, który świadczył o zbyt wielu jak na jego wiek papierosach. Frank musiał poczekać, aż mężczyzna wyjmie z kieszeni marynarki czystą chusteczkę i obetrze sobie usta przed odpowiedzią.

- Do Nicei. Na lotnisko, jak mi się zdaje. Mieli bezpośredni lot do Ameryki.

- Cholera!

Okrzyk wyrwał się z ust Franka, zanim zdołał go powstrzymać.

- Proszę mi wybaczyć, panie Tavernier.

- Nic nie szkodzi. Czasami dobrze jest trochę sobie ulżyć.

- Nie wie pan, o której godzinie jest lot?

- Nie, przykro mi. W tym nie mogę być panu pomocny.

Frank nie miał na pewno wypisanego na twarzy dobrego humoru. Pan Tavernier, jak dobrze wychowany, światowy człowiek, zauważył to.

- *Cherchez la femme*, co, młodzieńcze?!...

- Słucham?

- Doskonale pana rozumiem. Mówię o kobiecie, która tu była. Chodzi o nią, prawda? Ja także, gdybym przyjechał z perspektywą spotkania takiej kobiety i zastałbym pusty dom, miałbym taką samą rozczarowaną minę. W moich czasach, kiedy byłem młody i mieszkalem tutaj, dom ten widział ich tyle, że można by zapełnić parę książek...

Frank był jak na rozpalonych węglach. Wszystko, czego pragnął, to zostawić pana Taverniera z jego historiami płaszcza i szpady i pognać na lotnisko w Nicei. Mężczyzna przytrzymał go za ramię. Frank najchętniej złamałby mu rękę. Generalnie nie znosił osób narzucających kontakt fizyczny, a co dopiero w momencie, w którym słyszał cykanie sekund, jakby miał głowę w środku dzwonu.

Tavernier uratował się wyłącznie dzięki temu, co powiedział.

- Rozumiem. I ja korzystałem z życia, proszę mi wierzyć na słowo. Nie to co mój brat mieszkający obok, w tamtym domu, którego dach wyłania się spomiędzy cyprysów.

Przybrał postawę kogoś, kto powierza znany tylko sobie sekret. Coś, w co trudno uwierzyć.

- To dom, który ta wariatka moja szwagierka zostawiła w spadku jakiemuś chłopakowi tylko dlatego, że uratował jej psa. Psiaka, który niewart był drzewa, pod które siusiał, rozumie pan? Nie wiem, czy słyszał pan kiedykolwiek o tym szaleństwie. A wie pan, kim był ten chłopak?

Frank wiedział, wiedział doskonale. I nie miał ochoty ani czasu, żeby mu to powtarzano. Tavernier, nieświadomy, co ryzykuje, znowu przytrzymał go za ramię.

- To był seryjny morderca, ten, który zabił te wszystkie osoby w Monte Carlo i odarł je ze skóry jak zwierzęta. Niech pan pomyśli, komu moja szwagierka zostawiła dom tej wartości...

A ty swój wynająłeś dobroczyńcy ludzkości... Gdyby istniała Nagroda Nobla w dziedzinie głupoty, ten stary naiwniak zdobywałby ją co roku.

Nieświadomy osądu na swój temat, Tavernier wydał z siebie westchnienie. Nadchodziła fala wspomnień.

- O tak, ta kobieta kompletnie otumaniała mojego brata. Nie to, że nie była piękną kobietą... Była piękna jak *en plein* w ruletce, jeśli mogę użyć porównania, ale równie niebezpieczna. Kusila cię do dalszej gry, nie wiem, czy jasno się wyrażam. Zbudowaliśmy te domy razem, w połowie lat sześćdziesiątych. Bliźniacze domy stojące obok siebie, ale na tym koniec. Ja mieszkałem tutaj, a oni dwoje tam. Każdy miał swoje życie. Myślałem zawsze, że mój brat jest jak więzień: kula u nogi i cały czas poświęcany zaspokajaniu kaprysów żony. A miała tych kaprysów, bon Dieu, miała ich bez liku! Proszę pomyśleć, że wręcz...

Frank zastanawiał się, dlaczego stoi tam i słucha bredni jakiegoś ekslibertyna z marnymi resztkami świetności w slipach, zamiast wskoczyć do samochodu i pędzić na lotnisko w Nicei. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu Frank miał wrażenie, że człowiek ten powie za chwilę coś ważnego. I w istocie Tavernier w swoim czczym gadaniu powiedział coś tak ważnego, że wprowadził Franka w stan tak wielkiego ożywienia i najczarniejszej rozpacz, aż stanął mu przed oczami obraz wielkiego startującego samolotu, ze smutną twarzą Heleny Parker, która przez okienko patrzy na znikającą w dole Francję.

Zamknął oczy. Poblądł tak, że aż zaniepokoiło to starego kandydata na dżentelmena.

- Co panu jest, nie czuje się pan dobrze?

Frank spojrzał na niego.

- Nie, przeciwnie, czuję się doskonale. Bardzo dobrze.

Tavernier odpowiednią miną dał wyraz swojej wątpliwości.

Frank skierował do niego uśmiech, który mężczyzna zrozumiał opacznie. Ten stary idiota nie wyobrażał sobie nawet, że właśnie odsłonił przed nim, gdzie ukrywa się Jean-Loup Verdier.

- Dziękuję panu i do widzenia, panie Tavernier.

- Powodzenia, młodzieńcze. Mam nadzieję, że uda się panu ją dogonić... ale jeśli nie, proszę pamiętać, że świat jest pełen kobiet.

Frank przyznał mu rację roztargnionym gestem, a kiedy doszedł do furtki, Tavernier zawołał jeszcze za nim.

- A, proszę posłuchać, młodzieńcze.

Frank odwrócił się, mając ochotę posłać go do diabłów. Powstrzymało go poczucie wdzięczności za to, co bezwiednie mu objawił.

- Słucham, panie Tavernier.

Stary uśmiechnął się szeroko.

- Gdyby przypadkiem potrzebował pan pięknego domu na wybrzeżu...

Wskazał triumfalnym gestem dom za swoimi plecami.

- Oto on!

Nic nie odpowiadając, Frank minął bramę. Stał przy samochodzie z opuszczoną głową, przyglądając się swoim butom na zwirze. Musiał podjąć decyzję, i to szybko. W końcu postanowił zrobić to, co było słuszne, przynajmniej w pierwszej kolejności. Nie było jednak powiedziane, że nie można spróbować, przynajmniej spróbować, by wilk był syty i owca cała. Wyjął komórkę i wybrał numer policji w Nicei. Kiedy odebrał jakiś funkcjonariusz, przedstawił się i poprosił o połączenie z komisarzem Frobenem. Po chwili usłyszał jego głos w słuchawce.

- Cześć, Frank, jak się masz?

- W sumie... A ty?

- Ja tak samo. Słucham cię.

- Claude, chciałbym cię prosić o wielką przysługę.

- Wszystko, co w mojej mocy.

- Na lotnisku w Nicei powinny być teraz pewne osoby. Generał Nathan Parker, jego córka Helena i wnuk Stuart. Towarzyszy im niejaki kapitan Ryan Mosse.

- Ten Ryan Mosse?

- Dokładnie. Musisz ich zatrzymać. Nie wiem, w jaki sposób, nie wiem, pod jakim pozorem, ale musisz uniemożliwić im odlot, dopóki ja tam nie przyjadę. Transportują do Stanów ciało jednej z pierwszych ofiar Nikogo, Arijane Parker. Możesz użyć tego jako pretekstu. Jakaś przeszkoda biurokratyczna, czy ja wiem. Jest to kwestia życia lub śmierci, Claude. Przynajmniej dla mnie. Myślisz, że ci się uda?

- Dla ciebie wszystko.

- Dzięki, wielki człowieku, do usłyszenia wkrótce.

Zaraz potem Frank wybrał numer komendy Sûreté. Poprosił z Roncaille'em. Połączono go niemal natychmiast.

- Dyrektorze, tu Frank Ottobre.

Roncaille, który prawdopodobnie od dwóch dni żył na najwyższych obrotach, napadł na niego jak tornado.

- Frank, gdzie do kurwy się pan podziewał? Przekleństwo w ustach szefa policji nie zapowiadało zwykłego huraganu, ale burzę stulecia.

- Tutaj wszystko wrze, a pan znika? Powierzyliśmy panu dochodzenie i zamiast osiągnąć cel, znajdujemy na ulicy więcej trupów niż wróbli na drzewach. Czy pan wie, że z aktualnego personelu Sûreté za chwilę nikt nie zostanie na swoim miejscu? Ja osobiście będę miał szczęście, jeśli znajdę zatrudnienie jako stróż nocny...

- Spokojnie, dyrektorze, jeśli dotąd nie stracił pan pracy, myślę, że zostanie pan na swoim miejscu. Wszystko skończone.

- Co znaczy „wszystko skończone”?

- Znaczy, że wszystko skończone. Wiem, gdzie ukrywa się Jean-Loup Verdier.

Cisza po drugiej stronie. Frank czuł zasięg hamletycznej wątpliwości Roncaille'a. Być albo nie być, wierzyć albo nie wierzyć...

- Jest pan pewny?

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- To nie starczy. Chcę sto procent.

- Niczego nie ma na sto procent. Dziewięćdziesiąt dziewięć wydaje mi się procentem bardziej niż wystarczającym.

- W porządku. Gdzie on jest?

- Najpierw chcę czegoś w zamian.

- Frank, niech pan nie przeciąga struny.

- Dyrektorze, powinienem panu coś wyjaśnić. Mnie kariera zupełnie nie kusi. To pana interesują wysokie stanowiska. Jeśli się pan nie zgodzi, wyłączam telefon i wsiadam do pierwszego samolotu, który startuje z Nicei w kierunku „spieprzam stąd”. A pan może pójść się powiesić razem z pańskim przyjacielem Durandem. Czy wyrażam się jasno?

Cisza. Potem znowu głos Roncaille'a, pełen powstrzymanego gniewu.

- Czego pan chce?

- Chcę pańskie słowo honoru, że komisarz Nicolas Hulot uznany zostanie za poległego na służbie, a wdowa po nim dostanie rentę przysługującą żonie bohatera.

Trzecia pauza. Ta najważniejsza. Kiedy Roncaille odpowiedział, Frank był zadowolony, że zdołał doliczyć tylko do dwóch.

- Dobrze, zgoda. Niech będzie. Ma pan moje słowo honoru. Teraz pańska kolej.

- Proszę wyprowadzić ludzi i powiedzieć inspektorowi Morellemu, żeby zadzwonił do mnie na komórkę. A pan niech zaczyna czyścić mundur na konferencję prasową.

- Kierunek?

Wreszcie Frank powiedział to, za co Roncaille zapłacił.

- Beausoleil.

- Beausoleil? - powtórzył Roncaille z niedowierzaniem.

- Dokładnie. Przez cały czas, ten skurwysyn Jean-Loup Verdier nie ruszył się z domu.

Pierrot wziął plastikowy kubek z coca-colą, który podała mu Barbara, i zaczął małymi łykami pić, jakby się wstydził, że ktoś go widzi przy tej czynności.

- Chcesz jeszcze?

Pierrot pokręcił głową. Oddał jej pusty kubek i odwrócił się czerwony na twarzy w stronę stołu, na którym porządkował stertę CD.

Barbara podobała mu się, ale jednocześnie go onieśmiałała. Chłopak durzył się w niej, a objawiało się to przede wszystkim ukradkowymi spojrzeniami, milczeniem i uciezkami, kiedy się pojawiała. Wystarczyło, żeby odezwała się do niego słowem, a on robił się purpurowy. Dziewczyna już dawno się zorientowała, jakie żywi do niej uczucie. Była to miłość, jeśli można ją tak określić, typowo dziecięca, w zgodzie ze sposobem bycia Pierrota, ale jak każde uczucie, należało ją uszanować. Wiedziała, jak wielka zdolność kochania kryje się w duszy tego dziwnego chłopca, który zdawał się wciąż przestraszony światem: było w nim ciepło i szczerłość, jakie można spotkać tylko w uczuciach dzieci i psów. Mogło się to zdawać porównaniem nieco ograniczającym, ale było wyrazem całkowitego i szczerego oddania, uczucia, które istnieje jako takie, bez potrzeby rewanzu.

Pewnego razu znalazła na konsolce margerytkę. Domyśliła się, że to on był tajemniczym ofiarodawcą tego prostego, polnego kwiatka, i rozczuliła się do łez.

- Chcesz jeszcze kanapkę? - zapytała za plecami Pierrota.

Chłopak znowu potrząsnął głową, nie odwracając się. Była pora obiadowa i zamówili w Stars'n Bars tacę pełną kanapek. Po historii z Jean-Loup'em pomieszczenia Radia Monte Carlo poza muzyką, wydobywającą się z głośników, zdawały się królestwem ciszy. Wszyscy poruszali się, jakby byli duchami. Siedziba nadawcy była szturmowana i oblegana przez dziennikarzy niczym Fort Alamo przez armię meksykańską. Każdy członek zespołu był śledzony, tropiony, szpiegowany. Każdemu z nich podsuwano pod nos mikrofon, celowano w twarz kamerą, reporterzy

czatowali na nich pod drzwiami domu. W istocie to, co się wydarzyło, w pełni uzasadniało uporczywe zainteresowanie nimi środków informacji.

Jean-Loup Verdier, bohater Radia Monte Carlo, okazał się psychopatycznym mordercą i wciąż się wymykał. Jego obecność zawisała jak widmo nad Księstwem Monako. Nazajutrz po odkryciu tożsamości sprawcy całej tej serii zabójstw, dzięki chorobliwej ciekawości ludzi i reklamie mediów, liczba słuchaczy praktycznie się podwoiła.

Robert Bikjalo, dawny Robert Bikjalo, zrobiłby potrójne salto mortale ze śrubą, czytając wyniki słuchalności. Teraz jednak wykonywał swoją pracę jak automat, palił jak komin i odzywał się monosylabami, jak zresztą wszyscy. Raquel odbierała telefony głosem automatycznej sekretarki. Barbara co chwilę odczuwała niepohamowany przymus płaczu.

Sam prezes dzwonił tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne.

Na domiar złego dotarła jeszcze wiadomość o tragicznej śmierci Laurenta, która nastąpiła dwa dni wcześniej podczas próby rabunku. Ten dodatkowy cios pograżył tylko ostatecznie osoby, które już wydawały się owładnięte przez upiory.

Ale najbardziej dotknięty całą tą historią był właśnie Pierrot.

Uciekł w niepokojącą niemotę, a na zadawane mu pytania odpowiadał tylko twierdzącymi lub przeczącymi gestami głowy. Kiedy był w radiu, cały czas milczał, a powierzone mu zadania wykonywał, jakby go tam nie było. Całymi godzinami siedział ukryty w archiwum i Barbara niejednokrotnie zachodziła sprawdzić, czy dobrze się czuje. Również jego matka była zrozpaczona. W domu cały czas spędzał na słuchaniu muzyki w słuchawkach na uszach, jakby służyły mu do kompletnego odizolowania się od reszty świata.

Nie miał już uśmiechu. I nie włączył już więcej radia.

Jego matka zrozpaczona była zmianami w zachowaniu Pierrota. Przebywanie w Radio Monte Carlo, poczucie przynależności do jakiejś grupy, możliwość zarabiania (żeby dać mu powód do dumy, matka nie omieszkała zauważyć, jak bardzo te pieniądze ważne są dla budżetu domowego) otworzyły przed nim drzwi na świat.

Przyjaźń na granicy uwielbienia, jaka połączyła go z Jean-Loup'em, rozwarła je wręcz na oścież. Teraz, stopniowo, zamykał te drzwi i kobieta obawiała się, że kiedy zatrześnie je całkowicie, nikomu nie pozwoli wejść. Nigdy więcej.

Nie można było zrozumieć, co dzieje się w jego głowie.

A jednak wszyscy, od pierwszego do ostatniego, stanęliby z otwartymi ustami, gdyby mogli przeczytać jego myśli. Każdy myślał, że jego smutek i milczenie były wynikiem odkrycia, że jego przyjaciel był w rzeczywistości „złym człowiekiem”, jak go określał, tym, który dzwonił od czasu do czasu do radia, przemawiając głosem diabłów. Być może jego czysta dusza reagowała w ten sposób, ponieważ był zmuszony zdać sobie sprawę, że obdarzył zaufaniem kogoś, kto na to nie zasługiwał.

Tymczasem zaufanie do Jean-Loup'a, jego przyjaźń, nie zostały w najmniejszym stopniu naruszone przez ostatnie wydarzenia i rewelacje tych wszystkich ludzi na temat jego idola.

On znał go dobrze, był w jego domu, razem jedli naleśniki z nutellą i Jean-Loup dał mu nawet do spróbowania kieliszek pysznego włoskiego wina, które nazywa się Il Moscato. Było słodkie i chłodne, i nawet kręciło mu się od niego trochę w głowie. Słuchali muzyki, a Jean-Loup pożyczył mu wręcz płyty, te czarne z plastiku, te cenne, żeby mógł posłuchać ich sobie w domu. Zrobił mu kopie swoich ulubionych CD, zespołu Jefferson Airplane, Jeffa Becka i dwóch ostatnich płyt Nirvany.

Kiedy byli razem, nigdy nie słyszał, żeby Jean-Loup przemawiał językiem diabłów, przeciwnie...

Opowiadał mu śmieszne rzeczy swym pięknym głosem, tym samym co w radiu, i czasami zabierał go do Nicei swoim samochodem, szli razem na lody wielkie jak góry i do sklepów ze zwierzętami i zatrzymywali się przed wystawami, żeby popatrzeć na szczeniaki w kojcach.

Jean-Loup zawsze mu powtarzał, że oni dwaj są największymi przyjaciółmi, i zawsze dawał tego dowody. A więc, jeśli Jean-Loup zawsze mówił mu prawdę, oznaczało to coś bardzo prostego: że to inni kłamali.

Wszyscy pytali, co mu jest, i próbowali nakłonić go do mówienia. On nie chciał powiedzieć nikomu, nawet matce, że podstawową przyczyną jego smutku jest fakt, iż odkąd to wszystko się stało, więcej nie widział swego przyjaciela. I nie wiedział, co zrobić, żeby mu pomóc. Może w tej chwili był gdzieś schowany, głodny i nie było nikogo, kto przyniósłby mu coś do jedzenia, choćby trochę chleba z nutellą.

Wiedział, że policjanci go szukają i jeśli złapią, wsadzą do więzienia. Pierrot nie miał dokładnego wyobrażenia, czym jest więzienie. Wiedział tylko, że wsadzano tam ludzi, którzy zrobili brzydkie rzeczy, i że więcej ich nie wypuszczali. A jeśli nie wypuszczali tych, co byli w środku, to znaczy, że nie wpuszczali też tych, którzy byli na zewnątrz, więc nigdy więcej nie zobaczy Jean-Loup'a.

Być może policjanci mogli wejść zobaczyć tych, którzy siedzą w więzieniu. Kiedyś on też był policjantem, policjantem „honorowanym”. Powiedział mu to komisarz, ten z sympatyczną twarzą, którego więcej nie spotkał, a ktoś powiedział, że umarł. Ale on po tych wszystkich kłopotach, które sprawił, chyba nie jest już „honorowanym” policjantem i będzie musiał przebywać poza więzieniem, jak wszyscy pozostali, i nie będzie mógł pójść do Jean-Loup'a.

Pierrot odwrócił głowę i zobaczył Barbarę, która oddalała się w stronę reżyserki. Popatrzył na jej ciemnorude włosy, które, kiedy szła, falowały na jej czarnej sukience, jakby tańczyły.

Kochał Barbarę. Nie tak jak Jean-Loup'a, ale w inny sposób: kiedy jego przyjaciel mówił do niego albo kładł mu rękę na ramieniu, nie czuł tego ciepła rozchodzącego się po żołądku, jakby wypił filiżankę gorącej herbaty.

Z Barbarą było inaczej, nie wiedział, co to jest, ale wiedział, że ją kocha. Pewnego dnia położył jej kwiatek na konsolecie, żeby jej o tym powiedzieć. Zerwał margerytkę z ulicznej doniczki i położył ją na blacie, kiedy nikt nie widział. Do pewnej chwili miał nawet nadzieję, że Jean-Loup i Barbara pobiorą się, wtedy, chodząc do jego domu, widywałby obydwójce.

Pierrot wziął stertę kompaktów i ruszył do drzwi. Raquel otworzyła zamek, jak to robiła zazwyczaj, kiedy widziała, że ma zajęte ręce. Pierrot wyszedł na korytarz i uruchomił windę, naciskając przycisk nosem. Nigdy nikomu nie pokazał tego swojego sposobu ściągania windy. Na pewno śmialiby się z niego, gdyby go zobaczyli, ale skoro jego nos był beczynny pośrodku twarzy, a on miał obie ręce zajęte, to można było...

Popchnął łokciem przesuwane drzwi windy i w taki sam sposób je zamknął. W środku nie można było użyć nosa, bo przyciski zrobione były w inny sposób. Zmuszony był do prawdziwej akrobacji, przytrzymując kompakt podbródkiem, żeby nacisnąć guzik palcem.

Winda ruszyła z góry na dół. Umysł Pierrota uczynił to już jakiś czas temu, w sposób trochę przypadkowy, kierując się logiką, która w jego wypadku miała przebieg całkowicie linearny.

Podjął decyzję według absolutnie nieodpartego rozumowania.

Jean-Loup nie mógł przyjść do niego? Więc on pójdzie do Jean-Loup.

Tyle razy był w jego domu, a jego przyjaciel powiedział mu, że w skrytce, o której od tamtej pory wiedzieli tylko oni dwaj, trzyma zapasowy klucz do drzwi wejściowych. Przymocowany był silikonem pod skrzynką na listy przy furtce. Pierrot

nie wiedział, co to jest silikon, ale doskonale wiedział, czym jest skrzynka na listy. On i mama też taką mieli, w domu w Mentome, a nie był to taki piękny dom jak ten, w którym mieszkał Jean-Loup.

Na pewno będzie wiedział, która to skrzynka.

Na dole, w „pokoju”, miał swój plecaczek, prezent od Jean-Loup'a. Włożył do niego trochę chleba i słoik nutelli, który wziął rano z szafki z domu. Nie miał wina Il Moscato, ale wziął puszkę coca-coli i schweppesa. Jeśli jego przyjaciel ukryty jest gdzieś w swoim domu, słysząc, że to on go woła, na pewno wyjdzie. Zresztą, któż inny mógłby to być? Tylko oni dwaj wiedzieli, gdzie jest tajny klucz.

Będą razem, zjedzą czekoladę i napiją się coli i jeśli tylko potrafi, to on tym razem opowie Jean-Loup'owi śmieszne rzeczy, chociaż nie może zabrać go do Nicei, żeby zobaczyć bawiące się w boksach na wystawie szczeniaki.

A poza tym, jeśli Jean-Loup'a nie ma w domu, będzie musiał zająć się jego płytami, tymi czarnymi, z plastikowego winylu. Musi je wyczyścić, sprawdzić, żeby okładki nie przeszły wilgocią, ustawić je równo w rzędzie właściwą stroną, żeby się nie pogięły, bo inaczej, kiedy Jean-Loup wróci, wszystko będzie zniszczone. To on musi się zająć jego sprawami, bo inaczej jaki z niego przyjaciel?

Kiedy winda zjechała na parter, Pierrot uśmiechał się.

Besson, mechanik pracujący w przedstawicielstwie firmy budującej silniki morskie, mieszczącej się pod siedzibą radia, który czekał właśnie na windę, otworzył drzwi. Stał przed nim Pierrot z rozczochraną głową, która wystawała znad stosu kompaktów.

Widząc jego uśmiech, on też się uśmiechnął.

- Ej, Pierrot, wydajesz się osobą najbardziej zapracowaną w całym Monte Carlo. Gdybym był na twoim miejscu, poprosiłbym o podwyżkę.

Chłopak nie miał najmniejszego pojęcia, jak prosi się o podwyżkę. W każdym razie, w tej chwili było to tysiące kilometrów od centrum jego zainteresowań.

- Tak, jutro to zrobię... - odpowiedział wymijająco. Besson, zanim wsiadł do windy, otworzył mu drzwi po lewej stronie, prowadzące do archiwum.

- Uważaj na schody - powiedział, zapalając mu światło.

Pierrot zrobił jeden ze swoich typowych gestów i zaczął schodzić po schodach. Kiedy dotarł pod drzwi archiwum, popchnął je stopą. Położył płyty na stole pod ścianą, naprzeciw rzędu półek pełnych płyt i kompaktów. Po raz pierwszy, odkąd

pracował w Radiu Monte Carlo, nie odłożył natychmiast płyt, które przyniósł na właściwe miejsce.

Wziął swój plecak i założył na ramiona jednym ruchem, którego nauczył go Jean-Loup. Zgasił światło i zamknął drzwi na klucz, jak robił co wieczór przed pójściem do domu.

Tyle, że tym razem miał inny plan. Wszedł po schodach i znalazł się w holu budynku, na szerokim korytarzu kończącym się przeszklonymi drzwiami. Za nimi był port, było miasto, był świat. Tam gdzieś ukrywał się jego przyjaciel, który potrzebował jego pomocy.

Po raz pierwszy w życiu Pierrot zrobił coś, czego nigdy nie robił.

Pchnął drzwi, zrobił krok i ruszył samodzielnie stawić temu światu czoło.

Frank siedział w wozie na podjeździe przed domem Jean-Loup Verdiera. Było raczej ciepło, więc trzymał włączony silnik, żeby działała klimatyzacja. W oczekiwaniu na przyjazd Morellego i ludzi wysłanych przez Roncaille'a nie mógł się powstrzymać od nieustannego zerkania na zegarek.

W głowie stworzył sobie obraz Nathana Parkera i jego grupy na lotnisku w Nicei: generał siedzący niecierpliwie na krzeselku z Heleną i Stuartem, Ryan Mosse, załatwiający wszystkie formalności związane z wejściem na pokład. Zobaczył potężną postać Frobena albo kogoś występującego w jego imieniu, jak zbliża się i zawiadamia starego generała, że pojawiły się przeszkody i że chwilowo musi zrezygnować z wyjazdu. Nawet w przybliżeniu nie potrafił sobie wyobrazić, co też wymyśli Froben, żeby zatrzymać generała, ale doskonale mógł sobie wyobrazić jego reakcję. Pomyślał odruchowo, że nie chciałby być w skórze swojego przyjaciela komisarza.

Absurdalność tej zupełnie instynktownej myśli, związanej z popularnym wyrażeniem, wywołała u niego uśmiech.

W rzeczywistości właśnie tego pragnął.

W owej chwili sam chciałby być teraz na lotnisku w Nicei i osobiście zrobić to, o co poprosił Frobena. Chciałby wziąć na bok generała Nathana Parkera i powiedzieć mu wreszcie to, co chciał mu powiedzieć. A raczej, co przemożnie pragnął mu powiedzieć. Bez potrzeby wymyślania czegokolwiek, wyłącznie wyjaśnienia pewnych rzeczy...

Tymczasem był tutaj, czując jak sól na języku smak upływającego czasu, patrząc na zegarek co trzydzieści sekund z poczuciem, że minęło trzydzieści minut.

Z dużym wysiłkiem próbował pozbyć się tych myśli. Przyszedł mu do głowy Roncaille. To była inna sprawa. I kolejny kłopot. Dzielny dyrektor musiał uruchomić swoich ludzi mimo uzasadnionych wątpliwości. Frank był kategoryczny podczas rozmowy, ale wyraził pewność, od której sam był bardzo daleki. Nie miał odwagi

wyznać nawet samemu sobie, że bardziej niż rodzaj blefu był to zakład, i to dosyć ryzykowny. Każdy bukmacher dałby mu za nie trzydzieści do jednego, bez specjalnego zastanowienia. W rzeczywistości jego stwierdzenie, że zna kryjówkę Nikogo, nie było absolutną pewnością, tylko racjonalnym przypuszczeniem. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent, które podał szefowi policji, należało znacznie zredukować. Jeśli jego hipoteza okazałaby się mylna, nie byłoby większych konsekwencji poza kolejnym pudłem. Nic nie zmieniłoby się w stosunku do pozycji, w jakiej znajdował się teraz. Nikt był ptaszkiem na wolności i takim by pozostał. Po prostu to, co pozostawało z prestiżu Franka Ottobre, doznałoby poważnego uszczerbku z najgorszymi tego konsekwencjami. Roncaille i Durand dostaliby do ręki broń, którą on sam naładował, i mogliby pokazać przedstawicielowi rządu amerykańskiego, jak mało wiarygodny jest ich człowiek z FBI w prowadzeniu dochodzenia, mimo niewątpliwej zasługi w odkryciu tożsamości seryjnego mordercy. Ponadto jego publiczny odpór, dotyczący rzeczywistych zasług komisarza Nicolasa Hulot, mógł powrócić bumerangiem. Wydawało mu się, że słyszy głos i lekceważący ton Duranda, kiedy oznajmia Dwightowi Stone'owi, że w gruncie rzeczy, jeśli Frank Ottobre doszedł do tego rezultatu, nie było to całkowicie jego zasługą...

Jeśli natomiast jego podejrzenie było słuszne, wszystko zakończyłoby się pełną chwałą. W aurze legendy popędziłby na lotnisko w Nicei, żeby uporządkować swoje sprawy osobiste. Nie żeby gloria specjalnie go interesowała, ale liczyło się wszystko, co mogło pomóc mu w osobistym sporze z Nathanem Parkerem.

Zobaczył w końcu, jak zza zakrętu poniżej wyłania się pierwszy samochód policyjny bez dźwięku syren, o co Frank poprosił Morellego w rozmowie telefonicznej. Zauważył, że jednostka interwencyjna została znacznie wzmocniona w stosunku do pierwszej próby schwytania Jean-Loup. Przyjechało sześć samochodów pełnych funkcjonariuszy oraz tradycyjna furgonetka o zaciemnionych szybach należąca do grupy desantowej. Kiedy tylne drzwi furgonetki otworzyły się, wysiadło z niej szesnastu ludzi, a nie dwunastu. Pozostali funkcjonariusze rozmieścili się już na pewno niżej, żeby zatrzymać każdą możliwą próbę ucieczki przez ogród od frontu budynku.

Jeden z wozów zatrzymał się, wysiadło dwóch policjantów, a on pojechał dalej, żeby ustawić blokadę wyżej, na odcinku ulicy prowadzącym w kierunku autostrady. Takie same środki podjęto już na pewno na dole.

Frank uśmiechnął się mimo woli. Roncaille nie chciał ryzykować. Łatwość, z jaką Jean-Loup pozbył się trzech policjantów, ostatecznie otworzyła oczy - jeśli istniała jeszcze taka potrzeba - na rzeczywiste zagrożenie, jakie stanowił.

Niemal równocześnie nadjechały też dwa samochody z Mentony. Było w nich siedmiu uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy pod dowództwem komisarza Roberts'a. Powód ich obecności był jasny: wszechstronna współpraca Sûreté Publique z Monte Carlo z policją francuską.

Frank wysiadł z samochodu. Podczas gdy ludzie ustawiali się w oczekiwaniu na rozkazy, Roberts i Morelli ruszyli w jego kierunku.

- Co się dzieje, Frank? Mam nadzieję, że dowiem się prędzej czy później. Roncaille powiedział, żebyśmy natychmiast dołączyli tu do ciebie w pełnym rynsztunku bojowym, ale nie chciał nam nic wyjaśnić. Wyglądał na mocno spietranego i...

Frank przerwał mu gestem ręki. Wskazał na furtkę i na dach domu, osłonięty częściowo roślinnością i cyprysami, które wystawały jak palce spośród masy krzewów. Powiedział bez wstępu.

- Jest tutaj, Claude. Jeśli nie popełniłem błędu, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent ukrywa się w swoim domu od samego początku.

Frank zorientował się, że podał inspektorowi i innym ten sam procent, którym przechwalał się przed Roncaille'em. Nie uznał za stosowne, żeby to sprostować.

Morelli podrapał się w brodę, jak to często robił, kiedy miał wątpliwości. A tym razem miał ich wiele.

- Ale gdzie, na Boga? Przewróciliśmy ten dom do góry nogami bardziej niż podczas wiosennych porządków. Nie ma tam szparki, do której byśmy nie zajrzeli.

- Zawołaj ludzi i powiedz, żeby podeszli.

Jeśli Morelli był zdziwiony tym nieco pokretnym zachowaniem, nic nie powiedział. Roberts stał w swojej zwykłej niezdarnej pozie we flegmatycznym oczekiwaniu na rozwój wypadków. Kiedy wszyscy ludzie ustawili się przed nim półkolem, Frank zaczął mówić, skandując słowa, jak gdyby - mimo że mówił po francusku doskonale i prawie bez akcentu - nie ufał całkowicie swojej zdolności przedstawienia faktów w obcym języku. Zdawał się trenerem drużyny koszykówki, który daje zawodnikom taktyczne wskazówki podczas minutowej przerwy.

- Okej, chłopcy, posłuchajcie mnie uważnie. Rozmawiałem z właścicielem tego bliźniaczego domu, który stoi tam niżej. Oba budynki zostały wybudowane

równocześnie przez dwóch braci, kilkadziesiąt metrów jeden od drugiego, około połowy lat sześćdziesiątych. Ten, który mieszkał tutaj...

Frank zrobił gest wskazujący dach za swoimi plecami.

- Ten, który mieszkał tutaj, w domu należącym potem do Jean-Loup Verdiera, miał żonę trochę, jakby to powiedzieć, nadpobudliwą. Słowem, męczyduszę. Po wydarzeniach na Kubie w sześćdziesiątym pierwszym, kiedy zaistniała poważna groźba wybuchu wojny jądrowej, zaczęła wręcz robić pod siebie ze strachu. Dlatego zmusiła męża, żeby zbudował pod domem schron przeciwatomowy. Właśnie tu, być może pod nami...

Frank wskazał palcem na asfalt, na którym stali. Morelli poszedł instynktownie za gestem Franka i pochylił głowę, żeby spojrzeć na ziemię. Kiedy się zreflektował, natychmiast ją podniósł.

- Ale przecież sprawdziliśmy plany obydwu domów. Nie jest tam zaznaczony żaden schron.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Bardzo prawdopodobne, że został zbudowany nielegalnie i na mapach katastralnych nie ma jego śladu. Podczas równoległej budowy nie jednego, ale dwóch domów, przy rozkopanej ze wszystkich stron ziemi, krążących nieustannie ciężarówkach, bunkier ukryty pod ziemią mógł bardzo łatwo ująć uwagi.

Na potwierdzenie słów Franka wtrącił się Roberts.

- Jeśli ten schron został zbudowany i istnieje, wszystko przebiegło na pewno tak, jak mówi Frank. Były to lata wielkiego boomu budowlanego, a jeśli chodzi o kontrole, nie były zbyt drobiazgowe.

Frank opowiadał dalej, czego się dowiedział.

- Tavernier, ten z drugiego domu, powiedział mi, że wejście do bunkra znajduje się w pomieszczeniu służącym za magazyn, za ścianą zasłoniętą półką.

Jeden z komandosów podniósł rękę. Był wśród tych, którzy wtargnęli do domu Jean-Loup a i znaleźli trupy trzech funkcjonariuszy, po czym przetrząsnęli go od góry do dołu.

- W piwnicy jest rodzaj pralni, na prawo od garażu, pomieszczenie, do którego światło dochodzi poprzez świetliki wychodzące na podwórze domu. Wydaje mi się, że przy jednej ze ścian stoi półka.

- Bardzo dobrze - odpowiedział Frank. - Teraz problem, jak sądzę, nie polega na tym, żeby znaleźć schron, ale żeby go otworzyć albo zmusić tego, kto jest w środku, do wyjścia. Zadam teraz zbędne pytanie. Czy jest wśród was ktoś, kto wie, jak działa

schron przeciwoatomowy? To znaczy, czy jest ktoś, kto wie coś więcej od tego, co pokazują w filmach?

Zapanowała chwila ogólnej ciszy, po czym porucznik Gavin, dowódca jednostki interwencyjnej, podniósł rękę.

- Ja coś tam wiem. Ale powierzchownie.

- To już coś. W każdym razie dużo więcej od tego, co wiem ja. Co można zrobić, żeby wykurzyć stamtąd tego człowieka, pod warunkiem że tam jest?

Mówiąc te słowa, Frank zobaczył wyraźnie w swojej głowie dwa palce krzyżujące się w zabobonnym geście.

Roberts zapalił papierosa. Być może zainspirowany wydobywającym się z jego ust dymem, zaproponował pewne rozwiązanie.

- Siedząc tam na dole, musi przecież oddychać, nie? Jeśli znajdziemy otwory wentylacyjne, możemy spróbować wykurzyć go gazem łzawiącym.

Gavin pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, żeby było to możliwe. Możemy spróbować, ale jeśli sprawy mają się tak, jak powiedział Frank, a nasz przyjaciel konserwował urządzenia, nie ma sposobu. A jeśli na dodatek je modernizował... Nowoczesne schrony przeciwoatomowe wyposażone są w system oczyszczania powietrza poprzez oparte na aktywowanym węglu filtry, normalne lub impregnowane, które działają jak adsorbenty. Aktywowany węgiel używany jest jako czynnik filtrujący, poza tym że w maskach przeciwgazowych, również w systemach wentylacji pomieszczeń o podwyższonym ryzyku, takich jak elektrownie jądrowe. Tego rodzaju filtry są również w czołgach i samolotach wojskowych. Są w stanie powstrzymać cyjanowodór, chlorowodór, arsenowodór i fosforowodór, a co dopiero zwykle gazy łzawiące.

Frank zaczął patrzeć na porucznika Gavina z szacunkiem. Jeśli to była powierzchowna wiedza, ciekawe, co potrafił powiedzieć na temat, do którego był naprawdę przygotowany.

Frank rozłożył przepaszająco rękę.

- Okej, jesteśmy tutaj, żeby rozwiązać problem. Czasami wyniki osiąga się, mówiąc różne bzdury. Teraz ja strzelę moją. Poruczniku, jakie jest prawdopodobieństwo, że uda się nam otworzyć schron środkami wybuchowymi?

Gavin wzruszył ramionami, był wyraźnie zmartwiony jak ktoś, kto musi przekazywać tylko złe wiadomości.

- Hmm... może to być sposób. Nie jestem ekspertem od środków wybuchowych, ale myśląc logicznie, tego typu schron tak jest wybudowany, żeby wytrzymać konsekwencje eksplozji atomowej. Myślę, że trzeba by narobić dużego huk, żeby go otworzyć. Ale pamiętajmy też, tym razem z korzyścią dla nas, że chodzi o konstrukcję mającą ponad trzydzieści lat, prawdopodobnie nieco nadwerżoną. Powiedziałbym, że z braku lepszej alternatywy ta droga wydaje mi się najbardziej efektywna.

- Jeśli zdecydujemy się na środki wybuchowe, ile czasu potrzebujemy, żeby osiągnąć operatywność?

Grymas zakłopotania na twarzy porucznika miał tym razem pozytywny wydźwięk.

- Niewiele. Mamy pirotechnika, brygadiera Gachota. Jeśli uruchomię natychmiast jego i jego oddział, konieczny będzie tylko czas na dojazd tutaj z materiałem C4 albo czymś w tym rodzaju.

- Dobrze. Zaczynamy więc działać - potwierdził Frank.

Gavin zwrócił się do jednego ze swoich ludzi, który stał po jego lewej stronie.

- Zadzwoń do komendy i wezwij Gachota. Wyjaśnij mu sytuację i podaj współrzędne miejsca. Chcę go tutaj najdalej za piętnaście minut.

Żołnierz oddalił się biegiem, nie odpowiadając nawet suchym „tak jest”, którego Frank spodziewałby się po rozkazie wydanym w tak ściśle wojskowym języku.

Frank spojrzął kolejno na stojących przed nim ludzi.

- Inne pomysły?

Nikt się nie odezwał. Postanowił więc sam rozwiązać serię ich wątpliwości.

- Dobrze, sprawy mają się tak. Nasz człowiek, jeśli tam jest, nie może uciec. Hipotez mamy bez liku. Znajdźmy najpierw ten przekłety schron, a potem zdecydujemy, którą drogę obrać. Od tej chwili improwizujemy. Ruszajmy.

Przejście od przypuszczeń do działania przeniosło ludzi z jednostki interwencyjnej na teren dużo bardziej dla nich odpowiedni. Zdjęli plomby z bramy i kiedy tylko była otwarta, zbiegli szybko rampą prowadzącą na podwórze i do garażu. W kilka chwil zajęli dom zgodnie ze schematem stanowiącym część ich wyszkolenia.

Byli szybcy, cisi, groźni.

Dawniej Frank napiętnowałby obecność wszystkich tych ludzi jako śmieszny nadmiar zapobiegliwości. Po dziesięciu trupach zmuszony był przyznać, że te środki ostrożności wcale nie są przesadne wobec rozmiarów ich zadania.

Komandos, który opisał im wcześniej pomieszczenie, gdzie prawdopodobnie mieściło się wejście do schronu, poprowadził ich przez podwórze. Podniósł drzwi garażu i weszli do środka. Światło wpadło do wnętrza o ścianach pomalowanych na biało. Po prawej stronie, na podpórce przymocowanej do ściany, stał rower górski, a w jednym z rogów bagażnik na narty zrobiony specjalnie dla modelu samochodu Jean-Loup'a. Obok narty zjazdowe spięte z kijkami elastycznym paskiem.

Nikt nie komentował skłonności sportowych pana domu. Wiedzieli, że piętro wyżej jest także pomieszczenie, gdzie urządzono małą salę gimnastyczną. Człowiek ten udowodnił dobitnie, w świetle faktów, że czas spędzony na ćwiczeniach fizycznych nie był daremny.

Z drzwi w głębi garażu weszli w korytarz, który skręcał pod kątem prostym w prawo. Naprzeciwko znaleźli otwarte drzwi do małej toalety dla służby. Ustawili się gęsiego. Jeden z komandosów szedł przodem z wycelowanym przed siebie M-16.

Frank, Gavin i inspektor Morelli wyjęli pistolety i nieśli je z lufami skierowanymi do góry. Roberts szedł na końcu swoim krokiem przypominającym kota, który próbuje po drodze wyczyścić sobie łapy. Nie czuł potrzeby wyjmowania pistoletu. Rozpiął tylko marynarkę, żeby być na to przygotowanym w razie konieczności.

Dotarli do pokoju przystosowanego do wielu funkcji. Prawdopodobnie było to królestwo sprzątaczk. Stała tam pralka, suszarka i wszystko, co konieczne do prasowania. Po lewej stronie wielka szafa pomalowana na biało zajmowała całą ścianę. W rogu, obok drzwi wejściowych, biegły z góry schody. Inny komandos schodził właśnie po nich z wyższego piętra.

Pod ścianą naprzeciwko drzwi wejściowych ustawiony był drewniany mebel z półkami.

- To musi być ten - stwierdził funkcjonariusz szeptem, wskazując lufą karabinu.

Frank przytaknął w milczeniu, schował pistolet i podszedł bliżej. Zaczął oglądać go dokładnie z prawej strony, podczas gdy Morelli robił to samo z lewej.

Gavin i jego ludzie stali przed nimi, ściskając broń, jak gdyby zza tego mebla mogło w każdej chwili wyskoczyć niebezpieczeństwo. Teraz również Roberts wyciągnął wielką berettę, która w jego chudych rękach wydawała się jeszcze większa i groźniejsza.

Frank chwycił jedną z półek regału i spróbował pociągnąć ją do siebie, a następnie pchnąć w bok. Nic to nie dało. Przeciągnął palcami po drewnie bocznej

ścianki, ale też niczego nie znalazł. Podniósł głowę, żeby zobaczyć górę regału, który był gdzieś trzydzieści centymetrów wyższy od niego. Rozejrzał się dokoła. Wziął metalowe krzesło z laminowanym siedziskiem stojące przy ścianie obok i przyciągnął je do mebla. Stał na nim i teraz mógł spojrzeć na najwyższą półkę. Zauważył natychmiast, że na drewnie, po jego stronie, nie ma nawet pyłka kurzu. Dalej, zaraz za rogiem, ustawioną w stronę ściany w zagłębieniu w drewnie, zobaczył małą metalową dźwignię, która jak się zdawało, mogła przejść dalej w zatrzask. Mechanizm był dobrze naoliwiony, bez śladu rdzy. Wyglądał na doskonale sprawny.

- Jest - powiedział Frank.

Morelli spojrział na niego. Zobaczył, że przez chwilę przygląda się uważnie czemuś na półce, czego on nie widzi.

- Claude, czy po twojej stronie widoczny jest jakiś zawias?

- Nie. Jeśli jest, to zamaskowany w meblu.

Frank popatrzył na ziemię. Nie było śladów przesuwania na posadzce z gresowych płytek. Najprawdopodobniej otwierało się go gdzieś z przodu. Jeśli ruch był poprzeczny i mebel przesunąłby się w gwałtowny sposób, zrzuciłby go z krzesła. Pomyślał instynktownie o Nicolasie Hulot i o wszystkich innych ofiarach Nikogo. Uznał, że jest to minimalne ryzyko w stosunku do tego, co ich spotkało. Zwrócił się do ludzi stojących przed regałem z wycelowanymi pistoletami.

- Uważajcie. Zaczynam.

Trzej policjanci zajęli pozycje, z rozstawionymi i lekko ugiętymi nogami, z pistoletami w obu rękach wycelowanymi w mebel. Frank popchnął dźwignię do samego końca. Rozległ się suchy trzask i regał otworzył się jak drzwi na zewnątrz, przesuając się cicho po dobrze naoliwionych zawiasach.

Przed ich oczami pojawiły się ciężkie drzwi zrobione w całości z metalu, osadzone dokładnie w murze z cementu. Ani śladu zawiasów. Zamknięcie było tak doskonałe, że prawie nie było widać linii oddzielającej drzwi od futryny. Po prawej stronie koło mechanizmu otwierającego przypominało włązy do statków podwodnych.

Stali wszyscy w milczeniu i jak zauroczeni patrzyli na tę ciemną, metalową ścianę. Każdy z nich, na swój sposób, zdawał się myśleć o tym, co było, kto był po drugiej stronie.

Frank zszedł z krzesła i zbliżył się do drzwi. Chwycił koło, służące również jako klamka, i pociągnął. Drzwi stawiały opór, którego się spodziewał. Próbował kręcić

kołem w jedną i drugą stronę, ale po łatwości, z jaką się obracało, zrozumiał, że to jałowe.

- Nie działa. Muszą być zablokowane od środka.

Kiedy policjanci opuścili wreszcie broń i podchodzili do drzwi, Frank zastanawiał się nad absurdalnością sytuacji, a w swojej głowie widział teraz nie jedną, ale dwie dłonie ze skrzyżowanymi palcami. Zaczął wpatrywać się w metal, jakby mógł go stopić wzrokiem.

Jesteś tu w środku, prawda? Ja wiem, że tam jesteś. Siedzisz, z uchem przystawionym do tych pancernych drzwi i słuchasz naszych głosów i hałasu, który robimy. Być może zastanawiasz się też, jak cię stamtąd wykurzamy. Absurd polega na tym, że my zastanawiamy się dokładnie nad tym samym. Groteskowe jest natomiast to, że będziemy zmuszeni wykonywać zabójcze akrobacje, być może ktoś przyplaci to nawet życiem, żeby spróbować wyciągnąć cię z więzienia po to, żeby wsadzić cię do analogicznego więzienia, dopóki śmierć was nie rozłączy...

Frank zaczął nagle myśleć o twarzy Jean-Loup'a i o dobrym wrażeniu, jakie ten chłopak zrobił na nim od samego początku. Znów zobaczył go załamanego w radiu, skulonego przy stole i wstrząsanego szlochem po jednym z kolejnych telefonów. Usłyszał echo jego płaczu i w jego pamięci zabrzmiało ono jak szydery śmiech złego ducha. Przypomnił sobie braterski ton, jakim z nim rozmawiał, kiedy udało mu się przekonać go, żeby nie przerywał audycji, nie wiedząc, że zachęca go tym samym do kontynuowania przeklętego łańcucha zbrodni.

Zdawało mu się, że poprzez te zamknięte drzwi czuje w nozdrzach zapach jego wody kolońskiej, świeżą, lekką woń cytryny i bergamotki, którą poznał dobrze, przebywając długo w jego pobliżu. Pomyślał, że może gdyby on też przystawił ucho do zimnego metalu, naturalny głos Jean-Loup'a, ciepły i głęboki, przeniknąłby przez grube drzwi, żeby jeszcze raz wyszeptać słowa, które od tamtej pory wypaliły się w ich głowach ognistym znakiem.

Ja zabijam...

Poczuł wzbierający w nim gigantyczny gniew, ożywiony poczuciem głębokiej frustracji wywołanej wspomnieniem o wszystkich ofiarach tego człowieka, Jean-Loup'a, Nikogo czy jak mu tam. Był to tak silny gniew, że teraz nie zawahałby się chwycić tych metalowych drzwi gołymi rękami, otworzyć ich, jakby były z cienkiej blachy, ścisnąć szyję człowieka, który tam był i...

Seria głuchych uderzeń przywracała go do rzeczywistości, od której odciągnęła go nienawiść. Porucznik Gavin uderzał pięścią w metal drzwi w różnych miejscach, słuchając rezonansu wywoływanego przez jego rękę. Po czym odwrócił się do nich z ponurą miną.

- Panowie, mam nadzieję, że mój człowiek jedzie tu z ładunkiem plastycznych materiałów wybuchowych wyłącznie po to, żeby mi zaprzeczyć. Nie chciałbym uchodzić za kogoś, kto obwieszcza tylko złe nowiny, ale ja przede wszystkim spróbowałbym znaleźć sposób, żeby skomunikować się z człowiekiem, który jest w środku, przyjąwszy, że tam jest. Trzeba go przekonać, że został już odkryty i że nie ma drogi ucieczki. Obawiam się, że jeśli człowiek ten nie postanowi z własnej woli stamtąd wyjść, będzie sprawą dosyć skomplikowaną wykurzyć go ładunkiem wybuchowym. Żeby otworzyć te drzwi, potrzebna jest ilość, która wysadziłaby pół góry.

Jedenasty karnawał

Mężczyzna jest bezpieczny w swojej kryjówce, w tym pudełku z metalu i cementu, które ktoś dawno temu wykopał w ziemi ze strachu przed czymś, co nigdy nie nastąpiło.

Odkąd odkrył jej istnienie, niemal przypadkiem, odkąd wszedł tam po raz pierwszy i zrozumiał, co to jest i czemu służy, utrzymywał swoją kryjówkę w doskonałym stanie. Spizarnia pełna jest jedzenia w puszkach i kartonów z wodą mineralną. Jest też prosty, ale skuteczny system uzdatniania płynów, który pozwala mu w razie konieczności filtrować i pić swój własny mocz. To samo dotyczy powietrza, które jest oczyszczane w zamkniętym obiegu, opartym na filtrach i odczynnikach chemicznych, niewymagającym dopływu z zewnątrz. Jego zapasy żywności i wody są takie, że może wytrzymać ponad rok.

Wychodzi tylko raz na jakiś czas, po zmroku, po to tylko, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i poczuć zapach lata, lekko tylko skażony oparami nocy, która od zawsze jest jego naturalnym środowiskiem. W ogrodzie rośnie duży krzew rozmarynu i jego ostra woń przywodzi mu na pamięć, zupełnie bez powodu, charakterystyczny zapach lawendy. Są od siebie tak różne, a przecież wystarczy ten szczegół, żeby z jego głowy wyszło wspomnienie, tak jak w szafie grającej, gdzie płyta opada cicho na talerz, wybrana spośród wszystkich innych przez mechaniczne ramię maszyny. Jest to połączenie nocy i aromatu w obraz złożony, poza dźwiękami i kolorami, również z powonienia. Tak cicho, jak to tylko on potrafi, porusza się w całkowitej ciemności po tym domu, który zna na wylot. Czasami wychodzi na taras i oparty o mur, ukryty w cieniu domu, podnosi głowę i obserwuje gwiazdy. Nie próbuje odczytać z nich przyszłości, zadowala go podziwianie ich świetlistego migotania w tym fragmencie teraźniejszości. Nie zastanawia się, co będzie z nim, z nimi. Nie jest to lekkomyślność czy lekceważenie, tylko świadomość.

Nie obwinia się o popełnienie błędu. Od samego początku wiedział, że prędzej czy później to nastąpi. Jest to prawo przypadku stosowane do ulotnego życia istot ludzkich i ktoś, dawno temu, nauczył go, że za błędy się płaci. To znaczy, niezupełnie tak. Zmusił go, aby przekonał się na własnej skórze, że za błędy się płaci.

I on, a właściwie oni zapłacili za swoje pomyłki. Za każdym razem w coraz bardziej okrutny sposób, przy coraz większym nasileniu kary, w miarę jak dorastali i ich margines błędu był węższy, aż w końcu nietolerancja stała się całkowita. Ten człowiek był nieugięty, ale w swojej pysze zapomniał, że on też jest tylko człowiekiem. I ten błąd kosztował go życie.

On przeżył, ten człowiek nie.

Po tych krótkich wypadach wraca do swojego podziemnego schronienia i czeka. Ciemny metal, którym jest obłożony, czyni również z tego miejsca przestrzeń nocy, jak gdyby ciemność wnikała przez drzwi za każdym razem, kiedy je otwiera, i oblekała niczym farba ściany. Jest to tylko jedna z wielu kryjówek, które noc ma do dyspozycji, aby przetrwać nadejście światła, ale on przypisuje temu inne znaczenie, interpretuje ten fakt jako naturalną znowę między uciekinierami.

W tym odizolowaniu nie czuje ciężaru oczekiwania ani samotności.

Ma muzykę i towarzystwo Pasa. To mu wystarcza. Właśnie, Vibo i Paso.

Sam już nie pamięta momentu, kiedy stracili swoje prawdziwe imiona i ich fantazja zrodziła te dwa nic nieznaczące przydomki. Może istniało jakieś konkretne odniesienie, a może jedynym odniesieniem była absolutna przypadkowość. Prosty wybryk dziecięcej wyobraźni, która jako taka nie potrzebuje żadnych logicznych czy namacalnych bodźców. Jak wiara, jest albo jej nie ma, po prostu.

W tej chwili, z zamkniętymi oczami, po raz nie wiadomo który, słucha Schodów do nieba Led Zeppelin, w rzadkiej wersji na żywo. Siedzi w swoim fotelu na kółkach i huśta lekko oparciem, idąc za melodią, która przywołuje w jakiś sposób, stopień po stopniu, powolną i męczącą wspinaczką w stronę nieba.

Schody istnieją, raj być może nie.

W drugim pokoju ciało wciąż leży w kryształowej trumnie, jakby zawieszony w ruchu, w oczekiwaniu na przebudzenie po zakończonej podróży, która tymczasem nigdy nie będzie miała kresu. Być może słucha razem z nim muzyki, może chwilami gubi jakiś fragment, pochłonięty podziwianiem nowej twarzy, ostatniej, jakiej mu dostarczył dla zaspokojenia jego zrozumiałej pychy. Wkrótce również to sztuczne oblicze ulegnie zniszczeniu, jak wszystkie pozostałe. Wtedy będzie musiał temu

zaradzić, ale chwilowo jest jeszcze czas i pierwszeństwo należy do wydobywającego się z kolumn głosu Roberta Planta, którego słucha pogrążony jakby w półśnie.

Utwór dobiegł końca.

Opiera się na drewnianym blacie i wyciąga rękę, żeby nacisnąć stop. Już ma dosyć słuchania. Chwilowo ta jedna piosenka mu wystarcza. Chce włączyć radio, zestroić się trochę z głosami pochodzącymi z zewnątrz.

W znieruchomiałej trochę ciszy, która następuje zawsze po muzyce, wydaje mu się, że słyszy rytmiczną serię uderzeń, jakby ktoś po drugiej stronie walił w zewnętrzną powierzchnię drzwi, wywołując dalekie odgłosy.

Wstaje z fotela i podchodzi do drzwi. Przystawia ucho i chłód metalu przenosi się na skórę. Seria uderzeń powtarza się. Zaraz potem, za drzwiami jakiś głos coś krzyczy. Są to niewyraźne słowa, docierające z bardzo daleka, ale on doskonale wie, że te praktycznie niezrozumiałe słowa są skierowane do niego. Nie rozumie, ale zgaduje ich sens. Głos nakłania go zapewne, żeby otworzył drzwi i poddał się, zanim...

Odsuwa ucho od metalu z uśmiechem. Jest zbyt doświadczony, żeby nie wiedzieć, że ich groźby nie są próżne. Wie, że nie mogą zrobić wiele, żeby go wykurzyć, ale równie dobrze wie, że to, co mogą, uczynią na pewno. Jedyne, czego nie wiedzą, to że nigdy nie zdołają go złapać. Przynajmniej żywego.

Nic na świecie nie przekona go, żeby dać im tę satysfakcję.

Odchodzi od drzwi i idzie do pokoju, gdzie ciało w przezroczystej skrzyni do swego zwykłego bezruchu dodało, jak się zdaje, jakieś witalne napięcie. Rys niepokoju maluje się na pozbawionej wyrazu skórze maski, która osłania mu oblicze. Myśli, że kiedyś taki rodzaj emocji pojawiał się na twarzy leżącego tam człowieka. Teraz jest to tylko złudzenie i nic więcej. Wszelka emocja ulotniła się na zawsze w powietrzu wraz z ostatnim tchnieniem.

Zalega długa, refleksyjna cisza. Mijają minuty. Nieboszczycy mają do dyspozycji wieczność i dla nich taki wycinek czasu trwa krócej niż nic. Dla żywych może się czasem zdawać długo jak całe życie.

Głos w głowie powraca i zadaje pytanie, którego obawiał się usłyszeć.

Co będzie ze mną, Vibo?

Mężczyźnie staje przed oczami cmentarz w Cassis, wielki cyprys pośrodku, rząd grobów osób, którym nigdy nie udało się być ich rodziną, jedynie ich koszmarem. Na tych grobach nie ma zdjęć, ale twarze ludzi leżących w mogiłach są jak obrazy dopiero co namalowane na murach jego pamięci.

- Myślę, że wrócisz do domu. I ja też...

Och...

Stłumiony okrzyk, zwykła monosylaba obejmująca wszystkie oczekiwania świata. Przywołanie wolności, słonecznego światła, ruchu morskich fal, w które można wskoczyć jako mężczyzna, a wyłonić się jako dziecko. Łzy wypływają swobodnie z oczu mężczyzny i ciekną po twarzy, opadają na kryształowe wieko, na którym jest teraz oparty. Są to biedne, niepozorne, połyskujące łzy, ale mają taki sam kolor jak owe fale.

Uczucie, które błyszczy w jego oczach, jest całkowite, bezgraniczne. Patrzy po raz ostatni na ciało swojego brata, noszącego twarz innego człowieka, i widzi go, jakim był, jakim powinien być: identyczny jak on, lustro, w którym widać odbicie własnej twarzy.

Oddala się kilka kroków od trumny, zanim jest w stanie odwrócić się do niej plecami. Idzie do drugiego pokoju i stoi chwilę przed długim rzędem różnego rodzaju aparatury odtwarzającej muzykę.

Jest tylko jedna rzecz, jaką teraz może zrobić. Jest to dla niego jedyne wyjście i jedyny sposób, jaki mu pozostaje, żeby postawić ścigające go psy w obliczu nowej porażki. Kiedy nastawia ucha, wydaje mu się, że słyszy ich łapy drapiące gorączkowo z drugiej strony metalowych drzwi.

Tak, jest jedna rzecz, którą może zrobić i musi zrobić to szybko.

Wyjmuje z odtwarzacza płytę Zeppelinów i zastępuje ją heavy rockiem.

Wybiera przypadkową płytę, nie patrząc nawet, co to za zespół. Przyciska start.

Niemal gniewnym ruchem ustawia maksymalną głośność.

Wydaje mu się, że widzi wyraźnie, jak w animowanym filmie, muzyczny impuls wytwarzany przez laserowy odtwarzacz, przechodzący przez gniazdko i wtyczkę, przebiegający kablami, docierający do głośników Tannoy o mocy nienaturalnej w stosunku do małej przestrzeni, w której są ustawione, wspinający się do *tweeterów* i *woofersów*...

Nagle mały pokój eksploduje. Wydaje się, że poprzez głośniki impet rytmiki i metalu gitar próbuje przenieść się do metalu ścian, żeby nimi wstrząsnąć i wywołać wibrację za sprawą przewrotnego efektu rezonansu.

W huku piorunu, który ma naśladować ta muzyka, nie może już słyszeć żadnego głosu. Mężczyzna opiera się rękoma o drewniany blat i słucha przez chwilę

bicia swojego serca. Wali ono tak mocno, że zdaje się, jakby miało też wybuchnąć pod naporem wszystkich tych wytwarzanych przez głośniki watów.

Jest tylko jedna rzecz do zrobienia. Teraz.

Mężczyzna otwiera szufladę pod blatem po prawej stronie i nie patrząc, wsuwa tam rękę. Kiedy ją wyciąga, jego palce ściskają pistolet.

- Zrobione!

Gachot, pirotechnik, wysoki i potężny mężczyzna z wąsami i włosami tak ciemnymi, że mogły się zdawać farbowane, podniósł się z ziemi z zadziwiającą jak dla kogoś jego budowy zręcznością. Frank uznał, że to, co wypełnia jego mundur służb specjalnych, to solidne umięśnienie, a nie owoc skłonności do trzymania nóg wyciągniętych pod stołem i poruszania szczękami jako jedynej aktywności fizycznej.

Odsunął się od metalowych drzwi. Srebrzystą taśmą klejącą przymocował do zamknięcia pudełko o rozmiarach telefonu bezprzewodowego z małą antenką i dwoma kabelkami, żółtym i niebieskim, które wychodziły z aparatu i znikwały w otworze wywierconym w drzwiach nieco poniżej koła.

Frank obejrzał detonator, całkowicie anonimowy w swojej prostocie. Pomyślał o bzdurach, jakie widywało się w filmach, gdzie urządzenie, mające odpalić bombę atomową, która zniszczyłaby miasto i zabiła miliony mieszkańców, miała zawsze czerwony wyświetlacz odmierzający nieuchronnie sekundy, brakujące do ostatecznego wybuchu. Rzecz jasna, bohater potrafił rozbroić mechanizm w ostatniej fatalnej sekundzie, po długich chwilach, kiedy wraz z widzami przeżywał dramatyczną wątpliwość, czy przeciąć czerwony, czy zielony przewód. Takie sceny wywoływały zawsze uśmiech na jego twarzy. Czerwony czy zielony przewód. Życie milionów ludzi zależało od tego, czy bohater historii jest daltonistą, czy nie...

W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Nie było żadnej potrzeby pokazywać licznika detonatora z tej prostej przyczyny, że zazwyczaj nie było nikogo, kto by na niego patrzył w chwili, kiedy bomba miała wybuchnąć. A jeśli ktoś był zmuszony to zrobić, nic go nie obchodziło, czy zegar jest dokładny.

Gachot podszedł do Gavina.

- Ja jestem gotowy. Lepiej usunąć ludzi.

- Bezpieczna odległość?

- Nie powinno być problemów. Użyłem tylko trochę C4, który jest materiałem bardzo poręcznym. Do tego, co mamy osiągnąć, jeśli dobrze widziałem, starczy aż nadto. Konsekwencje wybuchu powinny być dosyć ograniczone. Jedyne ryzyko to drzwi, które wyłożone są ołowiem. Mogą poodpryskiwać odłamki, jeśli przypadkiem pomyliłem się w rachubach i użyłem trochę za dużo materiału. Powiedziałbym, że najlepiej rozłokować wszystkich w garażu.

Frank podziwiał przezorność pirotechnika, który wyszkolony był nie tylko w rozbijaniu bomb, ale także w ich konstruowaniu. Była w nim naturalna skromność kogoś, kto potrafi wykonywać dobrze swoją pracę, tym bardziej że Gavin powiedział, że jest w tym diabelnie dobry.

Jest zatem dobrym przeciwnikiem dla tego, kto znajduje się po drugiej stronie drzwi, pomyślał Frank.

- A co z pomieszczeniami piętro wyżej? Gachot potrząsnął głową.

- Nie ma żadnego problemu, jeśli ludzie stoją daleko od schodów do pralni. Ruch powietrza, powtarzam, będzie bardzo umiarkowany, ale wydostanie się tamtędy i przez świetliki od frontu.

Gavin odwrócił się do swoich ludzi.

- Chłopcy, słyszeliście. Zaraz zrobimy sztuczne ognie. Poczekamy na zewnątrz, ale od razu po wybuchu wbiegamy przez drzwi na korytarz i z pokoju na górze, żeby mieć pod kontrolą drzwi do schronu. Nie wiemy, co się wydarzy. Na pewno nasz człowiek będzie trochę oszołomiony eksplozją, ale może wybrać różne rozwiązania.

Inspektor przedstawił ewentualności, których mogli się spodziewać, licząc je na placach prawej ręki.

- Po pierwsze, wychodzi uzbrojony z zamiarem drogiego sprzedania skóry. Nie chcemy wśród nas ofiar ani rannych. W takim więc wypadku, jeśli zobaczymy go z bronią w ręku, nawet jakby była to temperówka, kładziemy go na miejscu bez litości...

Spojrzał po kolei na ludzi, żeby zobaczyć, czy przyswoili to, co przed chwilą powiedział.

- Po drugie, nie wychodzi. Wtedy wykurzamy go gazami łzawiącymi. Gdyby znów postanowił wyjść z bojowymi zamiarami, postępujemy jak w pierwszym przypadku. Wszystko jasne?

Ludzie pokiwali twierdząco głowami.

- Dobrze, dzielimy się więc na dwie grupy. Połowa z Toureu na górę. Reszta ze mną do garażu.

Komandosi oddalili się bezszelestnie, co charakteryzowało zresztą ich sposób bycia. Frank podziwiał poziom przygotowania Gavina i jego ludzi. Szczególnie teraz, kiedy był w swoim żywiole, porucznik zachowywał się swobodnie i trzeźwo. Frank wyobraził ich sobie na siedzeniach w furgonetce, wożonych w tę i z powrotem, z kolbami M-16 opartymi o podłogę, rozmawiających o tym i owym, w oczekiwaniu.

Teraz oczekiwanie się skończyło. W chwili, kiedy wkraczało się do akcji, każdy z nich miał możliwość nadać sens zmudnym godzinom spędzonym na szkoleniu.

Kiedy wszyscy ludzie wyszli, Gavin zwrócił się do inspektora Morellego i komisarza Robertsa.

- Lepiej rozstawić waszych ludzi na zewnątrz, gdzie nie ma niebezpieczeństwa. W razie poruszenia nie chciałbym, żeby tu na dole było zbyt dużo ludzi i żebyśmy wzajemnie sobie przeszkadzali. Brakuje tylko tego, żeby któryś z waszych skończył z kulką w głowie wystrzeloną przez jednego z moich albo na odwrót. Nie byłby to powód do dumy. Poza tym, co powiedziałyby pismaczyny...

- W porządku.

Dwaj policjanci ruszyli, żeby zapoznać swoich ludzi z sytuacją i podać instrukcje.

Frank uśmiechnął się sam do siebie. Wyobraził sobie, że pismaczyny, według neologizmu Gavina, to jego sposób na określenie tych, którzy siedzą za biurkiem i wydają rozkazy, nie ryzykując nigdy na polu walki.

W pomieszczeniu zostali tylko oni trzej, Gavin, Gachot i Frank.

Pirotechnik miał w ręku pilota, przyrząd trochę większy od pudełeczka szwedzkich zapalek, z którego wystawała taka sama antena jak na detonatorze przymocowanym do drzwi.

- Czekamy tylko na pana. To od pana zależy - powiedział Gavin.

Frank zastanawiał się przez chwilę. Spojrzał na nieduże urządzenie trzymane przez Gachota. W jego dłoni zdawało się jeszcze mniejsze. Frank zastanawiał się, jak jest w stanie obsługiwać tymi palcami duże urządzenia złożone czasami z mikroskopijnych części.

Brygadier Gachot pojawił się w czasie ściśle wyznaczonym mu przez Gavina. Przyjechał granatową furgonetką takiego samego modelu jak pierwsza, z zespołem złożonym z dwóch ludzi, poza kierowcą. Został wprowadzony w sytuację, a na dźwięk słów „schron przeciwatomowy” jego spojrzenie spochmurniało, tak, że zdawało się jeszcze ciemniejsze. Ludzie wyładowali materiał wybuchowy i zeszli do pralni. Frank

wiedział doskonale, że w jednej z tych sztywnych czarnych walizek o brzegach z aluminium znajduje się materiał plastyczny. Mimo świadomości, że bez splonki i w szczególnych warunkach materiał ten jest absolutnie nieszkodliwy, nie był w stanie czuć się całkowicie spokojnie. Prawdopodobnie w walizce tej była ilość wystarczająca, żeby rozerwać dom i ich wszystkich na kawałki nie większe od znaczka pocztowego.

Po dojściu do drzwi pirotechnik oglądał je długo w milczeniu. Przeciagnał rękami po powierzchni, jakby dotyk mógł mu przynieść coś, czego sam metal nie chciał mu powiedzieć.

Po czym zrobił coś, co Frankowi wydało się trochę śmieszne, poza tym anachroniczne. Wyjął ze swoich narzędzi fonendoskop i zaczął osłuchiwać mechanizm, kręcąc kołem w jedną i drugą stronę, żeby sprawdzić kierunek rotacji.

Frank stał wśród innych, smażąc się jak jajko na blasze. Zdawało mu się, że są jak krewni chorego, w oczekiwaniu, aż lekarz powie im, jak poważna jest choroba pacjenta.

Gachot odwrócił się i na szczęście zmniejszył częściowo pesymistyczne prognozy inspektora Gavina.

- Może da się zrobić.

Frank pomyślał, że westchnienie ogólnej ulgi mogło podnieść przynajmniej o pięć centymetrów podłogę pokoju nad nimi.

- Drzwi są opancerzone przeciwko promieniowaniu i dla zachowania bezpieczeństwa konstrukcyjnego. Nie jest to jednak kasa pancerna. To znaczy, nie zostały zbudowane, żeby przechowywać wartościowe rzeczy, ale tylko po to, żeby chronić fizyczną nienaruszalność mieszkańców. Dlatego mechanizm zamykający jest w sumie dosyć prosty, biorąc również pod uwagę fakt, że chodzi o dosyć stary model. Jedyne ryzyko polega na tym, że zamek zamiast się otworzyć, może się całkowicie zablokować.

- Co wtedy? - zapytał Gavin.

- Wtedy dupa. Naprawdę trzeba by otwierać go bombą atomową, a chwilowo nie mam ani jednej przy sobie.

Odpowiedzią tą, wymówioną jak sentencja, Gachot ochłodził trochę ogólne podniecenie. Oddalił się, żeby sprawdzić walizki ze sprzętem, które jego ludzie przyciągnęli w pobliże drzwi. Wyjął z nich wiertarkę, wyglądającą jakby pochodziła z „Enterprise”, statku kosmicznego ze Star Treka. Jeden z ludzi przykręcił do niej

metalową końcówkę o niemożliwej do wymówienia nazwie, którą jednak Gachot opisał jako zdolną do przedziurawienia opancerzenia Fort Knox.

W istocie, wiertło weszło w drzwi z niejaką łatwością, przynajmniej do pewnej głębokości, wytwarzając metalowe opiłki opadające na ziemię przed człowiekiem posługującym się przyrządem, który w końcu podniósł maskę ochronną, żeby zrobić miejsce brygadierowi Gachot. Ten uklęknął przed otworem i wsunął węń światłowód, połączony na jednym końcu z kamerką, a na drugim z wyglądającym jak maska płetwonurka wizjerem, który założył, żeby sprawdzić od środka mechanizm zamka.

W końcu otworzył inkryminowaną walizkę.

Ich oczom ukazały się prostopadłościanny masy plastycznej owinięte w srebrzysty staniol. Gachot odwinął jeden z nich i odciął krajakiem kawałek materiału wybuchowego, który miał wygląd szarawej plasteliny. Pirotechnik wykonywał wszystkie czynności z absolutną swobodą, ale patrząc na twarze wszystkich obecnych, Frank zaczął podejrzewać, że powszechne myślenie nie odbiega specjalnie od jego wcześniejszego niepokoju podczas transportu walizek.

Za pomocą drewnianej pałeczki Gachot wprowadził niewielkie ilości C4 do otworu wywierconego w drzwiach, a następnie połączył je z przewodami, które kończyły się przy detonatorze zawieszonym obok koła.

Teraz byli gotowi. Jednak Frank nie mógł się jeszcze zdecydować na wydanie rozkazu.

Obawiał się, że coś może pójść nie tak i wtedy po drugiej stronie, z takiego czy innego powodu, którego nie potrafił sobie wyjaśnić, znajdą trupa. To też mogło być rozwiązanie, ale Frank pragnął złapać Nikogo żywcem, choćby po to, żeby do końca życia mieć przed oczami obraz tego psychopatycznego wariata prowadzonego w kajdankach. Nie chodziło o to, że chciał tak zrobić, tak należało zrobić.

- Zaczekajcie chwilę.

Podszedł do drzwi i przyłożył niemal policzek do ołowianej powierzchni. Miał zamiar podjąć jeszcze jedną próbę rozmowy z człowiekiem wewnątrz, przyjąwszy, że tamten może go słyszeć, ponowić propozycję, by wyszedł bez broni, z podniesionymi rękami, nie zmuszając ich do użycia materiałów wybuchowych. Zrobił to już przed przyjazdem oddziału pirotechników, ale nie uzyskał żadnego rezultatu.

Zaczął walić silnie pięścią w metal w nadziei, że głuchy odgłos słyhać również wewnątrz.

- Jean-Loup, słyszysz mnie? Za chwilę wysadzimy drzwi. Nie zmuszaj nas do tego. Mogłoby to być dla ciebie niebezpieczne. Lepiej, żebyś wyszedł na zewnątrz. Obiecuję, że nic ci się nie stanie. Daję ci minutę na podjęcie decyzji, potem wysadzimy drzwi.

Frank cofnął się, zgiął prawe ramię i zaczął wpatrywać się w tarczę zegara. Włączył sekundnik.

Wskazówka zaczęła się poruszać, odmierzając sekundy jedna po drugiej, jak złe wspomnienia.

... 8, 9, 10

Arijane Parker i Jochen Welder - okaleczone ciała na łodzi zaklinowanej między innymi żaglówkami, w porcie...

... 20

Allen Yoshida - krwawe, wykrzywione szyderczym grymasem oblicze, wytrzeszczone w czaszce oczy w oknie bentleya, podczas jego ostatniej podróży...

... 30

Gregor Yatzimin - harmonijne ciało ułożone na łóżku, czerwony kwiat na białej koszuli, w kontraście z potwornie zmasakrowaną twarzą...

... 40

Roby Stricker, rozciągnięty na podłodze, palec wykrzywiony w rozpaczliwej próbie pozostawienia przed śmiercią wiadomości, z udręką kogoś, kto wie wszystko i rozumie, że nigdy więcej nie będzie mógł nic powiedzieć...

... 50

Nicolas Hulot, zepchnięty w przepaść w swoim samochodzie z zakrwawioną twarzą, roztrzaskaną o kierownicę, bo jego winą było, że jako pierwszy poznał nazwisko...

... 60

Ciała trzech funkcjonariuszy znalezione w tym domu...

- Dosyć!

Frank zatrzymał wskazówki. Te sześćdziesiąt sekund, zablokowane na jego zegarku, ostatnia szansa, jaką dał mordercy, zdały mu się minutą skupienia, jakie miłosierdzie każdego winne jest swoim ofiarom. Jego głos był tnący jak końcówka wiertarki, którą przedziurawiono metal.

- Otwieramy te przeklęte drzwi.

Trzej mężczyźni przeszli przez pralnię, wyszli na korytarz i stamtąd skręcili zaraz w lewo, żeby dołączyć do pozostałych oczekujących w garażu. Ludzie klęczeli na ziemi pod ścianą po prawej stronie, najbardziej oddalonej od punktu, gdzie miała nastąpić eksplozja. Moreli i Robert stali na podwórzu. Frank dał im znak i obaj odsunęli się sprzed drzwi garażu, żeby się schronić.

Gavin ustawił sobie przed ustami ramię mikrofonu ze słuchawką, który łączył go drogą radiową z jego ludźmi.

- Chłopcy, zaczynamy.

Podeszli do pozostałych ludzi pod ścianą, którzy ścieśnili się, żeby zrobić im miejsce. Inspektor Gavin dał Gachotowi znak głową. Nie zdradzając żadnych emocji, pirotechnik podniósł lekko rękę trzymającą pilota i nacisnął guzik.

Eksplozja, doskonale obliczona, była bardzo umiarkowana. Odczuli ją bardziej jako wibrację niż wybuch. Ruch powietrza, jeśli był, ograniczył się tylko do pralni. Echo nie wybrzmiało jeszcze w powietrzu, kiedy komandosi skoczyli już do drzwi, a za nimi Frank i Gavin.

Kiedy dotarli do pralni, zastali tam już ludzi, tych z garażu i tych, którzy zbiegli z wyższego piętra, ustawionych przed metalowymi drzwiami, z wycelowaną bronią.

W lokalu nie było widać wyraźnych szkód. Tylko drewniany regał maskujący wejście do schronu został wyrwany z jednego z górnych zawiasów i teraz zwisał z jednej strony. Niewielka ilość dymu, wywołana eksplozją, wydostawała się teraz przez świetliki, które fala uderzenia podniosła do góry.

Drzwi do bunkra były uchylone. Eksplozja otworzyła je tylko na kilka centymetrów, jak gdyby ktoś przez nie przeszedł i tylko je przymknął.

Przez szparę dochodziła nastawiona piekielnie głośno obłąkańcza muzyka.

Oczekali kilka sekund, ale nic się nie wydarzyło. W powietrzu wisiał drażniący zapach materiału wybuchowego. Gavin wydał rozkaz przez interfon.

- Gazy łzawiące.

Komandosi niemal równocześnie wyjęli z małych plecaków, które mieli na ramionach, maski przeciwgazowe. Włożyli je pod kaski. Frank poczuł dotyk na ramieniu, a po chwili Gavin również jemu podał maskę.

- Lepiej będzie, jeśli ją pan założy, jeśli chce pan tu zostać. Wie pan, jak się tego używa? - zapytał z nutą ironii w głosie.

W odpowiedzi Frank nasunął maskę w mgnieniu oka.

- Bardzo dobrze - powiedział zadowolony Gavin - widzę, że w FBI czegoś przynajmniej was uczą...

Sam też włożył maskę, po czym dał znak ręką jednemu z ludzi. Żołnierz odstawił karabin pod ścianę i podpełzł pod drzwi, aż znalazł się przy kole, które mimo eksplozji wciąż było na swoim miejscu.

Kiedy chwycił za nie i pociągnął, drzwi otworzyły się lekko, bez żadnego skrzypienia, czego każdy z nich instynktownie się spodziewał. Z łatwością, z jaką to zrobił, wynikało, że mechanizm otwierający jest prosty do uruchomienia i że porusza się na zawiasach z doskonałą sprawnością. Drzwi zostały otworzone tylko na tyle, żeby umożliwić drugiemu żołnierzowi wrzucić przez szparę granat z gazem łzawiącym.

Po kilku sekundach wydostała się stamtąd spirala żółtawego dymu. Frank znalazł ten gaz. Atakował oczy i gardło w sposób nie do zniesienia. Jeśli ktoś był w schronie, nie wytrzymałby jego działania.

Odczekali kolejne sekundy, które zdawały się wiecznością, ale przez drzwi nikt nie wyszedł. Tylko i wciąż ta oszaląca, bardzo głośna muzyka i te spirale dymu, które teraz zaczynały nabierać wręcz szyderczego znaczenia.

Frank był zawiedziony. Odwrócił się do Gavina i ich spojrzenia skrzyżowały się poprzez okulary masek. Z wyrazu jego oczu odczytał, że tamten czuje dokładnie to samo. Obydwaj zdawali sobie sprawę, co to znaczy.

Po pierwsze: w schronie nie było nikogo.

Po drugie: ten człowiek, widząc, że to koniec, zamiast wpaść w ich ręce, odebrał sobie życie.

Po trzecie: ten skurwysyn też miał maskę przeciwgazową. Była to hipoteza całkiem prawdopodobna. Przyzwyczaił ich, że mogą się po nim spodziewać wszystkiego. W takim przypadku, gdyby próbowali wejść, biorąc pod uwagę, że przez drzwi nie może przejść za jednym razem więcej niż jeden człowiek, wystarczyłoby, że gdzieś się ukryje i położy trupem kolejne ofiary, zanim uda im się w jakiś sposób go powalić. Był uzbrojony i wszyscy wiedzieli, że jest do tego zdolny.

Gavin podjął decyzję.

- Wrzucie granat ogłuszający. Potem będziemy musieli zaryzykować wejście.

Frank bardzo dobrze rozumiał punkt widzenia porucznika. Z jednej strony czuł się niemal głupio w tego rodzaju sytuacji, dowodząc grupą ludzi w ryszunku bojowym szturmujących drzwi, które mogły prowadzić do pustego pomieszczenia. Z drugiej strony, w przeciwnym przypadku, absolutnie nie chciał, żeby któryś z jego

ludzi wpakował się tam, by oszczędzić mu tego przykrego odczucia. Znał tych wszystkich chłopaków i nie chciał narażać ich życia.

Frank postanowił rozwiązać jego wszelkie wątpliwości. Przyłożył swoją maskę do maski porucznika, żeby ten mógł lepiej słyszeć jego głos.

- Po granacie ja wchodzę.

- Nie - odpowiedział sucho Gavin. - Nie ma powodu, żeby pana ludzie niepotrzebnie ryzykowali.

Milczenie i wzrok Gavina mówiły same za siebie.

- Jest to propozycja, której nie mogę zaakceptować.

Odpowiedź Franka nie dopuszczała sprzeciwu.

- Nie chcę robić z siebie bohatera, poruczniku. Ale ta historia stała się sprawą osobistą między mną a tym człowiekiem. Przypominam panu, że to ja kieruję operacją, a pan jest tutaj tylko moim wsparciem. To, co mówię, nie jest zwykłą propozycją, to rozkaz.

Po czym zmienił ton w nadziei, że tamten zrozumie jego intencje mimo ułomnego sposobu porozumiewania się.

- Jeśli ten człowiek zabiłby, poza wszystkimi innymi, także jednego z pańskich najlepszych przyjaciół, postąpiłby pan dokładnie tak jak ja.

Gavin dał znak głową, żeby potwierdzić, że zrozumiał. Frank zbliżył się do ściany i wyciągnął glocka. Stał przy drzwiach. Dał znak ręką, że jest gotowy.

- Granat - rozkazał sucho Gavin.

Żołnierz, który wcześniej wrzucił gaz łzawiący, ściągnął języczek ręcznej bomby i cisnął ją w przerwę w drzwiach. Granat, którego użyli, był mechanizmem opracowanym specjalnie dla tego rodzaju ataków, pozbawiony efektu odłamkowego, ale ze zdolnością ogłuszenia osób przebywających w danym pomieszczeniu, bez ryzyka śmierci.

Nastąpił błysk oślepiającego światła i głośny wybuch, dużo głośniejszy od tego wywołanego materiałem plastycznym. Rozdzierająca muzyka dochodząca ze schronu przeniesiona została nagle do swojego naturalnego środowiska, do zgiełku koncertu, pomiędzy kolorowe dymy i błyski oślepiającego światła. Zaraz potem człowiek stojący po prawej stronie Franka otworzył drzwi na tyle, żeby umożliwić mu wejście. Z pomieszczenia wydobył się kłęb gazu łzawiącego pomieszanego z dymem wytworzonym przez drugi granat. Drzwi nie były otwarte wystarczająco szeroko, żeby

można było zobaczyć, co dzieje się w środku. Frank ruszył z prędkością błyskawicy i stanął na progu z wycelowanym pistoletem.

Reszta pozostała na zewnątrz, w oczekiwaniu.

Minęło parę minut, a każda z nich miała w sobie załączki wieczności. Po czym muzyka nagle się urwała, a cisza, która zaległa, zdawała się wszystkim jeszcze bardziej ogłuszająca. W końcu zobaczyli, jak drzwi otwierają się całkowicie, i w progu pojawia się postać Franka, a za nim ostatnia spirala dymu, który unosi się nad jego ramionami, przybrawszy niepokojący wygląd ducha, który towarzyszył mu w powrocie z zaświatów.

Miał jeszcze cały czas maskę przeciwgazową i nie można było zobaczyć jego twarzy. Obie ręce zwisały wzdłuż ciała, jakby zupełnie opadły z sił. Wciąż ścisnął jeszcze w dłoni pistolet. Bez słowa przeszedł przez pralnię krokiem człowieka, który przegrał wszystkie wojny świata. Żołnierze rozstąpili się na boki, żeby go przepuścić.

Frank skierował się do drzwi naprzeciw i wszedł w korytarz. Gavin ruszył za nim i razem doszli do garażu. Tam czekali Morelli i Roberts, oni również z twarzami ukrytymi pod maskami przeciwgazowymi.

Światło słoneczne wpadało przez podniesioną bramę, rysując jasny kwadrat na podłodze. Gavin jako pierwszy zdjął kask i maskę. Miał mokre włosy i twarz całą zlaną potem. Otarł czoło rękawem granatowego munduru.

Frank stał jeszcze przez chwilę pośrodku garażu, na granicy między cieniem a światłem, po czym on też ściągnął maskę. Odsłonił twarz człowieka śmiertelnie zmęczonego.

Podszedł do niego Morelli.

- Frank, co ci się stało tam w środku? Wyglądasz, jakbyś dopiero co zobaczył wszystkie diabły w piekle.

Frank odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, i odpowiedział mu głosem starca i z oczami kogoś, kto nie ma już w życiu nic więcej zobaczyć.

- Dużo gorzej, Claude, dużo gorzej. Wszystkie diabły z piekła, zanimby tam weszły, musiałyby się przeżegnać.

Frank i Morelli patrzyli, jak z drzwi garażu wyjeżdżają nosze i śledzili wzrokiem ludzi, którzy wsuwali je do ambulansu. Przykryte ciemnym płótnem, leżało na nich ciało, które znaleźli w schronie, wyschnięte zwłoki mężczyzny bez oblicza, noszącego niczym maskę twarz innego mężczyzny, zabitego po to, by mu ją dać.

Po tym, jak Frank wyszedł stamtąd wstrząśnięty, wszyscy ludzie, po kolei, wchodzili do schronu i wracali z takim samym wyrazem zgrozy na twarzy. Widok zmumifikowanego ciała, wyciągniętego w kryształowej skrzyni, ze skurczoną maską ostatniej ofiary Nikogo, było sceną zdolną zachwiać nawet najbardziej odpornym umysłem. Był to obraz, który każdy z nich będzie miał przed oczami w dzień i w nocy, nie wiadomo jak długo.

Jeszcze teraz Frank z trudem wierzył w to, co zobaczył. I nie mógł pozbyć się niezdrowego uczucia, pragnienia, żeby myć się w nieskończoność, jakby miał potrzebę oczyszczenia ciała i duszy ze zła w stanie czystym, które unosiło się w tamtym miejscu. Czuł się nieswojo tylko z tej przyczyny, że oddychał powietrzem nasączonym szaleństwem pod postacią wirusa tak zaraźliwego, że mógł zainfekować każdą osobę i uczynić ją zdolną do takich samych czynów, pod wpływem tej samej choroby.

Frank nie mógł się opędzić od jednego pytania. Dlaczego?

Słowo to wciąż odbijało się w jego głowie, jakby osłaniało tajemnicę perpetuum mobile, choć zdawał sobie sprawę, że odpowiedź na to pytanie nie ma znaczenia, jeszcze nie.

Kiedy wszedł do schronu, sprawdził go od góry do dołu, przedzierając się przez dym z pistoletem w rękę. Serce biło mu tak mocno, że niemal nie słyszał niesamowicie głośno nastawionej muzyki. Wyłączył ją i pozostał tylko odgłos jego dyszącego oddechu w masce przeciwgazowej. Poza nieruchomą obecnością owego ciała, ułożonego w swojej potwornej marności w przezroczystej trumnie, znalazł tylko puste pomieszczenia.

Jak zahipnotyzowany patrzył na zwłoki przez długą minutę, przebiegając wzrokiem po ich przygnębiającej nagości, nie mogąc oderwać oczu od tego spektaklu śmierci uwznioślonej przez potworną chorą wyobraźnię. Długo wpatrywał się w twarz osłoniętą tym rodzajem pogrzebowej maski, którą upływ czasu i natura upodabniały powoli do reszty ciała. Na szyi trupa kilka kropli zakrzepłej krwi wypłynęło zza odstających brzegów, aby zaświadczyć o tymczasowości tej nienaturalnej próby przeszczepu.

To zatem był cel owych zbrodni? Ci wszyscy zabici ludzie, tylko po to, żeby ludzi trupa, że wciąż żyje? Jakie krwawe, pogańskie bałwochwalstwo mogło zainspirować tę potworność? Jakie mogło być wyjaśnienie, jeśli w ogóle można tu mówić o jakiejś logice tego żałobnego rytuału, który wymagał poświęcenia tylu niewinnych ofiar?

To jest prawdziwe szaleństwo, pomyślał, zdolność karmienia się samym sobą, żeby rodzić zawsze i tylko inne szaleństwo.

Kiedy zdołał się wreszcie otrząsnąć i oderwać oczy od tego koszmarnego widoku, wyszedł na zewnątrz, aby pozwolić ludziom wejść i zobaczyć to samo.

Teraz hałas zatrząskiwanych drzwi ambulansu znów przywołał Franka do rzeczywistości. Zza pojazdu wyłoniła się chuda postać Roberta, który szedł w kierunku Franka. Za jego plecami czekał wóz policyjny z włączonym silnikiem i drzwiczkami otwartymi od strony pasażera. Roberts miał minę kogoś, kto był w miejscu, w którym nigdy nie chciałby się znaleźć. Jak zresztą wszyscy.

- Dobra, my jedziemy - powiedział bezbarwnym głosem.

Frank i Morelli uścisnęli mu rękę i żegnając się, nie zauważyli, że sami mówią dokładnie takim samym głosem. Komisarz z trudem patrzył im w oczy. Choć przeżył tę historię w dużo bardziej powierzchowny sposób i nie siedział w tym oszalały jak oni od samego początku, miał w oczach to samo zmęczone rozczarowanie. Oddalił się swoim niezgrabnym krokiem, do którego teraz dołączyło jeszcze owo poczucie wyczerpania, jakie niesie ze sobą każdy nagły spadek nerwowego napięcia. Być może również on nie mógł się doczekać powrotu do swojego zwykłego życia, do swoich historii powszedniej nędzy albo powszedniej zachłanności, do mężczyzn i kobiet, którzy zabijają z zazdrości, z żądzy pieniędzy, przez przypadek. Do chwilowych szaleństw, które nie trwały wiecznie, szaleństw, których nie trzeba było nosić przyczepionych do wspomnień niczym makabryczne trofea, przez resztę życia. Być

może również on, jak wszyscy, miał tylko jedno pragnienie. Oddalić się od tego domu jak najszybciej i spróbować zapomnieć o jego istnieniu.

Rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwi, hałas silnika i zaraz potem widać było tył samochodu znikającego na podjeździe prowadzącym na ulicę.

Gavin i jego ludzie odjechali już wcześniej. To samo zrobił Gachot ze swoim oddziałem. Skręcili na zjazd w kierunku miasta w swoich granatowych furgonetkach, wypełnionych ludźmi, bronią, wyszukanym sprzętem i owym banalnym, zwykłym poczuciem porażki, które łączy od zawsze wielkie i małe armie po przegranej bitwie.

Również Morelli odesłał do centrali większość swoich ludzi. Kilku kręciło się jeszcze, kontrolując ostatnie działania, a potem mieli eskortować ambulans aż do kostnicy.

Blokady drogowe zostały już zdjęte i długa kolejka czekających samochodów stopniowo się rozładowywała przy pomocy kilku funkcjonariuszy, którzy kierowali ruchem i uniemożliwiali ciekawskim zatrzymywanie się i wtykanie nosa.

Korek, który się wytworzył wcześniej, przeszkodził zawodowym, wścibskim dziennikarzom w natychmiastowym przybyciu na miejsce. Kiedy tam dotarli, było już po wszystkim, a ponadto nie było żadnych nowości: tym razem przedstawiciele mediów mogli tylko dzielić z policją rozczarowanie. Frank wydelegował Morellego, żeby z nimi porozmawiał, a inspektor szybko i sprawnie się ich pozbył. Zresztą bez specjalnego wysiłku.

- Ja wracam, Frank. A ty?

Frank spojrział na zegarek. Pomyślał o wściekłym Nathanie Parkerze czekającym na lotnisku w Nicei. Łudził się, że pojedzie do niego, odziany niczym w nowy garnitur w uczucie ulgi po definitywnym zamknięciu tej paskudnej sprawy. Chciał, żeby wszystko było skończone, tymczasem było zupełnie inaczej.

- Jedź, Claude. Ja też zaraz się zbieram.

Spojrzeni na siebie i inspektor zrobił tylko gest ręką. Używali jak najmniejszej ilości słów, bo obydwo się zdawało, że wyczerpali ich zasób. Morelli ruszył w górę po rampie wyjazdowej, żeby dotrzeć do czekającego na ulicy samochodu. Frank zobaczył, jak znika za lekkim zakrętem, przesłoniętym krzewami pistacji.

Ambulans cofnął trochę i rozpoczął manewr, żeby wyjechać z podwórza. Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera rzucił mu przez szybę spojrzenie pozbawione wyrazu. Zdawało się, że to, co przewożą, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Zawsze przecież przewozili trupy. Nieważne, czy były to trupy od godziny, od roku,

czy od wieku. Był to tylko kolejny kurs. Na przedniej szybie leżała złożona gazeta sportowa. Kiedy biała furgonetka odjeżdżała, Frankowi mignął jeszcze obraz ręki sięgającej po nią.

Pozostał sam pośrodku podwórza, w słońcu tego letniego popołudnia, nie będąc w stanie odczuwać jego ciepła. W powietrzu unosiła się melancholia demontowanego cyrku, kiedy ciemność i światła w oczach nie chronią już wzroku przed rzeczywistością. Pozostało tylko klepisko usłane cekinami i odchodami zwierząt. Nie było już akrobatów i kobiet w kolorowych kostiumach, nie było muzyki i braw publiczności, tylko samotny klaun w słońcu.

A nie ma nic smutniejszego od klauna, który nie śmieszy...

Mimo myśli o Helenie nie mógł się zdecydować, żeby oddalić się od tego domu. Czuł, że było coś, co uznali za oczywiste, a co wcale takie nie było. Jak zawsze chodziło o szczegóły. Drobiazgi. Jak wcześniej detal okładki płyty na filmie, odbicie w lustrze słowa napisanego przez Strickera, które nabierało zupełnie innego znaczenia...

Frank próbował rozumować na zimno.

Przez cały czas, kiedy był pod eskortą, dom Jean-Loup'a dzień i noc otaczali funkcjonariusze. Jak mu się udało wyjść, myśląc o ochronę? Do morderstw dochodziło zawsze w nocy, dlatego było jasne, że żaden policjant nie wejdzie do domu bez wyraźnego powodu, kiedy, jak zakładano, gospodarz śpi. A szczególnie po stresie, jaki przeżył, rozmawiając z mordercą.

Pod tym względem Jean-Loup był bezpieczny. Ale gwarancja na tym się kończyła.

Po lewej stronie jego posesji, obok bramy, był rodzaj nasypu, który schodził w dół niemal pionowo. Spadek był tak stromy, że wykluczał to zejście. Zbyt niebezpieczny, biorąc pod uwagę fakt, że trasa ta miała być pokonywana nocą i bez użycia latarki.

Mógł wybrać drogę przez ogród. W tym przypadku, żeby dotrzeć na ulicę, musiał wyjść z salonu przed dom, od strony basenu, zejść niżej, pokonać ogrodzenie i przejść przez ogród bliźniaczego domu, w którym mieszkał Parker.

Jeśli tak było, prędzej czy później ktoś by go zauważył. Po jednej stronie, choć znudzeni tą służbą, byli dobrze wyszkoleni policjanci, po drugiej Ryan Mosse i Nathan Parker, dwie osoby, które na pewno spały z jednym oknem otwartym. Jeden raz mogło mu się udać, ale w którymś momencie te nocne przechadzki zostałyby odkryte.

Również ta teoria była dziurawa, jeśli nie ze wszystkich, to z kilku stron.

Wszyscy uznali za pewnik, że jest drugie wyjście. Konstruktywna logika podpowiadała, że po prostu musi być. W przypadku eksplozji, dom mógł się zawalić i ruiny odcięłyby drogę osobom przebywającym w schronie, o którego istnieniu prawie nikt nie wiedział. Jednak po skrupulatnym przeszukaniu podziemnego schronu nie znaleźli śladu wyjścia... A przecież...

Frank jeszcze raz skontrolował godzinę. Pomyślał, bez cienia humoru, że jeśli dalej będzie tak postępował, prędzej czy później szkło zegarka pęknie od samego patrzenia. Włożył ręce do kieszeni marynarki. Poczł z jednej strony kluczyki do samochodu, z drugiej twardą obudowę telefonu komórkowego. Pomyślał o Helenie siedzącej na lotniskowym foteliku, z nogą założoną na nogę, która rozgląda się dokoła w nadziei, że dostrzeże go w tłumie.

Postanowił, że nie będzie przejmować się Nathanem Parkerem i zadzwoni do niej na komórkę, pod warunkiem, że jest włączona. Przez chwilę był podekscytowany tą pokusą, ale potem uznał, że lepiej nie. Nie chciał zdradzić Heleny i zaalarmować generała. Chciał, żeby pozostał tam, wściekły na cały świat, ale niepodejrzliwy, i czekał, aż on sam przed nim stanie i wreszcie przemówi...

Wyjął ręce z kieszeni, po czym zaciskał i otwierał dłonie, dopóki nie poczuł, że napięcie opada. Zaraz potem Frank Ottobre przeszedł przez podwórze i wrócił do schronu.

Zatrzymał się w drzwiach bunkra, obserwując to małe, podziemne królestwo Nikogo. W półmroku odznaczały się czerwone i zielone diody elektronicznej aparatury, która pozostała włączona. Nagle powróciły mu w pamięci wszystkie historie, które opowiadał mu ojciec, kiedy był dzieckiem. Opowieści o wrózkach i krasnalach, w których pojawiały się czasami potwory żyjące w przerażających, podziemnych krainach, skąd wychodziły, żeby porwać dzieci z kołyszek i zabierać je na zawsze do swoich kryjówek.

Tyle, że on nie był już dzieckiem, a to nie była bajka. A jeśli nią była, to nie doczekała się jeszcze szczęśliwego zakończenia.

Postąpił kilka kroków naprzód i zapalił światło. Mimo ograniczonej przestrzeni, bunkier atomowy był dosyć duży. Paranoja owej kobiety, jej obawy dotyczące przyszłości świata, musiały kosztować męża niezłą sumkę trzydzieści lat wcześniej. Powierzchnia miała kształt kwadratu i podzielona została na trzy pomieszczenia.

Po prawej stronie był mały pokój, który służył jednocześnie za łazienkę i spiżarnię. Znaleźli tam każdy rodzaj jedzenia w puszkach, ustawionego w idealnym porządku na drewnianych półkach naprzeciwko sanitariatów, a także zapasy wody, tak wielkie, że mogły przeciągnąć każde obłożenie niemal w nieskończoność.

W pokoju obok stała kryształowa trumna z ciałem, a równoległe do niej spartańskie łóżko. Myśl o Jean-Loup'ie, który spał obok tego trupa, przyprawiła go o dreszcze, jak gdyby doszedł go nagle z tyłu złowrogi oddech. Z trudem powstrzymał odruch, żeby spojrzeć za siebie.

Frank rozejrzał się powoli po prostokątnym pomieszczeniu, w którym się teraz znajdował, a z którego otwierały się drzwi na sypialnię i spiżarnię-łazienkę. Zaczął zamykać i otwierać oczy w równych odstępach, i wyświetlać w swoim umyśle obrazy pokoju, jakby były slajdami.

Klik.

Szczegół.

Klik.

Szukaj szczegółu. Klik.

Co nie gra? Jest coś dziwnego w tym pokoju. Klik.

Coś małego, drobna niekonsekwencja... Klik.

Wiesz, że jest, widziałeś ją, zarejestrowałeś... Klik, klik, klik...

Pokój pojawiał się i znikał jakby pod wpływem światła stroboskopowego. Frank nadal otwierał i zamykał oczy, jak gdyby za każdym razem to, czego szukał, miało niemal za sprawą czarów objawić się w pokoju. Spróbował myśleć w sposób, który tyle razy doprowadził do znakomitych rezultatów.

Ściana po lewej stronie.

Półki na górze wypełnione magnetofonami i aparaturą elektroniczną, która służyła Jean-Loup owi, żeby filtrować swój głos i przeobrazić go w głos Nikogo.

Dwa głośniki Tannoy ustawione w taki sposób, żeby uzyskać optymalny efekt stereo.

Wyszukany odtwarzacz CD i minidisc.

Aparat do kopiowania płyt.

Tarcza do kaset muzycznych i odtwarzacz DAT.

Talerz adaptera do starych longplayów.

Płyty, ustawione w niższej części, która wystawała również jako blat.

Po lewej stronie płyty winylowe, po prawej kompakty.

Pośrodku pusta przestrzeń służąca jako biurko.

Na blacie mała konsola, komputer Macintosh G4, który sterował urządzeniami nagrywającymi.

W głębi, przy ścianie, czarny aparat, który wyglądał na jeszcze jeden, mały odtwarzacz CD.

Ściana naprzeciw.

Metalowa półka, utworzona przez samą ścianę, pusta. Ściana po prawej stronie.

Drzwi do pozostałych pomieszczeń, a pośrodku drewniany stół i mała lampa halogenowa.

Frank nagle się zatrzymał.

Jeszcze jeden mały odtwarzacz CD...

Frank poszedł w głąb pokoju i obejrzał uważnie aparat ustawiony na drewnianym blacie. Nie był maniakiem hi-fi, ale w świetle jego wiedzy wyglądał on na dosyć normalny model, wykonany z czarnego metalu, z małym wyświetlaczem z przodu, który nie zdawał się nawet zbyt nowoczesny. Frank zauważył, że z tyłu wychodziły przewody, które znikają w otworze wywierconym u podstawy półki.

Na obudowie aparatu, na czarnym metalu wypisana była białym mazakiem seria cyfr. Ktoś w dosyć niezdatny sposób próbował je zamazać, ale były jeszcze czytelne.

1-10

2-7 3-4

4-8

Był lekko skonsternowany. Miejsce zdawało się dosyć nietypowe na robienie notatek.

Nacisnął klawisz „esc” i po lewej stronie wysunął się kompakt - nie był to kompakt oryginalny, lecz przeegrana płyta. Na złocistej powierzchni widniał napis drukowanymi literami, również wykonany flamastrem, tym razem czerwonym.

„Robert Fulton - Stolen Music”.

Znów ta przeklęta płyta. Frank pomyślał, że muzyka ta prześladowuje go jak klątwa. Zaczął się zastanawiać. Było naturalne, że Jean-Loup zrobił sobie cyfrową kopię tej płyty, żeby móc jej słuchać bez ryzyka zniszczenia oryginału. A zatem dlaczego, kiedy zabił Allena Yoshidę, poczuł potrzebę, żeby zabrać ze sobą właśnie

winyłowy longplay? Fakt ten mógł mieć znaczenie symboliczne, ale mógł też istnieć jakiś inny powód...

Frank odwrócił się, żeby spojrzeć na bardzo nowoczesny odtwarzacz CD, który stał między aparaturą za jego plecami, po czym znów zatrzymał oczy na tym skromniejszym, który miał przed sobą.

I zadał sobie pytanie.

Dlaczego ktoś, kto ma do dyspozycji najnowocześniejszy odtwarzacz, używa tej taniochy do słuchania muzyki?

Na tysiąc odpowiedzi każda była prawdopodobna. A jednak Frank wiedział, że żadna nie jest właściwa. Położył dłoń na czarnym metalu aparatu i przeciągnął palcami po białych cyfrach, jakby się spodziewał, że są wypukłe.

Hipoteza jest podróżą, która może trwać miesiące, lata, czasami całe życie. Intuicja, która ją potwierdza, przecina mózg z prędkością błyskawicy i efekt jest natychmiastowy.

Chwilą wcześniej jest ciemność, zaraz potem światło.

Nagle Frank zrozumiał, do czego służy ten drugi odtwarzacz i czym są cyfry, które użytkownik tego schronu próbował wymazać pospiesznie z jego powierzchni.

Te białe znaki były kombinacją cyfrową.

Frank wsunął z powrotem kompakt i nacisnął klawisz „start” zaznaczony strzałką. Na wyświetlaczu pojawiła się seria cyfr, za pośrednictwem, której można było zrozumieć, który ślad jest reprodukowany i ile czasu minęło od początku procesu.

Patrzył na sekundy biegnące powoli na tym małym podświetlonym prostokącie. Po dziesięciu sekundach nacisnął klawisz, który przesuwał płytę z pierwszego śladu na następny. Poczekał, aż pojawi się cyfra 7, po czym przeszedł na trzeci ślad. Kiedy pojawiła się czwórka, przeszedł na czwarty. Kiedy odczytał ósemkę, nacisnął klawisz „stop”.

Klik!

Trzask był tak lekki, że gdyby Frank nie wstrzymał oddechu, nie usłyszałby go. Odwrócił się w prawą stronę, skąd dobiegł dźwięk. Zobaczył, że teraz metalowa półka wystaje kilka centymetrów, odsłaniając przyległość tak doskonałą, że wcześniej zdawała się stanowić jedność ze ścianą.

Wsunął palce w szparę, która przebiegała wzdłuż dolnej części, i pociągnął do siebie. Przesuwając się po umieszczonych po bokach klamrach, mebel wysunął się do

przodu prawie na metr, odsłaniając za sobą drzwi o okrągłym kształcie. W niszy wydrążonej w metalu mieścił się kolisty mechanizm otwierający, który zdawał się kopią tego z drzwi wejściowych.

Kiedy przeszukiwali bunkier, nie zastanowili się, dlaczego półki na regale są zupełnie puste. Teraz, kiedy znalazł wyjaśnienie, Frank dotarł do kwestii tak subtelnej, że nikt dotąd nie był na tyle przenikliwy, żeby ją postawić.

Mebel służył w istocie do zamaskowania drugiego wyjścia.

Frank przekręcił bez trudu koło w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, aż usłyszał, że zamek się odblokowuje. Popchnął i drzwi otworzyły się, przesuając się cicho na zawiasach. Pomyślał, że Jean-Loup Verdier poświęcił wiele czasu i sporo wiedzy technicznej na utrzymanie tego miejsca.

Za drzwiami znajdował się otwór cementowego kanału o przekątnej około półtora metra, czarna dziura, która prowadziła ze schronu nie wiadomo gdzie.

Frank wsunął telefon komórkowy do kieszonki koszuli, zdjął marynarkę i wyjął glocka z kabury przypiętej do paska spodni. Skulił się przy ziemi i zmuszony był do małego manewru akrobatycznego, żeby przejść między klamrami podtrzymującymi regał. Minął hermetycznie zamykane drzwi. Stał przez chwilę, wpatrując się w wejście do tunelu. Lekkie odbicie światła docierające ze schronu, zasłoniętego częściowo regałem i jego ciałem, nie pozwalało widzieć dalej niż na metr. Pomyślał, że może być niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie, zapuścić się na oślep w ten tunel.

Potem przypomniał sobie, kto tamtędy uciekł i wszystko, co zrobił, i ruszył bez wahania. W owej chwili Frank nie zrezygnowałby, nawet gdyby ryzykował, że wyjdzie po drugiej stronie przed pluton egzekucyjny.

Pierrot wysunął lekko głowę z zarośli, w których się schował, i spojrzął w kierunku ulicy. Zobaczył z ulgą, że wszystkie samochody i wszyscy czekający tam ludzie wreszcie odjechali, a także policjanci, którzy ich tam zatrzymali.

Dobrze. To znaczy, dopiero teraz było dobrze, ale przedtem naprawdę najadł się niezłe strachu...

Kiedy wyszedł z radia, dotarł na piechotę ze swoim plecaczkiem na ramionach aż do domu Jean-Loup'a. Trochę się zdenerwował, bo nie był pewny, czy dobrze pamięta drogę. Był tam wiele razy, ale zawsze jeździł do Beausoleil samochodem Jean-Loup'a, który nazywał się Mercedes. Nie zwracał specjalnej uwagi na trasę, którą jechali, bo był zbyt zajęty śmianiem się i patrzeniem w twarz swojemu przyjacielowi. Kiedy był z Jean-Loup'em zawsze się śmiał. To znaczy nie tak zupełnie zawsze, bo niektórzy mówili, że tylko głupcy śmieją się zawsze, a on nie chciał, żeby mówiono, że jest głupi.

Poza tym rzadko wychodził sam, bo jego matka bała się, że stanie mu się coś złego albo że inne dzieci będą się z niego śmiały, jak córka pani Narbonne, dziewczyna, która choć sama miała krzywe zęby i pryszcze, nazywała go „debilna gęba”.

Nie wiedział dobrze, co to jest debilna gęba, i zapytał o to swoją mamę. Ta odwróciła się w drugą stronę, ale nie na tyle szybko, żeby nie dostrzegł jej wilgotnych oczu. Pierrot specjalnie się tym nie przejął. Jego matka często miała wilgotne oczy, na przykład, kiedy oglądała w telewizji te filmy, gdzie na końcu dwoje się całuje przy muzyce skrzypiec i potem biorą ślub.

Jedyną rzeczą, jakiej najbardziej się obawiał, to że wilgotne oczy matki znaczą, iż prędzej czy później będzie musiał poślubić córkę pani Narbonne.

W połowie drogi zachciało mu się pić i bez zatrzymywania się wypił puszkę coca-coli, którą zabrał z domu. Zrobił to trochę niechętnie, bo wziął ją z zamiarem

podzielenia się z Jean-Loup'em, ale było gorąco i miał zupełnie sucho w ustach, i był pewny, że jego przyjaciel nie obrazi się o taki drobiazg.

W każdym razie miał jeszcze puszkę schweppesa.

Dotarł do domu Jean-Loup'a trochę spocony i pomyślał, że może trzeba było wziąć T-shirt na zmianę. Ale to też nie problem. Wiedział, że Jean-Loup ma szufladę w szafce w pralni, w której trzyma koszulki używane tylko do prac domowych. Jeśli jego była zbyt spocona, pożyczylby koszulkę od przyjaciela i potem mu zwrócił wypraną i wyprasowaną przez mamę. Raz już się tak zdarzyło, kiedy byli na basenie i jego T-shirt wpadł do wody, a Jean-Loup dał mu granatową koszulkę z napisem „Martini-Racing”, tyle że wtedy on myślał, że tylko pożycza, a to był prezent.

Teraz przede wszystkim musiał znaleźć klucz. Widział metalową skrzynkę na listy zawieszoną po wewnętrznej stronie furtki, z ciemnozielonym napisem: „Jean-Loup Verdier”, w takim samym kolorze, co pręty bramy. Wsunął tam rękę i pomacał dno metalowego pudełka. Pod palcami poczuł kształt klucza przyklejonego cienką warstwą czegoś, co zdawało się suchą gumą do żucia.

Miał już pociągnąć klucz i go oderwać, kiedy na placyku w pobliżu furtki zatrzymał się samochód. Na szczęście Pierrot zasłonięty był krzakiem i pnem jednego z cyprysów, więc ten z samochodu nie mógł go zauważyć. Wychylił się lekko i zobaczył, że w granatowym wozie siedzi ten Amerykanin, który był zawsze z komisarzem, ale potem już nie, bo ktoś powiedział, że komisarz umarł. Pierrot szybko się oddalił, bo gdyby tamten go zobaczył, zapytałby, co tam robi, i pewnie chciałby go odwiedzić do domu.

Ruszył w górę ulicą, wzdłuż asfaltu, trzymając się cały czas w ukryciu. Potem minął kawałek skarpy schodzącej w dół tak stromo, że kręciło mu się w głowie, i wreszcie przeskoczył przez barierkę i znalazł krzak, w którym mógł się ukryć.

Ze swego punktu obserwacyjnego widział podwórze domu Jean-Loup'a i przyglądał się z zaciekawieniem całej masie ludzi, którzy zaczęli się tam kręcić, przede wszystkim policjantom ubranym na granatowo i policjantom ubranym jak policjanci, i jeszcze kilku osobom ubranym normalnie. Był tam też ten, który przychodził do radia i który kiedy z kimś rozmawiał, nigdy się nie uśmiechał, a kiedy rozmawiał z Barbarą, ciągle się uśmiechał.

Pozostał w swojej kryjówce przez czas, który zdawał mu się bardzo długi, dopóki wszyscy nie odjechali i podwórze nie opustoszało. Ostatni, który sobie poszedł, Amerykanin, zapomniał zasunąć drzwi garażu.

Pierrot pomyślał, że na szczęście on tam jest i zaopiekuje się domem swojego przyjaciela. Teraz mógł zejść i pójść zobaczyć, czy płyty są na swoim miejscu, a przed odejściem zamknie garaż, bo tak każdy będzie mógł wejść i coś ukraść.

Wstał powoli z ziemi i wychylił się z krzaka, rozglądając się dokoła. Po tak długim siedzeniu w kucki bolały go trochę kolana i zdrętwiały mu stopy. Zaczął tupać, żeby się rozruszały, jak nauczyła go mama.

Pierrot obmyślił swój mały plan działania.

Stamtąd, gdzie się znajdował, nie mógł dotrzeć na podwórze domu, ponieważ na skarpie schodzącej do morza był ten bardzo stromy fragment. Musiał więc wrócić na asfaltową drogę i zejść na powrót niżej, żeby zobaczyć, czy uda mu się przeskoczyć przez bramę.

Włożył plecak na ramiona i przymierzył się do wspinaczki.

Kątem oka zauważył ruch w krzakach, trochę niżej. Pomyślał, że się pomylił. Niemożliwe, żeby ktoś pod nim był. Gdyby przeszedł, zauważyłby go, bo z dołu nie można było wejść. W każdym razie, z ostrożności, wrócił do swojej kryjówki w krzakach. Odsunął rękami gałęzie, żeby lepiej widzieć. Przez chwilę nic się nie działo i pomyślał, że rzeczywiście musiał się pomylić. Potem jego oczy znów dostrzegły ruch w zaroślach. Przyłożył rękę do czoła, żeby osłonić się przed słońcem.

To, co zobaczył, wbiło go w ziemię z rozdziawionymi ustami.

Pod nim, ubrany na zielono i brązowo, jakby był częścią ziemi i krzaków, z płócienną torbą na ramieniu, z zarośli wyczołgiwał się jego przyjaciel Jean-Loup.

Pierrotowi odebrało dech. Gdyby to od niego zależało, wstałby i krzyknął, że on, Pierrot, tu jest, ale może to nie był dobry pomysł, bo jeśli nie wszyscy policjanci odjechali, ktoś mógł ich odkryć. Postanowił wejść trochę wyżej i przesunąć się w prawo, żeby być osłoniętym przez nasyp, zanim zasygnalizuje Jean-Loup'owi swoją obecność.

Przemieścił się cichutko, próbując naśladować ruchy przyjaciela, który przechodził wśród krzaków, nie dotykając niemal liści.

Kiedy dotarł do miejsca, skąd nie można już było iść dalej, zobaczył, że znajduje się w doskonałej pozycji, żeby być osłoniętym w stosunku do domu. Trochę niżej był występ, niezbyt duży, ale wystarczający, żeby na nim stanąć i zawołać Jean-Loup'a, nie będąc widzianym przez policjantów.

Zszedł ostrożnie, aż dotarł jak najbliżej występu i przygotował się do zeskoku, zginając kolana. Po czym uniósł ramiona do góry i skoczył. Kiedy tylko jego stopy stanęły na ziemi, sypki piasek osunął się pod nim i biedny Pierrot zaczął staczać się z krzykiem w przepaść.

Frank szedł powoli w całkowitej ciemności.

Po dokładnym obejrzeniu tunelu zobaczył, że wysokość jest wystarczająca, żeby mógł posuwać się skulony, i postanowił iść dalej w ten sposób. Nie była to najwygodniejsza pozycja, ale na pewno najmniej ryzykowna, biorąc pod uwagę sytuację. Z gorzkim uśmiechem pomyślał, że nigdy do żadnych okoliczności bardziej nie pasowało określenie „skok w pustkę”.

Po kilku krokach, które przeszedł z wrażeniem, że idzie jak wytresowany pies, stracił wsparcie słabego światła, docierającego zza jego pleców, i wszedł w absolutną czerń. Choć dał swoim oczom czas, żeby przywykły do ciemności, nie widział zupełnie nic.

Pistolet trzymał w prawej ręce, a ciało opierał o ścianę po lewej stronie, lekko cofnięte w taki sposób, żeby wysuniętą do przodu wolną ręką mógł sprawdzać, czy nie ma przed nim przeszkód albo, jeszcze gorzej, otworów, w które mógłby wpaść. Gdyby coś mu się stało w tej dziurze, o której istnieniu nikt nie wiedział, nie wyszedłby aż do czasu powszechnego zmartwychwstania.

Posuwał się ostrożnie, metr za metrem. Nogi zaczynały go boleć, szczególnie prawe kolano. Było to kolano, w którym podczas meczu futbolowego wypadła łąkotka oraz zerwały się więzadła krzyżowe, co wykluczyło możliwość dalszej gry w drużynie w college'u oraz wszelkie aspiracje sportowe na poziomie zawodowym, jeśli kiedykolwiek by je miał. Jego mięśnie nóg były zazwyczaj wystarczająco wytrenowane, żeby nie mieć tego typu problemów. Niestety, jego trening od pewnego czasu pozostawiał wiele do życzenia, a pozycja, w której był zmuszony posuwać się przez tunel, poddałaby ciężkiej próbie nawet kolana ciężarowca.

Zadrzał lekko. W tej dziurze wcale nie było ciepło. A jednak z powodu napięcia nerwowego czuł pot, który moczył pod pachami cienką tkaninę koszuli.

W ograniczonej przestrzeni czuć było odór zgniłych liści i wilgoci, połączony z zapachem cementu, którym wyłożony był tunel. Od czasu do czasu napotykał dłonią jakiś korzeń, który zdołał wślizgnąć się między połączenia rur. Za pierwszym razem podskoczył i oderwał rękę, jakby się oparzył. Siłą rzeczy przełaz prowadził na zewnątrz: było całkiem prawdopodobne, że jakieś zwierzę mogło tamtędy przejść i znaleźć sobie miejsce na wygodną norę. Frank nie był typem nadwrażliwym, ale myśl o kontakcie fizycznym z zaskrońcem albo szczurem nie była szczytem jego marzeń ani w owej chwili, ani nigdy.

Pomyślał, że to długie polowanie na człowieka zaczynało wreszcie nadawać kształt wszystkim jego fantazjom. Była to sytuacja, którą instynktownie wyobrażał sobie za każdym razem, kiedy myślał o Nikim. Powolne, ukradkowe pełzanie, pośród zimna i wilgoci, które są od zawsze królestwem szczurów. I taka była dokładnie ich sytuacja podczas śledztwa: powolne postępowanie, małymi kroczkami, z wysiłkiem, w całkowitych ciemnościach, w nadziei, że słaby promyk słońca wyciągnie ich z totalnego mroku.

„Zawzięty chcesz nas zgubić, zgub przy świetle słońca!” W tej całkowitej ciemności, przypomniał mu się sławny wers z Iliady, modlitwa Ajaksa. Czytał ją w liceum przed milionami lat. Trojanie i Achajowie walczyli w pobliżu statków i Zeus zesłał mgłę, żeby przesłoniła widok Grekom, którzy padali. Wtedy Ajaks skierował modlitwę do boga wszystkich bogów, gorzką modlitwę nie o własne ocalenie, ale przynajmniej o możliwość wyjścia naprzeciw mrokom śmierci w świetle słońca. Frank pamiętał, że jego ulubiony bohater zakończył swoją modlitwę tymi właśnie słowami.

Zmiana spadku w tunelu pomogła mu się skoncentrować. Czuł, że teraz podłoga, a raczej część, którą miał pod nogami, przechyla się wyraźnie do przodu. Nie istniało duże prawdopodobieństwo, że korytarz okaże się nie do przebycia. W końcu został zbudowany, żeby mogły go pokonywać istoty ludzkie, a spadek musiał być raczej faktem okazjonalnym niż zamierzonym. Prawdopodobnie podczas budowy robotnicy natknęli się na skałę i musieli zjechać w dół, żeby kontynuować wykop.

Postanowił usiąść na ziemi i od tego miejsca przemieszczać się w tej pozycji, z podwójną ostrożnością. Nie przejmował się nadmiernie wzrastającym przechyleniem. Jego wcześniejsze rozumowanie było trafne, a należało jeszcze pamiętać, że cała ta trasa była wiele razy pokonywana przez Nikogo, w obie strony, choć w dużo korzystniejszych warunkach, to znaczy z latarką i doskonałą znajomością terenu.

On natomiast poruszał się w całkowitych ciemnościach i nie wiedział, czego może się spodziewać dalej albo wokół, co było ściślejszym określeniem. Ale to właśnie natura Jean-Loup'a narzucała mu zdwojoną uwagę. Znajac perfidną przebiegłość tego człowieka, nie można było wykluczyć, że rozmieścił tam jakieś zasadzki na ewentualnego intruza.

Znów zaczął się zastanawiać, kim jest Jean-Loup, a przede wszystkim, kto go stworzył. Było już faktem, że nie jest to tylko psychopata, słaba i sfrustrowana osoba, która ogarnięta szaleństwem, dokonuje serii zbrodni, żeby przyciągnąć uwagę prasy i telewizji.

Ta pospiesznie przeprowadzona analiza dotyczyła większości przypadków, które znał, ale była daleka od typologii Nikogo jak Ziemia od Słońca.

Tamte osoby były przeciętne, płacziwe, o inteligencji poniżej normy, na dodatek kierowane przez jakąś nadrzędną siłę i w końcu przyjmowały kajdanki niemal z ulgą.

On nie, on był inny. Oczywiście, był trup w swojej przezroczystej trumnie jako dowód jego szaleństwa. W jego umyśle kłębiły się bez wątpienia myśli, które przyprawiłyby o dreszcz nawet najbardziej doświadczonego psychoterapeutę.

Ale na tym koniec.

Jean-Loup był silny, przebiegły, przygotowany, wyćwiczony w walce. Był prawdziwym wojownikiem. Ze śmieszną łatwością zabił Jochena Weldera i Roby'ego Strickera, dwie osoby o atletycznej i wzmocnionej treningiem budowie. Szybkość, z jaką pozbył się trzech funkcjonariuszy w swoim domu, była ostatecznym potwierdzeniem jego możliwości, jeśli ktokolwiek miał jeszcze jakieś wątpliwości w tym względzie. Zdawało się, że są w nim, uwięzione w tym samym ciele, dwie różne osoby, dwie przeciwstawne natury, które ścigały się ze sobą, próbując się wzajemnie unicestwić. Być może najwłaściwszą definicję samego siebie dał on sam, kiedy mówił zniekształconym głosem: Ja jestem kimś i nikim...

Był on człowiekiem bardzo, bardzo, bardzo groźnym i tak należało go traktować.

Frank nie uważał tego nadmiaru ostrożności za paranoję. Czasami pewna przesada stanowi różnicę między człowiekiem żywym a człowiekiem martwym.

On dobrze to wiedział, ponieważ jedyny raz, kiedy był impulsywny i zrobił coś instynktownie, niemal bez zastanowienia, obudził się potem w szpitalu, po eksplozji i

piętnastodniowej śpiączce. Jeśli o tym zapomniał, pamięć odświeżyłyby mu liczne blizny rozrzucone po różnych częściach ciała.

A on nie chciał już niepotrzebnie ryzykować. Winien to był samemu sobie, niezależnie od tego, czy postanowi być nadal policjantem, czy też nie. Winien to był kobiecie, która czekała teraz na niego na lotnisku w Nicei. Winien to był Harriet wraz z obietnicą, której nigdy nie zapomni.

Posuwał się dalej, próbując robić jak najmniej hałasu. Prawdopodobnie Jean-Loup był już w tej chwili nie wiadomo gdzie, ale nie można też było wykluczyć, że może być jeszcze na końcu tunelu, skulony w oczekiwaniu na wolną drogę. Ten podziemny korytarz nie mógł się ciągnąć aż do przedmieść Mentony. Musiał się kończyć w jakimś punkcie na wschód od domu, wzdłuż zbocza góry.

Na szosie panował na pewno duży chaos spowodowany blokadami: kolejki samochodów, osoby wysiadające z aut, rozglądające się ciekawie i dopytujące się, co się dzieje. Bez problemu wmieszałby się między nie. Co prawda fotografia Jean-Loup'a została opublikowana we wszystkich gazetach i pojawiła się we wszystkich dziennikach telewizyjnych Europy, ale Frank od dawna stracił zaufanie do skuteczności takich środków. Zwykli ludzie przebiegali najczęściej po twarzach innych osób bardzo powierzchownie. Każdy widział tylko to, co chciał zobaczyć. Wystarczyło, żeby Jean-Loup obciął włosy i założył ciemne okulary, a z wielkim prawdopodobieństwem wmieszałby się w tłum bez ryzyka.

Jednak ulica była też pełna czujnych policjantów, a ci mieli oczy szeroko otwarte. Z nimi była inna para kaloszy. Każdy z nich spojrzałby podejrzliwie na człowieka wyłaniającego się nagle z zarośli kilkadziesiąt metrów niżej, który wspina się, żeby dotrzeć na skraj szosy. Mogłoby to zaalarmować nawet ślepego, a po tym wszystkim, co się wydarzyło, policjanci byli od wielu dni poddani tak silnej presji, że mogli najpierw zacząć strzelać, a dopiero potem zadawać pytania. Nie można było wykluczyć, że Jean-Loup poczeka na nieco korzystniejsze warunki przed opuszczeniem swojej kryjówki.

Frank posuwał się dalej. Odgłos jego spodni ocierających się o cement zdawał mu się hukem wodospadu Niagara. Otarcia zaczynały boleć. Zatrzymał się na chwilę, żeby poszukać wygodniejszej pozycji. Postanowił znów iść w kucki.

Kiedy się podnosił, komórka, która odnajdowała pole, zadudniła jak zegar na dzwonnicy w kompletnej ciszy wiejskiej nocy. Ten sygnał mógł zdradzić jego obecność, ale jednocześnie dał mu pewność, że wyjście musi być blisko.

Zmrużył oczy w ciemności. Wydawało mu się, że widzi przed sobą świetliste punkciki, jakby znaki narysowane białą kredą na czarnej tablicy. Spróbował przyspieszyć kroku, nie zapominając o ostrożności. Szczególnie teraz, kiedy serce zaczęło nagle szybciej walić.

Lewa ręka przesuwiała się cały czas wzdłuż cementowej ściany, palec prawej dłoni ściągnięty był na cynglu pistoletu, kolano piekielnie bolało, ale przed nim była nadzieja światła i być może obecność zasadzki, której pod żadnym pozorem nie należało lekceważyć.

Kiedy się zbliżał, białe znaki na tablicy poruszyły się jakby w tańcu, zawieszone w powietrzu. Stopniowo stawały się coraz większe. Frank zrozumiał, że tunel kończy się w pobliżu krzaka, a to, co widział, to było światło przefiltrowane przez liście. Prawdopodobnie powiew wiatru poruszył gałęziami. Oto dlaczego jego oczom, oszukanym przez ciemność, jasne punkciki wydawały się świetlikami w mroku nocy.

Nagle, z zewnątrz, dobiegło echo rozpaczliwego krzyku.

Zamiar zachowania przez Franka rozwagi runął jak domek z kart po włączeniu wentylatora. Kilkoma szybkimi krokami, na ile pozwalała mu pozycja, w jakiej się znajdował, dopadł krzewu, który maskował wejście do tunelu.

Rozchylił rękami gałęzie i ostrożnie wysunął głowę. Krzak był na tyle wysoki i gęsty, że całkowicie zasłaniał cementowy właz.

Krzyk rozległ się ponownie.

Frank stanął powoli na nogi. Jego kolano powiedziało kilka słów w języku, którego najchętniej by się nie uczył. Rozejrzał się dokoła. Krzak rósł na względnie płaskim terenie, na czymś w rodzaju naturalnego tarasu na zboczu góry, porośniętej rzadko rozrzuconymi drzewami o dosyć cienkich pniach pokrytych pnączami, na dole zaś gęściej śródziemnomorskimi zaroślami, przemieszanymi z krzewami jeżyn. Za jego plecami, jak kamienie probiercze, stały dwa bliźniacze domy z ich zadbanymi ogrodami. Około pięćdziesiąt metrów nad jego głową, po lewej stronie, biegła szosa. Mniej więcej w połowie odcinka skarpy dzielącej go od asfaltu, w miejscu nieco przesuniętym w bok w stosunku do tunelu, Frank zauważył ruch. Postać w zielonej koszuli i spodniach khaki, z przewieszoną przez ramię torbą z ciemnego płótna, wspinała się ostrożnie między zaroślami w kierunku skraju drogi.

Frank rozpoznałby tego człowieka pośród miliona innych i za milion lat.

Podniósł pistolet przed oczy, trzymając go w obu dłoniach. Wykadrował postać w celowniku i krzyknął wreszcie zdanie, o którym marzył już zbyt długo.

- Stój, tam gdzie jesteś, Jean-Loup ! Mam cię na celowniku. Nie zmuszaj mnie, żebym strzelał. Podnieś ręce, klęknij na ziemi i nie ruszaj się. Już!

Jean-Loup odwrócił głowę w jego stronę. Nie dał znaku, że go rozpoznaje ani że zrozumiał jego słowa, a tym bardziej, że zamierza zastosować się do jego poleceń. Mimo że był wystarczająco blisko, żeby zobaczyć pistolet w rękach Franka, kontynuował wspinaczkę, przesuwając się w lewą stronę.

Frank poczuł, jak jego palec zaciska się na cynglu glocka.

Znów podniósł się krzyk, głośny i przenikliwy.

Jean-Loup odpowiedział, pochylając głowę w dół.

- Trzymaj się mocno, Pierrot, już idę. Nie bój się, zaraz tam zejść i wciągnę cię.

Frank przeniósł wzrok w kierunku, w którym przemawiał Jean-Loup, i zobaczył, jak przytrzymując się rękami małego pnia akacji wyrosłej na skraju skarpy, wisiał tam Pierrot.

Wymachiwał nogami, żeby znaleźć oparcie dla stóp, ale za każdym razem, kiedy próbował oprzeć się o ścianę, ziemia osypywała się i chłopak dalej dyndał w próżni.

Pod nim skarpa opadała stromo w dół. Nie był to całkowity pion, ale gdyby Pierrot zwolnił uchwyt, spadłby i odbijałby się jak szmaciana lalka przez dwieście metrów, aż na dno parowu. Jeśliby puścił drzewo, nie było ratunku.

- Szybciej, Jean-Loup. Już nie mogę. Bolą mnie ręce.

Frank zobaczył wyczerpanie na wykrzywionej z wysiłku twarzy chłopca i wyczuł nutę strachu pobrzmiewającą w jego głosie. Ale usłyszał też coś innego: niezłomną wiarę, że Jean-Loup, didżej, seryjny morderca, głos diabłów, jego najlepszy przyjaciel, przyjdzie go uratować.

Frank poluzował palec na spuście i opuścił lekko pistolet, kiedy zrozumiał, co zamierza Jean-Loup.

On nie ucieka, idzie pomóc Pierrotowi!

Być może ucieczka była jego pierwotnym planem, na pewno działał tak, jak Frank przypuszczał. Zaczekał w tunelu, aż skończy się całe zamieszanie, i kiedy miał wolną drogę, wynurzył się z zamiarem kolejnego wymknięcia się policyjnej nagonce. Potem zobaczył Pierrota. Być może zastanawiał się, co Pierrot tam robi, zawieszony na drzewie i wzywający pomocy swoim głosem przerażonego dziecka. W jednej chwili zrozumiał sytuację i dokonał wyboru.

Frank poczuł wzbierający w środku głuchy gniew, zrodzony z jego frustracji. Tak długo czekał na tę chwilę i teraz, kiedy miał na celowniku człowieka, którego rozpaczliwie szukał, nie mógł do niego strzelić. Znów ustawił pistolet we właściwej pozycji, trzymając go tak mocno, jak nigdy w życiu nie trzymał żadnej broni. Za wycięciem celownika była postać Jean-Loup'a, który przesuwiał się w kierunku miejsca, gdzie jego mały przyjaciel trzymał się kurczowo drzewa.

Teraz Jean-Loup znalazł się obok Pierrota, trochę ponad nim. Między nimi była wyrwa w nasypie spowodowana upadkiem chłopca i Jean-Loup nie mógł po prostu wyciągnąć do niego rękę i dać mu oparcie.

Wtedy przemówił do chłopca swoim ciepłym i głębokim głosem.

- Jestem tu, Pierrot. Idę do ciebie. Bądź spokojny, wszystko będzie dobrze. Musisz tylko trzymać się mocno. Zrozumiałeś?

Mimo krytycznej sytuacji Pierrot odpowiedział jednym ze swoich zwykłych ruchów głową. Miał oczy wytrzeszczone ze strachu, ale był pewny, że jego przyjaciel wszystkiemu zaradzi.

Frank zobaczył, że Jean-Loup odłożył torbę na ziemię i zaczął zdejmować pasek od spodni. Nie miał bladego pojęcia, co zamierza zrobić, żeby wyciągnąć Pierrota. On sam mógł jedynie obserwować jego ruchy i trzymać go na muszce.

Jean-Loup wyciągnął właśnie pasek z ostatniej szlufki, kiedy rozległ się odgłos podobny do głośnego dmuchnięcia i uniósł się obok niego tuman kurzu. Zgiął się nagle w pół i ten instynktowny ruch uratował mu życie.

Nastąpiło kolejne dmuchnięcie i następny tuman kurzu dokładnie w kierunku, gdzie przed ułamkiem sekundy znajdowała się jego głowa. Frank odwrócił się gwałtownie i spojrzał w górę. Na skraju skarpy, tuż poniżej szosy, aż po pas w zaroślach, stał kapitan Ryan Mosse. Trzymał w ręku wielki pistolet automatyczny z tłumikiem.

W owej chwili Jean-Loup odwrócił się i zrobił coś niewiarygodnego: zanurkował w krzaki pistacji i zniknął.

Tak po prostu. Chwilę wcześniej był, chwilę potem już go nie było. Frank stał z otwartymi ustami. Ryana Mosse'a ogarnęło prawdopodobnie takie samo zdumienie, które jednak nie przeszkodziło mu w posłaniu szybkiej serii strzałów w zarośla, w okolice miejsca, gdzie wślizgnął się Jean-Loup, dopóki nie opróżnił magazynku. Wyrzucił go i włożył natychmiast pełny, wyciągając go z kieszeni marynarki. Chwilę

potem pistolet był znowu gotowy do strzału. Zaczął ostrożnie schodzić w dół, wypatrując ruchu w otaczających go zaroślach.

Frank przesunął glocka w jego kierunku.

- Zabieraj się stąd, Mosse. Ta sprawa cię nie dotyczy. Schowaj pistolet i idź sobie. Albo nam pomóż. Najpierw musimy pomóc chłopcu zawieszonemu na drzewie, resztę załatwimy później.

Kapitan dalej schodził z pistoletem w garści. Odpowiedział mu, nie przestając rozglądać się dookoła.

- Mówisz, że ta sprawa mnie nie dotyczy? A ja mówię, że tak, mister Ottobre. I to ja decyduję o priorytetach. Najpierw załatwię tego wariata, a potem, jeśli chcesz, pomogę ci wciągnąć tego głupiego chłopaczka...

Frank miał na celowniku potężną postać Ryana Mosse'a. A chęć strzelenia do niego była silna, niemal tak samo jak pragnienie strzelenia do Jean-Loup'a, bez skorzystania z okoliczności łagodzącej, że ryzykował życie dla uratowania psa czy też głupiego chłopaczka, jak to powiedział Mosse.

- Powtarzam, odłóż pistolet, Ryan.

Kapitan zaśmiał się krótko i gniewnie. Jego głos zabrzmiał szyderstwem.

- A jeśli nie, co mi zrobisz? Strzelisz? A potem będziesz opowiadał, że zabiłeś żołnierza z twojego kraju, żeby uratować skórę mordercy? To ty odłóż tę pukawkę i ucz się, jak postępować...

Wciąż trzymając go na celowniku, Frank zaczął najszybciej, jak tylko mógł, przesuwać się w stronę Pierrota. Nigdy nie był w podobnej sytuacji, kiedy musiał podjąć decyzję, stojąc w obliczu tak dużej liczby wariantów.

- Pomocy, już nie mogę.

Zbolały głos Pierrota dotarł zza jego pleców. Frank opuścił pistolet i spróbował, na ile było to możliwe, dobiec do miejsca, gdzie wcześniej ustawił się Jean-Loup. Czuł jeżyny i gałęzie krzaków, które próbowały go zatrzymać, przyczepiając się do spodni, niczym złowrogie ręce wyrastające z ziemi za sprawą czarów. Od czasu do czasu odwracał głowę, żeby skontrolować ruchy Ryana Mosse'a, który kontynuował ostrożnie pokonywanie pochyłości z pistoletem w ręku, myszkując podejrzliwymi oczami wśród zarośli w poszukiwaniu Jean-Loup'a.

Nagle krzaki obok Mosse'a poruszyły się. Zupełnie nic tego nie zapowiadało. Ten, kto wyłonił się z zarośli, nie był już tym samym człowiekiem, który zanurkował tam w poszukiwaniu schronienia: to nie był Jean-Loup, tylko demon wyrzucony z

piekła, bo inne demony się go bały. Było w nim nienaturalne napięcie, jakby w jego ciele wyrosła nagle dzika bestia i podarowała mu siłę swoich mięśni i przenikliwość zmysłów.

Z taką koncentracją zwinności mocy i szybkości Jean-Loup się poruszył.

Kopniakiem wytrącił pistolet z rąk swego przeciwnika. Broń odleciała daleko i znikła w krzakach. Mosse był żołnierzem, na pewno doskonałym żołnierzem, o wyszkoleniu odpowiadającym smutnej sławie, jaka się za nim ciągnęła, przygotowanym w walce na wszystko.

Być może jednak poza walką z duchami.

Ugiął nogi i przyjął pozycję obronną. Kapitan był wyższy i potężniejszy od Jean-Loup'a, ale wrażenie groźby, jakie emanowało z determinacji tego chłopaka, ustawiało ich w jakiś sposób na tym samym poziomie. Jednak Mosse miał pewną przewagę nad Jean-Loup'em: Mosse się nie spieszył. Jego nic nie obchodził ten chłopczek zawieszony na drzewie nad skarpą, tymczasem wiedział, że tamten pragnie jak najszybciej przyjść mu z pomocą. Pośpiech ten był elementem, który chciał wykorzystać, żeby zmusić swojego przeciwnika do popełnienia błędu.

Nie zaatakował, ale czekał, odsuwając się o krok za każdym razem, kiedy Jean-Loup się zbliżał. Cały czas w ruchu, Jean-Loup nie przestawał mówić do Pierrota.

- Pierrot, słyszysz mnie? Wciąż tu jestem, nie bój się. Jeszcze trochę.

Kiedy uspokajał chłopca, na chwilę jakby się zdekoncentrował i osłabił czujność. Dokładnie w tym momencie Mosse zaatakował.

Z tego, co się wydarzyło potem, Frank zrozumiał, że była to taktyka Jean-Loup'a, żeby zmusić Mosse'a do działania. Wszystko trwało kilka sekund. Mosse zrobił zwód w lewo i zaraz potem zadał serię ciosów, które Jean-Loup odparował z upokarzającą wręcz łatwością. Mosse cofnął się o krok. Frank był zbyt daleko, żeby odróżniać wyraźnie szczegóły, ale zdawało mu się, że na twarzy kapitana pojawiło się nagle wielkie zdziwienie. Wykonał kilka próbnych ciosów rękami, po czym, z prędkością błyskawicy, wyrzucił do przodu nogę. Frank pomyślał, że był to ten sam rodzaj uderzenia, który zastosował wobec niego, w dniu, kiedy szamotali się w alejce prowadzącej do domu Parkerów. Tyle, że Jean-Loup nie wpadł w pułapkę, której jemu nie udało się uniknąć. Zamiast odparować uderzenie i zmienić jego kierunek, wystawiając się na reakcję przeciwnika, kiedy tylko zobaczył ruch Mosse'a, odsunął się na bok i pozwolił, żeby zawisł w powietrzu. Po czym przykląkł prawym kolanem na ziemi, wsunął się błyskawicznie pod podniesioną nogę Mosse'a i zablokował ją w

górze lewą ręką, powodując, że ciało kapitana przechyliło się lekko do tyłu. Z całej siły walnął go pięścią w jądra i jednocześnie pchnął do przodu.

Frank usłyszał wyraźnie głuchy jęk bólu padającego Mosse'a. Jego ciało nie zdążyło jeszcze ułożyć się całkowicie w krzakach, a Jean-Loup stał już na nogach. W prawej dłoni ścisnął nóż. Ruch, którym go wyjął, był tak szybki, że Frankowi zdawało się, iż nóż ten był w jego ręce od samego początku, tyle, że dopiero teraz stał się nagle widoczny.

Jean-Loup wygiął się i znikł w zaroślach, w które runęło ciało Mosse'a.

Kiedy się podniósł, zwierzę, które zdawał się nosić w sobie aż do tej chwili, ulotniło się, ostrze noża zaś pokryte było krwią.

Frank nie mógł zobaczyć ostatecznego rezultatu walki, bo tymczasem dotarł w pobliże miejsca, gdzie zawisł Pierrot, pozostawiając Jean-Loup'a i Mosse'a za swoimi plecami. Dostrzegł na twarzy chłopca oznaki strachu, ale przede wszystkim niepokojący grymas wyczerpania. Ręce, które ścisnęły jego opatrnościową podpórę, były przekrwione od wysiłku. Frank zrozumiał, że Pierrot nie zdoła się już długo utrzymać. Zasygnalizował swoją obecność i spróbował go uspokoić, przemawiając do niego łagodnie, żeby dodać mu pewności, której sam w głębi duszy zupełnie nie był w stanie odczuwać.

- Jestem, Pierrot. Teraz ja po ciebie przyjdę.

Chłopiec był tak zmęczony, że nie zdołał odpowiedzieć. Frank rozejrzał się dokoła. Stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym znajdował się Jean-Loup, kiedy Mosse strzelił do niego po raz pierwszy, tam gdzie wyjmował pasek ze spodni.

Po co?

Po raz drugi zastanawiał się, w jaki sposób chciał użyć pasa do ratowania Pierrota. Podniósł głowę i zobaczył, że ponad dwa metry nad drzewem, którego trzymał się Pierrot, był wysuszony pień mniej więcej takiej samej wielkości. Liście dawno już opadły, a gałęzie wyciągały się ku niebu, jakby z powodu jakiegoś dziwu natury korzenie urosły na odwrót. Nagle zrozumiał, jakie były intencje Jean-Loup'a. Zaczął działać. Wyjął komórkę z kieszonki koszuli i odpiął od paska klamerkę, która przytrzymywała skórzaną kaburę. Odłożył je na ziemię, obok płóciennej torby, którą Jean-Loup nosił na ramieniu.

Wsunął pistolet, który trzymał w ręku, za pasek spodni, i zadrżał lekko, czując chłód metalu na nagim ciele. Ujął pas i sprawdził zarówno grubość skóry, jak i solidność sprzączki. Jedno i drugie wydawało się dostatecznie wytrzymałe. Wsunął na

powrót pas do sprzączki i zapiął go na ostatnią dziurkę tak, żeby mieć do dyspozycji rodzaj elastycznego, skórzanego pierścienia, możliwie najszerszego.

Spojrzał na skarpę obok i niżej. Choć z pewną trudnością, istniała możliwość dotarcia do obumarłego drzewa niemal równolegle do tego, na którym dyndał Pierrot. Ruszył ostrożnie. Podpierając się stopami i chwytając krzaków, które, miał nadzieję, były mocno zakorzenione w terenie, dotarł do wyschniętego pnia. Dotyk pomarszczonej kory przywołał w jego pamięci, niczym flesz, obraz trupa, którego znaleźli w schronie. Groźne trzeszczenie docierające z drzewa zastąpiło nagle ten widok wizją jego ciała staczającego się po skarpie. To, co groziło Pierrotowi, groziło w tej chwili również jemu. Nie przeżyłby upadku, gdyby pień się złamał albo on stracił oparcie. Próbował o niczym nie myśleć i mieć nadzieję, że drzewo jest wystarczająco mocne, żeby utrzymać ciężar obydwu. Owinął się wzdłuż pnia i wychylił w dół, próbując spuścić pasek jak najniżej w kierunku chłopca.

- Spróbuj się go chwycić.

Chłopiec oderwał z wahaniem jedną rękę od swojej podpory, ale natychmiast chwycił ją z powrotem.

- Nie dosięgnę.

Frank już wcześniej zauważył, że długość jego ramion w połączeniu ze skórzaną pętlą nie wystarczy. Była tylko jedna rzecz, którą mógł zrobić. Odwrócił się w taki sposób, żeby objąć pień nogami, i zawisł w próżni jak akrobata na trapezie, skręcając się tak, żeby oprzeć klatkę piersiową o ziemię i mieć lepszy widok, pozwalający mu kierować ruchami Pierrota. Trzymając obiema rękami pętlę z paska, tym razem zdołał spuścić ją wystarczająco nisko, żeby dotarła na wysokość chłopca.

- Dobra, jestem. Teraz puść drzewo i złap się za pasek, najpierw jedną, a potem drugą ręką.

Śledził wzrokiem pełne wahania ruchy Pierrota, niemal jak w zwolnionym tempie, którymi wykonywał jego polecenie. Mimo odległości słyszał jego oddech świszczący od strachu i zmęczenia. Pień, na którym dyndali, obciążony dodatkowym balastem, wydał złowrogi trzask, dużo bardziej niepokojący niż poprzedni. Frank poczuł cały ciężar Pierrota w swoich ramionach i nogach oplecionych wokół pnia. Był pewny, że gdyby na jego miejscu był Jean-Loup, wciągnąłby go na górę bez nadmiernego wysiłku, przynajmniej do miejsca, gdzie mógłby puścić pasek i uchwycić się w jakiś sposób drzewa, na którym on wisiał jak nietoperz. Z całych sił wierzył, że uda mu się to samo.

Zaczął podciągać ramiona w górę, czując, jak gwałtowny wysiłek dokłada się jeszcze do niemal bolesnego uczucia napływu krwi do głowy, wywołanego przyjętą pozycją.

Zobaczył, że Pierrot podciąga się centymetr po centymetrze, próbując pomóc sobie stopami. Z wysiłku Frank zaczął odczuwać straszliwe pieczenie w mięśniach ramion, jakby lekka tkanina koszuli nagle się zapaliła.

Pistolet, który wsunął do spodni, pod wpływem siły grawitacji, wysunął się i spadł w dół. Musnął głowę Pierrota i zniknął, podskakując na skarpie.

W owej chwili z pnia wydobył się hałas, który zabrzmiał jak strzał, przypominając trzask szczapy pękającej w kominku.

Frank dalej ciągnął ze wszystkich sił. Ból w ramionach utrzymujących ten ciężar, który zdawał się zwiększać z każdą sekundą, stał się nieznośny, jak gdyby krew w jego żyłach zastąpił czysty kwas siarkowy. Frank miał wrażenie, że jego ciało rozpuszcza się i za chwilę z jego ramion pozostanie szkielet, a potem kości, pozbawione osłony mięśni, oderwą się od pleców i spadną w dół razem z krzyczącym ciałem Pierrota.

Mimo wszystko Pierrot nadal powoli piął się do góry. Frank rozpaczliwie go ciągnął, mocując się nogami, zaciskając zęby, sam zdumiony własną wytrzymałością. W jednej chwili miał ochotę dać temu spokój, rozewrzeć ręce i przerwać tę męczarnię, ten piekielny ogień, który palił ramiona, ale zaraz potem, gdzieś w środku czuł, że przychodzi nowa siła, jak gdyby rezerwa energii była zmagazynowana w jakimś ciemnym zakamarku jego mózgu, w jakiejś tajemnej skrytce, którą tylko gniew i upór były w stanie otworzyć.

Teraz Pierrot dotarł już wystarczająco wysoko, żeby Frank mógł pomóc sobie ciałem. Wygiął górną część klatki piersiowej, która miała kontakt z ziemią, i zdołał przesunąć pasek na szyję, przenosząc część ciężaru na mięśnie barków i pleców. Ulga dla rąk była natychmiastowa. Wypróbował przez sekundę albo dwie wytrzymałość, Frank puścił chwyt na pasku i wyciągnął wolne ręce w kierunku Pierrota. Resztkami tchu podał mu instrukcje, jak dalej ma postępować.

- Teraz zrób to samo, co zrobiłeś wcześniej. Puść spokojnie pasek, najpierw jedną, a potem drugą ręką. Chwyć się moich ramion i wspinaj się do góry. Ja będę cię trzymał.

Frank nie był pewny, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy. Jednak, kiedy Pierrot puścił pętlę i szyja się oswobodziła, poczuł ulgę wzdłuż całych pleców, jakby ktoś polał jego spoconą skórę chłodną wodą.

Poczuł gorączkowy uchwyt rąk Pierrota na swoich ramionach. Powoli, centymetr po centymetrze, czepiając się chaotycznie jego ciała i ubrania, chłopak kontynuował wspinaczkę. Zdziwił się, że ma jeszcze tyle siły. Instynkt samozachowawczy był znakomitym sojusznikiem w pewnych sytuacjach, rodzajem naturalnego dopingu. Miał nadzieję, że tej siły nagle mu nie zabraknie, nie teraz, gdy ocalenie było na wyciągnięcie ręki.

Kiedy tylko znalazł się w jego zasięgu, Frank chwycił Pierrota za pasek spodni i szarpnął go do góry, pomagając mu dotrzeć do pnia. Oczy piekły go od potu, który spływał mu po twarzy. Zamykał je i otwierał, czując lzy ściekające mu na brwi i czoło w tej nienaturalnej, odwróconej pozycji. Nic już nie widział. Czuł tylko gorączkowe ruchy ciała Pierrota ocierającego się o jego ciało, które było teraz jednym, rozpaczliwym skowytem bólu.

- Jesteś?

Pierrot nie odpowiedział, ale nagle Frank poczuł się wolny.

Pochylił głowę, aż niemal dotknął wilgotnej i cieplej ziemi. Bardziej poczuł, niż zobaczył, pasek zsuwający się z jego szyi i spadający w dół. Po czym odwrócił głowę, żeby nie wdychać piasku razem z powietrzem, którego jego płuca domagały się rozpaczliwie przez otwarte usta. Ciśnienie krwi w skroniach stało się nie do zniesienia. Usłyszał głos dobiegający z góry, za jego plecami, głos, który zdawał się docierać z daleka, jak odległe wołanie ze szczytu wzgórza. W odrętwieniu, które ogarnęło jego ciało i umysł, Frank pomyślał, że zna ten głos.

- Brawo, Pierrot. Teraz chwyć się krzaków i wejdź tu, gdzie ja jestem. Spokojnie. Jesteś już bezpieczny.

Frank poczuł lekki wstrząs poruszający jego wiszącym ciałem i ponowne trzeszczenie drzewa, kiedy Pierrot schodził z pnia. Pomyślał, że może to uschłe drzewo odczuwa taką samą ulgę jak on, jakby nie było bezwładną masą, ale żywą istotą.

Powiedział sobie, że to nie koniec. Musiał przezwyciężyć ten rodzaj fizycznej i umysłowej senności, wywołanej spadkiem napięcia pod wpływem świadomości, że Pierrot jest w końcu bezpieczny. Choć nie był w stanie odnaleźć w sobie najmniejszego śladu siły fizycznej czy też woli, wiedział, że to nie moment, żeby

odpuścić. Gdyby jeszcze przez chwilę trwał w tym złudnym uczuciu odpoczynku, nie zdołałby się już wyprostować i odzyskać podporę pnia.

Pomyślał o Helenie i o jej milczącym oczekiwaniu na lotnisku. Zobaczył smutek jej szarych oczu, ów smutek, który chciał i być może mógł z nich wymazać. Zobaczył rękę jej ojca, Nathana Parkera, zawieszoną jak szpon nad jej głową.

Gniew i nienawiść przyszły mu z pomocą. Zacisnął zęby i przywołał całą energię, która mu jeszcze pozostała, żeby nie polecieć w dół i nie rozpląnąć się w powietrzu niczym biały dym z komina. Szarpnął biodrami i z pomocą ramion spróbował podciągnąć się do góry. Mięśnie brzucha, jedyna część ciała, która nie podlegała jeszcze napięciu, przypomniały mu natychmiast, jaki ból i pieczenie mogą sprawić pod wpływem wysiłku.

Zobaczył suche drewno pnia zbliżające się powoli niczym miraż. Kolejny trzask uświadomił mu, że jak każdy miraż, może rozpląnąć się w każdej chwili. Zmusił się do powolnego podciągania, bez gwałtownych ruchów, żeby nie obciążać nadmiernie nietrwałości tej podpory.

W końcu jego lewa ręka pochwyciła pień, a zaraz potem prawa. W jakiś sposób zdołał usiąść. Gwałtowny odpływ krwi odnajdującej swoje normalne krążenie spowodował zawrót głowy. Zamknął oczy w oczekiwaniu, aż minie, mając nadzieję, że te dwie wyschnięte gąbki, którymi zdawały się jego płuca, zdołają pomieścić całe wprowadzane do nich powietrze.

Pozostał tak, w wygodnym mroku swoich zamkniętych powiek, z rękami uczeponymi pnia, z szorstkim dotykiem kory na policzku, dopóki nie poczuł, że odzyskał przynajmniej część sił.

Kiedy ponownie otworzył oczy, kilka metrów od niego, na płaskim podłożu stał Pierrot. Otaczał ramionami pas stojącego obok Jean-Loup'a, jak gdyby wspomnienie własnego ciała kołyszące się w próżni pozostawiło w nim potrzebę zachowania wsparcia w czymś lub w kimś, aby zyskać przekonanie, że naprawdę jest bezpieczny.

Jean-Loup otaczał go lewym ramieniem. W prawej ręce ścisnął zakrwawiony nóż. Przez chwilę Frank obawiał się, że użyje ciała chłopca jako tarczy, zagrozi mu nożem przyłożonym do szyi i posłuży się nim jako zakładnikiem. Wyrzucił tę myśl z głowy. Nie, nie po tym, co widział. Nie po tym, jak Jean-Loup porzucił wszelką możliwość ucieczki, żeby iść z pomocą Pierrotowi. Zastanawiał się, co stało się z Ryanem Mosse'em. W tej samej chwili, kiedy zadał sobie to pytanie, zrozumiał, że w gruncie rzeczy jego los zupełnie go nie obchodzi.

Usłyszał jakiś ruch na górze i instynktownie podniósł głowę. Na skraju szosy, za barierą, zobaczył pewną liczbę osób stojących przy kilku zaparkowanych samochodach. Być może krzyki Pierrota przyciągnęły ich uwagę albo po prostu grupa turystów zatrzymała się, żeby podziwiać pejzaż, i obserwowała dramatyczną akcję ratowniczą. Jean-Loup też podniósł głowę i poszedł za jego wzrokiem. On też zobaczył ludzi i samochody stojące czterdzieści metrów nad nimi. Jego ramiona zdawały się lekko przygarbić, jakby przygniótł je nagle jakiś niewidoczny ciężar.

Frank podniósł się, przytrzymując się rękami pnia, i ruszył z powrotem drogą, którą tam dotarł. Pożegnał obumarłe drzewo z wdzięcznością należną wiernemu przyjacielowi, który pomógł ci wydostać się z tarapatów w trudnym momencie. Poczul pod palcami żywy kontakt z gałęziami krzewów, na których opierał się, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie mógł postawić nogi na płaskim terenie, odnaleźć się w poziomym świecie ocalenia.

Kiedy tam dotarł, Jean-Loup i Pierrot stali naprzeciwko i patrzyli na niego. Frank odnalazł zielony błysk w oczach Jean-Loup'a. Czuł się wykończony. Pomyślał, że nie będzie miał żadnej możliwości przeciwstawić się w walce temu człowiekowi, czując tak potworne osłabienie i mając w dodatku przed oczami jego niedawne starcie z Mosse'em.

Być może Jean-Loup odgadł myśli przebiegające mu przez głowę. Uśmiechnął się, a uśmiech ten wykwitł na nagle zmęczonej twarzy. Za tym zwykłym grymasem twarzy kryły się rzeczy, których Frank mógł się tylko domyślać: życie podzielone nieustannym przechodzeniem ze światła w ciemność, z ciepła do zimna, z przytomności umysłu do szaleństwa, przy nieustannym dylemacie, czy być kimś, czy nikim.

Uśmiech na twarzy Jean-Loup zgasł. Przemówił tym samym głosem, który zachwycał słuchaczy w radiu. Promieniował spokojem i dobrym samopoczuciem.

- Bądź spokojny, agencie Ottobre. Nie bój się. Potrafię odczytać słowo „koniec”, kiedy je widzę przed oczami.

Frank pochylił się, żeby podnieść z ziemi telefon komórkowy. Kiedy wybierał numer Morellego, pomyślał o absurdalności tej sytuacji. Stał tam, bezbronny, zdany całkowicie na łaskę człowieka, który mógł go wykończyć jedną ręką, i miał szansę przeżyć tylko dlatego, że on postanowił go nie zabijać.

W aparacie odezwał się szorstki głos Morellego.

- Halo.

Frank zaferował mu w zamian swój wyczerpany głos i dobrą wiadomość.

- Claude, tu Frank.

- Co jest, co się z tobą dzieje?

Kilka słów, które wypowiedział, kosztowało go potworny wysiłek.

- Wracaj natychmiast samochodem do domu Jean-Loup'a. Mam go.

Nie słuchał pełnej zdziwienia odpowiedzi inspektora. Nie widział Pierrota, który w reakcji na ostatnie słowa Franka spuścił głowę i przycisnął się jeszcze mocniej do ciała swojego przyjaciela. Odsuwając komórkę od ucha, Frank patrzył tylko na dłoń Jean-Loup'a, która powoli się otwierała i wypuszczała na ziemię zakrwawiony nóż.

Samochód z oznaczeniami Sûreté Publique z Monte Carlo zjechał na prawo i z szaloną prędkością wpadł na odnogę autostrady prowadzącą w kierunku lotniska w Nicei. Frank powiedział Xavierowi, że to kwestia życia lub śmierci, i funkcjonariusz interpretował to oświadczenie dosłownie. Mimo włączonej syreny usłyszał wyraźnie pisk opon na asfalcie, podczas gdy siła odśrodkowa spychała ich na zewnętrzny wiraż. Wjechali na rondo, gdzie były wyraźne znaki trwających robót drogowych. Frank pomyślał, że jazda wozem policyjnym nie wyklucza ich z działania powszechnych praw fizyki, z których jedno zakłada nieprzepuszczalność ciał. Obawiał się, że tym razem Xavier, mimo całego swojego talentu, nie zdoła utrzymać auta na szosie, że przewrócą krzyżaki z białego i czerwonego plastiku, i stoczą się ze skarpy między zarośla żwirowatego koryta rzeki Var. Po raz kolejny jego ulubiony kierowca zaskoczył go. Zdecydowanym ruchem kierownicy wprowadził samochód w kontrolowany poślizg, a następnie kręcąc nią w przeciwnym kierunku, wyszedł z zakrętu.

Frank zobaczył, jak ciało Morellego się rozluźnia, gdy już wiedział, że przeżyje. Przejechali krótki, prosty odcinek i Xavier zaczął zwalniać. Wyłączył syrenę, kiedy znaleźli się na pasie podjazdowym do drugiego terminalu, gdzie tablica wskazywała miejsce dla wysiadających pasażerów i wyładunku bagaży. Był tam dozwolony tylko krótki postój nazwany *Kiss and Fly*.

Frank uśmiechnął się sam do siebie z ironii tego określenia.

Kiss and Fly, buzi i leć.

Nie sądził, że Parker da mu buzi przed odlotem.

Zamiast jechać dalej normalnym szlakiem, w połowie zakrętu w lewo zatrzymali się przed wjazdem odgrodzonym szlabanem, nadzorowanym przez dwóch strażników z lotniska Côte d'Azur. Widząc oznakowania policyjne, podnieśli szlaban i przepuścili wóz. Kawalek dalej samochód zatrzymał się łagodnie przed terminalem odlotów międzynarodowych.

Morelli odwrócił się gwałtownie do kierowcy.

- Jeśli w drodze powrotnej będziesz znów tak prowadził, gwarantuję ci, że następna kierownica, jaką będziesz trzymał w rękach będzie kierownicą kosiarki. Przedsiębiorstwa ogrodowe chętnie zatrudniają byłych policjantów...

Frank uśmiechnął się i wychylił z tylnego siedzenia, żeby położyć solidarną dłoń na ramieniu policjanta.

- Nie przejmuj się, mistrzu. Morelli szczeka, ale nie gryzie. Komórka Franka zaczęła dzwonić. Wyobrażał sobie, kto to może być. Wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął aparat. Dzwonek był tak natarczywy, że zdziwił się wręcz, iż telefon nie parzy, jak gdyby dzwonienie mogło mieć również znamiona termiczne, a nie tylko dźwiękowe.

- Halo?

- Halo, Frank? Tu Froben. Gdzie jesteś?

- Przed lotniskiem. Właśnie wysiadam z samochodu.

W głosie komisarza nie zabrzmiało zwykle odprężenie, ale prawdziwa ulga.

- Całe szczęście. Nasz przyjaciel porusza niebo i ziemię. Za chwilę sam wypowie wojnę Francji. Nie wyobrażasz sobie, co musiałem wymyślać, żeby go obłaskawić...

- Wierzę. Ale zapewniam cię, że nie był to kaprys z mojej strony. Oddałeś mi jedną z największych przysług w moim życiu.

- Okej, Amerykaninie, za chwilę zacznę płakać ze wzruszenia i zaleję sobie komórkę łzami. Skończ z tą niecną próbą schlebiania mi i chodź tu szybko wyjąć mi z rąk ten gorący kartofel. Idę ci naprzeciw.

Frank otworzył drzwiczki samochodu. Głos Morellego zatrzymał go, kiedy jedną nogą stał już na asfalcie.

- Mamy na ciebie czekać?

- Nie, jedźcie. Poradzę sobie z powrotem.

Miał już wysiadać, ale odwrócił się jeszcze na chwilę. Pośpiech nie powinien pozwolić zapomnieć o wdzięczności.

- A, Claude...

- Tak?

- Stokrotne dzięki. Dla was obu.

Morelli popatrzył na niego zza przedniego siedzenia.

- Za co? Idź, bo czekają na ciebie.

Frank spojrzał jeszcze porozumiewawczo na Xaviera.

- Założę się o tysiąc euro w zamian za wizytówkę Roncaille'a, że nie zdołasz wrócić w czasie krótszym od tego, w jakim tu dojechaliśmy...

Zatrzasnął drzwiczki z szerokim uśmiechem, przy akompaniamencie protestów Morellego. Ale kiedy usłyszał za swoimi plecami odjeżdżający samochód, po uśmiechu nie było już śladu.

Schwytanie Jean-Loup'a, koniec koszmaru, wprowadziły ludzi z Sûreté Publique w rodzaj atmosfery przedświątecznej zupełnie poza sezonem. Bez obchodów, iluminacji czy toastów, bo wszystkie ofiary na drodze tego człowieka wykluczały jakąkolwiek wrzawę. Ale jego widok w kajdankach w centrali policji był dla wszystkich w środku lata jak najpiękniejszy prezent pod choinką. Jeśli ktoś pomyślał, że nie ma tam Nicolasa Hulot, żeby dzielić ową chwilę, zatrzymał to dla siebie. Fakt, że aresztowanie było wynikiem genialnej intuicji Franka i że zostało przeprowadzone w pojedynkę, niepomiarne podniosło ogólny szacunek dla jego osoby, a wręcz zrodziło go tam, gdzie do tej pory był nieobecny. Uśmiechał się, kiedy należało się uśmiechać, ścisnął wyciągane do siebie dłonie, odbierał gratulacje, przyłączał się do powszechnej radości, której nie był w stanie do końca podzielać. Dostosowywał się jednak do ogólnego klimatu. Nie zależało mu na odgrywaniu roli jedyne go człowieka, który nie uśmiecha się na grupowym zdjęciu.

Wykonał jednak gest, który owego dnia wydawał się skazany na to, by stać się rytuałem. Spojrzał na zegarek. I poprosił o samochód, żeby jak najszybciej znaleźć się na lotnisku w Nicei.

Teraz szybkim krokiem przeciął chodnik. Przeszklone drzwi terminala rozpoznały jego pośpiech i rozsunęły się przed nim cicho. Zaraz za wejściem przywitała go znajoma postać Frobena. Komisarz dyszał i zrobił gest kogoś, kto ociera pot z czoła.

- Nie wiesz nawet, z jaką ulgą cię witam.

- Nie wiesz nawet, jak to sobie wyobrażam.

Frank odpowiedział tym samym tonem i obydwaj byli w tym szczerzy.

- Musiałem dokonywać cyrkowych akrobacji, żeby przekonać naszego człowieka, że niepotrzebna jest żadna oficjalna interwencja. Praktycznie powstrzymałem go, kiedy miał już palec na telefonie, żeby dzwonić do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale wiesz, jaki jest... Jeden samolot stracili, ale następny lot do Stanów jest za niewiele ponad godzinę. Zapewniam cię, że generał Parker jest trudnym klientem w takich przypadkach.

- Cokolwiek mi powiesz na temat Parkera, nic mnie nie zaskoczy. Przeciwnie, to ja mogę opowiedzieć ci rzeczy, w które tobie będzie trudno uwierzyć.

Rozmawiając, szli szybkim krokiem obok siebie w stronę sektora lotniska, gdzie Froben ulokował rodzinę Parkerów. Dotarli do punktu kontroli. Komisarz pokazał odznakę funkcjonariuszom pełniącym służbę przy wykrywaczu metali. Policjant w mundurze pokazał im boczne przejście i uniknęli kolejki pasażerów oczekujących na kontrolę bagażu podręcznego. Skręcili w lewo, w kierunku stanowisk odlotu.

- A propos rzeczy niewiarygodnych, jak przedstawia się ta druga sprawa? Czy są jakieś nowości?

- Masz na myśli Nikogo?

- Właśnie.

- Złapaliśmy go - powiedział Frank neutralnym głosem. Komisarz popatrzył na niego zdumiony.

- Kiedy?

- Przed godziną. W tej chwili jest już w więzieniu.

- I tak mi to mówisz?

Frank odwrócił się i spojrzał na Frobena. Zrobił niewyraźny gest ręką.

- Skończyło się, Claude. Zamknięty rozdział.

Nie zdążył nic dodać, bo tymczasem dotarli do drzwi salki strzeżonej przez funkcjonariusza.

Frank zatrzymał się przed drzwiami, za którymi byli Nathan Parker, Helena i Stuart. Pierwszy był kłopotliwą częścią jego terażniejszości, pozostałych dwoje częścią jego przyszłości. Stał tak, wpatrując się w drzwi, jakby były przezroczyste i mógł przez nie zobaczyć, co robią osoby czekające w środku. Froben podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Potrzebna ci pomoc, Frank?

Wychwycił delikatny, opiekuńczy ton w jego głosie. Ten człowiek miał wewnętrzną wrażliwość, która pozostawała w wyraźnym kontraście z jego wyglądem drwała.

- Nie, dziękuję. Już mi byłeś dostatecznie pomocny. Teraz muszę radzić sobie sam.

Frank Ottobre zrobił głęboki wdech i otworzył drzwi.

Salka była jedną z wielu anonimowych i wygodnych *vip lounges*, jakie na wszystkich lotniskach goszczą pasażerów podróżujących business class. Skórzane fotele i kanapy, pastelowe ściany, wykładzina na podłodze, po jednej stronie prosty self-service, na ścianach reprodukcje van Gogha i Matisse'a obok plakatów jakichś kompanii lotniczych w ramach z satynowanej stali. Panuje tu atmosfera tymczasowości, którą zazwyczaj odczuwa się w tego rodzaju miejscach, jakby wszystkie te przyloty i odloty pozostawiały w powietrzu, mimo komfortu, poczucie opuszczenia.

Helena siedziała na kanapie i przerzucała jakieś czasopismo. Stuart siedział obok niej i grał w przenośną wersję gry wideo. Przed nimi, na niskim drewnianym stoliku ze szklanym blatem, stały dwa plastikowe kubeczki i puszka fanty.

Generał Parker stał, odwrócony plecami, po drugiej stronie pokoju. Z rękami skrzyżowanymi na plecach, wpatrywał się nieruchomo w wiszącą na ścianie kopię Ukrzyżowania Dalego.

Słyszając hałas otwieranych drzwi, odwrócił głowę. Popatrzył na Franka, jak patrzy się na kogoś, kogo od dawna się nie widziało, i wyteża pamięć, usiłując połączyć twarz z imieniem i miejscem.

Helena podniosła oczy znad pisma i kiedy go zobaczyła, jej twarz pojaśniała. Frank podziękował losowi, że światło w jej spojrzeniu jest zarezerwowane dla niego. Nie miał czasu, żeby nacieszyć się w pełni jej uśmiechem. Gniew Parkera eksplodował i niczym czarna chmura przykrył słońce. Dwoma susami stanął między nimi. Nienawiść na jego twarzy gorzała bardziej niż płomień pożaru.

- Powinienem się domyślić, że to pan stoi za tym wszystkim. Sądzę, że jest to pana ostatni, niewybaczalny błąd. Raz już to panu powiedziałem. Teraz tylko potwierdzam. Jest pan skończony. Może w swojej głupocie myśli pan, że rzucam słowa na wiatr. Zaraz po powrocie do Ameryki uczynię wszystko, żeby nie zostały z pana nawet okruchy, żeby...

Frank z wyrazem najwyższej obojętności popatrzył na przekrwioną twarz stojącego przed nim mężczyzny. Mimo że w jego wnętrzu rozbijały się sztormowe fale, głos, którym mu przerwał, był tak spokojny, że jeszcze bardziej zirytował jego przeciwnika.

- Gdybym był na pańskim miejscu, generale, opanowałbym się. W pańskim wieku, mimo znakomitego stanu zdrowia, serce jest narządem, który należy traktować

z pewną ostrożnością. Nie sędzę, żeby chciał pan ryzykować zawał i uwolnić mnie od swojej obecności w tak przyjemny dla mnie sposób.

To, co przebiegło w jednej sekundzie przez twarz starego generała, było jak nagle rozwinięcie tysiąca sztandarów, z których każdy poruszany był wichrem wojny. Frank zauważył z satysfakcją, że poza nienawiścią, gniewem i niedowierzaniem w głębi jego niewzruszonych błękitnych oczu pojawił się na chwilę cień podejrzania. Może zaczynał się zastanawiać, skąd

Frank bierze siłę, żeby rozmawiać z nim w taki sposób. Był to tylko moment, potem spojrzenie Parkera przybrało znów zwykły wyraz pogardliwej wszechwładzy. Przystosował się do sposobu mówienia Franka i również jego głos się uspokoił. Na jego twarzy wykwitł uśmiech zadowolenia.

- Nie, przykro mi pana rozczarować, młodzieńcze. Na pana nieszczęście, moje serce jest odporne jak skała. To pańskie, jak się zdaje, podlega migotaniom, które mu nie służą. I to jest kolejny z pańskich błędów. Moja córka...

Frank znów mu przerwał. A nie była to rzecz, do której generał Parker specjalnie przywykł.

- Jeśli chodzi o pańską córkę i wnuka...

Frank zrobił krótką pauzę po słowie „wnuk”, obniżając ton głosu, tak żeby chłopiec nie mógł słyszeć. Stuart śledził zdziwiony ich sprzeczkę, siedząc na kanapie z rękami na brzuchu. Zupełnie ignorowana gra elektroniczna nadal wydawała z siebie smutne *pip pip pip...*

-... Jeśli chodzi o pańską córkę i wnuka, radziłbym, żeby przeszli się na spacer po lotniskowym *duty free*. Dobrze by było, żeby to, co mamy sobie do powiedzenia, pozostało między nami.

- My nie mamy sobie nic do powiedzenia, agencie Ottobre. A moja córka i mój wnuk nie muszą iść do żadnego przekłętego *duty-free*. To pan ma wyjść tymi drzwiami i zniknąć na zawsze z naszego życia, kiedy my będziemy wsiadać do samolotu do Ameryki. Powtarzam panu...

- Generale, być może nie zrozumiał pan, że blefowanie na dłuższą metę nie popłaca. Prędzej czy później znajdzie się ktoś, kto ma w ręku na tyle mocną kartę, żeby wygrać. Pan mnie zupełnie nic nie obchodzi. Gdybym widział, jak się pan pali, nie zrobiłbym panu nawet tej przyjemności, żeby na pana nasikać. Jeśli woli pan, żebym powiedział to, co mam do powiedzenia w ich obecności, uczynię to. Proszę pamiętać, że są to sprawy, od których nie ma odwrotu. Jeśli chce pan zaryzykować...

Frank tak zniżył głos, że Helena nie była pewna, czy jeszcze mówi. Zastanawiała się, co takiego powiedział jej ojcu, że ten wprost oniemiał. Frank spojrzał w jej stronę i skinął lekko głową. Helena podniosła się z kanapy i wzięła syna za rękę.

- Chodź, Stuart, pójdziemy się przejść. Jestem pewna, że jest tu masa ciekawych rzeczy.

Chłopiec poszedł za nią bez oporu. Tak samo jak matka, mieszkał w domu generała Parkera. Nie był przyzwyczajony do rad, tylko do rozkazów. A z rozkazami się nie dyskutuje.

Ruszyli w stronę wyjścia. Wykładzina stłumiła dźwięk ich kroków. Jedyny hałas, jaki po sobie pozostawili, to odgłos zamykanych drzwi.

Frank usiadł na kanapie w miejscu, które do tej pory zajmowała Helena. Poczul ciepło, które jej ciało pozostawiło na skórzanym obiciu, i to ciepło go ogrzało.

Wskazał fotel naprzeciwko.

- Proszę usiąść, generale.

- Niech mi pan nie mówi, co mam robić!

Frank wyczuł lekko histeryczną nutę w głosie Parkera.

- Niech pan się lepiej pospieszy i palnie te swoje brednie. Mamy samolot za...

Generał spojrzał na zegarek. Frank uśmiechnął się w duchu. Dla niego to też musiał być do tej chwili wciąż powtarzany gest. Zauważył, że musi odsuwać tarczę od oczu, żeby odczytać godzinę.

Parker podniósł wzrok znad zegarka.

-... Nasz samolot odlatuje za niespełna godzinę.

Frank potrząsnął głową.

Nie, proszę pana.

- Z przykrością muszę zaprzeczyć, generale. Nie wasz samolot, tylko pański samolot.

Parker spojrzał na niego, jakby z trudem mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Na jego twarzy pojawił się wolna wyraz zdziwienia, jaki odczuwa się zawsze wobec dowcipu, którego sens nie od razu do nas dociera. Zaraz potem wybuchnął śmiechem. Frank zauważył z satysfakcją, że jego śmiech jest szczerzy, i pomyślał, z jaką radością zetrze mu go z gęby.

- Proszę się śmiać, jeśli sprawia to panu przyjemność. Nie zmienia to faktu, że wyjedzie pan sam, a pańska córka i wnuk pozostaną tu, we Francji, ze mną.

Parker potrząsnął głową z politowaniem, z jakim traktuje się brednie idioty.

- Pan jest kompletnym wariatem.

Frank uśmiechnął się i rozparł na kanapie. Założył nogę na nogę i wyciągnął ramię na oparciu.

- Znów muszę z przykrością zaprzeczyć. Kiedyś być może nim byłem, jak sędzę. Ale wyzdrowiałem. Niestety dla pana, nigdy nie byłem w lepszej formie niż w tej chwili. Widzi pan, generale, był pan tak zajęty wytykaniem moich błędów, że nie zwrócił pan uwagi na własne, które były dużo poważniejsze.

Generał spojrział w stronę drzwi. Postąpił dwa kroki w ich kierunku. Frank zdusił w zarodku wszelki zamysł generała.

- Z tamtej strony nie może nadejść żadna pomoc. Nie radzę panu mieszać w to tutejszej policji, jeśli o tym pan myślał. A jeśli liczy pan na przybycie kapitana Mosse'a, to proszę wiedzieć, że leży w tej chwili na stole w kostnicy z poderżniętym gardłem.

Generał gwałtownie odwrócił głowę.

- Co pan mówi?

- Już panu mówiłem. Nawet ktoś bardzo dobry znajdzie zawsze lepszego od siebie. Pański fagas był znakomitym żołnierzem, ale Nikt, człowiek, którego miał zabić, był dużo lepszym wojownikiem. Pozbył się go dokładnie z taką łatwością, z jaką Mosse myślał, że się pozbędzie jego.

Na tę wiadomość Parker poczuł, że musi usiąść. Na jego opalonej twarzy pojawił się nagle odcień szarości.

- W każdym razie złapaliśmy zabójcę pańskiej córki, i nie ma ryzyka, że zdarzy się to, czego się pan obawiał. Zamkną go w zakładzie karnym dla obłąkanych i nigdy stamtąd nie wyjdzie.

Frank pozwolił sobie na krótką pauzę. Przesunął się na brzeg kanapy i przyglądał się uważnie siedzącemu naprzeciw mężczyźnie. Nie był sobie w stanie wyobrazić, jakie myśli chodzą mu w owej chwili po głowie. Z drugiej strony miał to kompletnie w nosie. Jedyne, czego pragnął, to skończyć jak najszybciej tę rozmowę i patrzeć na plecy Parkera w rękawie prowadzącym do samolotu.

- Sędzę, generale, że trzeba zacząć od początku. A początek wiąże się ze mną, nie z panem. Nie będę się zbyt długo rozwodził nad moją historią. Zna ją pan wręcz nazbyt dobrze, prawda? Wie pan o mnie wszystko, wie pan o mojej żonie i o jej samobójstwie po tym, jak cudem uszedłem z życiem z eksplozji, kiedy prowadziłem

śledztwo w sprawie Jeffa i Osmonda Larkinów, dwóch handlarzy narkotyków, którzy kontrolowali rynek od dwustu do trzystu milionów dolarów rocznie. Wyszedłem z tego doświadczenia załamany. Kiedy próbowałem wydobyć się z dna studni, w której tkwiłem, trafiłem tutaj i mimo woli zostałem wciągnięty do śledztwa dotyczącego seryjnego mordercy. Zabójcy drapieżnego jak rekin, którego pierwszą ofiarą padła, niestety, właśnie pańska córka Arijane. I tutaj zjawia się pan. Przybywa do Monte Carlo ogarnięty cierpieniem i pragnieniem zemsty...

Parker przyjął te słowa, jakby podano w wątpliwość jego ojcowski ból.

- A co pan by zrobił, gdyby ktoś zamordował pańską żonę w taki sposób?

- Dokładnie to samo, co pan twierdził, że zamierza zrobić. Nie zaznałbym spokoju, dopóki nie zabiłbym jej mordercy własnymi rękami. Tyle, że w pańskim przypadku jest inaczej...

- Co zamierza pan powiedzieć, błaznie? Co pan może wiedzieć na temat uczuć ojca wobec córki?

Parker mówił instynktownie, bez zastanowienia. Natychmiast zdał sobie sprawę z błędu, jaki popełnił, wypowiadając te słowa. Frank odruchowo chciał wyciągnąć pistolet, który miał przy pasku, i strzelić mu w głowę dokładnie w tej samej chwili, rozpryskać mózg tego skurwiela po ścianach obok wiszących tam plakatów. Pomyślał, że wysiłek, aby nad sobą zapanować, będzie go prawdopodobnie kosztował dziesięć lat życia.

Odpowiedział, a z jego ust wydobywał się mroźny oddech.

- To prawda, generale, nie wiem, jakie są uczucia ojca wobec córki. Ale wiem doskonale, jakie mogą być pańskie uczucia wobec córki. Brzydzę się panem, Parker. Powiedziałem panu, że jest pan istotą godną pogardy i że rozdeptałbym pana jak karalucha. W swoim zadufaniu, w szaleństwie wszechwładzy to pan nie chciał nam uwierzyć...

Cień uśmiechu przemknął przez twarz Parkera. Być może uznał reakcję Franka za swoje małe, osobiste zwycięstwo.

- Jeśli nie jestem zbyt ciekawy, zechce mi pan wytłumaczyć, jak zamierza pan osiągnąć swój cel?

Frank wyciągnął grubą żółtą kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki i rzucił ją na szklany blat stolika.

- Proszę. Wszystko, co mam panu do powiedzenia, znajduje potwierdzenie w tej kopercie. Teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym kontynuować...

Parker wykonał gest rękami, żeby go do tego zachęcić.

Z głową pełną chaosu Frank musiał zrobić wielki wysiłek, żeby się uspokoić i w uporządkowany sposób przedstawić fakty.

- Jak mówiłem, przyjechał pan tu, do Monte Carlo, załamany śmiercią córki i bestialskim sposobem, w jaki została zabita, demonstrując w bardzo mało dyskretny sposób, muszę powiedzieć, pragnienie osobistego rozprawienia się z mordercą. Tak bardzo niedyskretny, że wzbudził on wręcz pewne podejrzenia.

Zrobił pauzę, po czym wycedził, niemal sylabizując, następujące słowa.

- Był pan setki kilometrów od tego zamiaru. Na rękę było panu coś zupełnie przeciwnego: żeby ten seryjny morderca nadal zabijał.

Parker zerwał się na nogi, jakby nagle na fotelu zjawiała się kobra.

- Teraz jestem pewny. Jest pan oszalałym wariatem i powinni pana zamknąć w tej samej celi co tamtego.

Frank dał mu znak, żeby z powrotem usiadł.

- Pańska dialektyczna ekwilibrystyka wydaje mi się miotaniem myszy złapanej w gąsior. Zupełnie niepotrzebnie. Jeszcze pan nie zrozumiał, Parker? Jeszcze pan nie pojął, że wiem wszystko o panu i o zupełnie nieświętej pamięci, kapitanie Mossie?

- Wie pan wszystko? Wszystko o czym?

- Jeśli będzie pan uprzejmy więcej mi nie przerywać, zdoła pan to zrozumieć, zanim wsiądzie pan do swojego samolotu. Żeby dobrze pan zrozumiał, musimy zrobić krok wstecz i wrócić do mojej historii. Z dwóch handlarzy, o których panu mówiłem, jeden, Jeff Larkin, został zabity podczas strzelaniny przy okazji ich aresztowania. Spokój jego duszy. Drugi, Osmond, trafił do więzienia. Dalszy ciąg dochodzenia w sprawie tych dwóch dżentelmenów wzbudził w FBI podejrzenie, że w ich interesach miał udział ktoś bardzo wysoko postawiony, ktoś, kogo mimo wysiłków nie było sposobu zidentyfikować...

Twarz Nathana Parkera była teraz jak kamienna maska. Usiadł w fotelu i założył nogę na nogę, przymykając oczy w oczekiwaniu. Nie była to już kłótnia dwóch kogutów w kurniku. Był to moment, w którym Frank odsłaniał kolejno swoje karty, i chwilowo generał zdawał się tylko ciekawy, co jeszcze ma w ręku.

Frank czekał niecierpliwie chwili, gdy ta ciekawość zamieni się w niedowierzającą pewność porażki.

- Po uwięzieniu jedynym kontaktem Osmonda z resztą świata stał się jego adwokat, prawie nieznaną prawnik z Nowego Jorku, który pojawił się znikąd, żeby

wprowadzić zamęt. Podejrzewano, że adwokat ten, niejaki Hudson McCormack, jest nie tylko zwykłym obrońcą. Wysunięto hipotezę, że umożliwi on Larkinowi kontakty zabronione w więzieniu. Mój partner z FBI, ten, z którym prowadziłem dochodzenie w sprawie Larkinów, przysłał mi e-mailem fotografię McCormacka, ponieważ przez przypadek rzeczony mecenas wybierał się właśnie do Monte Carlo. Dziwne jest życie, prawda? Według oficjalnej wersji jechał na regaty, ale pan wie równie dobrze jak ja, że oficjalne wersje ukrywają często sprawy poufne, dużo bardziej znaczące...

Generał zmarszczył brwi.

- Czy zechce być pan tak miły i wyjaśnić mi, co ja mam wspólnego z całą tą historią o złodziejach i policjantach?

Frank pochylił się nad stolikiem i wyjął z żółtej koperty zdjęcie, które przysłał mu Cooper. Pchnął ją palcami w kierunku Parkera. Gest ten przypomniał mu noc aresztowania Mosse'a, kiedy pokazał mu zdjęcie zwłok Roby'ego Strickera.

- Przedstawiam panu świętej pamięci mecenasa Hudsona McCormacka, prawnika Osmonda Larkina i ostatnią ofiarę Jean-Loup Verdiera, seryjnego mordercy znanego wszystkim jako Nikt.

Stary obrzucił fotografię przelotnym spojrzeniem i natychmiast podniósł oczy.

- Znam go z tej prostej przyczyny, że gazety publikowały jego zdjęcia. Wcześniej nie wiedziałem nawet o jego istnieniu.

- Naprawdę? To dziwne, generale. Widzi pan tę osobę siedzącą tyłem przy stoliku z Hudsonem McCormackiem? Oczywiście nie widać jej twarzy. Ale w lokalu są lustra...

Ton głosu Franka zmienił się, jakby jego umysł podążał za jakąś osobistą refleksją.

- Nie ma pan pojęcia, jakie znaczenia mają lustra w całej tej historii... Lustra mają okropny zwyczaj odbijać to, co mają przed sobą.

- Wiem, jak działa lustro. Za każdym razem, gdy w nie spoglądam, widzę człowieka, który zrobi z pana kupkę prochu.

Frank uśmiechnął się dobrotliwie.

- Gratuluję poczucia humoru, generale. Trochę mniej pańskiej domniemanej zręczności strategicznej i doboru ludzi. Jak mówiłem, lokal, w którym zrobiono to zdjęcie, jest pełen luster. Dzięki pewnemu zdolnemu chłopakowi, bardzo zdolnemu, udało mi się, poprzez grę zwierciadlanych odbić, ustalić tożsamość osoby siedzącej z Hudsonem McCormackiem. I proszę spojrzeć, kto to taki...

Frank wyciągnął z koperty drugą fotografię. Rzucił ją na stolik, nawet na nią nie patrząc. Tym razem to Parker wziął zdjęcie ze stolika i trzymał je długo przed oczami.

- Nie można powiedzieć, żeby kapitan Mosse był typem bardzo fotogenicznym. Ale panu nie był potrzebny fotomodel, prawda, Parker? Pan potrzebował człowieka, który byłby dokładnie taki jak Mosse: rodzaj fanatycznie wiernego psychopaty, gotowego na zwykły rozkaz zabić każdego, kogo pan chciałby wyeliminować.

Pochylił się lekko w stronę Nathana Parkera. W jego głosie zabrzmiał zupełnie nieprzypadkowy ton ironii.

- Generale, czy pański niedowierzający wyraz twarzy wskazuje na to, że zamierza pan zaprzeczyć, iż na zdjęciu z Hudsonem McCormackiem jest Ryan Mosse?

- Nie, wcale tego nie neguję. W istocie chodzi o kapitana Mosse'a. Jednak to zdjęcie jest tylko dowodem na to, że znał on tego adwokata, o którym pan mówi. Co to ma wspólnego ze mną?

- Dojdziemy do tego, generale, dojdziemy...

Tym razem Frank spojrział na zegarek. I nie musiał odsuwać go od oczu.

- Ale trzeba się z tym pospieszyć. Z uwagi na odlatujące samoloty postaram się być możliwie zwięzły. Oto, jak się miały sprawy. Pan i Mosse zawarliście pakt z Laurentem Bedonem, reżyserem audycji w Radio Monte Carlo. Ten biedaczyna potrzebował pieniędzy bardziej niż powietrza, więc łatwo było go przekonać. Obiecał więc mu pan pieniądze, których ma pod dostatkiem, w zamian za wszystkie informacje dotyczące śledztwa, jakie udałoby mu się zdobyć. Szpieg, jak w każdej szanującej się wojnie. Oto dlaczego, zaraz po telefonie mordercy, kiedy pojechaliśmy zidentyfikować Roby'ego Strickera jako możliwą ofiarę, Mosse już tam z nim był. Potem ten chłopak został zamordowany, a moje pragnienie, żeby to Ryan Mosse był winny, tak mnie zaślepiło, że popełniłem błąd. Zapomniałem o pierwszej zasadzie policjanta: zbadać wszystkie elementy, którymi dysponujesz, ze wszystkich punktów widzenia. Proszę pomyśleć, co za ironia losu. Odbicie w lustrze doprowadziło Nicolasa Hulota do odkrycia, kto jest prawdziwym mordercą, i taki sam szczegół pozwolił mi na to samo. Jak proste wydają się rzeczy, potem, prawda?...

Frank przeciągnął rękami po włosach. Zmęczenie dawało o sobie znać, ale nie był to moment na odprężenie, jeszcze nie. Później będzie miał dosyć czasu na odpoczynek, jak również właściwe towarzystwo, żeby wykorzystać go jak najlepiej.

- Musiał się pan czuć nieco zagubiony, kiedy pański sługus siedział w więzieniu, nieprawdaż? Zupełnie niepotrzebna przeszkoda. Zidentyfikowanie mordercy dowiodło niewinności Mosse'a i wypuszczono go na wolność. Jak sądzę, musiał pan odczuć pewną ulgę. Nic nie było jeszcze stracone. Wciąż pozostawało dużo czasu na rozwiązanie problemów osobistych, tym bardziej że miał pan prawdziwy łut szczęścia...

Frank mimo woli zmuszony był podziwiać opanowanie generała Nathana Parkera. Siedział naprzeciw niego, niewzruszony, nie mrugnawszy okiem. Może ktoś w przeszłości, spotykając go, pomyślał w duchu, że nie chciałby mieć w nim wroga. Tymczasem Frankowi to się przytrafiło. Generał stanął na jego drodze, a on nie mógł się doczekać, kiedy się go pozbędzie.

Nie doświadczał radości, tylko głębokie poczucie pustki. Spojrzał ze zdumieniem, że to, czego najbardziej pragnie, to nie jest bardzo ludzka żądza pokonania go. Największą przyjemnością byłoby stracić go na zawsze z oczu.

Kontynuował przedstawianie faktów.

- Wyjaśnię teraz panu, na czym dokładnie polegał ten łut szczęścia. Nikt został zidentyfikowany, ale zdołał uciec. W całej tej plątaninie zdarzeń musiało być panu trudno w to uwierzyć. Kapitan Mosse znowu do dyspozycji, a ten morderca przebywający gdzieś w ukryciu na przekór policji i wciąż mogący zabijać.

Spojrzał na grzbiet dłoni. Doskonale pamiętał, kiedy rozłożenie rąk znaczyło tylko pokazanie ich drżenia. Teraz jego dłoń była nieruchoma, mocna. Mógł zacisnąć ją w pięść i mieć pewność, że trzyma w garści generała Parkera.

- W istocie, wkrótce potem Nikt zadzwonił do agenta Franka Ottobre. Jednak w inny niż zazwyczaj sposób. Tym razem zadzwonił z telefonu komórkowego, nie czując potrzeby maskowania głosu. Bo w końcu po co miał to robić? Wszyscy doskonale już wiedzieli, kim jest: to Jean-Loup Verdier, didżej z Radia Monte Carlo. Komórka, z której przeprowadzona była rozmowa, anonimowy telefon na kartę, został potem porzucony na ławce w Nicei, skąd dzwonił. Namierzyliśmy go dzięki systemowi satelitarnemu i odnaleźliśmy. Na aparacie, poza odciskami palców chłopaczka, który go znalazł, nie było innych śladów. I to było dziwne...

Popatrzył na Parkera, jakby nie znał jeszcze odpowiedzi na pytanie, które po chwili zadał.

- Dlaczego Nikt zadbał o usunięcie odcisków, jeśli doskonale wiedział, że znamy jego prawdziwą tożsamość? Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, tym bardziej że

wszyscy skupili się na przekazanej przez telefon informacji. Morderca potwierdził swój zamiar dalszego zabijania, mimo że polowała na niego cała policja. I tak się stało. Pozbawione twarzy ciało Hudsona McCormacka zostaje odnalezione w samochodzie Jean-Loup Verdiera, porzuconym przed komendą Sûreté. Wszyscy są wstrząśnięci tym nowym wyczynem. Wszyscy zastanawiają się nad tym samym. Czy to możliwe, że nie udaje się schwytać tej diabolicznej istoty, która kontynuuje niewzruszenie swoje zbrodnicze dzieło i rozplywa się w próżni, jakby była duchem?

Frank podniósł się z kanapy. Czuł się tak zmęczony, że niemal się zdziwił, iż jego stawy nie skrzypią. Bolące kolano zgodziło się o dziwo na zawieszenie broni. Zrobił kilka kroków po pokoju i stanął za plecami generała siedzącego nieruchomo w fotelu. Mężczyzna nie odwrócił się nawet, żeby śledzić go wzrokiem.

- Sądzę, że to śmierć Laurenta Bedona naprowadziła mnie na trop. Śmierć zupełnie przypadkowa, człowiek zabity podczas banalnej i nieporadnej próby kradzieży. Ale zrodziła we mnie podejrzenie. A podejrzenia są trochę jak okruchy w łóżku, generale: dopóki się ich nie pozbędziesz, nie możesz spać. Wszystko zaczęło się właśnie wtedy. Śmierć tego nieszczęsnego Bedona stała się elementem zapalnym, powodem, dla którego kazałem mojemu przyjacielowi przeanalizować zdjęcie i odkryłem, że to Ryan Mosse siedzi w barze z Hudsonem McCormackiem. Z tego też powodu dałem tej samej osobie do zbadania taśmę z nagraniem mojej rozmowy z Nikim. I wie pan, co odkryliśmy? Powiem panu, choć i tak dobrze pan wie. Przekonaliśmy się, że chodziło o montaż. Do czego nie jest dzisiaj zdolna technika, co? Może służyć niesamowitą pomocą, ale powinna być używana *cum grano salis*, jeśli pozwoli pan na cytaty. Prześledziliśmy nagranie słowo po słowie i okazało się, że są tam wyrażenia powtórzone po kilka razy: „księżyc”, „psy”, „rozmawiać ze mną”. Analiza intonacji wykazała, że każde z tych słów zostało wypowiedziane dwa razy w identyczny sposób. Nałożone na siebie wykresy wokalne przystawały do siebie idealnie. Dowiedziałem się, że jest to absolutnie niemożliwe, tak samo jak nie istnieją dwa identyczne płatki śniegu albo takie same odciski palców. Oznacza to, że poszczególne słowa zostały wycięte z innego nagrania i naklejone na taśmę jedno po drugim, aż utworzyły pożądaną postać. I że owa taśma została wykorzystana jako połączenie telefoniczne, które odebrałem. To był Laurent, prawda? To on dał wam taśmy audycji z głosem Jean-Loup'a, tak byście mieli wystarczający materiał do tego, co zamierzaliście zrobić. Po tym wszystkim, co jeszcze mogę powiedzieć?

Kontynuował, jakby to, co miał za chwilę powiedzieć, było całkowicie zbędne, z miną kogoś, kto tłumaczy oczywistość komuś, kto z uporem nie chce zrozumieć.

- Po telefonie Mosse pojechał do domu Jean-Loup Verdiera, zabrał jego samochód, zabił Hudsona McCormacka i potraktował go tak samo, jak Nikt traktował swoje ofiary, po czym porzucił samochód z trupem przed komendą policji.

Frank zatrzymał się przed Parkerem. Zrobił to celowo, żeby zmusić starego do podniesienia głowy. Chciał, by patrzył na niego, kiedy będzie wyciągał wnioski. W owej chwili, w anonimowej salce lotniska, on był ławą przysięgłych i jego werdykt był nieodwołalny.

- To było pana prawdziwym celem, Parker. Wyeliminować jakiegokolwiek powiązanie bohaterskiego i potężnego generała Nathana Parkera z Jeffem i Osmondem Larkinami, których krył i chronił w zamian za należyty procent od wpływów. Założę się, że za każdym razem, kiedy dzielny generał Parker brał udział w jakiejś wojnie, nie bronił tylko interesów swojego kraju, ale korzystał z okazji, żeby zadbać też o własne... Nie znam powodu, dla którego pan to robił, i nic mnie on nie obchodzi. To są problemy pana i pańskiego sumienia. Choć w świetle faktów wątpię, czy pan je w ogóle ma. Biedny McCormack, wasz kontakt z Osmondem Larkinem, pionek, który wszedł do zbyt poważnej dla niego gry, wiedział wystarczająco dużo, żeby wpędzić was w kłopoty, gdyby zaczął mówić. A zrobiłby to na pewno, żeby osłonić swój tyłek, gdyby sprawy przyjęły zły obrót. Dlatego został zabity w taki sposób, żeby zrzucić winę na seryjnego mordercę, który zamordował już wiele osób według takiego samego schematu. Nawet gdyby Nikt został aresztowany i oświadczył, że adwokat nie jest jego ofiarą, kto by mu uwierzył? Może Hudson McCormack przywiózł wam wiadomość od swojego klienta. Mógłby pan nawet w tym miejscu zaspokoić moją ciekawość. Myślę, i jest to tylko zwykłe przypuszczenie, że Osmond Larkin zagroził wam, że otworzy rejestry, jeśli natychmiast nie zostanie wyciągnięty z kryminału. Fakt, że został zabity w więzieniu podczas banalnej bójki między skazańcami, mogę nawet uznać za zbieg okoliczności, ale wydaje mi się, że takich zbiegów okoliczności jest w tej historii trochę za dużo...

Frank usiadł z powrotem na kanapie, obdarzając swojego adwersarza spojrzeniem człowieka, który jest sam zdziwiony tym, co mówi.

- Aż tyle zbiegów okoliczności, prawda? I ten gaduła Tavernier, właściciel domu, który wynajmowaliście. Kiedy wyjeżdżaliście, wam też musiał opowiedzieć o schronie przeciwiatomowym, który jego brat zbudował dla żony. Wtedy się pan

domyślił, gdzie ukrywa się Jean-Loup, i polecił Mosse'owi, żeby się nim zajął. Po wyeliminowaniu ostatniego świadka koło się zamykało. A chce pan wiedzieć, co jest zabawne?

- Nie, ale myślę, że i tak pan mi to powie.

- W istocie. Na krótko przed przyjazdem tutaj dowiedziałem się, że przestępca, który spowodował śmierć Laurenta Bedona, został aresztowany. Chodzi o zwykłego kieszonkowca obrabiającego ludzi wychodzących z gotówką z kasyna.

- I co ma być w tym zabawnego?

- Że początkiem moich podejrzeń była jedyna śmierć, którą można określić jako wypadek, a nie prawdziwe morderstwo. Śmierć, którą w pierwszej chwili wam przypisałem, a za którą nie byliście absolutnie odpowiedzialni.

Parker zdawał się przez chwilę nieobecny, jakby zastanawiał się nad tym wszystkim, co powiedział mu Frank. Frank nie robił sobie złudzeń. Była to tylko pauza, nie kapitulacja. Jak w przypadku szachisty, który bierze czas przed wykonaniem kolejnego ruchu po tym, jak jego przeciwnik powiedział „szach”.

Parker wykonał niewyraźny gest ręką.

- To są tylko supozycje, nie ma pan sposobu udowodnić z całą pewnością nic, o czym pan mówi.

Oto ruch, którego Frank się spodziewał. Wiedział dobrze, że to, co ma w ręku, jest serią znaczących poszlak, z których żadna nie jest na tyle mocna, żeby stać się dowodem popierającym główne punkty oskarżenia. Wszyscy świadkowie nie żyli, a jedyny, który pozostał przy życiu, Jean-Loup Verdier, nie był dokładnie tym, kogo można by nazwać wiarygodnym świadkiem. Ale to był jego blef i to generał musiał zapłacić, żeby odkryć jego karty. Rozłożył ręce w geście „wszystko możliwe”.

- Być może sprawy mają się tak, jak pan mówi. A może nie. Ma pan do dyspozycji środki pozwalające opłacić adwokatów zdolnych wyciągnąć pana z kłopotów i uchronić przed więzieniem. Jeśli chodzi o skandal, to zupełnie coś innego. Uniewinnienie z powodu braku wystarczających dowodów pozwala uniknąć pobytu w celi, ale nie rozwiewa wątpliwości co do winy. Proszę się zastanowić... Naprawdę pan myśli, że prezydent Stanów Zjednoczonych będzie jeszcze chciał słuchać zdania doradcy wojskowego podejrzanego o udzielanie takich samych konsultacji również handlarzom narkotyków?

Generał Parker długo patrzył na niego w milczeniu. Przeciągnął ręką po krótko ostrzyżonych, śnieżnobiałych włosach. Jego błękitne oczy straciły wojowniczy blask i

stały się wreszcie oczami starego człowieka. Jednak jego głos był jeszcze dziwnie ożywiony.

- Myślę, że zrozumiałem, dokąd pan zmierza...

- Sądzi pan?

- Gdyby pan czegoś ode mnie nie chciał, już by pan zawiadomił FBI. I nie przyjechałby pan tu sam, ale z oddziałem policji. A więc niech pan wreszcie powie, o co chodzi.

Frank pomyślał, że reputacja Parkera jest całkowicie zasłużona. Doskonale wiedział, że przegrał, ale jak wszyscy żołnierze godni tego miana doszukał się możliwości ratunku i teraz z niej korzystał.

- Dobrze, generale, będę wręcz lapidarny. Gdyby to ode mnie zależało, nie miałbym wobec pana żadnej litości. Uważam pana za robaka i chętnie założyłbym pana na duży haczyk i wrzucił do morza w miejscu nawiedzonym przez rekiny. Jest to dokładnie to, co ja bym zrobił. Powiedziałem panu kiedyś, że wszyscy ludzie mają swoją cenę, ale że pan nie zrozumiał mojej. Oto więc moja cena, teraz panu powiem. Helena i Stuart w zamian za moje milczenie.

Frank zrobił pauzę.

- Widzi pan, generale, w pewnej sprawie miał pan rację. W pewnym sensie my dwaj ulepieni jesteśmy z tej samej gliny.

Stary przekrzywił na chwilę głowę.

- A gdybym ja...

Frank potrząsnął głową.

- Propozycja nie podlega negocjacji. Przyjmuje pan albo odrzuca. I to nie wszystko...

- Co chce pan powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że wróci pan teraz do Stanów Zjednoczonych i zda sobie sprawę, że jest za stary i zbyt zmęczony, by kontynuować karierę wojskową. Poda się pan do dymisji. Będą próbowali pana od tego odwieść, ale pan będzie nieugięty. Ktoś taki jak pan, żołnierz, który tak wiele dał swojemu krajowi, ojciec tak ciężko dotknięty przez los, powinien cieszyć się ostatnimi latami życia w świętym spokoju.

Parker spojrział na niego uważnie. Frank spodziewałby się zobaczyć wszystko na jego twarzy poza tą nagłą ciekawością.

- I puszcza mnie pan wolno, nic nie robiąc? Gdzie się podziało pańskie sumienie, agencie specjalny, Franku Ottobre?

- Dokładnie tam, gdzie pańskie. Ale wydaje mi się, że ciężar, który musi dźwigać moje sumienie, jest dużo mniej przytłaczający od pańskiego.

Cisza, która zapadła między nimi, była dosyć wymowna. Nie było nic więcej do powiedzenia. W tym samym momencie, wybranym tak idealnie, że mogło to być tylko dziełem przypadku, uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzał Stuart.

- O, Stuart, chodź, możesz wejść, skończyliśmy nasze męskie pogawędki...

Stuart wbiegł do środka, a za nim pojawiła się szczupła postać Heleny. Stuart nie mógł zrozumieć, ona nie była w stanie zrozumieć, co się dzieje. To sam Nathan Parker przekazał jej wiadomość, pośrednio, rozmawiając z chłopcem, który myślał, że jest jego wnukiem, a tymczasem był jego synem. Stary klęknął przed nim, pozornie bez wysiłku, i położył mu ręce na ramionach.

- Cóż, Stuarcie, są pewne zmiany. Pamiętasz, powiedziałem ci, że musimy natychmiast wracać do Ameryki?

Chłopiec pokiwał twierdząco głową, co Frankowi przypomniało dziecienny sposób komunikowania się Pierrota. Generał wskazał ręką Franka.

- Ale mój przyjaciel przekonał mnie, że nie jest konieczne, abyście wracali ty i mama. Ja będę miał w domu dużo pracy i przez dłuższy czas nie moglibyśmy się prawie widywać. Chciałbyś zostać tu i przedłużyć trochę wakacje?

Chłopiec wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- Naprawdę, dziadku? I może będziemy mogli pojechać do Paryża do Disneylandu?

Parker spojrział na Franka, który potwierdził, przymykając oczy w niewidoczny niemal sposób.

- Oczywiście, do Disneylandu i do wielu innych miejsc.

Stuart podniósł ręce i podskoczył do góry.

- Hurra!

Podbiegł uścisnąć matkę, która przyjęła go z twarzą wyrzeźbioną niemal w kamieniu niedowierzania. Przenosiła zdumiony wzrok z Franka na ojca jak ktoś, kto otrzymał wspaniałą wiadomość i potrzebuje czasu, żeby do niego dotarła.

Stuart wykrzyczał jej całą swoją radość piskliwym głosem.

- Mamo, zostajemy tutaj. Dziadek powiedział. Jedziemy do Disneylandu, jedziemy do Disneylandu, jedziemy do Disneylandu...

Helena próbowała go uspokoić, kładąc mu dłoń na głowie, ale nic to nie dało. Zaczął tańczyć po pokoju, powtarzając te słowa jak niekończącą się wyliczankę.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedział Parker, podnosząc się z kolan. Aż do tej chwili przyglądał się z tej pozycji wybuchowi radości Stuarta. Frank pomyślał, że takie jest właśnie jego położenie w owym momencie. Człowiek na klęczkach.

W drzwiach pojawiła się twarz Frobena.

- Wybaczcie...

- Proszę, Froben, wejdź.

Na twarzy komisarza malowało się trochę zrozumiałego zakłopotania. Zobaczył z ulgą, że choć atmosfera jest napięta, w powietrzu nie wisi wojna. Albo przynajmniej już nie. Zwrócił się do Parkera.

- Generale, proszę mi wybaczyć niedogodności i przykre oczekiwanie. Chciałem panu powiedzieć, że ogłoszono właśnie pański lot. Zadbaliśmy już o załadunek trumny i bagażów...

- Dziękuję, komisarzu. W ostatniej chwili nastąpiła pewna zmiana planów. Moja córka i wnuk nie lecą ze mną. Jeśli byłby pan tak miły i kazał załadować tylko mój bagaż, będę wdzięczny. Łatwo go pan rozpozna. Dwie granatowe walizki Samsonite.

Froben skinął głową. Frankowi wydał się to gest majordomusa w angielskiej komedii.

- To minimum, co mogę zrobić, żeby zyskać pańskie przebaczenie, generale.

- Dziękuję panu. Zaraz przyjdę.

- W porządku. Przypominam panu numer wyjścia. Dziewiętnaście.

Froben opuścił pokój z niedowierzającą ulgą kogoś, kto wyszedł z wypadku drogowego bez najmniejszego zadrapania. Parker zwrócił się ponownie do Stuarta.

- Okej, muszę już iść. Będziesz grzeczny. Roger?

Chłopiec stanął na baczność i zasalutował, jakby to była ich stara zabawa. Parker otworzył drzwi i wyszedł, nie zaszczycając słowem ani spojrzeniem swojej córki.

Frank podszedł do Heleny i musnął dłonią jej policzek. Stawiłby czoło całej armii generałów Parkerów dla tego, co odnalazł w jej oczach.

- Jak to zrobiłeś? Frank uśmiechnął się.

- Wszystko w swoim czasie. Teraz mam jeszcze coś do zrobienia. Będę za dwie minuty. Chcę się tylko upewnić co do ostatniej rzeczy...

Wyszedł i poszukał wzrokiem postaci Nathana Parkera. Zobaczył, jak oddala się korytarzem u boku Frobena, który odprowadzał go do wyjścia. Dogonił ich w chwili, kiedy generał wchodził do rękawa prowadzącego na pokład. Był ostatnim pasażerem. Jego uprzywilejowana pozycja pozwoliła mu na dobrodziejstwo dodatkowego, krótkiego oczekiwania.

Kiedy Froben dostrzegł Franka, odsunął się dyskretnie na bok.

Parker odezwał się do niego, prawie się nie odwracając.

- Proszę mi nie mówić, że poczuł pan nieprzeparłe pragnienie, żeby mnie pożegnać.

- Nie, generale. Chciałem po prostu upewnić się, że pan odleci, i podzielić się z panem ostatnią uwagą.

- Jaka?

- Kilka razy powiedział mi pan, że jestem skończonym człowiekiem. Teraz chciałbym tylko podkreślić, że to pan jest skończonym człowiekiem. Nie ma dla mnie znaczenia, czy dowie się o tym cały świat...

Spojrzeli na siebie. Czarne oczy przeciwko błękitnym. Oczy dwóch mężczyzn, które nigdy nie pozbędą się nienawiści.

- Wiemy o tym ja i pan, i to mi wystarczy.

Nathan Parker bez słowa odwrócił się, minął barierkę i ruszył korytarzem. Nie był już żołnierzem, nie był już mężczyzną, tylko starcem. Wszystko to, co zostawiał za plecami, nie będzie już od tej pory jego problemem. Prawdziwym problemem będzie to, co miał przed sobą. Kiedy schodził w kierunku kabiny samolotu, jego postać odbiła się w wiszącym na ścianie lustrze.

Być może zbieg okoliczności, jeden z wielu.

Znowu lustro...

Z tą myślą w głowie Frank śledził wzrokiem Parkera, dopóki nie skręcił za rogiem, a lustro nie stało się znów pustym ekranem.

Frank dotarł do końca korytarza i znalazł się przed drzwiami gabinetu Roncaille'a. Odczekał chwilę, zanim zapukał. Pomyślał o wszystkich poprzednich razach, kiedy stawał przed zamkniętymi drzwiami. Zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Te były tylko jednymi z wielu, ale teraz wszystko rozgrywało się inaczej. Teraz człowiek znany jako Nikt znajdował się w bezpiecznym miejscu, za kratkami celi, i jego sprawa mogła pełnoprawnie zasilić dane statystyczne dotyczące pozytywnie zakończonych dochodzeń.

Minęły cztery dni od aresztowania Jean-Loup'a i od spotkania z Parkerem na lotnisku w Nicei. Spędził cały ten czas w towarzystwie Heleny i jej syna, nie czytając gazet, nie oglądając telewizji, próbując na chwilę tylko zostawić za sobą tę ponurą historię.

Zrobić to na zawsze było nie do pomyślenia.

Opuścił mieszkanie w Parc Saint-Roman i z Heleną i Stuartem znalazł schronienie w małym i dyskretnym hoteliku poza miastem, w miejscu, gdzie można było uciec przed oszalałym polowaniem dziennikarzy, którzy dosłownie puścili się jego tropem. On i Helena, mimo że tego pragnęli, nie uznali za stosowne spać w jednym pokoju. Jeszcze nie. Przyjdzie czas również na to. Frank poświęcał swoje dni na odpoczynek i osvajanie Stuarta, próbując nawiązać z nim przyjacielskie stosunki. Oficjalne potwierdzenie, że obietnica wycieczki do Disneylandu zostanie dotrzymana, stworzyło znakomite ku temu przesłanki.

Natomiast fakt, że wakacje zostaną uzupełnione o dziesięć dni na Canal du Midi, na pokładzie barki, zaczął cementować ich przyjaźń. Stuart był zachwycony, kiedy dowiedział się, że przepłyną przez śluzy, będą spać na łodzi i że on będzie mógł wręcz ją pilotować. Teraz należało tylko czekać, żeby cement chwycił.

Frank zapukał wreszcie do drzwi.

Głos Roncaille'a zaprosił go do wejścia. Wchodząc do środka, Frank nie zdziwił się, że zastał tam także Duranda. Zaskoczyła go natomiast obecność doktora Cluny.

Roncaille przyjął Franka ze swoim typowym uśmiechem, charakterystycznym dla *public relations*, który jednak teraz zdawał się dużo bardziej spontaniczny i naturalny. Szef policji w tej chwili chwały wiedział, jak zachowuje się doskonały pan domu. Durand siedział ze swoim zwykłym wyrazem twarzy i zrobił do niego tylko znak ręką.

- Witam, Frank, brakowało tylko pana. Proszę się rozgościć. Pan Durand dopiero co przyszedł.

Jego ton był tak światowy, że Frank zdziwił się, iż na biurku nie stoi wiaderko z szampanem i kieliszki. Prawdopodobnie pojawią się później, w innym momencie i w innym miejscu.

Roncaille usiadł z powrotem za biurkiem. Frank zajął miejsce w fotelu wskazanym mu przez dyrektora. Czekał w milczeniu. Nie miał już nic więcej do powiedzenia. Były tylko rzeczy, których chciał się jeszcze dowiedzieć.

- Ponieważ jesteśmy już w komplecie, sądzę, że najlepiej przejść od razu do meritum sprawy. Są dalsze wyniki śledztwa, o których nie jest pan jeszcze poinformowany, a które dotyczą przede wszystkim historii Daniela Legranda alias Jean-Loup Verdiera. Oto, z grubsza, co zdołaliśmy ustalić.

Roncaille oparł się o zagłówek i założył nogę na nogę. Frank uznał za dziwne, że Durand pozwolił mu prowadzić działania operacyjne, choć powód był mu całkowicie obojętny.

Roncaille podzielił się z nim swoją wiedzą z naturalnością i łaskawością, z jaką pewien święty podzielił się kiedyś swoim płaszczem z biedakiem.

- Jego ojciec, Marcel Legrand, był szycią we francuskich tajnych służbach. Osobą kierującą wyszkoleniem, ekspertem od tego wszystkiego, co składa się na bagaż każdego członka korpusów specjalnych czy też służb wywiadowczych. W pewnym momencie, jak się zdaje, zaczął przejawiać oznaki braku zrównowżenia. Nie znamy dokładnych szczegółów tego aspektu sprawy. Dotarliśmy najdalej, jak się dało, ale rząd francuski nie zgodził się ujawnić zbyt wiele. Musiała być to sprawa, która przysporzyła im niezłych zmartwień. Niemniej informacje, które udało się nam zdobyć, są wystarczające, aby zrozumieć to, co się wydarzyło. Po kilku epizodach określanych jako „przykre” Legrand został poproszony, by tak rzec, aby z własnej, nieprzymuszonej woli porzucił aktywną służbę i przeszedł w stan przedemerytalny.

Fakt ten musiał go mocno dotknąć i zadać ostateczny cios jego rozchwieanemu już umysłowi. Przeprowadził się do Cassis z ciężarną żoną i nianią, kobietą, która opiekowała się nim od dzieciństwa. Kupił gospodarstwo, La Patience, gdzie zamknął się jak pustelnik, nie utrzymując niemal stosunków z resztą świata. Narzucił tę sytuację również pozostałym domownikom. Żadnych kontaktów, pod żadnym pozorem.

Roncaille zwrócił się do doktora Cluny. Oddał mu głos, powierzając mu milcząco rolę osoby najbardziej kompetentnej, aby przedstawić pozostałe fakty o podłożu w znacznym stopniu psychologicznym.

Psychopatolog zdjął okulary i ścisnął palcem wskazującym i kciukiem nasadę nosa, jak to czynił zazwyczaj. Frank nie zdołał jeszcze zrozumieć, w jakim stopniu ten gest jest owocem wnikliwych studiów, mających na celu przyciągnąć uwagę słuchaczy, a w jakim owocem przypadku. Nie było to zresztą specjalnie ważne. Cluny założył z powrotem okulary. Zdołał przykuć uwagę wszystkich. Wiele rzeczy, które miał powiedzieć, były nowością również dla samego Duranda i Roncaille'a.

- Przeprowadziłem kilka rozmów z Jean-Loup'em, a raczej z Danielem Legrand, bo to są jego prawdziwe dane. Z pewną trudnością zdołałem naszkicować ogólny obraz, ponieważ tylko chwilami objawia on wolę, by się otworzyć i wyjść ze stanu całkowitego wyobcowania, w który czasem popada. A zatem, jak mówił przed chwilą dyrektor, rodzina Legrand przybywa do tego miasteczka w Prowansji. Nawiasem mówiąc, pani Legrand była Włoszką. Myślę, że zdeterminowało to fakt, iż Daniel czy Jean-Loup, jak wolicie, mówi tak dobrze po włosku. Ja myślę, że dla większej jasności, będę go nadal nazywał Jean-Loup.

Rozejrzał się wokół, żeby zobaczyć, czy się zgadzają. Ogólna cisza wskazywała, że nie mają żadnych obiekcji. Cluny kontynuował przedstawianie faktów, a właściwie, jak on sobie wyobrażał przebieg wydarzeń.

- Wkrótce po ich przyjeździe pani Legrand rodzi. Zgodnie z mizoginiczną logiką męża, która stała się tymczasem prawdziwą obsesją, do porodu nie zostaje wezwany żaden lekarz. Kobieta wydaje na świat, tu uwaga, nie jedno dziecko, ale bliźniaki, Luciena i Daniela. Z tym, że jest duża komplikacja. Mały Lucien rodzi się zdeformowany. Twarz dziecka jest całkowicie oszpecona przez narośl, która czyni z niego potworka. Z klinicznego punktu widzenia, nie powiem wam dokładnie, jak chłopiec wyglądał, ponieważ mogę opierać się tylko na świadectwie Jean-Loup'a, a on na ten temat raczej milczy. W każdym razie badania DNA zwłok odnalezionych w

schronie wykazały bez cienia wątpliwości, że oni dwaj są braćmi. Ojciec jest wstrząśnięty tym dramatem i jego stan umysłowy jeszcze się pogarsza. Odrzuca narodziny zdeformowanego syna, jakby nie istniał, do tego stopnia, że zgłasza w merostwie przyjsie na świat tylko jednego dziecka, właśnie Daniela. Drugie ukrywane jest w domu, jak zazdrośnie strzeżona tajemnica, wstyd wobec świata. Matka umiera kilka miesięcy po porodzie. Orzeczenie lekarskie mówi, że śmiercią naturalną. Nie ma powodu, żeby podejrzewać coś innego.

Durand przerwał gestem wywód Cluny'ego i wtrącił się na chwilę.

- Zasugerowaliśmy rządowi francuskiemu ekshumację zwłok pani Legrand, ale nie wydaje się nam, żeby po tylu latach i po śmierci wszystkich osób zamieszanych w tę sprawę szczególnie ten mógł mieć dla nich żywotne znaczenie.

Durand oparł się o zagłówek fotela z miną kogoś, kto uważa za naganny taki brak dbałości o szczegóły. Gestem ręki oddał na powrót głos doktorowi Cluny.

On przyjął to jako obowiązek, a nie przyjemność.

- Dzieci rosną pod twardą i obsesyjną ręką ojca, który zajmuje się ich całościową edukacją. Ani przedszkola, ani szkoły, żadnych kontaktów z rówieśnikami. Jednocześnie staje się prawdziwym maniakiem. Być może jest dotknięty manią prześladowczą, ma obsesję na punkcie retorycznej postaci „wroga”, którego widzi wszędzie i w każdej osobie poza domem, gdzie żyją zamknięci jak w fortecy. Również w tym przypadku są to moje przypuszczenia, niepoparte konkretnymi faktami. Jedynym, któremu pozwala się na sporadyczne kontakty ze światem, zawsze pod rygorystyczną kontrolą ojca, jest Jean-Loup. Bliźniak, Lucien, pozostaje więźniem w domu, osobą, której twarz nie może być pokazywana światu, rodzajem Żelaznej Maski, żeby zacytować przykład literacki. Obydwu narzuca ostry, wojskowy dryl, taki sam, jakiego Legrand uczył funkcjonariuszy służb specjalnych. Oto skąd się wzięło przygotowanie Jean-Loup'a w ekstremalnych warunkach, łącznie z jego zręcznością w walce. Nie chcę się rozwodzić, ale on sam ujawnił mi mrożące krew w żyłach szczegóły, doskonale przystające do osobowości, którą Jean-Loup rozwinął w późniejszym czasie...

Cluny przerwał, jakby uważał, że będzie lepiej, jeśli szczegóły te, dla dobra wszystkich, pozostaną w jego wyłącznej kompetencji. Frank ze swej strony zaczynał rozumieć. A przynajmniej zaczynał sobie wyobrażać, co było mniej więcej tym, do czego zmuszony był Cluny. Wyłaniała się historia, która unosiła się w czasie, jak góra

lodowa w morzu i dokładnie w taki sam sposób znad powierzchni wystawała tylko jej mniejsza część. Część pokryta krwią. I tej części świat nadał miano Nikt.

- Mogę powiedzieć, że Jean-Loup i jego upośledzony brat praktycznie nigdy nie byli dziećmi. Legrand zdołał przekształcić jedną z najstarszych na świecie dziecięcych zabaw, zabawę w wojnę, w autentyczny koszmar. Doświadczenie to połączyło braci nierozzerwalnym węzłem. Już zwykły związek między bliźniakami jest dużo silniejszy i bardziej szczególny od więzi łączącej normalne rodzeństwo: świat pełen jest przykładów, które tego dowodzą. A wyobraźmy sobie ten przypadek, gdzie jeden z braci jest w wyraźnie słabszej pozycji. Jean-Loup przyjął rolę obrońcy i opiekuna brata, którego ojciec traktował jak istotę niższą. Sam Jean-Loup wyznał mi, że najłagodniejszym epitetem, jakim ojciec określał Luciena, było „wstrętny potwór”...

Nastąpiła chwila ciszy. Cluny dał wszystkim czas na przyswojenie tego, co powiedział. To, czego słuchali, było na swój sposób potwierdzeniem, że za zachowaniem Jean-Loup'a kryła się jakaś trauma. Teraz, kiedy ustalano, na czym polegała, każdy zdawał sobie sprawę, że przekraczało to najbardziej nawet śmiało przypuszczenia. A nie był to jeszcze koniec.

- Łączy ich chorobliwe uczucie. Jean-Loup przeżywa dramat brata, jakby dotyczył jego samego, być może nawet jeszcze silniej, w sposób bardziej dotkliwy, ponieważ widzi jego bezbronność wobec szaleństwa i prześladowań ich własnego ojca.

Cluny zrobił kolejną pauzę i jeszcze raz dokonał rytualnego zdjęcia okularów. Frank, Roncaille i Durand cierpliwie mu na to przyzwolili. Zasłużył na ich wyrozumiałość, przeprowadzając rozmowy z Jean-Loup'em, pozostając w ciągłym kontakcie z jego mrocznym umysłem, próbując odnaleźć w przeszłości korzenie, które wywarły wpływ na jego późniejsze życie i pozbawiły go przyszłości.

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć, jaki był bezpośredni powód, który rozpętał wydarzenia w domu w Cassis owej nocy wiele lat temu. Być może nie ma jednej, szczególnej przyczyny, a cała seria motywów ubocznych, które przez lata stworzyły idealne warunki do zapoczątkowania tragedii. Wicie, że w domu strawionym płomieniami znaleziono ciało z oszpeconą twarzą...

Następna pauza. Oczy psychopatologa wędrowały po pokoju nie w poszukiwaniu wzroku innych, ale uciekając przed nim.

Jakby czuł się po części odpowiedzialny za to, co miał powiedzieć.

- To sam Jean-Loup zabił swojego brata. W swoim uczuciu doszedł już do takiego stanu, że jego chory umysł uznał, iż jest to jedyny sposób, by go uzdrowić „z

jego zła”, jak to określił. Jakby wygląd jego twarzy był prawdziwą chorobą. Potem następuje symboliczny gest uwolnienia, rytuał zdjęcia skóry z twarzy, żeby uwolnić bliźniaka od jego kalectwa. Następnie zabija ojca i gospodynię, którą najwyraźniej uznaje za jego współniczkę, w taki sposób, aby uwiarygodnić hipotezę o podwójnym zabójstwie, ukoronowanym samobójstwem. W końcu podpala dom. Mógłbym przypisać temu wszystkiemu symboliczne znaczenie katharsis, ale wydaje mi się to całkowicie niepotrzebne i bardziej retoryczne niż naukowe. Wreszcie ucieka. Nie znam szczegółów dotyczących jego ukrywania się...

Włączył się Roncaille, aby sprowadzić na chwilę na ziemię tę opowieść, która zdawała się zawieszona w aurze sagi o czarownicach.

- Dzięki dokumentom znalezionym w domu Jean-Loup'a dotarliśmy do zaszyfrowanego konta w jednym z banków w Zurychu. Były to prawdopodobnie pieniądze zdeponowane przez Marcela Legrand'a, zresztą spora sumka. Wystarczyło, że Jean-Loup znał kod, aby mieć do dyspozycji całą lokatę. Nie wiemy, gdzie mieszkał, zanim pojawił się w Monte Carlo, pożyczając nazwisko od chłopca, który utonął w Cassis, ale jak sobie radził, nie ma żadnych wątpliwości. Z pieniędzmi, które miał do dyspozycji, mógł przeżyć całe życie, nie pracując.

Wtrącił się prokurator Durand.

- Pamiętajmy o jednym. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że w owym domu mieszkał tylko jeden chłopiec, odkrycie ciała kogoś w jego wieku nie budziło żadnych podejrzeń, że mogły to być zwłoki kogoś innego. W każdym razie pożar, który strawił praktycznie cały dom, zatarł wszelkie ślady. Stąd dosyć szybkie umorzenie sprawy. To dało temu szaleńcowi możliwość, żeby wykraść ciało brata z cmentarza w Cassis, kiedy dowiedział się, że nie zostało pochłonięte przez płomień.

Durand zamilkł. Po lekkim wahaniu odezwał się Frank.

- A muzyka? - zapytał Cluny'ego.

Psychopatolog zwlekał chwilę z udzieleniem odpowiedzi.

- Związek tego człowieka z muzyką jest kwestią, którą staram się jeszcze pogłębić. Wydaje się, że ojciec był jej wielkim pasjonatem i szalonym kolekcjonerem rzadkich nagrań. Prawdopodobnie była to jedyna rozrywka, na jaką pozwalał synom, w zamian za wszystko to, co kazał im znosić. Również w tym względzie komunikacja jest trudna. Kiedy mówię o muzyce, pacjent zamyka oczy i całkowicie się wyłącza.

Wszyscy zasłuchani byli teraz w słowa Cluny'ego. Jeśli to zauważył, nie dał po sobie poznać. Prawdopodobnie to, czego się dowiedział, wciąż bardzo go zaprzętało, również podczas tego prostego wywodu.

- To, co chciałbym teraz podkreślić, jest bardzo delikatnym aspektem całej tej sprawy. Zabicie brata wywołało w Jean-Loup'ie podświadome poczucie winy, z którego nigdy się nie wyzwoli. Uważał i wciąż uważa, że cały świat odpowiedzialny jest za śmierć jego brata i za wszystko, co musiał wycierpieć z powodu swojego straszego wyglądu. Taka jest geneza typologii Jean-Loup'a jako seryjnego mordercy, na pograniczu misji i kontrolowania władzy. Kompleks wywołany przez sytuację rodzinną, za którą odwetem jest zdobycie ulotnej normalności dla brata. Prawdziwy powód zamordowania wszystkich tych osób i wykorzystania ich twarzy, które jak maski zakładał na twarz trupa, wynika z tego, że uważał to za swój obowiązek, formę zadośćuczynienia temu biedakowi za to wszystko, co musiał znosić...

Psychopatolog siedział z lekko rozstawionymi nogami. Opuścił głowę. Kiedy ją z powrotem podniósł, w jego oczach była litość.

- Czy nam się to podoba, czy nie, ten człowiek uczynił to wszystko z miłości, nienormalnej i bezwarunkowej miłości do brata. Taki jest wniosek.

Cluny niemal natychmiast wstał, jak gdyby zakończenie wywodu uwolniło go nagle od ciężaru, którego nie miał ochoty sam dźwigać. Teraz, kiedy zdołał podzielić się nim z innymi osobami, uznał, że jego dalsza obecność w tym pokoju stała się zbyteczna.

- Chwilowo to wszystko, co mogę panom powiedzieć. Dajcie mi parę dni, a przygotuję raport pisemny. Tymczasem będę kontynuował moje spotkania z tym człowiekiem, choć już niemal wszystko, co powinniśmy wiedzieć, wyszło na jaw.

Roncaille podniósł się i obszedł biurko, żeby osobiście podziękować doktorowi. Uścisnął mu dłoń i odprowadził go do drzwi. Mijając Franka, Cluny położył mu rękę na ramieniu.

- Gratuluję - powiedział po prostu.

- To ja panu gratuluję i dzięki za wszystko.

Cluny odpowiedział grymasem, który być może miał być uśmiechem albo też wyrazem skromności. Zrobił gest ręką do Duranda, siedzącego nieruchomo, w zamyśleniu. Durand odpowiedział lekkim ruchem głowy.

Cluny wyszedł, a Roncaille zamknął za nim cicho drzwi. Szef policji wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Frank usiadł z powrotem w fotelu, a Durand zdawał się nadal pogrążony w myślach.

W końcu prokurator generalny wstał i podszedł do okna. Wyglądając na zewnątrz, postanowił przerwać milczenie. Mówił odwrócony plecami, jakby wstydził się pokazać twarz.

- Jak się zdaje, ta historia jest skończona, a jej zakończenie jest pańską zasługą, Frank. Dyrektor Roncaille potwierdzi panu, że sam książkę prosił nas, byśmy przekazali panu jego gratulacje i wyrazy uznania za osiągnięty rezultat.

Zrobił pauzę, która była bardzo daleka od magnetycznego efektu przerw Cluny'ego. Postanowił się odwrócić.

- Będę z panem szczerzy, tak jak pan był ze mną. Wiem, że mnie pan nie lubi, w swoim czasie powiedział mi pan to wyraźnie. Ja też pana nie lubię. Nigdy pana nie lubiłem i nie sądzę, żebym kiedykolwiek polubił. Istnieje między nami przepaść i ani ja, ani pan nie wykonamy nigdy najmniejszego wysiłku, żeby przerzucić nad nią most. A jednak, z umiłowania sprawiedliwości, jest coś, co muszę panu powiedzieć...

Postąpił dwa kroki i stanął przed Frankiem. Wyciągnął do niego rękę.

- Chciałbym mieć wielu policjantów takich jak pan.

Frank wstał i uściśnął dłoń, którą podawał mu Durand.

Chwilowo i być może na zawsze było to wszystko, co obydwaj mogli zrobić.

Po czym Durand wrócił do swojej normalnej roli, zimnego, eleganckiego prokuratora generalnego, z pewnymi pretensjami do skuteczności.

- Teraz, jeśli pozwolicie, zostawię was. Do widzenia, dyrektorze, gratulacje również dla pana.

Roncaille zaczekał, aż zamkną się za nim drzwi. Napięcie na jego twarzy wyraźnie zelżało. Przede wszystkim stał się mniej formalny.

- Co pan teraz zrobi, Frank? Wróci pan do Stanów?

Frank wykonał gest, który mógł oznaczać jakiegokolwiek miejsce na ziemi.

- Nie wiem. Chwilowo rozejrzę się, zobaczymy. Jest czas na podjęcie decyzji...

Pożegnali się i w końcu Frank poczuł się upoważniony, żeby wyjść. Kiedy trzymał rękę na klamce, zatrzymał go głos Roncaille'a.

- Ostatnia rzecz, Frank...

Frank stał nieruchomo.

- Słucham.

- Chciałem potwierdzić, że załatwiłem sprawę, o którą pan prosił, dotyczącą Nicolasa Hulot.

Frank odkręcił się na pięcie i lekko skinął głową, jak wypada uczynić w obliczu rycerskiego zachowania adwersarza, który okazał się człowiekiem honoru.

- Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem.

Wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Idąc korytarzem, zastanawiał się, czy Roncaille mógł podejrzewać, że jego ostatnie słowa były wierutnym kłamstwem.

Frank opuścił głównym wejściem siedzibę Sûreté Publique Księstwa Monako i znalazł się na zewnątrz, w słońcu. Zmrużył oczy zaatakowane silnym blaskiem po łagodnym świetle korytarzy centrali. Jeszcze niedawno Frank Ottobre odczuwał irytację, znajdując się w tym pełnym słońcu, będącym nieomylną oznaką życia.

Teraz już nie.

Teraz wystarczała już zwykła para ciemnych okularów. Wyciągnął okulary firmy RayBan z kieszonki marynarki i przesłonił nimi oczy. Wydarzyło się wiele rzeczy, niemal wszystkie były złe, niektóre wręcz potworne. Zginęło tyle osób. Teraz i w przeszłości. Wśród nich jego przyjaciel Nicolas Hulot, jeden z niewielu ludzi, jakich znał, do których to określenie przystawało idealnie.

Pośrodku rue Notari stał inspektor Morelli i czekał na niego z rękami w kieszeni. Frank zszedł po kilku schodkach i ruszył spokojnie w jego kierunku. Kiedy się zbliżał, zdjął okulary, które dopiero co założył. Claude zasługiwał na to, żeby patrzeć mu w oczy bez żadnych przesłon. Uśmiechnął się do niego i spróbował przemówić lekkim tonem, być może trochę zmęczonym, ale naturalnym.

- Cześć, Claude, co tu robisz? Czekasz na kogoś, kto nie przychodzi?

- Nie, mój drogi. Ja czekam tylko na ludzi, o których wiem, że przyjdą. W tym wypadku czekałem właśnie na ciebie. Nie myślałeś chyba, że pójdziesz sobie i ci się upiecze? Jesteś mi coś winien. Uznają cię odpowiedzialnym za powrót z Nicei samochodem prowadzonym przez oszalałego wariata.

- Xavier, co?

- Były funkcjonariusz Xavier, chciałeś powiedzieć, który teraz przegląda zdesperowany oferty pracy, ze szczególnym uwzględnieniem przedsiębiorstw ogrodowych. Wiesz, z powodu kosiarek...

Właśnie w tym momencie Xavier Lacroix wjechał z rue Suffren Raymond za kierownicą wozu policyjnego. Minął ich, uśmiechnął się i pozdrowił przez okno ręką.

Zatrzymał się trochę dalej, żeby zabrać oczekującego go na ulicy drugiego policjanta, i samochód znów ruszył.

Na twarzy Morellego pojawiała się natychmiast obojętna mina człowieka-przyłapanego-na-gorącym-uczynku. Frank zaśmiał się. Był zadowolony, że między nimi, w zupełnie naturalny sposób, panuje atmosfera całkowicie różna od tej w gabinecie Roncaille'a.

- Jeśli nie zrobiłeś tego wcześniej, wydaje mi się, że teraz masz znakomity powód, aby wyrzucić agenta Lacroix. Podejrzewam, że z jego winy nieźle się przed chwilą zbłądziłeś.

- Kto, ja? Niby kiedy? Wystarczy tylko odrobina zdrowej, uczciwej bezczelności. To ty raczej powiedz, co zamierzasz zrobić w najbliższej przyszłości?

Frank był ogólnikowy.

- Może się trochę powłóczę, wiesz, jak to jest...

- Sam?

- Oczywiście! A kto miałby sobie wziąć byłego agenta FBI podziurawionego jak durszlak?

Morelli doczekał się odwetu. Właśnie w tej chwili laguna kombi metallic wyłoniła się dokładnie z tego samego miejsca, skąd przyjechał samochód Xaviera, i zatrzymała się obok nich. Za kierownicą siedziała Helena Parker, z uśmiechniętą twarzą i spojrzeniem, które zdawało się do niej nie należeć. Jeśli ktoś, jeszcze tydzień temu, sfotografowałby jej oczy i porównał je z oczami, którymi patrzyła teraz, z trudem odgadłby, że to oczy tej samej kobiety. Stuart siedział na tylnym siedzeniu i zaintrygowany obserwował wejście do komendy Sûreté Publique. Morelli spojrzał na Franka ironicznie.

- Sam, co? Ja myślę, że gdzieś na świecie istnieje centralny punkt zarządzania sprawiedliwością. Dzięki temu ty wsiądziesz do tego samochodu, a Lacroix zachowa posadę...

Podał mu rękę, którą Frank serdecznie uściśnął. Ton się teraz zmienił. Był to ton kogoś, kto coś widział i rozmawia z przyjacielem, który widział to samo.

- Idź, zanim ta kobieta zorientuje się, że jesteś podziurawiony jak durszlak, i postanowi odjechać sama. Tutaj już się skończyło.

- Właśnie, skończyło się. To się skończyło. Zobaczysz, że jutro, gdzieś, zacnie się coś innego.

- Tak to funkcjonuje, Frank, w Monte Carlo, jak w każdym innym miejscu. Tu jest tylko trochę więcej słońca.

Morelli zawahał się, czy powiedzieć coś więcej. Nie z powodu niepewności, ale poczucia rezerwy, które Frank nauczył się szanować.

- Czy już postanowiłeś, co będziesz robił później?

- Masz na myśli pracę?

- Tak.

Frank wzruszył obojętnie ramionami. Morelli wiedział doskonale, że tak nie jest, ale chwilowo nie można było więcej wymagać.

- FBI jest w tej chwili jak raj, może poczekać. Teraz potrzebne mi tylko piękne wakacje, takie prawdziwe, gdzie można się śmiać i bawić w dobrym towarzystwie.

Frank wykonał znaczący gest w kierunku samochodu. Morelli zrobił nagle wielkie oczy i wsunął rękę do kieszeni marynarki.

- Cholera, niewiele brakowało, a bym zapomniał. Musiałbym zaangażować policję połowy Francji, żeby cię ściagała i przekazała ci to.

Wyciągnął z kieszeni jasnoniebieską kopertę.

- Nie mówiąc o tym, że osoba, która dała mi ten list, nigdy by mi nie wybaczyła.

Frank patrzył na list przez chwilę, nie otwierając go. Na kopercie było jego imię napisane kobiecym charakterem pisma, delikatnym, ale niepretensjonalnym. Wyobrażał sobie, kto to pisał. Chwilowo wsunął list do kieszeni. Wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwiczki.

- Cześć, Claude. My w Ameryce mówimy take it easy, trzymaj się.

- Ty trzymaj się, włączając się po świecie, i korzystaj z wakacji.

Na potwierdzenie tych życzeń z wnętrza samochodu doszedł piskliwy głos Stuarta.

- Jedziemy do Disneylandu - powiedział po angielsku. Morelli cofnął się o krok i podniósł oczy do nieba. Twarz jego wyrażała udane zmartwienie, na wyłączny użytek chłopca, który wystawiał głowę między przednimi siedzeniami. Odpowiedział dobrym angielskim, ledwie tylko zaostrzonym jego francuskim „r”.

- No, proszę. Ci do Disneylandu, a ja tu muszę tyrać.

Zrobił lekkie ustępstwo wobec świata i obecnych.

- Co prawda w Monte Carlo, ale muszę ciężko harować, i w dodatku sam jak palec.

Frank wszedł do samochodu, zatrzasnął drzwiczki i opuścił szybę. Mówił do Heleny, ale w taki sposób, żeby inspektor go słyszał.

- Odjeżdżaj, zanim ta łajza zepsuje nam dzień. Nie wiem, skąd oni biorą tu policjantów. A potem mówią, że policja z Monte Carlo jest jedną z najlepszych na świecie...

Samochód ruszył i Frank posłał Morellemu ostatnie skinienie przez okno. Dotarli w głąb rue Notari i skręcili w prawo. Na końcu rue Princesse Antoinette zatrzymali się, żeby dać pierwszeństwo. Frank zobaczył na rogu Barbarę, która szła szybko ulicą, potrząsając falującymi, płomiennymi włosami. Kiedy samochód ruszał, Frank odwrócił się i śledził ją dalej wzrokiem. Pomyślał sobie, że obecność dziewczyny na tej ulicy nie jest tylko czystym przypadkiem. Morelli dopiero co powiedział mu, że czeka tylko na osoby, których przyjscia jest pewny...

Helena trąciła go lekko w ramię. Kiedy się odwrócił, zobaczył na jej twarzy uśmiech.

- Ej, jeszcze nie wyjechaliśmy z miasta, a ty już oglądasz się za innymi kobietami?

Frank oparł się o zagłówek i wymownym gestem założył ciemne okulary.

- Jeśli cię to interesuje, kobieta, którą właśnie minęliśmy, jest prawdziwym powodem obecności Morellego na ulicy. A nie jakieś łzawe pożegnanie wyjeżdżającego przyjaciela. Widziałaś go? To ten, co zostaje w Monte Carlo sam jak palec.

- To tylko potwierdza teorię, że świat pełen jest tchórzliwych i kłamliwych mężczyzn.

Frank spojrzał na siedzącą obok kobietę. Zmieniła się w ciągu kilku dni. A myśl, że było to po części jego zasługą, zmieniało także jego. Uśmiechnął się i energicznie potrząsnął głową.

- Nie, to potwierdza teorię, że świat pełen jest tchórzliwych kłamców. Wyłącznie z powodu nieuniknionej statystyki, niektórzy z nich są mężczyznami.

Frank udał, że chce powstrzymać reakcję Heleny, dając jej wskazówki dotyczące jazdy. Wskazał ręką ulicę.

- Skręć tutaj w prawo. Dojedziemy do portu, a dalej, kierując się drogowskazami, na Niceę.

- Nie próbuj się wywinąć, jest to temat, do którego zamierzam wrócić - odparła Helena.

Jej mina zaprzeczała jednak wojowniczo tonowi głosu. Samochód wjechał na krótki zjazd do portu, po czym minął zatłoczoną przystań. Stuart siedział przyklejony do szyby i zdawał się zafascynowany barwną plataniną ludzi i łódek. Wskazał wielki, prywatny jacht, zakotwiczony przy prawym moście, na którego górnym pokładzie stał helikopter.

- Mamo, zobacz, jaka ta łódź jest długa. I ma jeszcze helikopter.

Helena odpowiedziała, nie odwracając się.

- Cóż, już ci mówiłam, Stuarcie. Księstwo Monako to dziwne miejsce. Jest to bardzo małe państwo, ale przyjeżdża tu masa ważnych ludzi.

- A ja wiem dlaczego. Tutaj nie płaci się podatków.

Frank nie uznał za stosowne wytłumaczyć mu, że prędzej czy później trzeba płacić podatki, niezależnie od miejsca na świecie. Nie była to kwestia, którą Stuart mógł zrozumieć, a on nie miał ochoty na wyjaśnienia. W owej chwili nie chciało mu się nawet myśleć. Minęli miejsce, gdzie odnaleziono zwłoki Arijane. Helena nic nie powiedziała, Frank też nie. Był zadowolony, że ma na oczach ciemne okulary i Helena nie może zobaczyć ich wyrazu. Dojechali do zakrętu przy Rascasse. Po lewej stronie zostawili siedzibę Radia Monte Carlo. Frank przez jedną chwilę zobaczył reżyserkę za szklaną szybą i zapalające się czerwone światło z napisem „ON AIR”, i wyobraził sobie didżeja, który był na antenie i...

Dosyć. Skończyło się. A jeśli jutro miałoby się zacząć coś nowego, ta sprawa nie będzie już cię dotyczyć.

Samochód znalazł się na drodze wyjazdowej z miasta i kiedy tylko minął rozjazd do Fontvieille i ruszył szosą na Niceę, to małe napięcie, które się wytworzyło, zaczęło ustępować. Poprawiając się na siedzeniu w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, Frank usłyszał szelest papieru w kieszeni marynarki. Wsunął rękę i wyciągnął niebieską kopertę, którą przekazał mu Morelli.

Koperta nie była zaklejona. Frank wyjął złożoną na pół kartkę papieru, tak samo niebieską jak koperta. Kiedy ją otworzył, znalazł przed oczami krótki list napisany tym samym charakterem pisma, co jego imię na kopercie.

Cześć Przystojniaku,

Przylączę się do gratulacji dla bohatera dnia. Dodaję do nich najszczerze podziękowania za to wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Dostałam właśnie zawiadomienie od władz Księstwa Monako. Odbędzie się oficjalna uroczystość

upamiętniająca komisarza Nicolasa Hulot w uznaniu jego zasług. Dowiedziałam się z pewnego źródła, że to Ty jesteś głównym tego sprawcą. Wiesz, co to dla mnie znaczy, i nie mam na myśli wyłącznie aspektu finansowego, który zapewni mi spokojną starość, jeśli może ona taką być.

W obliczu pewnych wydarzeń jedyną rzeczą, jakiej pragnie świat, jest szybko zapomnieć. Ktoś ma zadanie pamiętać, żeby się nie powtórzyły.

Jestem z Ciebie bardzo dumna. Ty i mój mąż jesteście najlepszymi ludźmi, jakich spotkałam w życiu. Nicolasa kochałam i zawsze go będę kochać. A Tobie będę zawsze dobrze życzyć.

*Niech Ci sprzyja szczęście, na które zasługujesz i które na pewno znajdziesz.
Całuję.*

Céline

Frank przeczytał krótki list Céline Hulot jeszcze dwa albo trzy razy, zanim go złożył i wsunął z powrotem do kieszeni. Wjeżdżając na drogę prowadzącą na autostradę, Helena odwróciła na chwilę wzrok w jego stronę.

- Złe wieści?

- Przeciwnie. Pozdrowienia i życzenia od serdecznej przyjaciółki.

Stuart wsunął głowę między siedzenia. Jego głowa znalazła się praktycznie między Frankiem i Heleną.

- Mieszka w Monte Carlo?

- Tak, Stuart, mieszka tutaj.

- Czy to ważna kobieta?

Frank spojrział na Helenę. Odpowiedź, jakiej udzielił Stuartowi, skierowana była przede wszystkim do niej.

- Oczywiście, że to ważna kobieta. To żona policjanta.

Helena uśmiechnęła się. Stuart cofnął się zmieszany. Oparł się z powrotem na swoim siedzeniu i patrzył przez okno na morze znikające, w miarę jak wjeżdżali w głąb lądu. Frank wyciągnął rękę, żeby wziąć pas bezpieczeństwa. Kiedy go zapinał, zwrócił się do Stuarta.

- Młodzieńcze, od tej chwili pasy zapięte aż do następnego rozkazu. Roger?

Frank postanowił, że po tym wszystkim, co przeszedł, ma prawo trochę się powyglupiać. Wystawił ręce przed siebie, jak przewodnik, który wskazuje kolumnie pionierów drogę na Zachód.

- Francjo, nadjeżdżamy!

Frank i Helena przyjęli z uśmiechem hałaśliwą reakcję chłopca. Sprawdzając, czy Stuart prawidłowo zapiął pas, Frank niepostrzeżenie obserwował profil siedzącej za kierownicą kobiety, skupionej na prowadzeniu w nasilonym z powodu wakacji ruchu. Patrzył na nią, a jego spojrzenie było jak ołówek, który zapisywał ten moment na zawsze w pamięci.

Pomyślał, że dla obojga nie będzie to proste. Będą musieli podzielić równo swoje wysiłki pomiędzy trud życia i trud zapomnienia. Ale byli razem i fakt ten już sam w sobie był znakomitym wstępem. Usiadł wygodnie i oparł kark na zagłówku. Przymknął oczy za szklami ciemnych okularów. Uprzytomnił sobie, że wszystko, co go interesuje na świecie, jest z nim w tym samochodzie, i że w gruncie rzeczy, nie można pragnąć więcej.

Ostatni karnawał

Teraz w końcu wszystko jest białe.

Mężczyzna siedzi wsparty plecami o ścianą w małym, prostokątnym pokoju. Siedzi na ziemi, obejmując ramionami podkulone kolana, i obserwuje ruch swoich palców u nóg w białych, bawełnianych skarpetkach. Ma na sobie marynarkę i spodnie z grubego płótna, również białe, tak samo jak białe są mury, w których jest zamknięty. Pod ścianą naprzeciwko, mocno przytwierdzone do podłogi, stoi metalowe łóżko.

Ono też jest białe.

Nie ma prześcieradeł, ale biały jest materac i poduszka. Białe jest światło, które pada z okna w suficie, osłoniętego ciężką kratą, pospiesznie pomalowaną na białą, i zdaje się źródłem oślepiającej jasności panującej w pokoju.

Światło to nigdy nie gaśnie.

Podnosi powoli głowę. Jego zielone oczy patrzą bez udręki na jedyne, maleńkie okno, położone tak wysoko, że jest nieosiągalne. To jedyne zegar, jaki ma do dyspozycji, żeby mierzyć upływ czasu.

Jasno i ciemno. Białą i czarno. Dzień i noc.

Nie wie czemu, ale błękitu nieba nie widać nigdy.

Samotność mu nie ciąży.

Przeciwnie, odczuwa rodzaj zniecierpliwienia za każdym razem, kiedy z zewnątrz dociera jakiś sygnał ze świata. Od czasu do czasu otwiera się klapka w drzwiach, na dole. Po podłodze wsuwa się taca z plastikowymi talerzami z jedzeniem. Plastik jest biały, a jedzenie ma zawsze taki sam smak. Nie ma sztucców. Je palcami i oddaje tacę i talerze, kiedy klapka znów się podnosi. Dostaje w zamian białą, mokrą ściereczkę do wytarcia rąk, którą musi zaraz potem oddać.

Czasami jakiś głos mówi mu, żeby stanął pośrodku pokoju i wyciągnął ręce do przodu. Kontrolują jego ruchy przez judasza w drzwiach. Kiedy widzą, że jest we

właściwej pozycji, drzwi otwierają się, wchodzi kilku mężczyzn i zakłada mu kaftan bezpieczeństwa, zawiązując ciasno na plecach. Za każdym razem, kiedy musi go zakładać, uśmiecha się.

Czuje, że ci potężni ubrani na zielono mężczyźni boją się go, i zauważył, że na wszelkie sposoby próbują uniknąć jego wzroku. Czuje niemal zapach ich strachu. A przecież powinni wiedzieć, że czas walki się skończył. Powtarzał to wiele razy mężczyźnie w okularach, którego spotyka w pokoju, gdzie go prowadzą, temu, który chce rozmawiać, wiedzieć, zrozumieć.

Powiedział mu też kilka razy, że nie ma nic do rozumienia.

Należy tylko przyjmować to, co się dzieje i co nadal będzie się dziać, tak samo, jak on akceptuje bez żadnej reakcji fakt, że jest zamknięty w całej tej bieli aż do chwili, kiedy sam stanie się jej częścią.

Nie, samotność mu nie ciąży.

Jedyną rzeczą, której mu brakuje, jest muzyka.

Wie, że na zawsze jest jej pozbawiony, więc czasami zamyka oczy i udaje mu się wyobrazić ją sobie. Grał ją tak często, słyszał tak wiele razy i tak głęboko nią oddychał, że teraz, kiedy jej szuka, odnajduje ją nietkniętą, identyczną jak w chwili, kiedy w niego weszła. Te złożone z obrazów i słów wspomnienia nędznych, spłowiałych kolorów i ochrypłych dźwięków, skażonych poszukiwaniem znaczenia, teraz już go nie interesują. W jego więzieniu pamięć służy mu tylko po to, żeby odnaleźć jak ukryty skarb całą muzykę, którą ma w sobie. To jedyne dziedzictwo, jakie zostawił mu tamten człowiek, który kiedyś rościł sobie prawo, by nazywać go „ojcem”, zanim on postanowił, że nie jest już jego synem, i odebrał mu to prawo razem z życiem.

Kiedy się dobrze skoncentruje, jest w stanie usłyszeć, jakby była obok niego zręczna dłoń na rączce gitary elektrycznej, gniewne dźwięki solówki, która wydaje się biegiem w górę kręconych schodów, pnących się coraz wyżej, bez końca.

Słyszy szmer szczotek na talerzu perkusji albo wilgotny i ciepły oddech mężczyzny, który przedziera się z trudem przez kręty lejek saksofonu, stając się głosem ludzkiej melancholii, ostrym ukłuciem żalu za czymś pięknym, co istniało i rozsypało się w rękach, strawione czasem.

Może się znaleźć w samym środku sekcji smyczkowej i nadzorować znad ramienia szybki i lekki ruch smyczka pierwszych skrzypiec albo wślizgnąć się niepostrzeżenie między kręte spirale oboju, lub też zatrzymać się i obserwować

wypiełgnowane palce, przebiegające nerwowo po strunach harfy, niczym dzikie zwierzęta za prętami klatki.

Może włączyć i wyłączyć tę muzykę, kiedy chce, a ona, jak każdy wytwór wyobraźni, jest doskonała. Tam w środku jest wszystko to, czego potrzebuje, cała jego przeszłość, cała terażniejszość i cała przyszłość.

Muzyka jest absolutnie wystarczająca, żeby pokonać samotność. Muzyka jest jedyną dotrzymaną obietnicą, muzyka jest jedynym wygranym zakładem. Powiedział to już kiedyś komuś, że muzyka jest wszystkim, jest początkiem i kresem podróży, że muzyka jest samą podróżą. Słuchali go, ale mu nie uwierzyli. Zresztą, czego można się spodziewać po kimś, kto muzykę gra i jej słucha, ale nianie oddycha?

Nie, zupełnie nie boi się samotności.

A poza tym, nie jest sam.

Nigdy, nawet teraz.

Nikt nie zrozumiał tego do tej pory i być może nikt nie pojmie tego w przyszłości. Oto dlaczego szukali tak daleko tego, co mieli przed oczami, tak jak robią wszyscy od zawsze. Oto dlaczego zdołał tak długo się ukrywać wśród tych pobieżnych spojrzeń, dokładnie tak samo, jak czerń ukrywa się wśród kolorów. Żaden z nich nie byłby w stanie znieść oślepiającej bieli pokoju, w którym on się znajduje, bez krzyku.

On nie musi krzyżeć. Nie odczuwa nawet potrzeby mówienia.

Opiera głowę o ścianę i zamyka oczy. Odrywa je tylko na chwilę od jasności tego pokoju, nie dlatego, że się jej obawia, ale ponieważ ją szanuje.

Uśmiecha się, a tymczasem wyraźny i jasny głos odzywa się w jego głowie.

Jesteś tam, Vibo?

Podziękowania

Po zakończeniu pracy, takiej jak ta, podziękowania, poza obowiązkiem, stają się osobistą przyjemnością. Dlatego chciałbym podziękować Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Rzymie, Federalnemu Biuru Śledczemu (FBI) i Sûreté Publique Księstwa Monako za pomoc okazaną osobie, która przedstawiała się jako pisarz, a w owej chwili była nim tylko we własnej wyobraźni.

Dziękuję Gianniemu Rabacchinowi z Policji Państwowej w Asti i panu Pinnie, marszałkowi karabinierów z Capoliveri, którzy poza tym, że są nazwiskiem i stopniem na mundurze, są również przyjaciółmi.

To samo dotyczy doktora Gainniego Miraglio i doktora Agostina Gaglio, którzy w świecie baronów są prawdziwymi dżentelmenami medycyny. Dołączam do nich profesora Vincenzo Mastronardiego, psychiatrę i kryminologa klinicznego, kierownika Katedry Psychopatologii Prawniczej na Wydziale Medycyny Uniwersytetu La Sapienza w Rzymie, który mimo licznych obowiązków znalazł czas na konsultacje równie cenne, jak jego przyjaźń.

Pozdrowienia i podziękowania dla Alberta Hazana i zespołu Radia Monte Carlo, ze szczególnym wyróżnieniem Alaina Gaspara, który wspierał i znosił moje najazdy z savoir vivre'em godnym prawdziwej pochwały. I Bogu dzięki za jego znajomość włoskiego, dużo lepszą od mojej znajomości francuskiego...

Pozdrawiam i dziękuję mojemu przyjacielowi Jeffery Deaverowi, który pokazał mi jak na dłoni, w jaki sposób wielki autor może zamieszkiwać to samo ciało, co prostolinijna i sympatyczna osoba.

A propos książek, dziękuję Alberto i Claudii Zappa za tomy, które być może „pożyczę” na zawsze...

Serdeczne dzięki dla osób zmuszonych do lektury, grupy wsparcia złożonej z Doretty Freilino, Maura Vaccaneo, Laury Niero, Enrica Biasci i Roby'ego Facini,

którzy dostarczali mi paliwa i nowych opon podczas moich częstych i być może męczących postojów.

Dziękuję Robercie, że zawsze przychodzi i jest: jak i gdzie, jeśli pozwolicie, to nasza słodka tajemnica.

Dziękuję Piergiorgio Nicolazziniemu, mojemu agentowi literackiemu, który zgodził się zająć początkującym pisarzem praktycznie „na słowo”. Z tego samego powodu dziękuję Alessandro Dalaiemu, Eugenio Rognoniemu i całemu wydawnictwu Baldini&Castoldi, ze szczególnym wskazaniem na mojego edytora Piera Gelli za jego cenne uwagi, i na Paolę Finzi, heroiczną redaktorkę, która zdołała przetrwać moje okresowe, nerwowe kryzysy.

Jeśli o kimś zapomniałem, niech wie, że brakuje go tylko na tej liście, ale nie w moim sercu.

Jeśli chodzi o mnie, obawiam się, że tu i tam pozwoliłem sobie na pewną swobodę narracyjną i geograficzną. Jest to chwilowo jedyna rzecz, która łączy mnie z pewnymi wielkimi pisarzami, którzy są w pewnym sensie odpowiedzialni za obecność tej książki w księgarniach. Określenie „chwilowo” nie jest wyrazem pychy, ale jedynym, lekkim przejawem optymizmu, na jaki sobie pozwalam. Należy ponadto przypomnieć, gdyby zaszła taka potrzeba, że zdarzenia opisane w tej powieści są czystą fantazją i że postaci nie należą do realnego życia.

Być może autor również nie...